Opr. „Starodruk" 1964 r.

Pamiętniki Kazimierza Chłędowskiego

nadesłane przez notaryusza Niesiołowskiego 6/II 1923 z zastrzeżeniem, iż otwarcie może nastąpić dopiero z 30 lat po śmierci autora.

(Kaz. Chłędowski umarł w Wiedniu z końcem marca 1920 r.)

Zacząłem pisać 12. września 1897. 1

I

[illegible]

Urodziłem się w roku 1843, 28. lutego, o której godzinie i pod panowaniem której planety, mniejsza o to, nie żyjemy już bowiem w wieku astrologii, a czy Mars, czy Wenus opiekowała się mojemi urodzinami, na ten rodzaj dziwniejszych wyobrażeń nie zabiegłem. [illegible] Ironiczna,

Pół godziny drogi od Kąpiel Jodowych, Iwonicza, w Galicyi, w krośnieńskim powiecie, leży mała wioseczka Lubatówka, należąca dziś do Trzecieskich z Miejsca. — Mój ojciec Otton Chudowski rozpoczął tam, jako młody człowiek swój gospodarski zawód (dzierżawił Lubatówkę), rodzinną wioskę bowiem Witrzno, o milę z tamtąd oddaloną, dostała się starszemu bratu, znanemu literatowi Walentemu. — Otton, najmłodszy z trzech braci był Benjaminkiem rodziny, wychował się pod wpływem Matki, gdyż ojciec wcześnie go odumarł, [illegible]..

Dziad mój Seweryn był bardzo energiczną, sympatyczną postacią, portret który mam do dziś dnia, przedstawia go jako pięknego, o regularnej twarzy pięćdziesięcio-kilkuletniego mężczyznę. Twarz zdrowa, czerstwa, oko jasne, pogodne, człowiek ognia. Kupił on, zdaje mi się od funduszu religijnego wioskę Witrzno, która dobrze robi to nazwisko zasłużyła, pod Duklą, leży bowiem nad rzeką Jasiołką, na górskim pograniczu, pod Duklą, a wiatry, grady, burze i pioruny, w zimie zaś zawieje, (czasem nawiedzają tam a) należą do jej cech charakterystycznych. — Seweryn Chudowski trzymał, o ile wiem w dzierżawie, dziś skarbowy majątek ziemski „Hátvan" na Węgrzech, prowadził gospodarstwo na wielką skalę, i zebrał już taki kapitał, iż zamiar miał Hatvan kupić na własność. Było to w roku 1811, po nieszczęśliwej kampanii Austryi z Napoleonem, kiedy państwo austryackie ogłosiło właśnie redukcyę swej waluty. Dziad Seweryn miał wówczas w banknotach gotowe pieniądze, nadeszło bankructwo państwa, wartość banknotów o dwie trzecie się zmniejszyła, o kupnie Hatwanu więc mowy już być nie mogło. [illegible] stał się jakiś fundusz na wyposażenie dwóch córek i — Witrzno, w czasach pańszczyźnianych, wcale dobra wioska.

Dobra,

Matka Dąbrowska

[illegible]

Do str. 1.

T. Nadto inna zdarzyła się klęska. Kucharz w Witrzenie dostał pomieszania zmysłów w czasie nieobecności pana Seweryna w domu i gospodarował w polu dnia gospodarskie budynki; widząc raz że pożar niszczy brzoskwiniowe drzewka rozpięte pod murem, które ze szczególną pielęgnował starannością, podrzucił soli na miejscu gdzie to było. Wówczas jeszcze asekuracyi od ognia u nas nie znano, a pożar ten ogromne wyrządził straty.

P. Seweryn wstawał rano, wychodził na ganek odmawiając pacierze, najczęściej z twarzą omydloną i brzytwą w ręku, bo się golił na pamięć, bez lusterka – a od czasu do czasu przerywał modlitwę i goleniu wołając ku stajni „Jasiek zaprzęgaj" – „Wojtek do ogrodu" lub inne gospodarskie dając rozkazy. – Przy wszystkiem na owe czasy bardzo postępowym, nadzwyczaj dbającym o wychowanie dzieci, przedsiębiorczym, a w Witrzenie zaprowadził ład i porządek.

F Dwie córki państwa Amila i Seweryna doczekały się bardzo oryginalnych losów. W ucieczce rodziców z Warszawy zgubiły się gdzieś w polu jako małe dziewczątka, a nie mogąc znaleźć rodziców dostały się z powrotem do Warszawy i poszły do pp. Dobków, do przyjaciół pp. Adamów, którym ci powstańcy opieki nad drukarnią i podobno kamienicą będącą ich własnością. – W ten sposób rozłączyły się panienki z rodzicami, zostały już w Warszawie i wychowywały się u Dobków, którzy bardzo byli dla nich serdeczni, dając im wszystko co miały. Wiedząc jednak Kasia się odnalazła i panienki zawsze wspominały później panie, starsza poszła za Kasztelana Leona Dembowskiego a druga ze jego synem Edwarda. – Kasztelana jako wielkiego już starca widziałem raz później w Warszawie, zostawił on pamiętniki, które w tej chwili (r. 1898) drukowane są w Dzienniku. Edward wielki patryota, rzeczny agitator roku 1846. patryota, który rządom rosyjskiemu i austryackiemu zawsze się z tych wymykał taki był zręczny. – Stary wdowa Eichmüller w Dukli opowiadała mojej siostrze, że jako młody urzędnik austryacki miał w areszcie przez kilka dni politycznego więźnia, który mu uciekł. Dopiero później dowiedział się Eichmüller że to był Edward Dembowski. Edward zginął pod Podgórzem, a patryotyczna publiczność polska nie chciała przez długi czas wierzyć jego śmierci sądząc że tak zręczny emisaryusz rozgłosił tylko o sobie że zginął, ale że żyje i dalej prowadzi agitacye.

Do str. 2. T. – Ciężko zachorowawszy zrobiła pani Walentowa testament zapisując męża swoi swój cały majątek, własność Zieleńską w Lambrowskiem, gdy się jej polepszyło Walenty zadarł testament w jej oczach podarł i spalił. Na zajutrz żona umarła. –

Do str. 3. H. Dwie córki państwa Sewerynów: Malwina i Marya otrzymały bardzo staranne wychowanie, pan Seweryn wysłał je – co wówczas było rzeczą niezwyczajnem – na pensyę do Szczurowa, gdzie Malwina oprócz wszystkich nauk uczyła się grać na fortepianie i szczególnie

Poszła ona potem za mąż za Komorowskiego (rodzaj rezydenta p. Pomerańskiego w Dukli i miała z nim dwoje dzieci Konstantego i Leontynę, później wdową po Wróblowym w Dukli. Po śmierci Malwiny ożenił się Komorowski z drugą młodszą siostrą Marya i miał z nią syna Justyna bardzo otwartego, pół waryata. Marya wyszła za

Tz. wdowa Pomerańskiego po śmierci męża mieszkała w Dukli i miała rodzaj literackiego salonu w którym Bielowski, Zygmunt Kaczkowski częstymi bywali gośćmi. Mówiono że Zygmunt starał się o rękę Leonci, ale pewnego o tym nic nie wiem. Głośną jednak była swego czasu stosunek miłosny Zygmunta z piękną właścicielką Hotelu George'a, panią Hoffmanową. Pani Hoffmanowa była jedną z najpiękniejszych kobiet we Lwowie, wysoka pełna uczucia a p. Zygmunt najczęściej przedał jej Taski. Później nawet p. Zygmunt trochę ze dwie opowiadał o tym stosunku

i panią Hoffmanową bardzo kompromitował. — Gomerasińska była bardzo wykształcona, czytała dużo i ciągle pisywała do dzienników. Wydawszy pensyjkę za radą namiestnictwa [illegible], a chcąc zapewnić swemu Justynowi, który się do żadnego zajęcia nie aplikował, jaką taką przyszłość, wzięła wieś Równe koło Wietrzna od przemyskiego biskupa w dzierżawę i z roku na rok dobrze gospodarowała. Umarła tam ona w r. 1861, a po niej mój ojciec Równe zadzierżawił, zapłaciwszy Justynowi Gomerasińskiemu, niezdolnemu do gospodarstwa, jakieś odstępne.

¶. Zanim poznaniem się z moją matką miał się mój ojciec żenić z panną Zygmuntówną, bardzo bogatą dziedziczką dużego majątku Zręcin o dobrą milę od Wietrzna. W Rogojskich w Żarnach poznał jednak moją matkę, siostrę pani Rogojskiej, zakochał się w niej, a ponieważ i matka moja mając tylko wtedy [illegible] z nią się ożenił. Panna Zygmuntówna poszła później za Karola Kłobassę z Zręcina, protoplastę dzisiejszej rodziny, która na nowo zrobiła majątek. — Rogojski miał siostrę Ludwikę, o której później wspomnę, poszła ona za hr. Mira z Żarnowca. Mój ojciec był drużbą na jej ślubie, a w drodze do ołtarza powiedziała mu panna młoda: i uklęknij pan zamiast Tytusa (Mira) — to pana zaraz [illegible]. Bo [illegible] to oświadczenie się było już za późne.

Do str. 5 #

Jakoś w drugim czy trzecim roku po ślubie przeprowadzili się moi rodzice z Łabatówki do Nowotańca w Sanockiem, większego już majątku, który mój ojciec zadzierżawił od Gorzeńskiego ożenionego z hr. Ossolińską. — Gorzeńscy byli wówczas jeszcze bliscy swego [illegible] [illegible] dzierżawy, w mojej pamięci została też pani Gorzeńska bardzo do [illegible] podobna.

¶ W smutnym roku 1846. Walenty mieszkał w Wietrznem, a na kilka dni przed wybuchem rzezi otrzymał własnoręczny list od przyjaciela swego Wacława Zaleskiego, radcy namiestnictwa, późniejszego namiestnika Galicji (w r. 1849), aby czem prędzej wyjeżdżał z wsi do dworu za kilka dni [illegible] wybuchnie chłopska rewolucja. List ten do niedawna był w posiadaniu mojej siostry, ale niestety zaginął. — Walenty czem prędzej się wybrał w podróż i do [illegible] stolicy, wyjeżdżając zaś z Wietrzna posłał zaufanego włościanina Mikołaja do mojego ojca, do Nowotańca, aby przestrzegł przed niebezpieczeństwem. Mikołaj przyniósł jednak już za późno, gromady obcych chłopów krążyły już w okolicy, rabując i mordując. Chłopi jednak sami z Nowotańca, dla których ojciec mój był sprawiedliwym i łaskawym, przyszli do dworu powiedzieć, że [illegible] uprzedzić obcych „cenniarzy”, przyszli do dworu powiedzieć, że [illegible] mojemu ojcu się nic złego nie stanie, i [illegible], aby [illegible] na wóz, i go odwiozą do Sanoka, do cyrkułu. W ten sposób panu się nic nie stanie, a pani z dziećmi niech w domu pozostanie, ale gromada obroni ją przed obcymi chłopami. Tak się też stało, ojca, o ile pamiętam, chłopi związali, bo wszystkich panów wiązano i zawieźli do cyrkułu, a matka w domu została. W ten sposób wyniesiono z rabacji obronną ręką, a chłopi przepraszali się tylko do pokojów, wypili kilka butelek wina które znaleźli, i jeden z nich dziubnął tylko nożem kosę portret niebożej swatki. Obrazy te dopiero w ostatnich czasach zabłąkano przy [illegible] portretu. Do str. 6

Tutaj wspomnieć muszę o Justynie Gorczyńskiej, która także należała niejako do rodziny wietrzeńskiej. Ojciec jej, nie pamiętam już jakiego nazwiska był, rodzajem rezydenta u Sawczyńskiej Chłędowskich, mieszkającej w dwóch pokojach na folwarku.

Ani dziadka, ani babki nie znałem, ~~ale~~ o ostatniej tylko z portretu Maszkowskiego wyrobiłem sobie wyobrażenie. Łagodna staruszka, w białym czepeczku z fioletowemi wstążkami, odziana czarną tybetową suknią, oparta na szkatułce. Ręce widomie miała bardzo piękne, bo je Maszkowski zrobił z wielkiem upodobaniem i tak artystycznie, żeby mu tego malowidła każdy głośny mistrz mógł pozazdrościć. –

Marya i Malwina w zakładzie u Brzezin[?]

Państwo Lewoczowie mieli trzech synów i dwie córki. Najstarszy Adam mieszkał jakiś czas we Lwowie, bawił się w literaturę, wydawał wspólnie z Dzierzkowskim Pamiętnik Lwowski ~~Czasopisma~~ [illegible], później przeniósł się do Warszawy, założył Gazetę Literacką (~~[illegible]~~) i drukarnię, ożenił się z Cecylią Narbuttówną i mieszkał tam, aż do rewolucyi z r. 1831. Po rewolucyi [illegible] wyemigrował z żoną i dziesięcioletnim synem do Paryża, otworzył tam księgarnię i syna wychowywał. Syn Ludwik uczęszczał na szkołę politechniczną, ładnie grał na fortepianie, a nawet komponował, zgrabnie tańczył, a ~~[illegible]~~ przystojny chłopak, lubiany był w towarzystwach. Zapraszała go nawet księżna Berry, a na jej dworze poznał się z młodą dziewczyną, z Brabantką Oberkoffer, pół Niemką, pół Francuzką, którą się księżna opiekowała. Panna Oberkoffer miała ~~[illegible]~~ spory posag, wyspę Oberwerth pod Koblencją i była pełnoletnią. Młodzi ludzie się pokochali, a ponieważ mało było podobieństwa do prawdy, aby księżna Berry zezwoliła na małżeństwo swej wychowanki z synem niezamożnego emigranta polskiego, więc Ludwik wykradł pannę, mając zaledwie dwa luidory w kieszeni, zawiózł ją do Koblencyi, gdzie znajomy ksiądz dał ślub młodej parze. – Oberwerth stał się z czasem siedzibą polskich emigrantów, starzy państwo Adamowie bowiem później tam zamieszkali przy dzieciach i wpływali na to, aby wnuki na Polaków wyrosły. Co prawda, to im się to nie bardzo udało, najstarszy wnuk Ludwik, który rósł jeszcze ~~[illegible]~~ za życia dziadka, nauczył się po polsku i całe życie radby był Polakiem, ale nie widział, jak się do tego zabrać, ale młodszy Kazimierz, oddany do austryackiego wojska, zniemczył się zupełnie, a ~~nawet, [illegible]~~ ~~[illegible] Polaków~~. – Córka państwa Ludwików, Leontyna została starą panną, i włóczy się ciągle po świecie, najwięcej zaś przebywa w rozmaitych przytułkach w Anglii. – O odłamie tym mojej rodziny przyjdzie mi jeszcze nieraz mówić.

Drugi syn Lewoczów, Walenty, osiadł we Wietrznem, ale mieszkał często także przez czas we Lwowie, bardzo wykształcony, brał udział w rozbudzającym się ruchu literackim w Galicyi, pisał spory o dodatku modnej wówczas filozofii, komponował ładne poezye, tłumaczył niektóre wiersze Szyllera, wydawał po wyjeździe [illegible] do Warszawy Pamiętnik Lwowski i Szczutka[?] ~~[illegible]~~ Haliczanina, czasopismo, które w dwóch tylko wyszło tomach, o bardzo poważnym literackim zakroju. Walenty ożenił się z panną Tchórznicką z Samborskiego, która jednak po roku małżeńskiego pożycia umarła, nie zostawiwszy potomstwa. Osiadłszy we Wietrznem miał długoletni romans z sąsiadką panią Mazurówną z Gorayca, bardzo piękną i wytwornego umysłu kobietą. Nazywał on ją „Kumą", a „Listy do mojej Kumy", niestety zniszczone, ~~[illegible]~~ byłyby może po nim najpiękniejszą literacką spuścizną.

Pamiętam jeszcze całe stosy jej listów, w kolorowe wstążeczki powiązywanych, mnóstwo zasuszonych kwiatów, haftowanych pugilaresów i rozmaitych innych drobnostek, świadczących, że Walenty chociaż nie należał do wybitnych wolterianów ówczesnego obozu romantyków, przecież w praktyce bardzo romantycznego był usposobienia. – W ostatnich latach życia był Walenty bardzo schorowanym, zwłaszcza musiał się poddać operacji wyjmowania części czaszki, którą zastąpiono srebrną wkładką. Nosił też aksamitną jedwabną czapeczkę, którą widać na dwóch istniejących jego portretach. #

Malwina umarła, Kostusia i Leon

~~Z dwóch córek Seweryna jedna wcześnie umarła, druga poszła za mąż za „Komorowska" (rodzaj rozjuta) p. Pomarańskiego~~, w ~~Dukli~~. Ów Komarnicki, wysoki, szczupły, o piszczącym głosie, zostawił w mej pamięci bardzo nieprzyjemne wrażenie. ~~Żona~~ Druga jego żona, moja ciotka, poszła w ślady ~~dwóch~~ starszych braci i – powalała sobie także palce w atramencie. Napisała nudną, trzytomową powieść „Gertruda Komorowska", dość nawet równie uczoną, ~~bardzo ceniona~~ była współpracownicą kilku czasopism we Lwowie wychodzących, a powieść „Czarne jezioro" ~~[illegible]~~ jej także jest jej pióra. – Po śmierci męża mieszkała we Lwowie, a pamiętam ją zawsze bardzo staranną, trochę może za młodociano ubraną. ~~[illegible] matki mojej [illegible]~~.

Ojciec mój chodził do szkół w Przemyślu, ukończył tam „filozofię", a chociaż nie dorównywał wykształceniem starszym swym braciom, przecież miał dużo rozsądku, mocy i bardzo otwartą głowę. Pisał ~~bardzo~~ ładnie, a listy jego do mnie, do szkół pisane, wysłane były barwne, a przecież pełne prostoty, jędrne, i dobrze oddające jego charakter ~~[illegible]~~. W ogóle ojciec mój uchodził za bardzo dowcipnego, chociaż o trochę staroświeckim dowcipie. W okolicy krążyły jego udatne rymy okolicznościowe, mazurki i krakowiaki, w których niejeden z sąsiadów ~~[illegible]~~ wyczytał swoje śmiesznostki. Słynął z humoru i był w swych młodszych czasach ulubieńcem kobiet. – Co do samego pisma, dziwna rzecz, jak ~~[illegible]~~ charakter pisma dziedziczył się w naszej rodzinie ~~[illegible]~~ przez trzy generacje. Dziad mój Seweryn, synowie jego, tak Adam, który wcześnie wyszedł z domu, jak Walenty i mój ojciec tudzież podobnie do siebie pisali, tak, że o listach mego dziada i ojca można było sądzić, że je ta sama pisała osoba. Ja także przez długie lata miałem pismo zupełnie podobne do pisma ojcowskiego, i dopiero stalowe pióra i szybkie pisanie trochę mi charakter pisma odmieniły.

~~Od~~ W rodzicielskim domu był mój ojciec, jak wspomniałem, Benjaminkiem i rozpieszczonym dzieckiem, rozwinęła się w nim przeto z czasem samowola i ~~[illegible]~~ skłonność do despotyzmu, która w późniejszym wieku przybrała takie rozmiary, iż śmiało powiedzieć mogę, że w życiu nie spotkałem drugiego tak despotycznego charakteru, jak mój ojciec. – Gdy później zdrowie mu nie dopisywało, i posępna tęsknota, niechęć do ludzi, podejrzliwość się wyrobiły – stał się postrachem domowników, a ołowiana jego ręka ciężyła nad całą rodziną. – Zdawało się, że mucha nie może przelecieć w pokoju, bez jego pozwolenia, zdawało się, że powietrza nie ma w domu do oddechu.

~~[illegible]~~ i [illegible], [illegible] mieszkać i

[illegible] tam [illegible] [illegible]

Matka moja, Michalina z Mirosławskich, pochodziła z rodziny w Lubelskiem osia-dłej, a straciwszy wcześnie rodziców, oddana była na pensyę, a następnie jako dorastająca panna bawiła w Dubli, w Jarosławiu, u zamężnej siostry swojej Rogojskiej. Ci Mirosławscy szczycili się, że pochodzą z tej samej co linii wojewody Mirosławskiego z Litwy, o którym Mickiewicz w Panu Tadeuszu powiada: „Mirosławski wojewoda stary – co ma najlepsze na świecie ogary". Ja w to zresztą nie wierzę, bo przecież by mi się po tych dziadach dostała jakaś żyłka myśliwska i byłbym lubił polowanie. Tymczasem na moim sumieniu mam tylko kilka przepiórek i wróbli, przypadkowo zabitych i z tej mocy zające. – To w każdym razie za mało, na potomka najsłynniejszego na świecie myśliwego.

Matka moja była ostrą, wysoka, szczupła, niepospolitej urody, to też miała zaraz przy wstępie w świat licznych konkurentów. Pomiędzy nimi był i Seweryn Smarzewski, dalszy jej kuzyn, późniejszy słynny poeta i mówca w wiedeńskiej Radzie Państwa. Została mi nawet w pamięci anegdotka, że raz w Jarosławiu moja matka z drugą jakąś panną pływały łódką po stawie, gdy łódka się wywróciła i panny wpadły, szczęściem do płytkiej wody. Stojący na brzegu Smarzewski bez namysłu rzucił się, aby panny ratować; mój ojciec przypatrujący się także tej scenie, wbrew [illegible] nie myślał wskakiwać do stawu, tylko pozostał na brzegu. – Mimo tego braku galanteryi matka moja wybrała go za męża – podobał się jej bardziej od innych.

Wychowywanie się w obcym domu, wśród [illegible] mniej więcej dla niej obojętnych, wyrobiła w matce mojej nadzwyczajną wielką hart ducha, wiele siły woli, umiejętność zamknięcia się w sobie, jeżeli tego potrzeba, nadzwyczajną odporność w obec wszelkich przeciwności życia. [illegible] zdrowa natura, zdrowa fizycznie i moralnie. (Żadnej dziwaczności, żadnej przesady w jakimkolwiek bądź kierunku, nawet w religijnym, (pomimo iż szczerze jest religijną), że pomimo iż matka moja [illegible] w [illegible] devotek katolickich. Dziwnej jeszcze – gdy to piszę, ma lat 78 – zachowała najrzetelniejszą niezależność umysłu, i drwi sobie z przyjaciółek, które całemi godzinami wysiadują w kościelnych ławkach, które w [illegible] całują i codziennem komunikowaniem się nudzą Pana Boga. – Bardzo zdolna, umysłu wrażliwego i obserwacyjnego, dużo imaginacyi, nadzwyczajnej łatwości pisania, próbowała się moja matka w młodszych czasach w pisaniu poezyi, z których „Cmentarz powązkowski" jako całość został mi w pamięci, ale reszty tych poezyj, które niewątpliwie były wcale dobre, gdyby się jej ukrywaniu starannie przed mężem, którego niewątpliwie by nie zdołała wcale [illegible] – Dziś tylko została ze swoich wszystkich poezyj – ponieważ zawsze resztę wydarła do najskrytszych komórek komody, pod bieliznę, pod [illegible]. – Styl jej wierszy, jędrny, prawie nie kobiecy, charakter pisma także piękny, równy, silny, że o listach, które dostaję do niej pisanych, wielu mi powiadało, że je pisała nie dwudziestoletnia panna, lecz kobieta. – W czasie usposobienia mojej matki nadzwyczaj dużo jest giętkości, nie poddawała się i żadne przeciwności jej nie złamały, nie powaliło, z ciężkiego życia wyszła świeża zawsze i umysłem, naprzykład w nowszym społeczeństwie. Dziś jeszcze wszystko ją zajmuje, o wszystkiem ma swój sąd, zdolna jest bawić, cieszyć się, nawet gdy tego potrzeba było walczyć jeszcze z losem.

Była drużba Mirowej
Wykonuj, ja zamierzam Tobie to zara
z [illegible] [illegible] wam
Janina Zygmuntowska
Ziglur

Już jako 78. staruszkę prosiłem ~~matkę moją~~ ją o spisanie ~~mi~~ notatki o swej rodzinie. – Oto były słowa: „Matka moja z domu Załęska urodzona w Janowie, w Janikowie[?], wyszła za mąż za Aleksandra Mierosławskiego, również jak jej dwie siostry: Justyna i Salina za tegoż dwóch braci. Ojciec mój był adwokatem w Krakowie, wkrótce potem przeniósł się do Kielc, gdzie urząd sędziego trybunału piastował. O rodzicach moich dochodziły mnie przez długie lata echa: o ojcu jako najzacniejszym i światłym urzędniku, o matce jako jednej z naszych najzgrabniejszych kobiet. Mówiła ona z wykształceniem bardzo na tamte czasy wybitnem, a do dziś dnia jej bileciki stoją mi w pamięci. Po śmierci mego ojca przeniósłszy się na wieś, do Dembian, krótkie lata swego wdowieństwa pomiędzy wychowanie dzieci a gospodarstwo dzieliła. Umarła po stłumionej rewolucji (1831), poprzednio nas w Krakowie ~~umieściwszy~~, wraz z bratem naszym Józefem, ~~umieściwszy~~ ~~gdzieś~~ na pensji ~~[illegible]~~ umieściwszy. – Smutną wieść o jej śmierci przyniósł nam zaufany sługa, a znajoma pani wzięła nas w opiekę, zanim wuj Feliks Załęski przyjechał. Oddał on dziedziczną naszą wieś Dembiany w dzierżawę, nas siostry zabrał do siebie do Rachowa, a Józefa w Krakowie, w szkołach zostawił. Wujostwo byli bardzo zamożni, Rachów składał się z miasteczka i siedmiu folwarków. Majątek był wszakże zniszczony w rewolucji, dwór Ułanami podziurawiony, więc mieszkaliśmy bardzo źle umieszczeni. W starym spichlerzu, z murami wiszącymi[?], budynku pustym ~~[illegible]~~, ~~[illegible]~~ niedrogim dali nam tymczasowe umieszczenie, a wkrótce oddali nas do Lublina na pensję, gdzie zaraz nas odznaczano dla staranniejszego wychowania i nauki. Dwojga wydatków na nas nie żałowano. – Z pensji w Lublinie mam najsmutniejsze wspomnienia. Uczyłam się wybornie, bo cudzego rozumu nigdy nie mogłam sobie przyswoić, jeszcze miałam ortografię i koncepta na podorędziu, więc i pp. profesorom i paniom guwernantkom, każdej coś przybawiłam. Serce jednak było dobre i do rozrzutności prowadziło, tak że Olesia (najstarsza siostra), komendant rodziny bardzo mnie często za to karciła. Kobiecych robót nienawidziłam, suknie w lot darłam, nieporządek w komodzie i książkach był prawdziwie żydowski, ale szczerości do ludzi miałam tyle, że jak dziś o niem pomyślę, to mi się serce rozgrzewa. – Raz mi z tąd nie zawsze odwiedzili właścicielki naszej pensji, panna Nowalska, madame, jak ją nazywaliśmy, państwo pułkownikowie Żdżitowscy[?] z Trzeszkowic. Madama kazała mi zagrać na fortepianie – pp. Żdżitowscy[?] przypatrzyli mi się, wściekali[?] i od tej chwili byli moimi najdroższymi opiekunami. Zabierali mnie do siebie, gdy siostry wzięto z pensji na świata, a jedne ostatnie wakacje u nich przepędziłam. – Tak mi tam dobrze było, tak mi dogadzali i pochlebiali, myślałam, że mnie Bóg wie co czeka! –

Tymczasem wuj Załęski Rachów sprzedał, kupił Wilczyce[?], dużą majętność, gdzie podczas żniw więcej kwiatów na ziemi pszenicy, aniżeli innej zbierano. Przepędziłam tam dwie zimy. Wujostwo byli ludzie z najlepszemi manierami, delikat~~ni~~, wyższego świata, nigdy wobec mnie najmniejszej niedelikatności nie popełnili. Ale zimni, egoiści, nie turbowali się o moje zdrowie, o moje potrzeby, oddali to, co mi się należało z dochodów z Dembian, zawieźli w towarzystwo i na parę bali;

Kazimierz Chłędowski

odesłali do Galicyi, siostrę naprzód, a mnie następnie, i takie mam po nich wspomnienie jak po zupie pomidorowej, której nie wiem czy lubię, czy nie.. Bez busoli, oparta na własnym rozumie musiałam się wyrabiać, nie widząc żadnego przykładu, z edukacyą religijną, z morałami pensyonarskiemi naszpikowana, z bardzo gorącemi uczuciami, idealizując pamięć matki i swoje sieroctwo przybyłam do siostry, do Lublina w Galicyi, zamężnej Rogojskiej i pierwszy skok ku niezależności zrobiłam. – Rogojscy tak byli niedobrani, taka przepaść ich rozdzielała, że chociaż sobie nie mogłam zdać sprawy z tego co ich dzieli, czułam co się w sercu siostry mojej dziać musi. Kochałam ją nadewszystko, a ból ten spowodowany zawodem jaki w małżeństwie doznała – nigdy się we mnie nie zagoił.

Walka z losem była mojem przeznaczeniem, żyłam długo w samotności serca i ludzi, cicho to życie kroplami padło, aż Bóg się zlitował w dojrzałym wieku, moje ubłogosławione dzieci, które mi całą przeszłość wykreśliły, wszystko w tysiąckroć nagrodził. – Śmierć męża jeszcze mnie w niepewności o was zostawiła, ale Bóg, w którego wierzę, w cudowny sposób ziścił moje marzenie. Dziwnej mocy mi, abym zamykając oczy, patrzyłam na was z tym samym spokojem i zaufaniem, z jakiem myśląc o was zasypiam".

Wspomnień z pierwszych lat dziecinnych mam bardzo niewiele, zatarły się one prawie zupełnie, najpierwsze sięgają może trzeciego roku życia. Oddawna mi to tylko obraz. Przed dworem, na ganku duży pies mnie powalił i stoi nade mną z otwartą paszczą, jedna chwila, a zapewne byłby rozpruł kaszkiet bez nosa. Matka nadbiegła i nos jest do dziś dnia. — Inny obraz: jadę z matką przez rzekę Jasiołkę do Wietrzna, do stryja Walentego, na święta Bożego Narodzenia. Na drugim brzegu stoi ktoś z dworu, długie debaty z naszym furmanem, lód za słaby, przejazd niebezpieczny. Co dalej, nie wiem, ale za chwilę widzę się na kolanach pięknej smutnej kobiety. Była to synowica i przyjaciółka Walentego, o której później opowiem. wspomniałem.

9

W roku 1846 umarł Walenty, a Wietrzno w spadku mojemu ojcu się dostało. Tutaj wspomnienia stają się wyraźniejsze, przedewszystkiem w pokoju, myślami widzę nad kominem Tadzyk kudłaty pies wymalowany w białe i kasztanowate płaty. Ten pies, goniący ptaka, na tle zielonych krzaków to pierwsze malowidło w mojej pamięci. Trzeba czarną ścianą zginął ten ulubieniec mojego stryja i wyleciał do Tosia nad wieczorem i potem psy go rozszarpały. Walenty kazał go nad mieszkańskim kominem uwiecznić. Istnieje on do dziś dnia.

Wietrzno było ładną szlachecką posiadłością. Rozległy dwór z wysokim staroświeckim dachem gontem pokrytym, na dziedzińcu z dużym gazonem otoczony gospodarskiemi budynkami, a z drugiej strony spory ogród, w nim stary dąb rozłożysty, na którym sroki, dzięcioły i kraski przylatywały, objadać rośliny, spory modrzew, lipy, a przedewszystkiem słodkie jabłka ogromnej wielkości, rosnące bez opieki o grubej łupinie, i rozmaitych śliwek bez liku. — Widok z ganku od ogrodu ładny: naprzeciwko dwór w Równem, na pagórku, za rzeką, na prawo w oddali góra Cergowska, największa góra w okolicy, zaposiadająca swe mi szczytami burze albo słoty, na lewo góra Rogowska, bez roślinności, obnażona, poorana od deszczów w szerokie zagony. — Góra Rogowska najbardziej przemawiała do imaginacji, tamtędy bowiem czasem wieczór „rozbijano", i przejazd drogą do Rogów prowadzący był zawsze połączony z wielkim biciem serca: a nuż kto z za krzaków z rusznicą wyskoczy. — Na tej drodze, w roku 1849 pierwszy raz zobaczyliśmy rosyjskie wojsko idące do Węgier, długie szeregi dniami ciągnące się smugi połyskujących w słońcu bagnetów, szeregi wozów albo gniadych koni, a tamtędy dolatywały do nas przeciągłe śpiewy Kozaków... U nas także zakwaterowano Czerkiesów, oczywiście popłoch był wielki we dworze, ale trwoga skończyła się tylko na tem, że żołnierze bez pytania zabili najpiękniejszą czarną krowę ze stajni. „Turek" z ogromnemi wąsami wziął mnie na kolana, bawił się ze mną, a jego ta złocista odzież bardzo mi się podobała. —

Po stryju mnóstwo pozostało książek, niemieckich dzieł filozoficznych, czasopism polskich i niemieckich. Kant, Schlegel, Hegel, Schubert to nazwiska które prawie na każdej półce spotykałem.

papierowy
jróżek [illegible] Tolar
w papierkach

Szafy pełne były rękopisów, gazet, zeszytów z notatkami świadczących o moralnych Walentego studjach. Najbardziej mnie uderzała później księga o dwu grubych tomach „Das Schweigen“, zastanawiałem się nieraz jak można o samotności tak dużo napisać. ~~[illegible]~~!

Do sukcesji po Walentym należała panna Józefa, dożywotniczka, daleka jakaś nasza krewna, która Walentemu prowadziła kiedyś gospodarstwo. Oczywiście teraz ona była niezadowolona i z niej byli niezadowoleni, bo dużo potrzebowała. Pamięć jej tak nie służyła, że im bliżej pięćdziesiątki tem wyraźniejsze dostawała zajączki, aż raz w kanikułę rzuciła się do studni w ogrodzie, ale do płytkiej studni, tak że nic sobie złego nie zrobiła. Następnie jak Ofelia ubrała się w kwiaty, umaiła sobie łóżko i prawiła zawsze o stryju Walentym, co mego ojca bardzo gniewało. Jedynymi jej przyjaciółmi były koty, z którymi się zamykała w swoim pokoju i chodziła całe ich rodziny.

Przyjacielem domu, i człowiekiem który może wówczas jeszcze największy wpływ miał na mojego ojca, był ksiądz Wojciech Filar, nasz proboszcz, mieszkający w Dobrce, bo modrzewiowy, staroświecki kościółek w Leśniowie był tylko filialnym kościołem. – Ksiądz Filar wysoki, szczupły, sympatyczny był synem włościanina, z Klimkówki, a przedewszystkiem z Harowa, z których wówczas pochodziło księży. Bardzo ubogich rodziców o głodzie i chłodzie przeszedł przez szkoły i z lubością opowiadał, jak raz jako mały student wlazł z głodu na cudzą jabłoń, przez mur ogrodzoną, i jak go pies właściciela uchwycił za spodnie i nie chciał wypuścić. – Dwóch tylko znałem w życiu księży prostaczków, pełnych wiary, bez najmniejszej przymieszki hypokryzji; jednym był ks. Filar, drugim proboszcz w Dukowi, w gubernii Płockiej, w Wiślicy, o którym później opowiem. Oczywiście był ks. Filar mało wykształcony, ale rozsądny, dobry, zacny człowiek, umoralniający lud własnym dobrym przykładem, pomagający mu czem się dało, a przedewszystkiem zdrową radą. Za dawniejszych czasów było takich więcej... Oczywiście większość duchowieństwa jak zawsze składała się z rozumnych, zręcznych hipokrytów, jak później był proboszcz Dobrucki ks. Szałaj, lub proboszcz z sąsiedniej Wrocanki, ks. Molicki. – Ten ostatni należał także do przyjaciół mojego ojca: wesoły, towarzyski stary, trochę birbant, ale przyjemny i dowcipny, właściciel doskonałej piwnicy. Wiśniówki, malinówki, miody i owoce z ogrodu księdza Molickiego słynęły na całą okolicę, a wesoły proboszcz jeździł od odpustu na odpust, od dworu do dworu i jako znawca piwnicy, rozstrzygał kwestye, które z podanych mu win najlepsze, które warte kupić, a którego do ust przyłożyć nie się godzi. – Ks. Szałaj, pasibrzuch, przyjaciel Tadeusza Dzieduszyckiego, ale umiejący jakoś w cichości załatwiać swe miłosne sprawy, nie dużo mówił, ale lubił grać w karty, i w gospodarskich rzeczach doświadczony dobry nieraz dał radę. – Za najciekawszego zawsze się uchodził ze sąsiednich księży, był proboszcz z Równego, ksiądz Czyżki, blisko stuletni już starzec, który nie pozwalał we wsi, aby dwa ciężkie miały jedno i to samo imię. Gdy mu więc zabrakło utartych imion, dawał dzieciom przy chrzcie najdziwaczniejsze imiona jakie znalazł w kalendarzu, a do dziś w Równem chodzą Anatolie, Hildegardy, Serafiny, Gorcinkule itd.

Najbliższymi sąsiadami moich rodziców, z którymi najczęściej żyli, byli pp. Tracewscy w Równem, za wodą, za Jasiołką. – Tracewski, z zakonnicami, trzymał Równe w dzierżawie od przemyskiego biskupa. Dzielny, energiczny bardzo był sympatycznym człowiekiem, ona zaś, mniej wyraźnego charakteru prawie zupełnie się w mojej pamięci zatarła. Wiem tylko, że jej na imię było Leokadja, bo na jej patronkę bywał zawsze bal na imieniny w Równem. Osobliwie jakiś transparent w oknie jadalnego pokoju umyślony, z napisem „Niech żyje Leokadja" bardzo mnie zachwycił. Ot, mimo, że w zimie, z Równego, do dworu wietrzneńskiego nie było dalej, jak kwadrans drogi, jednak często nie można było wieczór powrócić do domu, i dwa a nawet kilka dni trzeba było się w Równem nocować. Okolica to rozpoznaje...

Siostra pani Tracewskiej zamężną była za innym naszym sąsiadem p. Dobrowolskim w Chorkówce, oryginałem, wielkim smakoszem, który każdego kucharza „dozem" nazywał. Dobrowscy mieli dwoje dzieci: Helenka starsza, późniejsza pani Ulanowa, i Władzio, mój rówieśnik i najulubieńszy towarzysz lat dziecinnych, z czasem wyborny gospodarz, późniejszy właściciel Żarnowca i Długiego w Jasielskiem. – Do trochę dalszych sąsiadów, z którymi jednak bardzo ściśle nas łączyły stosunki należeli p. Mirowie z Żarnowca. On był, major w wojsku austrjackim, otyły, jak beczka, jaceczonek, wiecznie trzymał w ustach fajkę na półtora metra przynajmniej długim cybuchu, o ogromnym bursztynie. Ona, Rogojska z domu, niska, czarna, wcale przystojna brunetka, bardzo dowcipna, bardzo miła w towarzystwie, dzielnego charakteru i w ogóle bardzo wykształcona, zawsze z nadzwyczajną starannością ubrana, mieszająca często francuszczyznę do rozmowy, niepospolita kobieta. Była ona siostrą szwagra mojej matki Leandra Rogojskiego z Łęk, ożenionego z Aleksandrą Mirosławską, starszą siostrą mojej matki.

Mirowie mieli jedynaczkę córkę o dwa lata starszą ode mnie, moją mleczną siostrę, karmiła nas bowiem włościanka z Żarnowca, piękna, wysoka kobieta, która się dziewięćdziesięciu lat doczekała. – Owa Kasyna Mirówna słynęła na całą okolicę z urody, zawracała głowy młodzieży. Józef Szujski, historyk, w niej się kochał, ale bardzo nisko i bardzo smutno skończyła, o czem później opowiem. – Rogojski i Mir, szwagrowie, weseli towarzysze, wszystko wiązało ich jak w jedno, a apteczki ich domowe, zawierały cały zestaw najrozmaitszych wódek. Dziś zaczynał się u nich i kończył obyczaj polski szlachecki. – Ponieważ Rogojscy o kilka mil od nas mieszkali, więc rzadziej tam jeździliśmy, a gdyśmy pojechali, to już na kilka dni. Zwykle matka tylko ze mną do ciotki jeździła, mój ojciec bowiem jej nie lubił i ona oczywiście odwzajemniała mu się podobnem uczuciem. Dla mnie była jazda do Łęk wielkiem szczęściem; kilkoro dzieci, piękne konie, duży ogród i wszyscy Rogojscy ubrani po polsku, co było nadzwyczajnością w owych czasach. W salonie był szereg kolorowych obrazków przedstawiających typy ludowe z różnych okolic dawnej Polski, które stawały się dla mnie źródłem etnograficznych studjów. – Henryk Kieżkowski obywatel z Lanckorony nosił się podobnie jak Rogojski po polsku a gdy się raz obydwa zjechali w Krośnie na jarmarku powstała tam niewielka kwestja

ad str. 7

F Mdes umarł dość wcześnie, pozostawił siostrę w najgorszym stanie, a Lubina nie chcąc być zawadą córce i zięciowi pojechała do Kielc, gdzie miała brata, zdała egzamin na nauczycielkę i ateś lata utrzymywała się z dawania lekcyj. A miała już wtedy przeszło lat czterdzieści. Później miała jakiś uratowany kapitalik z którego z wielką oszczędnością żyła w Jaśle.

do str. 8

Φ ~~[illegible]~~ Bo pojmiemy nawet radził się najmniejszej doktorów, ale tylko gdy już można było pośpieszyć, a zawołany go do chorego dziecka, pogładził się po dziecku, powiedział do Tamary poloneczny „ta dziecka jest pijana" i poszedł..

do str. 10

Nasto gdy moi rodzice wyjechali w roku 1848 do Lwowa nie mało do majątkowej ruiny przyczynili się emigranci, których ojciec przygarnął do siebie i we Wróblewicach, na gospodarstwie pozostawił. Był to tam Ciesielski, który później wyjechał, zdaje mi się do Australii, był Źrzitowiecki z Kostelką i jeszcze kilku innych, a ci panowie nic nie robili tylko jedli i pili, gospodarując jak we własnym domu i niszcząc wszystko jak szarańcza. Gdy po kilku miesiącach rodzice wrócili ze Lwowa [illegible] gospodarstwo przejechali; bo za kilka tygodni kamień na kamieniu nie byłby tylko pozostał. Ta plaga emigracyjna nie jednemu z obywateli strasznie dać się dała. Panowie ci emigranci, którzy zawsze około ojczyzny więcej byli jak wszyscy uważali że oto [illegible] narodowy, aby ich zbytkowi utrzymywać. Bo wielkiej ojczyzny [illegible], rozporządzane [illegible] wojowali patriotycznemi hasłami, pili, jedli, bałamucili po [illegible] — i wykłócali się na najzupełniejszych niepowodzeniach.. Z ojca naszego pozostało mi w pamięci powiedzenie któregoś z [illegible] emigrantów, „Dla braci ~~który wasiłał~~ swarca nie ma", które ci panowie ciągle potem gadali. „Swarcem" nazywano jakiś gatunek ówczesnego tytoniu, otóż ilekroć im zabrakło, czy pieniędzy, czy bielizny, czy nawet tytoniu zawsze się zwracali do mojego ojca z dowcipnem wielkim powiedzeniem „Dla braci swarca nie ma". —

Q Który z Walentym w wielkiej żył przyjaźni

do str. 20

Q Matka moja scharakteryzowała V w następującym wierszyku:

Jak ~~kot~~ kret czarny, jak chart marny,
Jak osa kłóje, dzieci adoruje;
Słowem cała ta bryda,
Ma postać wiernego żyda.

który z nich lepszym jest Polakiem. – Doszło dość trudno do porozumienia, a że mój ojciec nie lubił ~~[illegible]~~ Kleinkowskiego, a podejrzewał go, że nie nosi na spodniach po ... skórzanego paska, ale niemieckie szelki, więc postawił warunek, aby obydwóch rozebrać; a pokaże się, który sprawiedliwie po polsku ubrany. Rozebrano więc delinkwentów, i Rogójski okazał się sprawiedliwszym Polakiem, bo miał skórzany pasek pod żupanem, a ~~[illegible]~~ Kleinkowski ku wielkiej zabawie zgromadzonych towarzyszy ~~[illegible]~~ nosił polskie, szerokie szarawary zawieszone na szelkach.

Z pobliskiego miasteczka, z Dukli, przyjeżdżali czasem do nas na „preferansa", a czasem i „diabełka" pocztmistrz tamtejszy Lange i lekarz wszystkich Dr Łazzi, zwykle Łazgim zwany. Lange był miłym, jak na pocztmistrza wcale sympatycznym staruszkiem, za to pani Langowa ordynarna krzykliwa baba rzadko do nas przyjeżdżała, bo matka moja była z nią tylko na ceremonialnej stopie. Łazi, wesoły towarzysz, pił ~~jak gąbka~~ za pięciu, grał jak szuler, ale jako lekarz bardzo był ceniony w okolicy, a że mój ojciec miał słabość do lekarzy, i często zaniemagał, więc dukielski doktor stał się prawie przyjacielem domu. Później umarł on na delirium tremens w Przemyślu. Ta drużka jest pijana

W owych czasach nie było zjazdu, nie było imienin lub odpustu bez pijatyki, smutne dawne tradycye jeszcze się dochowywały. U nas przedewszystkiem dzień św. Michała był takim dniem uroczystym, który mi zawsze bardzo miłe pozostawiał wspomnienie. Na św. Michał był odpust w Wietrznem i imieniny mojej matki, a ponieważ proboszcz nie mieszkał w Bóbrce, więc rodzice moi przyjmowali księży u siebie. Nasz kucharz Jan przysyłał więc sobie jeszcze ze dwóch kucharzy z sąsiedztwa do pomocy, w sali ... domu zastawiało się stoły, a jedzenie i picie trwało od końca mszy, do rana a czasem i dłużej. Księża tylko na których wypadało odprawiać nieszpory wyrywali się z bobrzeckiego zacisza do kościoła na godzinę, o trzeciej po południu, a inni bankietowali do nocy. Część gości nocowała u nas, część jechała do proboszcza, do Bóbrki, albo do Równego, do domu. – Jak w wielu innych dworach, tak i u nas było wejście do piwnicy z winem w sieni, po dzisiejszemu mówiąc w przedpokoju, aby Boże broń nie było daleko do tej krynicy krzykliwej wesołości. – Całe baterye butelek więc z tamtąd wynoszono, a pod śpiew „zdrowia Kolatora, Kolatorki", „Księdza proboszcza", „pani gospodyni" etc. etc. coraz się bardziej mnożyły. Panie zaczęły powoli wychodzić, mężczyźni wychylali coraz to więcej kieliszków śpiewając „Bije Kuba do Jakóba..." i inne piosnki nie mające wiele sensu. Koło północy zniknął ten lub ów w ogrodzie, aby tam pod ... chwilę pokutować za zbyt ... libacye, nad ranem pełno już było po pokojach – trupów. Kto dotrzymał do rana ten stawał się bohaterem dnia. – Mój ojciec zwykle odchorowywał każdy taki odpust i musiał następnie leżeć kilka dni w łóżku. Mimo to lubił te festyny.

Od czasu do czasu przychodził do nas cioteczny brat mój ~~Józef~~ Konstanty Bomirowski, który tracił swą po ojcu odziedziczoną fortunkę – w Wiedniu. Konstanty, dorodny, zręczny i bardzo przystojny chłopak nie mało mi imponował swą elegancją, modnemi strojami, a osobliwie zwrócił nas wszystkich uwagę, gdy raz w zimie przyjechał saneczkami zaprzężonemi pysznemi białemi końmi, z furmanem wiedeńskim, ubranym w ogromną niedźwiedzią szubę. Konstanty siedział u nas tygodniami, a z postaci jego najbardziej mi utkwiła jego pariońskowa pomada. Starałem się zaraz w domu zrobić taką samą i smarzyłem jak pracujący aptekarczyk i zepsułem tyle. Ojciec i Konstanty chcąc mnie uczyć cierpliwości kazali mi kilka razy, za nagrodę siedzieć godzinę na krześle nieporuszenie i mówić mi przez ten czas nie pozwolili. Raz otrzymałem obiecaną nagrodę, ale zdaje mi się, że lepiej byliby zrobili, gdyby mnie byli przyzwyczajali do śmiałego mówienia, całe życie bowiem brak mi było śmiałości w publicznem wystąpieniu wobec większego zgromadzenia i nie raz żałowałem bardzo, że nie jestem mówcą.

W Wietrznem zacząłem się uczyć, a uczyłem się trudno i każda nauka równała się u mnie prawie fizycznemu cierpieniu. ~~Moja~~ Matka była pierwszą moją nauczycielką, a następnie przyjęto do mnie prywatnego nauczyciela, pana Wiktora, gwałtownego syna z Sędziszowa, który zdaje mi się dość miał wiadomości i dobrze uczył, ale od czasu do czasu tak się upijał, że upadał jak nieżywy i przez kilka dni swój nałóg odchorowywał. Jak ~~wszyscy~~ często nałogowi pijący był on łagodnym, spokojnym człowiekiem, po przejściu paroksyzmu wstydził się moim rodzicom pokazać, zamykał się w swoim pokoju, pogrążony w melancholicznem dumaniu. Podczas paroksyzmu starałem się w porozumieniu z matką przed ojcem ukrywać, bo lubiłem tego pana Wiktora i mimo swego nałogu uczył mnie dobrze do szkół przygotowywał. Po francusku uczyła mnie matka, a ta przebrzydła francuszczyzna najciężej mi szła do głowy. Jeszcze teraz mam w pamięci jakiś elementarz o złoto-brunatnych okładkach, nad którym nieraz rzewnie płakałem, a jedyną moją pociechą były kolorowane w nim obrazki, pomiędzy którymi najbardziej mi się podobała bardzo zielona jabłoń, z bardzo czerwonemi jabłkami. (a ile kroć dzisiaj oglądam obrazy impresjonistów, tyle razy mi się ta jabłoń przypomina) – Mimo swego porywczego charakteru nigdy mnie ojciec nie uderzył, raz tylko nie wiem już z jakiego powodu gonił za mną przez wszystkie pokoje, aby wykonać na mnie dotkliwy ~~egze~~ wyrok ~~kary~~, ale jakoś w tej pogoni gniew go minął i lekki tylko klaps, spoczął na mojej części ciała, przez niesprawiedliwe losy przeznaczonej do tego rodzaju egzekucji.

W roku 1848. ojciec mój został z kilkoma innymi obywatelami z okolicy wysłany do Rady narodowej we Lwowie, co tam robił nie wiem, ale tyle mi wiadomo, że to posłowanie wraz z ~~[illegible]~~ różnemi gospodarskiemi i ekonomicznemi klęskami sprowadziło naszą finansową ruinę. Ojciec mój zastał Wietrzno dobrze zagospodarowane, ale jak wielu innych nie umiał tylko życia po zniesieniu pańszczyzny i nie obliczył się z tem, że przez brak pańszczyzny Wietrzno z dobrej posiadłości stało się ~~[illegible]~~, skromną wioską, wymagającą tedy skromnych wydatków właściciela.

Redakcji
[illegible]

Dwa lata gradobicia, które zupełnie zbiory zniszczyło, postawiło ojca w bardzo krytycznem położeniu, musiał się zadłużyć i szukać jakiegoś zajęcia poza Wietrznem. Z samego bowiem gospodarstwa nie było już nadziei utrzymać się i długi popłacić. Od każdej pożyczki płacono wówczas nie procent, ale rujnującą lichwę, pieniądz bowiem był rzadki, a jedynymi kapitalistami Żydzi po małych miasteczkach, a ci korzystali owszem ze smutnego stanu obywateli, aby ich ze skóry obdzierać.

Zdarzyło się wówczas, że hr. Cezar Męciński, dziedzic Dukli, potrzebował rządcy do rozległych swych majętności, więc ojcu mojemu, który był znany jako wzorowy w roli gospodarz i człowiek energiczny – zaproponował swe posady. Układ przyszedł do skutku i niebawem znaleźliśmy się w Dukli, i mieszkaliśmy tuż za miastem, na tak zwanym folwarku, w długim domu, którego największą chyba ozdobą była rozłożysta lipa..

II

Dukla „gniazdo Jerzych" – a w niem klasztor Bernardynów", niegdyś siedziba Mniszchów, ~~Ossolińskich~~, Kuropatnickich, Stadnickich, przeszła po kądzieli na Męcińskich. Hr. Cezar bardzo przystojny mężczyzna, w sile wieku, był wdowcem i miał tylko syna jedynaka Adama, mego rówieśnika i przez kilka lat towarzysza zabaw dziecinnych. Jedyną zaś ozdobą więcej Dukli był pałac Męcińskich, a właściwie trzy kamienice, w wielkim podwórzu i bardzo piękny park z trzema stawami i licznemi lipowemi alejami. Wszystko to jednak leży w dole, bez widoku na szerszy świat. Natomiast na rynku rozsiadło się brzydkie, śmierdzące miasto żydowskie, które dawniej ~~[illegible]~~ słynęło handlem win węgierskich.– Moją szkołą w Dukli był mały strumyk poza domem umieszczony, ~~tam~~ nad nim bowiem najwięcej przepędzałem wolnych chwil od nauki. W zimie urządzając sobie ślizgawkę, w lecie, stawiając młynek, robiąc stawy itd. Pan Wiktora nic nie miał przeciw temu, bo każdej chwili mógł mnie widzieć przez okno.– Częstym gościem u nas był ks. Zwoliński, proboszcz miejscowy, zacny człowiek, ale jeden z tych gładkich księży, który ze wszystkimi ~~[illegible]~~ umiejąc być dobrze i wszędzie o swój stołek nie zawadzić. Na klasztor Bernardynów wprawdzie ks. Zwoliński z ukosa spoglądał, gdyż mu pieniądze za msze wydzierali; ale i on miał swoje sposoby, aby kieszeni zasilać.– Pomiędzy Bernardynami był jeden, bardzo gruby, który regularnie o dziewiątej z rana chodził do miasteczka, i ginął w pomieszkaniu kupca win węgierskich, Weinbergera. Nazywało się to, że ks. Bernardyn „chodzi na procent". Pożyczył on bowiem jakąś kwotę Weinbergerowi i wymówił sobie ~~za procent~~ w formie codziennej flaszki dobrego węgrzyna.– ~~Ks.~~ Inny Bernardyn, ks. gwardjan bywał u nas od czasu do czasu, przynosił mi przecudne jabłka w rękawie, a wesół i facecjonat w niczem nie ubliżał bernardyńskiej tradycji wesołych mnichów. Ze dwa razy tańczył u nas mazura zatoczywszy poły, ku wielkiej pociesze zgromadzenia i pięknej pani „Regimentarzowej" mającej starego męża.– Bernardyni w Dukli byli antipodami Kapucynów w Krośnie, bardzo przykładnych zakonników, którzy w całej okolicy cieszyli się wielkim poważaniem. Wszystkie panie okoliczne jeździły do ~~Berna~~ Kapucynów na wielkanocną spowiedź, Kapucyni mieli wzorowy sad, najnowsze gatunki jabłek, gruszek, rozpowszechniali dobre gatunki owoców, nasiona najlepszych jarzyn, a w czasie krośnieńskiego jarmarku

na koni, słynnego na całą wieś, krajan gościnnie przyjmowali u siebie obywatelstwo. Wielu ze szlachty na kilka dni zjeżdżało do Kopyczyniec, mój ojciec wolał mieszkać u „Hapurowej" i nie lubił zakonnej klauzury.

W siódmym roku życia ważny się stał fakt, bocian przyniósł mi siostrę, jedyną moją siostrę, której zawdzięczam dużo rodzinnego szczęścia. Nie długo jednak mogłem z nią w domu zostawać, bo niebawem nadeszła smutna chwila oddania mnie do szkół. - Egzamin ze szkół niższych ludowych zdawałem w Jaśle, bo tam była „Kreishauptschule", a dyrektorem jej był chyba, stary plut, dyrektor Kocki, który ówcześnie przyjął piękne prezenty od mojego ojca. Pan Sikora, po uroczystem ubraniu i mój ojciec pojechali ze mną do Jasła, egzamin odbył się z wszelkiemi przepisanemi ceremoniami, obliczonemi tylko na to, aby w młodości, synu już wskutek osłabić nerwy delikwenta. Wobec „Kabanów" jakie mój ojciec przywiózł dla nauczycieli, zostałem zaraz Tatko i dano świadectwo uprawniające do wstępienia do gimnazjum. - Pan Sikora, powracając do Dukli upił się tak, że upadł do błota powracając do domu, i nie wiem, czy się upił z radości, że egzamin zdałem, czy ze smutku, że dom nasz musiał porzucić.

Tragiczna chwila oddania mnie do szkół publicznych zbliżała się, ojciec postanowił zawieźć mnie do Tarnowa, tam bowiem był „sąd szlachecki", forum nobilium, w którym miał ojciec dużo tak swoich interesów, jak i spraw ks. Mycielskich. Za jednym więc zachodem mógł chodzić po adwokatach i syna odwieźć.-

Ojciec miał szczególną sympatię do jednego rodzaju wehikułu, który w rodzinie nazywaliśmy „płakotrzęsią". Była to półkryta bryczka, bez resorów, dudniąca i trzęsąca w niemożliwy sposób, której się matka moja jak ognia obawiała. Buda wybita była wewnątrz drelichem w białe i niebieskie pasy, miała ogromny skórzany fartuch do zapinania, w czasie deszczu, i wnet ją była z daleka świeżo wyprawionemi skórami. Pod siedzeniem układało się skórzany wielki tłomok mieszczący pościel i suknie, boki utykało się słomą, a na wierzch kładło się materacyk tworzący siedzenie. Gdy się ruszało w drogę siedzenie ówczesne było w ten sposób bardzo wysokie, a w miarę dłuższego trwania podróży opadało coraz bardziej, na czem nie zbyt dobrze wychodziły suknie zapakowane pod spodem, wraz z pościelą.- Obok płakotrzęsi nieodstępną przyjaciółką podróży mego ojca była „bunda", rodzaj burki, płaszcza, z siwego, jasnego kosmatego „bai", podbita grubem niebieskiem suknem. Owa „bunda" z kapiszonem wystrzymywała najsilniejsze ulewy, a deszcz spływał po niej jak po słomianym dachu.
Do budy zaprzęgano trzy konie w porze, konie wytrwałe, z forszpanki, bo w pańskich koniach mój ojciec się nie lubował.- Do dalszej drogi wyprawiano naprzód trzy konie na przeprzęgi. W drodze do Tarnowa, drugi konie czekały w Ołpinach, u szwagierki pani ~~Bieleckiej~~ Białaszewskiej. -

Przyjacielem rodziny, adwokatem Walentego i mojego ojca był w Tarnowie adwokat Piotrowski bardzo poważany człowiek. Zdaje mi się wszakże że Piotrowski już wtedy interesami się nie trudnił, więc naszym doradcą został adwokat Grabowski, którego nie pamiętam inaczej, jak w długim szlafroku z tureckiej materyi, w czapce haftowanej z długim kutasem, i z fajką na śliwinowym cybuchu.- Taki adwokat równie był osobistością zaufania i doradcą klientów nawet w sprawach rodzinnych, nie tylko majątkowych. -

Za poradą tej Grabczyńskiej oddał mnie ojciec na mieszkanie do państwa K., właścicieli dużej kamienicy, w której była cukiernia. Pan K. chudy człowieczek w pence, pani K. młoda jeszcze, wcale przystojna kobieta nie trzymali zwykle ~~w domu~~ studentów na pensyi, i dopiero po raz pierwszy dwóch chłopców przyjęli do siebie, mnie i mego kolegę, także z pierwszej klasy, Salingera. – Aby mi ułatwić rozstanie zostać jeszcze mój ojciec parę dni w Tarnowie w hotelu, i chodziłem do niego na noc do hotelu Lwowskiego, którego właścicielem był żyd rudobrody, według zapewnień mego ojca bardzo porządny człowiek. Dzień rozstania był bardzo ciężkim, a nie mogąc wstrzymać się od płaczu spoglądałem za odjeżdżającą budą.

Gimnazyum było wówczas naprzeciw Bernardynów, a moja „klasa" mieściła się w ciemnawym, niskim parterowym pokoju. Powietrze w tej izbie było straszne a drzwi były tak niskie, że gdy wchodził do nich inspektor Euzebiusz Czerkawski, chudy wysoki mężczyzna musiał się pochylić, aby głową o drzewo nie zawadził. Ks. Czerkawski postrach profesorów i uczniów w całej zachodniej Galicyi, odwiedził moją klasę jakoś zaraz z początku roku szkolnego. Zapowiadano ~~p~~ jego przyjście jakby jaką elementarną klęskę, drżeliśmy przed tym strasznym człowiekiem, bicza na profesorów, bezwzględnym dla uczniów przy egzaminach, zanimeśmy go widzieli. Gdy wszedł do klasy, jakby makiem posiał, profesor zbladł, a myśmy ukradkiem z pod oka patrzeli na tego smoka w okularach. – Wydaje mi się, że nie byłem w jego obecności ~~pytany~~, i nie musiałem dowodzić za zbyt dobrze uważać się studenta, albowiem przyjęto mi prywatnego korepetytora pana S., uczonego akademika. – Ten pan S. wplątał mnie w pierwszą ~~bardzo~~ romansową historyę, jakiej się z bliska przypatrzyłem. Mój kolega Salinger, urwis pierwszej wody, pierwszy ~~na~~ spostrzegł, że pomiędzy naszym korepetytorem a panią domu, panią K. zawiązały się bliższe stosunki, bo nawet raz zastał ich w bardzo krytycznej pozycyi. Zauważył także Salinger, że ci państwo nie dość mają codziennego widywania się, ale jeszcze korespondują ze sobą, i że pani domu chowa miłosne listy w jakiejś skrytej kasetce. Lekkomyślny chłopak nie miał nic lepszego do roboty, jak wykraść listy i zanieść je do szkoły, aby je czytać z kolegami. – Jednego rana, podczas lekcyi spostrzegł profesor, że uczniowie w ławce, w której siedział Salinger coś ukradkiem czytają, przybiegł i jeden list skonfiskował. Reszta listów poszła z rąk do rąk, i zniknęła w kieszeni któregoś studenta. – Nauczyciel zamknął Salingera do kozy, list ~~[illegible]~~ stanowiący corpus delicti ~~[illegible]~~ został złożony w aktach gimnazyalnych, a cały Tarnów opowiadał sobie o romansie pani K. – Mąż biedaczek, jak zwykle mężowie, nic o całem zajściu nie wiedział, zajęty więcej gładzeniem i prasowaniem swojej peruki, aniżeli czemkolwiek innem. – Pani K. chodziło głównie o to, aby listy od studentów napowrót otrzymać i w tym miejscu użyła mojego pośrednictwa, abym je od kolegów wyprosił. Pierwsza moja dyplomatyczna misja w zupełności się udała, listy, nie czytając ich zwróciłem pani K. – za co mi taka była wdzięczna, że mnie aż do końca roku bardzo dobrze karmiła, przysmaczała ciastkami, łakociami, a kolacyę codziennie dawała poziomki ze śmietanką. –

Gorzej aniżeli w domu powodziło mi się w szkole, raz bowiem musiałem klęczeć

na stopniach katedry profesorskiej, a innym razem zamknięto mnie do karceru na całe popołudnie. Szczęściem jednak była pneumatyka z owocami najpierw, a że siedziałem w kozie w towarzystwie jeszcze kilku kolegów, więc powróciwszy pneumatyka przyrządzała nam koszyczek z owocami od spuszczonego z piętra sznurka, i w soczystych gruszkach znajdowaliśmy w tyszkolnej biedzie pocieszenie.

Na pensji odwiedzali mnie często znajomi i krewni, a najlepiej z nich pamiętam ciotecznego brata mojej matki p. Emila Niesiołowskiego, który w Tarnowskiem miał majątek ziemski i często do swej stolicy przyjeżdżał. – Ów Niesiołowski był wzorem owej próżniaczej wówczas obywatelskiej młodzieży, która pięknie się ubierała, jeździła z imienin na imieniny, z polowania na polowanie, a gdy już żadnej przyjemności zabrakło jechała do Tarnowa, do krakowskiego hotelu i tam się rozsiadywała, pijąc i bankietując. Cała zgraja żydów obsiadała tych paniczów, krążyła się jak muchy około kawałka cukru, patrząc tylko w jaki sposób by ich obedrzeć mogła. – Pierwszą osobistością którą szlachcic przyjmował przyjechawszy do miasteczka był faktor, żyd, wtajemniczony jak najbliższy krewny we wszystkie stosunki rodzinne, znający kieszeń swego klienta na wylot, gotowy na każde zawołanie, aby mu wyrobić lichwiarską pożyczkę. Bez faktora nic się nie kupowało, bez faktora nie oddało się dziecka do szkół, bez faktora nie było małżeństwa. Wszędzie i zawsze faktor chodził i pojmował swą wszystką głową, zwłaszcza który żył z pracy kilku lub kilkunastu rodzin obywatelskich. – Tarnowskie pełne było półpanków, którzy nie mogli dorównać tak wszystkim „panom" co do nazwiska i fortuny, a przecież chcieli nosić głowę wyżej od wszystkiej szlachty. Jeżeli jaki Brzozowski lub Zabłocki bywał częściej w Gumniskach" u hr. Sanguszki, albo jeżeli przypadkiem cioteczna jego siostra wyszła za hr. Dobrowolskiego, Romera, Skorupkę, Siemieńskiego lub jakiegoś innego hrabiego – to już się kazał lokajowi tytułować hrabią i wiele o sobie rozumiał. Najznakomitszymi heraldykami byli żydzi faktorzy, skoro tylko faktor zmiarkował aspiracje w tym kierunku którejś ze swych ofiar, to umiał wyzyskiwać jej słabość, nadając jej hrabski tytuł. – Dr Trzaskalowicz z Galicji nabiał „po żoni hrabia" uwieczniony w jednej z powieści Zakrzewskiego. Jedną z najbardziej wyróżniających tego rodzaju figur, przyjaciel Emila Niesiołowskiego, był Zygmunt Kostowski, późniejszy poseł do Rady Państwa i zarazem także posła do Rady Państwa zwanego „Bumby [illegible]". Zygmunt ożenił się z hrabianką Stadnicką, a że sam nie pochodził z Kormarzów i nawet jego szlachectwo było podejrzanego kalibru, więc rzucił się na heraldykę, studiował Paprockiego i Niesieckiego, na pamięć wiedział kto kogo rodzi, aby w ten sposób dać sobie pozory wielkiego familianta. Gastronomią i heraldyką zdobywał sobie stanowisko – a później jak zobaczymy i – pieniądze. – Tych po żoni hrabiów i półpanków była taki mrowie w Jarosławskiem i Brzeżańskim. Tam zarazem monopoli wzniósł hr. Wilhelm Siemieński, utrzymując bogaty, ograniczony, ale dobry i pierwszy „chic" całej okolicy. – Jak niegdyś w armii oficerowie modelowali się na wodzu swoim lub natężenie twarzy, nosząc takie same faworyty, nosząc tak samo brody jak ich wódz najwyższy, tak wszyscy Gospodarze brzeżańscy byli właściwie dobosztami Siemieńskiego, także Terlecki, Dorowski, Rusanowski itd. nosili wąsy jak Siemieński, ubierali się u tego samego krawca co Siemieński, mówili tak samo jak właściciel Chorostkowa, słowem przemieniali się powoli zupełnie w swój ideał. Ponieważ jednak Siemieńskiemu wystarczali na wszystkich [illegible], a jego wyznawcy byli albo właścicielami.

małych wioseczek, albo Sanisławcami, więc wszyscy się porodnieli, pobankrutowali a biedny Siemieński niesłusznie musiał ich mieć na sumieniu. – Siemieński ~~miał~~ zostawił całą generacyę takich rozbitków, do których należeli także owi Tederowicze, naturalnie jego synowie, ~~o których później opowiem~~.

W Tarnowie rok tylko chodziłem do gimnazyum. Romansowa historya pani K. dostała się do moich rodziców, z niechęcią byliby mnie więc drugi rok w tym domu zostawili, a nadto, co ważniejsza, sąd szlachecki przeniesiono do Nowego Sącza, a później mojego Ojca do Tarnowa musiano ustąpić. – Do drugiej więc klasy gimnazyalnej pojechałem płakotrzęsiną z ojcem do Sącza i tam zajechaliśmy do pani Kopaczkiej, do zajazdu z dużą ciemną sienią, smrodliwego jak wszystkie ówczesne zajazdy w Galicyi.

W Sączu dostałem się na pensyę do dyrektora gimnazyalnego Kruczkowskiego, gdzie bardzo byłem zadowolony. Państwo Kruczkowscy mieszkali w pierwszym gmachu gimnazyalnym, utrzymywali czterech, czy pięciu studentów, ale pomieszczenie było wygodne, a jedzenie dobre. Pani Kruczkowska, starannie utrzymująca ~~swą~~ czarną peruczkę, gdyż starszą była od męża, pochodziła z niemiecko-galicyjskiej urzędniczej rodziny, a że własnych dzieci nie miała, więc dbała o nasze zdrowie i dobre wyglądanie. Na imieniny dostawał każdy z nas wspaniały tort, a przytem korzystała pani K. z każdej sposobności, aby nam dawać owoce, pączki i ciasta – co jej sprawiało przyjemność. Pan Kruczkowski, spokojny, flegmatyczny profesor, w wolnych chwilach lubił długo spać i chodzić w szlafroku, równego był humoru i bardzo my go lubili. –

W sądeckim gimnazyum najwięcej było studentów góralskich synów. Byli to wielcy biedacy, ale zawsze weseli i prawie głodem się zadowalający. Kilku ich mieszkało w tym samym domu co my, na dole, u stróża gimnazyalnego, ~~dwóch~~ trzech z nich, których pamiętam: Krzysiak, Oświęcimski i Dąbrowski zostali księżmi. Głównem ich utrzymaniem były kartofle i suche owsiane placki, które im rodzice przywozili raz na dwa tygodnie, przyjeżdżając na targ do Sącza. „Bryndza", rodzaj pokruszonego owczego sera była już wielkim specyałem, który nie zawsze mieli w zapasie, a o jedzeniu mięsa nie było mowy. Ale razy wymknęliśmy się zejść na dół do naszych góralskich kolegów, bardzośmy z tego byli szczęśliwi, osobliwie kiedy starzy do nich przychodzili górale. – Ci górale byli stosunkowo dość wykształconymi ludźmi, ~~każdy~~ wielu z nich kończyło ośmioklasowe gimnazyum w Podolińcu, na Spiżu, gdzie studenci Kalinarsą pomiędzy sobą rozmawiali łaciną. Ojcowie więc naszych kolegów lepiej od nas mówili po łacinie, i bardzo nam swoją erudycyą imponowali. – Powietrze u stróża było tak ciężkie, iż mówiąc po studencku siekiera byłaby w niem zawisła, ale zabawa wyborna. Graliśmy czarnemi prawie z brudu kartami w jakieś gry niewinne, uczyliśmy się wspólnie, przytem jednak góralscy synowie zawsze byli górą, gdyż lepiej, więcej na serjo brali się do nauki. W wolnych od szkoły godzinach, szli oni do pustych sal szkolnych, bębnili tam na głos grekę i łacinę, a pusty korytarz rozlegał się od słów niby to klasycznej przeszłości. Ten który głośniej uczył się lekcyi, tem łatwiej nauka miała iść do głowy.

Moimi kolegami na stancyi u pp. Kruczkowskich byli: Matusiński, Szałaj i Skąpski. Ten ostatni safanduła, do niczego nie doprowadził, Szałaj, najstarszy ~~ze~~ syn ówczesnego właściciela Szczawnicy, zmyślny, sympatyczny chłopak, ale wiecznie psujący czasami humor pani Kruczkowskiej.

Maturzyński, mało inteligentny, w wielkich łaskach był u pani Dyrektorowej, gdyż rodzi-
ce jego obficie zasilali jej spiżarnię. Z tymi rodzicami tak się rzecz miała: niby to się
przyjęło, że Józio jest synem brata ks. Maturzyńskiego, kanonika ze Starego-Sącza
i pani Maturzyńskiej zarządzającej domem ks. Kanonika, ale w istocie ks. Kanonik był
autentycznym papą, który żył ze swoją bratową zupełnie po małżeńsku, i nawet
nie bardzo to przed światem ukrywał. Brat musiał być zadowolonym, że został ekono-
mem u Kanonika, mieszkał na folwarku, a żona jego wraz z księdzem kanonikiem
byli właściwym „państwem". – My, koledzy Józia bardzośmy lubili panią Kanonikową,
przedewszystkiem z tego względu, bo często przysyłała Józiowi szynki, ozory, torty i smaczne
specjały, a Józio dobry był chłopak i częstował nas całem sercem. Maturzyńscy za-
praszali nas także czasem do siebie, a w tej przychylności dla kolegów, było trochę i
polityki, abyśmy ukochanego ich Józia nie prześladowali i bronili, jak go inni
koledzy nazywać będą księżym synem. – Jednej zimy urządzili ks. Maturzyńscy kulig
do siebie, w którym także wzięliśmy udział. „Józik" i ja byliśmy przebrani za Krakowia-
ków i wielką robiliśmy „furorę". W Starym-Sączu jest starożytny klasztor Klarysek,
a zakonnice utrzymywały wówczas pensjonat dla panien i miały jakieś wyjątko-
we przywileje, że w ostatnie wtorki, od 6–8 mej wieczór wolno im było tańczyć z ucze-
nicami. Mężczyźni z zasady wprawdzie tam nie chodzili, ale wszechwładny w Sta-
rym Sączu ks. Kanonik wprowadził mnie i Józka na ten bal, i miałem zupełnie
rzadko się zdarzającą okazję tańcowania z zakonnicami. Wprowadzono nas do wiel-
kiej sklepionej sali, zapewne refektarza, honorowe miejsca zajęli goście, w jednym
kącie stało nieśmiało kilkadziesiąt pensjonarek, a w drugim zasiadła, chuda czar-
na włoszka, nauczycielka, do starego klawicymbału brzęczącego jak ~~stado~~ rój komarów.
Przedewszystkiem podano nam kawę, pp. Kanonikostwo dostali zapewne dobrą, nam
młodym i pensjonarkom, dano do rąk filiżanki, a następnie zakonnica przyniosła
olbrzymi wielki garnek, i drewnianą warząchwią nalewała nam już przesłodzoną kawę.
Napój ten tak był niedobry, że z wielką radością spostrzegłem, że pod oknami stoją
oleandry, w wielkich wazonach, więc podlewałem je niepostrzeżenie tą kawą i poz-
byłem się w ten sposób ciężaru. – Po podwieczorku włoszka zaczęła grać „Schleif-
polkę", tańca nie znałem, ale zachęcony przez ks. Kanonika zaangażowałem
wysoką, chudą, ale młodą jeszcze zakonnicę i ku wielkiemu zadowoleniu publicz-
ności tańcowałem z nią, zapewne w wielkiej z taktem niezgodzie. – Bal trwał do
[illegible] ósmej, potem powróciliśmy na plebanię sankami, a mnie z tej [illegible]
[illegible], oprócz wspomnienia, że tańczyłem z zakonnicą, pozostał ból wielkiego
palca u nogi, spowodowany zbyt ciasnem obuwiem.

Z nauczycieli sądeckiego gimnazyum najbardziej mi utkwili w pamięci: Kuli-
szeki profesor matematyki, i Sternat, który ~~grek~~ uczył greckiego języka; pierwszy z po-
wodu swej dobroci, drugi ponieważ mnie bardzo nie lubił. Kuliszeki podobny był z wyglądem
jak mój pierwszy nauczyciel Sikora, podobnie się walał po rynsztokach i przychodził czasem
do szkoły w zabłoconym surducie. Uczył jednak dobrze, jasno i obchodził się z nami
poczciwie, po ojcowsku.

Sternat, z Krainy rodem, nie umiał ani słowa po polsku i nie zdawało mu się, że jest przyrodnim ciotecznym bratem Pertklera. Z nikim się nie zadawał, studjował pilnie swą greczyznę, i nie wiem już czy z szczerego przywiązania do hellenistycznej kultury, czy też chcąc sobie oszczędzić kąpieli, wziął rozbrat z wodą i smarował codziennie ciało swe oliwą, ponieważ tak czynili starożytni atleci. Sternat studjował także kranioskopję, a czaszka moja tak mu się jakoś nie podobała, że raz podczas nauki zawołał mnie przed tablicę, ręką zmierzył w czem i u góry moją głowę, popatrzył mi i odtąd mnie bardzo nie lubił. — Co on w mojej czaszce znalazł anormalnego, nigdy się nie dowiedziałem, ale uważał mnie tak do greckiego języka, że przesiedziałem całe gimnazjum, ścisłym egzaminie dojrzałości, nie napisawszy nigdy z własnej głowy greckiego zadania. — Zawsze który z kolegów mi dopomógł, a ja natomiast wywdzięczałem się im wypracowaniami z polskiego albo niemieckiego języka. — Gdyby nie to, że mieszkałem u dyrektora zakładu, a Sternat bał się Kruszkowskiego, to może musiałbym z jego powodu „repetować" czwartą klasę. Ponieważ jednak miałem od innych profesorów dobre cenzury, a i dyrektor się za mną ujął, więc Sternat musiał ~~mi~~ ze mną po ludzku się obchodzić, pomimo błędów w konstrukcji mojej czaszki.

W Tarkach byłem u Hamerskiego, profesora niemieckiego języka i literatury. Był to przystojny, sympatyczny młody człowiek, miał ładną bibliotekę i jako wielki wyznawca mnie przyjął mi Dzieła Göthego, które miał w pięknem wydaniu. Celem ćwiczenia się w języku kazał on nam czasami pisać wiersze niemieckie, a pierwszy mój taki nieszczęśliwy poemat opiewał zalety wielce praktycznej stenografji. — Ten Hamerski ożenił się z Polką i został już w Galicji, później we Lwowie, jako nauczyciel niemieckiej literatury, nawet po zaprowadzeniu polskiego języka, ~~jako~~ wykładowego w gimnazjach. — Bardzo popularnym u uczniów sądeckiego gimnazjum był profesor nauk przyrodniczych, ksiądz Zawadzki, z nim bowiem chodziło się na wiosnę na wycieczki botaniczne, które wielkie w naszem szkolnem, monotonnem życiu stanowiły urozmaicenie. Nie mało zazdrości wzbudziłem raz na takich wycieczkach znalazłszy cykutę (cicuta virosa), zdawało nam się bowiem, że ponieważ Sokrates miał się ~~tą trucizną~~ tem zielem otruć, przeto tkwi w niem coś z tej starożytności, którąśmy byli przejęci. — Zawadzki odgrywał oczywiście najważniejszą rolę na majówkach urządzanych ~~na~~ co ~~w~~ na wiosnę przez całe gimnazjum. — Ponieważ wielka część profesorów była niemcami, którzy nas oczywiście ~~zniem~~ germanizować chcieli, więc i pieśni na wycieczkach śpiewaliśmy po niemiecku, a najpopularniejszą była arja z Preciosy „Im Wald — im Wald — im schönen grünen Wald". — Polskiego języka i literatury uczył prof. Żurowski, poczciwy zacny człowiek, ale już ~~za~~ za stary, trochę niedołęga. Lubiliśmy go wszyscy bardzo, czuliśmy bowiem w nim oponenta przeciw systemowi germanizacyjnemu, i staropolską szkolną tradycję, która nam [illegible] się była od nauki niemieckich „Kulturträgerów".

Ponieważ w owych czasach do starannego wychowania młodzieży należała koniecznie gra na fortepianie, więc jeszcze w domu matka mnie jej uczyć zaczęła, a w Sączu mieszkałem ~~na~~ z bratem, panią pastorową Bartelmus za nauczycielkę. Pani Bartelmus była przystojną młodą kobietą, z czarnemi [illegible] zębami, miała męża

bardzo wykształconego i dobre dzieci. Nauczyła mnie nie wiele, bo zdaje mi się, i ona nie wiele umiała i ja nie miałem talentu do muzyki. Ćwiczyliśmy jednak bezustannie wyciągi z Normy, Don-Juana itd., ale te ćwiczenia do niczego nie doprowadziły, wyciągały tylko niepotrzebnie pieniądze z kieszeni mojego ojca. Chodziłem także do domu do państwa pastorów, gdzie p. Bartelmus dawał mi do czytania niemieckie popularne książki, a że wydania były po większej części illustrowane, więc mnie biblioteka pana pastora bardzo zachęcała. — Po dwóch latach takiej nauki i braku postępów, zaczął mnie uczyć p. Pauli na fortepianie, stary kawaler o okrągłej wygolonej głowie i zrudziałej peruce, noszący zawsze wielką brylantową szpilkę w krawacie. — Pan Pauli miał starego psa nie lubiącego muzyki i skowyczącego zawsze z rozpaczy, gdy się lekcja rozpoczynała. — Uspokojenie tego śpiewaka zabierało nam zawsze pół godziny, które starał się on o ile możności przeciągnąć, drugie, oczywiście mniejsze pół godziny trwała lekcja, przerywana anegdotkami, które p. Pauli bardzo lubił opowiadać. Nie wiedziałem właściwie nigdy jakiej on był narodowości, mówił wprawdzie po polsku, ale nie poprawnie, prawdopodobnie był owej narodowości „galicyjskiej", do której wówczas mnóstwo ~~galicyjskiej~~ inteligencyi u nas należało, jak wyż. profesor o którym wspominałem Kuliński, pani Kraskowska itd. — Nie byli oni nieprzyjaciółmi Polaków, zżyli się z krajem, ale też nie czuli po polsku, bo nie byli wychowani w naszych narodowych tradycyach, jako dzieci czeskich lub niemieckich urzędników przybyłych przed laty kilkudziesięciu do kraju. Z czasem, zwykle w trzeciej generacyi, wyjątkowo nawet w drugiej wyrabiały się z tych przybłędów najpatryotyczniejsze rodziny, jak we Lwowie: Smolkowie, Widmanowie, i wydawały nawet takich pisarzy, jak dawniej Wincenty Pol a później Jan Lam słynny humorysta lwowski.

W sąsiedztwie gimnazyum było Kollegium Jezuitów, a chociaż nasi profesorowie nie wdawali się z nimi, bo duch antyjezuicki powszechnie wtedy panował, przecież zakonnicy starali się łowić zdolniejszych a ubogich uczniów. Nie było to wcale trudno, bo taki biedak ubogi gimnazista był szczęśliwy, jeżeli mu pozwolono przychodzić do jezuickiej kuchni, aby zjadał resztki ~~[illegible]~~ księżych obiadów. Jezuici byli oczywiście wybredni co do wyboru uczniów, mniej zdolnych im się nie nadarzało, a za mojego pobytu w gimnazyum rzeszowskim przypominam sobie tylko ucznia Załęskiego, którego sobie przysposobili. Załęski został też później jezuitą i znanym swego zakonu pisarzem. Zasilał on później czasopisma galicyjskie w skrajnym ultramontańskim duchu i nakreślił jak mógł historyę polską do swoich tendencyi.

Przypadkiem moim korepetytorem był starszy uczeń Sembratowicz, brat późniejszego kardynała i metropolity lwowskiego. Sembratowiczowie byli rusinami z gór sądeckich, ale wówczas nie rozróżnialiśmy jeszcze w duchu polskiej od ruskiej narodowości. We wschodniej Galicyi rozdział ten się już dokonał, ale w Galicyi zachodniej, gdzie mało było tylko Rusinów, różnicy żadnej pomiędzy nami nie było. Sembratowicz tak samo mówił poprawnie po polsku, jak my wszyscy, tak samo w ścisłej z nami żył stosunkach, jak każdy inny kolega. — Zresztą ci Sembratowiczowie, a było ich trzech księży za mojej pamięci, pomimo że zostali później skrajnymi Rusinami, i zerwali ściśle z Polakami stosunki, przecież nie byli tak

na Polaków zawsze, jak Rusini wychowani pod imieniem wygnanie, tacy Lutosławice, Garlikowy, Petersce itd. – Mój nauczyciel Lembertowicz wybornie się uczył i dostał raz na premium egzemplarz historyi Momsena, w czerwony papier złoto oprawną. Ponieważ jednak bardzo potrzebował pieniędzy, więc sprzedał mi owe premium, z którego kazałem tylko zedrzeć czerwony papier, a zastąpić niebieskim. Pierwsza to była książka, którą za własne kapitałem otrzymałem, w każdym razie znaczny już postęp od zamiłowania do książek od czasu znienawidzonego elementarza francuskiego.

Uczyłem się w gimnazyum dobrze, nigdy wprawdzie nie byłem pierwszym w klasie, ale raz drugim, a zwykle czwartym lub piątym. Najlepsze cenzury miewałem z literatury polskiej i niemieckiej, z historyi i nauk przyrodniczych, najgorsze z języka greckiego, a średnie z matematyki. W czasach kiedy chodziłem do gimnazyum zaczęto zmieniać dawny system naukowy, więcej praktyczny, na nowy ściśle filologiczny. Starzy nauczyciele nie kładli zbyt tak wielkiego nacisku na gramatyczne rozbieranie autorów łacińskich i greckich, nowi forsowali w analizowaniu każdego słowa, tak, że na godzinę nauki przerabialiśmy zaledwie kilka wierszy tłomaczenia. – Zapewne ta reforma szła z Niemiec i do ostatnich czasów zachowała się w pełnym rozkwicie. – Była to w najwyższym stopniu zabijająca umysł, bezpłodna nauka, coś podobnego jak średniowieczna scholastyka. Niemniej miał w gimnazyum przeczytać: Wirgiliusza, Salustyusza, Tacyta, Homera, Eschylosa, Sofoklesa, a właściwie przeczytał po kilka lub kilkanaście kartek z każdego z tych autorów, nie mając wyobrażenia o ~~ich~~ pięknościach ich dzieł, owszem zraził się do starożytnej literatury drobnostkowemi filologicznemi rozbiorami. Zdarzali się wprawdzie uczniowie, którzy w ciągu nauk przeczytali kilku klasyków łacińskich, ale przeczytali ich w domu zamierzając poświęcić się filologicznym studyom, celem uzyskania profesury. – Filologiczny ten system nauki był jedną z największych klęsk ~~ludzkości~~ narodów mieszkających w środkowej Europie, ogłupiał on w wysokim stopniu młodzież, zabijał dobry smak, skłonność do literackich piękności, myśl, nudził czytelnika i rozbudzał w nim wstręt do szkoły i nauki. – Ileż to razy w życiu żałowałem straconego w szkołach czasu na naukę greki i łaciny, która mi się prawie na nic nie przydała, ile to razy pomyślałem: jakżeby to było wszystko ~~do~~ gdyby mnie było nauczono dobrze po angielsku lub po włosku zamiast ~~marnować~~ zmuszać mnie do marnowania najpiękniejszych chwil młodości na bezpłodną, bezrozumną filologię. – Jednym z największych krzewicieli tego kierunku był u nas wspomniany poprzednio inspektor Czerkawski, niby człowiek bardzo zdolny, ale zaślepiony w tym zgubnym, naukowym systemie. Największy nieprzyjaciel młodzieży nie mógł nic gorszego dla niej wymyślić, jak ~~to~~ tę fabrykację filologów. System ten wyszedł ~~wziął~~ z Niemiec, przeszedł do Austryi, obecnie duch jego pokutuje w Rosyi, a im dalej się oddala od źródła swego powstania, tem jest gorszy, tem bardziej jałowy. – Reakcya może już w powietrzu, ale jesteśmy daleko od tej chwili, kiedy szkolnictwo europejskie zerwie zupełnie z tym zgubnym kierunkiem. – Niema zresztą ciemniejszych konserwatystów, nie ma ludzi bardziej zaskorupiałych w swoich pojęciach jak profesorowie. Naturalnie nie mówię tutaj o tu i owdzie, zwłaszcza na uniwersytetach zdarzających się wyższych umysłach, które wyprzedzając dawno już nowe młodzieży wskazują drogę. Zwykły nauczyciel wszakże to najniewinniejszy ze stworzeń dla wszelkiego postępu. Powtarzając na głos przez lat kilkanaście lub kilkadziesiąt te same fakta i teorye wierzy w nie ściśle i zdaje mu się, że nie ma

na świeci prawdy, jo za wyjątkowem jednak mniej teorjami. — W rzeczywistości rozwija się z czasem bezwiedna zarozumiałość, którą zachodzą tym szkolnym trybem, jaki który nie widzi nic, co się na około niego dzieje.. Co do tego każdy z nas nauczył się na pamięć wybitnych faktów, które później jako niepotrzebne plewy musiał z głowy wyrzucać; jakich to o powrocie do Nieba wiodących klauzulach uczą się jeszcze do dziś dnia n.p. katecheci szkolni w historji Kościoła, jakie bredni zakonowiały się na szkolnych ławkach w naszej historji powszechnej, w historji naszego narodu, ba nawet pozytywna geografia od takich fałszów nie była wolna. — Głupota ludzka jest jak skała nadmorska, o którą fale lata i wieki mogą uderzać, aby ją skruszyć.

Stuzawkowe jeszcze gimnazjum sądeckie, jako prowincjonalne i dalekie od wyższej filozoficznej gorączki lepsze było od innych tego rodzaju zakładów, to też jeszcze na ówczesnych profesorów, z wyjątkiem owego zwariowanego filologa Stermeta skarżyć się nie mogę. Zawsze mnie przyznawali, pisząc poprawnie i zachęcali do ustawania.

W ciągu mego pobytu w sandeckiem gimnazjum rodzice moi porzucili Duklę. Dla ojca mego otwarła się korzystniejsza i niezależniejsza posada administratora dóbr Iwonickich składających się z pięknej własności ziemskiej i znanych jodowych kąpiel. Iwonicz należał do spadkobierców hr. Karola Załuskiego, z których nikt tam nie mieszkał. Najstarszy syn Michał był w wojsku austrjackiem, rotmistrzem, Karol oddał się także austrjackiej dyplomatycznej służbie, Ireneusz został neutralnym, a najmłodszy Stanisław nie miał jeszcze zajęcia.. Z córek dwie były wydane za obywateli w sąsiedztwie Iwonicza, za Gołaszewskiego i Ostaszewskiego, dwie młodsze później poszły jedna za hr. Scilerna w niższej Austrji druga za starego hr. Wita Żeleńskiego. — Scilern

Iwonicz, wieś, w równem położeniu otoczony był prawie ze wszystkich stron złemi drogami, w których na wiosnę i w jesieni koła głęboko grzęzły. To było jednak przyczyniające ten pierwsze, niekorzystne wrażenie. Gdy się jednak podjechało pod ogród wrażenie stawało się przyjemniejszem, bo stary parterowy dwór stał w dużym ogrodzie pełnym starych drzew, przeglądających się w szerokim i czystym obszernych stawach. Trochę tam było ponuro, wilgotnie ale poważnie i sympatycznie. — Tak zwane Łazienki leżały o pół mili drogi ku pagórkom i lasowi, w ładnem położeniu śród jodłowych lasów. Rodzice moi zamieszkali w jednem skrzydle dworu, w lecie tylko przenosił się mój ojciec najczęściej na dwa miesiące do Łazienek, już to ze względu, że zarząd zakładu w czasie sezonu tego wymagał, już to z powodu, że mój ojciec sam kąpiel jodowych w Iwoniczu potrzebował. —

Iwonicz ożywiał równie niegdyś mniej ze wszech zdrojowisk ile z zabaw i balów. Matki z córkami zjeżdżały z dalekich nawet okolic, aby szukać mężów, młodzież traciła nie mało grosza w Łazienkach. Czasy wprawdzie nie były po temu, aby bale wyprawiać, ale u nas zabawa stała zawsze na pierwszym planie, a niedawno, w czasie rządów Górki powiedział jakiś Rosjanin w Warszawie, że Polacy będą tańczyć jeszcze na własnym grobie..

Ponieważ moje wakacje wypadały na sezon iwonicki, więc ojciec często brał mnie do siebie, do Łazienek, co było dla mnie wielką przyjemnością. Zaznajamiałem się tam z wielkimi rówieśnikami, towarzyskie życie bardzo mnie zajmowało, poznawałem rozmaitych gości z nas ludzi, i z niechęcią z tamtąd powracałem znowu do domu, do dworu. — Mieszkaliśmy, w Łazienkach, w długim domu, naprzeciwko kąpiel i zbiornika wody jodowej,

Jak kwiat wonny, jak chłód marzy
Jak on tęskni, śmieje, odważy
Tworem czasu ta bryła
Ma postać wiecznie żywa.

przykrytego długą ~~ch~~ drewnianą szopą, zwaną deptakiem. – Tuż obok źródeł stał długi niski dom, podzielony na długości, na dwie połowy. W jednej była restauracja, w drugiej sala balowa, niska, źle oświetlona, ale dość obszerna. W sobotę rano rozpoczynał się już ruch z powodu niedzielnego balu. Czwórka za czwórką zajeżdżała się na drodze od strony prowadzącej, a z ciekawością wypatrywano, kto jedzie. – A więc pani Ostaszewska, Za-Turska z domu z córką; panna Helena Gniewoszówna jedna z najpiękniejszych okolicznych panien, urocza ~~Helenka~~ Henryka Mirówna, moja mleczna siostra, także bardzo piękne panny Gołaszewskie nieładne wcale, bo mama jako ks. Zaleska, urodzona z Ossolińskich tak nos zadzierała, że można było na tym kołku kapelusz powiesić. – Zjeżdżały się także rodziny Gorajskich, Łozińskich, Słoneckich, Wiktorów, Grotowskich, Dobrowskich i cała masa pomniejszych sanockich i jasielskich i rzeszowskich rodzin. – Obok mojego ojca doktór zakładowy Mosmaiński był w Łazienkach główną osobistością. Wysoki, chudy, „jednooki brunet, dowcipny, często zgryźliwy, trochę cynik, trochę melancholik, w ogóle jednak sympatyczny i lubiany." – Oni obydwaj witali przybywających, starali się o ich wygodę, urządzanie, kierowali dekorowaniem sali balowej, łagodzili wszelkie sprzeczki i awantury, bez których się oczywiście bale nie obeszły. – Biedny doktor nie zdążył do awantur stał się raz powodem zajścia, które o mało że nie doprowadziło do pojedynku. – Pomiędzy salą restauracyjną a ~~jadalną~~ balową, były szerokie zsuwane okna, które w czasie balów służyły za rodzaj loży, z których przypatrywali się ~~to~~ starsi wyczynom balowym. Otóż raz siedzi Mosmaiński w tym oknie i pyta się sąsiada po lewej stronie, po stronie, po której nie widział, nie mając oka, kto jest ta szkaradna małpa która teraz tańczy? – „To moja córka panie doktorze" – odpowiedział starszy mężczyzna, pan Popera. – Biedny doktór przepraszał, martwił się, zatamował ojca – ale kwas oczywiście został.

W Iwoniczu zaprzyjaźniłem się wówczas z dalszymi moimi krewnymi z rodziny Krasińskich. Bardzo polubiłem Władzia Krasińskiego, dzisiejszego prezesa Towarzystwa Kredytowego ziemskiego, z którym przez całe życie utrzymywałem stosunki. Siostra jego wówczas młoda ładna dziewczyna poszła później, wyswatana przez rodzinę za Jana Rakowskiego, z królestwa, bardzo bogatego a niezwykłemi skąpego człowieka. Państwo Rakowscy zamieszkali później w Hermanowicach, w Przemyślskiem, a pan Jan słynął za jednego z najdziwniejszych dziwaków. Główną jego manią było podróżowanie, ale podróżowanie z szybkością iskry elektrycznej. – Na zwiedzanie Hiszpanii potrzebował np. trzy dni; z Kaukazu coś w ośmiu dniach powrócił, podróż do Londynu, do Szwecji i Norwegii nie trwały także dni kilka. Z takich podróży przywoził notatki, które w kształcie małych broszur ~~po~~ wydawał, a znajome panie wczytywały się, po przybyciu np. z Madrytu, między flaneckami tańczonymi kastylijskimi wódki, które mógł także i w Przemyślu dostać, w lepszej nawet jakości. – Nieszczęśliwą ofiarą tych podróży była żona, Karolcia, która z natury szczupła, z rozpaczą i [illegible] Trani w oczach wsiadała z nim do wagonu, i wracała wychudzona, wymizerowana, bo wiedziała, że dzień i noc, całemi tygodniami nie może spocząć. Koleją, ale co więcej, wszystkie [illegible], chcąc przy tym, że mało wydaje, tak ją w każdej podróży wygłodził, że z biednej kobiety ~~[illegible]~~ skóra i kości tylko pozostawały. Mimo tego

skarbca Białkowski majątek trwonił, najgorszym będąc gospodarzem.

Także na żywieckich balach prowadził najczęściej p. August Gorayski, niskiego wzrostu, przystojny człowiek i rozpoczynał zwykle bal z panną Heleną Gniewoszówną. Gorayski tańczył jakie lat ~~40~~ 20, tańczył w dosłownem tego słowa znaczeniu, bo szeroko i daleko w Galicyi nie obyła się bez niego żadna zabawa. Później, to znaczy już ~~kawalerem~~ do ostatnich lat ożenił się, został urzędnikiem, finansistą, a ponieważ Gołuchowski jako namiestnik Galicyjski go protegował, więc wykierował nawet owego właściciela najlepszych może za mojej pamięci na ... koni, prezesa Towarzystwa naftowego itd. itd. — Panna Helena Gniewoszówna podobała się bardzo pomimo tego młodzieży i za mąż się nie wydała.

Przez dwa lata bywała w Żywcu pani Kamińska z córką, Maryną, moja rówieśnica. Panienka ładna, miła, tak ugodziła w moje młodociane serce, że ojczyście zdawało mi się, iż bez niej żyć nie będę mógł. Miłości ojczyzny wyznać jej nie śmiałem, ale zacząłem na papier wylewać moje bole i stałem się ~~autorem~~ trochę ze wszech autorem. Opis wycieczki do pobliskich ruin Odrzykonia ofiarowałem Maryni, jako ~~do~~ pamiątkę chwil z nią tam przepędzonych, i serce mi się rozpływało z rozczulenia, gdy ten opis jej i pani Kamińskiej się podobał. — Zdawało mi się, że rozstania się z Marynią nie przeżyję, układaliśmy już małżeństwo, ale po niejakimś czasie i ja jeszcze żyłem i ona poszła za mąż, i podobno była szczęśliwą i dużo miała dzieci. — Później mi w sercu została panna Blaska, którą już po rozstaniu się z Marynią w Żywcu poznałem, ale o tej później opowiem.

W roku 1858 ~~zdecydował~~ postanowił ojciec oddać mnie do gimnazyum, do Krakowa. Skończyłem cztery klasy w Sączu, ~~do~~ w wyższem gimnazyum chciał ojciec mieć dla mnie lepszych profesorów, a przedewszystkiem chodziło rodzicom o naukę języka francuskiego, o naukę tańców, do czego w Sączu nie było sposobności. Wprawdzie p. dyrektor Kmietowski dawał mi lekcye francuszczyzny, ale Bóg mi świadkiem jakie to były lekcye, pan dyrektor sam nie wiele umiał. — Przez znajomych więc dowiadywaliśmy się o tak zwanej „stancyi”, o pensyi, gdzieby mnie można było w Krakowie umieścić. — Koleji żelaznej jeszcze do Krakowa nie było, więc znowu buda została wypakowana i w tej bonie wybraliśmy się ~~do~~ w podróż. Nocowaliśmy naturalnie w Bochni i w Tarnowie, a z tamtąd już jednym dniem do Krakowa. Po drodze Wieliczka, Wieliczka nie zrobiła na mnie wrażenia, a serce biło gdyśmy minęli Kazimierz, ulicę Grodzką i buda wjeżdżała w bramę Drezdeńskiego Hotelu. — Zapisano mnie do wyższego gimnazyum u św. Anny, gdzie dyrektorem był p. Skawiński, i rozpoczęto się szukanie stancyi. Przedewszystkiem poszliśmy do pana Dumaire, nauczyciela francuskiego języka, starszego, ~~wyglą~~ pokaźnego Francuza ~~dającego~~ jakby wyjętego ze starożytnej komedyi. Z panem Dumaire tego jakoś nie doszło do skutku, a po rozmaitych jeszcze oglądaniach „stancyi” umieścił mnie ojciec u pana Sitkowskiego, nauczyciela francuskiego języka na technice, syna emigranta a co najważniejsza „urodzonego w Paryżu”. — Pan Sitkowski mieszkał przy ulicy ~~Św. Jana~~ Szpitalnej, miał kilku uczniów na pensyi i troje własnych dzieci. Chudy człowieczek, w szarawarkowym długim surducie, o małych wąsach podobnych do szczotki do zębów, ... drobnych włosach i wiecznym katarze. — Groby głos pana Sitkowskiego ... z margarynowym ~~...~~, człowiekiem, wyglądającym jakgdyby nigdy do syta się nie najadł.

Zostałem zakwaterowany w salonie, pokoju od frontu, gdzie stał najpiękniejszy mebel państwa Jastkowskich, klawicymbał o powyginanych nóżkach i błękitnym tonie, szczątki jednej garniturek mebli, tudzież oszklona szafa na książki, w której były zamknięte najulubieńsze skarby pana Jastkowskiego. Były to po większej części polskie książki, historji polskiej się tyczące, i kilka francuskich, stanowiące jedyny kapitał rezerwowy w ekonomicznych stosunkach rodziny. W czasach kiedy bardzo źle stało z finansami biednego nauczyciela, znikały tomy za tomami, w żydowskim antykwarni, na szpitalnej ulicy. Pan Jastkowski pomrukiwał a szafka się opróżniała. Gdy znowu skromny jakiś fundusik wpłynął, pan Jastkowski się prostował, rozwijał w domu niemałą energię, i odkupywał najczęściej jeszcze te same książki za dużo droższe pieniądze. Operacje te obracały się w kwotach od 5–15 guldenów, ale w każdym razie były bardzo niezdarne. W salonie oczywiście goście nie bywali, i tylko dla mnie wnoszono wieczór pościel i było mi tam dobrze, bo spokojnie. W czasie gdy byłem w szkole, panna Bronisia, córka państwa Jastkowskich grała tam gamy na fortepianie. Mówiliśmy z obowiązku w domu po francusku, nie była to ~~pa~~ zbyt częsta francuszczyzna, gdyż p. Jastkowski tylko się urodził w Bawarii, ~~ale~~ a w Krakowie ~~[illegible]~~ mieszkał od małego chłopca. Jedzenie stosowało się do przypływów i odpływów w kieszeni pana Jastkowskiego, w każdym razie kawa była straszna, niejednokrotnie niedobra, a groch z kiełbasą i wołowy ozór w sosie zanadto często się na stole pokazywały. Wielka kromka chleba z powidłami na podwieczorek obrzydziła mi powidła na całe życie. – Pani Jastkowskiej nie było widać w domu, zapracowana, zakłopotana biedaczka spędzała życie w kuchni i z dziećmi, nie wychodząc prawie na ulicę. Dzieci: dwóch chłopaków i panna Bronisia były ciche, przygnębione rodzicielską biedą. –

~~Mój~~ Naprzeciw mego (w) saloniku na szpitalnej ulicy była mała kamieniczka z trzema oknami na pierwszem piętrze, które się nigdy nie otwierały, a pokryte kilkonastoletnim kurzem i pajęczyną nie mogły dużo przepuszczać światła. Z mieszkania tego wychodził od czasu do czasu niski mężczyzna, w czarnym wytartym stroju i nie widziałem go nigdy w towarzystwie. Człowiek ten ~~mnie~~ mnie bardzo zaintrygował i później ~~się~~ mi powiedziano, że to uczony, archeolog i lokalny badacz dziejów krakowskich p. Żegota Pauli. Później ten Pauli został urzędnikiem biblioteki uniwersyteckiej a ~~Encyklopedya~~ Bibliografia Estreichera nam wylicza dużo jego cennych dzieł, których nikt nie czyta. Moja imaginacja zajmowała się Żegotą przez długi czas, nie mogłem sobie wystawić tych niemytych okien i tego zamieszkania, bez jakichkolwiek tragicznych losów. Gdybym miał więcej dramatycznego talentu z pewnością byłbym zrobił z pana Żegoty bohatera zawikłanego dramatu.

Znajomość zrobiona w Iwoniczu z państwem Oberkami, z kolei to przedłużała się w Krakowie; pani Oberka z córką Stefanią i synem Romanem, moim rówieśnikiem mieszkała w zimie w Krakowie, chodziłem więc do nich dość często i oczywiście serce moje zaczęło nie być obojętnem na pannę Stefanię. ~~brunetkę~~ bujnie włosej i o ciemnych rzęsach oczach.

Szerszy cokolwiek aniżeli w Sanoku horyzont krakowski bardzo dobrze działał na mój umysłowy rozwój; profesorów miałem w gimnazjum niezłych, a kilku nawet niepospolitych.

Gospodarzem mojej klasy od 5ej do 8ej był stary, otyły, Niemiec profesor Schneider, wielki Słowianin, ale wesoły, pełen humoru człowiek umiejący się z młodzieżą obchodzić, i mierzący jeszcze nowomodną filologią. Uczył on nas po łacinie po dawnemu, praktycznie, a czytając z nami Horacego ubarwiał naukę żartami, które się nam bardzo podobały. – Profesorem literatury niemieckiej był także Niemiec, chudy, rudy, nadzwyczaj nerwowy, Hülsenbeck, mówiący żargonem, [z trudnością] dla nas zrozumiałym. Hülsenbeck był naszym kozłem ofiarnym, dokuczaliśmy mu jak tylko studenci profesorowi dokuczać potrafią, doprowadzaliśmy do tego, że bywał blady, wzruszony wychodził ze szkoły. Dziś w tem wszystkiem było nienawiści do Niemców, zwłaszcza że Hülsenbeck był w naszych oczach uosobieniem szwaba, znienawidzonego Szwarcgelbera. – O ile sobie przypominam, p. H. był wcale dobrym nauczycielem, i z wielką werwą wykładał nam o romantycznej epoce w literaturze niemieckiej „über die Sturm- und Drangperiode"! Za wiele tylko z nami czytał Messyady Klopstocka, czem obrzydził nasze młode umysły, straszne mi męki. – Ulubieńcem młodzieży był profesor Gralewski, Krakowianin, brat aptekarza. Gralewski był jeszcze profesorem za Rzeczpospolitej Krakowskiej i uczył prosto, rozumnie matematyki i geometryi. Mało on umiał po niemiecku, a że językiem wykładowym był język niemiecki, więc podczas Gralewski rozpoczynał godzinę kilkoma niezgrabnie złożonemi słowami niemieckimi, a następnie [mówił] po polsku, i tylko gdy dyrektor zakładu albo inspektor wchodził we drzwi, wracał do swej koślawej niemczyzny. Gralewski, bardzo wysoki, bardzo chudy, [w okularach], z wąsami z Kościuszką na dół zwieszonemi, nikomu nie dawał złej noty, a gdy już sobie inaczej z uczniem nie mógł poradzić, pisał za niego matematyczne zadanie na tablicy [rozwiązał je sam] i spokojnie stojącemu delikwentowi powiadał „dobrze, dobrze! [wybornie] to robisz". Pójdziemy sobie na majówkę na Bielany, lub na Panieńskie skały, gromady uczniów otaczały Gralewskiego, czuły bowiem w nim i dobrego człowieka i patryotę. – Najznakomitszym profesorem, jakiego w ogóle miałem w gimnazyum był Zygmunt Sawczyński i [Teodor] Stahlberger. – Pierwszy z ruskiej, ale po polsku czującej rodziny przyszedł do Krakowa jako suplent gimnazyalny i tam się ożenił, z panną Jadwigą Michalską córką tutejszego krakowianką. – Sawczyński przystojny mężczyzna, o bystrem oku spojrzeniu, długich, bujnych, czarnych włosach wielkiej był zdolności człowiekiem, a gdyby był trochę pilniejszym mógłbyśmy mieć w nim znakomitego uczonego i pisarza. Pewne ukraińskie lenistwo i bałaguństwo przeszkadzało w nim wszystkim porywom do energiczniejszej czynności, czytał [tylko] dużo, to co czytał pamiętał, wybornie uczył, ale na rzetelną naukową lub literacką produkcję się nie zdobył. – Uczył on nas literatury polskiej, wykładał świeżo, ciepło, interesował młodzieńcze umysły, i z prawdziwem zajęciem słuchaliśmy go, gdy wszedł na katedrę. Z dyrektorem zakładu był Sawczyński zawsze w złych stosunkach, bo śpiąc długo bardzo często spóźniał się do szkoły, a nadto nawet jest świadomy, że wielcy naczelnicy nie zbyt lubią zdolniejszych od siebie podwładnych. – Sawczyński pisywał do „Czasu", przez co jeszcze bardziej wzrastał w studenckiej opinii, „Czas" bowiem uważaliśmy jako jedyny krakowski dziennik nadzwyczaj nam imponował, a być redaktorem „Czasu" wydawało mi się najwyższem szczęściem.

Gdym widział w parterowej, [illegible] loży siedzących [illegible], Mana i Sawczyńskiego mawiałem o tem od razu kiedy rozgościł w tym areopagu i krytykował aktorów.–

~~Stahlberger~~ Drugi sympatyczny nam nauczyciel Stahlberger, pochodził z niemieckiej wprawdzie, urzędniczej rodziny, ale czuł się synem kraju w którym urodził się. Mała, chuda figurka w okularach, z zatabaczonym nosem i wąsami, tak nędznie ubrana, że największej [illegible] w surducie wielko [illegible], ale i za szczupło był podarte. Pomimo młodzież się z tego ubogiego obserwacja nie śmiała, bo gdy Stahlberger nosowym swym głosem zaczął nam dawać szerokie poglądy z historyi powszechnej, gdy zaczął charakteryzować epokę odkrycia Ameryki, albo wskrzeszać przed nami postać Juliusza II. – to nawet nasi koledzy siedzący w ostatniej oślej ławce, słuchali z namaszczeniem słów profesora wprowadzającego nas w potężną przeszłość.

Katechetą wyższego gimnazyum był Ks. Chełmecki, późniejszy poseł do Rady Państwa, lis w sutannie, w którego chodzie było jużci coś kociego. Szedł spokojnie, cicho, niby to patrzył w ziemię, ale widział doskonale co się w około niego dzieje, dla uległych nam pobłażliwy, ~~dla~~ wobec krnąbrnych wszędzie pamiętający urazy i niechęci. Ks. Chełmecki prawił nam więcej nonsensów i więcej rzeczy niepotrzebnych, ~~jak~~ aniżeli ludzka cierpliwość znieść może. (oto nam nie chodziło bowiem ~~[illegible]~~ by nie wytłumaczył) Co napisane w pięknej, potężnej Biblii) ~~[illegible]~~, ale podstawą religijnej wiedzy (stanowisko): jaki był ubiór kapłana w drugim, a jaki w trzecim wieku po Chrystusie, co oznacza jedwabny ~~ubiór~~ ~~wiejski~~, a co drugi ubiór wiejski. O ~~wielkich~~ budzących reformatorach Kościoła, o Grzegorzu wielkim, o św. Franciszku z Assyżu nie wiedzieliśmy ani słowa, św. Augustyn wydawał nam się być suchym scholastykiem. – Ks. Chełmecki z pod oka spoglądał na innego księdza będącego także profesorem u św. Anny, na księdza Janotę. Bo ks. Janota, syn góralski chybił powołania. Śmiały, na naukach przyrodniczych wykształcony umysł nie mógł się nagiąć do dogmatu, nie uczył też religii, ale historyi naturalnej i niemieckiej literatury w wyższem gimnazyum. Już to samo zniżało go [illegible] w oczach kleru, (że ubierał się na wzór niemieckich księży w długi nowy strój w lekki sposób) ~~[illegible]~~ surdut czarny po kolana i długie spodnie, jedyny ksiądz w Krakowie dawał publicznie to zgorszenie, które o kilkanaście mil na zachód, na Szląsku nie było już zgorszeniem. – Co ~~gorsza~~ większa, ks. Janota miał zupełnie w domu rodzinę, żonę pod tytułem gospodyni i kilkoro dzieci, ks. biskup zaś [illegible] z [illegible] do odpowiedzialności, ponieważ w razie represyj biskupich Janota byłby zapłacił od razu kilkudziesięciu innych księży, którzy także mieszkali z żoną i z dziećmi tylko nie w największem miejskiem mieszkaniu, ale na wsi, na plebanii. Janota więc uczył spokojnie, a młodzież lgnęła ku niemu całem sercem, bo nie mało z jego nauk korzystała.

Od profesorów przejdę teraz do kolegów. – Na samym wstępie do szkół krakowskich spotkała mnie zabawna, charakteryzująca małomiejskość Krakowian, przygoda. Mnie i moich kolegów z za Wisły nazywano „Galileuszami" i zaczęto uważać za coś gorszego pod względem narodowym, aniżeli Krakowianie. – Na czele tych ultra-Krakowianów stał kolega Stanisław Domański, ktoś z rodzin krakowskich, których ojciec, dziad a może i pradziad nie ruszał się z Krakowa, a co najwięcej ~ dzień szczególnie

pogodny robił wycieczkę na Bielany, albo na Bonarówkę [illegible]. Takich zasiedziałych Krakowian było mnóstwo, pamiętam jeszcze dziś później, że gdy pp. Tomkowiczom kazali lekarze pojechać na kuracyę do Rabki na kilka tygodni, to cała rodzina płakała opuszczając na krótki czas Floryańską ulicę. – Domański powolny, zapamiętały brzydki, ale dobry, cichy, był najlepszym w szkole chłopakiem, dobrze się uczył, później został lekarzem i profesorem oddziału medycznego w Krakowie. – Bór jego woda odgrywał się nie atak na galileuszów, przed godziną wykładową ściskano nas w Tarcie, z dwóch stron nas w środku zamykając, co się nazywało „gnieść żeń". Animozya ta jednak, zwłaszcza przeciwko mnie, szybko znikła, a niebawem Domański należał do moich najszczerszych przyjaciół; zresztą Galileuszów przybywało coraz więcej do szkół krakowskich i partykularyzm, pod tym przynajmniej względem szybko zaczął znikać. – Bardzo ściśle żyłem z kolegą Adamem Chodorowskim, synem prezydenta sądu wyższego w Krakowie. Adaś był miły chłopak, sympatyczny, nie bardzo zdolny ale pilny; miał u swoich rodziców osobny pokój, gdzieśmy się częściej schodzili na zabawy i naukę. Pani Chodorowska z niemieckiego, urodzeniem domu częstowała nas kawą z babką, która lepiej smakowała niż kawa pani Szlachtowskiej. – Przychodził tam także nasz kolega Henryk Róża, dzisiejszy szef sekcyjny w ministerstwie spraw wewnętrznych w Wiedniu. Róża pochodził z Łańcuta, a gdy się raz później zapytano hr. Alfreda Potockiego, czem był ojciec Róży, pan Alfred zrobił zakłopotaną minę, następnie prawą ręką zaczął niby to coś kręcić w powietrzu i zarazem wykrztusił: – „Róża, Róża ... on w Łańcuckim zamku zegary nakręcał..." – Mimo tego dość nieokreślonego zajęcia musiał stary Róża być zdolnym człowiekiem, bo syna miał bardzo tęgiego chłopaka. – Henryk nie wiele się uczył, ale utrzymując się powiększej części z dawania lekcyi tem samem wprawiał się w [illegible] pewny i spokojny wchiał, Wallenstein przy pięknej zewnętrzności był bardzo uczciwy, a że dawał lekcye w bogatych domach, więc miał nie mało sposobności wchodzić w towarzystwa krakowskie zawczasu. Pałucki też napisał raz o nim wierszyk, zaczynający się od słów: „Nasz Róża, Co trochę, się kocha, ten pan Róża, gdy Jagiellońską idzie, Tosi kocha się w pracowni Idzi"... i tak cały szereg ulic był wymieniony, na które p. Róża rozpościerał swe miłosne zapędy. Mniej sympatycznym, ale zawsze pierwszym w klasie był Ludwik Midowicz, późniejszy notaryusz w Brzesku. Midowicz, pochodzący z małomiejskiemieńskiej rodziny, zdaje mi się, że z Bochni, miał brata księdzem kanonikiem krakowskiej kapituły i w całem swem obejściu trącił księżemi obyczajami. Profesorom się podobał, Hilienbrandowi paletot podawał, greckiego zadania nie pozwolił od siebie odpisać, był zazdrosny, jeżeli który z kolegów umiał coś lepiej od niego, ale trzeba się było z nim liczyć, bo u wielkiej części profesorów był w łaskach, i gdy się w klasie coś stało, gdy kolędy mocno się pobili, zawsze dyrektor zwracał się najpierw z zapytaniem, do primusa, do Midowicza. – Najwiękzym elegantem w klasie był Józio Kellerman, syn obywatelski z Brzeskiego, zła się uczył, ale pierwszy z nas wszystkich miał jedwabny kapelusz wysoki, „cylinder", co u nas mi mała wzbudzało zazdrości i było powodem wielkiej dla Kellermana uwielbienia. – Do szóstej klasy dostaliśmy kolegę, który później

ważną odegrał rolę, Kazimierza Badeniego, „późniejszego" prezydenta ministrów w Austrii. Gdyśmy na korytarzu gimnazjalnym zobaczyli ojca Kazimierza, hr. Władysława, wychylaliśmy głowy z drzwi, aby zobaczyć wielkoluda. Hr. Władysław był ogromnego wzrostu, o szerokich barkach, krótkim karku, dużej łysej głowie, najwięcej sam przywoził i odwoził syna, dwóch synów których miał: Kazimierza i Stanisława bardzo kochał, i nadzwyczaj starannie ich wychowywał. Hr. Władysław, który lubił się chwalić i synom swym już naprzód roli wielkiej wróżył, mówił nie raz, że chce dać przykład arystokracji, jak synów wychować należy. I trzeba mu przyznać, że w tym mniemaniu jak największe rozwinął staranie. Przedewszystkiem kazał uczyć Kazimierza prywatnie do wyższego gimnazjum, aby prędzej szkołę ukończył, zdawszy bowiem wrześniowy egzamin do 2 czterech klas wyższych był Kazimierz jedynym z najmłodszych uczniów w wyższych klasach. — Kazimierz mieszkał z prywatnym nauczycielem, brał w domu lekcje angielskiego i francuskiego języka, na wykłady jednak chodził jak wszyscy do gimnazjum św. Anny. — Sympatyczny, wesoły, dobry kolega zyskał sobie szybko naszą przyjaźń, a bliżej żył z Bądzyńskim i ze mną, i gdyśmy mieli coś trudniejszego do nauki schodziliśmy się u Bądzyńskiego celem wspólnej nauki. — Uczyć się nie bardzo chciało Badeniemu, ale miał dobrą pamięć, więc w ostatniej chwili „wykuwał" co było potrzeba i wskutek tego do dość dobrych należał uczniów. Z piśmiennemi wypracowaniami szło tylko kulawo, już samo pismo miał niezgrabne, duże, nieczytelne i bazgrał jak kura. Zadania piśmienne mu też zawsze koledzy wypracowywali, a on je tylko odpisywał. Zwyczaj ten posługiwania się cudzemi wypracowaniami pozostał mu, jak zobaczymy, na całe życie. — Gdy przyszło do zdawania egzaminu dojrzałości, Badeni odkładał naukę jak mógł najdłużej, ale w ostatnich miesiącach uczył się całe dnie i noce, nie sypiając jak po kilka godzin. Zlewał głowę wodą i uczył się dalej, a że zdrowie miał nadzwyczajne, więc taką forsowną naukę wytrzymał.

W naszej klasie było coś sześciu, czy siedmiu żydów, a ponieważ młodzież nie zawsze z nimi się obchodziła dość po koleżeńsku, więc to nie raz obrażało moje humanitarne uczucia. Jeszcze dość lubianym był Salomon, mały blondyn, syn bankiera z Tarnowa, ale Horowitz, krakowski żydek, o straszliwie zaniedbanej powierzchowności i Mendelsohn trzydziestoletni już może brodaty kandydat na rabina nie jedną miał nieprzyjemność do zniesienia. Starałem się w tym mniemaniu łagodzić swary pomiędzy kolegami, a chcąc duchem jedności ich ożywić napisałem raz jakąś odezwę przedstawiającą niegodność obrażliwego postępowania wobec kolegów żydów, wzywającą do zgody, harmonii i wielką dla żydów natchnioną sympatią. — Odezwę tę dałem cichaczem w kilku egzemplarzach odpisać i [illegible] porozrzucałem nieznacznie po klasie. Odezwa trafiła na dobry grunt, na poczciwe serca młodzieży, odpisywano ją i rozdawano po innych klasach, domyślono się, że ja ją napisałem, a żydzi potem byli dla mnie wdzięczni. Tę sympatię dla żydów wyniosłem w części z domu, gdzie mój ojciec miał do żydów słabą stronę, większa wynikała ona już z zastanawiania się i czytania. Ważną historya żydów Graetza, którą od któregoś kolegi pożyczyłem otworzyła mnie w te straszne prześladowania, którym żydzi w średnich wiekach podlegali i oddawała

we mnie chęć wynagrodzenia im dziejowej niesprawiedliwości. – Oczywiście nad przyczy-
nami, które stały się powodem owej niesprawiedliwości nie bardzo się wówczas zastanawia-
łem. – Koniec końcem ten pierwszy mój występ polityczny dobrze był przyjęty, zyskałem
pewną w szkole popularność i kilka razy zapraszano mnie na publiczne żydowskie
bale na Kazimierzu, z których to wszakże zaproszeń, dopiero później, jako akademik
mogłem robić użytek. – Wskutek tej udanej filosemickiej mowy zaczęła się we
mnie budzić żyłka literacka i powziąłem myśl wydawania czasopisma dla kole-
gów, których się w kilku lub kilkunastu pisanych egzemplarzach mogło rozcho-
dzić w gimnazjum. Kupiłem tanego papieru, zostałem redaktorem, zaprosiłem
do współpracy artykułów kolegów także mających pióro i zaczęliśmy raz na ty-
dzień wydawać „Ziarno”. ~~[illegible]~~ czy „Snopek” – Artykuły prozą pisało nas kilku, poezje dostarczał
najczęściej kolega Drwalka, chude chłopię a poetyczna dusza, która później marno-
wała się zagrzebana w sądowych aktach, w jednem z małych miasteczek galicyjskich.
Po wydaniu jednak już pierwszego numeru, który bardzo przychylnie przez krytykę
koleżeńską został przyjęty, powstała pomiędzy mną a Midowiczem pewna animozja.
Na piśmie ja byłem podpisany jako redaktor, Midowicz jako administrator. Otóż
Midowicz wychodząc zawsze ze stanowiska większych stosunków utrzymywał, że admi-
nistrator, podobnie jak w Kapitule Katedralnej jest i tutaj pierwszą osobistością i że od
niego zależy wszelka w redakcji decyzja. Midowicz zresztą jako pierwszy w klasie
sądził, że i w literaturze z obowiązku pierwsze musi zajmować miejsce. Pomówiwszy
przeto do Ziarna wziąłem za sobą, więc dość skutecznie walczyłem z pretensjami
Midowicza. – Pisemko nasze podobało się, doszło nawet do wiedzy akademików więcej zaję-
tych ruchem młodzieży, wskutek czego zbliżyłem się do wielu starszych odemnie słuchaczy uni-
wersytetu: braci Dochenków, z których jeden był współpracownikiem „Czasu”, do Arnolda
Rapoporta, Alfreda Szczepańskiego, a nawet Józef Szujski o mnie się dowiedział. Oczy-
wiście gdy się zbliżał egzamin dojrzałości, i trzeba się było wziąć całkiem do nauki, nie
mieliśmy czasu zajmować się owem pisemkiem i „Ziarno” ~~[illegible]~~ przestało wychodzić. – Arty-
kuły wszakże pisane do Ziarna dały mi myśl próbowania w innem piśmie lite-
rackiego szczęścia i zacząłem pisać w szóstej i siódmej klasie do „Ciszewskiego ~~Przeglądu~~ ~~Czytelnia~~
~~[illegible]~~ „Czytelni akademickiej” drugiej wychodzącej we Lwowie. – Najdłuższy mój artykuł jaki tam był drukowany nosił
nie bardzo historiozoficzny tytuł „Pierwsze dni wiosny w Dziejach Polski”. Były
to poetyczno-patriotyczne zestawienia paru ważniejszych faktów w naszej historii, które się
przypadkowo na wiosnę zdarzyły. Artykuł mój był drukowany we wstępie pisma, i przy-
pominam sobie, że z bijącem sercem oczekiwałem przybycia poczty każdego numeru
„Czytelni ~~[illegible]~~”, i zaczytać się mogłem z radością, że jestem autorem. – Po tych
pierwszych literackich sukcesach wziąłem się do większej, wielce historycznej pracy, do
historii gimnazjum św. Anny, które się dawniej zwało liceum Nowodworskiego.
Jakieś uznanie, kilkadziesiąt arkuszy spisałem tej historii, dałem ją wtedy nasze-
mu profesorowi polskiej literatury, Jabłońskiemu, dostałem za nią od niego pochwały,
ale oczywiście praca została w studenckich szpargałach i wtłoczyła się ze mną

później z mieszkania do mieszkania, z miasta do miasta, dopóki w ręce nie znalazła rozświeconego losu. W każdym jednak razie praca ta miała tyle korzyści, że się zapoznawałem szczegółowiej z historyą naszego narodu.

Wskutek tych literackich prób zostałem zaproszony na zebrania akademickie, do których należeli także młodzi artyści, urządzane w pracowni rzeźbiarza Filippiego, w dawnym refektarzu franciszkańskim. Były to zebrania z pozoru wyglądające na jakieś polityczne schadzki, chociaż więcej na nich rozmawiano o literaturze i sztuce, odczytywano literackie prace, a nawet zajmowano się polską literaturą. Długi, sklepiony, ponury refektarz zastawiony był gipsowemi odlewami i rozpoczętemi z gliny rzeźbami Filippiego; gdy się weszło, widziało się tylko w głębi stałe światło lampy, stary zielony parawan, za którym stało łóżko artysty, kilka lub kilkanaście młodych ludzi siedzących na rozmaitych zaczątkach, po większej części rzeźbiarskich klocach, samowar dymiący na gipsowym postumencie, i kilka talerzy prądnickiego chleba, sera i kiełbasy. Gospodarz, Filippi młody, wesoły ale lekki, przystojny, wielkich zdolności artysta był pierwsze wówczas pełen zapału do sztuki i nie popadł jeszcze w straszny nałóg pijaństwa, który później zniszczył jego talent i zdrowie. – Z pomiędzy gości bywał tam często Alfred Szczepański, zapalony młodzieniec, rodzaj ludowego trybuna, zdolny, ale posiadający mało umysłowej równowagi i tak zwanego chłopskiego rozsądku. Przychodził przyjaciel jego Pasiecki Michał, zawsze trochę ponury, niezadowolony z siebie i z ludzi, przygnębiony ciężką troską o codzienne życie. Widywałem tam także braci Bochenków, bliźniaków wyglądających jak dwa ziarna ze sobą ..., Drożdżewski, u których było wszystko ... na pole.. Okrągli, niscy, z dość długiemi, gładko uczesanemi włosami, młodzieńcy bez zasług, ale też i bez namiętności. Ojciec Bochenków był za lepszych czasów majętnym krakowskim bankierem, otrzymali więc staranne wychowanie, a chociaż majątek ich zmniejszył się wskutek jakichś klęsk finansowych, ojciec jednak należał do ... pomiędzy tą ubogą młodzieżą. Z teatru chodził na te zebrania Karol Królikowski, brat warszawskiego Królikowskiego, wielkiego talentu, napuszony aktor, i Feliks Benda bardzo zdolny artysta, pełen zapału dla sztuki, przystojny, sympatyczny, grający wybornie typy ludowe.

W ósmej klasie, szkolne nasze monotonne życie przerwane zostało wielkim politycznym wypadkiem. W Wiedniu myślano o zaprowadzeniu polskiego języka w szkołach i na uniwersytecie i w tym celu zawezwano najznakomitszych szkolników w Galicyi. Otóż rozniosła się po Krakowie pogłoska, że Czerkawski, inspektor, był do Wiednia wezwany, aby w tym celu ministerstwu udzielił rady, i że oświadczył się przeciw zaprowadzeniu polskich wykładów na krakowskim uniwersytecie. Jak iskra przebiegła myśl pomiędzy młodzieżą u okien Czerkawskiego!!! Zawiązał się spisek, którego duszą był mój kolega Boleszyński i wykonanie egzekucyi natychmiast na drugi dzień po powrocie Czerkawskiego z Wiednia. – Właśnie, w południe wychodził Czerkawski z gimnazyum św. Anny, a myśmy także klasy opuszczali. W chwili kiedy byłem jeszcze na schodkach prowadzących od drzwi gimnazyalnych na ulicę, widzę jakiś zgiełk naprzeciw bramy Biblioteki Jagiellońskiej, biegnę tam wraz z kolegami, co się stało?.. „Czerkawskiego tak pobili, że upadł na ulicy, Boleszyński pierwszy silnem uderzeniem w cylinder wpakował mu teraz na uszy i oczy, a następnie

inni towarzysze spisku okładali go laskami, bez [illegible]. Czerkawski wpadł do bramy kamienicy położonej naprzeciwko biblioteki, stróż kamienicy chciał bramę za nim zamknąć, ale młodzież wpadła jeszcze do sieni, biła dalej, dopóki zmaltretowany inspektor nie upadł na schodach. – Wtedy ktoś zakomenderował „do domu" i sprawcy tej doraźnej egzekucji znikli w jednej chwili. – Policjanta nie było w pobliżu, a gdy policjanci przybiegli ulica już była spokojna, i Czerkawskiego wniesiono na rękach na pierwsze piętro, do jakichś państwa, którzy tam mieszkali. – Fakt ten wywołał ogromne w Krakowie wrażenie, od dawien dawna nic się tam nie wydarzyło, coby tak poruszyło całe miasto. Na Golejowskiego wskazał już rozgniewany ko-ni, wszystkich w zagniewaniu oka i policja go nigdy nie schwyciła. Ośmiu lat utracił możności ukończenia Techniki Krakowskiej – i o ile wiem później żył w Krakowie i bez nawet podobno pochodził. – Mówiono, że Emanuel Moszyński, syn hr. Piotra i brat [illegible] jeszcze po dziś dzień żyjącego, kolega mój, należał także do owej awantury, ale mnie zdaje mi się, że akademicy nie wciągnęli do spisku żadnego ucznia gimnazjalnego. Emanuel Moszyński, który we dwa lata później zginął w powstaniu był bardzo dzielny i sympatyczny kolegą, wielkich zdolności, mozolił się nie mało nad greką, a osobliwie matematyka nie chciała mu w żaden sposób iść do głowy, ale całem sercem pomagaliśmy mu w odpowiedziach i wypracowaniach zadań, bośmy go bardzo kochali. –

Ojciec Czerkawskiego był w Krakowie pierwszym w szeregu rozmaitych politycznych faktów, które później przekształciły ustrój naszego społeczeństwa w Galicyi. Wysoka temperatura aspiracyi narodowych, która już wtedy była w Warszawie odczuwana i na potrzeby Krakowa, gorączka powstania z r. 1861 drgała już w nerwach młodzieży.

W tych niedalekich czasach jednem z ognisk krakowskiej młodzieży było mieszkanie Kazimierza Strzeleckiego ucznia uniwersytetu, na małym Rynku. Kazimierz, bardzo wysoki, sympatyczny młodzieniec mieszkał z kolegą brata mego Władysławem, dzielnym chłopakiem, skłonniejszym do bójki, do przyjacielskiej usługi, do wesołej [illegible], aniżeli do nauki. – Brat Władysław poznał się z Kazimierzem i często u nas bywał. Ten Kazimierz był sternikiem naszych wyobrażeń politycznych, wierzyliśmy w jego słowa jak w ewangelię, on miał stosunki ze starszymi patryotami, on wiedział co się dzieje w Warszawie. Piotr Moszyński także często tam bywał, Kazimierz zachęcał nas do pracy i w ogóle nastrój duchowy naszego kółka był bardzo wysoki, o jakichś studenckich hulankach, [illegible] mowy nawet nie było. – Byliśmy wszyscy bardzo religijni, wiara była u nas niczem jeszcze nie zachwiana, spowiedź, którąśmy z obowiązku odbywali dwa razy na rok była dla nas ważnym aktem sumienia. W wilię dnia przed spowiedzią wstrzymywaliśmy się od wszelkich zabaw, odwiedzin i każdy z nas nad tem tylko medytował, żeby przypadkowo o jakimś grzechu nie zapomnieć. Wielu z nas, i ja pomiędzy niemi, spisywaliśmy cały katalog grzechów na kartce i z kartki się spowiadaliśmy. Bywało, że niejeden zgubił taką kartkę, ale ponieważ wszystkie mniej więcej to samo zawierały, więc nie bardzo się troszczył o tę dość nieprzyjemną zgubę. – Jak daleko nauczyciele przestrzegali tej powagi spowiedzi niech świadczy zdarzenie następujące. W Tarnowie, w pierwszej klasie bawiłem się z kilkoma kolegami w „djabła i anioła", pospolitą grę dziecinną, gdy przypadkowo z za węgła nadszedł nauczyciel Błotnicki i usłyszał, że którzy

z nas wymówił słowo „djabeł". Natychmiast wyrzucił nas i nie pozwolił nazajutrz przystąpić do Komunii. Oczywiście rozpacz nasza wielka, myśleliśmy bowiem, że Bóg wie co przeskrobaliśmy, skoro nas tak ukarano. — Do kościoła chodziliśmy w każdą niedzielę, święto, w każdą szkolną uroczystość, a w zimie musieliśmy podczas dłuższej mszy nieraz stać w kościele św. Anny na zimnych kamieniach. Pomimo że lepiej byłem ubrany aniżeli wielu ówczesnych kolegów, i miałem swoje baranki, które zazdrość innych obudzały, przecież odmroziłem w tych czasach palce u jednej nogi, co mi się przez wiele lat uczuć dawało. [illegible] to był objaw tego stania w kościele, na zimnej posadzce, podczas największych mrozów, a owa zasada wówczas wygłaszana: „niech się młodzież hartuje", stała się powodem wielu chorób i niejednemu życie złamała. — Hartowanie zdrowia zupełnie nie wymaga największego przeciążania się. W ogóle na hygienę wówczas jeszcze u nas bardzo mało zważano, w szkole porządki były nieraz zabijające, mycie się wiele potrz. [illegible]. W szkolnych nawet klasach myto twarz, biorąc wodę do ust i z ust ją dłońmi rękami po twarzy rozprowadzając. — Otwarte w miejscu klozety, jakiegoś na umyślnie urobione do wytwarzania strasznych wyziewów i przeciągów stawały się powodem wielu ciężkich chorób.

W roku 1861 zdawałem egzamin dojrzałości, tak zwaną maturę. Był to ciężki, denerwujący, dużo zdrowia kosztujący egzamin. Zdałem go dobrze, ale oczywiście greckie zadanie odpisałem, natomiast jednak dostarczyłem kilku moim kolegom wypracowań z języka polskiego i niemieckiego, a nawet z historii. Bo i z historii musieliśmy napisać piśmienne zadanie, naturalnie po niemiecku, bo język niemiecki jeszcze był wykładowym. Piśmienne wypracowania musieliśmy robić przy drzwiach zamkniętych, ponieważ to było wszystko w lipcu i okna na plantacje musiały być otwarte, więc ta okoliczność stała się dostateczną, aby potrzebna pomoc z zewnątrz nadchodziła. — Pamiętam, że dzień wydany grecki robili zadanie. Od ósmej do pierwszej wypracowanie musiało być gotowe, gdy więc zaczęli odpisywać o ósmej konwerty, z tekstem (niemieckim), który trzeba było przetłumaczyć, czem prędzej odpisaliśmy go i w takich chwilach, kiedy nauczyciel oczy odwrócił, aby kartki za okno wyrzucić. Na plantach byli już koledzy z innych klas, i czem prędzej zanieśli kartkę przygotowanym do tego filologom, uczniom uniwersytetu. Ci w pół godziny tekst na grecki język przetłumaczyli, a wracający nasi na dany znak wrzucili, aby paczki z tłómaczeniami napowrót przez okno do sali, w której byliśmy zamknięci. — Na moje szczęście o 11ej przyszedł do nas profesor Gralewski, aby nas pilnować, w tej chwili wyrzuciliśmy na planty kartkę z napisem „Gralewski", a przysłani nasi widzieli, że wszystko się uda. — I rzeczywiście po chwili wpadł przez okno (a było to na pierwszym piętrze) gruby pakiet zawierający kilka wypracowań. Gralewski uśmiechnął się widząc jak pęczek spadł pomiędzy ławki, ale z przeciągłym uśmiechem zapytał się tylko: „co to? meteor?" — i dalej czytał rozłożoną przed sobą książkę. — W taki sposób matura była uratowana, zadanie greckie napisane. Ustny egzamin zdał mi się nawet z greckiego dosyć szczęśliwie. — Po maturze chodziłem jak tryumfator.

z lekkiem sercem myślałem tylko o wakacyach, o wyjeździe do wsi. Czem zostać, jaki obrać na przyszłość zawód, nad tem się w pierwszej chwili nie zastanawiałem, nad tem dopiero z ojcem, na wakacyach trzeba było radzić.

W ósmej klasie przechodziłem także bardzo jak na owe lata dziecinny wiek ciężką sercową kryzys. Jeszcze w Dwornicem [?] poznałem pannę Stefanię Blatka [?], i jak już wspomniałem bywałem dość często w domu państwa Blatków, albowiem z ich synem moim rówieśnikiem byłem w przyjaźni. Państwo B. mieszkali w rynku, pod Komarskim [?], a jeżeli już nie mogłem ich odwiedzić, to przynajmniej przechodziłem koło domu, gdzie mieszkał mój ideał. Panna B. była mi wzajemną i serca nasze się rozumiały... Ona jednak już prawie wyrosła, matka myślała żeby ją za mąż wydać; a student ósmej klasy w gimnazyum św. Anny, w żaden sposób nie mógł być dla niej odpowiednią partyą. Czułem to, a chociaż panna Stefania przyrzekała mi, że na mnie czekać będzie, przecież rozstanie nasze na wiosnę, gdy państwo B. na wieś, do Królestwa, na lato wyjeżdżali, było nader tragiczne. Żegnaliśmy się po kilka razy, łez wylaliśmy nie mało, a na ~~pożegnanie~~ wyjezdnem przysłała mi panna Stefania kwiat w wazoniku, co wywołało u pp. Sitkowskich wielkie zaniepokojenie. — Rozpaczałem dość długo, w sercu czułem formalny ból fizyczny, spać nie mogłem, a o jedzeniu [?] odebraniu sobie życia wcale [?] nie myślałem, bo wówczas jeszcze mania samobójstwa nie była tak jak dzisiaj rozpowszechnioną. — Po niejakim czasie ból przeszedł, panna Stefania poszła za mąż i widziałem ją dopiero we dwadzieścia kilka lat później, gdy przyjechała do Wiednia, aby z zamiarem wydania za mnie, za wdowca, swej córki. — Rozczarowanie było nie mało, zamiast ~~[illegible]~~ pięknej panny Stefanii zobaczyłem podstarzałą, prawie brzydką kobietę, z którą w ogóle [?] przesadną, bez taktu, chciała mnie par force swoją córką uszczęśliwić. Rozstaliśmy się dość kwaśno po kilku dniach i może oboje sobie pomyśleli, jakim to sposobem mogliśmy ~~by~~ się wtedy tak bardzo kochać. —

III

26. marca (w r. 1862)

W czasie kiedy kończyłem gimnazyum moi rodzice porzucili Dwornicę [?] i przeprowadzili się znów do Wietrzna. Najstarszy z braci [?] Zatorskich [?] ks. [?] Michał wystąpił z wojska, ożenił się i sam objął administracyę majątku. Ojciec mój, który wprowadził [?] ład i porządek, odrestaurował dom mieszkalny w Wietrznie, ogród oczyszczono z zarośli, płoty ponaprawiano i Wietrzno wyglądało bardzo schludnie i sympatycznie. W lecie ojciec mój już jako gość, na krótko przyjechał jeszcze do Dwornicy, więc moje wakacye po maturze upłynęły dość przyjemnie; pomiędzy Wietrznem a Dwornicem. Ciężki był wybór co do mojego przyszłego zawodu; że pójdę na wydział prawa, rzecz już była zadecydowana, ale co z tem prawem zrobić? Najbardziej przerażało mnie, abym ukończył prawa i zdał natychmiast egzamin do konsularnej służby, przedewszystkiem jednak chodziło o uniwersytet. Ojciec nie chciał, abym wrócił do Krakowa, po pierwsze bardzo pragnął, abym się wydoskonalił w języku niemieckim, czego w Krakowie nie można się było spodziewać; a powtóre obawiał się, aby przy rozgorączkowanych się ruchach politycznych nie dał się wciągnąć w jaki polityczny spisek i nie zaniedbał nauki. — Los mój ważył się pomiędzy Wiedniem a Pragą. [illegible] miasta drożyzna i Tatowie [?]

dostania się w towarzystwo zepsutej młodzieży, za Pragą przemawiał wielki spokój prowincjonalnego miasta i także znakomitych wówczas ~~naszego~~ profesorów na wydziale prawa, jak Schulte, wykładający prawo kościelne i Esmarch uczący prawa rzymskiego.

Z początkiem więc października wyjeżdżałem pierwszy raz bryką i trzema końmi z Wietrzna, w świat. Ojciec z powodu kosztów mnie nie odprowadzał, wystarał się tylko o list polecający mnie Emanuelowi Tonnerowi w Pradze, naczelnemu wówczas do przywódców ruchu narodowego w Czechach. Tonner był przez jakiś czas suplentem gimnazjalnym w Rzeszowie, nauczył się po polsku, zaprzyjaźnił się z Polakami i był jednym z członków propagujących w Czechach polityczne zbratanie się Czechów z narodowcami, które tam ~~w Czechach~~ zainicjował już w r. 1848. ks. kanonik Schulz, przyjaciel ks. Jerzego Lubomirskiego. — Tonner pisywał w tym duchu do Dziennika czeskiego i w ogóle zajmował się literaturą. — Skończony więc tłumok, w którym było dość potrzebnych i niepotrzebnych rzeczy wypakowano mi w siedzeniu bryki, serdeczne łzy i pożegnania i dalej do kolei, do Tarnowa. Kolej żelazna Karola Ludwika dochodziła już wówczas do Tarnowa, gdzie furman mnie wiozący po raz pierwszy parową ujrzał kolej. W wagonie już będąc oglądałem pierwszy z rodzinnym sercem na bryki, na furmana i na trzy kasztanki konie, które pierwsze ostatnią były widomą nicią wiążącą mnie z rodzicielskim domem. —

Drugiego dnia wieczór przyjechałem do Pragi, stanąłem w hotelu „zur Stadt Wien" gdzie mnie mnóstwo rzeczy zainteresowało. Schludny pokoik, czysta pokojówka, inni ludzie, lepiej jak u nas ubrani, ruch uliczny, wszystko to mi się wydało bardzo miłem, po brudnym zaniedbanym Krakowie. Wyspawszy się wybornie poszedłem nazajutrz szukać Tonnera, który mnie zaraz zaprowadził do swego przyjaciela Edwarda Gregera, późniejszego przewódcy młodoczeskiego stronnictwa, który wówczas był nauczycielem prywatnym ks. Kaunitza. Ów młody Kaunitz był wówczas jedyną arystokratyczną latoroślą, którą rodzina oddała w ręce czysto-czeskie, czesi więc uczynili się młodym chłopakiem, jakby jakimś synem całego narodu i starali się go jak najbardziej oddalić od niemieckich, staroarystokratycznych wpływów. Kaunic młody chłopak, w moim wieku, nosił już czeską czamarkę, co w sferach arystokratycznych wielkie wywoływało zgorszenie. — Ja także miałem moc wy... mogłem na oko jesienne w ósmej klasie, że mi sprawiono czarną czamarkę do stanu i czarną aksamitną krakuskę brunatnymi obszytą matpami. Był to czas demonstrowania narodowości strojem polskim, większość moich kolegów chodziła już w czamarkach, więc nie chciałem być gorszym od innych. Niektórzy akademicy, jak n.p. Kazimierz Strzelecki nosili się nawet całkiem po polsku. Strój kosmopolityczny wydawał mi się zacierać narodową indywidualność, co więcej, byłem zdania, że każdy człowiek powinien coś osobistego wkładać w strój i że każdy powinien nosić się inaczej. W tym duchu napisałem nawet artykuł do Cieszyńskiego „~~Przyjaciela młodzieży~~ Czytelni akademickiej" i bardzo zupełnie byłem przekonany, że frak i cylinder niszczą indywidualność człowieka.

Tonner w porozumieniu z Gregerem zaczął mi szukać umieszczenia, a tymczasem mieszkałem w hotelu i zapisałem się na uniwersytet. Oprócz prawniczych studiów ~~zapisałem~~ miałem uczęszczać na wykłady historii filozofii prof. Volkmana, a do historii prawa niemieckiego wybrałem wykład czeski prof. Tomka, aby się trochę po czesku osłuchać. — Po dwóch dniach zaprowadził mnie Tonner do państwa Špitów, którzy mi dali dobry pokoik i obiecali mnie żywić za bardzo mierną cenę.

Pan Spitra był optykiem z powołania, miał sklep z okularami i lornetkami wcale dobrze idący, a z narodowości był Niemcem żyjącym wszakże w zgodzie z Czechami. Rodzina składała się z niemłodej, wysokiej, bardzo chudej pani Spitrowej, z córki Jenny, dorastającej, wcale przystojnej panny, i dwóch braci, wszystkich uczniów, którzy niby to w domu mieszkali, ale nigdy prawie razem z rodzicami nie jadali. – Trafiłem na poczciwych ludzi, którzy nie myśleli bynajmniej na studencie robić interesów, ale chodziło im tylko o wynajęcie niepotrzebnego pokoju. Prowadziliśmy zatem ein gemüthliches Leben w całem tego słowa znaczeniu i przy obiedzie pełnym najdziwaczniejszych wyrobów czesko-niemieckiego kucharstwa, rozprawialiśmy najczęściej o nowych barometrach, które przyszły do sklepu z Paryża, albo o binoklach teatralnych, w których szkiełka były specyalnie ułożone do wzmacniania gazowego światła. Około czwartej po południu Jenny wracała z pensyonatu, a ktoś czekał na nią na schodach, a pod osłoną jesiennych ciemności odzywało się serdeczne powitanie. Wieczorem następowały najprzyjemniejsze chwile, papa Spitra ubierał się w długi szlafrok i pantofle, zasiadał obok mamy na kanapie, a my z panną Jenny czytaliśmy im na głos Bohemię, siedząc naprzeciwko, przy stole i starając się, aby gazeta zasłaniała naszych rąk geograficzne badania. – Czytaliśmy też Bohemię od deski do deski, a państwo S. chwalili mnie, że wieczorami w domu siedzę i stawiali mnie za przykład synom biegającym po piwiarniach i teatrach.

Z młodzieżą uniwersytecką dosyć mało żyłem, a przedstawiała ona ciekawy widok. Osobno, w takich zwłaszcza Niemcy w kolorowych czapkach i szarfach o germańskich barwach, osobno Czesi pomieszani z najróżnorodniejszymi Słowianami, począwszy od Polaków i ukraińskich Rusinów, aż do Serbów i Bułgarów. Zapisałem się do czeskiej akademickiej czytelni, a tam zaraz ze słowiańskimi najczęściej przestawałem kolegami. Język słowiański dość był pomiędzy nami różny; z Polaków najbardziej nam ulegali Bośniacy. Męczyliśmy się prawie wszyscy jakimś słowiańskim językiem. Czesi po największej uczyli się po rosyjsku. Mnie wisiał w ogóle jakoś potrzebny Słowianin i wyjaśniał mi przez jakiś czas do głosu pewnego serbskiego języka. Zresztą każdy z nas czytał czeskie dzienniki, czeskie książki, i zaczynał studyować Kolara „Sławy Dcerę", jako że Mickiewicz tak wysoko podniósł tego poetę, każdy jednak kończył na kilku stronnicach, ponieważ zaiste bardzo był nudny, i nie wiem, czy sam Mickiewicz zdołał go przeczytać do końca. Biblioteka akademickiej czytelni była bardzo liczna, zdziwiło mnie wszakże, że w niej stosunkowo mało było książek francuskich, a mnóstwo angielskich, jak w ogóle młodzież czeska daleko więcej uczyła się po angielsku, aniżeli po francusku.

Uświetniono właśnie podówczas, bo w jesieni 1860, budowę tymczasowego „narodniho divadla", t.j. teatru, pierwsze więc przedstawienie było wielką narodową uroczystością. Deklamacye, prologi, żywe obrazy, a teatr był tak przepełniony, że dostałem tylko miejsce na galeryi, gdzie literalnie siedziałem na plecach jakiegoś Czecha o imponujących rozmiarach, niewiele z tego widząc, co się na scenie działo. Młodzież polska skorzystała ze sposobności, aby się licznie zebrać w czytelni i długo mówić o różnych słowiańskich kwestyach. Studenci czescy mieli dużo skłonności do filozoficzno-historycznych studyów, na żadnym ze znanych mi wówczas uniwersytetów nie uważałem, aby tyle uczono i tak pilnie

uczęszczało na filozoficzne wykłady, jak w Gradcu.. Specjalnością wszakże uczniów filozofów było zażywanie tabaki, tak, że gdyśmy wychodzili z wykładów prof. Volkmana, na ławkach i ~~siedzeniach~~ pulpitach pełno było porozsypywanego czarnego proszku.

Jakoś w listopadzie urządził właściciel ziemski p. Kratochvil, znany również patryota, i późniejszy poseł na sejm w Gradcu, polowanie u siebie, na które przedewszystkiem zaprosił młodego Kaminka, aby mu dać na wsi poznać gorące tętno życia narodowego i całą siłę czeskiego patryotyzmu. Kratochvil mieszkał w okolicy Rudnic, w pobliżu tej tradycyjnej góry Rzipu, z której Lech i Czech rozejrzeli się w świat miły.. Pojechałem tam także z Tonnerem, a polowanie było tem ciekawsze, że właśnie wypadło w dniu odpustu, „posvícenia", wielkiej w tamtej okolicy uroczystości ludowej. – Na kilkudziesięciu morgach mieszkalny dom piętrowy, prosty, bez żadnych ozdób, a nawet bez ogrodu, stojący z przepysznym lasem olszowym, młocarnia, sieczkarnia. Ład i porządek wzorowy, zamożność do pozazdroszczenia. Polowanie jak zwykle w tamtych stronach niezmiernie obfite – istna zorganizowana rzeź zajęcy –, jadła mnóstwo, apetyty także wyborne, o jakich w najgościnniejszych nawet polskich domach nie ma się wyobrażenia. O ile sobie przypominam, siedem razy na dzień zastawiano stoły, kołacze, pierożki w najróżnorodniejszych pojawiały się formach i z makiem, powidłami, serem, majeranem. Wina zupełnie nie było, za to piwo lało się strumieniami. Zdrowia wznoszono także tym stołowym napojem; jeden toast był na cześć polskiej narodowości in gratiam młodego jej reprezentanta, na który z podziękowaniem odpowiedziałem.

Wycieczka do pana Kratochvila została się smutno w mojem życiu zapisać; bo przeziębiwszy się tam, dostałem po powrocie do Pragi zapalenia kiszek, a po niem ~~pozostawione~~ pozostał mi katar kiszek, który mnie męczył przeszło 25 lat i nie mało mnie zdrowia kosztował.

W polskiej kolonii w Gradcu zastałem bardzo miłe artystyczne koło, gdzie bawili tam tak utalentowani artyści, jak Dalyba i Władysław Żeleński. Dalyba, który później zginął w pojedynku z Karolem Chłapowskim, z powodu Modrzejewskiej, był nadzwyczaj sympatycznym, pomimo nie lubianym [illegible]. Niepospolity artysta muzyczny, który więcej uległ swej specjalnej wykształceniu, a ~~całe~~ ci, którzy nie chwali, miał niezwykłą sposobność ~~przez~~ przepędzenia kilku prawdziwie przyjemnych godzin, gdy zasiadł do fortepianu i puścił wodze swej fantazyi.

Żeleński oddawał się wyłącznie muzyce, uczęszczał filozoficznym studyom, gdzie właśnie zdobył doktorat filozofii. Promocya odbywała się w Gradcu z większą ostentacyą aniżeli na innych uniwersytetach – na nas młodszych zrobiła też ta uroczystość tem silniejsze wrażenie, żeśmy widzieli, że Żeleński zamyśla się poświęcić muzyce, a doktorat służy mu tylko, aby dać dowód, że i artysta powinien ukończyć humanitarne studya i z zapasem wiedzy przystępować do swego zawodu. Namiętnie zamiłowany w muzyce, zapominał o wszystkiem, grając na fortepianie, o obiedzie, o spaniu, a przedewszystkiem o zamykaniu drzwi od pomieszkania. Najczęściej wchodziło kilku znajomych, rozsiadło się w pokoju, rozmawiało – a artysta o niczem nie wiedział.

Zebraniom polskiej młodzieży, które nie pamiętam już w jakiej odbywały się restauracyi, nadawali obaj muzycy bardzo miły charakter. Bez gry się nie obeszło,

ale też w tak smutnym mieście jak Praga, inaczej być nie mogło. Kto mieszkał dłużej w Pradze i słyszał te nocne chóry powracającej do domu młodzieży, te sopranowe echa odbijające się o stare mury Clementinum – ten chyba tylko z włoskiemi miastami może porównać czeską stolicę. Nawet katarynki zdają się mieć w Pradze poprawniejszą melodię, z bystrym repertuarem przyszłym, że do nas przychodzą już stare i zużyte..

Pomiędzy miejscowymi kolegami znalazłem kilku bardzo szczerych, sympatycznych młodzieńców, zwłaszcza z Morawy. W ogóle, o ile można mi było sądzić wśród warunków koleżeńskiego życia, Morawianie byli sympatyczniejszymi niżeli Czesi. Byli bardziej otwarci, szczerzy, więcej w sobie mieli szczerych pierwiastków, a w każdym razie bliżsi byli polskim wyobrażeniom o towarzyskich stosunkach; w Czechach przy całej serdeczności i przy szlachetnych uczuciach koleżeńskich razi ta nieraz pewna szorstkość, brak ogłady, i dziwna lekceważenie, czy też nieświadomość pierwszych warunków grzeczności. Rzecz naturalna, że w ostatnich dziesiątkach lat społeczeństwo czeskie zmieniło się i pod tym względem na lepsze; życie czeskie tak szybko się rozwija pod każdym względem, narodowym, intelektualnym, artystycznym, że każdy dziesiątek lat stanowi tam przedzielenia godny postęp. Brak towarzyskiej formy dawniej czuć się dawał, bo nie było jeszcze tradycji dobrego obyczaju – tak zwana inteligencja powstawała z prostego ludu, nawiązane później stosunki z szlachtą, znaczną większą już prawie rozbudzeniu się życia narodowego bardzo wiele pod tym względem zdziałały dobrego. Rzecz szczególna, że idea przez tak długi czas zaniedbanej narodowości, jak czeska, w tyle pod każdym względem słabszej od narodowości germańskiej, potrafiła pod naszem niemal okiem, w tak krótkim czasie, odbyć tak świetny okres formalnego zmartwychwstania. Będąc w kilkanaście lat później w Pradze, ze zdziwieniem spostrzegłem mnóstwo znanych mi przedtem napisów na sklepowych godłach, które albo czeską przybrały postać, albo wprost na czeskie się pozmieniały. A przecież ludzie z razu cudzi mogli mieć i nie mieli w tem interesu materyalnego, aby zostawać Czechami wobec potężnie rozwiniętej, dominującej narodowości niemieckiej. To głęboki, przemożny prąd narodowy działał z taką wielką, powiedziałbym, elementarną siłą....

Im dalej w zimie roku 1860 na 1861 (1862 na 1863) tem bardziej choroba moja, którą sobie z Akademii przywiozłem, rozwijała się i kilka tygodni musiałem w łóżku przepędzić. W łóżku też dowiedziałem się o wybuchu powstania w Warszawie i o przygotowaniach pomiędzy polską młodzieżą w Pradze, aby się udać na plac boju... „Ten sobie kupił rewolwer", „tamten zniknął z Pragi nic nikomu nie powiedziawszy" – opowiadali mi przychodzący do mnie koledzy, rzucając się w tę straszną, gorączkową epokę, która niezmiernie wielki sprowadziła na nasze zakłady szkolne do tej przychodzący zamęt. – Z końcem jakoś stycznia, ojciec mój zaniepokojony długą moją chorobą przyjechał do Pragi, a wystawszy się z mym lekarzem zabrał mnie do Krakowa, aby się tam Dietla poradzić, a następnie zawieźć do domu, na wieś. Z ciężką chorobą wyjeżdżałem bez żalu z Pragi, po samej [illegible], a otulony w futro przyjechałem bardzo w drodze do Krakowa. – Profesor Dietl skonstatował ostry katar kiszek i kazał mi nie przekraczać ścisłej kataplazmy, dopóki dobrze nie będzie. – Te kataplazmy stały się niszczycielem mojego życia, zrujnowały me zdrowie na zawsze. – Ojciec mój ślepo wierzył w doktorów, a osobliwie ufał takiej powadze lekarskiej jak Dr. Dietl.

Przywieziono mnie więc do Wittmana, postawiono łóżko w dużej sali, abym miał dość powietrza i zaczęto przykładać kataplazmy. – Skóra się do ciepła przyzwyczajała, trzeba było kataplazmów coraz to cieplejszych, coraz to gorętszych. – Te okłady trwały kilkanaście dni; następnie kilka tygodni, matka moja rozpaczała widząc jak życie ze mnie prawie uchodzi, prosiła ojca, żeby dał spokój tym okładom, ale ojciec mój nakazywał cierpliwość, bo tak Dietl powiedział. Dzień i noc zmieniano gorące okłady, z pod woli mego ojca nikt się wyłamać nie śmiał, skóra na brzuchu stała się od oparzenia prawie niedźwiedzia, apetyt coraz bardziej traciłem nic nie pomogło, okładano mnie dalej, bo tak powiedział pierwszy doktór w kraju.

W owych smutnych dla mnie czasach przychodziły groźne wiadomości z Królestwa, ojciec z gorączkową niecierpliwością oczekiwał nadejścia gazety krakowskiego „Czasu", czytano mi na głos korespondencye z placu boju, a też radości nam stały w oczach, gdy donoszono o zwycięstwach powstańców. Ojciec mój nie wierzył tej przedwczesnej radości, powtarzał ciągle, że powstanie największem jest szaleństwem i przewidywał straszne skutki, jakie lekkomyślnie rozpoczęta walka dla polskiego narodu pociągnąć musi.

Po sześciu czy siedmiu tygodniach gorących okładów zachwiał się i mój ojciec w wyrokach nieomylnego Dra Dietla i na prośby matki mojej posłał po Dra Weina w Krośnie, który pierwszy w naszej części kraju zaczął leczyć hydropatyą. Dr Wein sam z ciężkiej choroby wyleczył się w Gräfenbergu, słynnym zakładzie Priessnitza, i został adeptem nowego systemu leczenia. – Dr Wein przyjechał, kazał natychmiast odrzucić okłady, które nazwał szaleństwem, skonstatował owrzodzenie kiszek i zaczął ze mną łagodną kuracyę zimnej wody. Gdym po dwunastu dniach, w dwudziesty dzień marcowy pierwszy raz wyszedł na ogród, witano mnie jakby zmartwychwstałego, nikt z domowników już nie wierzył, abym wyszedł żyw z tych gorących doktorskich uścisków. – Dr Dietl zanim nawet został burmistrzem miasta Krakowa, używał w kraju ogromnego mira, głównie zaś do tego przyczynił się jego okrzyk, aby podnieść zdrojowiska krajowe, odciągnąć polską publiczność od wyjazdów do zagranicznych kąpiel, i w ten sposób także ekonomicznie pomagać krajowi. Krynica, Szczawnica, Iwonicz, Rabka, Rymanów zawdzięczają dziś Drowi Dietlowi, Zakopane, dopiero później, jako stacya klimatyczna, dzięki słynnemu doktorowi Chałubińskiemu z Warszawy, weszło w modę.

Całe lato 1863 przepędziłem z Weinem kurując się hydropatyą, w jesieni pojechałem tylko zaopatrzyć się do Gracu na zimowe pobyt i z tamtąd udałem się do Gräfenbergu, aby porządnie przeprowadzić kuracyę. Gräfenberg był wtedy najsłynniejszym zakładem hydropatycznym, a chociaż Priessnitz już nie żył, przecież tradycya jego metody leczenia niezmiennie się zachowywała, bo zięć jego Dr Schindler zakład prowadził. – Ów Priessnitz nie miał wykształcenia lekarskiego, a energia jego i wiara w zbawienne skutki zimnej wody działały fascynująco na pacyentów. Opowiadano tam o nim pomiędzy innemi charakterystyczną anegdotkę. Raz przyjechała polska żydówka do Gräfenbergu, a dowiedziawszy się, że tam dużo wody pić potrzeba, sumiennie ten przepis wykonywała, nie chcąc tracić na darmo pieniędzy, na kuracyę wydanych. W lasach otaczających zakład jest mnóstwo wybornych źródeł w murowanych ocembrowaniach, a goście zwykle noszą szklankę przy sobie i piją ową wyborną wodę. Żydówka wybrała się także na taki kuracyjny spacer, a wypiwszy jakieś kilkadziesiąt kubków, padła jak nieżywa przy jednem z oddalonych źródeł. Ktoś z gości ją spotkawszy zemdlałą, zawołano Priessnitza, który przyjechał prędko na swoim koniku,

~~ostrzegawczy~~, przespał chwilkę i poszedł do zakładu do zwykłej sitzbadki. Gdy przyniesiono go rano nazajutrz, Priessnitz puścił ~~kazał zaraz~~ grubym strumieniem wodę na żołądek zgodki, a woda w nim zawarta zaczęła pod ~~sobie~~ mechanicznym naciskiem szukać sobie wyznatych w ciele ludzkim otworów, dzięki czemu życie jej na zewnątrz nie wypadła. – Tą drogą zostało uratowane. – Do jakiego stopnia dochodził fanatyzm wodoleczniczy w Gräfenbergu, to dość powiedzieć, że byli mężczyźni, którzy w twardą zimę, w letnim ~~ubraniu~~ i z gołemi głowami biegli co jest do lasu, i tam brali tusz z zimnej wody spadającej z wysoko położonej rynny, w budzie zbudowanej z desek, ~~przez~~ w której wiatr przeciągał, jak na otwartem polu. Skóra im pękała na ciele, i krew się sączyła z tych ran, na co nie uważali – wierząc bezwzględnie w skuteczność tej kuracyi. – Najwięcej było Węgrów w zakładzie, którzy szczególną mieli skłonność do wykonywania najostrzejszych przepisów Priessnitza. – Jeden z tych Węgrów stary człowiek, powracający właśnie po służbowym pobycie w Ameryce, nietylko się oddawał się z szczególnym zapałem hydropatyi, ale żył tylko mlekiem kwaśnem, zaraczyn chlebem i owocami. Namówił on mnie do tej samej, co on używał diety, a ponieważ cierpiałem na-je, że mi nie pobłażało, więc postanowiłem także żyć chlebem i mlekiem, dopóki mi lepiej nie będzie. Zakładowy lekarz nie namawiał mnie do tej diety, ale także wcale mi nie miał przeciwko niej. – Wytrwałem w tej diecie aż osiem miesięcy, nic przez ten czas nie jedząc ciepłego, zjadłem nic, prócz kwaśnego mleka i chleba – ale kuracya tego rodzaju na nic się nie przydała, miałem taki sam katar kiszkowy, jak przedtem.

W pobliżu Gräfenbergu był zakład jeszcze oryginalniejszej kuracyi w Lindewiese, gdzie pacyentów, przeważnie cierpiących syfilitycznych chorób kurowano suchemi bułkami i gorącem winem. Chodziło o wypocenie w kocach wszystkich soków z chorego ustroju, doprowadzenie go prawie do kościotrupa, i odżywianie na nowo za pomocą zdrowego pokarmu. Taka operacya wysuszania i odżywiania trwała czasem z dziesięć miesięcy i mówiono, że były tam bardzo szczęśliwe kuracye. –

Po pięciomiesięcznym pobycie w Gräfenbergu pojechałem do Pragi, zawsze o chlebie i kwaśnem mleku, i tam się oddałem do zakładu, w którym kurowali kąpielami w ciepłym piasku i szwedzką gimnastyką. Wkrótce jednak przyszedłem do przekonania, że kuracya ta przechodząca moje środki finansowe, ~~także~~ trąci nie ja ponosiłem szarlataneryą; chodziłem trochę na Uniwersytet, aby potrzeb nie utracić, a otrzymawszy potrzebne poświadczenia frekwentacyi, powróciłem do domu. Pannie Józi tylko ceremonialną oddałem wizytę, bo się zaręczyła z jakimś fabrykantem. Opisać muszę kłopot za wyjazdem mój się jeszcze przydał, gdy bowiem od profesora Esmarcha nie mogłem w żaden sposób otrzymać podpisu, że przeszedł na jego wykład chodziłem, poradzono mi, jako ostatni sposób, którego próbować należy, aby się udać do jego kucharki. Poszedłem więc do mieszkania profesora, wtedy kiedy wiedziałem, że go w domu nie ma, zastałem tam młodą, przystojną dziewczynę, ową sławną kucharkę, a po krótkich wstępnych pertraktacyach prosiłem ją, aby mi podpis wyrobiła. „A ma Pan książeczkę uniwersytecką przy sobie?" – „Mam" – „Zostaw mi ją Pan, a jutro będzie podpis." I podpis był wczoraj otrzymany i mogłem wyjechać z Pragi, nie straciwszy półrocza.

Rodzice moi przeprowadzili się tymczasem z Wiatrowa (10. września 1860) do Równego, za wodą, gdzie dawniej mieszkali pp. Tracewscy. Było to biskupie dobro należące do gr. kat. biskupstwa Przemyskiego, a mój ojciec widząc, że w Wiatrowem utrzymać się nie potrafi, wziął Równe w dzierżawę.

Rodzice byli dobry majątek, czując z początku przyjemności miejskich szybowanych i życia miał nadzieję, że tam długi potrafi zapłacić i swoje interesa przyprowadzić do porządku. – Od razu naczęte mi wracałem już do Pragi, ale na zimowe półrocze roku 1863/4 udałem się na uniwersytet do Krakowa, gdzie pozostałem aż do ukończenia wydziału prawa i administracyi. – Zapisałem się na wykład rzymskich Pandektów profesora Zolla, późniejszego wieloletniego prezesa akademii umiejętności w Krakowie, na prawo kanoniczne, które traktował dziś nieżyjący zdolności prof. Heyzmann, i wykład o przestępstwach i zakresach ministerstwa, na wykład prawa prywatnego polskiego prof. Dunajewskiego. Te wszystkie wykłady były polskie, podczas gdy prof. Dahl wykładał powszechne prawo prywatne po niemiecku. – Z pomiędzy profesorów żaden nie wyszczególniał się wybitnym talentem, Zoll był człowiekiem także przeciętnych zdolności, a wysokie godności do jakich doszedł (został za ministerstwa Taaffego także członkiem Izby panów) był raczej spowodowane jego ze wszech miar zacnym charakterem, i poparciem późniejszego ministra finansów Dunajewskiego, niż wybitnem stanowiskiem naukowem. Zresztą w życiu publicznem najtrudniej o pierwszą godność, o wyjście na pierwszy szczebel hierarchii, wyżej już idzie łatwo, bo ci, którzy się kierują mechaniką państwową, ministrowie, są wszystko serwilistami wobec potężniejszych od siebie, a więc wobec wyższych w posiadaniu władzy, niż jakiego takiego urzędu. Minister kłania się wszystkim ministrom, prezydentom i całej klice dworskich dygnitarzy, ale także w domu stara sobie zyskać podstawy i przyjaciół, protegując więc takich, którzy już na stromych szczeblach posiedzieli. – Tak więc dawny kolega Zolla minister Dunajewski pozyskał swego przyjaciela, aby mieć w nim oddanego sobie zwolennika. – Profesor Dunajewski, mały chudy człowieczek, Krakowianin z kości, mniejszych zdolności nie zajął żadnego wybitniejszego stanowiska, natomiast prof. Dahl zasłynął z sześciu pięknych córek, które przez długi czas, po przeniesieniu Dahla na uniwersytet lwowski zawracały głowę lwowskiej młodzieży. Najstarsza z „Dalek" cudownej urody Jadwiga miała romans z hr. Emilem Potockim z [illegible], romans długie lata trwający; gdy panna się podstarzała, a hr. Artur już także o amorach przestał myśleć, wydał ją za mąż we Wiedniu. Przez długi czas byli znajomi Emila przekonani, że potajemnie wziął ślub z Dahlówną, co wcale prawdą nie było. –

Kraków był wówczas tak zapełniony młodzieżą ze wszystkich stron polskich ziem, i na uniwersytecie język polski jako wykładowy został zaprowadzony, że nawet dość trudno było znaleźć jakie takie mieszkanie. Idąc za poradą moich kolegów zakwaterowałem się na Szpitalnej ulicy u Turka. Ów Turek miał wtedy sklep wiktuałów w Krakowie, później kupił kamienicę, umeblował ją starymi gratami i wynajmował pojedyncze pokoje akademikom. Jan Turek, a raczej Ormianin, siedział ukryty w dwóch pokoikach pierwszego piętra, a w domu była najrzeczywistsza Rzeczpospolita śmieci, których nikt nie wyrzucał, ni po schodach, których nigdy nie zamiatano, tak jak nie myto nigdy w pokojach podłogi. Lokatorowie ciągle się zmieniali, a ciągle młodzież mieszkająca, wrzaskliwa, rozprawiająca i paląca wiecznie papierosy. Usługiwał w całej kamienicy stróż Jan, w strasznie zasmarowanym krótkim kitlu, ale ponieważ był także kamerdynerem Turka, a nawet robił chleb na targu zakupne, więc nigdy się go doprosić nie było można, a do szczęścia się zaliczało, jeśli Jan zawczasu przyniósł w dzbanku wody do mycia. – Na wpół z moim kolegą Kratochwilem, ale nie czeskim Kratochwilem, tylko synem właściciela majątku w Rzeszowskim, wzięliśmy pokój u Turka i tam pędziliśmy życie prawdziwie studenckie. Kratochwil pisał wiersze, ja rozpocząłem od historycznych rozpraw, do których treść znalazłem w bibliotece w Brodzie.

Rozprawka nosiła tytuł „Zygmunt Korybut", a później za poradą kolegów posłałem ją Władysławowi Wójcickiemu, do umieszczenia w Bibliotece Warszawskiej. [illegible] pisał wiersze i to bardzo liczne, zakochał się z widzenia tylko w pannie Mosyńskiej, siostrze Emanuela i Jerzego, późniejszej [illegible] hr. Łoś[illegible], i codziennie przynosił mi jeden sonet do niej skomponowany. Siedział około jedenastej z rana na plantacyi, kiedy panna Mosyńska z guwernantką właśnie przechodziła, stawał z daleka za kasztanem, a gdy mu się udało ją zobaczyć, to powracał, jakby pijany, jakby od zmysłów odchodził, tak, że go musiałem uspokajając i zimną wodę na głowę wylewać. Oczywiście nigdy nawet z panną Mosyńską nie mówił, to jednak nie przeszkadzało, że miłość stawała się coraz gwałtowniejszą. W [illegible] potem mieszkał Sielawa, przystojny, ale w ubraniu bardzo zaniedbany chłopiec, twierdzący, że w Krakowie może nosić czamarkę. Sielawa chodził na wszelkie możliwe wykłady, na prawo i filozofię, na medycynę [illegible] prof. Majera i Józefa Kremera wykład o estetyce, wszystkiego słuchał, wstawał, marzył i noc można było [illegible] w rozmowie, że się może kształcić. Do kolegów Turka należał także Dziemacki z Ukrainy, Rusin ukraiński, którego jestem w Brodzie poznałem. Dziemacki był starszy od nas, nosił z ukraińska baranią czapkę z [illegible], był bardzo wykształconym, ale zamkniętym w sobie, marzył o ukraińskiej rewolucyi i utworzeniu osobnego państwa małoruskiego. Dlatego był on wobec nas Polaków trochę chłodnym, do jego planów politycznych należało bowiem oderwanie zabranie Litwy i galicyjskiej Rusi, dla swego państwa. Do ściślejszych jego przyjaciół należał jeden Rusin galicyjski, którego nazwiska już sobie nie przypominam, także młody znajomy z Brzeżan. Pomimo tych [illegible] jednak nie [illegible], ale [illegible] jeden i drugi byli bowiem [illegible] obywatelskich domów na Rusi. — Bardzo typową postacią u Turka był Gliński, młody człowiek, wysoki, barczysty, rudawy, niegrzeczny, nie mający żadnej bielizny, przyszpilający kołnierzyk i mankiety do jakiejś zużytej koszuli. Gliński nie miał literalnie nic, wnosił sobie na wieczór siennik do jednego z pokojów w których jego mieszkali przyjaciele, kładł siennik na środku pokoju, i tam sypiał po trudach bieżącego życia. Na dzień wynoszono siennik na korytarz, pod schody. Gliński był w powstaniu, został później aktorem, a w latach 1880 i następnych widywałem go w Wiedniu, ubranego już przyzwoicie, w cylindrze i z ostrzyżonemi włosami. Został [illegible] powieściopisarzem, drukującym w ludowych Dziennikach wiedeńskich powieści dla kucharek, opisujące zdarzenia od których włosy stają na głowie. Organem jego najulubieńszym były wiedeńskie Extrablatt i Sonn[illegible] Weltblatt, Dziennik piekarzy, [illegible] majstrów i przekupek. Umarł pozostawiwszy wdowę, a nekrologi jego [illegible] jako zasłużonego miejscowego dziennikarza, wyszły w wiedeńskich gazetach. — Przez krótki czas mieszkał pomiędzy nami u Turka Karol [illegible], syn obywatela z Kieleckiego, który się później przeniósł do szkoły głównej w Warszawie. Z Karolem zaprzyjaźniłem się jeszcze w Tarnowie, dokąd kilka lat jeździł na wakacye, był bowiem sierotą i bardzo [illegible], a stosunek nasz stał się z czasem tak ścisłym, że chyba nie miałem w mojej młodości lepszego od niego przyjaciela. Niski, brzydki, ospą zaszczepiony był przecież Karol bardzo ujmującym, a ponieważ wiernie [illegible] zyskiwał mu od razu powszechną sympatyę. Karol był Kalwinem, wychowany jednak w społeczeństwie katolickiem nie zaznał [illegible] religijnych i nigdy kwestye pozytywnych religii nie odróżniały go od innej katolickiej młodzieży.

Ci z lektorów Turka, którzy mieli za co jeść, a do tych szczęśliwych i ja należałem, jadali u Ziembińskiego, słynnej podówczas akademickiej restauracji w rynku. Ziembiński nadawał cechę owym czasom w Krakowie. Otyły, wielki blondyn z długiemi wąsami, o oczach tych, gęstych wąsach, poczciwem niebieskiem okiem, w szaraczkowym, a w niedzielę czarnym atłasowym żupanie, polskim letnim opasany pasem, był zawsze w restauracji i przysiadał się do gości. Gruby, tyłki mu mało miejsca w czarnych, palonych butach z kostowej skóry, która się więc marszczyła i cholewy na dół opadały, uginając się pod ciężarem szaraczkowych pludrów. Był on przyjacielem młodzieży, dobrze wyrozumiałym dla tych, którzy apelowali do jego kredytu, znał każdego majątkowe i prywatne stosunki, wiedział, którego dnia do każdego z jego klientów pieniężny listonosz przychodził, ostrzegał młodzież która z policyją była w konflikcie, pojął nawet niejednemu z powstańców, którzy musieli szybko uciekać. Młodzież jadła po większej części w abonamencie, rano i wieczór, to też sale restauracyjne zawsze były pełne, a bilard zawsze zajęty. Ponieważ w restauracji byli sami „swoi", więc rozprawiano tam o wszystkiem: o literackich i politycznych kwestiach, a stół stałych [illegible], przy którym najczęściej siadał sam Ziembiński, koło pieca, miał się nawet wyjątkowo za wspólnego domowego kolegę. Był to ideał restauracji dla młodzieży. Znaleźć tam można było zdrowe pożywienie, kredyt, przyjacielską rozmowę, zabawę, a nawet gdy który z klientów zachorował, pan Ziembiński nie zapominał mu do domu posyłać [illegible]. W chwilach groźnych, wcześniejszych, drzwi się zamykało, jak w prywatnym domu, mówcy wstępowali na bilard, jak na trybunę – brały się żywe polityczne dysputy. –

U Ziembińskiego częstymi owych czasów gośćmi bywali Artur Grottger, Józef Szujski, Ludwik Kubala, Michał Bałucki, Edward Lubowski, z artystów malarz portrecista Andrzej Grabowski, Gryglewski, Jaroszyński, nieboszczyk Godebski Cyprian i brat Tolippa. Matejko trzymał się na uboczu, unikał gwaru. Z wszystkiem może Tolippa [illegible] się po polsku ubierali, jak w ogóle starsza młodzież przyjęła strój narodowy. Ten strój z roku 1863. bynajmniej nie odpowiadał wymaganiom dobrego smaku. Średniowieczny strój polski, oparty na strojach wschodnich powinien być barwnym, szerokim, jedwabnym, aby był [illegible] dla młodzieży. Strój zaś barwny i jedwabny nie był wygodny do zajęć i sposobu życia literatów, adwokatów, malarzy, kupców i ze dnia kontował. Okrojono więc dawny strój polski. Noszono zaś czarną, otwartą czamarę, czarny żupan z lichego jedwabnego rypsu, przepasany czarnym [illegible] rzemieniem, zapięty na sznurowane, dużą klamrą z wypukłym orłem polskim, i [illegible] 90/ (takie czarne, mniej więcej szerokie spodnie, [illegible] jedwabne, pomar. [illegible] butami. To wszystko koronowała krakuska, dobrze jej sucz, jeśli czarna obszyta, z barankiem, lub innem futrem, często jednak ta krakuska zamieniała się na bardzo wysoką konfederatkę z białego, czerwonego lub niebieskiego sukna, która z czarnym strojem bardzo mizernie wyglądała. Mojem marzeniem była zawsze biała konfederatka z brunatnem futerkiem, ale marzenie to ze względu na niechęć mojego ojca do narodowego stroju, wcale ziszczonem nie zostało. – W niedzielę, we święta widać było więcej białych żupanów, granatowych kontuszów z wylotami, pasów lamowanych [illegible], ale wiśniowy, jasny ze względu na warunki żałoby z roku 1863, jest to z powodu [illegible], nosiła czarny kolor. – Krawcy krakowscy i lwowscy zatracili zupełnie tradycję robienia pięknych kontuszów, to też gdy ludzie zamożniejsi w Galicji przy [illegible] uroczystościach zaczęli nosić delie i kontusze, najlepszym krawcem kontuszowym

został (wiedeński krawiec) niemiec Franek, który z dawnych czasów strój polski odrabiał, zastosowując go o ile możności do dzisiejszych potrzeb. Także Siemieński, Alfred Potocki, później Stanisław Badeni i t.d. mieli swoje kontusze od Franka. Sapiehowie ze względów patriotycznych ekonomii trzymali się dawna, gdzie łatwiej było krawca jak w Krakowie, szyjąc na całą wschodnią Galicyę Wieczyński.- Gdy Wieczyński zaś w latach po 1870 zwinął swój zakład i wycofał się z majątkiem 200.000 koron, darował wspaniałomyślnie 150.000 zł. swym niewypłacalnym lub źle płacącym klientom, nie chcąc występować z sądowemi skargami przeciw tej klasie swego społeczeństwa, na której zrobił majątek.-

Wracam jednak do Siemieńskiego.- Artur Grottger został mi z owych czasów w pamięci w stroju powstańczym, a więc w krótkiej opiętej czamarze i berecie z brunatnego, grubego sukna. Szczupły, o ostrym nosie i orlem spojrzeniu wyglądał gibko, śmiało. Zawsze go można było widzieć w aptece, lub przed apteką Sawiczewskiego, w pobliżu kościoła Dominikańskiego w rynku, z młodym bowiem Sawiczewskim był zażyłym przyjacielem. W ogóle apteka Sawiczewskich bywała wówczas takiem punktem z ogniskiem ruchu, i zawsze tam było pełno starszych i młodszych dyskutujących o szansach powstania. Nie małą atrakcyą była tam młoda Sawiczewska, siostra Grottgera, jedna z najpiękniejszych kobiet, jakie mi się spotkać zdarzyło. Owa pani Sawiczewska, która po śmierci męża bardzo smutne prowadziła koleje, widzę jeszcze dzisiaj czasem na ulicy w Wiedniu. Mieszka ona tutaj od dawna, ubogo ubrana, ze śladami wyblakłej urody na twarzy, która jednak nie potrafiła zatrzeć jej pięknych rysów. Sprzedawała wydawcom rysunki pozostałe po swym bracie, dopóki było co sprzedawać; z czego dzisiaj żyje, nie wiem, bo nikt z znajomych mi w Wiedniu Polaków nie stoi z nią w stosunkach. A przecież w tej kobiecie w czasach powstania pół Krakowa się kochało.

Józef Szujski, wysoki, szczupły, blondyn z długiemi wąsami, jasną brodą, twarz jak to mówią chorowita, głos trochę nosowy. Chodził się wówczas także po polsku, w zaniedbanym niejako szaraczkowym stroju. Pomimo dość młodszy nieco był wiele innych, nie miał on bowiem czasu na czcze gadanie, ale pracował bardzo dużo i pisał swe dramata, których pojawianiu się bruto w Krakowie wyczekiwano. Starzy pisarze, a szczególnie Lucyan Siemieński patrzyli na niego z uznaniem, a podczas gdy młodzież unosiła się nad Halszką z Ostroga, Twardowskim itd.- Pan Lucyan powiedział o dramatach Szujskiego dość ostro, „że [illegible]”.-

Wielce sympatyczną postacią był Ludwik Kubala. Brzydziutki, średniego wzrostu, z krótką brodą, małomówny, zamknięty w sobie, charakter czysty jak kryształ. Był on nieślubnym synem panny Biaseckiej, bardzo pięknej kobiety z Tarnowa i kogoś z sądowniczej, i jedni mówili, że obywatela Marszałkowicza, drudzy, że prostego górala. To urodzenie, tak przyznam, w społeczeństwie naszym bardzo mu ciążyło i zdaje mi się że wyrobiło w nim, to odsuwanie się od ludzi i rodzaj dumnej nieśmiałości. Wiedział on, że był wart więcej, aniżeli wielu innych, ale nie dowierzał ludziom, i trzeba było dużo starań, aby przełamać lody, które go otaczały.- Do Kubali zbliżyłem się jakoś w pierwszych naszych uniwersyteckich czasach i korzystałem dużo z jego bardzo oryginalnego, samoistnego sądu o ludziach i faktach.- Zadawalniał on się bardzo małem, nigdy się nie skarżył, zawsze równego humoru, a gdy wieczorem do niego przyszedłem, gotował herbatę na blaszanym samowarku, i z radością zapraszał mnie na swoją ucztę składającą się z chleba i bryndzy. Swoją skromną kolacyę ofiarował jednak [illegible]

że taka stroma, ofiarował ją z wielką godnością hiszpańskiego ~~[illegible]~~ grandy. — Nabokov także pisał, a pomiędzy innemi dramat, pod tytułem „Gliński". — Jego znakomite studya histo- ryczne wyszły dużo później.

Zwracającą powszechnie na siebie uwagę postacią był Ludwik Grabowski, malarz portrecista. Zawsze po polsku ubrany, wesoły, otwarty, głośno mówiący, całujący każdego znajomego, jak to powiadają „z dubeltówki", w jedną i drugą stronę ust, wiecznie pośredniczący pomiędzy, wiecznie z kimś w konfliktach. Miał on dużo talentu, wiele świetności pędzla, chwytał wybornie podobieństwo, a jego jaskrawy koloryt szczególnie nadawał się do oddawania wszystkich typów, portretów. Nawet ta okoliczność, że nie miał za co podróżować, wyszła jego obrazom po części na dobre, ponieważ takowe są tak co do sposobu malowania, jak co do kolorytu wiernem odbiciem tego gorączkowego, rewolucyjnego ducha czasu, który wówczas całe nasze społeczeństwo ogarnął.

Co do wyobrażeń politycznych jednym z najskrajniejszych ~~[illegible]~~ tej porewolucyjnej epoki był Alfred Szczepański, który pod tym względem wyprzedził Maeterlincka, że ~~[illegible]~~ wiele innych jego sama poezja była niezrozumiała, podobnie jak poezje belgijskiego mistrza. Alfred, któremu imię było za długie, bo się Alf. podpisywał, pisał urywanemi zdaniami, co jeśli to słowo podkreślał jako nadzwyczaj ważne, używał powiedzieć jemu zaledwie tylko zrozumiałą mówił, ucinając co chwila zdania, jakby zmieniał czekając czegoś[?]... Ten pozór od urodzenia, lubował się w efektach, które mu się zdawało, że je co chwila wywołuje. Oczywiście jednak pra- wie zawsze umiał zawsze radzić sobie pod względem materialnym, a w tej mierze od wielu ze współczesnej młodzieży się odróżniał. — Alf chodził po Krakowie w olbrzymiej brodzie, konfederat- ce, krocząc powoli, zamyślony, z tajemniczym uśmiechem na twarzy i dążył do popularności pomiędzy ludem. Był też wówczas par excellence ludowym mówcą, konspirował z każdym spotka- nym, aby mówić poufnie, a pamiętam go nawet, jak raz stojąc na schodach, przed kości- ołem św. Piotra i Pawła, mówił pod gołem niebem, do zgromadzonej gawiedzi, rezonował tylko o jakiejś [illegible].

Alfred miał przyjaciela, równie jak on zapalonego patriotę, żyda Ludwika Gumplowicza, któ- ry zmarł jako profesorem prawa państwowego na uniwersytecie w Gracu. Gumplowicz, młody, szczupły, z zapalonemi oczami, czarny, ~~zapalał~~ rozgrzewał się na każdą nową myśl, pisał arty- kuły Dziennikarskie, równie jak Szczepański lubił ~~[illegible]~~ urywane zdania, i równie jak Szczepań- ski podkreślał wyrazy. — O Gumplowiczu będę jeszcze miał sposobność później wspo- mnieć, tutaj tylko wspomnę, że w życiu nie znałem żyda, któryby miał mniej cech żydowskiego charakteru, jak ten ~~[illegible]~~ niedawny potomek Izraela.

Jeszcze jeden żyd był bliskim Alfreda, przyjacielem Grottgera, Arnold Rapoport, dzisiejszy radca w Wiedniu i poseł do rady państwa, z krakowskiej izby handlowej. Arnolda poznałem dopiero na trzecim roku praw, doktoryzował on się wtedy ~~[illegible]~~ i praktykował u adwokata. Ze względu na moje ~~[illegible]~~ żydowskie sympatye szukał on mojego towarzy- stwa i zaprzyjaźniliśmy się niebawem. Arnold przedstawiał wówczas jako poetyczny młodzieniec, bardzo wykształcony, czytający mistrzów po niemiecku i angielsku, [illegible] wszystko w ideałach. Częściej często rozmawiając chodziliśmy wieczorem po krakowskim rynku, Arnold zawsze zwracał moją uwagę na piękność wychylającego się z boku Mariackie- go kościoła księżyca i zaczynał mi deklamować wiersze Szyllera lub Heinego. — Był on niepospo- licie zdolnym, miał dużo imaginacyi, w zakresie przed nami [illegible] korespondencye do Kraju-[illegible], która nigdy dotąd nie wyszła. — Mówił się w życiu praktycznym,

że bujna wyobraźnia koniecznie jest potrzebną, aby w [illegible] zawodzie wznieść się ponad poziom. Gdy dziś rozmawiam z Rappaportem o sprawach finansowych, i gdy on mi zaczyna obliczać, jak wysoko mogą stać z czasem akcje Chartered Company w południowej Afryce, jak zawsze goni imaginacya w przyszłość i rozwija, zdawałoby się, nieprawdopodobne projekta – to poznaję w nim owego poetycznego młodzieńca z czasów krakowskich, który z równą łatwością obliczał zysk z napisanych do swojej prasy korespondencyi, jak zysk ~~z [illegible]~~ z poetycznego zachowania się wobec polskich kolegów.

Równie prawie popularnem miejscem zbierania się patryotycznej młodzieży, jak cukiernia Ziembińskiego, był sklep korzenny Kosza, na ulicy Grodzkiej. U Kosza zbierali się jednak tylko starsi panowie, i tam była prawdziwa matecznik ludzi urządzających powstanie. Kosz miał tam wyborne węgierskie wina, a w tylnym pokoju, za sklepem, można było rozmawiać przy drzwiach zamkniętych, spokojnie, a nawet redagować odezwy Rządu narodowego, bo ~~policya~~ w razie zbytniej ciekawości urzędników policyi, miało się dość czasu, pochować corpora delicti. Policya musiała przechodzić przez sklep od ulicy, aby się tam dostać, a p. Kosz lub jego kupczyk mieli pewien sposób, aby ostrzedz zebranych, że niebezpieczeństwo się zbliża. Jednymi z najstałszych gości byli panowie Dymidowicz i Dedawski, nierozłączni przyjaciele, obydwaj zdaje mi się byli urzędnicy Rzeczypospolitej Krakowskiej. Obydwaj chudzi, wysocy, obydwaj z siwymi wąsami, krakowscy bracia syjamscy. Pan Dymidowicz jednak miał głos stanowczy, był poważniejszym, mądrzejszym bratem i słynął z przepowiedni, którą zawsze już w jesieni zaczął powtarzać „zobaczycie, że na wiosnę będzie Polska"... Zawsze przed powstaniem i po powstaniu tłómaczył on sobie każdy ważniejszy fakt, który się zdarzył w Europie, w ten sposób, że wojna europejska musi wybuchnąć, a europejska wojna musi za sobą pociągnąć odbudowanie Polski. Należał on do tej rodziny ideologów, którzy nawet Bismarckowi przypisywali, że jednem jego pragnieniem jest utworzenie wielkiej, potężnej Polski. Przypominam sobie broszurę, wydaną jakoś w pierwszych latach ~~rozpoczęcia~~ kanclerstwa Bismarcka, w której bezimienny autor, Polak, dowodził na kilku stronicach, że Bismarck jest największym przyjacielem Polaków, i cytował ustępy z mów, z aktów dyplomatycznych kanclerza, z których miało wynikać, że żelazny kanclerz o niczem innem nie myśli, tylko o uszczęśliwieniu Polaków. – Słowami wszystkiego można dowieść, wszystko wyperswadować – o faktach przekonuje się dopiero ludzie później... – Pan radca Dymidowicz miał prześliczną córkę, która wychowana bez matki, bo matka ją wcześnie odumarła, wyrobiła się na bardzo samoistną pannę, i była podówczas nadtem jeszcze podówczas przykładem emancypantki. Panna Dymidowiczówna politykowała, otaczała się literatami, powstańcami, długo wskutek tego nie szła za mąż, aż dopiero już po trzydziestce oddała swoją rękę Włodzimierzowi Łętowskiemu, inżynierowi przy kolejach, a później przedsiębiorcy kopalni naftowych.

Dymidowicz nie był bynajmniej nadtem wszystkiem prorokiem odbudowania Polski „na wiosnę", było takich mnóstwo, a zdaje się, że wojny Napoleońskie, które naówczas co rok prawie wybuchały, porządek nowy w Europie i przekształcały ~~[illegible]~~ mapę politycznych podziałów – pozostawiły przez długi czas w gorętszych polskich umysłach tę wiarę w jakieś niepewne fakta, które wpłyną korzystnie na przyszłość polskiego narodu. Jedną z takich

prawi aberracyi narodowego ducha polskiego był ów kult napoleoński, który przeżył u nas nawet Sedan i zniknął dopiero w czasach, kiedy republikańscy Francuzi zaczęli z całem kokietować i łasić się przed rosyjskiem despotyzmem. W młodości mojej kult napoleoński był wśród nas powszechny; piosenki Berangera były tak w Polsce znane i tak nam wyciskały łzy w oczach, jakbyśmy byli grenadjerami wielkiego zdobywcy. W każdym domu polskim był portret Napoleona I., albo statuetka z bronzu przedstawiająca go stojącego z prawą ręką włożoną za kamizelkę, i czciliśmy tak pamięć tego człowieka, jakgdyby z naszym narodem postępował uczciwie, a nie uważał go wszędzy tylko za środek do szachowania Rosji.. Rzecz szczególna, że ci z pozostałych u nas żołnierzy napoleońskich, którzy przecież i w Hiszpanii i na płaszczyznach Rosji przekonali się, że ich zawsze wystawiano na najniebezpieczniejszy ogień, że nimi wszędzie poniewierano, aby o ile możności oszczędzać francuskiego żołnierza, dochowali fanatyzm napoleoński do grobu i przekazywali go synom i wnukom. Wszyscy ci ludzie byli jakby oszołomieni urokiem tego największego człowieka 19. wieku.. — Kult napoleoński potęgowany z wyżyn naszych romantycznych poetów wielko nam przysporzył zawodów klęski. Ów „mesyanizm" narodu polskiego, to jeden z najszkodliwszych wymysłów naszej romantycznej szkoły; poeci wmówili w naród, że Bóg go inną miarą mierzy aniżeli Niemców, Francuzów lub Hiszpanów i kazali nam zawsze liczyć na pieczone gołąbki spadające do gębki. Idee takie powiększały lenistwo narodowe, robiły z nas naród marzycieli, nie ufający własnej sile, własnej pracy, ale spodziewający się, że Opatrzność Polaków wynagrodzi; za to, że pan Mohort uganiał się na Kresach. — Do gruntownego zniszczenia kultu napoleońskiego u nas przyczyniły się takie pamiętniki francuskich generałów i francuskich mężów stanu z czasów pierwszego cesarstwa, które po śmierci tych autorów, a więc w ostatnich dziesiątkach lat zostały w Paryżu wydane, a na niejednej karcie świadczyły, jak Napoleon lekceważył i z namysłem wyzyskiwał Polaków.

Jesień przed powstaniem najechało się do Krakowa dużo bardzo zamożnej młodzieży z Wołynia, Podola i Ukrainy, która ściągnięta polskiemi wykładami na uniwersytecie, korzystała ze sposobności, aby w Krakowie prowadzić życie hulaszcze. Wierzchowe konie, objady, kolacye, miłosne intrygi, wysoka gra, pojedynki, trochę dziwaczne, choć modne stroje — wszystko to odbijało na poważnem tle starego grodu, a pomiędzy innymi oddziałami polskiej młodzieży, przedewszystkiem pomiędzy litwinami, wywoływało pewną opozycyę. Hotel Saski był punktem zbornym tej hulaszczej młodzieży, pomiędzy którą, a mianowicie pomiędzy Wołyniakami był jawny ślad bałagulstwa. Część tej młodzieży mieszkała u profesora historyi sztuk pięknych, profesora Józefa Kremera, który we własnym domu, przy ulicy Sławkowskiej, utrzymywał rodzaj małego pensyonatu. Profesor Kremer kazał sobie, wysoko płacić cenę za mieszkanie, a młodzież uważała za to korzystać zarówno z jego pouczającej rozmowy. Profesor jednak nie miał zupełnie potrzebnej na mentora kwalifikacyi. Cichy, spokojny uczony, zajęty swojemi książkami i przygotowaniem się do wykładów, nie troszczył się zupełnie o swych pensyonarzy, którzy woleli [illegible] z aktorkami oddawać się studyom sztuk pięknych, aniżeli słuchać rozmów mądrego profesora. Profesor pisał wtedy dalsze tomy swej „Podróży do Włoch", a jeden z moich kolegów odpisywał rękopis, z wielką też ciekawością rzucaliśmy się na każdy nowy arkusz i podziwiali klasyczną dykcyę, która się nam wtedy wydawała ideałem stylu. Nie dziwowaliśmy się nad owe rękopisy Kremera. Znany profesor pisał na całych arkuszach drobnym pismem i mnóstwo robił poprawek i dopisków; nie pozostawiając zaś wąskiego marginesu:

dolepiał do każdego arkusza cały szereg kartek i karteczek z dopiskami, tak, że każdy arkusz wydłużony wyglądał jak wąż papierowy, który chłopcy puszczają w górę, podczas wiatru. Dla zamiejscowej młodzieży, a nawet dla starszych mieszczan wykład Kremera największy urok; zimową porą wykładał profesor wieczorem, a sala bywała przepełnioną. Wykłady nie miały cechy ściśle uniwersyteckich lekcyj, ale raczej były obliczone na szeroką, wykształconą publiczność. — Równie popularnemi bywały wykłady Dra Józefa Majera, późniejszego Prezesa akademii umiejętności z zakresu fizyologii. Majer, mały człowieczek o niezmiernie dużej głowie i cienkim głosie, drugi Thiers, co do postawy, mówił bardzo pięknie, nadzwyczaj jasno o najtrudniejszych nawet przedmiotach, a wykłady jego bywały zawsze wypadkiem dnia i rozprawiano o nich nawet w kobiecych towarzystwach.

Im gorzej się powodziło powstaniu, tem więcej było powstańców w Krakowie, rozbite bandy przechodziły bowiem granicę, inne się formowały z niedobitków i nowo wstępującej młodzieży, a wszystko się naturalnie o Kraków opierało. Co do mnie, ani myślałem myśleć z moim słabowitem [illegible] o pójściu do powstania, nikt mnie nawet z Kolegów do tego nie zachęcał, owszem zreszta w których [illegible] mnie zaklinali, abym się nie dał uwieść nierozważnym namowom. Ale u Turka zaczęto nas podejrzewać być zanadto niespokojnymi, policya robiła bardzo często nad ranem rewizye, szukając przywódców powstania, a raz nawet wszedł jakiś o 4ej z rana komisarz policyi z dwoma strażnikami bezpieczeństwa do mojego pokoju, który zajmowałem z [illegible]. — Widząc światło latarki otworzyłem oczy, ujrzałem jednak spostrzegłszy, że w pokoju jest nas tylko dwóch, znanych im zapewne jako nieskompromitowanych — wyszedł i skończyło się tylko na nieprzyjemnem zbudzeniu. Ten ciągły hałas przeszkadzał mi jednak w naukach, a ponieważ w lecie roku 1864. musiałem zdawać pierwszy egzamin prawniczy, więc porzuciłem pomieszkanie u Turka, a nająłem sobie pokój przy Floryańskiej ulicy, naprzeciw Hotelu rosyjskiego, przezwanego podczas powstania Hotelem pod Różą, gdyż nazwa „rosyjski" nie była przyjemnem poleceniem w Krakowie.

Ten mój pokój także mi bardzo sprzyjał nauce, a wstawałem wcześnie z rana. W hotelu była bardzo piękna pokojowa, wysoka, smukła świeża brunetka, śliczna, a obok mnie, w jednym takim pokoju mieszkał pan Stanisław Koźmian, niedawno do Krakowa z Paryża przybyły. Bessi prawie co rano, o szóstej pana Koźmiana odwiedzała, a drzwi pomiędzy moim a jego pokojem wcale nie były zamknięte, można sobie więc wystawić, że podczas owych odwiedzin nie mogłem myśleć o Pandektach. — Koźmian zaczynał wtedy wywierać wpływ na teatr krakowski, który już przed powstaniem stał się ogniskiem artystycznego ruchu w Krakowie. Obudzające się społeczeństwo z długiego letargu całem sercem zwróciło się ku teatrowi i otaczało go swoją opieką. Dwóch podstarzałych [illegible]: bankier Wincenty Kirchmayer i Adam hr. Skorupka wzięli teatr w dzierżawę, Kirchmayer dawał pieniądze, a Skorupka objął kierownictwo przedsiębiorstwa. Obydwaj byli bardzo typowemi postaciami, które ciągle można było widzieć na krakowskim rynku. Kirchmayer wysoki, barczysty, z twarzą mocno zarośniętą faworytami, z monoklem w oku, uchodził za dobrego, dobrodusznego człowieka i był powszechnie lubianym, dopóki wielką grą na giełdzie i rozmaitemi [illegible] nie doprowadził swej firmy do bankructwa, i nie zrujnował mnóstwo osób, które mu zawierzyły swe majątki. W czasie jednak o którym mówię Kirchmayer jeszcze uchodził za niewzruszalnego bankiera, a wszystkie krakowskie wdowy i sieroty były szczęśliwe, jeżeli mogły powierzyć jego bankowi swe kapitaliki. — Skorupka chodził zawsze się

Panie Boży — Przyjdź mi [illegible]

Przyjdź mi [illegible]

[illegible]

—

Panie [illegible]

Przyjdź Matko [illegible]

Przyślij mi [illegible]

[illegible]

nie dziwne, chyba tem, że był przyjacielem Kirchmajera, że więc nie miał do czynienia,
że wiernym jeszcze był Kultowi Kobiet – a zatem w ówczesnych krakowskich stosunkach dość kwalifikował się –
na dyrektora teatru. Gdy jednak teatr otworzono i poprzewodzono z kąd było można artystyczne siły, przecież się okazało, że sam Kult Kobiet do zarządzania teatrem nie wystarczył, sprowadzono więc na jakiś czas z Warszawy słynnego aktora Jasińskiego, aby nową sztukę w rzeczach wprowadził i poduczył młodszych artystów. – Pomiędzy tymi młodymi najznakomitszą była Helena Modrzejewska, a właściwie Helena Bendówna, Krakowianka, która w ostatnich czasach występowała w polskim teatrze Zimajera, w Czerniowcach. – Matka Heleny miała przed laty skromną kawiarnię koło Dominikanów w Krakowie, kawiarnię w której najwięcej bywało studentów. – Starsza młodzież chodziła tam nie tyle dla kawy ile dla pięknej kawiarki, wysokiej, pogodnej, o miłym uśmiechu i nadzwyczaj pięknych oczach kobiety, a w szczególności u niej także bywał przez jakiś czas ks. Władysław Sanguszko z Gumnisk. – Stało się więc, że pan Benda, mąż kawiarki, miał o ile pamiętam troje dzieci, dwoje starszych syna i córkę z pierwszej (późniejszą Tomaszewiczową), zaś drugą córkę zaś Helenę z [illegible] księcia Władysława. Dziewczyna, jako podlotek usługiwała gościom w kawiarni, syn Stanisław został aktorem, a młodsza córka Helena także zaczęła mieć z czasem artystyczne aspiracje. Ubogiej [illegible] dziewczyna niebawem mogła spełnić swe życzenia, bo zaledwie dorosła dostała się do prowincjonalnej trupy aktorskiej, wydaje mi się, że w Wieliczce. Z tamtąd szła dalej od miasteczka do miasteczka, aż się dostała w szpony Zimajera, dyrektora wędrownej trupy w Galicji wschodniej. Pierwsze tryumfy zaczęła zbierać w Stryju i Samborze, Zimajer poznał się od razu na jej talencie, zrozumiał, że ona będzie główną podporą jego kasy, a że obok talentu była piękną, więc samemu dyrektorowi nie było trudno wkraść się w łaski dziewczyny i zawiązać z nią stosunek. Którego owocem był synek, jedyny syn pani M. będący dziś w Ameryce inżynierem. Samemu Zimajerowi chodziło jednak bardziej o zysk aniżeli o te łaski, powiadają więc wszyscy którzy Helenę wtedy znali z prowincjonalnych teatrów, że zacny dyrektor za udzieloną sobie pożyczkę, za ładną sumkę w karty do niej przegraną ułatwiał stosunki młodym zamożnym ludziom ze swoją kochanką i primadonną, a mając ją zupełnie w swej mocy nie bardzo jej się o to pytał, czy wybranego przez niej amanta biedaczka aprobuje czy nie. – Dłuższy tego rodzaju stosunek zawiązał się z hr. Caprim, [illegible] w Czerniowcach, od którego jednorazowo umówił do Zimajerowi a przegrać w karty sumę 6.000 ft. – Capri był jednak szlachetniejszym człowiekiem, i wydaje się, że z jego pomocą porozumiała się Helena ze swoim bratem Stanisławem Bendą, który jej wyrobił miejsce w krakowskim teatrze rozpoczynającym nową erę pod Skorupką. Chodziło tylko o to, aby biedną ofiarę, która przyszła teatralne nazwisko Modrzejewskiej wydrzeć Zimajerowi, wraz z dzieckiem, którego ona opuścić nie chciała. Benda więc w porozumieniu z Caprim pojechał do Czerniowiec, i z tamtąd wykradł siostrę wraz z jej synkiem i przywiózł ją do siebie, do Krakowa. – Zimajer pogonił za nimi, ale w Krakowie nic zdziałać nie mógł, bo Skorupka postarał się o policyjną opiekę nad nieszczęśliwą artystką. Modrzejewska przyjechała naturalnie w jednej sukni, bez bielizny, bez pieniędzy i dyrekcja musiała od krakowskiej dyrekcji wziąć zaliczkę na gażę, aby się jako tako oporządzić.

Jakoś w kilka miesięcy po przybyciu jej do Krakowa miałem sposobność bliżej ją poznać. Miałem jeszcze w gimnazyum kolegę Gustawa Blizińskiego, bardzo utalentowanego chłopaka (późniejszego [illegible] poetę), któremu teatr tak głowę zawrócił, że pomimo przedstawień ojca, wbrew jego woli wstąpił do teatru krakowskiego i zaczynał się wsławiać artystycznie. Pierwszych zaraz grał role kochanków; [illegible] zapoznał się zaraz ze swą koleżanką, Modrzejewską, i obiecał mi, że mnie do niej zaprowadzi.

Pani Modrzejewska mieszkała z matką i braterstwem Bendami przy Floryańskiej ulicy. Wchodziło się do drugiego pokoju matki, bardzo miłej starszej kobiety, a przez to nieustannie szukającej zaopatrzeń wyjścia każdego gościa. W drugim, większym pokoiku, z oknem na podwórze, mieszkała artystka. Ceratowa kanapa, kilka krzeseł, małe biurko z szufladkami, tylko kilka przyzwoitszych składowych mebli, na szpitalnej ulicy, jeszcze niemodna toaleta z wiszącym lusterkiem — to całe było umeblowanie skromnego mieszkania. Na stole leżało kilka zeszytów z rolami i dwie książki: życiorysy najznakomitszych artystek, po francusku. — Modrzejewska była młodą, uroczą, odznaczającą się pięknością i miała głos tak dźwięczny, tak pełen harmonii, że tym samym głosem zdobywała podbijała serca. Uroda jej była typowo polska, rysy nadzwyczaj regularne miała, coś w sobie z tej prostoty pięknych góralskich twarzy z Zakopanego, obejmującymi najpiękniejszy typ na polskiej ziemiach. Chlubiła się ona też niekiedy, że jest góralką, a utrzymywała, że jej matka jest góralskiego pochodzenia. Oko ciemne, ale nie czarne, włosy również ciemne, ale również nie opadające w czarny kolor, (ciemne) nadzwyczaj cienkie ale niezbyt bujne, cała postać wiotka, zgrabna, raczej pełna wdzięku. — Młoda artystka bardzo nad sobą pracowała, zaczęła się uczyć francuskiego języka, dużo czytała, a mimo skromnych środków umiała się już ubierać z wielkim smakiem. Małe źwierciadełko nie było wprawdzie dostateczne, aby objąć całą smukłą jej postać, ale mimo to braku przyrządów toaletowych, braku wygodnej służącej, nie przeszkadzało nigdy do wykończenia stroju. Zamiłowanie do sztuki górowało u niej nad wszystkiem, nad miłością, nad wszystkiemi innemi uczuciami — i umiało pokonywać największe trudności. Pamięć miała ogromną, z nadzwyczajną łatwością uczyła się ról i z tego powodu dla dyrekcyi stawała się wielce pożyteczną artystką, gdyż występowała bardzo często i w najrozmaitszych sztukach. Na każdym, kto znał wówczas panią Modrzejewską, robiła ona wrażenie najsympatyczniejszej artystki o wielkiej ambicyi... W towarzystwie była ona wówczas pełna swobody, nie znać było w niej żadnej aktorki, humor miała przyjemny, czasem nawet miała żartobliwe powiedzenia graniczące prawie z dowcipem, chociaż dowcipną w pełnem tego słowa znaczeniu nie była. — Podczas owej pierwszej wizyty mówiliśmy o Paryżu, o którym ona zgadała się z największą uwagą, Bolesław zapytał się jej kiedy będzie miała swój benefis i co grać zamyśla. Zaczęliśmy dopytywać jakie sztuki byłyby najodpowiedniejsze na to uroczyste przedstawienie. Gdy chodziło o jej ulubione dzieła dramatyczne, tedy grała swoją najlepszą rolę Maryę Stuart Szyllera, albo Barbarę Radziwiłłównę Felińskiego, w których to rolach zawsze prześlicznie wyglądała. Sądziliśmy jednak, że sztuki te już znane i dobrze mogły być, aby ze względu na gwałtowną potrzebę znacznego dochodu, wystąpiła w czemś nie granem jeszcze w Krakowie, wreszcie. Nie pamiętam już dlaczego wskazaliśmy na wesołe sztuki Gozlana, które grywane bywają w Warszawie, a ona powiedziała, że z chęcią zagrałaby coś tego autora, ale że nie ma w Krakowie żadnego z jego sztuk tłómaczenia. Ofiarowałem się przetłómaczyć dla niej komedyę, którą uzna za stosowną, i nazajutrz tłómaczyłem dla niej jedną ze sztuk Gozlana, ale nie pamiętam już jej tytułu, wiem tylko, że mnóstwo jakichś [illegible] i artystycznych nazw w ustach starego żołnierza wielką mi sprawiały trudność. Skończyło się jednak na graniu którejś z granych już salonowych komedyi, głównie ze względu na Świeszewskiego, artystę powołanego do ról francuskich, salonowych, z Warszawy, z którym [illegible] jako już oswojonego już i trochę wyrobionego artystę musiała się Modrzejewska łączyć, przy wybieraniu sztuk w których z nim występowała.

Więcej jak te wizyty u Bentkowskich zbliżyły mnie do Modrzejewskiej lekcye tańca u Bendów. Pani Bendowa, bratowa Modrzejewskiej, Ładnowska z domu, córka starego aktora znanego w annałach teatralnych galicyjskich – porzuciła scenę odkąd jak mogła, a więc dawała lekcye tańca, o ile bowiem pamiętam była uczennicą warszawskiego baletu. Zapisałem się na te lekcye, które we dnie [illegible] się odbywały, ale w sobotę lub niedzielę wieczór była zbiorowa lekcya, a raczej mały balik, na którym wprawdzie często nie w zgodzie z taktem, ale dość ochoczo się tańcowało. Ponieważ jednak pani Bendowa miała więcej uczniów niźli uczennic, bo rodziny krakowskie nie chciały do domu aktorki swych córek posyłać, więc na owych lekcyach tańca brak nam było danserek. Pani Ładnowska więc mobilizowała wszystkie tancerki teatralne, które tylko miała do rozporządzenia, a pomiędzy innemi i Modrzejewska musiała opuszczać swój pokoik, aby stawać do kadryla. – Często się więc z Modrzejewską widywałem, chodziłem do niej na pogadanki i dostałem się jak wielu innych pod jej urokiem, a ponieważ akademicy mieli bardzo tani wstęp na parter do teatru, więc zacząłem być częstym gościem w teatrze. Na parterze był wówczas amfiteatr, kilka schodów, a pod ścianą jedna ławka w półkole. Otóż chcąc siedzieć na tej ławce trzeba było przyjść do teatru nadzwyczaj wcześnie, później przychodzący musieli bowiem stać w ciągu całego przedstawienia. Otóż byłem zawsze jednym z pierwszych na stanowisku i z [illegible] jeszcze przyjaciółmi Modrzejewskiej stanowiliśmy jej wierną klakę – z przekonania. Przyzwyczajenie wczesnego chodzenia do teatru zostało mi od tego czasu na całe życie, i wiem, że ś.p. moja żona nie raz mi robiła wymówki, że z nią przychodzę na zapalanie świec do teatru, a i dzisiaj moja siostra nieraz mi mówi, że już czas aby pójść do teatru, sądząc, że to tylko moja gorączka teatralna tak godzinę przyspiesza. – Owe wieczory teatralne w Krakowie należą do moich najprzyjemniejszych wspomnień, tembardziej, że chcąc (Modrzejewskiej) także coś [illegible] zacząłem pisać korespondencye z teatru do „Kraju", Dziennika literackiego, pisma co tygodnie wychodzącego we Lwowie, w którym obok recenzyj [illegible] ze szczególnem zamiłowaniem oddawałem się kultowi Modrzejewskiej. [illegible] to zazdrość moja wzbudziła loża „Czasu", w której zasiadał Lucyan Siemieński, [illegible] i dii minorum gentium, jak Mieczysław Pawlikowski, [illegible]. Gdy ja [illegible] zostałem być redaktorem „Czasu", widzieć się recenzentem pierwszego organu opinii publicznej w Krakowie! Wejście do redakcyi tego Dziennika było dla mnie wówczas szczytem literackich marzeń.

Modrzejewska występowała wówczas we wszystkiem, w dramacie, komedyi a nawet w operetce, szczupłe bowiem siły krakowskiego teatru zmuszały dyrekcyę do używania tych samych sił w czem tylko się dało. Pamiętam jakeśmy się cieszyli, gdy pani Helena, owa Julia i Ofelia Szekspirowska naraz ukazała się przebrana za młodego chłopaka w nowo napisanej operetce Hoffmana „Paziowie Królowej Marysieńki". Hofman, młody, utalentowany kompozytor, był wówczas dyrektorem orkiestry teatralnej, a pierwsza jego operetka cieszyła się niebywałem w Krakowie powodzeniem. Kiedy, choćby najlepsza sztuka teatralna, w bliskich odstępach powtórzona, nie ściągała publiczności, bo publiczność w ogóle nie była liczna, po wielkiej wojnie z [illegible] osmędza, więc zadowalała się jednorazowem widzeniem teatralnej nowości. Pierwsi Paziowie Królowej Marysieńki zrobili furorę w Krakowie, i nie schodzili przez dłuższy czas ze sceny. Modrzejewska, w polskim stroju, [illegible], wygląda się ~~wydawała~~ wyglądała się czarująco i wcale dobrze

śpiewała w swej podrzędnej roli. Publiczność ją obsypywała oklaskami, i ~~Modrzejewska~~ artystka była zadowolona. — Raz jednego, jakoś może w sześć lub siedem miesięcy, po jej przybyciu do Krakowa, wyszedł reżyser w antrakcie mówiąc już jakiejś sztuki i oznajmił publiczności, że Modrzejewska nagle zasłabła, i że ją inna zastąpi aktorka. — Na drugi dzień wszyscy dowiedzieliśmy się z teatralnego sprawozdania, że Modrzejewska zdrowa, ale że Zimajer wszedł w czasie, gdy ona była na scenie, do jej garderoby, wyprowadził z tamtąd bawiącego się synka Modrzejewskiej i zaraz to spostrzeżono zniknął z Krakowa. Modrzejewska była w rozpaczy, aby jednak nie dawać sprawie zanadto wielkiego rozgłosu, rozpoczęła ~~[illegible]~~ układy z Zimajerem, który zawiózł dziecko do siebie, do Czerniowiec. Ponieważ Zimajer zawsze był chciwym na pieniądze, więc Modrzejewska obiecała mu płacić rocznie jakąś kwotę, byle tylko oddał jej dziecko. Szlachetny ojciec przystał ochoczo na tę propozycyę, ale coraz to nowe rościł sobie pretensye i wydzierał ostatni grosz od biednej matki. — Nareszcie, po dwóch sobie wysnuwszy latach takich niepokojów wszyscy przyjaciele na Modrzejewską, aby ona skończyła, wypłaciła Zimajerowi jednorazową kwotę, celem odczepnego, a on aby się zobowiązał aktem notaryalnym, że więcej do dziecka pretensyi sobie rościć nie będzie i zostawi je zupełnie matce na wychowanie. — Kilka godzin dziennie przepędzałem wtedy u adwokata Machalskiego, najzdolniejszego wówczas w Krakowie obrońcy, aby się wprawiać do prawniczego zawodu. Machalski ~~[illegible]~~ ułożył ów dobrowolny układ pomiędzy Modrzejewską a Zimajerem, kwota wypłacić się mająca ojcu dziecka wynosiła coś 4.000 guldenów, a bardzo mnie to ucieszyło, że byłem jednym ze świadków na akcie podpisanym.

Część tych pieniędzy zapłacił wielbiciel Modrzejewskiej z Litwy, ale już nie pamiętam jego nazwiska. Był on tylko dwa razy na przedstawieniach, w których występowała artystka, następnie złożył jej wizytę i odjechał. We dwa, czy trzy miesiące później wypadł benefis Modrzejewskiej, a według ówczesnego zwyczaju, artyści posyłali bilety na takie przedstawienie znaczniejszym osobistościom, które zazwyczaj płaciły za nie wyższą cenę aniżeli się według cen teatralnych należało. Byłem właśnie u Modrzejewskiej gdy przygotowała listę osób, którym by bilet posłać można. — „A wielbicielowi z Litwy? — nie poślemy?" — zauważyłem. „Ależ on mnie zaledwie zna, byłaby to chyba natarczywość" — odpowiedziała Modrzejewska. „Pewno, że z Litwy przyśle znaczną kwotę"... „No więc dobrze, ale trzeba do niego grzeczny list napisać, a ja pisać nie będę... jeśli pan Pan list napisze —" — „Dobrze". Na drugi dzień list napisałem. Modrzejewska go odpisała, wysłała na pocztę, i zapomnieliśmy już o nim, gdy w trzy albo cztery miesiące przyszedł na Berlin przekaz na tysiąc rubli, dla pani Modrzejewskiej na benefis. — Stosunek mój do z Modrzejewską stawał się bardzo przyjacielskim, ale ~~nie~~ obawiałem się wchodzić w ~~przyznawać się~~ ~~[illegible]~~ rolę kochanka, bo artystka zawsze tylko przyjacielski nastrój dodawała naszej rozmowie. — Raz spotkała mnie na ulicy teatralnej idąc pod rękę z Kozmianem, w towarzystwie Skorupki; była w dobrym humorze, przemówiła do mnie kilka sympatycznych słów, ale poszła na kolacyę do saskiego hotelu ze swymi towarzyszami. — To mnie jakoś ubodło, ale rozważywszy pomyślałem sobie, że ja nie jestem zdolny starać się o tę, tych panów, od których zależy, i że trudno, aby poszła na kolacyę ze studentem

Uczyły ich też kolacyi nie umiał raczej zapisać. Zostaliśmy więc tak w przyjaźni, a stosunek nasz ona sama najlepiej określiła, gdy ofiarując mi wówczas swoją fotografię napisała na niej: „w dowód, w dowód... ale czego? — no niechaj będzie w dowód szczerej przyjaźni!" Była to więc przyjaźń z Dominiczką może więcej jak sympatja, która jednak pozwoliła nam aż dotąd pozostać w ścisłych, dobrych stosunkach.

W czasach zaraz po powstaniu, Szujski był osobistością w Krakowie, która mnie młodzież najwięcej zajmowała. Nie był on wówczas in odore sanctitatis stronnictwa „Czasu", owszem panowie jak Siemieński, Mann, Koźmian nie lubili go, uważali za skrajnego, zwłaszcza że pan Józef zasilał głównie swemi utworami „Dziennik literacki" we Lwowie wychodzący pod redakcyą Juliusza Starkla. „Portrety Van-Dyka", które się tam ukazały, nowe co do formy, dające się dziś drukować, mimo sympatycznie obchodzące się z krakowskimi wielkościami, stały się wypadkiem literackim, tyle o nich mówiono, tak się niemi zajmowano. Teatr musiał się liczyć ze Szujskim, bo Szujski należał do ideałów młodzieży, jego pracowitość, niestrudzony w pracy, wszechstronne wykształcenie, poważna rola [illegible] zjednały mu sympatję i szacunek. Każdy z obozu młodzieży poczytywał sobie za szczęście odwiedzić go, korzystać z jego rozmowy. Dyrekcya teatru więc przedstawiała kolejno jego dramaty, a Jadwigę, Halszkę z Ostroga, Twardowskiego witano były z uniesieniem. Mimo [illegible] sama [illegible] Siemieńskiego, teatr był zawsze przepełniony, parter natłoczony, burzliwy, ale wielce sprzyjający autorowi.

Siemieński długi czas bawiąc na emigracyi ~~[illegible]~~, oswoił się tam bardzo z nowemi ideami, wróciwszy potem do kraju i objąwszy redakcyę feljetonu w Czasie, stał się równie skrajnym w przeciwnym, klerykalnym kierunku. Zastosował się do swego otoczenia, a że nabrał do wszelkich przeciwników powstania i w tej mierze był więcej przez otoczenie i zdrowy patrjotyzm od wielu innych, przeto stał się w czasach ~~powstania i po powstaniu~~ jednym z najbardziej niepopularnych ludzi w Krakowie. Przypisywano mu do tego pewnej odrazy [illegible] kierowania bogatym, trzymaniu się pańskiej klamki, a co więcej, oddawaniu swego pióra w usługi panów. — Domowe stosunki Siemieńskiego były dość ciężkie, ożeniony z panną głośnego rodu (Potocka z jakiejś bocznej linii) tylko nazwiska, ale bez majątku, mając czworo czy pięcioro dzieci, a pomiędzy niemi tylko jednego syna, w ciasnych żył pieniężnych kłopotach. Pani Siemieńska, wysoka, otyła, brzydka, zaniedbana, była jak mówią, wzorem gdańskiej flondry, o nieporządku w jej domu cuda za opowiadano. Siedziała ona większą część dnia po kościołach, a panny, które ojcu odziedziczyły wiele sprytu i talentu, same sobie były oddane. Nie dziw więc, że pan [illegible] o ile możności unikał domu, i że po całych dniach żył u znajomych, pod Baranami u Potockich, w pałacu Wodzickiego, u Kirchmayera albo u państwa Skrzyneckich. — Baronowa generałowa Skrzynecka, dość chuda, złośliwa blondyna, prowadziła jeszcze wówczas dom wcale otwarty, bo ich jeszcze bankructwo Kirchmayera majątku nie pozbawiło. Osobliwie jedna z nich miała być dowcipna, a że pan Lucjan umiał cenić dowcip i takiej nie mógł mieć poczucia złośliwości w swoim charakterze, więc należał do codziennych gości państwa Skrzyneckich. Mówiono o tych pannach, że jedna się [illegible] a druga zacina, bo się jąkała.

W towarzyskich stosunkach krakowskich panował jeszcze w całej pełni dom Potockich z Krzeszowic, tak zwany „Baranów". „Pod Baranami" zwano kamienicę Potockich na rogu Rynku i ulicy św. Anny; dziś niesympatyczne domisko, noszące

jako znak nad bramą dwa barany złote. Sądzę, że przybrał ten kult dla herbowej mieszczańskiej rodziny, jaki panował przez długie lata dla Potockich w Krakowie znaleźć można tylko we włoskich miastach w XV. i XVI. wieku. Pan Adam Potocki, to był par excellence pan krakowski, na którego się wszyscy oglądali, któremu się kłaniali, o którego łaski się starali. Ślub, urodziny ~~śmierć~~ lub śmierć pod Baranami więcej obchodziły Kraków, jak wejście Schlesinka przez wojska austryjackie, o plotkach z pod Baranów mówiono nie tylko w arystokratycznych i obywatelskich kołach, ale i pośród mieszczaństwa, które się niemi interesowało. Potoccy prowadzili wówczas politykę dynastyczną, stawali na czele wszystkich prac publicznych, wspierali przedsiębiorstwa, rozdawali stale jałmużnę — robili dużo dobrego, ale jeszcze więcej przeszkadzali, aby się coś dobrego, poza ich wpływem nie stało. Pan Adam Potocki był wreszcie człowiekiem zupełnie odpowiednim do takich arystokratycznych rządów. Wysoki, przystojny, poważny, o bystrem spojrzeniu, energiczny z despotycznemi skłonnościami, dumny, dobry mówca, imponował tłumom, a gdy szedł przez rynek krakowski to wszystkie czapki i kapelusze były w ruchu. — Pani Adamowa, wówczas głucha ~~otyła~~, była typem katolickiej arystokratki, przed którym korzyły się wszystkie stare i młode katoliczki, była [illegible] nicy. „Pani Adamowa tak a tak powiedziała…" to było ostatecznym wyrokiem. Można było kilka miesięcy żyć w Krakowie i nie usłyszeć się nazwiska „Potoccy", tylko dynastycznie nazywano ich po imieniu „pan Adam, pani Adamowa".

Obok Potockich zajmowali wówczas hr. Henrykowie Wodziccy pierwszorzędne w Krakowie stanowisko. Oczywiście stanowisko to o całe niebo było niższem od despocji Potockich, ale osobiście p. Henryk miał nie mały wpływ jako człowiek bardzo szczery, bardzo wykształcony, przytem nadzwyczaj ujmującej powierzchowności i przyjemnego dowcipu. —

Do piękności krakowskich, o których się najwięcej mówiło należała hr. Florencya Sołtykowa, śmiała wiotka brunetka, włoski typ o ognistem spojrzeniu. Pani Florencya uważała bardzo niemądrego a złego męża, co oczywiście upoważniało wszystkich ludzi uważających się za wielbicieli do wtórowania do jej przybocznej gwardyi. Chyba naczelnikiem tej gwardyi, bez specyalnych oczywiście pretensyi był ksiądz biskup krakowski Łętowski, postać wielce sympatyczna. Ks. Łętowski był żołnierzem z roku 1831 i wybornym pisarzem. Jego „Miscellanea", zbiór rozmaitych ogłoszeń, wspomnień i opowiadań, które podobno zdaje mi się książka którą wydał była skarbnica wybornych powiedzeń, jędrnego dowcipu i zdrowego polskiego języka. Pani Florencya bywała często u starego biskupa, czarowała go swemi kaprysami, a raz go tak rozbawiła, że kazała mu skakać przez laskę. Stary biskup podkasał sutannę i… hop… przeskoczył ku wielkiej radości przyglądającego się kółka. — Sołtyk straciwszy żoniny majątek, przegrawszy wszystkie sumy w krakowskiej resursie, rozwiódł się ~~z żoną~~ z żoną, a ona wyjechała do Paryża i gdzieś w świecie przepadła.

Resursa krakowska mieszcząca się w Krzysztoforach, w dzisiejszej Kamienicy na rogu rynku i ulicy Szczepańskiej stała się powodem nie jednej majątkowej ruiny. Grano tam dużo i wysoko, młodzież z województwa zostawiała tam fortuny, obok starszych graczy z prowincji, jakimi byli Sołtyk, Adam Skorupka zaczynał już i Koźmian swój zawód ~~otyłości~~, któremu został wiernym do ostatnich czasów. ~~Stanisław~~ Stanisław Koźmian był pod każdym względem bardzo znaczną niepospolitą osobistością, która w historyi naszej powszechnej od roku 1862 bardzo ważną odegrała rolę. Syn Andrzeja Koźmiana, sybaryty, mieszkającego większą część życia w Paryżu, który w swych pamiętnikach nic innego nie umie powiedzieć, jak to, że tego a tego dnia był u tej lub u owej pani na obiedzie, wychował się także w Paryżu

i gdy przybył do Krakowa dość nieporadnie mówił i pisał po polsku. – Wychowany pod wrażeniami paryskiej Bohème został nadal u nas typem Murgerowskich czasów, a trzeba przyznać typem bardzo sympatycznym, a swym rozumem i twórczością zapatrywań wiele pojęć wniósł w naszem społeczeństwie. – Reżyser teatru p. Jasiński nie mógł długo wytrzymać w Krakowie; mówiono, że zraziło go postępowanie zanadto przyjacielskie dyrektorów wobec artystek, ich sympatye i protekcye nie zgadzały się z jego ideami o moralności i porządku w trupie teatralnej; z drugiej strony dyrekcya zmiarkowała się, że budżet teatralny nie pozwala na drogich reżyserów, tak że Jasiński wrócił do Warszawy po półrocznym w Krakowie pobycie, a Koźmian został teatralnym doradcą, a z czasem samowładnym dyrektorem. Wybór był szczęśliwy, bo Koźmian znał wybornie paryskie sceny, bardzo był oczytanym w dramatycznej literaturze, miał dobry smak i znał wymagania publiczności. Moraliści zarzucali mu, że zanadto wprowadzał zbyt lekkie francuskie sztuki do teatru, ale scena jeśli miała mieć powodzenie nie mogła być nudną, i nie można było wiecznie grać Barbary Radziwiłłówny Felińskiego i Halszki z Ostroga Szujskiego, ale musiano się cokolwiek zmodernizować i bawić publiczność. Obecnie w stanowisku teatru się zmieniły, większość publiczności, klasy średniej, pracujące dzień cały, wymagały wieczór rozrywki, zabawy, a nie moralnych kazań. – Koźmian zrozumiał to i wprowadzał jak największą rozmaitość na prowincyonalnej scenie, jak krakowska, która musiała się liczyć z małą publicznością.

Obok Modrzejewskiej najznakomitszą artystką krakowskiej sceny była już wówczas panna Antonina Hoffman, nie tak pięknej powierzchowności jak pani Helena, ale mająca może więcej jak ta zasobów na prawdziwie dramatyczną artystkę. Hoffmanówna była postawy słusznej, namiętniejsza, ani żeli Modrzejewska, a już twarz jej zdradzała nieprzeciętną dramatyczną potęgę. Żywe oko, rozwarte nozdrza, bujne włosy, porywający głos – były znamionami tej siły, która miała w jej duszy. Nie dziw też, że Koźmian szybko uległ jej urokowi Hoffmanównej, i że zawiązany raz z nią stosunek wytrwał w nim, aż do jej śmierci. Koźmian miał dwoje czy troje dzieci z Hoffmanową, mówiono nawet przez długi czas, że wziął z nią ślub potajemnie, ale to było nie prawda. Mieszkał on zawsze albo w tym samym domu co ona, albo w pobliżu niej, przyczyniał się hojnie do utrzymania dzieci, pamiętał o nich, i opiekę okazywał jej, nawet później, kiedy Hoffmanowa zestarzała się i zbrzydła, wiele serca i wiele przywiązania. – Hoffmanowa umarła na raka (r. 1896.), Koźmian przywoził ją po kilka razy do Wiednia celem operacyi, wydawał na nią co tylko się dało, pielęgnował jak siostra miłosierdzia, słowem był dla niej lepszym, jak wielu mężów dla swych żon bywało. – Śmierć Hoffmanowej stała się zwrotem w życiu Koźmiana punktem, przestał on więcej pisać, zestarzał się, zasmucił, przestał nawet grać w gry hazardowe, zerwał z tą namiętnością, której się dotąd nigdy (nie miał oprzeć się nie mógł. – Wierny swoim paryskim przyzwyczajeniom Koźmian, ponad wszystko, chwilowych z kart szczęśliwej grze w karty dość znaczny ał dochodów, prawie nigdy swego własnego domu, mieszkał w Krakowie jak student, któremu stróżka usługuje, albo się włóczył od hotelu do hotelu, nie czując nigdy potrzeby domowego ogniska. Wprawdzie to ognisko miał po części u Hoffmanowej, wprawdzie miał w Krakowie ożenioną z córką przywiązaną przyjacielską rodzinę, ale przecież to nie dom własny zastępować nie mogło, żył zawsze z dnia na dzień. Ubrany najczęściej fatalnie, zaniedbany, nie wyszukany, ale twarz szlachetna, rozumna, wyraz sympatyczny nadawały

Co się z nim spotkał zapomnieć; o tych zewnętrznych brakach. –

IV

Po powstaniu, w roku 1864/5 gdy smutek i zwątpienie ogarnęły nasze społeczeństwo, wziąłem się i ja do pracy. Jeszcze w Grodnie zebrałem materyały do owej rozprawki krytycznej, o której wspominałem i którą na los szczęścia posłałem do Biblioteki warszawskiej. Radość była wielka, gdy Biblioteka ją umieściła, a literackie aspiracye coraz bardziej we mnie wzrastały. – W moich pojęciach religijnych zrobił się wielki przewrót, upadek stanowczy naszej sprawy narodowej wzbudzał u nas młodych tem większy sceptycyzm, im więcej byliśmy przez naszych poetów, przez nasze czasopisma przyzwyczajeni do uważania się za naród, który zasłużył sobie na szczególną opiekę Opatrzności, im bardziej u nas wmówiono, że jesteśmy narodem wybranym. – Określenia „Naród ofiara", „naród prorok" stały się wyrazami bez wartości, całe nasze poetyczne Credo, powstałe przez wszystkich od czasu powstania naszych wielkich poetów straciło na wartości. Wielu z najszlachetniejszych moich kolegów zginęło, zginęli Emanuel Moszyński, Kazimierz Straszewski, Kratochwil z rozpaczy życie sobie odebrał, zginął także Juliusz hr. Tarnowski, Mieczysław Romanowski i dużo, o których tyle dobrego słyszałem – z Warszawy nadchodziły ciągle najstraszniejsze wieści o egzekucyach, więzieniach, o wielkim ucisku grożącym narodowi niemal zupełną zagładą. – W czasie tej smutnej nastroju ducha wpadła mi w ręce książka Büchnera „Kraft und Stoff", rodzaj elementarza szkoły materyalistycznej, streszczającej w popularny sposób rezultaty badań niemieckiego przyrodnika Karola Vogta, angielskiego przyrodnika Darwina i całej tej plejady zachodnich uczonych, którzy obalali dotychczasowe filozoficzne pojęcia, na podstawie olbrzymiego rozwoju nauk przyrodniczych, nauk doświadczalnych. Książka Büchnera i Buckle'a Historya cywilizacyi w Anglii ogromne na mnie wrażenie uczyniła, sprawiły prawdziwe wrażenie, starałem się czytać jak najwięcej pism tych ludzi nowe mających pojęcia, a ponieważ przyzwyczaiłem się już pisać o każdem nowem wrażeniu, i zawsze lubiłem pokazać swego pióra, więc też wziąłem się zaraz do opracowania dłuższej rozprawy ujętej w popularną formę *Listów do Kazia*. W listach tych rozwijałem wszystkie zdobycze badań zagranicznych badaczy. Im bardziej się wczytywałem w ten przedmiot, tem więcej sceptycyzmu wsiąkało w moją duszę, tem bardziej się chwiały religijne podstawy mego wychowania. – Z Tytusem dyskutowałem nowe zasady, a ponieważ on tak samo (jak przyszło mi wierzyć) do głębi, więc układaliśmy cały plan nowego apostolstwa. Wziął on *Listy do Kazia* ze sobą do Warszawy i tam je miał koniecznie umieścić w jednem z bardziej postępowych czasopism, a przedewszystkiem ofiarować je panu Wójcickiemu do *Biblioteki warszawskiej*.

Tymczasem pojechałem na wakacye już w lecie roku 1865 i zjechałem do Równego. W Równem był się wielki dwór na przedmieściu, za dworem duży sad, przed domem ogromny dziedziniec zarośnięty trawą, zamknięty drewnianemi budynkami, które otaczały gospodarskie budynki. Rodzice z małą moją siostrą zajmowali jedną stronę domu, na drugiej stronie rezydowała panna Józefa, ona opiekowała się po śmierci Walentyna i mnie oddano duży pokój nizki, ponury, zacieniony wyniosłemi w pobliżu okien drzewami. – Ojciec zabrał się bardzo energicznie do gospodarstwa, miał nadzieję, że jeżeli nie będzie klęsk elementarnych, to potrafi po kilku latach usilnej pracy pospłacać długi, które mu bardzo ciężyły, i pozbyć się lichwiarzy, na których od wielu lat pracował. Lichwa jeszcze wówczas nie była karaną, a żydzi pożyczali szlachcie tylko

na nadzwyczaj wysokie, rujnujące procenta. – Przedewszystkiem, gdy ktoś mniej zamożny pożyczał np. 1000 guldenów musiał żydowi wystawić weksel na 1100 lub 1200; procent zaś miał się stosować do okoliczności, od 12–20. od sta. Oczywiście ziemia nie mogła wytrzymać takiego ~~lichwy~~ ciężaru, a ponieważ przemysłu prawie zupełnie w kraju nie było, więc pierwsza większa zaciągnięta pożyczka równała się prawie finansowej ruinie. Ojciec mój też musiał później, że dwadzieścia lat pracował ciężko na lichwiarzy, i że mimo tej pracy brnął coraz głębiej w lichwiarskie długi. – Z razu miał w Bogu trochę nadziei, że trudności pokonać potrafi. Podczas wakacyj, w czasie żniw pracowaliśmy wszyscy, ojciec i matka nie przychodzili czasem nawet na obiad do domu, ale cały dzień przesiedzieli w polu pilnując żniwiarzy, ja a nawet młodziutka moja siostra byliśmy w gumnach zachęcając snopy, a w niedzielę tylko i w dni niepogodne wypoczywał cały dom wypoczynek. Ale ten wypoczynek bywał czasem gorszy od pracy, bo każda słota odbijała się oczywiście na humorze ojca, na stanach dobrego zbioru. Spadanie barometru, zachodzenie słońca za chmury, każdy wiejący wiatr – doprowadzały mnie często do rozpaczy, bo widziałem jak zwolna nadzieje mojego ojca, jak jego żelazna nawet energia nic pomóc mu nie potrafi. A Bóg i kościół to sfera dziwna, więc na niepogodzie mi bardzo. – W dni spokojniejsze uciekałem do książek, zacząłem pisać, przymusiłem dramaty białym wierszem, z których każdy był odbiciem nastroju duchowego, w jakim się znajdowałem. Pierwszym był dramat „Elżbieta Tarakanoff", wyraz oburzenia na despotyzm, na carskie rządy, drugi „Kołłątaj" stał się apoteozą polskiej wspaniałej przeszłości, trzeci wreszcie „Ksiądz Rafał", miał za temat ~~polską~~ ideę reformacyi w Polsce, i przedstawiał księdza Reformatora, jako szlachetną postać wobec ciemnego despotyzmu dawnego kleru. Oczywiście Ksiądz Rafał był już wyjątkiem wśród naszych, materyalistycznych idei.

Ojciec mój prenumerował „Gazetę narodową" wychodzącą we Lwowie, i tamtejszy „Dziennik literacki" pismo tygodniowe, do którego z Krakowa pisywałem korespondencye. Raz w dzień gospodarczy, przybiega do mnie moja siostra, która wachowała wówczas snopki na gumnie, niosąc z radością nowy numer Dziennika, i każe mi zaraz tam notatkę przeczytać. Drżałem z radości, gdy mi mogłem przeczytać następujący ustęp: „W Bibliotece warszawskiej ukazała się interesująca i starannie opracowana rozprawa historyczna pod tytułem „Zygmunt Korybut". Wspominamy o niej głównie dla tego, że jest pierwszem wystąpieniem w literaturze młodocianego autora, który przed dwoma zaledwie laty ukończył gimnazyum św. Anny w Krakowie. Koledzy i przyjaciele pana Chłędowskiego upatrując w nim niepospolite zdolności i naukę u naszej młodzieży wytrwałości i zamiłowania do pracy, namawiali do zapisania się na wydział filozoficzny uniwersytetu jagiellońskiego. Stosunki jednak otaczające go nie pozwoliły na to. Pan Ch. oddał się na wyłączne gospodarstwo z powszechnym żalem kolegów którzy rozumieli, że przez to jego zdolności stracone będą dla kraju. Wystąpienie pana Ch. z pracą ściśle historyczną w piśmie tak znanem i słusznie cenionem jak Biblioteka warszawska będzie zapewne miłym sprawdzianem dla grona licznych jego kolegów i przyjaciół." Co to nas z przyjem-

rozpisującemu w szpaltach naszego pisma świeże imię młodocianego historyka rokującemu i życząc chwalebnego na tej niwie zawodu i sukcesów". – Ojciec tego w owych czasach [?], a najlepszą miarą radości mojej rodziny z powodu tego artykułu może być fakt, że moja siostra, która miała wtedy lat 12., podyktowała mi tekst dzisiaj po latach 30. z pamięci. – W krótki czas jednak po nadejściu tego artykułu do Równego przypomniałem ~~przyszedł mi~~ list pana Wojcickiego z Warszawy, że ze mnie chyba historyka nie będzie. Redaktor Biblioteki Warszawskiej pisał do mnie, po otrzymaniu rozprawy o [illegible], że z ubolewaniem widzi, że porzucam pole historycznej pracy, i w gminnych wyrazach wytknął mi śmiałość idei, którą chciałbym propagować. – Fryer [?] taki mi doniósł z Warszawy, że tego rodzaju rzeczy nie drukują się tam. Jestem drukowany i przysłano mi siedem rubli za jakiś inny artykuł, pierwsze honorarium i w ogóle pierwszy zarobek jaki otrzymałem. Siedem rubli trochę było za mało, ale przyjemniejszy zarazem przypuszczać, że mogę coś zarobić. Patrząc jako gospodarz ciężkim i jakiemi ~~[illegible]~~ to trudami przychodzi się do jakich takich dochodów, traciłem wielką ochotę w własnej młodości i prawie rozpaczałem nad tem, kiedy i jakim sposobem dojdę do własnego chleba, i czy rodzicom moim ulżyć potrafię. W literaturze, do której najwięcej miałem sympatji nie widziałem realnych owoców, ~~do~~ na owoce trzeba było długo czekać ~~[illegible]~~, zresztą znane mi były stosunki wydawnicze w Galicji, gdzie młody autor musiał po ukończeniu wielkich studjów służyć kilka lat za darmo, a następnie otrzymywał płacę, za którą sam zaledwie wyżyć potrafił. Dziś ta cała moja młodość ciężko mnie trapiła: w jakiś ja sposób zdołam zadośćuczynić ciężkim obowiązkom, które mnie czekają, co ja pocznę, gdy ojciec schorowany się opuści. Wskutek tych obaw nie miałem chwili spokoju, jak ołów ciężyła ta troska na mojej młodości, a gdy słyszę tego lub owego, że chętnie by się wrócił do swojej młodości, to we mnie jedno nigdy te pragnienie nie powstało, i nie radbym po raz wtóry zapuszczać się w ciężkie jarzmo egzaminów i trosk o byt – o przyszłość. – W dzisiejszej wielce utrudnionej i skomplikowanej walce o byt, dzisiaj kiedy współzawodnictwo w każdym zawodzie wyśrubowane zostało do najwyższego stopnia, i tylko z wysiłkiem wielkich sił można uzyskać jakie takie w społeczeństwach stanowisko – westchnienie to powrotu do czasów młodości coraz się rzadsze, i podczas gdy dawniej, osobliwie u mieszkańców wsi, mimo słyszałem wykrzykniki: „ah, żeby to wrócić do młodości! ah, żeby to mieć lat 24.." dzisiaj, u tych którzy mieszkają w tym djabelskim młynie, w wielkiem mieście, wykrzykników takich słyszeć mi się prawie nie zdarza.

Praca, troski, zmartwienia się coraz to więcej od ludzi oddalały, coraz więcej mojego ojca i mała nasza rodzina żyła w coraz to większem ~~osamotnieniu~~ od świata oddaleniu. Siostra moja miała już lat 14, trzeba było myśleć o daniu jej na pensję, a środki rodziców z największem wytężeniem pozwalały zaledwie na utrzymanie mnie na uniwersytecie. ~~Siostra~~ Seweryna wielkich talentów dziewczyna, obdarzona nadto zdumiewającą się pamięcią, ludzi, ~~[illegible]~~ prócz domowników prawie nie widziała, wyrosła tylko na dworcu wsi, a w tej atmosferze ciągłych trosk i ciężkiego życia rozwijała się umysłowo szybko, prędzej rozumnie aniżeli to wśród koleżanek, i wśród społeczeństwa rozwijać się mogła. Wychowywała się ona tylko pomiędzy starszymi, ~~[illegible]~~ zabawy z rówieśnicami prawie nie znała. – W domu było nie wesoło, nasze tygodnie mijały, i widziało się tylko jednych, jednych gości, zjazdów z Dubna lub z [illegible].

Już z rana, zwłaszcza w jesieni lub w zimie, kiedy ojciec w pole nie wychodził, przychodził Icek Fekler z Dukli. Ojciec mój leżał jeszcze w łóżku, Icek stawał przy drzwiach i zaczynał swe opowiadania: „ks. Mecińśki pojechał do Tarnowa, albo na polowanie, Glazer, rządca z Łęk, kazał wy sprzedał pszenicę po 7. guldenów, żyd Weinberger pożyczył panu z Wrocanki 1000. guldenów na 18 od sta i t.d." Opowiadanie trwało dosyć długo, tymczasem przychodził Kalb z Tylki, wchodziła matka z interesami, żyd stał i stał... Ojciec mój musiał wstawać, żyda za drzwi wyprosić, żyd usiadł sobie w kredensie, lub szedł do sieni, wypytywał się o to lub owo i cierpliwie czekał, dopóki się mój ojciec nie ubierze. Sprzątano w pokoju, ojciec wyszedł na ganek, do gospodarstwa, żyd za nim, dla niego każda wiadomość, każda informacja była ważną, spieniężył on ją bowiem w ten lub ów sposób. Imaginacja żydowska w interesach jest niewyczerpaną. Ojciec wracał znów do pokoju, żyd jeszcze się pokazał przy drzwiach, jeszcze rozmawiał, aż nareszcie gdy do obiadu nakrywano żyd zdjął ~~[illegible]~~ jarmułkę (aksamitną czapeczkę przykrywającą tylko środek głowy), skłonił się i miał wychodzić, ale sobie jeszcze przypomniał, że pan Łukasiewicz z Chorkówki miał tego miesiąca 25.000 guldenów dochodu z kopalni nafty w Bóbrce. – „No poczekaj jeszcze Icku..." Icek czekał, rozmawiał dalej, podczas obiadu siedział przy stole, patrzył co na półmiskach, ale stał cierpliwie pomimo że od 8ej z rana nic nie jadł. To co państwo jedli było „trefne" tego jeść nie mógł chociaż go proszono. Matka go zapytała czyby się nie napił szklanki herbaty. O herbatę poprosił, wypił szklankę, bez śmietanki, bez chleba tylko z kawałkiem cukru. I po obiedzie znów trwała rozmowa, przerywana od czasu jakimś westchnieniem, jakby ziewnięciem. Około czwartej, gdy się już zmierzchało, żyd pokłonił się znowu jarmułką zamierzając iść z powrotem do domu. Ale na pożegnanie przypomniał sobie, że w domu ma wszystko, kartofle i że radby [illegible] dostać. – „Mocharin,!" zawołał ojciec do matki – „Każ Ickowi wydać pół korca kartofli i ćwierć żyta!" – Icek siedział dzień cały, stał na jednem miejscu osiem godzin, wytrzymał, aby dużo nowin opowiedzieć, ale wracał nie z próżnemi rękami. Gdyby był siedział w domu, nicby nie był zarobił. – Nazajutrz szedł znów do pana Glazera, albo do Sobotnego i tam on stał przy drzwiach i znowu opowiadał, tym razem także o panu Chłędowskim.

Szczególnem zaufaniem i prawie przyjaźnią mego ojca cieszył się Steinreich, żyd z Rymanowa; mój ojciec będąc jeszcze w Iwoniczu zrobił mu jakąś wielką przysługę, żyd był wdzięczny. Ojciec mu był winien jakąś kwotę, ale Steinreich brał ludzki procent, i czekał na pieniądze, dopóki zboże na jarmarku krośnieńskim nie będzie sprzedane. – Steinreich przyjeżdżał także od czasu do czasu i także godzinami stał przy drzwiach, opowiadał o swoich interesach, radził się mojego ojca i nawzajem mu doradzał, jak wyjść z tego lub owego interesu, czy ze zbożem czekać jeszcze, czy sprzedać; lub w jaki sposób niektóre długi spłacić, a drugie zaciągnąć. – Steinreich radził Herscha z Rymanowa, że ten ma teraz pieniądze, możnaby od niego zaciągnąć pożyczkę, a spłacić Weinbergera z Dukli, który się niecierpliwi, ostro strasząc grozi. ~~Hersch~~ Hersch był zażyły, dobrze znany żyd kapitalista, podawano mu krzesło gdy przyjechał i zaraz ustawiano szklankę herbaty. Steinreich i Icek w obcisłych kaftanach, z bawełnianej lśniącej materyi, stali, Hersch w atłasowym czarnym kaftanie siedział, objąwszy ręce za pas i kołysał czasem wyjmując gruby, skórzany pugilares, w którym zawsze na wekslach były podpisy i pana Gniewosza i Niszkowskiego i Reizensteina z Rymanowa.

Steinreich pobierał także Bajgełka, chrześcijanina, byłego ekonoma, który jakimś sposobem się wzbogacił, kupił folwark pod Równem i na lichwę pożyczał. Ten Bajgełk wpijał się w ciało obywatelstwa, tak, że i u nas głęboko żądło jego tkwiło. W tych owych czasach, ciągle zrujnowanej trawy, nadto wykolejonych w czasach przychodził ~~ten~~ Bajgełk czasami na mizernym wózku, a widok jego w bramie był już zapowiedzią zmartwienia.

Do domowych żydów należeli Wolf z Witkowa i Fejwel z Równego, arendarz. Wolf przyznał się tylko do [illegible] żydów, żona jego była wdową po Itku arendarzu [illegible] za Walentego. Itek był spokojnym żydem. Wdowa po nim gruba, dobra gospodyni, cicha, bez akcentu mówiąca po polsku, wzdychała za pierwszym swoim mężem, po którym nosiła dzieci i bolała nad niedołęstwem Wolfa. Wolf jednak zręczny był do interesów, a karczma za jego rządów w bogactwo porastała, trunków było dużo, interesów mnóstwo, a gdy od nas do nas sprowadził muzykę, to chłopi pili dużo. Wolf przychodził często, nie był taki ustronny ~~[illegible]~~ jak Itek i niecierpliwił się i [illegible] się [illegible] w [illegible], gdy mu [illegible] karczma, miał swoich interesów dużo, ale nie był ze wsi. Pan Łukasiewicz z Chotkowa [illegible] karczmę a u pana Łukasiewicza więcej można było zarobić, ale z panem w Równem, ale był Dzierżawca ~~[illegible]~~ Karczmy a od Dzierżawcy nie chodził. Nie mógł więc i Równego [illegible]! — Fejwel, wysoki, chudy, żyd, rodem z [illegible] pochodzący z tych żydów co Chrystusa [illegible] ukrzyżowali, miał karczmę za równiańskim ogrodem, ~~a~~ trzymał nawet konia w stajni. Do pomocy przyjmował jedną ze swych córek, których miał kilka, a wszystkie ładne, choć trochę [illegible] Dzierżawcy. Powodziło mu się dobrze, bo karczma przy cesarskim gościńcu dużo [illegible], sprawiał też kiedy wesela swym córkom i dobrze je za mąż posydawał. Rzadko chodził do dworu, bo charakter grzeczny, miękki, umiał, że jeśli w jakiejś sprawie mój ojciec na niego zły był, albo obelżywe mu powiedział słowo, tak się nawet i na pana. A przecież wołał politykę, [illegible]. — Kilka razy jednak wyszedł z dworu, wzruszony nie z ~~[illegible]~~ gniewem, ale z [illegible]. Dużo o [illegible] jego zawsze [illegible] ojca. Siedział cicho na karczmie, ale ~~[illegible]~~ [illegible] kupował.

W sypialnym pokoju mojego ojca była wysoka, czarno politurowana szafa w której się mieściło ciekawe, ale bardzo dla nas smutne archiwum. Każdy wierzyciel miał osobny swój arkusz zawinięty w starą gazetę, z odpowiednim napisem na kartce: „Hersch”, „Steinreich”, „Weinberger”, „Bajgełk” itd. itd. oto tytuły prac, zapobiegliwości, gospodarstwa trochę całej rodziny. Spłacone długi miały osobną półkę, pod nazwiskami wierzycieli już zaspokojonych, i mój ojciec z radością patrzył na te usunięte już weksle, na te ~~[illegible]~~ zniesione dokumenta. Takiego spłaconego weksla nigdy był ~~mój ojciec~~ do pieca nie wrzucił, umieszczał on porządnie w tem smutnem archiwum, na dowód, że mój ojciec pozbawił długów. — Naprzeciw tego archiwum stała szafa z otwartemi półkami, w której się mieściło jeszcze mnóstwo książek, literackich po Walentym, ani Schlegla, Hegla i Kanta spoglądały spokojnie na te dokumenta pracy, trudu i mogły przyjść do przekonania, że sama spekulacja myśli szczęścia nie daje.

Pomiędzy domownikami najciekawszą postacią był Machaj Osiński, czarny, przystojny mężczyzna, który chodzeniem po polowaniach tak sobie nogi osiadł, że wóziłby je za sobą jakby były zrośnięte ~~[illegible]~~ z waty. Osiński miał trzy namiętności: polowanie, Dzierżawcę i wódkę. Mieszkał z rodziną z jakiś trzy kwadranse drogi od dworu i tam chodził na noc, ale nie

to mi zawadzało, bo po pierwsze, był jak najpewniej za starszy od mnie [illegible], a powtóre zo-stał zawsze ze rolą strzelby i gdy szedł do domu lub do dworu, zawsze miał nadzieję, że po drodze spotka zająca, kuropatwę, a jak się uda i lisa. — Błażej był dobry, cichy człowiek, jak wielu z tych, co lubią do kieliszka zaglądać; miał dużo zdrowego rozumu, usposobieniu o gro-ni lekki i wesoły, a martwić się nie lubił. Z Błażejem łączyła nas wspólna namiętność: chodzenie ze strzelbą, wiele wszakże nie mogliśmy upolować, bo już wiele nie było, ale chodziliśmy na spacer z odziedziczonemi kurkami, na dół góra krzaków obrastających dawny strumień brzegu Jasiołki, ja dotąd i cieszyliśmy się nadzieją, że przecież kuropatwa wyleci. Cóż co chwila stawał, Błażej wołał „uwaga", ale zamiast spodziewanej zwierzyny wylatywała najczę-ściej sikorka i śmiała się z myśliwych. — Pod krzakami, aż po rzekę, na dwie jeszcze przestrzeni roz-ciągały się piękne łąki i łoziny, a do najprzyjemniejszych chwil mego pobytu w wakacyach należało błądzenie wśród tej zieleni. Czasami na kamieniu czapla zapadła, albo w łozinach dzi-kie kaczki się ukryły, wtedy serce biło, aby się do nich zbliżyć, aby je podejść ze strzelbą, ale kaczki były chytrzejsze od studenta krakowskiego uniwersytetu.

W drugim, czy trzecim roku pobytu naszego w Równem trafiła się sposobność bli-zko przyglądać się, a tem samem ubyć sobie w podwójnem rolnem gospodarstwie, z dwóch stron niespokojnej rzeki. Hrabina Jadwiga Weissenwolf, z domu hr. Krasicka z Dubiec-ka miała już od dawnego czasu romans z hr. Cezarem Mycielskim z Dubiec. Ofiara rodzinnych swatów, prawie zmuszona, wyszła hr. Jadwiga, młoda, piękna, pełna życia kobieta za hr. Weissenwolfa, ordynata z Wyższej Austrji, człowieka fizycznie i moralnie upadłego, prawie idiotę. Małżeństwo było niedobre ~~bezdzietne~~, hr. Weissenwolf nie mieszkała z mężem, ale tem samem też była młodej, dalszej kobiecie o rodzicach. — Zamiast więc siedzieć w Dubiecku, gdzie rodzinie zbrzydła, skorzystała Weissenwolfowa ze sposobności, aby nie zamieszkać Witryno obrać sobie za siedzibę, i być w najbliższem sąsiedztwie Mycielskiego. Kupiła majątek od ojca 8.000 zł. w spłaceniu pożyczonych długów, a Witryno trzymała w procencie, dodając naturalnie jesz-cze jakiś roczny czynsz. — Hr. Weissenwolf żyła prawie jak mężczyzna, ujeżdżała konie, po-lowała, ubierając się czasem po męsku, co naturalnie w małej jeszcze patriarchalnej naszej oko-licy wielkie wywoływało zgorszenie. — Z sąsiednim domem a nas nie było żadnych sąsiedzkich stosunków, w ogóle żyła ona tylko z Mycielskim, nie wiele się troszcząc, co świat o niej mówi. Gospodarna jednak, energiczna, utrzymywała dwór i ogród w porządku.

Od dawnego czasu cała nasza okolica zajmowała się nie mało ciekawą spółką naftową, składającą się z Karola Klobassy, właściciela Zręcina, Trzecieskiego, właściciela dóbr Miejsce i aptekarza z Jasła, pana Łukasiewicza. Klobassa i Trzecieski byli raz na polowaniu w lesie bóbrec-kim należącym do Klobassy i spostrzegli tam źródełko nafty sączące się w moczarach. Sprowadzili aptekarza Łukasiewicza, aby to źródełko oglądnął, a pan aptekarz, który już czytał o nafcie w Pensylwanii, w Ameryce i o jej rafinowaniu, zaczął sobie wydobywać z bóbreckiej ropy i wydestylował z niej petroleum, czyli tak zwaną wtedy „kamfinę". Nie wiele sobie na razie z tej produkcji obiecując, zawarli wspomnieni trzej panowie umowy układ, na mocy którego zyskanie z bóbreckiej ropy w równych częściach dzielić się miało. Zaczęto wiercić studnie, okazała się olbrzymia produkcja ropy, a ponieważ wtedy cena petroleum była jeszcze bardzo wysoka, bo kaspijskie kopalnie nie były jeszcze znane, więc olbrzymie sumy płynęły do kas trzech wspólników. Klobassa, wdowiec, wziął drugą żonę

sąsiadką, owy [illegible] Dobrowolska, o której wspominałem, żył jak zwykle w [illegible]; Trzecieski przeniósł się na bardzo skromne gospodarstwo, a Łukasiewicz kupił Chorkówkę od Dobrowolskich, założył tam destylarnię nafty, pierwszą w Galicji, dorobił się majątku i zrobił wiele dobrego. Ciekawy to był człowiek: skromny, a nawet przesadzający się w skromności, ze spuszczonym na dół wzrokiem i łagodnym uśmiechem, zawsze w szaraczkowej dziwnej sukmanie, zawsze w pracy. Nadawał sobie pozory, jakby znosił to bogactwo jako dopuszczenie Boże, jako ciężar włożony nań przez Opatrzność, z którego musi na sądzie ostatecznym zdać rachunek. Robił też bezmiernie dużo dobrego, nie było ubóstwa w okolicy, któremuby Łukasiewicz nie udzielił pożyczki, nie było bankructwa, któregoby nie zażegnał. Mówił: „Łatwo dobrze robić, jeśli się ma z czego" — i robił dobrze a rozsądnie, tak, że nie można [illegible], iż z czasem podniósł ekonomicznie całą okolicę. — Odbijał on od [illegible] [illegible] [illegible], którym zamknął się, lub wyjeżdżał, aby nie ustąpić od ataków na swoją kieszeń, otoczył się bankierskim [illegible] i grzązł w częściami. — Trzecieski zaprowadzał wtenczas gospodarstwo tam, gdzie wody nie było, zaczynał drenować łąki, które wody potrzebowały, a drzewa [illegible] takie, które nie miały wody za dużo, stawiał domy, przebudowywał, a wszystko niepraktycznie i przy niej[illegible] wkładał w majątek, jak w piasek, nie pozostawiając po sobie śladu. — Rzecz prosta, że uboga okolica nigdy się tak nie zapomniała, jak ta trójka naszych sąsiadów w Galicji [illegible]. — Gdy Łukasiewicz umierał pozostawił po sobie na (60000 złr.) [illegible] wdowę, która podnieść kazał i piękny majątek, który został tak zmarnowany, że niedawno w biedzie umarła. Po Klobassie odziedziczyli synowie olbrzymie fortuny w ziemi i kapitałach, i tak się szybko z niemi uporali, że dzisiaj resztki już tylko istnieją; majątek po Trzecieskim pozostał w połowie w rozsądnych rękach jednego syna, podczas gdy drugi syn swoją część przetrwonił, i zmarnowany na zdrowiu i siłach zakończył życie [illegible] [illegible]. — Dziwne, jak szybko wielkie majątki schodzą na [illegible] rodzin.

Gdym na trzeci rok prawa w jesieni roku 1864 wrócił do Krakowa dowiedziałem się w mojem otoczeniu zmiany. Ponadewszystkiem wzięliśmy inne ~~[illegible]~~ mieszkanie. Mieszkałem w Krakowie dalekiego krewnego Dominika [illegible], który był radcą sądu krajowego i [illegible] wówczas w Krakowie. Dominik, stary kawaler, owszem bardzo pedantyczny człowiek, był jednak już wyglądający jak święty [illegible] [illegible], który nie jeszcze [illegible], [illegible] wysoko nosił, ale nogami zacina[illegible] zajmował mieszkanie na pierwszem piętrze w grodzkiej ulicy, składające się z przedpokoju, dużego salonu, mniejszego pokoju i kuchni, w której rezydował służący, chłopak z Lanckorony, Damian. Dominik, bardzo oszczędny, zaproponował mi, abym odnajął od niego mniejszy pokój, zważając ~~[illegible]~~ się za 9 złr. miesięcznie, wymawiając sobie, że jak będzie miał gości, będzie mógł drzwi od swojego salonu do mojego pokoju otworzyć, aby się wydawało, że ma apartament. Zgodziłem się na to, widząc, że Dominik nie jest chorobliwie gościnnym i że rzadko chyba będzie otwierał salony. — Jedyną trudnością w przeprowadzeniu tego projektu był stół z czarnego marmuru ważący o ile sobie przypominam [illegible] cetnarów i będący niebezpieczeństwem dla każdych belek, aby się pod jego ciężarem nie ugięły. Stół ten zrobiony zapewne z krajowego marmuru, był ozdobą domu Dziadka pana Dominika, należał do najcenniejszych rodzinnych pamiątek i we wszystkich przeprowadzkach wędrował z Dominikiem ze wsi do dworu, z dworu na wieś, ze wsi do Krakowa — i to w czasach

Nigdy także zielonej nie było. Dominik obawiał się postawić stół w moim pokoju, nie dowierzał mi, czy tego stołu atramentem lub co gorsza, jakim trzonem nie pobiję – i ostatecznie postanowił do celi go przeprowadzić. Ale gdzie go postawić? pod ścianą w celi nie było miejsca, a na środku nie można, gdyż posadzka musiałaby się zawalić. Po długich naradach stół stanął pod ścianą, wszelkie czy zdrowie [illegible] tragiczny operacyę tę przeprowadzono. Wydaje się, że Dominik, który nie wiele wiedział o sztukach pięknych, pojęcia uważa ten sprzęt za wielki artystyczny dzieło. Historya stołu nie zakończyła się jeszcze na grodzkiej ulicy, przyjechał on raz jeszcze do dworu, i stamtąd do Gnieźnie, znów z powrotem do dworu, gdzie istniał aż do śmierci swego pana, gdzie dzisiaj się znajduje już mi niewiadomo. Dominik znany był w urzędzie jako dość zabita głowa, a właśnie gdy się do niego sprowadziłem, pisał jakiś referat o prowincyi, który zwał się skończyć dopiero na 80tym arkuszu. Wieczorami więc on pisał w swoim, a ja w swoim pokoju, ja tylko pisałem jakąś nowellę pod tytułem „Zielony sztandar", a on referaty. Dominik zaglądał do mnie często i strasznie go to gniewało, że ja tak prędzej piszę od niego. – „I wszystko to piszesz z głowy?" – pytał. „Ze głowy". – „Nie sztuka lekko nowy pisać, ale ja muszę stare papiery, stare dokumenta studyować; zanim jakie zdanie napiszę". Ja pokornie przyznawałem, że może nowy prędzej łatwiej pisać, niżeli jego, ale te zapewnienia nic nie pomagały, zawsze zawiść w tym rzeczy, Dominik nie mógł mnie znosić, że prędzej piszę od niego. Po takim więc [illegible] pojęcia stosunki nasze bardzo oziębły, zwłaszcza gdy raz zwróciłem jego uwagę, że peruka na którą rzekł od włosów bardzo już zmarniała i że trzeba ją zmienić. Dominik sądził, że ta uwaga zanadto wskazuje na jego farbowane włosy, i przy każdej sposobności wyrzekał mi niegrzeczne zachowywanie się teraźniejszej młodzieży wobec starszych. – Bardzo go w tej mierze popierał drugi radca sądu krajowego p. Edward Batkowski, jeden jego przyjaciel, także stary kawaler, jąkający się, zarozumiały, [illegible] i bardzo wiele o sobie [illegible].

Zdawało się, że ci panowie i ja byliśmy w jednem i tem samem towarzystwie. Na Grodzkiej ulicy mieszkali wtedy już państwo Stangiscy ze wschodniej Galicyi, którzy wydzierżawili swe dobra i przeprowadzili się na starość do Krakowa, aby w spokojności żywot zżyć. Państwo Stangiscy mieli przy sobie kuzynkę, Tarnę panną Wandę, która im służyła za powód do dawania wieczorów, a przy niej mieszkała wówczas jeszcze piękniejsza wychowanica pani domu, panna Maryja Świątowiecka – Zawadzka z Litwy. [illegible]. Maryja była nie wysoka, ale nadzwyczaj zgrabna, miała prześliczne czarne włosy, a pamiętam że jedno jej oko było czarne a drugie jakieś zielonkawe, przeciwnie temu oczami w pogodzie każdego podbijała. Wanda trochę cięższa i ciałem i umysłem podobała się osobliwie towarzystwu panów, jako statecznejsza i nic wyróżniająca się z farbowanych włosów. Przez jakiś czas bawił tam także brat panny Maryi, który później zmarniał w jakimś ultramontańskim internacie w Belgii i umarł z fizycznego wycieńczenia. Otóż Dominik wprowadził mnie do Stangiskich, a że tam co wieczór przyjmowano, a panny wołały się bawić z młodzieżą, bo starych mając w domu pod dostatkiem,

więc zacząłem tam bywać częściej. Wieczorami, których było dużo, co dla młodego żołdaka nie było obojętnem, a z pannami bardzo się zaprzyjaźniłem, i owszem widocznie w pannie Marji trochę kochałem. — Po jednym z takich wieczorów, już około północy, w nocy przyszedł do mnie Dominik bardzo zirytowany i zaczął mi prawić kazania, że moje zachowanie się wobec panien jest zanadto śmiałe, że tak p. Godlewski jak i on zauważyli; że kompromituję panny, i że państwo Starzyńscy się skarżyli; że wobec postępowania dzisiejszych młodzików żaden mężczyzna na serjo do panien zbliżyć się nie może. — „Jeżeli państwo Starzyńscy są tego zdania — odpowiedziałem Dominikowi — to dlaczegoż mnie zapraszają? — jak mnie nie będą zapraszać z pewnością tam chodzić nie będę". — Dominik nie wiedział co odpowiedzieć na taki argument, pomimo był bardzo zagniewany, a gniewał się jeszcze bardziej, gdy dalej częściej u tych domów bywałem gościem, bo wielkiej nie miałem powody. — Stosunki nasze z Dominikiem oziębły odtąd zupełnie. — Od czasu do czasu przychodził tam brat pani Starzyńskiej Świętopełk-Zawadzki, jeden z najpiękniejszych mężczyzn jakich w życiu spotkałem. Wysoki, barczysty, przepysznie zbudowany, dawny gwardzista w służbie Mikołaja, później ożeniony z księżniczką Radziwiłłówną. Zawadzki całe życie nic nie robił, tylko jeździł, polował, wykwintnie się ubierał i jak to mówią grał rolę wielkiego pana. Ale przyzwoiciej umiał ją grać, a gdy nadto ... to ludzie się za nim oglądali. Był to jeszcze typ jakich Francja przed wielką rewolucją musiała mieć pod dostatkiem, typ u którego całą charakterystyką była piękna arystokratyczna postawa. Oczywiście Zawadzki zmarnował majątek żony i później tułał się u córki, która dobrze zrobiła partję.

Nie mając na trzecim roku praw żadnego zajęcia ... co robić, a pomimo rozprawy materjalistycznej „Listy do kuzynki" w Warszawie do druku nie przyjęto, więc zmieniwszy ją nieco i poprawiwszy złożyłem ... posłałem do Dziennika Literackiego, pod tytułem „Realistyczna poezja". — Rozprawa zarobiła mi ... tego bałam, tem i owo mi mówił, że starsi, poważni ludzie się gniewają, że zbyt skrajny ... i bezreligijności; a Dziennik Literacki dostawał mnóstwo listów z protestami przeciw drukowaniu tego rodzaju rzeczy. Jeden tylko z mecenasów Dziennika p. Mieczysław Pawlikowski, ~~bardzo~~ wspierający to pismo pieniężnie bardzo się ucieszył, zapragnął mnie poznać i napisał do mnie list wzywający mnie do ... — Pawlikowski był synem owego właściciela Medyki w Przemyskiem, który zgromadził duży, piękny zbiór rycin i miał przepyszne ... znane na całą Galicję; syn jego Mieczysław trochę narwany, nerwowy, tak się rozgorączkował do nowemi teorjami filozoficznemi, tak wielkim był zwolennikiem Darwina, iż śmiano się z niego, że niczego tak nie pragnie jak z Gorillą mieć potomstwo, aby się przekonać, jakiby z tego małżeństwa wyszedł potwór. — Mieczysław trochę wyglądał na takiego apostoła jakich malowała niemiecka szkoła w pierwszej połowie XIX. wieku. Wysoki, szczupły, z długą jasną brodą, niebieskiemi oczyma, zawsze zamyślony i bujający gdzieś w obłokach, niepraktyczny i niezdara do codziennego życia. Dopóki miał więcej pieniędzy, ciągle wspierał jakieś dzienniki, a więc za porządkiem „Dziennik Literacki", „Kraj", później „Reformę",

62 69

gdy się pozbędzie wszystkiego i syn, dzisiejszy dyrektor krakowskiego banku na swoje ręce za-
czął pieniądze wydawać, pan Mieczysław ucichł i zdziadział, nie osiągnąwszy swych ideałów z [illegible].

Bardzo poważne stanowisko w społeczeństwie krakowskiem zajmował wówczas pan Franci-
szek Baczkowski, wiceprezes Towarzystwa rolniczego. Prezesem zawsze musiał być jakiś hrabia,
wówczas o ile sobie przypominam p. Henryk Wodzicki, bo dotąd utrzymuje się w Polsce i w Austrii tradycja, że
na czele każdej większej instytucji, każdego większego finansowego towarzystwa musi
być hrabia lub książę, choćby ten hrabia i książę przez większą część swego życia tylko tańcował, tylko długi
robił, i myśl rozumna nawet nie zabłąkała się do jego głowy. „Publiczność potrzebuje nazwi-
ska, potrzebuje firmy" – tak wszyscy mówią, ale publiczności za tę często bardzo sponiewieraną
firmę daleko mniej zależy, aniżeli tym arystokratom, którzy trzymając się za jakiegoś hrabi-
go i wodząc go za nos mogą swoją wolę przeprowadzić w danej instytucji, nie narażając
swego nazwiska. – I takich tylko kilka wyliczę przykładów: miał [illegible] swojego
Wodzickiego albo Potockiego przez długie lata w instytucjach krakowskich, miał [illegible]
swojego Sapiehę, dyrektor Simon swego ks. [illegible] w Anglo-banku we Lwowie,
miał wreszcie [illegible] jeden Rapoport swojego pana [illegible] Wodzickiego w Lan-
[illegible] wiedeńskim. Każdy z tych dyrektorów robił co mu się żywnie podobało ze swoim
[illegible] panowaniem, a im większym bywał panowaniem, tem więcej musiał zasłaniać
nazwiska. – Leon odbiegłem od pana Franciszka Baczkowskiego, tu starego kawalera, któ-
ry trochę wyglądał na czerwonego kanonika, taką się otaczał powagą i taki nawet u-
śmiech wiał na jego twarzy, w ogóle jednak posiadał to była kompetencja, wsz-
ędzie wielce szanowana, bo będzie szacunek jak wiele innych mniej można często
wnieść w publiczności. Pan Franciszek był ~~in odore sanctitatis~~ pomiędzy staremi
dewotkami, a pod starość wolno mu było wchodzić mało furtką. Miał on dwóch
bratanków, z których starszy Leon, przeszedłszy dość niefortunne koleje jak dzisiejszy urzędnikiem
w Wydziale krajowym we Lwowie, instytucji administracyjnej, tyczącej po części do-
mem przytułku dla [illegible] szlacheckiego rodu w Galicji, młodszy Franciszek
jak adwokatem i ~~[illegible]~~ prezesem Towarzystwa rolniczego w Krakowie. Obaj Leon posiadał wów-
czas [illegible] wiarę, uczęszczał ~~[illegible]~~ mistrz, i dwójnasób razem [illegible]. Przez niego zbli-
żyłem się do towarzystwa obywatelskiego, zapasowo-[illegible] w Krakowie, ale
to towarzystwo mnie nudziło, więc jak stryj Franciszek posłał Leona do na uniwer-
sytet katolicki w Louvain, abym się nie zepsuł, zaczęłam tych wiejskich zaniedbywać.
Po dwóch latach wrócił Leon z Louvain z [illegible], który wychowan umieścił w kra-
kowie, z mnogą ilością długów, i dobrze podtrzymywanem zdrowiem i wyobrażeniami,
wobec których moje materyalistyczne poglądy rozumieć się musiały. Później kochany
Leon wydawał znów książki, oświadczył się i żonę nie wiem jaką zdobył, a wreszcie pozostał jakiś
niepomyślny w Banku dla handlu i przemysłu którego ze wzmianki dyrektorem, umie-
rał jako urzędnik w jednym pokoiku w Wiedniu, aż wreszcie zawiązał do partii wszyst-
kich [illegible] i najgłupszych naturalnie – w Wydziale krajowym.

O jednej jeszcze znajomości z owych czasów wspomnieć muszę – o Konopkach,
w Mogilanach, niedaleko Krakowa. Pan Józef Konopka, wyborny gospodarz, chodził, zawsze,
ty, wcale znany autorytet, ożenił się z kuzynką mojej matki, panną Załęską i miał
z nią dwadzieścia dwoje dzieci 22. dzieci, z których 18. żyło. – W tej stadninie było
dwóch synów Tadeusz i Adam i 16. dziewcząt, po większej części nie Tadeuszach. Dowiedział

Mirosławska, która dbała bardzo o rodzinne więzy, przybywała często do Mogilan, a u mnie tam na święta, od nowa do nowa, zapraszano. Oryginalny to był dwór swą ilością dzieci; w olbrzymim stole jadalnym zasiadała wielka ilość (tej gromady) dzieci, bony, guwernantki, ekonomowie — z jakie co najmniej 24. osób. Aby cokolwiek ulżyć państwu Józefa zabrała Roman Konopka, stary kawaler, i stara panna Konopczanka, do siebie, do Modlnicy, dwie inne starsze dziewczątka, jako uczennice z Modlnicy pojawiały się tylko bardzo rzadko w Mogilanach, a rodzice byli tak zmęczeni obciążeniem tej licznej rodziny, że stopień ciepłoty rodzinnej wydawał mi się tam bardzo mierny. — O ile mi wiadomo, wszystkie te panny pomarły za młodu, pomimo, że panie żadnej nie zważały uwagi ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~. Siostra pani Konopczyny, Bogdanowa, z od dawna tylko ma jakiś sukces, wydaje mi się ~~ze ośm~~ siedm córek, których może więcej, ale pan Bogdan otrzymawszy z woli Opatrzności, po siedmiu córkach ósme dziecko — syna, którego bardzo pragnął, nie chciał już więcej losu wyzywać w zawody i przestał pomnażać rodzinę.

Na trzecim roku prawa zapisałem się na wykład jednego profesora na krakowskim wydziale prawnym, którego słuchałem z zajęciem, na wykład o nauce skarbowości i administracyi Dra Juliana Dunajewskiego, późniejszego sławnego ministra skarbu w Wiedniu. — Dunajewski już wówczas był ciekawą, chociaż jeszcze mało głośną osobistością. Pochodził on z urzędniczej rodziny w Galicyi (był synem urzędnika podatkowego w Nowym Sączu), miał brata naczelnikiem powiatu, a drugiego brata księdzem. Dunajewski, dość wysoki, szczupły, blondyn z wąsami na dół spuszczonemi, o niebieskim oku, w okularach, trzymał się pochyło i miał chód ciężki, leniwy. Przez jakiś czas był profesorem akademii prawa i administracyi, która dawniej istniała w Preszburgu, wykładał tam po niemiecku, i z tamtąd dostał się na katedrę ~~prawa~~ ekonomii politycznej, i administracyi i statystyki w Krakowie. Ożenił się z panną Ściborowską, siostrą lekarza zdrojowego w Szczawnicy, za którą dostał (w posagu) małą kamienicę, przy Plantach, w Krakowie. Dunajewski miał dwoje dzieci, syna Stanisława i córkę Marię. — Państwo Dunajewscy żyli wówczas cicho, mało się komunikowali, z bliższych ich znajomą była tylko p. Ściborowska i w naszym kółku przyjaciół, o którym później opowiem. Dunajewski znany był w kołach profesorskich z lenistwa, często spóźniał się na wykład, zwykle przychodził zamiast o ósmej z rana o 9. godzinie, ale w pół godziny nauczył studentów więcej, aniżeli inny profesor w kilku godzinach wykładu. Mówił cichym, grubym głosem, gładko, dobitnie i porywał swoim wykładem słuchaczy. Wszystko co powiedział było zajmujące, rozciekawiało młode umysły, każdy z nas słuchał go z natężoną uwagą i zrobił żadnego nie opuścić słowa. Przegląd jego z ekonomii politycznej nie były niczem nowem, opierał się po większej części na głównem podręczniku Roschera, ale umiał on je ożywić widocznie własnemi uwagami, przykładami i spostrzeżeniami i otwierał nam głowy kluczem łatwo wchodzącym, bez zgrzytu i przymusu. — Dla mnie był Dunajewski bardzo łaskaw, widział bowiem, że się nadzwyczajnie interesuję jego wykładami i że dość często czytam dzieła w zakres jego wykładów wchodzących. — Charakter stanowczy, despotyczny, ~~umiał~~ Dunajewski imponował ~~imponował~~ swoim kolegom, nie bardzo go lubili, ale się go bali, bo umiał ugryźć swym dowcipem i w argumentacyi był bogaty, aniżeli takie słabe głowy jak Fierich, Heitzman, Brzyski, jak w ogóle większość ówczesnych profesorów krakowskiego uniwersytetu. Ta liczba kolegów jego

profesorskich stąd pochodziła, że kraj pragnął ówcześnie jak najprędzej organizacyi uniwersytetu krakowskiego z wykładem polskim, a profesorów nie było. Dietl, który nie miał się przyczynić do szybkiego spolonizowania akademii [rektor po kilka razy wybierany] jak mógł rekrutował na katedry, na wydziale prawa po większej części urzędników, którzy się chcieli poświęcić profesurze i jakie takie mieli do tego kwalifikacye. Dunajewski był więc luminarzem na wydziale prawnym, do zdolniejszych także Zoll należał, ale zresztą w żadnym kierunku nie dorównywał Dunajewskiemu. Dunajewski nic nie pisał, raz wydrukował jakąś rozprawkę w piśmie zeszytowem poświęconem prawu i administracyi, a wydawanem przez profesora prawa karnego, Kosińskiego, i na tem koniec. Nikt nie znał nawet stylu Dunajewskiego.

W jaki sposób dostałem się w towarzystwo w którem bywali Dunajewscy mam opowiedzieć, ale to długa historya. – W Iwoniczu jeszcze bawiąc u ojca w Łazienkach poznałem dwie panie, które tam wszystkim głowy zawracały: obydwie brunetki, obydwie żywe, wesołe, obydwie mające dużo kokieteryi; była to pani B. z Krakowa, ze swoją bratową panią S. z Petersburga, żoną wyższego urzędnika cesarskiej biblioteki, Polaka. – Starsza pani B. miała lat dwadzieścia kilka, nie była w żaden sposób pięknością, bo miała rysy twarzy nieregularne, ale oko żywe, uśmiech dużo obiecujący [wielki spryt] robiły z niej kobietę bardzo interesującą. Pani B. bawiła dla kuracyi małego swego synka, a mąż jej zajęty w kantorze bankierskim w Krakowie [dawał] tylko znać o sobie i swojem przywiązaniu posyłając jej często do Iwonicza owoce, ciasta i najrozmaitsze przysmaki, któremi ona ówcześnie ugaszczała swoich wielbicieli. Młodsza pani S. niepospolitej była urody, miała męża starego, mniej troskliwego jak pan B., ale mimo to i mimo całej kokieteryi trzymała wielbicieli dość ostro, tak że żaden jakoś szczęścia u niej próbować się nie odważał. Pani B. zaczęła z razu kokietować mojego ojca, ale wkrótce się namyśliła i [struck] [uradziła], że młody będzie więcej obiecującym, zwłaszcza, że może go mieć prawie cały rok w Krakowie. Powróciwszy więc z wakacyi do Krakowa, znalazłem tyle przyjęcia w domu państwa B., tak mnie często zapraszali na herbatę i obiad, że stałem się bardzo prędko przyjacielem domu. Pan B. grubawy, niski, w gruncie dobrym był człowiekiem, zakochanym w żonie, bardzo zazdrosnym, ale nie dorósł [jej] [struck] co do przebiegłości. Pani B. wesoło utrzymywała dom w najściślejszym porządku, [struck] panował [tam] wielki ład, i szczebiotliwości, bardzo dobrze wychowywała swego synka i starała się we wszystkiem dogadzać swemu kochanemu Jasiowi, swemu „jedynemu mężulkowi". Pani B. wzięła mnie w opiekę, wprowadziła mnie w koło swych znajomych i otoczyła [struck] prawie macierzyńską opieką. U niej poznałem państwa Siborowskich, (ona, [siostra Dunajewskiego] [struck]), którzy mieszkali przy Floryańskiej ulicy i bardzo otwarty dom prowadzili, u niej państwa Stawikowskich. – Pan Stawikowski był profesorem okulistyki na uniwersytecie, nazywał się po ojcu podobno Nachtigal, ale w ciągu życia przetłómaczył się na polski. Panią Stawikowską zwano panią „Pączkową", bo w karnawał dawała mnóstwo wieczorów, a na wszystkich były wyborne pączki. – Już na jednym baliku u państwa Siborowskich oznajmiono [mi] pewne gorsze uściśnienia ręki i więcej jak konieczne zbliżania [pani B.] się do mnie, w tańcu, że odważniejsze z mej strony kroki byłyby dobrze widziane. Byłem jednak jeszcze bardzo niedoświadczonym, miałem pewien religijny respekt przed mężatką, przed cudzą własnością, a nadto zraziło mnie to do pani B., że zauważyłem [że [struck] kokietowała ona] innych, a zwłaszcza mego kolegę Adama Chodźwińskiego i innego akademika Sporna,

mniej więcej z tą samą co mnie sympatyczną rozmownością, w przeciskaniu się w tańcu:
Pierwszy raz w życiu zaczynałem być trochę zazdrosnym, a osobliwie do mego kolegi Budni-
ckiego miałem żal, że zdradza przyjaźń, która nas łączyła od lat szkolnych, tem bardziej,
że mój sentyment do pani O. był mu wiadomym. – Przez pół karnawału, podczas
którego tańczyliśmy chyba co drugi lub trzeci dzień, w znajomych domach, gra pani O.
była mniej więcej ta sama, a nieprzyjacielskie usposobienie pomiędzy trzema współzawodnikami
coraz częstsze. Nareszcie na wieczorze u samych państwa O. wszystko się bardzo zaostrzyło. Pan
domu tak urządził kadryla, że drudzy zrywali stale w kadrylu naprzeciw siebie! ja tańczyłem
z nią, a Budniewski z jej siostrą, panną z Warszawy, a co więcej, Sporn tańczył bez-
pośrednio koło mnie. Pani O. rzucała na nas wszystkich trzech równie gorące spojrzenia, bo
nawet zdawało mi się, że z jednym i z drugim o coś się umawia. Tego mi było za wiele, więc
Tem ~~[illegible]~~ wyrazem, porozumiałem się z Budniewskim i omało że nie zrobiłem Spornowi ja-
kiejś nieprzyzwoitości; ale pani O. widząc co się święci, wzięła mnie i Budniewskiego do kadry-
la do drugiego pokoju i wyburczała nas porządnie, mówiąc, że ~~zachowujemy~~ postępujemy się jak smar-
kacze, którzy nie widzą, jak się zachowuje wobec mężatek. – Koniec końcem jednak, widząc się
przynajmniej zakochanym, pani O. powiedziała mi, abym nazajutrz, o trzeciej po południu, gdy
mąż odejdzie do biura, przyszedł do niej, i to nie do jej mieszkania, ale na pierwsze piętro
w jej kamienicy, gdzie będzie na mnie czekała. Biała chustka do nosa położona w o-
knie jej salonu, wychodzącego na gwarną ulicę, ma być znakiem, że nie ma żadnej prze-
szkody. – Z tem pierwszem piętrem tak się rzecz miała, że tam było mieszkanie starszej pani
W., której właśnie w Krakowie nie było. Wyjeżdżając zostawiła pani W. klucz od mieszka-
nia u właścicielki domu, pani O., a ta korzystała z dobrej sposobności, aby nie wiem-
ne, ciche mieszkanie pobożnej matrony trochę rozweselić. – Z bijącem sercem ocze-
kiwałem godziny trzeciej, a widząc ^białą^ chustkę w oknie wślizgnąłem się do bramy i na
cichu wszedł na pierwsze piętro, gdzie się już drzwi przedemną otworzyły. – Spotkanie było
oczywiście najczulsze, jak tylko sobie wystawić można, ale jakoś w godzinę po mojem
wejściu do tego ustronia, gdyśmy oboje w najlepszych humorach rozmawiali o tem, coby to
było, gdyby lokatorka widziała przybytek swej cnoty tak sprofanowany – usłyszymy naraz
jakiś zgrzyt we drzwiach, klucz włożony z zewnątrz się porusza, ktoś innym kluczem
próbuje się dostać do środka, rusza klamką... Zrywamy się oboje w bardzo zaniedbanych
strojach, ona blednie, nie wie co począć, ale niebawem przychodzi do opamiętania,
i wśród szmer jej usta przeleciało. Chcąc mieć drugi klucz do pomieszkania pani
W. zamówiła ślusarczyka, a ~~ten~~ ^ów^ ślusarczyk przyszedł brać odcisk na klucz tak bar-
dzo nie w porę. – Po chwilce odszedł – i spokój znów zapanował w pomieszkaniu pani
O. i świadkami naszych czułości były tylko dwa staroświeckie portrety nad kanapą, Kasz-
telanowa W. o sinych ustach w srebrnym robronie i tegoż pan kasztelan w karmazynowych
wyszach i marsowem spojrzeniu, trzymający rękę na karabeli, jakoby chciał nas obrażoną
za świętość i nieskazitelność zacnej komnaty pokarać. Pani kasztelanowa spoglądała ja-
koś łagodniej, żyła ona w czasach Sasów na trochę pobłażliwym, i może to się przed na-
szym światem, przypominało jej takie jakie nieco chwile młodości. – Zresztą było chłodno
w pokoju, meble ~~[illegible]~~ ^obrane^ białemi pokrowcami, pozostały wśród nich przestarzałe
i zegar z czasów napoleońskich, którego wskazówki ~~stały~~ stanęły o ósmej z rana.

Pani O. zbliżała się do trzydziestki, więc umiała korzystać z ~~[illegible]~~ lat, a białą chustkę w oknie mógł często można było widzieć. Po niejakim czasie zauważyłem, że kolega Dudziński jakoś ciął do mnie zęby, i że przyjaźń nasza zaczyna się zmieniać w antypatię, powodem tego było, że pani O. musiała sobie powziąć, że romansowanie z trzema, a nawet z dwoma naraz może doprowadzić do jakich kolizji, zaczęła coraz to mniej innych kokietować i okazywała mi dowody przywiązania, które mnie w zupełności upewniły, że zająłem w jej sercu dominujące stanowisko. — Dudziński mi jednak całe życie pani O. nie darował; dzisiaj jest on wysokim sądowym dygnitarzem, wydał córkę za mąż, synowie w wojsku, w największe upały chroni się od zaziębienia, a przecież uraza do mnie została w sercu i głęboką do mnie niechęć tylko światowymi formami maskuje. Co prawda, to i ja mu co najmniej takiem sympatyi odpłacam. I tak po latach przeszło 30., po śmierci pani O., która przed kilkoma laty umarła, stosunek nasz do niej jeszcze wydaje swe cierpkie owoce.

Widywaliśmy się z panią O. codziennie mogąc widać zapoznała mnie jak wspomniałem ~~[illegible]~~ ze swymi damami, u których bywała. Najchętniej bywało zawsze u pani Stawikowskiej, ~~[illegible] Pęckowa, [illegible]~~ ~~[illegible]~~. Pani Pęckowa miała córkę blondynkę, małą, zgrabną, trochę wiotką, podobną do saskiej figurki porcelanowej, z dobrej epoki. Ponieważ uchodziłem za młodego człowieka, z którego może być ludzi, więc pani Pęckowa nie miała ~~[illegible]~~ nic przeciwko temu, aby mnie przyjmować do swego domu, ale pani O. zaczęła być o mnie zazdrosną i pilnowała, aby sentyment pomiędzy mną a panną Stawikowską zbyt ~~daleko~~ się nie rozwinął. — Państwo Stawikowscy mieli duży salon, trochę niski i przedzielony [illegible] Maffeiusa, który oddzielała że głębsza część ~~[illegible]~~ salonu tworzyła rodzaj alkowy. Zdejmowano do tańca dywan, odsuwano krzesła i stoły pod ściany, pani Śliborowska siadała do fortepianu i tańce się zaczynały o 8ej lub 9ej, a trwały do rana, nawet do 7ej i 8ej. Czystość bywały równo skromne, bez lodów, szynki, i innych specyałów [illegible], pączki, torty w domu robione, po północy kolacya o dwóch, co najwięcej trzech potrawach i cienko brali wino węgierskie, zwane zieleniakiem. Starsi panowie pijąc tego zieleniaka w każdym domu inaczej, w nim odkrywali zalety, a w rzeczywistości był to zawsze ten sam cienkusz, brany od Kosza albo od Fuchsa. Tańczono kadryle, trochę walców i polek, dwa lub trzy mazury, które wypełniały połowę nocy, także drabanta, a jak humory były dobre, krakowiaka ze śpiewami. Tancerz z tancerką stawali przed fortepianem i jak umieli śpiewali krakowiaki. Tańce prowadził Dr. Wyrobek, piękny chociażby mężczyzna, z długim wąsem, niegdyś wojennikiem, dziarski krakowiak, który miał później za swoją, wplątany w jakieś przeniewierstwo. Ten Wyrobek miał twardą głowę, bo gdy raz w figurze mazurowej zwanej kozakiem, wypuścił z rąk swego partnera, z taką siłą poleciał w odśrodkowym kierunku, że głową kawał pieca u pani O. rozwalił i nic się twardej głowie nie stało. — Starsi panowie: Dunajewski, Stawikowski, Śliborowski i kilku innych siadali do skromnego wista w drugim pokoju, palili złe cygara i popijali zieleniak lub herbatę. — Alkowa odłączona od salonu u pp. Stawikowskich o mało mnie z panią O. nie poróżniła. ~~[illegible]~~ Mało tam było światła, bo lampy się paliły w głównym salonie, więc od czasu do czasu więcej rozochocony danser zapędził się w wirowym tańcu do najciemniejszej

Nęta alkowy, aby tam w pośpiechu wykraść swej tancerce pocałunek. Coś podobnego i mnie się z panną domu zdarzyło, a nieszczęście chciało, że pani D., która mnie okiem śledziła, zobaczyła ową pieszczotną wymianę sentymentów. – Miałem się za swoje! – mieszkanie pani W., gdzieśmy się z panią D. schodzili, od dawna nie było świadkiem takiej sceny. Usprawiedliwiałem się jak mogłem, ale koniec końcem musiałem nadziei już bywać w domu państwa Stawikowskich, a przedtem niektórzy z nas przenieśli się do domu Siborowskich, którzy mieli zaledwie czternastoletnią, śliczną córeczkę Zosię, która w żaden sposób nie mogła robić pani D. konkurencyi. – Dziwna była ta polska hulaszczość i gościnność! Państwo Siborowscy nie mieli ani dorosłej córki, ani majątku, dla których tańce bywały, a przecież od Świąt Bożego Narodzenia aż po wielki post prawie co tydzień bywały tam tańczące zabawy, na których wszyscy się zabawiali. Pan Siborowski, człowiek ziemi bez majątku, bo tylko skromna pensya dochody, sam tańczył najochotniej, ochoty dodawał, komponował krakowiaki, mazurowe figury wymyślał, kapelanów gościom do sieni zamykał, aby który za wcześnie nie wymknął – aby tylko do tych... Tańczyło się do rana. – Państwo Dunajewscy wychodzili zazwyczaj wcześniej, bo pan Julian, ukończywszy swoją partyjkę, spieszył się do domu i nie lubił, aby jego Marynia (pani Dunajewska) tańczyła. Marynia zresztą była cicha, spokojna i nikomu woli nie miała. Pan Julian jednak lubił z młodymi pożartować, dzieci garnął do siebie, Zosię państwa Siborowskich nosił na rękach, i żartował z moim Tadziem Stawikowskim, chłopakiem ośmioletnim, którego wszędzie było pełno, i który wszędzie coś niepotrzebnego powiedział.

Jakoś w karnawale, nie pamiętam już czy na trzecim, czy na czwartym roku pracy wybrałem się na tydzień do Lwowa. Nie byłem tam od piątego, czy szóstego roku mego życia, a literatów z Dziennika Literackiego, Starkla Juliana, Tadeusza Romanowicza znałem tylko z listów, które do mnie pisali, jak również nie znałem ~~mojej~~ domu mojej kuzynki pani Wróblowej z domu Romaszkańskiej, która była zamężna za radcą namiestnictwa Wróblem, pełniącym funkcyę burmistrza miasta Lwowa, gdyż Lwów nie miał jeszcze wówczas całkowitej autonomii. – Starkel bardzo mnie zapraszał, aby przyjechać i porozumieć się o dalsze współpracownictwo w Dzienniku literackim i ofiarował mi w redakcyi gościnność. Za pozwoleniem pani D. ~~[illegible]~~ wybrałem się jakoś w ostatki karnawału, zajechałem do redakcyi Dziennika Literackiego, gdzie w małym pokoiku redakcyjnym zapełnionym papierami oddano mi do użytku sofę wybitą czarną zniszczoną ceratą i postawiono na krześle przy piecu białą fajansową wyszczerbioną miednicę, tudzież flaszkę wody. – Bawić się to już było wieczorem, dali mi literaci bilet wstępu na reduty, która się tego dnia miała odbyć w teatrze Skarbkowskim, i powiedzieli, że się tam zejdziemy około 12ej w nocy. – Jak mogłem więc zrobiłem toaletę z pomocą tej flaszki wody wątpliwej czystości i pojechałem do ratusza, do państwa Wróblów. – Wróblowie mieli dwa piękne mieszkania przeznaczone dla burmistrza, a chociaż dzieci nie mieli, nie było tam bardzo pusto, bo mieścił się u nich prawie dziewięćdziesięcioletni ojciec Wróbla, jego bratanek, młody porządny chłopak Franio, i jej siostrzeniec Ewaryst Gorczyński, syn owej Justysi Gorczyńskiej, o której mówiąc, o Wietrznem wspominałem. Wróblowa bardzo dobra kobieta, nieładna, poszła za Wróbla będąc już starą panną, i dobrze z nim żyła. Zajęta domem, najbliższem kółkiem znajomych, a osobliwie romansem Szymanowskiej dziedziczki z doktorem Arnsteinem, trochę wyższa, więc można z nią było o wszystkiem mówić.

Kröblowa [?] mi pozwoliła, abym spał w redakcji z rocznikiem Dziennika pod głową, do czego mnie zaprosiła. Na redakcji poznałem mnóstwo lwowskich literatów, bo razem jadaliśmy kolacje i tam pierwszy raz spotkałem Władysława Łozińskiego, z którym później byłem w przyjaźni. Łoziński, niepospolitych zdolności był wówczas jeszcze świeżym literatem. Z twarzy brzydki, ale o bardzo znaczącej fizjognomii, z drwiącemi, namiętnemi, nieustraszonemi [?] oczami, niskawy, o kroku śmiałym, szerokim, zdawał się świat zdobyć pewny, że dojdzie do celu. Obdarzony wielką pamięcią, mnóstwo wiadomości umiał w rozmowie co chwila jak rakiety puszczać jakieś nieznane anegdotki, cytować powiedzenia sławnych ludzi, popisywać się erudycją, która na razie olśniewała, a po chwili trochę męczyła. Dumny i podejrzliwy, nadzwyczaj zarozumiały, trzymał się Łoziński wobec każdego mało mu znanego człowieka z razu w rezerwie, oglądał, badał, studjował, a dopiero gdy ~~mu~~ się człowiekowi dobrze przypatrzył i nabrał do niego cokolwiek sympatji, starał się go olśnić swoim rozumem. Wobec kogoś, kto mu nie był sympatycznym, kogo podejrzewał, że mu zechce imponować, albo wykształceniem, albo talentem, albo majątkiem lub stosunkami, cofał się na razie, chował rogi jak ślimak w skorupę, badał słabe strony przeciwnika, i albo uciekał, jak zawsze [?], albo wychodził, albo też starał się olśnić człowieka. — Z pierwszego też z Łozińskim spotkania nie wyniosłem sympatycznego wrażenia. O Julianie Starklu nie wiedziałem wówczas co sądzić, był on naówczas redaktorem Dziennika Literackiego, bardzo uprzejmie wobec mnie występował, ale mi się zdawał jakiś niejaki. Pisał on bardzo gładko, logicznie i rozumnie, ale wydaje mi się, że mu brak dość fantazji, aby ~~[illegible]~~ ~~wyjąć~~ zająć wybitne w literaturze stanowisko. Gdyby dziennikarstwo polityczne było u nas wówczas bardziej rozwinięte mógłby był ~~zająć~~ osiągnąć jako politycznym dziennikarzem niepospolite ~~stanowisko~~ wpływy. W służbie jednak literatury, która [illegible] nie zjawiła, ale prawie im z głodu umierać kazała, łączył się Starkel i szamotał z codziennemi potrzebami, nie widząc wyjścia, już nie pewien ~~był~~ bytu swego przed roba [?], ale nie spodziewając się nawet, że kiedyś zasiądzie z rodziną przy dobrze zastawionym stole. Starkel ~~miał~~ był synem lekarza z Tarnowa, ożenił się później z panną Wardzberga [?], ani piękną ani zamożną, ale córką „obywatelską", szlachcianką i mieli oboje dwieście [?] dzieci i byli *viribus unitis* klepali. — Trzeci, mój to literat, którego wówczas poznałem, był Tadeusz Romanowicz, syn głośnego (ale zmarłego już wtedy) adwokata we Lwowie, jeden z zapalonych młodzieńców w czasie powstania, organizujący wyprawy, które przez granicę do Królestwa przesyłał [?]. Romanowicz (również jak Starkel) nosił się po polsku, w czamarze [?] żupanie z wielką blachą mosiężną, opinającą pas skórzany, na której wyryte [?] herby Polski, Litwy i Rusi były *en relief* wybite. — Romanowicz był sympatyczny, śmiały, otwarty, trochę gburowaty [?], trochę źle wychowany, pisał artykuły polityczne i ekonomiczne do gazet, ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ skrajniejszym był od innych, a ponieważ wytworny był mowca i śmiałym wobec tłumu, mu zdawało się, że ma wielką polityczną przyszłość. Wreszcie [?], kiedy, z przyjemnym głosem, ~~[illegible]~~ zawsze gotów do walki, i jak dobry syn adwokata rozporządzający w każdej chwili różnemi argumentami, zaczynał zajmować we Lwowie bardzo ~~[illegible]~~ znaczne stanowisko. — Romanowicz zaprosił mnie do domu swej matki, bo kochał bardzo swą rodzinę i mieszkał z matką i siostrą. Było to już blisko trzy lata od powstania, a sześć od warszawskich zajść, ale w domu pp. Romanowiczów jeszcze tak było żałobnie, że aż strach wyjmował [?] gdy się wchodziło

do pokoju, w którym jedyne meble były kolorowe i to orzechowe, wszystko czarno wyglądało. Gdyby pokrycie mebli było nie tak kosztowne, toby je pani Romanowiczowa była wybiła czarnym rypsem z białemi sznurami, ale meble pochodziły jeszcze z czasów adwokackich, a dzisiejsza kasa nowemi zastąpić je nie pozwalała. Pani Romanowiczowa siedziała na tej kanapie jak bogini żałoby, w czarnej sukni, z białemi obszywkami, z wielkim krzyżem zawieszonym na piersiach, na długiej jedwabnej wstążce czarnej i białego koloru. Jako broszka służył jej srebrny orzełek, a czarne włosy całej rodziny nie psuły harmonii w tej posępnej szacie. Panna Romanowiczówna, szczupła, z zatrawionem spojrzeniem, dwoma w ten sposób jak matka ubrana, robiła wrażenie dziewicy, która postanowiła, przysięgła nigdy się nie rozśmiać, nigdy się nie pocieszyć. Uwielbicielka poetów, czytająca Krasińskiego i Słowackiego, zresztą z gruntu rzeczy panna pracowita, dająca lekcye, nie wiem już czego, aby dochody rodziny przysporzyć. W dziesięć lat później wyglądała panna Romanowiczówna jeszcze jako zakonserwowana mumia, z czasów powstania, aby dać świadectwo późniejszym generacyom, jak wyglądały płaczki z roku 1863. —

Z tego domu żałoby pp. Romanowiczów uciekałem co sił starczyło, bo młodość moja nie umiała się rozkleić w żałobie i martwości, ale pragnęła życia, rozmaitości, barwy. — Ale w domu Kroblów także nie było wesoło, on jeszcze najmłodszy, bo człowiek zapracowany, ale równego humoru, uśmiech, który ma spokojne sumienie, bo spełnia swoje obowiązki, nie martwi się o przyszłość, bo nie ma dzieci. Ona kwaskowata, bo musiała się troszczyć o wszystko w domu, i czasami uszczypliwa i wzdychająca, bo nie miała dzieci. Czyja w tem wina, że dzieci nie mieli, trudno wiedzieć; ona sarkastycznie dawała do poznania, że winowajcą jest pan Krobel. — Jednem z najistotniejszych zajęć całej rodziny Kroblów było jedzenie, bo pan burmistrz mało innych mając przyjemności, lubił jeść dużo, smacznie i dostatnio, jego rodzice, z natury materyalni, nie mieli już także innego celu życia nad jedzenie, a dwaj chłopaki siadający do stołu, Franio i Edward, wygłodzeni przychodzili ze szkoły — więc także jedzenie było dla nich bardzo niebłahym w stadium ich życia. Jedna tylko Leoncia patrzyła trochę z góry na te zatrzymane uciechy, jakoby obrażona, bo po pierwsze sama mało chodząc i siedząc nie rozumiała jak można tak dużo jadać, jak wszyscy jej otoczenia, a po wtóre musiała nadtem myśleć, aby z niskiej swej wysokiej pensyi zadośćuczynić wymaganiom tych licznych czynnych żołądków. — Kuzynka Kroblowa starała się zapoznać mnie ze swymi najbliższymi znajomymi i urządziła jakąś herbatę, na którą zaprosiła dwie zaprzyjaźnione rodziny pp. Kabatów i Sydłowskich. — Pan Mateusz Kabat, jeden z najbardziej szanowanych adwokatów we Lwowie, był szkolnym kolegą mojego ojca, miał dwie kamienice obok Skarbkowskiego gmachu, żonę z domu Babel, córkę podstarzającą i syna, wtedy dziecię, w szkołach. Ród pani Kabatowej nie sięgał wprawdzie do czasów biblijnej wieży Babel, ale odegrał pewną rolę w historyi austryackiej biurokracyi w Galicyi: Bablowie byli radcami namiestnictwa, przybyli do Lwowa zaraz w początkach zajęcia Kraju przez Austryaków, a chociaż pani Kabatowa z domu Babel nie była dumna, to jednak umiała się szanować i żyła tylko w wyborowem swemu stanowisku towarzystwie.

do którego w każdym razie pani burmistrzowa i radczyni namiestnictwa, pani Hertel zaliczać się nie zamierzała. — Pan Szydłowski był sekretarzem namiestnictwa i właścicielem dużej realności z ogródkami, na miejscu, gdzie dzisiaj stoi gmach sejmowy; pani Szydłowska bardzo przystojna blondyna, o obliczu madonny a rachlowem sercu umiała po mistrzowsku zachowywać pozory i przyciągać przyjaciół domu. — Doniewacz Dr. Armatys, był niski, chuderlawy blondyn był wielkim przyjacielem ~~domu~~ pani Szydłowskiej, ale nadto domowym lekarzem pani Koblowej, więc oczywiście znalazł się także na owej „herbacie", którą moja kuzynka wydała. — Nudno tam było bardzo, ale od razu przejrzałem zamiary mojej kuzynki, która z jednej strony przeznaczyła mi córkę państwa Koblów, nie zanadto ową kolotkę, pannę Matyldę, za przyszłą moją żonę, a z drugiej ~~strony~~ zamyślała była wypłatać panu Armatysowi i zamiast niego mnie forytować na przyjaciela pani Szydłowskiej. Pani Leontyna chciała się zemścić za swój los staropanieństwa przeciągający się nawet po ślubie z panem Koblem i gdy już nie samej romansować, to przynajmniej ułatwiać romanse i małżeństwa. — Przypatrzywszy się pannie Matyldzie, która siedziała jak mruk i odpowiadała na wszystkie pytania tylko „tak" i „nie", zgadłem, że drugi projekt mojej kuzynki był ~~był~~ dla mnie odpowiedniejszy, ale na razie nie dałem się spętać, bo do Lwowa mogłem na stałe mieszkanie przyjechać w najlepszym razie za rok, gdybym wstąpił do urzędu. — Wróciłem więc z lekkiem sercem i wstrzemięźliwym do Krakowa, i wpadłem znów w otwarte ramiona pani D., która mnie coraz więcej chciała mieć, tylko — dla siebie. — Tej opieki i tego przywiązania czasem mi już było za dużo, bo zdarzało się, że począwszy od 1szej w południe, aż do późnego wieczora ciągle byłem w pani D. towarzystwie. Najpierw bowiem zaprosili mnie państwo D. na obiad, po obiedzie szedł pan D. do biura, a ja czekałem na białą chustkę w oknie, zaledwie zaś wyszedłem z mieszkania pani D., wracałem na herbatę tym razem znów do bogatszych pana D. apartamentów. Odwaga pani D. i moja lekkomyślność dochodziły wprost do ostatecznych granic, zdarzało się bowiem kilka razy, że podczas gdy pan D. czytał gazety w jadalnym pokoju, myśmy w trzecim pokoju wymawiali ostatnie słowo miłości. —

W czasie kiedy byłem na czwartym roku prawa, mój Dominik ożenił się z panną Zitarską w Tarnowskiem, w swej rodzinnej ziemi, a ponieważ oboje państwo młodzi byli w spóźnionych już latach i spieszyło im się zawinąć do małżeńskiego portu, przeto ślub musiał się odbyć niebawem i Dominik powiedział mi, że muszę się wyprowadzić i szukać sobie pomieszkania. Panna Zitarska nie była ani piękna, ani bogata, ale rodziła się z Krasickich, co u Dominika bardzo wiele znaczyło, był on bowiem wielkim zwolennikiem kolligacyi. — Przykro mi nie było, ale stosunki moje finansowe były tego rodzaju, że nie pozwalały na najmniejszy nadzwyczajny wydatek, musiałem się więc znów przyzwyczaić prowadzenia do ostatniej panny urodzonej z Krasickich. — Wyprowadziłem się na trzecie piętro, na ulicę Wiślną, miałem pokój wychodzący na ~~drewniany~~ wiszący ganek, który gdyby się był zwalił, nie byłoby dla mnie żadnego ratunku. — Drzwi pomiędzy pokojem a gankiem nie miały progu i pozostawiały wielką szparę, przez którą wiatr swobodnie mógł igrać po pokoju. Nie długo tam jednak mieszkałem, gdyż pewnego dnia pokazała się u mnie w progu ciekawa figura. Niski, chudy człowieczek, w wielkich okularach, myśliwsko-górniczem

górniczem ubraniu wszedł i zapytał mnie się po niemiecku, cienkim piskliwym głosem, „czy ma zaszczyt mówić z panem V. C.?" – „Tak jest – czem mogę służyć?" „Jestem Saksończykiem, czystym górnikiem, nazywam się Noth – mówił dziwacznym akcentem, spoglądając ciągle poza okulary i przekręcając wskutek tego głowę, jak ptak, który się czemuś z zaciekawieniem z uwagą przypatruje – chcę rozpocząć poszukiwania za naftą w Wietrznie, by. Tam u ojca [illegible], ale do niego trudno dostępu, nie chciał interesu... powiedziano mi w Dukli, żebym się udał do pana, że pan może mieć jakiś wpływ na ojca" – I tak mówiąc rozwinął mi Noth sporządzony już plan przekrojów geologicznych Wietrzna, z którego jasno jak na dłoni można wyczytać, że żyły naftowe Bobreckie dalej się ciągną do Wietrzna. W geologji nie bardzo się wyznałem, zdawałem, że p. Noth tyle dni tylko był w naszej okolicy i nie mógł zbadać dokładnie, ale to mnie przemawiało do przekonania, że skoro w Bóbrce jest nafta, to i w Wietrznie, o kilkadziesiąt kroków od naftowej linii bobreckiej, być musi. – Noth się skompanjował z kupcem zamożnym [illegible] panem [illegible] w Krakowie, który obiecał dać na cel poszukiwań naftowych 3.000 złr. – więc mały fundusz był do rozporządzenia. – Po dłuższej korespondencji z moim ojcem skłoniłem go nareszcie do zrobienia kontraktu z Nothem, i zabawny Saksończyk, który ze dwa tygodnie spał u mnie na kanapie, pojechał znów do [illegible], aby korzystny układ. – W uśmiechu Fortuny tak mi się wyznałem, że mi się wtedy wówczas robiłem nadzieje, abyśmy w Wietrznie mogli znaleźć źródło polepszenia naszych majątkowych stosunków.

Chcąc tymczasem ulżyć ojcu w wydatkach na mnie, dopóki nie dobiję się jakiegoś chleba, wstąpiłem na praktykę do adwokata Machalskiego, jednego z najzdolniejszych wówczas adwokatów. Machalski, szczupły, wysoki, wytworny mówca i obrońca w sprawach karnych, ożeniony był także z bardzo piękną żoną, o której nadzwyczajnej [illegible] w Krakowie mówiono. Pani M. ubierała się trochę jak na Kraków ekscentrycznie, miała przyjaciółkę panią [illegible], równie ekscentryczną, a te panie miały zawsze przyjaciół między kilku [illegible] doktorów, i na [illegible] krakowskich drogach publicznie się [illegible] z przyjaciółmi, [illegible] – Pan Machalski, na razie nic mi nie płacił, później honorarjum obiecał..., ale ta praktyka adwokacka dziwnie nie odpowiadała mojemu usposobieniu, i w żaden sposób nie mogłem sobie przyswoić kancelaryjnego stylu. Gdy mi przyszło pisać „[illegible]..." „[illegible]" i jeszcze raz „[illegible]", i gdy mi takie karano zawsze pewnych, jakby [illegible], a tak tego czysto duchowo polskiego języka prawniczych używać wyrazów, to mnie takie przejmowało niecierpliwości; tak mi krew biła do głowy, że ledwo przy stole wysiedzieć mogłem. A nadto dziwnie byłem niezręcznym w przyswojeniu sobie tych sądowo-adwokackich formułek, nigdy nie mogłem zapamiętać tych słów, których wiecznie wymagano, i nie mogłem pojąć, dlaczego tego samego lepiej, wyraźniej nie powolno mi napisać. Zdaje się więc, że nie pozostawiłem w biurze Dra Machalskiego śladów znakomitego adwokackiego talentu, a to niefortunne wystąpienie na drodze praktycznego prawnictwa wzbudziło we mnie obawę, że i w urzędzie, jeżeli tam wstąpię, napotkam na trudności, które mi zamkną wszelką karjerę. – Cokolwiek będzie, się starałem, postanowiłem zdawać doktorat prawa, który wówczas miał pewne znaczenie i otwierał drogę do Prokuratorji Skarbu, do adwokatury i nareszcie do profesury uniwersyteckiej, gdybym był miał ochotę zostać kiedy profesorem. Znaczyło to uczyć się bardzo dużo, lat kilka, bo [illegible] było [illegible], a nadto musiało się pisać doktorskie rozprawy i bronić jej wobec zgromadzenia profesorów. – Wszystko to mi się nie uśmiechało, zwłaszcza, że doktorat dużo pieniędzy kosztował.

ale chciałem zrobić wszystko co się dało, dla owej przyjaźni, dla owej kaszy...

XXV

Tuż przed moimi egzaminami zaszła ciężka katastrofa w Równem, która nas pogrążyła prawie w zupełną materialną nędzę. Właśnie bawiłem na wakacjach, było to z końcem sierpnia, wcale dobrze w r. 1865 (?) który byłem już w studiach, a ostatnia fura ze zbożem wjechała już w podwórze. Ojciec mój chory leżał w łóżku, ale mieliśmy trochę otuchy, bo dochód ze zbioru obiecywał jako tako podeprzeć sytuację. Poszliśmy spokojnie spać, ja do małego pokoiku, którego okna wychodziły wprost na podwórze, spichlerz i stodołę, częściowo na ogród owocowy i na tyły gumien. — Około północy w nocy obudziła mnie jakaś jasność; otworzyłem oczy, zupełnie widno było w pokoju i jakiś złowrogi szum i trzaskanie w powietrzu mnie dochodziło. Wyjrzałem przez okno — olbrzymie płomienie biły z gumien, straszny pożar huczał już w całej pełni. W mgnieniu oka się ubrałem, ale i ludzie przy gospodarstwie już się pobudzili, biegali bezradni; wyjrzałem raz jeszcze ku ogrodowi i zdawało mi się, że za płotem widziałem jakąś pochyloną postać uciekającą ku krzakom. — Obudziliśmy ojca, którego okno zamknięte okiennicą wychodziło w odwrotną stronę domu, pobiegliśmy ku gumnom: matka, siostra moja i ja — o ratunku mowy nie było. Nad oświeconemi drzewami latały niespokojnie spłoszone ptaki, a domownicy, ludzie ze wsi, pozbiegali się i stali w oddaleniu od ognia, w milczeniu, jakby osłupiali. Kilku najdzielniejszych parobków rzuciło się do stajen, aby bydło i konie wyganiać — myśmy zaczęli o tem myśleć, aby ruchomości ze domu ratować; całe snopki barwne ze słomianych dachów, całe palące się łaty zaczęły się rozpryskiwać, na znaczne oddalenie, gnane i wyrzucane wiatrem i wzburzonem rozgrzanem powietrzem. Wynieśliśmy chorego ojca z łóżkiem na ogród, ale wiatr szedł w odwrotną stronę nie ku dworowi, tylko w pole i widzieliśmy, że tylko gumna ze wszystkiem co się w nich znajdowało i spichlerz staną się pastwą pożaru. — Chłopstwo stało bezczynnie, fatalistycznie, a w tym niezmiernym tłumie co najwyżej słychać było od czasu do czasu półgłosem wymówione lamentacje „Chryste Panie, Matko Boska zmiłuj się...“ — O jakiemś zorganizowanym ratunku, o jakiejś straży pożarnej mowy wtedy nie było, a dopiero nad ranem przybyło kilku energicznych ludzi ze służby dworskiej w zabudowaniach, którzy stajnie i dwór od pożaru zaczęli odratowywać. — Nad ranem wszystkie, buchające w górę płomienie się zmniejszyły, zboże, ziarno paliło się spokojnym żarem i wydawało gorąco i duszące wyziewy, tak, że się do pogorzeliska zbliżyć nie było można. — W tydzień jeszcze był żar pod popiołami. — Gdy zadniało i obejrzeliśmy się po dworskim obejściu — nie było gumien z całoroczną krzątaniną, nie było spichlerza z resztkami przeszłorocznego zboża, nie było paszy na zimę dla bydła — ale najzupełniejsza majątkowa ruina wytrzeszczała do nas swe zapadłe, złowrogie oczy. — Asekurowanem nic nie było, asekuracja była jeszcze wtedy droga, a ojciec chciał wprowadzić zabezpieczający zbiory, ale nie mógł przyjechać w tym celu do Dukli, jak się z łóżka podniesie. — W milczeniu patrzyliśmy się po sobie w małej naszej rodzinie i myśleli: co dalej? — Gospodarstwa nie było czem dalej prowadzić, zatrudnionej rzeszy dziewiarskiej nie było za co opłacić, moje dalsze studia nawet były narażone, z których wcale fundusze, aby do Krakowa powrócić... Nie potrzebowaliśmy nawet mówić, kto nas spalił... widzieliśmy dobrze, że Feivel, arendarz z Równego, który poprzysiągł zemstę memu ojcu. — Widzieli go ludzie ze wsi jak wychodził pod

gumna... Zoter skończył w więzieniu. –

Dwa dni było zupełnie wstrzymania, ale ojciec mój miał dużo w sobie energii, drugiego dnia wstał z łóżka, zaczął o tem myśleć jak było gospodarować, zaczął się z Żydami naradzać. Trzeciego dnia zobaczyliśmy [illegible] zboża jadącego przez wieś od pana Łukasiewicza. Na tę samą pomoc innym, przysłano z tych żydów nawet z dalszych, pasze, zboże, mąkę, ratowano pogorzelców po dawnemu, pocieszała staropolska tradycja. – Niebawem zrozumieliśmy, że można było myśleć o dalszem gospodarstwie. [illegible] coś z sobą opuścić, [illegible] postanowiłem uciekać; nie zapierać się o pieniądze, we własnym dobrze zrozumianym interesie, aby pozwolić mojemu ojcu do dźwignięcia się i pracowania dalej na ich liczbę. – Ale nerwy mojego ojca coraz to bardziej się zużywały, wzrok coraz to bardziej przygasał, dziwaczał, samotniał, robił się odludkiem. Siostra moja jedyna była jego w domu pociechą, ale wskutek tego nie chciał jej na krok wypuścić z domu, nie pozwolił matce z nią wyjeżdżać, tyranizował ją swoją miłością, obawiając się osamotnienia. Wkrótce nie wiem, [illegible] – to jedno dziecko było dla mnie całem szczęściem, ale zarazem i źródłem ciągłej troski; ponieważ bowiem moje zdziwaczenie [illegible] dobrze, że pamiętały trzeba było [illegible], trzeba oddać na pensję.

Po następnych paru wypadkach, aby gospodarstwo jako tako znowu w ruch puścić, zabrakło ojcu było grosza, aby mnie znów posłać do Krakowa. Umiałem cenić te wysiłki; pracowałem co mogłem, wstawałem o piątej, aby się uczyć na pamięć dosłownie paragrafów kodeksu karnego, aby wbijać sobie w głowę suche postanowienia procedury cywilnej. Najczęściej się potrafiłem uczyć z rana, trochę po południu, wieczorem zaś mi nauka dosięgła; pamięć zamglona całodziennym zmęczeniem nie dopisywała. W ciągu reszty całego życia wieczór był dla mnie mało produkcyjnym, podczas gdy innym najlepiej uczy się, pisze, czytają wieczorami i w późnej nawet nocy, ja się musiałem wcześnie kłaść spać, aby móc o świcie umysł wypoczęty i rano więcej w godzinę zrobiłem, aniżeli we dnie po [illegible]. – W czasie wojny austriacko-pruskiej kiedy wojska niemieckie rozwinęły się na polach czeskich, siadałem do drugiego prawniczego egzaminu, który mi powiódł się dobrze, a zachęcony tem powodzeniem, podałem się natychmiast o pozwolenie składania ~~drugiego~~ karnego rygorozum, celem otrzymania stopnia doktora praw. Skłoniła mnie do tego obawa rozpowszechniona w Krakowie, że Prusacy niebawem zajmą Kraków, i że tem samem wszelkie egzamina na uniwersytecie przez dłuższy czas nie będą się odbywać. – W dniu więc, kiedy nadeszła wiadomość, że pruskie wojska już w Oświęcimiu, ~~[illegible]~~ zgłosiłem się do pierwszego rygorozum, a że profesorowie więcej myśleli o Prusakach, aniżeli o delikwencie, który siedział przed nimi za zielonym stołem, więc rygorozum odbyło się prędko i ku mojemu zupełnemu zadowoleniu. – Teraz nie trzeba było tracić czasu, ale utrzymać co prędzej do urzędu, aby jako tako niezależnym w utrzymaniu, o dalszych projektach wstąpienia do orientalnej akademii, aby przejść na konsularną drogę, nie było mowy, wobec braku potrzebnych do tego funduszów. Podałem się więc pisemnie do Namiestnictwa we Lwowie, aby mnie przyjęto na „praktykanta konceptowego" do władz administracyjnych. – Z tamtąd jednak przyszła odpowiedź: że praktykantów nie przyjmują, bo młodzieży było nawet [illegible], że dwa lata przyjmowani mają być zaangażowano. – Dowiedziałem się tylko, że wyjątkowo, wskutek wielkich w dzieni

nistracyi przyjęto mego kolegę, Kazimierza Badeniego na praktykę do namiestnictwa we Lwowie.

Nie otrzymanie miejsca w Namiestnictwie było dla mnie wielką przykrością, bo jedynie tam mogłem się spodziewać szybkiego dostania pierwszej płacy, tak zwanego adiutum, w kwocie 500. złr., co wprawdzie do życia nie wystarczało, ale zawsze dla mnie i dla moich rodziców wielką mogło być pomocą.. Do sądu nie chciałem wstąpić, bo wówczas nasze sądownictwo bardzo nisko stało, uboga a najświeższa z niższych klas społeczeństwa pochodząca młodzież ~~wstępowała~~ szła wówczas do sądu, a sędziowie nie słynęli z wielkiej sprawiedliwości, lecz owszem bardzo często bywali przystępni brzęczącym wpływom. Do Namiestnictwa ~~wstępowała~~ garnęła się młodzież obywatelska. Namiestnictwo za czasów Gołuchowskiego było starczem, aby jak największa ilość dobrze wychowanej, a jeśli się da i bogatej młodzieży wstąpiło do administracyi, aby powoli można usunąć Niemców i Czechów z Galicyi z biurokratycznych pochodzących rodów, a natomiast mieć szeregi polskich urzędników.

Ponieważ jeszcze nie porzuciłem myśli zostania kiedyś profesorem uniwersytetu, więc wstąpiłem do Prokuratoryi Skarbu w ~~Lwowie~~ Krakowie, urzędu, który bronił praw Fiskusa, i był właściwie adwokatem Rządu. Do prokuratoryi przyjmowano tylko doktorów praw, albo rygorozantów, którzy mieli nadzieję wkrótce otrzymać dyplom doktorski, i z prokuratoryi po większej części rekrutowano (docentów i) profesorów wydziału prawa i administracyi. – ~~[illegible]~~. Naczelnikiem „Fiskusa" był p. Senkowski, ołtarz starego urzędnika, hemoroidarjusz jak należało, zapracowany i po za swemi papierami nie widzący świata.. Pan Senkowski przyjął mnie uprzejmie i przydzielił do biura Maxymiliana Zatorskiego, adjunkta fiskalnego. ~~[illegible]~~ Szczęśliwie się złożyło, bo Zatorski był rodem z Wołynia, bardzo przywiązanym uczniem, a pomimo tamtemi z rodu, więc miał już z góry dla mnie, jako swego „krajana" pewne względy.– Zatorski był zbieraczem starożytności, a przytem uczonym znawcą, wybitnym w rzeczach polskich i kollekcyonerem starych mebli, książek i rycin. Mieszkał z matką i starą panną siostrą, a mieszkanie jego na Siarkach bardzo ~~[illegible]~~ sympatycznie wyglądało, zagracone starożytnościami.. Praktyka adwokacka u Miechalskiego trochę mi się przydała, bo przynajmniej cokolwiek byłem obeznany z formą pism sądowych.. Zatorski mało mi z razu dawał do roboty, tylko kazał dużo aktów czytać, aby się wciągnąć w tok rzeczy. Czytałem więc te pozwy, te sprawozdania, te wyroki, ale głowa moja była jak zamurowana dla tych formułek, musiałem jednak skończenie przyswoić sobie tę kabalistykę urzędową, bo od niej zależało przyjście mnie na stałe i zaprzysiężenie na urzędnika, z tytułem c.k. praktykanta, bez płacy. Po sześciu tygodniach uznali Zatorski i Senkowski, że ~~[illegible]~~ można przedemną otworzyć wrota „urzędowej kariery", wystawiono mi dekret nominacyi i zaprzysiężono. Była to moja pierwsza urzędowa przysięga, przed krucyfiksem, postawionym na stole, przykrytym zielonym suknem i dwoma zapalonemi świecami. Odbierał ją p. Senkowski, a rotę przysięgi po niemiecku czytał Zatorski. Przysięga była długa, i obowiązywałem się w niej nie zdradzać tajemnic urzędowych (których za razem nie było), nie należeć do żadnych związków zabronionych lub tajemnych towarzystw zagranicznych, co także w praktyce przynajmniej nie miało dla mnie znaczenia, bo do związków narodowych nie należałem, a Massonów chyba ani jednego wówczas nie było w Krakowie.. Po przysiędze zaczęli koledzy uważać mnie już za swego, i wydawało mi się, że p. Rosenberg, jeden ~~[illegible]~~ Niemiec jakiegoś miał powody

sobą nie zrazić mnie już ignorować. Ów Rosenberg był pierwszym typem iście austryackiego biurokratycznego jakiego mi się poznać zdarzyło. Wysoki, chudy, z faworytami i wielkiemi starymi zębami, przejęty swą urzędową wielkością, nie komunikujący się z Polakami, aby go w biurze nie posądzono, że trzyma z ~~Polakami~~ nami, nie wytrzymujący prawie żart, zajęty tylko zadaniem „kawałków". Jedyną przyjemnością, której sobie Rosenberg pozwalał była partya bilardu i spacer po plantacyach. — Ów Rosenberg bardzo się gniewał, że niektóre pisma urzędowe musiał już pisać po polsku, a że nie umiał krajowego języka, więc komponował w swoich referatach najzabawniejsze dziwolągi. I tak zwrot niemiecki „Die Realität N. N. wurde am 15. Juli 1866. an Mann gebracht" przetłómaczył: „Realność N. N. na dniu 15. lipca 1866 za męża wydano". — Prawdę powiedziawszy, my młodzi w tej Prokuratoryi nie robiliśmy dużo, z pracy po większej części był bardzo trudno, jakieś od kilkudziesięciu lat prowadzone procesa sądowe, do których trzeba było już wprawnych jurystów. Dawano mi zatem do załatwiania ~~jakieś~~ tabularne prośby, sprawozdania do Namiestnictwa i podstawiano zawsze sakramentalną formułkę „tylko pan akta czytaj". A czytanie tych aktów nie było przyjemnością, rozmaite, niewyraźne pisma, na pożółkłych papierach, do których zrozumienia potrzeba już było cierpliwości starego urzędnika, a cóż dopiero powiedzieć do zrozumienia! — Ponieważ jednak nie miałem zbyt dużo pracy w Prokuratoryi Skarbu, więc wziąłem się dalej do rygorozów i dość je prędko zdawałem, przyczem po każdym rygorozum w urzędowo-biurowym dowcipie nazywali mnie koledzy „der ~~Dr.~~ Viertel Doctor", „Der drei-viertel-Doctor". —

Począwszy od roku 1866. rozpoczął się tak u nas w Galicyi, jak w całej Austryi ogromny zwrot w pojęciach. ×) Jako Polacy otrzymaliśmy straszne cięgi od Rosyi, które ~~nam~~ w nas zachwiały ~~pojęcia~~ idee o romantycznych powstaniowych zamachach, jako poddani państwa austryackiego przeszliśmy w wojnie austryacko-pruskiej potężną rękę Prusaków — trzeba było wejść w siebie i pracować. — We Lwowie dawno już Gołuchowski cicho, spokojnie, rozumnie ~~pracował~~ dążył do polepszenia galicyjskich stosunków, których jednak w swej pogardzie dla wszystkich co było galicyjskie, co ~~kwestia~~ spadało w kolorowe czarno-żółtą, bliższy zwłaszcza warszawskich opisów, bardzo się pod każdym względem zaniedbał. „Czas", który dużo zawinił w ~~czasach~~ epoce powstania, a teraz niezgrabnie dążył do odrobienia i ~~dawnych~~ jątrzył rany narodowe nie umiał wpływać, na ulicy przewodził takim półgłówkom jak p. Alfred Szczepański, pozytywnych, naturalnie wykształconych do pracy umysłowej było bardzo niewiele. — Wielkiem szczęściem dla Krakowa był Dr. Dietl, spokojny, rozumny, łączący mniej administrator jak lekarz, naturalny patryota. — On rozpoczął konserwatywną i wytrwałą działalność i polonizował uniwersytet, a że był pokrewny duchem z Gołuchowskim, więc w namiestniku miał we wszystkiem czego sobie życzył najsilniejsze poparcie, on pierwszy jako burmistrz miasta Krakowa poprawił wiele zdezorganizowanych stosunków administracyi miejskiej, on dążył do założenia akademii umiejętności, on podniósł zdrowe zakłady krajowe, co prawda nie zawsze z powszechnem poparciem. — Z drugiej strony zebrało się koło młodszych ludzi, którzy postanowili wolą stawić tym, co tylko jeszcze chcieli żyć dalej powstaniem, Polską od morza do morza, i innemi pustemi frazesami, mającemi zachowywać i podtrzymywać w narodzie ideał wiecznego ruchu, wiecznego rozdrażnienia, aby społeczeństwo nie przestało być polskiem. Chcieli oni ciągle jątrzyć rany narodowe, nie pomnąc że skutek ich wysiłku się pokaże i przechowa nie trwale. — Wobec tych panów Szczepańskich, Rostafińskich i t. p., ~~których~~ stańczycy do boju

do strony 75. pamiętnika I. Tom

~~smutne, nasza publiczność nie lubi tego nastroju duszy, nie pojmuje go. – My pojmujemy~~
~~zanadto dobrze bujnkowego nastroju tonu posępnej dumki – daj Boże abyśmy go także kiedyś~~
pojmować nie umieli. X) Osobna uwaga, z odnośnikiem na dole. ad str. 75 75.a.

Po roku 1863. ~~[illegible]~~ dawały się uczuwać w naszem społeczeństwie dość groźne obja-
wy nerwowego rozstrojenia, apatyi graniczącej prawie z inercyą. Wyrzekania na cały naród,
na siebie samych, brak jakiejkolwiek gwiazdy przewodniej na przyszłość, nie widzenie w prze-
szłości nic takiego, coby za punkt wyjścia służyć mogło, najzupełniejsze opuszczenie rąk
oto symptomy, które się często spotykało. – Przed kilkoma laty wyjechałem z jednym z na-
szych bardzo znakomitych ludzi gdzieś za miasto, na przechadzkę. Mieliśmy obydwa kilka godzin
czasu, zawiązała się więc wkrótce bardzo żywa rozmowa o naszej przeszłości, o obecnem położeniu,
o możliwych nadziejach na przyszłość. ~~Za~~ Towarzysz mój rozgniewał się, duszę swą otworzył – ale wsze-
dzie mimo przeszło godzin tam spojrzał i nic nie zobaczył, jak tylko najzupełniejsze zwątpie-
nie, na którem żadne ziarno w ziemi się nie rozwinie. Jesteśmy narodem niedołężnym, do
niczego niezdolnym, bez charakteru, bez konsekwencyi, bez talentu nawet, nie mamy się czego
po sobie samych spodziewać – nie mamy żadnej przed sobą przyszłości. Oto było wyznanie
wiary mego towarzysza. Sprzeczałem się z nim także na chwilę, znając go jednak nie wą-
tpiłem, że to chwilowy upadek ducha, pessymizm wybujały na ~~[illegible]~~ żyznym gruncie, który
wnet kiedyś ustąpić musi. Był to człowiek bardzo nerwowy; podobnych jemu spotykałem wie-
lu: pracowali z obowiązku, z przyzwyczajenia, ale nie wierzyli, aby ta praca cośkolwiek przy-
dać się mogła. – Taka apatya, to najszkodliwsza z nerwowych chorób, do jakiegokolwiek odrodzenia
trzeba wiary w siebie, a gdzie tej wiary niema tam nie może być postępu, ale tylko szybki,
gwałtowny upadek. – Nie na każdą jednak ludzką naturę tak samo działają podobne przy-
czyny, nie wszystkie nawet choroby nerwowe tymi samymi objawiają się symptomatami:
fakt, który jednemu wszelką odbiera energię, drugiego drażni, pobudza do wylania swych uczuć,
do gniewu. Wszystko w takich razach lepsze, nawet gniew, aniżeli apatya. Owszem, w razach kiedy
ociężałość społeczeństwa skłonną jest do zupełnego moralnego upadku lepiej może nawet jeże-
li ktoś powstanie z gwałtownem, niesprawiedliwem zdaniem, jeżeli krzyknie bólem społeczeń-
stwu w oczy, jeżeli je dotknie do żywego, – bo taki głos gniewu, oburzenia, czy nawet pogardy
porusza apatycznych, zapala w nich gniew czy jakiekolwiek inne uczucie i wydobywa ich
ze stanu bezczynności. Duży kamień wrzucony w stojącą wodę, ~~która~~ porusza ~~[illegible]~~ mo-
że ją tak gwałtownie ~~poruszyć~~ wzburzyć, że zatkane ~~kto~~ wodą przypływy otwierają się i stan zno-
żyć i poruszać się zaczyna. – Łagodny, spokojny, rozważny kaznodzieja nie potrafiłby rozbudzić
drzemiących uczuć, gniewny osiąga w takich razach najlepszy skutek.

Szczęściem naszem, że nie całe społeczeństwo ugrzęzło w apatyi, owszem tu i owdzie powstali
ludzie, których to wszystko co się stało w r. 1863. jeszcze gniewać potrafiło, którzy społeczeń-
stwu zawsze w twarz rzucać obelgi. Symptomata tego nerwowego rozdrażnienia dały się czuć pra-
wie równocześnie w Warszawie i w Galicyi, która bardziej ~~nasłania~~ wycieńczona, może w większą z razu
aniżeli Królestwo wpadła apatyę. Tutaj i tam musiało się to rozdrażnienie w inny oka-
zać sposób, w Galicyi otwarciej, wyraźniej, w Warszawie pośrednio, pod różnemi pokrywami,
przez które cenzura nie widzi. W Galicyi rozdrażnienie miało z razu więcej polityczną, w War-
szawie ściśle literacką cechę. Tutaj jednak i tam grały nerwy – ale to było w naszem położeniu

neca [illegible]

gr. St[illegible]
polski, [illegible]
to i[illegible]
ici cię[illegible]
stko [illegible]
kwestyi [illegible]
li, bo [illegible]
zadanie [illegible]
nie, [illegible]
stracili [illegible]
zachodu
tępiej [illegible]
takich [illegible]
ośmie[illegible]
nie [illegible]
ale [illegible]
wkięg[illegible]
zu [illegible]
zaniś[illegible]
pomo[illegible]
całą [illegible]
W [illegible]
wiora[illegible]
granic[illegible]
wpięg[illegible]
o m[illegible]
wiera[illegible]
szkol[illegible]
wary[illegible]
skupi[illegible]
którą [illegible]
w kr[illegible]
Świet[illegible]
niep[illegible]
wiar[illegible]
czyko[illegible]
na [illegible]
mie[illegible]
Dziej[illegible]
a g[illegible]

rzeczą najzupełniej naturalną, a z owego przestrzeganego punktu widzenia – nawet zbawienną.

W Krakowie zebrało się grono ludzi znakomitych, którzy społeczeństwu wielkie oddali usługi. Hr. Stanisław hr. Tarnowski założył w połowie r. 1866 miesięczne pismo zwane Przegląd polski, a około pisma zgrupowali się tacy ludzie jak Lucyan Siemieński i Józef Szujski. – Był to jakby kamień wrzucony w stojącą wodę, gdyż pismo nie zakrywało słabych stron naszej przeszłości ciężkimi kotarami, ale owszem rozrywało je, z szlachetnem oburzeniem rzucało się na wszystko co było lekkomyślnem i szkodliwem, a w gniewie szło nawet tak daleko, że w tej lub owej kwestyi wyprzedzało czasem dążności społeczeństwa. – Ludzie się gniewali – i owszem się gniewali, bo wyszli z moralnego odrętwienia, w które ich wprawił rok 1863. – Przedewszystkiem wzięto sobie za zadanie potępić, zohydzić, ośmieszyć nawet owo chwilowe oszołomienie, które wywołało powstanie, wystawić na pręgierz agitatorów polskich, którzy mieszkając od dawna za granicą kraju, stracili poczucie jego potrzeb, a wmówili się w zarozumiałość, sądząc, że wykarmieni na najnowszych ideach zachodu lepiej na wszystko poradzić potrafią, aniżeli ludzie pracujący w kraju. – Nie oszczędzając więc takich jenerałów, jak Ludwik Mierosławski, dyplomatów jak p. Blater, publicystów jak p. Agaton Giller – ale ośmieszyć ich i wykazać niecość zasad które chcą reprezentować, oto było zadanie ludzi grupujących się około pisma Nowego. – Przegląd nie miał wielu prenumeratorów (600–700), bo publiczności prenumerującej nie było wiele, ale rozchodził się pomiędzy wyborową publicznością, a każdy numer z głośniejszym artykułem Tarnowskiego lub Szujskiego był podawany z rąk do rąk, i cały kraj o nim wiedział. – Zrazu występował Przegląd dość ostrożnie, chcąc widocznie zyskać sobie naprzód teren działania zanim z zakorzenionemi uprzedzeniami do stanowczej wystąpi walki. A uprzedzeń tych pomimo upadku powstania, pomimo całej serii moralnego bankructwa na jakiem skończyła się cała emigrancko-agitatorska i poetyczno-idealna kierunek – było bardzo wiele. W samym Krakowie istnieli jeszcze ludzie, którzy cały przeciąg zimy przepowiadali, że na wiosnę będzie europejska wojna, a z niej wyniknie odbudowanie Polski w granicach r. 1772. – Pomiędzy nimi byli ludzie poważni, którzy zajmowali dawniej wysokie stanowisko w różnych stronach Polski, a swojemi wspomnieniami, opowiadaniem o męczeństwie narodowem, kaznodziejsko-oratorskim tonem nie mały wpływ na młodzież wywierali. Ludzie ci, niepoprawni marzyciele, zamiast upaść zupełnie na duchu, brnęli coraz głębiej w swej szkodliwej ideologii, przygrywali po ulicach nie widząc rzeczywistości, żyjąc ciągle prawie w jakiejś [illegible] nas-wowej chwale. – Były to po większej części emocye dawnych przejść, dawnych idei; skupieni w Krakowie, więcej bowiem obywatele bliżej się stykający ze smutną rzeczywistością skłonniejsi byli do zwątpienia i apatyi, aniżeli do marzycielstwa. – Ludzie z sercem mieszkający w Krakowie, zanadto jeszcze silni duchem, aby wpadać w apatyę, a zanadto rozumni, aby dzielić błędy przeżytych ideologów – poczuli całe niebezpieczeństwo chwili, a wszystkiem niepoprawnością jednych, a małodusznością drugich, bryznęli im w oczy trzeźwym siarczanym, satyrą, pamfletem, aby ich ocucić. – Tym pamfletem była Teka Stańczyka, najznakomitszym pamfletem, jaki nam nowsza wydała literatura, a co najważniejsza pamfletem, który wywołał swój skutek, doprowadził do tego, do czego doprowadzić zamierzał – przebudził wszystkich, budząc gniew w jednych, a w drugich wyradzające się przekonanie, że narodowi przyświecają jeszcze inne drogi otworem, aniżeli te na których był wzrastał, a grążące coraz głębiej wielkie utraty zdołały. – Teka Stańczyka była w najwyższym stopniu

nerw
organi
zali
czyli
Kiernn
jaś, go
przyjść
wszakże
cel te
polsko
praca
katedry
która t
skiej
[illegible]
jest i
we w
katolicy
czna w
na p
demor
ze świa
przyj
pokor
i był
inaczej
skiero
gląd
~~ostat~~
Co w
bone
Libe
Katol
chcia
stork
wice
ważno
z im
prec
[illegible]
jest
Eij
wiek

nerwowym objawem w literaturze, ale była tem przejściem w chorobie, które wstrząsa całym organizmem i sprowadza polepszenie. Taka była dziełem składanem: ludzi którzy ją pisali mieli tworzyć, a nawet zginąć w powstaniu, byli wcale i tacy co sami walczyli w szeregach powstańców – mimo to oblali cały ruch z r. 1863. szyderstwem. – Cały kierunek Przeglądu dążył do tego, aby rozwiać niedoścignione ideały polityczne, wzmacniać się, szerzyć, gdzie bliżej, krzewić naukę i umiejętność i tym celem z rządami, które nad nami panują, przyjść do porozumienia, znaleźć modus vivendi, któryby ułatwiał dojście do pomyślnego stanu. W Galicyi cel ten był najłatwiejszy do osiągnięcia, Przegląd też jasno i otwarcie wystąpił z polityką polsko-austryacką. Aby nie walczyć tylko słowem, ale dać przykład służenia krajowi swą inteligencyą, pracą zdał p. Stanisław Tarnowski doktorat filozofii potrzebny do osiągnięcia uniwersyteckiej katedry, a następnie starał się o profesurę literatury polskiej w uniwersytecie Jagiellońskim, którą też osiągnął. Tą samą drogą poszedł p. Józef Szujski i został profesorem historyi polskiej na powyższym uniwersytecie.

Kwestyi religijnej Przegląd z razu nie dotykał, gdyż właściwie takowa nie istniała. Naród jest i był katolickim, ona i umiał w sobie dużo tolerancyi i nie był nigdy fanatycznym. Jak we wszystkich społeczeństwach tak i u nas byli mniej lub więcej wierzący, albo nawet katolicy tylko z nazwiska – co zależy od charakteru, usposobienia, prądów filozoficznych i t.p. – znaczna większość narodu była wszakże katolicka. Jeżeli zaś wiara w ludzi tu i owdzie była zachwiana przypisać to trzeba było albo samemu duchowieństwu, które nie wszędzie bywało wzorowem, albo demoralizacyjnym wpływom małych miasteczek: wódki, żydów i urzędników opowiadających wszelkie ze świata nowinki. Osobom wyższym jednak, którzy słowem i przykładem umiał swej parafii przyświecać, nie potrzebował się pod względem nigdy skarżyć na brak wiary w ludzi i na nieobecność pasterzy nieprzyjaznych religii wpływów. – Stronnictwo Przeglądu stan ten dobrze rozumiało, i było tego przekonania, że stan dotychczasowy pod względem religijnym tylko poprawiać należy, przeinaczać go jednak i nowych dróg wynajdywać nie potrzeba. – Całą nerwową działalność Przeglądu skierowało się z razu zatem w stronę polityczno-społeczną, co trwało aż po rok 1871, pomimo, że Przegląd powstał w roku, w którym nowa monarchia włoska zapanowała nad Rzymem, a ostatni żołnierz francuski opuścił Zamek św. Anioła. (1866. w grudniu.) Co więcej Przegląd tak mało był skrajnym w rzeczach religijnych, że po odbytym w Rzymie soborze pozwolił sobie krytykować niektóre tegoż postanowienia, i zamieszczał rozprawy filozoficzne Libelta (wprawdzie z dopiskami od redakcyi), w żadnym razie nie wspierające wyobrażeń katolickich. – Nauka, umiejętność – była głównie Przeglądowi naczelną tak ważną i słowa tym nie chciał w niczem krępować w narodowym rozwoju. – W kwestyi okupacyi Rzymu przez wojsko włoskie zajął Przegląd stanowisko nieprzyjazne nowej monarchii, ale kładł w tej mierze więcej nacisk na naruszenie prawa publicznego, własności papieża, aniżeli na kościelną ważność tej kwestyi. – Formuła Bismarka była przedwczesnem po raz pierwszy raz wówczas jawnie w świecie w Berlinie była wypowiedziana – a Przegląd był gdy już i ze stanowiska narodowego przeciwnym, ponieważ przyznanie się do niej, byłoby zrzeczeniem się Polski.

Co do nas to jak z jednej strony jesteśmy przekonani, że w zasadzie formuła Bismarkowska jest najgorszą teoretycznie niesprawiedliwością i moralnie usprawiedliwić się nie da, tak znów z drugiej strony uważamy za szkodliwe utrzymywać naród w ułudzie, że w międzynarodowych stosunkach prawo kiedykolwiek odgrywało rolę. Prawo narodów pisali zawsze silniejsi dla słabszych, a ścisłe nigdy brano

było ono tylko chwilowem prawem obowiązujących traktatów. Deklamacye jednak, że po wzro-ście sprawiedliwości ludzi, po wzniesionem poczuciu prawa w narodach, po uśmierzonych zmysłach lub tylko wyfilozofowanych prawach sprawiedliwości cokolwiek spodziewać się może – są owe do niczego nie pro-wadzącą, owszem najczęściej ostatnią frazeologią. Im mniej naród spogląda po za sie-bie, choćby nawet na tak piękne ideały, jakiemi jest prawo narodów – to tem mniej się łudzi.

Zajęcie Rzymu przez nowe Włochy, a następnie sobór watykański nie zostały jednak bez silnego wpływu na nasze społeczeństwo. – Skrajni zwolennicy Kościoła, plus papistes que le Pape même, ultramontanie, jak się ich nazywać zwykło, widząc zagrożoną religię we wpływie kościoła we Włoszech sądzili, że i w Galicyi trzeba rozpocząć silne ze podniesieniem wpływu kościoła działa-nie. – Działanie to rozpoczęte było w Poznańskiem, gdzie wobec napierającego rządowego protestan-tyzmu miało pewne pozory potrzeby, powiadam tylko pozory, dla tego, że naród nasz [illegible] nigdy nie cierpiał w Poznańskiem na przewadze protestantyzmu, i z tej strony żadne mu nie zagraża-ło niebezpieczeństwo, ale cierpiał na przytłumiającem parciu ekonomicznem i narodowem niemieckiej potęgi. Jan Koźmian rozpoczął tam w ultramontańskim kierunku działanie i założył pismo Przegląd Poznański, który z talentem redagowany nie mały miał wpływ nawet w innych częściach Polski. – W Galicyi było wprawdzie kilku pisarzy, jak Zygmunt Helcel, Walery Wielogłowski, Maurycy hr. Dzieduszycki i Mann Maurycy, zajmujących stanowisko więcej szczerze-kościelne aniżeli ogół katolickich polskich pisarzy, ale w czasie o którym mówimy tylko wpływ ostatniego miał większe znaczenie. Dwóch pierwszych już nie żyło, a Maurycy Dzieduszycki nie był nigdy pisarzem dzia-łającym na szerokie koła, gdyż ciężki styl jego i zbyt wybitna w dziełach tendencyjność nie za-chęcały do czytania książek, które wydawał. – Maurycy Mann przeciwnie stał na czele dziennika Czas, mającego swą ustaloną klientelę, dziennika który podczas powstania z r. 1863 dużo nagrzeszył, nie mało się przyczynił do klęski narodu, podtrzymując niedoścignione marzenia – po upadku je-dnak powstania wdawszy się w pierwsze i poszedł tą samą drogą co Przegląd polski, zajmując tylko więcej wybitne pod względem religijnym stanowisko. – Po klęsce jaka bądź co bądź poniósł kościół we Włoszech przez utratę świeckiej władzy Papieża uważali ludzie gorliwi za po-trzebne skupić się także i w Galicyi, założyć stronnictwo polityczne ultramontańskiem zwa-ne i wszcząć na wielką skalę agitacyę. Ruch ten zapowiedziało kilka artykułów w Czasie, tudzież broszura p. Pawła Popiela pod tytułem: 12go Grudnia 1866 r. (dzień w którym wojsko francuskie ostatecznie Rzym opuściło), w której szczegółowy autor dowo-dził, że kwestya narodowości włoskiej nie była interesowaną w sprawie zajęcia Rzymu przez wojska piemonckie i że „rebelianci umysłów i fanatyczny zapał przeciwko Papie-stwu są natchnione przez towarzystwa tajne, sprzysiężone przeciw Bogu i Chrystusowi". – Do ruchu przyłączyło się naturalnie kilku młodych zdolnych księży, pomiędzy którymi odzna-czał się talentem i namiętnością ks. Zygmunt Golian. – Przedewszystkiem założono więc w Krakowie pismo „[illegible] Unija", które jednak wobec Czasu stanowczo folgującemu temu nowemu kierunkowi podrzędne tylko zajęło znaczenie. – Ważniejszym punktem zdawał się tym inicyatorom Lwów, gdzie duchowieństwo trzymało się tolerancyjnej, umiarkowanej religijnej tradycyi; a chociaż pod względem narodowym i pod względem wypełniania swych moralnych obowiązków nie było bez wielu zarzutów. – Tam więc posłano młodego księdza, który przewodniczył [illegible] wówczas, księdza Edwarda Podolskiego, aby ożywił ruch katolicki, aby uporządkował w porozumieniu z p. Maurycym Dzieduszyckim i kilkoma innemi zelantami stronnictwo ultra-katolickie.

k. G
porzyska
świata
dali j
dworki
ramię
dencya.
kowi
dencyi,
wiku
społecz
gorącz
nych
Tem, G
orkolicz
ski, a
Stiva,
racyi
fanaty
ski
Golwan
prać
dowód
nictwo
ateum
obnaw
perypr
wi na
zmem
ni u
zwoju
genezy
pu
liam,
ligen
Warsz
zować
narod
ści
polsk

Ks. Podolski zaczął od wydawania politycznego pisma codziennego *Unia*, pismo jednak mało pozyskało sobie prenumeratorów, a mimo pieniężnego poparcia kilku kółek arystokratycznego świata po roku, czy półtora roku wychodzić przestało. – Inicjatorowie jednak tego ruchu nie dali jednak za wygrane, ale zaczęli wydawać pismo zeszytowe dwutygodniowe p. t. Przegląd lwowski nie to literacko-społeczne, ale właściwie ściśle kościelne, gdzie z małym wyjątkiem zamieszczało tylko rzeczy stwierdzające wzrost duchowieństwa, albo nacechowane ściśle kościelną tendencyą. – Solą było w oku redakcyi Przeglądu lwowskiego, że Przegląd polski wychodzący w Krakowie nie postępuje tą samą co on drogą, nie wysuwa kwestyi religijnej na czoło wszelkich tendencyi, i zajmuje się przedewszystkiem polityką, literaturą i naukami, stojąc zresztą na stanowisku ściśle katolickiem. ~~Stronnictwo~~ Ks. Goliana, Podolskiego chciało się agitacyi, fanatyzowania społeczeństwa, podczas gdy Przegląd krakowski czuł to dobrze, że społeczeństwo dość przeszło już gorączek, a obecnie potrzebuje przedewszystkiem obudzić się z apatyi, albo z niedościgniowych marzeń i pracować. – Przegląd lwowski wystąpił więc w r. 1871 z gwałtownym artykułem, ganiąc Przegląd polski z powodu jego postępowania, posądzając go o obojętność a nawet oschłość w rzeczach religijnych. – Na tą zaczepkę odpisał w Przeglądzie polskim p. Józef Szujski, ~~[illegible]~~ oświadczając, że wywoływanie ~~[illegible]~~ religijnych sporów jest u nas rzeczą niepotrzebną i szkodliwą, naród jest katolickim, a tem samem chęć założenia stronnictwa katolickiego nie ma racyi bytu. – Że naród jest umiarkowanym, nie fanatycznym w rzeczach religijnych, że nie zna fanatyzmu – to tylko jest jego zaletą, a podkopywanie tej równowagi może prowadzić na bardzo śliskie i pokryte drogi. – Z niesłychanym zapałem, replikował p. Szujskiemu X. Zygmunt Golian w broszurze *Nasi Moderanci* (Lwów 1871) – w której z wielką zjadliwą odwagą potępiał wszystkich i wszystko, prócz pp. Mauryców Manna i Mauryca Dzieduszyckiego, starał się dowieść, że moderantyzm przyszedł do nas z zachodu (!?), opanował naszą arystokracyę i stronnictwo Przeglądu polskiego, że to stronnictwo zgorszeniem i schizmatyzmem jest dla kościoła i ateizmu, że inteligencya nasza jest niekatolicka, i że wszystkie ważniejsze dzienniki, na całym obszarze Polski są z wyjątkiem *Czasu* są nieprzyjazne katolicyzmowi. – Ksiądz Golian mówił pod pewnym względem słuszność, a mianowicie jeżeli się katolicyzm, jego szlachetne idee i zasady postawi na równi z ortodoksyą kościelną. Otóż inteligencya polska ani myślała walczyć z katolicyzmem, z całem przywiązaniem stała zawsze przy kościele rzymskim, jako wierze, w której naród nasz się wychował i rozwinął, uważała wytrwanie przy tej wierze jako warunek dalszego narodowego rozwoju – ale nie mogła ścierpieć wszechwładztwa ortodoksyi kościelnej, chcącej inteligencyę odbudzić murem chińskim od filozofii, od nauki, od przyrody, nie uznającej poza kościołem żadnego postępu ludzkich idei. – Na dowód, że dziennikarstwo polskie nie jest katolickiem przytoczył ks. Golian, że *Gazetę Polską* w Warszawie założył i redagował jeden z pierwszych reprezentantów inteligencyi polskiej, p. Kraszewski, a gazeta była pod jego redakcyą zjadliwą dla kościoła, że *Gazeta Warszawska* zamieszcza rozumowania i donosy przeciw Papieżowi, że ks. Adam Sapieha udarował krakowskim *Krajem*, że *Dziennik lwowski* był organem p. Smolki, „przypominającego narodowi potrzebę pracy na polu nauki i nie widzącego na jakich innych innych polach“, że nareszcie *Dziennik Poznański* w chwili wytoczonej przeciw wojny przeciw całemu duchowieństwu wielkopolskiemu był organem p. Szumana, prezesa koła polskiego, równie jak organem p. Niegolewskiego

i ks. Kozłowskiego. – Otóż to wszystko prawda, ale wszystkie te Dzienniki, wszyscy ci ratujący nie myśleli zwalczać egzystencyi Kościoła katolickiego w Polsce, żadnemu z nich nie śniło się o tworzeniu nowej religii, albo co gorsza przechodzeniu na łono protestantyzmu, ale każdy z nich chciał się bronić przeciw coraz silniejszemu wdzieraniu się ortodoksyi kościelnej w sferę, która musiała być pozostawiona wolną dla ducha ludzkiego, wolną dla naukowego badania, w sferę nareszcie polityczną, nie mające nic wspólnego z religią.

Przegląd polski nie przekonał naturalnie ani ks. Goliana, ani ks. Podolskiego, ani tych wszystkich, którym się zdawało tworzenie stronnictwa ultramontańskiego wydawało się koniecznością – owszem Przegląd lwowski stał się najbardziej nerwowym pismem rezydowanem, jakie kiedykolwiek u nas istniało. Nadto stronnictwo założyło jeszcze w Warszawie pismo po swej myśli „Kronikę rodzinną", która jednak pod dotychczasowym kierunkiem p. Janickiego żadnego nie uzyskała sobie wpływu.

Baterye zatem elektryczne, które miały poruszyć obieg krwi w organizmie całego narodu – w różnych rozstawiono kierunkach. Tylko, jak Teka Stańczyka pochodząca od ludzi zgrupowanych około Przeglądu Polskiego, iskrami raz w kontuszu karmi i artykułów w Czasie Wierowni Kraju, Unii i Przeglądzie Lwowskim walczyło stronnictwo ściśle ultramontańskie. – Zapomnieliśmy wszakże o młodzieży: ta jednak także nie zasnęła, ale na swój sposób chciała sama pracować i drugich do pracy pobudzać. Ruch pomiędzy młodzieżą rozpoczął się prawie równocześnie w Galicyi i w Warszawie, pierwotnem jednak tegoż ogniskiem był może – Kraków. – W latach od 1860. r. aż prawie po 1866. był Kraków zbiorowiskiem młodzieży ze wszystkich stron Polski. Dłużej lub krócej każdy tam przebywał, czy z rozognioną imaginacyą w czasie wypadków warszawskich, czy przygotowując się pod niemyślny Miechów, czy też wracając, gdy już wszystko było stracone. – Najwięcej czasu przepędzała ta młodzież na próżniactwie, grając w bilard i budując całe piramidy najzuchwalszych planów na przyszłość; ale prócz tego była koła w których bardzo żywo i poważnie zajmowano się nauką, czytano mnóstwo francuskich i niemieckich książek bez wyboru. Młodzież po największej części łaknęła wiadomości, wiedzy a z im dalszych stron przybywała, im mniej o nowym naukowym ruchu Zachodu słyszała, tem silniejszem było to pragnienie. – W owym czasie spopularyzował Büchner w swej książce Siła i Materya materyalistyczną filozofię, nowość uderzyła młodzieńcze umysły. Rzucono się więc na książki natchnione materyalistycznym kierunkiem. Sprowadzano, rozrywano sobie pomiędzy sobą dzieła Moleschotta, Karola Vogta, Comta itp., a gdy później Buckle wystąpił ze swą historyą cywilizacyi w Anglii nie marzono o niczem tylko o materyalistycznej nauce. – Wobec tej nauki tem czczniejszą się wydawała nasza najbliższa przeszłość pełna deklamacyi o mesyanizmie, pełna pewnie zabytków szkoły Towiańskiego. – Materyalistyczna filozofia prowadziła wprost do przekonania, że nawet można dojść tylko umysłową twórczością, pracą, ekonomią, postępem się wszystkich niedościgniętych ideałów. Religia wydawała się niepotrzebną, a tem bardziej katolicka, o której mówił Buckle, że pod jej kierunkiem moralnie upadają narody. – W gorących więc młodzieńczych umysłach powstała naturalnie myśl, że materyalizm jest najsilniejszą umysłową zdobyczą, że go wszelkiemi siłami krzewić należy. – W Krakowie nie było pisma, w którem było można krzewić materyalistyczną propagandę, we Lwowie jednak wychodził Dziennik literacki, pod redakcyą p. Juliana Starkla, który otworzył swe kolumny zatem materyalistycznie usposobionej młodzieży. Artykuły jak Historya szatana, Kopernik materyalista, etc. następowały po sobie w porządku, działały silnie na młodzież we Lwowie i w Krakowie, ale u ludzi starszych napotykały na oporność, przez co nawet zmniejszała się liczba abonentów Dziennika. – Pomiędzy krakowską młodzieżą rozmarzoną materyalizmem, którą bardzo wspierał cokolwiek już starszy Mieczysław Pawlikowski, znajdował

się kilku bardzo zdolnych ludzi z Warszawy, którzy literalnie robili w tej mierze pomiędzy swymi przyjaciółmi propagandę. Niektórzy z nich mogli wracać do kraju, osobliwie więc nakłaniali kolegów swych ze szkoły głównej do naszych idei, w których widzieli jedyną regenerację społeczeństwa. Z tem jednak ta propaganda, która się rozpoczęła w r. 1865. szła nadzwyczaj powoli; wszystka młodzież zdolniejsza ze szkoły głównej pisała liryczne wiersze, bawiła się gnuśniejąc w robotniczeniu. O lepsze dzieła było bardzo trudno, z biblioteki uniwersyteckiej nie pożyczano książek do domu, a czytelnia była otwarta tylko od 9. do 1. z rana, właśnie w godzinach, w których się odbywały wykłady. – Jeden z moich znajomych nie mógł znaleźć w Warszawie dzieł Szopenhauera. – Prąd materyalistyczny naturalnie najbardziej się przyjmował na wydziale medycznym, student tego wydziału, p. Filipowicz przetłumaczył książkę Büchnera Siła i materya szukał wydawców, ale ich nie znalazł, a tłumaczenie tego dziełka wyszło dopiero o pięć lat później; w r. 1870. we Lwowie. P. Julian Ochorowicz napisał kilka rozpraw opartych już na wiernem czytaniu, na znajomości angielskiej i francuskiej filozofii pozytywnej, a mianowicie wydał rozprawę: Jak należy badać. Ruch ten miał za sobą to dobrego, że pociągnął zaraz profesorów szkoły głównej do walki. I tak wystąpił profesor filozofii Henryk Struve z obszerną broszurą O istnieniu duszy i jej udziale w chorobach umysłowych (Warszawa r. 1867) a nieco później z recenzyą artykułów w Tygodniku naukowym (Gregorowicza) (zaczął wychodzić 1865?), pod tytułem O duszy i jej objawach – gdzie wykazywał „brutalstwo i [illegible]mość“ materyalizmu. – P. Lewestam raz konstatował we swych odczytach miewanych o literaturze XIX. wieku i literaturze powszechnej, aby nauczać słowa potępienia na te „wszystkie niedorzeczne wyobrażenia, które w imię moralności, religii i wszystkiego co zacnego człowieka obchodzi odpierać należy“! –

Jeżeli z jednej strony ta młodzieńcza filozofia bezsprzecznie choć cokolwiek rozbudzała życie, obrażając jednych, przyciągając drugich, to z drugiej strony wszystkie dziennikarstwo nie mało się do tego przyczyniało, aby porwać umysłami i nie dać warszawskiej młodzieży śpiewać tylko sonetów do Maryłki. Gołos dowodził, że ponieważ Polska jako państwo istnieć przestało, i istnieć nie może, przeto i istota zwana Polakiem nie ma racyi bytu, Polonizm był wytworem tego dziennika wyższym zlania się żywiołu skandynawskiego (Szajnocha) ze słowiańskim i nie ma w samym ludzie podstawy, a tym sposobem jako narośl sztuczna i anormalna przy powrocie naturalnych stosunków uschnąć i odpaść musi. – Albo znów mówiąc o Moniuszce utrzymał Gołos, że Polacy nie mają ani zdolności muzykalnych, ani muzyki narodowej, że jest wprawdzie coś co nosi nazwę muzyki polskiej, ale to po bliższem rozważeniu da się rozdzielić na tematy ludowe (słowiańskie) i sztucznie w nie wplecione szlacheckie! – W ten sposób mutatis mutandis przemawiała do Polaków dzień w dzień prasa rosyjska, z wyjątkiem może dziennika Wiest', jako organu konserwatystów i Gazety Birżewaja wiedomosti organu handlowego i ekonomicznego.

Stanisław Tarnowski, ~~[illegible]~~ Józef Szujski, Stanisław Koźmian, ~~[illegible]~~, Ludwik Wodzicki i wielu innych mniej wybitnych talentem i stanowiskiem. Stanisław Tarnowski, najzamożniejszy posiadłością prawie oddając swoim kosztem założył poważne czasopismo literacko-polityczne, raz na miesiąc w Krakowie wychodzące, Przegląd Polski, który do dziś dnia z wielkimi ofiarami założyciela wychodzi. W Przeglądzie chciano zespolić wszystkie siły, ludzi pracy i porządku w Galicyi, a tym niejako zamanifestować, że [illegible] zaczyna się imieniem całego kraju, i nie ma się jakichkolwiek separatystyczno-krakowskich dążeń. Zamieszczono zaraz w pierwszym numerze pisma artykuł Floryana Ziemiałkowskiego, posła do Rady Państwa, wybitnego stronnika polityki Gołuchowskiego i uchodzącego za separatystę „lwowskiego". — Ten djabełek lwowski i djabełek krakowski płatają przez długie lata rozmaite figle w galicyjskich stronnictwach, a walka ich wygląda, patrząc się z dalszej perspektywy, cokolwiek komicznie. W gruncie rzeczy nie było nigdy zasadniczej różnicy w politycznych dążeniach lwowskich i krakowskich polityków, co do rzetelnej pracy dla dobra kraju, były tylko osobiste ambicje co do wpływu na politykę, co do osób, które mają rządzić, walka pomiędzy „Baranami" Potockimi, a „Kaczkami", tj. gmachem namiestnictwa (Gołuchowski) w którym rezydował wróg pojęć krakowskich „liberał", „nowiczusz" w społeczeństwie polskiem. — Tarnowski był zanadto wielkim patryotą, zanadto lojalnym człowiekiem, aby w tak ciężkich dla kraju czasach podżegać jeszcze prowincyonalną walkę pomiędzy rodzinami stojącemi na świeczniku społeczeństwa. Tarnowski chciał dobrze i postępował jak umiał, najlepiej. — Należy on do najczystszych postaci naszego społeczeństwa za mojej pamięci. — Bardzo wykształcony, niezwykłe pracowity, ~~[illegible]~~ sumienny, rzetelny we wszystkiem co pisał i robił, nieskazitelnego honoru, człowiek zupełnie czysty, co dziś znaczy, gdy się mówi o ludziach drugiej połowy XIX. wieku, stojących bardzo często w konflikcie z uczciwością, zwłaszcza w pieniężnych sprawach. — Tarnowski, średniego wzrostu, ~~[illegible]~~ krępy, barczysty, o bardzo pięknych oczach, z brodą rozczesaną na boki, szatyn twarzy, zawsze poważny, z uśmiechem serdecznym, ~~[illegible]~~ szedł krokiem szybkim, stanowczym, trochę zanadto elastycznie, prawie podskakując. — ~~[illegible]~~ [illegible] do polskiego stroju, wyglądał wybornie w delii i kontuszu, ~~umiejąc~~ umiał ten strój nosić, stawał się w nim potężniejszym, poważniejszym. Zwykły strój europejski, w którym zresztą zawsze chodził i chodzi w codziennem życiu zdaje się być za ciasnym do jego ruchów, do jego nigdy nie spoczywającego usposobienia. — W czasach o których mówię, zajmował Tarnowski nietylko „Przegląd" ale i profesurę literatury polskiej na uniwersytecie krakowskim. Tarnowski czuł się na siłach, aby wykładać młodzieży polską literaturę, uważał wstąpienie na taką katedrę za konieczność, ale nie miał doktoratu filozofii, którego biurokratyczny ustrój austryackich uniwersytetów koniecznie wymagał. Dotychczasowy profesor literatury polskiej Mecherzyński był to krakowski uczony na sposób Grabowskiego, który pisał o starożytnościach miasta Krakowa, stary mól książkowy, nie mający nowych ruchów w europejskiej literaturze, człowiek o ciasnych i ograniczonych pojęciach. — Tarnowski, człowiek ~~już~~ skończony, ceniony już w polskiem piśmiennictwie nie lękał się bynajmniej, aby zdać doktorat filozofii i być ~~[illegible]~~ tego kwalifikowanym

do objęcia katedry uniwersyteckiej, wrócił raz jeszcze do Greków i Tacyta, do wszystkich uniwersytetów zagranicznych, i otrzymał potrzebny doktorat. – Gdy został profesorem cały kraj mu przyklasnął, każdy bowiem widział, że ten człowiek, zamożny, wyłaniony już, przez patryotyczny tylko obowiązek poddawał się cięższej pracy. – Gdym po raz pierwszy zetknął się z Tarnowskim zdawał on mi się trochę sztywnym, trochę chłodnym, trochę może nienaturalnym – i takie wrażenie robił na razie na wszystkich, którzy go dopiero poznali, albo którzy go dawno nie widzieli. – Zewnętrzne wrażenie jakie się wynosiło wtedy, gdy tylko na ulicy, albo w towarzystwie, wrażenie nadzwyczaj sympatyczne cokolwiek się osłabiało, i każdy mówił do siebie: „ależ Tarnowskiego zawsze sobie wystawiałem przy bliższem poznaniu, jakiegoś swobodnego, serdeczniejszego, a tymczasem ten człowiek mówi, jak na katedrze lub trybunie i chodzi zawsze na koturnie?" – Mówiono powszechnie „Tarnowski nieśmiały, nieśmiałość jest powodem tego wrażenia chłodu i przesady jakie je sprawia po pierwszych z nim spotkaniach". Nie nieśmiałość to była, ale usposobienie trochę dumne, mimowolna może troska o to, aby się źle nie przedstawić, zbytnia uwaga na każdy swój ruch, na każde swoje słowo. Tarnowski zbyt chciał być doskonałym, zbyt się pilnował i wskutek tego wpadał w sztywność i trochę w przesadę, stał się zanadto okrągłym, bez rogów i kantów, o których zaczepić można. – W wykładach, w mowach publicznych Tarnowski grzeszył zawsze tą okrągłością przechodzącą czasem w przesadę, był on jak aktor klasycznej starej szkoły, jak francuski Mounet-Sully, albo jak niemiecki Sonnenthal, których nawet prosta dykcja samą duszę, nie może wyrwać z deklamacyjnych przyzwyczajeń. Tarnowski rósł zawsze w tych ugiętych stałych szynach i nic go z nich wykolei nie było w stanie. – W kole domowym, znajomych, przy bliższem poznaniu się Tarnowski miał się rozkrochmalać, stawać się cieplejszym, naturalniejszym, ja go wszakże takim nigdy nie widziałem, i mam przekonanie, że Tarnowski w nocnej nawet koszuli był patetycznym pozy i godności. – To wszystko jednak kostium nie wyłączało jego zacnej i szlachetnej natury, a że dobrym umiał być przyjacielem, dowiódł tego w stosunku z Szujskim, który nigdy dość nie miał dla niego słów pochwały. – Tarnowski ożenił się bardzo bogato, z panną Branicką, mówiono o pięciu milionach franków posagu, wolno też nie umiał użyć [illegible] fortuny rozsądniej, oszczędniej a pożyteczniej. – O pisarzu Tarnowskim toż samo mówić mi trzeba, dziwniejszem przekonaniem jest, że pisze za dużo i wskutek tego za dużo wody leje w tem pisaniu; był on w pisaniu, tak jak w mowie zanadto okrągłym, zanadto akademickim, nigdy jednak w książkach z powodu gorącego patryotyzmu zapominał o tych ważnych względach piękności, w pismach, gdzie nim pałały uczucia katolickie, uczucia dobra narodu ponosiło to, gdzie Tarnowski dyszał i rósł naprzód bez pamięci, tam był pisarzem, który wiele zdziałał u nas dobrego, wiele serc chwiejnych i koślawych wyprostował i naprawił, wiele umysłów przekonał i podniósł, wiele nawet cóś na drogę obowiązku. Potomność mu kiedyś wystawi świadectwo, że był pisarzem z pierwszej, który najbardziej najczcicy na nasze dzisiejsze społeczeństwo wywarł wpływ.

Koźmian zupełnie się oddał teatrowi i postawił go na wysokości na jakiej prowincyonalny teatr wtedy nie stoi, grano nawet i to nie bardzo źle, sztuki Szekspira, a komedye francuskie przedstawiano wybornie. Koźmian był rozumnym, zamiłowanym i wykształconym kierownikiem sceny i miał po temu wyborne usposobienie, znał aktorów, umiał się z nimi obchodzić. Do Przeglądu pisywał przez długi czas o bieżących sprawach politycznych, jak zawsze trafnie, a zresztą nie wiele się wtrącał do redakcyi, która spoczywała wyłącznie prawie w rękach Tarnowskiego. Aby nie być wciąż wtedy prawnie odpowiedzialnym za redakcyę i nie potrzebować się zajmować uciążliwą administracyą pisma i korespondencyą, ustanowił Tarnowski pana Dowidzę odpowiedzialnym redaktorem. Ten Dowidza był kandydatem na nauczyciela gimnazyalnego, któremu się nie chciało składać egzaminów, zdolny człowiek – ale zamiłowany w sobie i leniwy, nie wielkie usługi przy „Przeglądzie" właściwie mu dopełniała, dając jakieś takie utrzymanie a nie pociągając go pracą. Przegląd miał o ile wiem w najświetniejszych swych czasach około 500 prenumeratorów, następnie zeszło więcej 400, a później na 200. – Wadą jego była ta, że się rozchodził pomiędzy publicznością, której o konieczności realnej narodowej pracy nie było potrzeba przekonywać, pomiędzy zamożniejszem obywatelstwem, profesorami uniwersytetu, wykształceńszą tak zwaną „inteligencyą", ale pomimo wszystko tego, że miewał dobre i ciekawe artykuły podawane go sobie z rąk do rąk i dochodził choć trochę i tam, gdzie potrzeba było nawoływać do rozsądku. – Jednocześnie Przegląd był rodzajem sztandaru, około którego się grupowano. Najświetniejsze czasy Przeglądu były, kiedy się drukowała „Teka Stańczyka", z wielkim talentem pisana ostra krytyka przywar i niedorzecznych poglądów zakorzenionych jeszcze w naszem społeczeństwie. Teka wywołała burzę, rozciekawiała nie podpisaniem się na niej autorów, ale była bardzo polityczną chłostą rozmaitego rodzaju „Tromtadracyi", jak sam nazywano zwolenników skrajnych u nas kierunków. – Później także bezimiennie wydana powieść (pani Lisickiej) „Kama i Konopki" zrobiła nie małą Przeglądowi reklamę, ale tylko w Krakowie i towarzystwie mniej lub więcej zajmującem się Sanguszkami, Potockimi i ich klientelą, albowiem w osobistościach tej powieści występujących rozpoznawano żywo tych lub owych znajomych z Towarzystwa, a przedewszystkiem w bohaterce romansu uchodzącą piękną księżnę Helenę Sanguszkównę z Gumnisk. – Gdy później polityka przez Przegląd lansowana przeszła w krew i w życie społeczeństwa, interes poważny do tego pisma ustał, a Tarnowski widząc, że pismo coraz to mniejsze ma koło czytelników zrobił zeń rodzaj organu profesorów uniwersytetu krakowskiego, w którym ci panowie mogą umieszczać swe udane i nieudane dzieła. – Przez ciąg długiego swego istnienia zamieścił Przegląd wiele ciekawych, a często i znakomitych artykułów, i wart był większego zainteresowania się nim społeczeństwa. Wina w tem w znacznej części publiczności w Galicyi, mało czytającej a najmniej pism wychodzących w Krakowie. – Dzisiaj „Przegląd polski" wegetuje, pod bezpośrednią redakcyą ks. Jerzego Mycielskiego, profesora uniwersytetu krakowskiego, ale zawsze pod kierunkiem Tarnowskiego, i za jego pieniądze.

Bezwiednie, że kierunek realny nadawany społeczeństwu przez literaturę i dziennikarstwo

do str. 78. Tom I

x)) Przegląd polski, jako wiele danych pism zeszytowych polskich nie wychodził zawsze regularnie. Z tąd wierszyki wymieniane pomiędzy Bowidajem a Lucyanem Siemieńskim, które wolno w Krakowie powtarzano:

„Panie Bowidaj – Przegląd nie wydaj,
Przeglądu nie mam z maja,
Sługa pana Bowidaja" —

napisał Siemieński i otrzymał następującą odpowiedź:

„Panie Siemieński.
Przegląd kosztuje wiele,
Przystój Pan wielkiej
Sługa Pana Siemieńskiego".

musiał wspomnieć i na ekonomicznem życiu w Galicyi. – Pierwszą i najznakomitszą mo-
że instytucyą powstałą w skutek tych umysłowych [?] było Towarzystwo wzajemnych
ubezpieczeń w Krakowie, założone w r. 1860[?] przez Franciszka Trzecieskiego, obywatela z
Jasielskiego. – Pan Franciszek, niepokaźny, niski, chudy człowieczek, o skrzypliwym głosie,
miał dużo energii i dobrej woli. [nadto pomiędzy i umiejętnem gospodarstwem a [?]] Z tego głównie stanowiska przypisać należy, że instytucya
ta zaraz z początku na bardzo dobre wprowadzoną była tory. Cały kraj asekurował się, jeśli
się asekurował, bo asekuracye w owych czasach uważano za pewien rodzaj zbytku, w towa-
rzystwach niemieckich, a przedewszystkiem stare Towarzystwo asekuracyjne w Tryeście ogrom-
ną miało u nas klientelę. Pieniądze więc za ubezpieczenia wszelkiemi sumami wychodziły
poza kraj, i patryotycznym było obowiązkiem tamę temu położyć. – Trzecieski przybrał so-
bie do pomocy p. Henryka Kieszkowskiego, zbankrutowanego sanockiego szlachcica,
łatwego [?] pracownika, ale energicznego i pracowitego człowieka. Trzecieski wcześnie u-
marł, nie za wcześnie jednak dla swego dzieła, które za jego życia zupełnie już było
zorganizowane, a po nim wszechwładnym prawie panem i rządcą został Henryk Kieszkow-
ski, który umiał zawsze godzić pożytek instytucyi z własnym pożytkiem, ale że instytucya
dobrze się rozwijała, więc mogła znosić i pamiętającego o sobie dyrektora. – Towarzystwo ubez-
pieczeń od ognia założyło w roku 1866, dość późno jak na miasto tej wielkości co Kraków,
kasę oszczędności, która później przeszła pod zarząd gminy, a pierwsze w tych latach założyło
instytucyę finansową „Wzajemnego kredytu rolniczego" – także bardzo potrzebną i bardzo dobrze
się rozwijającą. – Mówiąc o Trzecieskim i o Kieszkowskim nie mogę nie wspomnieć o roli,
jaką u nas w ostatnich dziesiątkach lat zajmowali zbankrutowani panowie i zbankrutowa-
na szlachta. Ludzie którzy na wsi dowiedli nieudolności, niegospodarności w najwyższym
stopniu, którzy pieniędzmi pożyczali [?] żydów i [?], którzy w okolicy już najmniej-
szego nie mieli kredytu – widzimy naraz na wysokich, odpowiedzialnych stanowiskach eko-
nomicznych, jako dyrektorów Towarzystwa kredytowego ziemskiego we Lwowie, radców zarządza-
jących w bankach, radców zawiadowczych w instytucyach krakowskich i t. d. i t. d. – Albo
też ludzi takich wybierano na posłów do Rady państwa, do sejmu, aby im pomódz… Takie
to dziś dziwy, tłómaczy się tradycyą wspierania się szlachty pomiędzy sobą, koligacyami
które w Polsce zawsze nie małe znaczenie, wreszcie tą dobroduszną filozofią „że skoro u pana
Piotra lub Pawła zjadłem kilka razy obiad, lub może upiłem się z nim razem w [?] –
więc trzeba na pana Piotra i Pawła głosować, na dyrektora Rady Towarzystwa kredytowego, choć-
by temu nie miał nawet wyobrażenia jak hypoteka wygląda, lub na posła do Rady państwa,
pomimo że temu [?] [?] wykształcenie polityczne opierał tylko na sumiennem
czytaniu „Gazety narodowej". Jeżeli bankrut jest bezpośrednio kaleką, to oczywiście w dziej narod-
nym się należy wysokie intratne stanowisko, bo wszyscy kalekom mający jakie takie wpływy
nie mogą przecież dopuścić, aby kolega kaleka chodził po żebraczym chlebie. – Z tego
to pochodzi, że w naszych instytucyach publicznych, nawet dzisiaj jeszcze jest mnóstwo
dyletantów, nie rozumiejących interesu, i że instytucye finansowe i przemysłowe niejedna-
kie się pomału posuwają [?]. W tych dniach [?] gdym mówił z jednym z adwokatów w Tarnowie
o świeżem zbankrutowaniu znanego kapitalisty przez [?] Kieszkowskiego

szego Klemensa, także mi odpowiadał: „a prędzej to był jeden urzędnik w krakowskich instytucjach (Tow. ogniowe, zabezpieczenia na wypadek śmierci i Tow. wzajemnego Kredytu) – z którym było można rozsądnie mówić; bo wszyscy inni dyrektorowie – to dyletanci.“ –

Przebyłem kilka miesięcy w Prokuratorii skarbu i widząc, że tam żadnych nie ma widoków, a nawet na adjutum kilkunastu zł. trzeba kilka lat czekać; postanowiłem bądź co bądź przejść do władz administracyjnych i wnieść podanie do Namiestnictwa o przyjęcie mnie na praktykanta. P. prokurator skarbu Lenkowski bardzo dobrą dał o mnie przy tem podaniu opinię i z wielkiem mojem i moich kolegów w Prokuratorii zdziwieniem rezolucja z Namiestnictwa bardzo szybko nadeszła i to nad spodziewanie korzystna, bo nietylko że zostałem na praktykanta przyjęty, ale od razu asygnowano mi 500. zł. rocznie adjutum. Początek był więc jak na owe czasy dobry i szczerze się ucieszyłem, że będę mógł ulżyć trochę mojemu ojcu w wydatkach. – Po ośmioletnim pobycie w Krakowie trzeba było wyjeżdżać, trzeba się było pożegnać z panią P. i ze wszystkiemi wspomnieniami które mnie z Krakowem wiązały. Rozstanie to było dla mnie bardzo ciężkie. Mój ojciec który musiał po interesach udać się do Tarnowa dojechał do Krakowa, aby się jeszcze ze mną zobaczyć i ucieszyć moją radością, nie mogłem już bowiem wstępować do Równego, ale musiałem prędko odjeżdżać do Lwowa. – Pani P. zalewała się łzami, mąż jej także chodził jak struty, a mój ojciec tym smutkiem pana P. w niepewność wprowadzony, nie mógł zmiarkować, czy mam z nią stosunek z P., czy nie, ponieważ się coś podejrzewał. Niczego mnie też ojciec w tej mierze nie starał się wybadać, ale gdyśmy szli w piękny dzień wiosenny przez Plantacje na kolej i ja ze ściśniętem sercem i łzą w oku zwróciłem się jeszcze ku Floriańskiej bramie, mój ojciec uśmiechnął się i spojrzał się na mnie, jakby już miał pewność, że to nie musi być Kraków, którego tak bardzo żałuję.

VI.

We Lwowie zajechałem do Angielskiego hotelu, który stał w tem miejscu, gdzie dziś niejsza Kasa oszczędności i zaczęłem sobie szukać pomieszkania. Udało mi się też bardzo prędko znaleźć mały pokój na drugiem piętrze, przy ulicy Nowej, blisko najpierwszego wówczas we Lwowie hotelu Georgea. „Ulica nowa“ nazywa się dzisiaj „ulica Sobieskiego“. W owczas po nadaniu bowiem krajowi statutu autonomicznego nam zostało nadany miasta Lwowa uważała sobie Rada miejska za obowiązek, skasować wszystkie obce nazwy ulic, a zaprowadzić, ile możności patryotyczne brzmiące nazwy. – Z okna, z ulicy Nowej widziało się wówczas, w głębi, naprzeciw Namiestnictwo, pałac pod Kawkami, jak go nazywano, z powodu że herb Galicyi z Kawkami był tam nad bramą przybity. – Pokoik był tani, musiałem za niego wraz z meblami płacić 8. zł. miesięcznie. Meble wprawdzie były nie ładne i miejsca nie wiele, Łóżko stało w głębi naprzeciw okna, stolik do pisania przy oknie, szafa i dwa krzesła zajmowały resztę miejsca, tak, że w razie potrzeby na trzecie krzesło nie było już miejsca. Jedno krzesło służyło na podstawienie miednicy, tak, że gości nie mogłem przyjmować…

Jak tylko się rozgospodarowałem, wdziałem frak na siebie, i jasne spodnie, czarną krawatę i cylinder, aby pójść się przedstawić namiestnikowi. Wkładając owe jasne pantaliony miałem pewne wątpliwości, czy nie włożyć czarnych, ale jasne były ładniejsze i zdawało mi się

bardziej „szykowne", więc się zdecydowałem na jasne. – Z bijącem sercem, włożywszy dekret nominacyjny do kieszeni poszedłem do Namiestnictwa. – Przedstawianie się Gołuchowskiemu dla młodego człowieka wstępującego do służby rządowej nie było żartem. Ks. Agenor uchodził za nadzwyczaj surowego, porywczego, cały kraj drżał przed nim, jeżeli mogłem mu się nie podobać i cała karjera przepadła. – Wszedłem na wschody pierwszego piętra, woźny w przedpokoju mnie oglądnął od stóp do głów, zapytał: czy do Ekscellencji?, a gdy zapytany potwierdziłem, wskazał mi urzędnika siedzącego przy małym stoliku, zapisującego nazwiska chcących się przedstawić Namiestnikowi i interes jaki mają do niego. – Interesentów wielki przy tem był tłok; starszych obywateli, urzędników w mundurach, kobiet z podaniami w ręku. Zapytałem się urzędnika, który z ukosa popatrzył na moje jasne spodnie, czy długo mi przyjdzie czekać, odpowiedział krótko i niechętnie, że nie można wiedzieć... Stanąłem więc cierpliwie pod oknem, bo wszystkie krzesła i kanapy już były zajęte, i przypatrywałem się czekającym. Każdy był w myślach pogrążony, zajęty swoim interesem, i wynikiem audjencji, niektórzy zdawali się powtarzać wyuczone słowa, w jaki sposób jak najkrócej i najkorzystniej Namiestnikowi rzecz przedstawić. Bywał każdy blady, gdy kolej na niego przychodziła, i gdy woźny przy drzwiach stojący wpuszczał go do namiestnika. Wychodzący z audjencji mieli rozmaite fizjonomie: jedni wychodzili ucieszeni z rozpogodzoną i rozpromienioną twarzą, drudzy posępni, zgryźliwi, inni znowu zdawali się, że im Namiestnik coś przykrego powiedział, a z pod uśmiechu [illegible] się przebijała. – Stałem i stałem, dwie godziny już upłynęły, nogi mnie bolały, głodny byłem, a że wskazówka mego zegarka zbliżała się [illegible] pociągał za sobą gwałtowny, niepokojący głód i osłabienie, więc myślałem sobie: „a to się dobrze Namiestnikowi przedstawię!" – Nareszcie z drzwi prowadzących do „Siedziby Namiestnictwa" wyszedł jakiś pan wysoki, czarny, o ściągłej, bladej twarzy uśmiechniętej ormiańskiego pochodzenia, bardzo starannie ubrany, gładki; uśmiechając się, zbliżył się do kilku znajomych czekających, z którymi rozmawiał i wszyscy go znali. – Ten pan popatrzył się także pobieżnie, z ukosa na moje jasne spodnie, podszedł ku mnie i bardzo grzecznie mnie się zapytał, czego sobie życzę od Namiestnika i kim jestem. – Powiedziałem mu moje nazwisko i przedstawiłem się jako nowo mianowany praktykant Namiestnictwa. Na to mi ów pan w uprzejmy sposób dał przyjacielską radę, że powinienem wiedzieć jeszcze, w jakim stroju nowy urzędnik powinien się przedstawić Namiestnikowi, abym prędko poszedł do domu, włożył czarne spodnie, białą krawatkę i czem prędzej tutaj powrócił. – Wychodząc, zapytałem się woźnego, kto to był ów pan, który tak mnie mówił? – „Pan starosta Zaleski" – brzmiała krótka odpowiedź. Co więc to był ów Zaleski, ulubiony urzędnik Gołuchowskiego, syn Wacława Zaleskiego, który przed kilku laty w r. 1848 był Namiestnikiem Galicji...

Co prędzej pobiegłem do domu, ze wstydem zdjąłem jasne, a włożył czarne spodnie i [illegible], zmieniony stanąłem się znowu w szeregu czekających. Nareszcie, po trzech godzinach przyszła na mnie kolej. – Drzwi się otworzyły, [illegible] krokiem wszedł, od razu [illegible] posunął ku mnie namiestnik, średniego wzrostu, z krótko ostrzyżonemi włosami, o długim czarnym surducie. Popatrzył na mnie sympatycznie i energicznie, ale łagodnym tonem rzekł: „Dowiedziałem się o Twojej kwalifikacji, więc czem prędzej zamianowałem cię praktykantem, spodziewam się, że się będziesz dobrze aplikował. – Dziś muszę się wcześniej oddalić, teraz idź przedstawić się mojemu zastępcy prezydjalnemu Stańskiemu i staroście Zaleskiemu!" Pokłonił lekko głową i operacja przebyta. Nie mogłem powiedzieć nic [illegible], bo nie miałem czasu nawet do otwarcia ani jednego słowa. To mnie zaciekawiło, poszedłem do Stańskiego.

Strański był ulubieńcem Gołuchowskiego i należał już do nowszej biurokracji, którą zamierzał stworzyć, aby zastąpić nią ludzi zupełnie obcych, niesympatycznych krajowi i nie mających najmniejszej łączności z ludnością. Wyższa biurokracja austryjacka miała od dawna pewien właściwy sobie sposób zachowania się, obcowania z partjami, nawet ubierania się. Była to pewna mieszanina grzeczności ze sztywnością, wojskowego postępowania z resztkami dworskiej kurtoazji. Szkołą tej biurokracji był zakład naukowy Theresianum, gdzie młodzież nabierała tego tradycyjnego „szyku", tej pozornej elegancji i roznosiła później swe zwyczaje po całem państwie. Strański był wzorem takiego biurokraty, co do zachowania się wobec partji, ale z usposobienia łagodny, uczynny i w kraju już wychowany, – pomimo że z biurokratycznego pochodzący rodu – cieszył się powszechną sympatją. Galicyjska biurokracja nie zyskała pod tym względem ludności, wobec bowiem swoim lepszym wiedeńskim i terezjańskim tradycjom, była w zachowaniu się zuchwała wobec obywatelstwa, niegrzeczna, prowokująca i nieuczynna, chyba za dobre pieniądze. Każdego więc młodszego urzędnika, z którym się było można po ludzku rozmówić o grzecznych formach witano z sympatją, a Gołuchowskiego staraniem było, z lepszych, przewyższających kraj elementów dawnej biurokracji i z nowo wstępujących synów obywatelskich stworzyć zastęp własnych kraju wstępujących urzędników. – Prezydjum namiestnictwa z takich więc ludzi się już składało i miało dawać przykład innym biurom, w których jeszcze dużo było opryskliwych, niechętnych, pomiatających się zwanemi – borsuków.

Strański i Zaleski przyjęli mnie grzecznie ale krótko i wytłumaczyli i powiedzieli, że się mam zgłosić do służby w biurze V., spraw szkolnych, na czele którego stał Radca namiestnictwa Edward Gniewosz. Byłem z tego zadowolony, bo Gniewosz znał zapewne mojego ojca i był z Sanockiego, a zresztą ~~mam~~ uchodził ~~jako~~ za dobrego urzędnika. – Następnie więc poszedłem do Gniewosza, który mi się podobał, bo nie miał biurokratycznej sztywności, wypytał mnie się o moje studja i stosunki, powiedział słowo zachęty i ~~przedstawił~~ zapoznał z biurowymi kolegami, z których najstarszy był Mieczysław Szczepański, także już syn obywatelski i sympatyczny Gołuchowskiemu, bo nawet urzędował przez krótki czas w Wiedniu, przy Gołuchowskim, w czasie, kiedy tenże był ministrem stanu. Pokoje niebiańskie jasne, wychodzące na wały, kilka biurek stało w jednym pokoju, a dymne powietrze było zatrute dymem z cygar, co dla mnie niepalącego mniej było przyjemne. Gniewosz kazał mi także pójść się przedstawić prezydentowi hr. Moschowi i wiceprezydentowi Wukassowichowi, ~~który~~ z których pierwszy zastępował namiestnika, a drugi prowadził rewizję kilku biur, a pomiędzy innemi i akta z naszego biura wychodzące podpisywał. – Z Moschem i Wukassowiczem trzeba było mówić jedynie po niemiecku, gdyż ~~[illegible]~~ niemiecki język długo był jedynym urzędowym. Mosch wyglądał jak stary profesor, uczony, zapracowany, sumienny, uczciwy urzędnik, który w kraju dobre po sobie pozostawił wspomnienie. Wukassowich, Serb z pochodzenia, ale biurokrata austryjacki bez narodowości był zresztą urzędnikiem dawnego typu i podejrzliwy, niechętny Polakom, lękający się w głębi, że coraz więcej do urzędów przybywa Polaków, i że Galicja przestanie być Eldoradem wyzyskiwanem przez rzesze biurokratycznych rodzin, które po ministerstwach mają swoich ojców, wujów, stryjów itd. –

Pozbywszy się tak wszystkich wizyt zacząłem się brać do roboty: co prawda nie było 17 dni, zresztą jako początkującemu przydzielał mi Gniewosz jak najłatwiejsze sprawy, pozostawiając, tak jak mi w Prokuratorji polecano, żebym czytał akta. W ten sposób umysł się nie mógł wzbogacić, cały zakres zasadzał się na przepisywaniu sobie pewnych zakre-

mentalnych prawie, zwłaszcza, widzieć jakich wyrazów używa się w piśmie do starostw, do władz podrzędnych, jakich do władz wyższych, a jakich do Ministerstwa. Wreszcie sprawozdania do Ministerstwa, najwięcej wymagające sztuki, załatwiał Szczepanowski, piszący zresztą dobrze po niemiecku, mnie przypadło pisać aussage do każy, przepisać podania do sprawozdania, „zur Berichterstattung" i t.p. – Najpodrzędniejszą czynnością było wypisywanie „polity" t.j. aktów nadchodzących do biura, do Protokołu, co zwykle załatwiał najmłodszy praktykant. – Gniewosz przydzielił mi takie czynności specjalne, których mapy szkół galicyjskich, dostałem więc osobny pokoik, co mnie najbardziej cieszyło, z oknem wychodzącem na ogród namiestnikowski, wielką mapę Galicji i przysłano mi sprawozdania starostów o stanie szkół i miejscowościach, w których szkoły już istnieją lub których dla jest w toku, i według tych sprawozdań nanosiłem kreski kolorowe na mapie. – Gniewosz był w wielkich łaskach u Gołuchowskiego, co stanowiło gniewało Vukasovicha, bo Gniewosz miał burzliwą przeszłość pod względem narodowym, gdyż wstąpiwszy, zdaje mi się, że w roku 1848. do Namiestnictwa, uciekł z niego, chciał się dostać do węgierskiego powstania pod Bema, ale później został wciągnięty w polską przygodę powrotu do urzędu. Jako pamiątka został się z tych czasów zbiór aktów w broszurze, w którym były zapisane owe eskapady praktykanta, pod tytułem „Die Verirrungen des Conceptspraktikanten Gniewosz". – Wielka szkoda, że Gniewosz nie został adwokatem, bo umysł jego przedewszystkiem lubował się w wyszukiwaniu drobiazgów, w ustawach, w subtelnościach. Pisał dużo, a najprostszą sprawę tak umiał zawikłać, że trudno było w tej pisaninie znaleźć logiczny wątek. Gołuchowskiemu to mniej nie przeszkadzało, ale cenił zato, że Gniewosz był oczytany szczerze Polakiem, i że z niego mógł mieć oparcie. Na szczeblu namiestnictwa umiał on robić z każdej sprawy, do każdego wniosku, stawiać jakąś poprawkę, był to umysł rococo, który nie umiał niczego przedstawić jasno, ale wszystko chciał ozdobić jakimś zawikłanym ornamentem. Zresztą w ustawach bardzo biegły, oddany całem sercem publicznym sprawom, za owe czasy był postępowym. Pod ... urzędem ... Gołuchowskiego główną już wówczas tendencyą było informować i spolonizować urzędy, a że namiestnik w tej mierze wiele dozwalał ministrowi swemu, starostowie w biurach, i nie rad był, aby centralny rząd wiedział o wszystkich jego zarządzeniach, więc powinny ważne biuro zaufanem Gniewoszowi, i przydzielił mu do biura samego siebie młodzież.

Zagospodarowawszy się w biurze musiałem myśleć, aby jako tako utrzymać się z moich środków funduszów, z Namiestnictwa dostawałem 40. guldenów miesięcznie, ojciec mi obiecał przysyłać po 15. guldenów, było to więc bardzo niewiele. Mieszkanie i obiad nie wiele kosztował, bo w Europejskim hotelu zaabonowałem się za 12. guld. miesięcznie, ale ten obiad powinien się był składać z zupy, mięsa i legominy bardzo był niewystarczającym dla młodego żołądka. Kazimierz Wróblewski zaprosił mnie raz na zawsze na obiad w niedzielę, tam więc trzeba było dopełniać braki angielskiego hotelu. Ważnym wydatkiem jednak było ubranie, aby bywać w dobrem towarzystwie, a i w Namiestnictwie lepiej się postawić, trzeba było dość dużo odkładać na krawca. Kolega sekretarz Szczepanowski, wielki elegant, który się do mnie zbliżył, wskazał mi krawca u którego się sam ubierał, Lewickiego i orzekł, że płacąc Lewickiemu 15. guld. miesięcznie

były mi mógł bardzo przyjaźni [illegible]. Poszedł więc ze mną do dowódcy, polecił mnie, i odtąd dobrze mi układało się, a szczególniej później razy rozmawiałem z panem dowódcą przez długie lata w bardzo dobrych stosunkach.

Urządziłem się jako tako, chodziło o to, żeby sobie wyrobić stosunki. Kuzyn mojej matki, Maurycy Kraiński był wybitną w kraju osobistością, dawniej członkiem Wydziału Stanów galicyjskich, teraz zastępcą marszałka w Wydziale Krajowym. Marszałkiem był ks. Leon Sapieha. — Poszedłem więc do Kraińskiego, starego kawalera, a który z rodziną nie dość żywe utrzymywał stosunki. Był to bardzo rozumny, ale zimny człowiek, zrażony do świata i zamknięty w sobie. Szczupły, starością trochę pochylony, cierpiący na reumatyzm, majętny ale żyjący pomiędzy swem zajęciem urzędowem, a swem mieszkaniem. W tem mieszkaniu przebijał się obraz usposobienia właściciela; urządzone starymi meblami, przysłoniętemi [illegible], z szafami i kanapami za [illegible] na rozmaitych pokojach, bez obrazów, bez dywanów wyglądało zimno, jakby służyło tylko za przypadkowe pied-à-terre, w którym od czasu do czasu tylko ktoś mieszka. — Służący, Michał, urzędował w ciemnej kuchni, a że pan i sługa byli trochę głusi, więc znaczna część domowego życia schodziła im na przekomarzaniu się, bo jeden drugiego z trudnością tylko rozumiał. Dzwonek był tylko z zewnątrz do przedpokoju, pomiędzy pokojem w którym wuj zwykle siedział, a kuchnią dzwonek nie istniał, jak w ogóle również elektryczne dzwonki jeszcze nie były zaprowadzone. Wuj Maurycy siedząc więc na swej kanapie za stołem i układając kabałę klaskał po dwakroć w dłonie, aby przywołać Michała. — Michał oczywiście nie przychodził, zważywszy, że wolał stać na korytarzu, aniżeli siedzieć w ciemnej kuchni. Wtedy p. Maurycy klaskał więc po drugi i trzeci raz, a gdy i to nie pomagało, wychodził z za swego stołu do przedpokoju i znowu klaskał, tym razem już z pewnego rodzaju irytacyą. Na to zjawiał się Michał, gruby, podstarzały, łysy, z pobłażliwym okiem... „Wołam i wołam — czyś już ogłuchł, czy co?" — Michał pomruczał coś pod nosem i wypełniał rozkaz. — Taka zabawa powtarzała się co pół godziny, a kabała i wołanie na Michała zajmowały wujowi całe popołudnie. Wieczorem często ktoś z krewnych lub bliższych znajomych przychodził, a wtedy na stole, na którym pan Maurycy układał kabałę, Michał zastawiał herbatę. Ze wsi przychodziły pieczone kaczki, owoce i świeże masło, a ponieważ prócz pana Michała nikogo w domu nie było, cukier i wiktuały były pod zamknięciem samego wuja. Obiad kazał sobie przynosić pan Maurycy z hotelu i sam w ciszy te dary boże spożywał. — Młodość co do spraw sercowych miał podobno dość burzliwą, a z tych burz pozostał tylko jeden, co prawda nadzwyczaj udany owoc, panna Lang, ruda, prześliczna urodziwa dziewczyna, która rozkochawszy w sobie pół Lwowa, i wystąpiwszy kilka razy na scenie z niemałym powodzeniem, wyszła za mąż — do Ameryki. — Ulubieńcem i spadkobiercą rzekomym pana Maurycego był Władzio Kraiński, o którym wspomniałem mówiąc o Dzwoniu. Pan Maurycy łożył na wychowanie bratanka, a gdy ten studya prawnicze ukończył, posłał go do Paryża, aby się kształcił na finansistę. — Władzio podobny był usposobieniem do stryja, obowiązkowy, oszczędny, a ponieważ się z Paryża przywiózł rozmaite wspomnienia, o których lubił opowiadać, przecież długo tam nie zabył.

Pan Maurycy przyjął mnie życzliwie, zaprosił, żebym go czasem odwiedził, ale jego chłodne

usposobieniu nie pociągało mnie do siebie i bardzo rzadko do niego chodziłem. Bywałem tam jednak zawsze w poniedziałki Seweryna Smarzewskiego, byłego konkurenta mojej matki, i dawnego Kraińskich. Seweryn zajmował bardzo wybitne stanowisko w Sejmie, miał wielki nas szeroki majątek i był uważany za wybitność. Wrażenie jednak, które zawsze na mnie robił, było takiem, jakgdybym się zbliżał już nie jak do szczotki, ale do zgrzebła. Suchy, odpychający, ironiczny, [illegible] się na wszystko patrzący. Niepojęte wrażenie jakie sprawiała ostrość jego usposobienia powiększała jeszcze jego brzydota. Twarz bowiem miał nie miłą, włosy jasne twarde krótko ostrzyżone wąsy odstające jak szczecina, w oczy się nie patrzył, a długie, twarde, naprzód wystające brwi zdawały się bronić do jego oczu przystępu. Smarzewski był jednym z najlepszych mówców jakich miał Sejm galicyjski i Rada Państwa, w swych przemówieniach, mówił wyraźnie, jasno, logicznie, bardzo dowcipnie. Przedmiot miał zawsze gruntownie, a przeciwnika swego z jadowitością [illegible]. Smarzewski był wdowcem, miał syna Tadeusza i dwie córki, ale rodzina mieszkała na wsi, we dworze zaś miał tylko małe mieszkanie.

Do towarzystwa więc Kraińskich, Smarzewskich i dwóch niesympatycznych [illegible] które ich otaczały, nie bardzo się garnąłem, ale i salonu Koblowej nie zbyt mnie pociągały. Niedzielne obiady u niej były nudne, jeszcze najlepiej się bawiłem na [illegible], na których była pani Szydłowska. Koblowa pracowała jednak nad tem, aby mnie zbliżyć do domu Kalatów, i to dość ciężko, bo nabrałem do innego [illegible] świata, mającym inne wychowanie, inne towarzyskie zwyczaje. Dom Kalatów był wzorem [illegible] lwowskiej burżoazji, której towarzyskiej postaci nie mieszała się przybyła do kraju centralnej biurokracji z polskiemi [illegible]. Mężczyźni byli tam co do wykształcenia i dążeń politycznych najlepszymi polakami, a raczej galicyjskimi patryotami, kobiety myślały o strojach, obiadach i plotkach, w domu mówiono wprawdzie po polsku, ale nie poprawnie. Kalat pochodził z rodziny dawno już w kraju osiadłej, pani Kalatowa jako panna mówiła jeszcze w domu rodzicielskim po niemiecku, panna Matylda była dorastającą dziewczyną, uparta, [illegible], prawie nic nie mówiąca, średnio przystojna. Zabawa moja z nią w towarzystwie wyglądała na tę dykteryjkę co to: chłop mówił do obrazu, a obraz do niego ani razu. — Mama jednak Kalatowa, jakaś ciocia w domu mieszkająca, a nawet i powoli Kalat w porozumieniu z moją kuzynką Koblową układali małżeństwo pomiędzy mną a panną Matyldą, a po rozmaitych przedwstępnych widzeniach się na wieczorach zostało postanowione, że mam kiedyś wieczorem pójść do pp. Kalatów, i że dobrze będę przyjęty. Pani Kalatowa oświadczyła Koblowej, abym przyniósł [illegible] się podoba. — Przyniosłem więc kwiatki dnia i nie [illegible] się zastanawiając nad tą wizytą, poszedłem tam raz o wpół do dziewiątej wieczór. — Zadzwoniłem, zaanonsowałem się, słyszę odpowiedź: państwo przyjmują. — Wszedłem jednak zastałem pewne zamieszanie: pani Kalatowa wyszła do salonu, panna uciekła, aby się drugiemi drzwiami wrócić, służąca [illegible] przykryć zebrane już o tej godzinie łóżko, które widać było przez otwarte drzwi z salonu. To łóżko zirytowało mnie potem okropnie. Na wysokich nogach stało ono napuszone sobie, bez dywaników przed niemi, bez jakichkolwiek [illegible] mebli, jak w szpitalu. Przed łóżkiem [illegible]

leżały tylko, widocznie świeżo ściągnięte juchtowe buty z cholewami, które musiały atmosferę napełniać wonią tłustej skóry. Po chwili przyszedł pan Kobat, w pantoflach, gdyż zapewne już o wpół do dziewiątej do snu się układał. Rozmowa szła ciężko, powoli, poruszałem różne kwestie i wypadki, a widząc że się nie porozumiemy chciałem się już zabierać do odejścia. Ale naraz słyszę w sąsiednim, jak ktoś się zbliża pokoju brzękami talerzami, sądzę więc, że przygotowują do kolacji. Brzękanie trwa dalej, apetyt rośnie, fantazja moja coraz to nowe wynajduje tematy rozmowy. A gdy łoskot jednak w sąsiednim pokoju jadalnym ustaje, o kolacji ani słychać, wyszło [?] wstaję i żegnam się — aby o późnej już godzinie przyrządzić sobie kolację u siebie, bez [manszecie sympatycznej?].

Na drugi dzień przysłała pani Kobatowa do Kostkowej, usprawiedliwiając się, że gdy pan Wojs. niedawno był już po kolacji, że dopiero później spostrzegła się, że mnie należało mi ofiarować szklankę herbaty, że jednak sama nie wiedziała jak wobec... że drogo, tęż, aby mnie przeprosiła za ich nieprzyjemność.

Oczywiście, że tej rodziny więcej nie zachciało mi się do starania się o Tatko panny Matyldy, zwróciłem więc moje afekta w stronę praktyczniejszą, do pani Zychowskiej. Tam bywałem zawsze, pani S. spotykała blondyna, o wyrazie Greuze madonny, ale dość przewrotnym zarazem, zaczęła bardzo przyjemnie na mnie spoglądać. Spojrzenia biegały pomiędzy nami jak rakiety, wszystko dobrze było przygotowane, ale uważałem, że Greuze-madonna jakoś zalotna, ociąga się, czegoś oczekuje. Nie sądziłem, aby się obawiała męża, który był zanadto zajęty urzędem i interesami, aby się o nią troszczyć, ale przypuszczałem, że nie chce zrywać z dawnym swym kochankiem, z doktorem A. — Gra ta trwała kilka tygodni, aż razu pewnego któryś z nowych kolegów znający domowe stosunki państwa S. przestrzegł mnie, abym z panią S. był ostrożny, gdyż ona się spodziewa — pomnożenia rodziny.

W tych rozmaitych zawodach pocieszała mnie mała intryżka. Na tem samem piętrze co ja mieszkała bardzo piękna, wysoka, młoda brunetka, panna Kumaniecka, córka jakiegoś oficjalisty w dobrach hr. Antoniego Sobańskiego, który ją urodziwszy, ulokował we Lwowie. Gdzie bawił Sobański tam bawiła i Kumaniecka, a przyjaciele mówili o nim, że się z nią wodzi jak „Djabeł z Kapelusznikiem". Nie wiedziałem wtedy poprzednio, aby djabłem tak potrzebował okrycia głowy, widocznie było to jakieś lokalne powiedzenie. Z panną Kumaniecką jeździła jednak zawsze stara, chuda Włoszka, pan Antoni bowiem nie dowierzał Kumanieckiej, i bardzo był zazdrosny. Spotykając się czasem na schodach z piękną dziewczyną szybko [?] my się zainteresowali, ale niezwykle Włoszka z oka jej nie spuszczała i nadzwyczaj trudno było porozumieć się. Dla dobrej woli jednak młodych ludzi okazja zawsze się znajdzie. — Razu pewnego spotkałem ją samą na korytarzu, a w przeciągu minuty przyszło do porozumienia. „Będziesz pan do mnie jutro o dziewiątej wieczór." — powiedziała. „A Włoszka?" — „Będzie spała"... „Jakiś twardy sen miewa ta Włoszka," pomyślałem i na drugi dzień, o naznaczonej godzinie, otwarłem cicho, niezamknięte drzwi do pomieszkania Kumanieckiej, i według wskazówki z przedpokoju wszedłem do drzwi na lewo, do dużego narożnego salonu, trochę oświeconego gazowemi latarniami z ulicy. — Tam się oglądam, i widzę znowu na lewo drzwi, w nich na materacu śpiącą Włoszkę, a w przyległym pokoju zapraszała Kumaniecka w łóżku szepcąca: „tutaj". — Sytuacja strategiczna była dość trudna, chcąc się dostać do sypialnego pokoju, trzeba było przekroczyć przez śpiącą Włoszkę, a choćby Włoszka była młodą i chudą

prócz może było Totus, własnoręcznie w połówce nogą ją potrącić, a w każdym razie stąpać na materac i prześcieradła obudzić. – „Tylko ostrożnie..." szepnęła Kumaniecka uważając moje zakłopotanie. – Ewakuowałem więc jak kot pokój Włoszki i ekspedycja się udała. Zadziwił mnie jednak twardy sen Włoszki i zapytałem się Kumanieckiej, jakim sposobem może być tak pewną, że jej Cerber się nie obudzi. „Dałam jej kilka kropli opium w herbacie" – odpowiedziała. – To opium mi się nie podobało – oświadczyłem więc Kumanieckiej, że na przyszłość jeżeli ma ochotę, niech sama przez Włoszkę przechodzi, ja więcej tą drogą chodzić nie myślę. Tak się też stało, nadal sama Kumaniecka odbywała [illegible] wycieczki, a natomiast Dziwi w moim pokoju całą noc był nie zauważony. Zawsze mi jednak ta Włoszka ciężyła na sumieniu, obawiałem się, aby biedaczce to mimowolne zażywanie środka usypiającego nie zaszkodziło na zdrowiu, a co gorsza, aby jej Kumaniecka przypadkiem za dużej nie dała dozy. Skorzystałem więc z pierwszego wyjazdu mej gospodyni na wieś, aby z nią zerwać stosunki.

Wspomniałem, że jednym z najznakomitszych moich nauczycieli gimnazjalnych był Zygmunt Sawczyński, ożeniony z Krakowianką, panną Ekielską. Państwo Sawczyńscy mieszkali obecnie we Lwowie, on bowiem został urzędnikiem Wydziału Krajowego, a nadto wybrany był posłem do Rady Państwa. P. Sawczyński prosił mnie, abym ich odwiedzał, a wkrótce dom ich stał się dla mnie najmilszym domem we Lwowie. Państwo S. mieszkali w rynku, w kamienicy Dymeta, handlującego kościelnemi zakrystyjnemi [illegible] dla ruskich cerkwi. – Pani Jadwiga Sawczyńska niepospolitą była kobietą: bardzo wykształcona, o bystrym sądzie, umysłu żywym, zajmowała się wszystkiem: polityką, literaturą, teatrem, zgromadzała około siebie wiele znakomitych ludzi, a w domu jej często można było spotkać Stanisława hr. Tarnowskiego, Asnyka, Kalinkę i wielu posłów, kolegów pana Zygmunta. – Dzięki wielkiej przystojności i rozmowności, przy skromnej herbacie zgromadzało się tam prawie codziennie grono zajmujących ludzi, a wybitniejsze osobistości krakowskie nie przejechały przez Lwów, aby nie wstąpić do pp. Sawczyńskich. – Sawczyński mniej praktyczny polityk, będący we wszelkiem dążeniu, o więcej idealnym zakroju umysłu, połączony ścisłemi osobistemi stosunkami z członkami krakowskiego stronnictwa w Radzie Państwa – mimo podziwu z krakowską partyą, także na pewne nie zgadzał się z kierunkiem ~~praktycznej~~ polityki reprezentowanym przez Ziemiałkowskiego i Grocholskiego. – Człowiek idealny, często martwił się zakulisowemi pomiędzy reprezentacyą polską w Radzie Państwa intrygami, pisał w tej mierze zgorszony listy do żony, zdawało mu się, że polityka w ogóle może się obejść bez intryg, knowań i podstępów. – Wypowiadał on kilka bardzo znakomitych mów w wiedeńskiej Radzie Państwa, niejednokrotnie walczył ze stronnictwem [illegible] ostro Junkiem i zbijał świetnie wywody i argumenta ks. Lichtensteina i Gawlikowicza. Brakowało mu jednak też bezwzględności w charakterze, też śmiałości w używaniu nawet niezbyt [illegible] środków, bez których człowiek pomiędzy ludźmi niczego nie przeprowadzi zadania. Ten idealny pogląd stawiał go też w sprzeczności z Ziemiałkowskim, i z całem stronnictwem rządowem. – Sawczyński mógł był być wybornym pisarzem, zwłaszcza historycznym, ale nie lubił pisać, a gdy nakładca krakowski Himmelblau napierał na niego, aby mu wydał jakieś książki szkolne, to książki te w znacznej części układała pani Jadwiga.

Zdaje mi się, że u Lewszyńskich poznałem pp. Małeckich. — Antoni Ma-
łecki był (wówczas) profesorem ~~[illegible]~~ literatury polskiej na uniwersytecie lwowskim, znanym au-
torem, bardzo poważanym człowiekiem. Wysoki, blondyn, nieco ujmującej powierzchowno-
ści, w chodzie swym i ruchach zdradzał już człowieka bardzo spokojnego, umiarko-
wanego, u którego żadna rzecz drugiej nie przewyższa. — Za młodszych czasów był nauczy-
cielem gimnazyalnym w Poznańskiem, następnie w Galicyi, próbował się w litera-
turze dramatycznej, napisawszy swój dramat „List żelazny", niezbyt bardzo uznawa-
ny. Następnie zabrał się do studiów lingwistycznych i gramatycznych, wydawał szkol-
ne gramatyki języka polskiego, z których według mego przekonania wielu się dobrze
po polsku pisać nie nauczyło. — Co do mnie, wogóle reguł gramatycznych dobrze
nie znałem, nie widziałem dla czego się to tak albo, tak lub inaczej pisze,
gdy więc Małecki mój drugą ~~napisał~~ wydał gramatykę, postanowiłem ją przestudyo-
wać, aby jeszcze raz wniknąć w głębiny gramatycznych reguł. Na moje nie-
szczęście zacząłem czytać (to drukowane) Święto ~~[illegible]~~ od początku, a początkowo tak nawet
nie była napisana polszczyzna, że rzuciłem książkę, sądząc, że jeżeli uczoność
pana Małeckiego ma mnie do takich jak ~~[illegible]~~ jego doprowadzić rezultatów,
to wygodniej wolę pisać tak jak mnie pan Bóg nauczył i nie przejmować się ści-
śle gramatycznemi regułami. — Więcej jak o profesorze mówiono o pani Ma-
łeckiej, rodem z Wilna, która swemu mężowi przyniosła w posagu sto tysięcy tala-
rów i ~~[illegible]~~ (pół miliona) ~~[illegible]~~ na całe życie. — Pani Małecka niska, brunetka, ~~[illegible]~~ cała się ~~[illegible]~~
~~[illegible]~~ jak wszystko, ~~[illegible]~~ i była ciągle z taktem w niezgodzie. Państwo Małeccy nie mie-
li dzieci, a nadto profesor dużo był starszym od swojej żony, pani Małecka sza-
lała więc jak dzika swobody woli, roznosząc w około siebie hałas, tartas, nie-
pokój. Była to z gruntu poczciwa kobieta, powiadano nawet, że nieco była urzędnicz-
kój. Było to z gruntu poczciwa kobieta, powiadano nawet, że nieco była uczona wszro-
kiej, ale nie umiała zachować pozorów i biednego profesora nieraz do rozpaczy do-
prowadzała. — Z panią M. bliżej się poznałem na jakiejś prywatnej zabawie,
zarówno tańczyliśmy prawie całą noc ze sobą, a że profesor wcześnie zdążył pójść, więc ją od-
prowadziłem do domu. — Na wieczorach były dość często spotkania, wyprawiłem jej nawet
ze dwa pocałunki i mówiliśmy się często dnia następnego na rynku lwowskim.
Koło ratusza. — Czekałem o umówionej godzinie, pani M. nie przyszła, zdaje
mi się, że się obawiała pójść za daleko (w stosunku z młodym człowiekiem), i przy najbliższem spotkaniu (w towarzystwie) powiedziała mi
z tajemniczą miną: „Otello" mnie
tylko .. „Otello" — i zamiłowanie spojrzenie rzuciła na męża. — „Otello" mnie
~~tak~~ ~~[illegible]~~ nie ~~[illegible]~~ był zniechęcił, ale sama pani M. zanadto była, jak to mówią, postrze-
lona, a za mało miała kobiecych wdzięków, aby cokolwiek dalej prowadzić; zostali-
śmy więc na długie lata w dobrej przyjaźni i bywałem dość częstym gościem u
pp. Małeckich. — ~~[illegible]~~ Przyjmowała (ona) mnie zawsze, bo mój towarzysz nie
lubił, ale jak się zdarzyło już raz odegrywał dość zabawy, i jak się należycie
przygotował do tego powiedzenia, to i kolacya była dobra, i profesor był wesoły
i skłonny do późnej nocy. —

Niedługo przyjaciółką pani Maleckiej była pani Bielowska, żona starego p. Augusta Bielowskiego, bibliotekarza Zakładu Ossolińskich i wydawcy „Pomników Dziejowych Polski". — Bielowski należał do najciekawszych typów uczonych, jakich spotkać można, zacny staruszek, małomówny, prawie nie udzielający się w towarzystwie, zatopiony w swoich rozmyślaniach. Miał on stosunki z Sanockiem, a przyjaciele wyswatali go z młodą, bardzo miłą wdową z Sanockiego, która miała z pierwszego małżeństwa córeczkę. Wielkiej zacności kobieta, żyła pani B. dla swej córki, zrezygnowawszy z małżeńskich i światowych przyjemności. — Spotkać ją można było tylko u pani Maleckiej i w domu Ławrowskich, ~~[illegible]~~, ~~[illegible]~~ ~~towarzystwa~~. Zaczepiłem o Zakład Ossolińskich, więc przy tej sposobności wspomnieć muszę o hr. Maurycym Dzieduszyckim. W pierwszych latach mego pobytu we Lwowie [illegible] jeszcze rozciągał swoją niebaczną opiekę nad tym Instytutem i narzucał mu swego zastępcę Kuratora, którym zamianował hrabiego Maurycego, będącego zarazem radcą namiestnictwa. Hr. Dzieduszycki był (ultramontaninem) jakich zresztą podówczas w Galicyi nie wiele ~~by~~ istniało. Idea ultramontanizmu szerzej dopiero zaczęła się u nas krzewić po roku 1870. Nasi księża i cywilni ultrareligianci byli przedewszystkiem dotąd dobrymi Polakami, łącząc wzorowo obowiązki wobec kościoła, z obowiązkami wobec ojczyzny. Ludzi dla których idea papieska górowała nad ideą narodową bardzo było niewielu. Do nich należał [illegible] hr. Maurycy, postać oryginalna, ale nader niesympatyczna. Pana Maurycego z daleka już było można poznać po nerwowych ruchach głowy i jednego lub drugiego ramienia, wskutek czego wysoki kapelusz (cylinder) ciągle tańczył na jego głowie. Znanym on już był wówczas w literaturze jako autor dwóch dzieł „Skarga i jego wiek" i dzieło „Zbigniew Oleśnicki", dzieł pisanych i tendencyjnie klerykalnych, nie mających już dzisiaj wartości. — Pan Maurycy był bardzo nielubiany pomiędzy urzędnikami; jako kapryśny, zły i niezmiernie porywczy, chociaż wcale zdolny. — Zajmował on za darmo duże mieszkanie w gmachu Ossolińskich, gdzie rośli ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ rozpustnie chowani jego synowie. Wielki ~~[illegible]~~ skandal wyprawiał zawsze w domu krzykiem, był ogniem, łamał na nich cybuchy, a raz strzelił tak zawsze opowiadano, że kiedy uciekł uciekając przed swoim dobrodziejem panem, z pierwszego piętra na ogród wskoczył. Gdy hr. Maurycy opuszczał swoje stanowisko opowiadali ostatecznie skandaliczne historye, o braku złotych i srebrnych medali w zbiorach Ossolińskich, o zniknięciu wielu rzadkich i kosztownych dzieł, które do zagranicznych przeszły antykwarni. Rzecz jednak zatarto, bo p. Maurycy był wówczas ~~[illegible]~~ Radcą Dworu, a wreszcie Kuratora z przyjemnością pozbywała się opieki rządowej, więc ustępującemu zarządowi nie stawiała trudności. — Hr. Maurycy otoczony był ~~[illegible]~~ wreszcie aureolą protekcyi w Wiedniu, uważał bowiem Arcyksiężnicz Karola Ludwika administracyi, w ramie której Arcyksiężnę i bawił we dworze, ~~[illegible]~~ dla zapoznania się z takiemi sprawami rządowymi. Chociaż więc nie było wiadomem, czy arcyksiężna dobrej, czy ~~[illegible]~~ obszernej pamięci zachował swego nauczyciela — to przecież sam pan Maurycy i cała jego rodzina dużo mówiła o tych nadzwyczajnych arcyksiążęcych łaskach, a ludzie w te gadania wierzyli. — Najstarszy syn pana Maurycego wstąpił do wojska i w porządkach swej służby słynął z rozmaitych ~~[illegible]~~ kawałów i ~~[illegible]~~ innych

sposobów ich zawiązywania. Do niego też pierwszego zwróciłem już uwagę Lam. [illegible] Zagór-
skiego, który wydawał Chochlika, zatrzymał nazwę „Goja”, ~~stanowiącą~~ mającą oznaczać młodzień-
ca o pustej głowie i nieznacznej elegancyi. August więc Dzieduszycki był prototypem
Gojów w Galicyi i z tego względu już zasługuje na wzmiankę. Całe życie żebrał on o
protekcyę arcyksięcia Karola Ludwika, ale protekcya ta nie na wiele mu się przydać mogła,
bo znanym był z braku taktu i wielkiego [illegible]. [illegible] to jednak pozwoliło aż do
rangi starosty, a do dziś dnia praktykuje ten urząd w Brzozowie. Zarobił on sobie [illegible]
kilkoma laty reklamy, bo przypadkowo w Brzozowie spadł jesienią dnia balon wojsko-
wy, z kilkoma rosyjskimi oficerami. Trzeba było słuchać stylu opowiadania Goja, jak
on to dyplomatycznie się dowiadywał od oficerów, w jakich oni to zamiarach zbliżali się
w powietrzu, jak on ich wszystkich zamknął w starostwie, dopóki oficer sztabu austrya-
ckiego nie przybył z Przemyśla, jak on ich gościł i najlepszą o sobie u nich wytworzył
opinię. Ta balonowa historya była z jego inspiracyi opisywana we wszystkich pol-
skich, a nawet niemieckich dziennikach, i Goja był z niej niesłychanie dumny.
~~Goja~~ Był on był szambelanem, i tak sumiennie pilnował wszelkich dworskich uroczystości, że [illegible]
[illegible] ~~[illegible]~~ swego [illegible] jeździł na każdą wielką ~~[illegible]~~ uroczystość, na którą [illegible]
[illegible] [illegible] [illegible] rodziny, do Wiednia, bo nawet z tytułu szambelaństwa występował
raz w jakiejś dworskiej ~~[illegible]~~ historyi w Dreźnie, jako niepowołany zastępca austryackiej
arystokracyi. Wszystkie te funkcye odgrywał z wielkiem namaszczeniem. – Drugi syn Ja[?]
[illegible], także [illegible] zyskał sobie sławę staraniem się o bardzo bogatą żydówkę w Wied-
niu. W kraju go zanadto dobrze znano, jako rozrzutnego i [illegible] młodzieńca, więc rozciągnął
na Wiedeń swoje zagony. Starał się o pannę Offenheim, córkę [illegible] swego czasu z
skandalicznego procesu Offenheima, przedsiębiorcy budowy kolei dworsko-Czerniowieckiej;
gdy się tam nie powiodło, wżenił w inną stronę, ale zaraz się [illegible] osiąść na urzę-
dzie, jako urzędnik administracyjny w Stanisławowie. – Trzeci syn dobrze się zapowiadał,
na urzędnika zdolnego, ale wcześnie umarł, córka najmilsza została z całej rodziny, wyszła za
mąż za bogatego [illegible], [illegible], owdowiała, a pomimo, że [illegible] i wdziękami się szczy-
cić nie mogła, zdołała znaleźć drugiego męża.

Zaraz w początkach mego pobytu we Lwowie wszedłem w koło mniej więcej równej mi
wiekiem młodzieży, która dość ściśle, powiem stanowiła ~~koło~~ grono. ~~[illegible]~~ Należeli tam: Jan
Pietruski, Wacław Domaszewski, pierwsza serya braci Pilatów t.j. Tadeusz i Roman,
Jan Kniaź Czartoryski i kilku jeszcze okolicznościowych towarzyszy. (jak np. wnuczek hr. Dzieduszyckich Eryk Zawadzki) Ojciec tych Pilatów
utrzymywał pensyonat dla okolicznej młodzieży we Lwowie, a że miał własnych synów,
więc pensya ~~[illegible]~~ wyjść [illegible] być nie mogła. ~~[illegible]~~ Wychowali się tam Pietruski, Doma-
szewski, a prócz tego młodzieńcy [illegible] zbliżali, ich do braci Pilatów. – Te Pilaty, a więc
obaj o pierwszej seryi (o dwóch starszych), bo dwaj młodsi nastąpili jeszcze byli chłopaka-
mi – byli to bardzo prawi, nadzwyczaj obowiązkowi, pracowici młodzieńcy, ale dla mnie
trochę niesympatyczni. Raziły mnie już ich blade, wypłowiałe oczy, wielkie odstające
uszy i ta nigdy niezamącona pryzkładność, nie dopuszczająca żadnego młodzieńczego
wybryku. Bystrym był może, jakby w jakiejś szkole odegrana się zawsze specyalnie, nabi-
wał najstarszy Tadeusz, poświęcający się ekonomii politycznej i statystyce.

Tadeusz pojechał natychmiast kształcić się w umiejętności statystyki do Berlina, a powróciwszy został profesorem ekonomii politycznej przy uniwersytecie lwowskim, kierownikiem biura statystycznego przy Wydziale Krajowym we Lwowie, członkiem Rady Kolejowej w Wiedniu i jeszcze z pół tuzina najrozmaitszych Towarzystw i instytucyj ekonomicznych. Gdziekolwiek nad czemś „radzono“ bez Piłata obejść się nie mogło, a długie jego mowy i piskliwy głos wysłuchiwano mu wszędzie i zawsze przez całe życie. — Sympatyczniejszym i zdolniejszym był Roman Piłat, późniejszy profesor literatury polskiej we uniwersytecie lwowskim, i jakiś wielki funkcyonaryusz — zdaje mi się prezes — Towarzystwa Mickiewiczowskiego we Lwowie. — Potem gdy pierwszy Piłat się ożenił i postarał się o to, aby szanowny ród nie wygasł, Roman żyje dotąd, jak powiadają, w czystości.

Bardzo sympatycznym młodzieńcem był Jan Pietruski, syn obywatela ze Stryjskiego, ~~rówieśnik~~ równolatek z Wacławem Domaniewskim. Po Domaniewskim został sierota w czasach chłopięcych jeszcze w roku 1846. i matka osierocone Dziecię wzięła pani Pietruska do siebie i wychowywała jakby drugiego syna. Pietruski więc z Domaniewskim razem uczęszczali, razem się uczyli, razem po wszystkich chodzili, byli nierozłączni, dopóki, po ukończeniu uniwersytetu nie posłano Domaniewskiego w strony do akademii handlowej w Wiedniu. O Domaniewskim powiedzieć mi jeszcze ~~wiele~~ należy. Pietruski w kilka lat później ociemniał i wcześnie umarł.

Jednym z wybitnych członków tego koła młodzieży był Jan Kniaź Puzyna, późniejszy biskup krakowski. Jan Puzyna był rodem z Gwoździca w Kołomyjskiem i miał dwóch braci gospodarzy, z których jeden Roman, ożeniony z hr. B[illegible]ską mieszkał w Gwoździcu, a drugi ożeniony z [illegible], w cudzym majątku, o ile pamiętam także w Kołomyjskiem. — Jan zdawał wówczas doktorat praw, mieszkał [illegible] i zamierzał po zupełnem ukończeniu studiów wstąpić do lwowskiej Dyrekcyi Skarbu, sądząc, że tam znajdzie szybką karyerę, ponieważ w urzędach skarbowych mało było jeszcze młodzieży z lepszych domów. — Jaś już jako młodzieniec był ~~bardzo~~ [illegible] bardzo wysoki, kościsty, o bujnej ale poważnej twarzy, nadzwyczaj był obowiązkowym i od raz przyjętych zasad nie odstępował. Bardzo religijny, potem pozbawiony [illegible] tęgiego umysłu, musiał ogromnie pracować, aby postępować egzaminy, bo nauka szła mu [illegible] ciężko od głowy. — Z Janem się bardzo zaprzyjaźniłem, a bowiem mimo, że sam był wzorem cnót i obyczajów, ~~[illegible]~~ sympatyzował i patrzył na moje [illegible] i [illegible] wybryki. — Dostawał on regularnie ~~[illegible]~~ przesyłki masła, i zwanego mięsiwa z Gwoździca, więc schodziliśmy się często u niego rano lub wieczór na herbatę, obmawiając i dyskutując wszystkie bieżące kwestye. — Uprawdzie Jasia nikt nigdy nie przekonał, był on bowiem ~~[illegible]~~ upartym jak kozioł, i na krok nie odstępował od zasad, łatwo i do[illegible], był on bowiem [illegible] ale wówczas jeszcze dość miał w sobie tolerancyi i dla tego umiał sympatyę, nikomu nie brał za złe innego zdania. — Wyglądał już wówczas jak ksiądz, zwłaszcza, że nie nosił ~~[illegible]~~ zarostu, a ktoś z jego przyjaciół opowiadał mi, że gdy Jasia na ganku zobaczył, Jasia wychodzącego do bramy przyjął jeden uczniów [illegible] wołający z [illegible] z nowiną, że „jakiś ksiądz ~~[illegible]~~ jedzie“. — O jakichś stosunkach z kobietami u Jasia mowy nawet nie było, zaś tylko i to dużo później młoda

go Humaniaka, o którym mówiłem, ~~a ten ma wszystkowa ekspedycja~~ w życiu biednego Jasia bardzo smutne następstwa. Humaniaczka, będąc przyjaciółką k. Antoniny Golejowskiej, a Jaś był skoligacony z Golejowskimi i w bliskich z nimi był stosunkach. Otóż Humaniaczka trafiła kiedyś u Jasia na ataki choroby, a że nie była zdrową, nie wiele bowiem delikatności [illegible] kiedyś musiał odpokutować za chorobą następstwa, i w lat kilkanaście, kiedy już był nawet seminarzystą duchownym w domu, ~~musiał się poddać bardzo tajemniczej operacji~~ i cięższej operacji.

U Burzyny bywał także często skoligacony z Golejowskimi i Purzycami obywatel ziemski z nad Dniestru Władysław Przybysławski. Ów Przybysławski do ciekawszych ludzi się liczył. Głównem jego zajęciem w życiu było odbierać sukcesje i [illegible]. Żona jego Wesołówna spokrewniona była z Bispingami na Litwie, a w tych rodzinach co kilka lat ktoś umierał i co kilka lat wybierał się pan Władysław od Warszawy, aby się o ~~[illegible]~~ spadek z innymi sukcesorami układać. Zresztą miał on i przed sukcesjami [illegible] do majątku Czortowice i [illegible] nad Dniestrem. W jaki on sposób majątkiem zarządzał, mało kto ze znających go mógł dociec. Oszczędny, a nawet skąpy w drobiazgach, przesiadywał wprawdzie często w domu, siedział po kilka tygodni, ale nie lubił w majątku przesiadywać, w objazdach w Żorza, jadł obiadami i targował się w każdym sklepie do upadłego. Mówiono, że zawsze czem innem się zajmuje, a nie tem z czego żyć powinien — gospodarstwem. Do słabostek jego należała archeologia i zbieranie antyków, a nawet handelek antykami. Jak mógł ubrać naiwnego przyjaciela w jakiś nad... waz lub jakiś obraz ~~nieporozum~~ wątpliwej wartości ~~pochodzenia~~, a w kieszeni nosił jakieś monety nieumiejętnie, albo jakiś pierścionek lub kamień, pochodzący od tej królowej lub owego odgrzebany Augusta Saskiego, lub Poniatowskiego. Ze wszystkimi zbieraczami w kraju i w Warszawie miał stosunki, wiecznie projektował jakieś zamiany, wiecznie jeździł lub prowadził korespondencję, a dumnym był niezmiernie, że posiadał obraz rzekomo Holbeina, którego autentyczności nikt dowieść mu nie mógł. Mnie się zdaje, że Przybysławski na tem tracił majątek, bo mu się zdawało, że on wszystkich przeniósł w spekulacji, a mając tak dobre o sobie wyobrażenie, wpadał łatwo w zasadzki, jeszcze większych jak on pletów. — Zresztą był to człowiek przyjemny i interesujący, opowiadał dużo i dobrze, widział mnóstwo rodzinnych historyj, interesował się wszystkiem, a chociaż nie dużo czytał, bo mu się czytać nie chciało, ale ze wszystkich dziedzin wiedzy ludzkiej cośkolwiek wiedział i umiał dobrze opowiadać te wiadomości. — Dla mnie był on i z tego względu bardzo pożądanym towarzyszem, że dalekim był od tej „pruderji" jaką się odznaczali Jaś Burzyna, Bistrzycki i Bi... Z Przybysławskim można było iść i na reduty i o światowych rzeczach pogadać, a ponieważ, że on bardzo był wiernym małżonkiem, pomimo za wiedzą i pozwoleniem swej żony wybywał się nawet w teatralne koła. —

Przyjemnymi też towarzyszami młodzieży Bistrzyckich - Bilatych były także dwóch braci Czajkowskich Tomio i Władysław, także od niedawna ~~[illegible]~~ zamieszkali pensjonarzami Bilatów. Dwaj bracia, bardzo zamożni ludzie, mieszkali razem, [illegible] się nieraz. Starszy Tomio, wcale zdolny, bardzo wykształcony i szlachetny [illegible] był później długi czas posłem do Rady Państwa, nawet dość wybitnym, ale z czasem [illegible] sobie nowy [illegible] i wreszcie umarł.

W ogóle lekarz, który zarzucając z jednego systemu przechodzi w drugi i ćwiczenia na pacjentach jak na królikach, mnogich środków próbuje, bez miłosierdzia leki u ludzi koniak i karmił ich jak dzikich [illegible] zarazem mięsem. Ten koniak zrujnował zdrowie wielu z mich współczesnych, zniszczył im żołądki, kiszki i nerwy do reszty. A gdy jeszcze zawsze nawet dzieci [illegible] wpływana, wtedy już nie było miary temu wynalazkowi koniaku, stałym [illegible] kolejnym karaniem przez po [illegible] tego, odbyło lekarstwo, a do-bryły tak się przyzwyczajały do ~~tego~~ spirytusu, iż pijały jak stary huzar, nie po [illegible], ale po kieliszkowi [illegible]. – Takim koniakowym lekarzem był np. Dr Mereczyński we Lwowie, od dawna domowy lekarz Sapiehów, księcia Jabłonowskiego [illegible] we Francji powinni nam byli wyłożyć złoty medal zasługi. – Oto starszych zabijano koniakiem, o tyle dzieciom szkodzono znów zarazem mięsem; w iluż to rodzinach dawano dzieciom nie już krwawe beefsteki i rostbeefy, ale na przekąskę [illegible] z surowego mięsa jak kotom, nie dziw też, iż te [illegible] stosowane podpadają najrozmaitszym chorobom, i że „rak" stał się par excellence chorobą drugiej połowy XIX. wieku. – Takiemu kuracyjnemu koniakowemu [illegible] i koniak w wyższych dozach nie wystarczał, [illegible] się więc na picie szampańskiego wina, w którym gotowa była koniaki. Byłem raz świadkiem jak [illegible] Fredro, wnuk komediopisarza wypił przy obiedzie oprócz innych napojów pół butelki koniaku i – nie był pijanym. W dziesięć lat później jako młody stosunkowo jeszcze umarł na skutki pijaństwa.

Wracam jednak do drugiej Czartoryskiej, Władysława. Zawdzięczał on [illegible] się nawet powołanie do Rady Państwa temu, że był bratem Alfonsa, sam bowiem nie mógł się pochlubić wielką inteligencją. Owa śmieszna to była figurka, mała, [illegible], kapryśna, niezadowolona. [illegible] też niezadowolona była to, że żadna Sapieżanka lub Gołuchowska nie chciała mu oddać ręki.

Bielatowscy mieszkali w Radzi[illegible], w Stryjskiem i sąsiadowali z Dzieduszyckimi z Zybrowic; a że i pani Bielatowska była Dzieduszycką z domu, więc stosunki pomiędzy temi rodzinami były dość ścisłe. – Z tąd kilku młodych Dzieduszyckich a przedewszystkiem Tunio (Wojciech) Dzieduszycki bywał częstym gościem w naszem towarzystwie. Tunio skończył był gimnazyum w Theresianum we Wiedniu, a w czasach o których mówię ~~piszę~~ wspomina się, że zdawał doktorat, i pisał rozmaite rzeczy, a przedewszystkiem dramaty. Uważaliśmy go już nie za bardzo oryginalnego, ale za pół wariata. Dzieduszycki był jak [illegible]: długi pochylony blondyn o niebieskich, niewiele wyrażających oczach, [illegible], takiej drugiej twarzy, wielkim nosie, szerokich ustach, z których zawsze obficie wychodziła piana. – Jedno oko [illegible], chociaż w wysokiej oprawie świeciło pewnie. – Tunio nie [illegible], a zarazem [illegible] głosem, w ruchach był niezgrabny jak pawian, śmiał się krótkim, gardłowym urywanym śmiechem, a kto nie lubił na siłę zwracać uwagi, nie powinien był wychodzić z nim na ulicę. – [illegible] był najdziwaczniejszych pomysłów, i przy tem najdzikszych, w ubraniu [illegible] się zaniedbał co mu się zawsze zostało. Spodnie [illegible] nie opadały, z pod kamizelki [illegible] wychodziła koszula, surdut pomięty zawalany (Krawat przekręcony kokardą przodem) Kapelusz niewyczyszczony od lat kilku. – Tunio był wcieleniem „brzydkich" Dzieduszyckich, co się i tem tłumaczy, że był on synem Juliana Dzieduszyckiego i pani Klaudyi Dzied. z domu także Dzieduszyckiej ?? bo ojcu więc i po matce dziedziczył brzydotę Dzieduszyckich.

W kwestii figlów najulubieńszą była [jest] sprawa, gdy razu późnym wieczorem w towarzystwie kolegów było
dzwonić do kamienic, a prędko uciekać, aby zbudzeni ze snu stróże wybiegali na ulicę, a
nie widząc nikogo przeklinali niepomiernie, którzy im figle płatają. Gdy się szło z Tunie-
wiczem nie można było być pewnym, że z nienacka nie sadzi towarzysza — było w kape-
lusz i nie wsadzi mu go aż po nos i uszy. Gniewać się na niego za te psikusy nie było
można, bo natychmiast zaczął delinkwenta obcałowywać, śmiać się i komicznie stroić
miny. Ten sposób obcałowywania znajomych, w danym razie z Dzieduszyckim był
czemś strasznem, a w ogóle nadzwyczaj nieprzyjemnym. Do niedawna w całej jeszcze
Polsce dwaj znajomi spotkawszy się po dłuższem niewidzeniu całowali się dwa razy
w usta, jak mówiono „z dubeltówki". Dzisiaj ten sposób trochę już wychodzi
z użycia i może dla was, którzy będziecie czytać te pamiętniki, zupełnie zniknie.
Raz w Zakopanem spotkałem Władysława hr. Koziebrodzkiego, który miał obrzy-
dliwe wówczas na twarzy liszaje; z daleka już go zobaczywszy przeląkłem się, a oba-
wy moje nie były płonne, bo z miejsca dwa razy mnie pocałował. Wiedząc
o zaraźliwości liszai, jak najprędzej krótko go zbyłem i pobiegłem do najbliż-
szego potoka, aby twarz gruntownie obmyć. — Dzieduszycki miał swój sposób wi-
tania, żegnania przyjaciół — przeklinaniem; spotkawszy znajomego, wykrzy-
nął wielkim rozmowę od słów „Niech cię jasny piorun trzaśnie..." lub
jakimś obrzydliwym konceptem i z miejsca zaczął się śmiać swym ochrypłym ~~charczącym~~
głosem. — Raz już w lat dwadzieścia kilka później, który zajmował bardzo wybit-
ne stanowisko w delegacji wiedeńskiej, spotkałem go u Dawida Abrahamowicza. Zi-
jął się witając z gospodarzem domu w obecności swej żony, damy i Jaworskiego,
prezesa koła polskiego. — „Niech cię jasny piorun trzaśnie..." powiedział. — Abra-
hamowicz odrzekł „Wiesz, że to zima i piorunu nie będzie..." ale słodko-gorz-
kim skrzywił się uśmiechem. — Wpadłszy w ferwor w rozmowie, podnosił strasznie głos, mó-
wił po oratorsku, jak kiedyś z ambony, zaczął każde rozumowanie, jeżeli już nie
od Adama i Ewy, to przynajmniej od wieków średnich, cytował z pół tuzina znakomitych
pisarzy, a tu i owdzie był błysnął bardzo oryginalnym poglądem. Ogromnie miał nieoby-
czajną [illegible], całemi stronicami potrafił powtarzać ~~cytować~~ urywki z dzieł znakomitych, całe tomy
poezyj umiał na pamięć. Po grecku i łacinie czytał wybornie, a ~~[illegible]~~ urodzony swoją
umiał jeszcze podnosić nieporównaną pod tym względem blaga. Raz go spotkałem
w Woli Zielonej, był obłożony książkami, pomimo że jechał tylko kilka dni
za dwór, a pomiędzy temi książkami były greckie, angielskie i francuskie. — Często
~~[illegible]~~, zanudzał on nas czytaniem swoich utworów, zgromadziliśmy
się albo u niego, albo w bursie hr. Dzieduszyckiego i całą noc czytał on nam swe
postępne utwory. — Jeden z dramatów, które wówczas napisał, taki był straszny, że
Liberat Zajączkowski, redaktor „Szczutka", pisma humorystycznego ~~[illegible]~~ zamieścił wzmian-
kę, że hr. Wojciech napisał dramat w 25 odsłonach i pięćdziesięciu zabitych
[illegible]. W każdym akcie trupa tam kogoś, albo mordowano. W ogóle jego fanta-
zja miała coś podobnego do fantazji Brueghla, zwanego „der Höllenbreughel".

O Wyspiańskim opowiadał mi hr. Karol Lanckoroński, że ~~kiedy~~ raz w Rozdole przeglądał Wyspiański fotografie włoskie, które gospodarz przywiózł z swoich podróży, i napotkał na fotografię stropu Sykstyny;

– Co to jakaś fotografia – zapytał ~~[illegible]~~ – czy to Michała Anioła?

– [illegible] tę fotografię [illegible] Sykstyny.

– Nie wiedziałem, że w Sykstynie i strop malowany...

Nota bene Wyspiański świeżo co ~~[illegible]~~ wydał swoją książkę o sztuce włoskiej!..

przemawiały mu się po głowie same okropności, same czarownice z miotłami smarące dzieci na rożnach i same djabły, rzygające ogniem i siarką. — Pisał on dużo, szybko, ale zawsze mierności, generowane to i owdzie błyskiem niepospolitego talentu. Zaraz najczęściej niechętnie przyjmował jego powieści, każdy więc z redaktorów takiego utworu nie mało kłopotał autora, pod pozorem subwencyi dla Dziennika musiał więc Wojciech bardzo dużo pisać dla redakcyi. Ambitny autor go pożerał, chciał ciągle być „drukowanym", a to nie mało szkodziło jakości jego literackich płodów. — Jego rozprawy z dziedziny estetyki, filozofii, naznaczone były mieszczańską pobieżnością, kompilował on je po największej części i to nie z dzieł pierwszorzędnej wartości, ale z niemieckich lub francuskich kompendjów. Na warsztacie literackim Wojciecha widzieć było można tego rodzaju „źródła", jak illustrowana „Hellas und Rom", albo Encyklopedja Meyera. — Wojciech przeraż na wielkiego znawcę sztuki, a na dowód jakim to był znawcą niezapomniany gdy powróciwszy raz z Włoch opowiadał wszystkim, że odkrył wielkiego malarza a mianowicie Tiepola, którego świata już wszyscy historycy o włoskiej sztuce opisywali od dawna, i nie potrzebowali odkrywać; bo Tiepolo nigdy nie był zapomnianym. — Innym razem już jako żonaty człowiek i niby to ~~[illegible]~~ mecenas sztuki dowodził najpoważniejszym ludziom, że w ostatniej swojej podróży do Włoch kupił obraz Rafaela. Na uwagi znajomych, że w tem musi być jakaś omyłka, bo obrazy Rafaela dzisiaj ~~Ha~~ wszystkie są w znanych rękach, i że gdyby się jaki obraz pojawił tak krocie za niego żądano, odpowiedział Wojciech „Ośla krew . . . a ja ci powiadam, że mam Rafaela". Później o tym „Rafaelu" jakoś już więcej nie wspominał. W rozmowie czasem był Wojciech bardzo przyjemny, ~~czasem~~ i mówił rozumnie, czasem bredził jak we snach. Później, już za moich wiedeńskich czasów byliśmy jednego wieczora na kolacyi u Lipinera, tłómacza poematów Mickiewicza. Przy stole siedziało nas kilkanaście osób, po większej części Niemców, naraz Wojciech wstaje, prosi o głos i zaczyna coś mówić o egipskim królu Ramzesie II-gim, przechodzi na wędrówki ludów, wreszcie już po sobie patrzą, nie wiedząc do czego zmierza ten historyczny wykład. Pani domu, przy której siedziałem, blednie i mówi zakłopotana po cichu: „Jak mi przykro, nie wiedziałam, że hr. Dzieduszycki ma tak słabą głowę, o ile uważałam wypił tylko dwa kieliszki wina..." Wytłómaczyłem jej, że D. najczęściej nie pijany, ale to jego dziwaczny sposób mówienia, zaczynać zawsze od jakichciś dalekich faktów, aby ciernistą drogą dojść do bardzo prostych konkluzyi. — Tym razem było tak niezręcznie, bo koniec jego dyskursu nowy był wcale dobry, a Wojciech osłabił tym sposobem przykre wrażenie swej ~~[illegible]~~ nudnej gadaniny. Wojciech ożenił się ze swoją kuzynką panną Dzieduszycką córką Aleksandra Dzieduszyckiego ~~Ożeniwszy się~~ ~~[illegible] ożenił później~~, ~~[illegible]~~ Orzeszyckich z Sydorowa, wielką dewotką. ~~Małą młodości o którym najpierw~~ żyłem.

Z dalszym ciągu należeli do ~~tego grona~~ (młodszej braci) Rozwadowscy: ~~Tomisław~~ Bartłomiej i Franciszek, czasami także Tomisław. Bartłomiej był bardzo niepospolitym, wielkiej zdolności młodzieńcem, kształcił się i czytał dużo, później ożeniony z Szymanowską, gospodarował w okolicach Kałusza, wcześnie jednak umarł na chorobę piersiową. Franciszek mniej wybitnej osobistości, ożeniony później z Wittowską jest dzisiaj prezesem Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego we Lwowie. Trzeci nareszcie Tomisław awanturnik i nabieracz pierwszego rzędu.

Mra[illegible]
ni i [illegible]
baństo[illegible]
gru [illegible]
barwn[illegible]
jest, a [illegible]
muzea[illegible]
vante[illegible]
do Ob[illegible]
zi v [illegible]
narod[illegible]
objdw[illegible]
żadne[illegible]
mano[illegible]
znaną [illegible]
nie [illegible]
li/z [illegible]

W ro[illegible]
Jam[illegible]
Księ[illegible]
utró[illegible]
Zmi[illegible]
egra[illegible]
takie[illegible]
ści p[illegible]
centa[illegible]
Świę[illegible]
mia[illegible]
jene[illegible]
mia[illegible]
Księ[illegible]
~~da~~ [illegible]
pod [illegible]
mn[illegible]
– Je[illegible]
pom[illegible]
[illegible]
zi o[illegible]
bert[illegible]

Miał dwa dni [illegible] majątku, więc mógł grać lub prawie dwadzieścia, z razu w domu i gdzie się zdarzyło, później arena była mu za ciasna, dał się więc wybrać do [illegible] Gaistwa, zapisał się do wiedeńskiego Jockey-Klubu, a nie mogąc wytrzymać konkurencji w grze z ludźmi, którzy mieli po kilkadziesiąt tysięcy guldenów w gospodarce, wypisał się niebawem na czarnej tablicy, jako nieopłacalny. Raz go wprawdzie Roman hr. Potocki wykupił, ale naraście musiał Tomisław opuścić to pole walki. Człowiek grzeczny, miły to bardzo był. [illegible] „w honor", co chwila miał pojedynki, aż skończył swą karierę w Galicji głośną awanturą z Dr. Ormiańskim z Zaleszczyk. – Straciwszy bowiem majątek, poszedł na rady do Ormiańskiego i zamiast cicho los swój znosić zaczął tak Ormiańskiemu dokuczać, że go tenże oddalić był przymuszony.. Spotkawszy w jakiś czas Ormiańskiego w kawiarni narodowej we Lwowie dał mu w twarz, w skutek czego wszczęła się bójka, taka, że straż [illegible] obydwu gladiatorów rozbrajać musiała. Nastąpił oczywiście pojedynek, w którym [illegible] z [illegible] się nie stało, a następnie Tomisław musiał [illegible] w Rumunii, gdzie do dziś swoją egzystencję. Tomisław był ożeniony z [illegible], znaną na [illegible] Polski i Galicji gospodynią i [illegible], powiedział i trzech synów. Tych synów oddawał Tomisław po kolei do wszystkich zakładów i [illegible] nie mogła. Tych [illegible] jeden z nich [illegible] w armii austriackiej, innych ludzi [illegible] się prowadzący.

VII.

Pracując w urzędzie zdawałem dalsze rygorosa jeżdżąc w tym celu do Krakowa. W roku 18.. otrzymałem nareszcie doktorat praw po obronie publicznej jakichś tez których już nie pamiętam, wiem tylko, że jednym z moich przeciwników był Maksymilian Zatorski, z którym niedawno kolegowałem w Prokuratorii Skarbu w Krakowie. Cała ta obrona też była tylko utartą rozmową formalną pomiędzy doktorantem a oponentami, to też ją zupełnie [illegible]. Człowiek [illegible] tylko niepotrzebnie nerwy w tych wszystkich publicznych [illegible]. Jedna osoba każdego egzaminu, doktoryzacji, a pojętną z tego żadnej nie było. – Jedna osoba każdej takiej uroczystości była widzieć się z panią Gd., która też była w Krakowie, i z nowo [illegible] się na dłuższe przeciągałem. – Po zdaniu doktoratu miałem zamiar [illegible] przygotować się na docenta ekonomii politycznej i habilitować się w Krakowie. Zaczynałem więc dużo czytać dzieł ekonomicznych i pisać rozprawę „O kredycie rolniczym". O tym moim zamiarze wspomniał raz Maurycy Kraiński Księciu Leonowi Sapieże, a że Sapieha [illegible] jakiś fundusz na kształcenie młodzieży za granicą, który się przeznaczył, Kraiński [illegible] miała zamiar kształcić w naukach społecznych, więc ~~Sapieha~~ Kraiński [illegible] Księcia zaproponował mi, abym wziął dłuższy urlop w namiestnictwie i przyjął Księcia stypendium. Więcej jak chętnie podobało mi się wyjazd w świat, więc ~~do~~ Księcia stypendium. Więcej jak chętnie podobał mi się wyjazd w świat, więc [illegible] nie wiedząc Kraińskiego poszedłem do namiestnika hr. Gołuchowskiego i mu opowiedziałem.

– Jesteś urzędnikiem – odrzekł mi Gołuchowski – nie potrzebujesz niczyjej pieniężnej pomocy, zostań w namiestnictwie, pomogę Ci w dalszej karierze...

Usłuchałem jak Gołuchowski poradził, pozostałem w urzędzie i dopiero później się dowiedziałem, że rada namiestnika miała swe szczególne powody. Gołuchowski nie [illegible] Sapiehy i całej tej kliki dawnej polskiej arystokracji, która mu przy każdej

sposo[illegible]
ne, [illegible]
i co [illegible]
pod j[illegible]
samo[illegible]
dro o[illegible]
wagę. [illegible]
ją n[illegible]
i tyle [illegible]
użyła [illegible]
nad [illegible]
ci ze [illegible]
prom[illegible]
ca j[illegible]

spółdzielni dawała mnie swą rodową wyższość. Gołuchowski oddawał pióro za wzór.
ze, dokuczał gdzie mógł owym panom, nie chciał, aby sobie tworzyli Ullmanta. Więc
i co do mnie nie miałem nic to było, aby młody urzędnik opuszczał urzędową karierę
pod jego kierunkiem i kształcił się za granicą, za zagranicznymi pieniędzmi, robiąc tem
samem reklamę księciu Leonowi. — Od tego czasu mój zapał się do urzędu bar-
dzo ostygł, zwłaszcza, że nadal studja ekonomiczne trochę mnie się ochłodziły. Wyda-
wały. Rozprawę o kredycie rolniczym posłałem więc do Krakowskiego „Przeglądu", który
ją umieścił, napisałem tam jeszcze jakiś artykuł o „O Centralizacji handlowej",
i tyle było mojej — Ekonomii. — Ale i praca w Namiestnictwie strasznie mnie mę-
czyła, czułem się nieraz jak chart na łańcuchu, przesiedziawszy kilka godzin w biurze
nad czytaniem aktów, i nad pisaniem ich znowu jednego i tego samego, wzdychałem więcej
że ze stójki wyskoczę i cała ta robota nieopisanie mnie brzydziła. Gdym sobie jednak
pomyślał, że rodzicom ciężarem być nie mogę, że owszem trzeba schorowanemu oj-
cu jak najprędzej pomódz — to wracałem znowu pod jarzmo i składałem głowę w obojczyk.

jmei

dom

mię

jesu

jutk

stu

je

nTa

robi

to
(grat

1863

go

zyg

a j

się

Re

T Pomimo że nie Konstantem z ofiary Księcia Leona Sapiehy zyskałem sobie za granicą przecież zainteresowanie się mną Księcia o tyle wyszło mi na dobre, że się zbliżyłem do domu Książąt Sapiehów, bardzo wówczas otwartego i stanowiącego wobec Gołuchowskiego niejako przeciwny arystokratyczny obóz. Ściśle krajowa polityka Hr. Gołuchowskiego jeszcze nie miała wówczas tego co później uznania, a partja rodowej arystokracji Sapiehów, Potockich, (z wyjątkiem Hr. Alfreda) Sanguszków, Lubomirskich patrząc z nienawiścią Hr. Namiestnikowi, że ma największy wpływ władzy w kraju i wpływy u Cesarza, że zajmuje miejsce, które się jednemu z jej członków należało — starała się wszelkiemi siłami utworzyć obóz opozycyjny. Ponieważ u nas najłatwiej zawsze było pozyskać sobie opinię publiczną ogólnikowemi patryotycznemi hasłami, więc też stronnictwo to grało o ile możności na sercach ludzkich koketowaniem z ideami powstania z r. 1863., historyczno-patryotycznemi reminiscencyami, nazywaniem pana Gołuchowskiego szwarcgelberem i innemi podobnemi tego bzdurkami. — Podstawą tej opozycji był dom Książąt Leonów, widomą głową Ks. Leon, duszą Księżna Leonowa, a pułkownikiem kosynierowej kampanii Ks. Adam, jedyny syn książęcy. — Ks. Leon musiał już mieć wówczas około lat 60., ale był jeszcze bardzo krzepki i wytrwały w pracy. Zajmował stanowisko Marszałka sejmu galicyjskiego i Prezesa Wydziału Krajowego, instytucji, która została utworzoną w miejsce dawniejszego Wydziału stanowego i dbająca się teraz o rozszerzenie swego zakresu działania. Jako najwyższa instytucja ~~ob~~ autonomiczna starał się Wydział Krajowy o ile możności jak największy zakres odebrać Namiestnictwu, czyli rządowej wyłącznej władzy administracyjnej, a własne agendy rozszerzyć. W ten sposób powoli i po długich walkach ~~osiągnął~~ objął Wydział Krajowy zarząd własny, (~~fundacye~~ rozmaite fundacye) i stypendia, kontrolę nad zarządami gminnemi, szkołami itd. Ks. Leon bardzo sumiennie zajmował się tą czynnością, a wspierany przez dwóch ~~[illegible]~~ niepospolitych ludzi, członków Wydziału krajowego, jak Maurycy Kraiński i Oktaw Pietruski był właściwie organizatorem tej instytucji. — Z drugiej jednak strony Ks. Leon duże szkody wyrządził Wydziałowi obsadzając miejsca posad ludźmi par excellence swoimi, to jest takiemi, którzy w każdym razie byli klientami sapieżyńskiej partyi. W ten sposób Wydział w ciągu lat zaludnił się byłymi majorami i pułkownikami z powstania r. 1863., którzy ani o Galicji, ani o jej potrzebach i administracji żadnego nie mieli wyobrażenia, inżynierami zaś francuskich, umiejącymi może dobrze budować kościoły zamki, ale niezdolnymi do naprawiania błotnistych dróg w brzeskiem lub sokalskiem, rachmistrzami, którzy co najwięcej liczyć od narodowych lekkomyślnie długów liczyć umieli. — Wielki kontyngens do tej legii niedarzonych urzędników krajowych dostarczali zbankrutowani właściciele ziemscy, którzy mieli u Ks. Sapiehów protekcyę, tak, że Wydział Krajowy niebawem wyglądał jak dom zaopatrzenia dla ~~[illegible]~~ ex powstańców z r. 1863. i ~~na~~ dla szlacheckich inwalidów, ~~[illegible]~~ a nie jako najwyższa krajowa władza administracyjna. —

Ks. Leon sympatyczne robił wrażenie, mówił spokojnie, nie podnosząc zbytnie

głowę, chodził powoli, miarowym krokiem, w jego oczach czytali niektórzy fałsz
i chytrość i dlatego go nazywali, dla mnie spojrzenie księcia było bardzo sympa-
tycznem. — Gdy księstwo za młodych czasów wyemigrowali do Galicyi, bardzo mozolnie rozpo-
częli [illegible], a księżna z pewną emfazą zawsze wspominała, że nosiła kora-
le ze zwykłego szkiełka i że do najnowszych czasów trzecią klasą jeździła do [illegible]
la. — Osiadłszy więc w Galicyi starał się książę zrobić majątek na swój ród i kraj cało-
[illegible] podwoić. Udawało mu się to wybornie, ale też i obudzało zazdrość w spo-
łeczeństwie, tak skłonnem do bezdusznej zazdrości, jak społeczeństwo polskie. Książę
przyczynił się głównie do założenia Towarzystwa kredytowego ziemskiego we Lwowie, do przepro-
wadzenia budowy kolei Karola Ludwika i lwowsko-czerniowieckiej, do założenia Anglo-Banku w Wiedniu, który
by miał do Austryi wprowadzić także [illegible] austryackie, angielskie kapitały,
i do powstania wielu innych pożytecznych przedsiębiorstw. Książę miał dwie główne
zalety do pomnażania majątku i przedsiębiorczość i oszczędność; fortuna jego rosła też
szybko i ~~[illegible]~~ otaczała legiony ludzi zazdrosnych. — O oszczędności księcia krążyło
mnóstwo anegdotek, które nie zawsze zasługują przypomnieć, jak np. że gdy przyjeżdżał
do Wiednia, nie wydawał więcej nad jednego guldena na obiad. Obrano mu za złe
stosunki z wiedeńskimi finansistami, jak ze [illegible] z późniejszym posłem Offen-
heimem, jak z generalnym sekretarzem kolei Karola Ludwika Hercem; mówiono, że książę
gorszy w interesach od żyda. — Co było wszystkich, którzy tak mówili nic w kraju nie
pozostało jak tylko wioski i długi — po księciu pozostało dużo. — Książę który się zetknął
ze światem finansowym zagranicznym, który [illegible] pod Lubeckim w Warsza-
wie widział jak się [illegible], albo krajowemi ekonomicznemi potrzebami; a później w Lon-
dynie przypatrzył się, jak się robi interesa finansowe — jeden z pierwszych u
nas uważał się wyzwolić od interesu. Tego mu ludzie nie mogli darować i to najprzód
[illegible] zarzutami pochodzącemi z nieświadomości rzeczy i [illegible] ~~[illegible]~~ [illegible]
pamięć o nim zamierzeń się [illegible]. Kiedy kto się dotknął wielkich finansowych [illegible]
[illegible], wie, że się ich nie załatwia [illegible] [illegible] [illegible],
ale że do nich silnej potrzeba ręki, które wpływy twoi nie się po drodze [illegible] i [illegible] brutal-
nie usuwać i bezwzględnie używać potrafi. — Z całej tej arystokratycznej kliki na [illegible]
[illegible] cały dom Sapieżyński najbardziej Gołuchowski znosił jeszcze książę Leona,
[illegible] na praktycznem polu krajowych potrzeb zchodzili się oni i umieli po-
rozumieć; zresztą tak Gołuchowski jak cała Galicya wiedziała, że fermentem w tym ro-
dzinie jest księżna, mistyczna namiętna, nie [illegible] [illegible].

Księżnę pamiętam jeszcze jako bardzo piękną starszą kobietę, o nader imponują-
cej postawie, o żywem oku i trochę zakarbtujące wyrazie twarzy. ~~Księżna~~ Wyrażała one się
o wszystkiem bezwzględnie, stanowczo, pośrednio. Tego dającego stanowiska zajmowała
umiała. Albo kto należał do jej klientów, albo go nienawidziła. Na [illegible]
nie pozostawała, jak to mówią, suchej nitki, z Tatowicą nawet zrywała na ludzi
oblegi. — Z domu swego starała się stworzyć rodzaj familijno-politycznego ogniska
i pałac Sapiehów stał też przez długie lata na czele towarzyskiego ruchu we Lwowie.
Na wieczorach, balach, obiadach u Sapiehów zbierało się prawie wszystko ważniejsze

ośmieszali miasto i wszystkich, którzy zamieszkujący inne kraje Polski o Lwów za-zdroszczą. Przyjęcia były stosunkowo skromne, ale rozmowa ożywiona, zajmująca, bo gospodar-stwo umieli zawsze u siebie zgromadzić koło ludzi niebanalnych. – Apartamenta w domu przy ulicy Sykstuskiej (później Kopernika) nie były obszerne, ani wspaniałe, ale dobre obrazy, stara porcelana czyniły je bardzo miłemi. Później przebudował Książę pałac stojący w stylu francuskim i rozszerzył „pałac", a Lwów dziwiąc się, że Książę za-raz stał się tak „rozrzutny" postanowił, że Sapieha „Louvre" stawia.

Książę Adam dość rzadko bywał na przyjęciach u księstwa Leonów, gdyż salo-no-towarzyskie życie zawsze go nudziło, więc dość mieszkał w Krasiczynie, a gdy bawił we Lwowie, albo sportował, albo politykował, przyjmując w kilku swych poko-kach, w kamienicy ~~księstwa~~ rodziców. Książę Adam robił na każdym prawie fascynujące wrażenie, bardzo piękny mężczyzna, o ostrym twarzy profilu, o bystrem spojrzeniu. Jego przemówień słuchało się jak muzyki, taki miał piękny organ mowy, tak umiał głos podnosić i zniżać, takim doborem słów rozporządzał. Nie[illegible] drobnej, nienawidził całej nowej arystokracji z Gołuchowskim na czele, nie mógł znosić Mie-rów, Zawadowskich, Badenich, Borkowskich i t. p., chętniej się też wdawał z demokra-cją i tak zwaną „inteligencją", bo demokraci nisko mu się kłaniali i uważali sobie za zaszczyt, że z nimi obcuje. Zaufanym miał Książę takiego demokratycznego adjutanta, którym za moich czasów, aż do dziś dnia był i jest Libert Zajączkowski, z razu redaktor „Szczutka", pisemka humorystycznego, następnie współredaktor „Gazety narodowej" i różnych innych gazet, a wreszcie właściciel drukarni i ja-kiś funkcjonariusz w Towarzystwie Kredytowem we Lwowie. Głównem jednak zaję-ciem Liberta było politykować i intrygować z Księciem, za co mu Książę hojnie wy-nagradzał, płacąc za niego długi. Słusznie mówił później dyrektor Banku ~~krajo~~-wego galicyjskiego dla Handlu i Przemysłu Zdzisław Marchwicki, że za te pienią-dze, które Książę wydał na Liberta, możnaby ulać Zajączkowskiego z czystego srebra. – Niepohamowana ambicja i żądza popularności cechowały zawsze Księcia i dlatego jego czyny miały cechę jakiejś chorobliwej, niezrozumiałej gwałtowności, prawie nigdy nie wydawały dojrzałych owoców. Książę w ciągu lat subwencjonował mnóst-wo dzienników, wydawał dużo pieniędzy na rozmaite agitacyjne cele, a mimo to nie uważał nic takiego, coby odpowiadało jego wolnościom. Jeśli Książę odziedziczył po matce gwałtowność i namiętny charakter, to po ojcu pozostała mu rządność i oszczędność w ~~zarządzie~~ administracji majątku. Książę wzorowo gospodarował, w wydatkach, z wyjąt-kiem sum wydawanych na zyskanie popularności, był bardzo wyrachowany, a dom książęcy odznaczał się wielką skromnością.

Postacią która się najbardziej zacierała w tym domu Sapiehów, a z pewnością najszlachetniejszą, była Księżna Adamowa, z domu Sanguszkówna. Cicha, spokojna, dobra, zawojowana przez Księcia, oddała dzieci i z wrodzoną mocą niewinności swojej mę-ża... Poniżana w domu, ponieważ nigdy to nie dorosła swym umysłem postaci Sapie-

miała nie mało rozumu, wiele serca i wiele szlachetności. Za życia Księżnej Leonowej nikt o niej nie widział, nikt o niej nie mówił, stara Księżna wyrażała się o „Jadzi" jak o jakiejś osobie, której nie ma do powiedzenia. — A ta Jadzia była prawdziwą bohaterką, w rodzinie bowiem był chorobą, bo Księżna Leonowa co 20 razy miała zapalenie płuc, że każdem prawie lepiej wyglądającą, a K. Adam także do testamentu mógł dołączyć (rachując swoje skutki) tyrańskiej choroby. Księżna Jadwiga otoczyła ją pielęgnowała z całą energią, z całem poświęceniem. — Romans Księcia Adama z siostrą swojej żony Księżniczką Heleną Sanguszkówną z Tarnowa znanym był w całej rodzinie. Księżniczka Helena bardzo piękna, słynąca przez długie lata jako najpiękniejsza z głośniejszych kobiet w Galicji, bro-niła Jadzi sposobem, życzliwością, świątobliwością, stała się też ofiarą Księcia Adama i ze mną nie pozostała. Ze stosunku tego urodziła się (najpierw) córka, którą wychowano i wydano we Francji, i syn, którego Księżna Adamowa, nie chcąc dziecka unieszczęśliwić, za we własne dziecko przyjęła. Syn chował się w rodzinie wraz z drugiemi braćmi, a dopiero w dwudziestu kilku latach życia, dowiedziawszy się jakimś sposobem o swem pochodzeniu, po śmierci jego prawdziwej swej matki, Księżniczki Heleny, wyemigrował z kraju i osiadł się gdzieindziej (w Ameryce) ostatecznie.

Mówiąc o domu Ks. Sapiehów nie podobna mi nie wspomnieć o doktorze Merczyńskim, który leczył te wszystkie zapalenia płuc i od lat może trzydziestu jest domowym Księstwa lekarzem. Merczyński dostał się jako młody jeszcze lekarz do Księstwa i swem sympatycznem obejściem, tak umiał sobie pozyskać zaufanie całej rodziny, że nikt z Sapiehów nie odważył się wybrać się na tamten świat, nie otrzymawszy pozwolenia od Merczyńskiego.

Moje rozprawy ekonomiczne, które drukowałem w Przeglądzie polskim, na to się przy-najmniej przydały, że Towarzystwo gospodarskie galicyjskie, obrało mnie członkiem swego Komitetu wykonawczego, urzędującego we Lwowie, co w każdym razie było dla młodego jak ja człowieka wielkim zaszczytem. Prezesem Towarzystwa był Agenor hr. Gołuchowski, wiceprezesem Leszek Łanowski, a sekretarzem Antoni Jabłonowski, członek wielkiej zasługi, bardzo prawy człowiek, który zawcześnie umarł. Niezgrabny wysoki, szeroki, blondyn z długiemi wąsami, w polskim czarnym stroju, ~~robił~~ sprawiał Jabłonowski bardzo sympatyczne wrażenie. Ożeniony on był z panną Dzieduszycką z Szydłówki, córką Aleksandra, a siostrą pani Kazimierzowej Wodzickiej z Olejowa i Wojciechowej Dzieduszyckiej. Pani Jabłonowska była z sióstr chyba najsympatyczniejszą. Pani Kazimierzowa zasłynęła na całą Galicję, że była baba jak jędza, przed którą p. Kazimierz jak mógł uciekał na polowania, aby sobie we ornitologicznym studyj. ~~Wspomnień Wojciechowej później [illegible]~~. — Do komitetu Towarzystwa należało kilku znanych ludzi, jak Jakób Wiktor, Edward hr. Dzieduszycki, Walerjan Podlewski a później Otto Hausner. Książę Adam Sapieha był także członkiem komitetu. —

Jakób Wiktor należał do tej w zamożniejszej ziemiańskiej rodziny Wiktorów, która zasłynęła chowem rasowego bydła w Zarzeczu; grube nieco sylwetki, ale prawi ludzie.

Edward hr. Dzieduszycki wyglądał jak Donkiszot, z rodu był wysoki, a chudy okropnie, bo miał żonę znaną jędzę, która w straszném go trzymała tyraństwie. Niegdyś hr. Edward pracował, jako członek dyrekcyi Towarzystwa kredytowego ziemskiego i – urzędował. – Uśmie- chu nikt nie widział na jego twarzy, bo żonę miał i przy tem dzieci, a mając ich zazdro- go. Ubierał się porządnie od roku 1860 ciągle po polsku, bo zresztą nie miał dostatecz- nych funduszów, aby od razu zmienić garderobę na strój europejski. Ten strój quasi narodowy był nie tylko u niego ale i u innych, którzy go jeszcze nosili, bardzo komiczny, i wszystkiem go zaniechano. – Powszechnie znaną postacią w Galicyi wschodniej był p. Walerjan Podlewski, członek Wydziału krajowego, prowadzący rozmaitych patryo- tycznych i niepatryotycznych stowarzyszeń i instytucyi, nie mogący przejść od kontu- sza do fraka europejskiego, aby nie wyciągnąć tej kilkanaście razy na powstanie swej prawicy. Pan Walerjan nosił się także po polsku, ale nie à la pompe funèbre jak Dzieduszycki, ale na wesoło. Konfederatkę miał wysoką z czerwonym aksamit- nym wierzchem, z jakiejś lśniącej materyi, kontusz granatowy, a do strojnego ubrania nawet czerwone, lub żółte buty. Pan Walerjan lubił popularność na gruncie powstańczo-pa- tryotycznym i gdyby nie był czarną górą, byłby był robił konkurencję księciu Adamo- wi Sapieże. Stał on na czele Towarzystwa weteranów powstańczych z roku jeszcze 1831 i za- wsze był bardzo zajęty, mając bez liku posiedzeń, z których prawie żadnego nie opusz- czał. Później został praktycznym członkiem i starał się o takie posady, któ- re więcej na pensyę, niżeli na honor były obliczone. – Wielce interesującą, ale wów- czas jeszcze nie dość głośną osobistością był Otto Hausner, także członek komitetu Towarzystwa gospodarskiego i *par excellence* statystyk. Otto Hausner pochodził z ban- kierskiej rodziny w Brodach, a był członkiem wielce światłym, nadzwyczaj rozmow- nym w towarzystwie, dowcipnym jak rzadko kto, a nadto ożenionym z Kornacką i spokrew- nionym wskutek tego z Borkowskimi – więc należał do towarzystwa Mieroszów, Borko- wskich, tego świata lwowskiego, któremu mniej chodziło o sprawy krajowe i o patryo- tyzm, jak o zabawę i użycie. Hausner wydał ogromne dzieło statystyczne w nie- mieckim języku, o którym mało kto wiedział i gromadził materyały do statystyki, zamie- rzał do inwentarza wszystkich obrazów z głównych epok rozwoju włoskiej sztuki. Zbierał do tego bardzo dla specyalisty zajmującą bibliotekę najróżnorodniejszych dawnych przewodników po miastach włoskich, katalogów galeryi, monografii o malarzach włoskich. Po śmierci pana Ottona nabyłem te książki, od jego syna Wiktora i dotąd się znajdują w moiem posiadaniu. – Otto Hausner mówił najchętniej po francusku, jak w ogóle cały ten światek, w którym się obracał. Słynął jako wielki Lovelas, opowiadano o różnych jego stosunkach z lwowskiemi paniami: a szczególnie z Kamienicką, baronową Hagen, znaną potem w lwowskich sa- lonach. O całej tej koteryi Mieroszów, Borkowskich itp. póź- niej mi mówić przyjdzie, teraz chciałbym tylko jeszcze podnieść dom Włodzimierzo- wych Dzieduszyckich, jako wówczas jeden z najbardziej znanych i poważanych we Lwowie.

„Państwo Włodzimierzowie", jak ich nazywano mieli swój dom „pałac" na ulicy Kurkowej

p W[illegible]
plan[illegible]
któr[illegible]
duż[illegible]
i sz[illegible]
gospo[illegible]
zunu[illegible]
wszy[illegible]
cało[illegible]
dużych[illegible]
na [illegible]
Do p[illegible]
Koli[illegible]
możn[illegible]
kaft[illegible]
Tatro[illegible]
raz [illegible]
ści[illegible]
nowy[illegible]
upat[illegible]
twoi[illegible]
zięp[illegible]
rami[illegible]
leżą[illegible]
kort[illegible]
frakn[illegible]
w [illegible]
wid[illegible]
[illegible]
jego [illegible]
może [illegible]
w tak[illegible]
rok [illegible]
rami[illegible]
rat[illegible]
też [illegible]
mni[illegible]
angl[illegible]
dzien[illegible]

p. Włodzimierz przesiadywał jednak najczęściej, a nawet nocował w swojej kamienicy na placu Castrum, gdzie zbierał okazy fauny polskiej i etnograficzne polskie przedmioty, z których później utworzył znane muzeum imienia Dzieduszyckich. – Pan Włodzimierz, duży, ciężki mężczyzna, o rozlanej płaskiej twarzy, o grubych niezgrabnych nogach, jąkał się i seplenił mówiąc i robił wrażenie wielkiego niezdary. Dziedzic olbrzymich dóbr ziemskich gospodarował niedołężnie, i żył tylko w swych zbiorach, które gromadził z wielkiem zrozumieniem rzeczy. Najulubieńszym jego towarzyszem był pan Żołtak, spolszczony Niemiec, mystyk, zoolog, i bardzo dobrze umiejący wypychać zwierzęta. W kamienicy przy Castrum cała była laboratoryum, w którem preparowano zwierzęta i ptaki przysyłane hr. Dzieduszyckiemu ze wszystkich krańców Polski; wiedziano już bowiem, że kolekcja zamierzona na urządzenie publiczne muzeum i wspierano zewsząd jego zbożną pracę. [illegible] dwa pokoje, w których kolekcja czuła się zupełnie u siebie, były obite w znacznej części kilimkami, obwieszone obrazami Grottgera, Kossaka, a łóżko nawet, jakby u zamożnego chłopa, na Rusi, przykryte było zgrzebną kolorową haftowaną ruskim ludowym haftem. – Charakter pana Włodzimierza nie był zbyt sympatyczny; uparty, [illegible], łatwo się obrażający, nie zapominający uraz, zarozumiały, nigdy jednak nie umieszał się p. Włodzimierz do żadnych spraw, któreby na jego dobrą sławę najmniejszy cień rzucić mogły, a stronił także od wszelkich politycznych intryg. Nosił się do najnowszych czasów po polsku, bo przywdziawszy raz strój polski w r. 1861 zanadto był uparty, aby ten strój porzucić i dopiero, gdy się bardzo czuł pod tym względem samotny wśród swoich znajomych arystokratów, i częściej jeździł za granicę, zamienił kontusz i żupan na czamarę, a dalej na frak i długi surdut. – Zresztą o stroju bardzo był zaniedbany, a na kołnierzu od surduta spoczywała cała warstwa rozmaitych naleciałości, która czekała na dobroczynną szczotkę. Za pierwszego jeszcze namiestnictwa hr. Gołuchowskiego przyszedł p. Włodzimierz na bal do namiestnictwa we fraku, z pooberwanemi guzikami. „A gdzież twoje guziki?" spytał go się żartobliwie gospodarz domu. Pan Włodzimierz popatrzył się po sobie, trochę zafrasował i odpowiedział: „A to te te.. Dziewczęta musiały się bawić w guziki i poobrywały..."

Ile mi się zdaje, to na polu zoologii, zbiorów itd. umiała pokierować [illegible] jego małżonka z domu hr. Miączyńska, przyjaciółka z mego bowiem nie była Tata, była bowiem miała nerwów, tak była [illegible]. Pan Włodzimierz więc chodził się rozbijać w takim razie środka myśli i – uciekał z domu. Państwo Włodzimierzowie mieli kilka córek i późniejszą Szembekową, Tadeuszowa Dzieduszycka i Cieńska, syna nie było. Wychowanie panien uchodziło za wzorowe, a cały dom otaczała aureola wielkiego znawstwa literatury i sztuki, zwłaszcza, że u pp. Włodzimierzów bywało zawsze wielu artystów, literatów i w ogóle wybitniejszych ludzi polskiego społeczeństwa. – Na wieczorach u pp. Włodzimierzów spotykał się cały świat arystokratyczny i demokratyczny, a od namiestnika i arcybiskupa roiło się zawsze ~~[illegible]~~ na ulicy Kurkowej. – Często wyjeżdżali państwo Włodzimierzowie w Poturzycach, gdzie także gościnny, otwarty dom prowadzili i urządzali

pokrewna w ogromnej tamtejszych łanach. Jeżeli dom ks. Sapiehów miał bardzo wyraźną polityczną barwę, to u pp. Dzieduszyckich mało się polityką zajmowano, a pan Włodzimierz na równi prawie dobrej stopie żył z Gołuchowskim, jak z księciem Leonem.– Dopiero panu Włodzimierzowi wtedy nie okazałem w jego oczach, dopóki ich nie krytykował, dopóty było wszystko dobrze, biada jednak temu, ktoby był chciał cośkolwiek krytykować lub przeszkadzać w jego pod tym względem czynnościach.– Gdym raz ~~[illegible]~~ napisał feuilleton pod tytułem „Glina" traktujący o kołomyjskiej szkole garncarskiej, w którym w najdelikatniejszy sposób wypowiadałem o ~~[illegible]~~ celach szkoły zdania cokolwiek się różniące z zapatrywaniami hr. Dzieduszyckiego, to tenże przez kilka lat dąsał się na mnie i przedstawiał mnie jako zarozumialca, który śmie krytykować to, co on za dobre uważa.

Ulubieńcem hr. Włodzimierza był za czasów o których mówię Jaś Barzyna, a sympatyę tę tak dalece na Kurkowej ulicy okazywano, że Jaś zawsze z nich wyciągnąć wa[illegible] ne stan zakonnego. Gdy bowiem ~~[illegible]~~ zdał doktorat prawa i wstąpił do urzędu, do Dyrekcyi skarbu we Lwowie, zawsze coraz częściej bywał w domu pp. Włodzimierzów i uważani z myślą, że najstarsza ich córka dla niego przeznaczona. Gdy jednak pp. Włodzimierzowie daleko idące intencje Jasia zmiarkowali, dali mu do poznania, że za niego córki nie wydadzą. Jaś wziął sobie to bardzo do serca, a zawód ten, jakoteż niepowodzenie w urzędzie – Barzyna bardzo bowiem odległym był wolności urzędnika – skłonił go ostatecznie ~~[illegible]~~, że ~~[illegible]~~ wstąpił do duchownego seminaryum. Sądzę dotąd, że gdyby najstarsza panna Dzieduszycka była poszła za Jasia, z pewnością byłaby szczęśliwszą, aniżeli później za Szembekiem, który jej majątek stracił, długów narobił bez liku, zięć ten był męczem i panu Włodzimierzowi i teściowej niejednej bezsennej nocy przysporzył.

Zawadziłem poprzednio o „święcone", skorzystam z tego, aby o tym zwyczaju kilka słów napisać.– Otóż we dworze bywało przynajmniej w trzech lub czterech domach wielkich, głośne święcone, oprócz tak wielu mniejszych także bardzo wystawnych święconych. Gołuchowscy, owszem, nie kładli zbytniego na te zwyczaje nacisku, ale pp. Włodzimierzowie, Sapiehowie, Ożarowscy [illegible], zastawiali ogromne stoły. Dla młodego urzędnika, który miał kilkanaście lub kilkadziesiąt znajomych domów były ~~[illegible]~~ straszne te dwa dni wielkanocne; jeżeli wyszedł zeń zdrowo, bez zepsucia żołądka, mógł o szczęściu mówić. Dziś stoły były zastawione zdrowem mięsiwem, szynkami, kiełbasami, pieczonemi prosiętami, a wśród tych kupiło sterczały baby, czasem na łokieć wysokie, z białemi polukrowanemi głowami. Pomiędzy plackami najrozmaitsze miejsce zajmowały przekładańce i placki serowe, im grubsze, tem lepsze. Jak prości żołnierze pomiędzy generalicyą rozkładały się cienkie mazurki, kruche placki ozdobione rodzynkami i krajanemi migdałami. Oglądając później we Włoszech szczegółowo zwyczaje po mniejszych miasteczkach, w których jeszcze dawne tradycye kulinarne się przechowały, te same prawie gatunki ciast i placków co u nas, widziałem, że ta kultura za doby i u naszej kuchni zapanowała. Korzenie, a osobliwie wanilia, szafran, cynamon [illegible] w tych pieczywach odgrywały rolę i dopiero w nowszych czasach, już za mojej

pan
mnje
niech
jak
mi
ne p
narod
Dectw
tem

myc
i szp
towa
córki.
Nawi
i kon
wun
cierpi
ludzi;
ni
kun
świa
N
naju
moja
tentu
Denn
panc
Dawa
Ojca
ni
stwo
nt
moto
wyp
lato
Sza
ali
„kra
w ża
toże

pamięci, znikać zaczęły. Podczas gdy we Włoszech szafran a jeszcze [dotąd] poważne w kuchni zaj-muje miejsce, u nas już ponoś w pogardzie. Osobliwie mnie w tych kuchennych wspomnie-niach zadziwiło włoskie pomysły ziarn zaczynionych, bo sądziłem, że to dzieło polskie, sarmackie, jak królewska potrawa, tymczasem z pewnem zdziwieniem spotkałem się z niejedną taki-mi ziarnami w prowincjonalnej, dawnej włoskiej kuchni. Nawet o zgrozo, owa „Kutia", gotowa-ne pszeniczne ziarno z miodem i makiem, którą na Rusi przyrządzają w [wigilię] Bożego Narodzenia, zdaje się także włoskiego być pochodzenia. Mam w tej mierze poważne świa-dectwo mojej siostry, która będąc raz w Sorrento, w czasie wielkiej-nocy widziała tam kutię, jako specjalny obrzęd świątecznego stołu, ozdobioną pod innem nazwiskiem [na święcone] [illegible] znajo.

Codziennie od 12ej w południe chodziło się za pączkiem aż do wieczora po znajo-mych domach, a wszędzie proszono, żeby jeśli już nie zjeść cały talerz zimnej kiełba-sy i szynki, przyprawionej z octem, oliwą i twardemi jajami, to przynajmniej, aby skosz-tować takiego a takiego placka [upieczonego] ręką samej pani domu, a co gorsza, takiej jej córki. W takim razie odmówić wymówić się nie było można, chociaż zjedzenie jednego takiego placka było połączone z niebezpieczeństwem życia. A cóż dopiero mówić o pieczeni i kontuzjami wódek i win, po wielkiej części węgierskich. Osobliwą ofiarą narodowej gości-nności wydawała z siebie zapachy jako widomy [illegible]. Pominąwszy jednak to nie-bezpieczeństwo, święcone miało swoje dobre strony towarzyskie, bo spotykało się mnóstwo ludzi, z którymi w ciągu całego roku spotkać się nie miało się sposobności, przeto zawiera-ło się mnóstwo znajomości. Owa wielka noc była par excellence [illegible] dobrego humoru, wesołości, dowcipnych uwag, a niejedno nieporozumienie załatwiło się przy święconem jajku.

W roku 1869–70 miałem już mnóstwo znajomości we Lwowie, wydatki owe wszystkie były największe, zwłaszcza, że na dobre ubieranie się bardzo uważałem, a że pensja najwięcej [illegible], moja z namiestnictwa wynosiła jeszcze 30 fl. miesięcznie, więc trzeba się było starać, aby li-teratura dochód przyniosła. Literatura, to znaczy dziennikarstwo, gdzie za wierszyki, zwłaszcza nie-znanym autorom, nikt by we Lwowie grosza nie był zapłacił. – Poznałem się przedewszystkiem z panem Rudzińskim, redaktorem [urzędowej] Gazety Lwowskiej, a on mnie prosił, aby do Dodatku do Gazety dawać zestawienia statystyczne o szkołach w kraju. Do czego miałem materiały w urzę-dzie. Była to sucha, mizerna praca, ale mała moja kieszeń bardzo zasilała. – Lepiej mi [bardzo] się wkrótce zaczęło powodzić, gdy w Krakowie, przez Mieczysława Pawlikowskiego, Chłapo-wskiego, Ludwika Gumplowicza i Alfreda Szczepańskiego założony [dziennik] codzienny „Kraj" zapro-sił mnie na swego we Lwowie korespondenta, a co więcej, gdy w jesieni roku 1869, ko-mitet Towarzystwa gospodarskiego polecił mi zestawienie materiałów do statystyki rolniczej, wypracowanie map rolniczych Galicji, w którym to celu ministerstwo rolnictwa udzie-liło roczną subwencję. Z tej subwencji dostawałem za moją czynność stałe wynagro-dzenie, miesięcznie po 50 fl. – Więcej miałem w tem zajęciu nadziei, jak pracy, ale bardzo byłem szczęśliwy, że mogłem moje finanse poprawić. – Korespondowanie do „Kraju", otykanie się z wielu starszymi posłami, pilne chodzenie na galerię sejmową, w czasie sejmowych kadencji, wreszcie [osobista] znajomość prawie wszystkich wybitniejszych osobis-tości w Galicji naprowadziła mnie na myśl napisania do „Kraju" sylwetek,

charakterystyk wszystkich znakomitszych posłów. – Z myślą tą zwierzyłem się tylko Janiowi
Gorzyckiemu, który uważał rzecz za bardzo niebezpieczną, bo jeżeli te charakterystyki mają
być dowcipne i powszechne, to się nie obejdzie bez tego, aby ten lub ów poseł nie
uczuł się, i nie narobił sobie nieprzyjaciół. – Niebezpieczeństwo to było większe dla po-
czątkującego urzędnika, który takimi wybrykami fantazyi i humoru mógł sobie zepsuć
całą karyerę. Rozwaga stara przyszła mi na wiele się przydała, lekkomyślność
i żyłka pisarska przeważyły szalę i zacząłem w największej tajemnicy pisać te sylwetki
do Kraju, pod tytułem „Fotografie sejmowe". – Fotografie ukazywały się w feljetonie,
według abecadła, naprzód szedł Ataman (hr. Adam Potocki), Arystokrata (Szwed-
ka) później Dorywczyk (Zyblikiewicz), hr. Gramatyka (Gołejowski) itd. – Co ukazanie
się każdej fotografii siedziałem na galeryi sejmowej i przypatrywałem się z przyjemnością, jak
posłowie z rąk do rąk wydzierali sobie numer „Kraju", jak się śmieją, robią uwagi, odgadu-
ją się kto to jest itd. – Wieczorem siedziałem do czytelni, wszędzie o fotografiach mówio-
no, a ludzie łamali sobie głowy, z kąd ten fotograf ma te wiadomości, zwłaszcza o prywat-
nych stosunkach, i po dłuższej naradzie uznali, że te fotografie musi pisać jakaś zgraja au-
torska. Tak wielkie było powodzenie tych feljetonów, tem więcej do dalszych zachęcałem
ochoty i zuchwalstwa, tak, że się nawet zgotowałem napisać sylwetkę hr. Gołuchowskiego,
który wówczas wprawdzie nie był namiestnikiem, ale który mógł lada chwila na swój urząd
powrócić i napędzić zbyt niebezpiecznego fotografa. – Napisałem więc „hr. Galileusza" (hr.
Gołuchowski), ponosiłem mój do Gorzyc, który mi w żaden sposób nie chciał pozwolić
na posłanie tej elukubracyi, ale nie mógł zechcieć, że nadszedł Dzień [illegible]
[illegible], o której (i powieści) rozum bardzo mniej wiedzieli. – Dowiedzieliśmy się zaraz [illegible], a te-
raz fotografia Gołuchowskiego tak się podobała, że mnie namówił, aby ją wydrukować. Co-
dziennie ją więc i nawet tego bardzo żałowałem. – Fotografie wzbudziły przez dłuższy czas,
może z rok, dosyć wielkie reklamy „Krajowi", tajemnica kto je pisze dość długo się utrzymywała,
ale zdradziła ją pierwsza sama Redakcya „Kraju", zapewne Szczepański, który do u-
trzymania jej tak za zbyt mu nie zbyt był drogą. – Co mnie jednak najbardziej gnie-
wało, to że Szczepański pozwalał sobie o niektórych, zwłaszcza krakowskich fotografiach
rozmaite dodatków, zarazem niesmaczne, które kładziono na rachunek autora fo-
tografii. Zaprotestowałem przeciw temu, bardzo energicznie, zwłaszcza gdy mi zepsuto
„Krakowskiego Horacego" (Lucyan Siemieński) głupiemi uwagami, ale nad tem pisemnie
być, bo publicznie przeciw takiemu redaktorskiemu nadużyciu protestować nie mogłem.
Niektóre z tych fotografii nieźle odtworzono, dobrze ludzi charakteryzowały, i te z nich, które
tylko jeszcze dodawały jako wzmiankę podpisów, umieszczam na końcu niniejszego tomu
moich pamiętników. Innych nie szkoda, albo były, słabsze, albo tyczą się osób, o których
nasza historya zapomniała. – Gdy już wiedziano, że ja piszę te fotografie zaczęto
mnie podejrzewać, że mnie inspiruje książę Adam Sapieha, nie mogłem się jednak
pod tym względem zaprzeć, bo książę dowiedział się o autorze fotografii dopiero wtedy,
kiedy już wszystkie moje zarysy portretu. Fotografie ukazywały się w pewnych odstępach
czasu, zdaje mi się, że dwa razy na tydzień, a kandydaci do fotografowania oczekiwali.

z pewną obawą, a zarazem pragnieniem, aby prędzej znaleźć się w tej galerii galicyjskich znakomitości. Niektórzy nie mogli mi długo tego darować, że ich tam nie umieściłem. Pomiędzy innymi i Sawczyńskiemu było przykro, że się tam nie znalazł, będąc przecież często w jego domu, uważałem za niestosowne, aby go „fotografować". Natomiast niektórzy z fotografowanych osobistości okazywali mi odtąd wielką życzliwość i zadowolenie, nie bardzo się bowiem spodziewali, aby o nich pisano. I tak Mieczysław Rey i Władysław Koziebrodzki, autor kilku komedyi, których podciągnąłem w jednej fotografii „Die Zwei Photografen" wielce byli uszczęśliwieni, a sportsman galicyjski Kazimierz Tu-rzyński, przysłał mi następnie przez całe życie swą kartę z powinszowaniem imienin, tak głęboko mu pozostał ten fakt w pamięci, że służył za model dla literackiego fotografa. — Sam się mocno później dziwiłem, że te sylwetki nie zawiodły mnie w szereg pojedynków; że się tak nie stało, przypisać to jednak muszę dość oględnemu traktowaniu tych ludzi. — Jako pochwałę powiedział mi raz który ze znajomych, że w tych fotografiach za mało było złośliwości, że owszem w tem sztuka, że fotografie zajmowały, pomimo, że w nich było centum laudes.

Wkrótce tych feuilletonów pióro moje zaczęło być dość poszukiwane u wydawców gazet. — Władysław Kraiński był wówczas wicedyrektorem filii Landesbanku we Lwowie, a że miał twego też ciągłe stosunki z Janem Dobrzańskim, Jancio więc zaproponował mi, aby pisać do Gazety Narodowej tygodniowe kroniki lwowskie, które mu były potrzebne, aby przyzwyczaić w części zastąpić kroniki Lama, który się z Janciem poróżnił i przeszedł do „Dziennika polskiego". Tajemnica musiała być najściślej zachowaną i nawet o tem mojem współpracownictwie w Gazecie, nikt chyba wówczas nie wiedział, prócz Kraińskiego i Dobrzańskiego. — Z Janciem nigdy się nie znosiłem, przesyłałem mu tylko feuilleton w kopercie do Landesbanku i więcej się z dnia na dzień nie troszczyłem. Stosunek ten trwał od końca roku 1869 aż do listopada 1871, gdy jednak Jancio zaczął tak dalece zalegać z wypłatami, że nie było sposobu wydobyć z niego należytości, dałem spokój temu pisaniu, które mnie zresztą męczyło, bo we Lwowie dość trudno było znaleźć co tydzień materyał na zajmującą kronikę, zwłaszcza, gdy autor był urzędnikiem namiestnictwa i pracowicie się obawiał, aby ludzi zbytnio nie drażnić.

Gdy się „fotografie" skończyły, „Kraj" cisnął na mnie, aby pisać co innego; wziąłem się do powieści, które były mojemi najbardziej niebudzącemi produktami. — Jakoś w roku 1869 dostawszy urlop, w szkole ka... pojechałem po raz pierwszy do Wiednia, gdzie Domaszewski był na studiach, w szkole ka-dłowej. Domaszewski zaprosił mnie, żeby stanąć u niego, więc przyjechałem w zimie, czy późną jesienią. ~~Domaszewski~~ Urzędował on wtedy jakoś na Währingerstrasse, na trzecim piętrze, ofiarował mi swoją sofę i na niej spałem. Byłem w Wiedniu z dwa tygodnie, opera, teatry zrobiły na mnie nadzwyczajne wrażenie. W Kawiarni Daumana na Kohlmarkcie, w słynnym wówczas lokalu zchodziło się kilku, i tam z Domaszewskim na kawę i wieczór na herbatę chodziłem; jadaliśmy w restauracji Zum rothen Igel, która przez długi czas najbardziej była uczęszczana. Raz zaprowadził mnie Domaszewski do „Sperla", na Leopoldstadzie, gdzie można było spotkać całe wiedeńskie półświatek i słynną Fiaker-Milly.

Fiaker-Milly

Takie zgromadzenie, takie balik, było dla mnie zupełną nowością, ale zachowywałem się na niem zu-
pełnie tylko jako literat turysta, zwłaszcza, że Niemcy nie pozwalała na żadne wybryki.
Gdy jednak jakaś ładna dziewczyna przystąpiła do mnie z wezwaniem „Kauf mir
ein Giardinetto" nie mogłem się oczywiście oprzeć, aby jej nie zrobić tej przyjemności.
Giardinetto był to talerzyk z deserem, z owocami i kawałkiem sera kosztujący kilkadziesiąt centów. Dziewczyna oczywiś-
cie zmiarkowała, że nie ma z bankierem do czynienia, skoro tak skromne postawiła
żądanie. - O wiedeńskiem życiu jeszcze lepsze można wyobrażenie, gdy wracając późno
w nocy z Domaszewskim i jakimś innym znajomym Polakiem spotkaliśmy jakąś nową boginię.
Na jej zachęcające słowa Domaszewski coś obojętnego odpowiedział, a on Dziewczyna
rozgniewana, przy świetle lampy gazowej, na środku Grabenu podniosła swoje ubra-
nie, wyżej jeszcze jak baletniczki, i ze złością odwróciła się do nas częścią ciała, któ-
rej baletniczki zazwyczaj nie pokazują.

Wiedeński ówczesny umieściłem zaraz w jakiejś powieści, [illegible]
której nie posiadający. Nie pamiętam już jej treści, i nie mam jej egzemplarza,
to jednak wiem, że jak na ówczesną polską literaturę powieść ta, pod tytułem „Skrupuły" była
bardzo nieprzyzwoita, i że i mnie brano za złe, że takie rzeczy piszę i „drukuję", że je
drukuję. Jedna z najważniejszych scen tej powieści była podróż bohatera z bohaterką w
[illegible], po przedstawieniu w wiedeńskiej operze, dosyć bardzo realistycznie opisana. - To
problematyczne powodzenie tej powieści nie zniechęciło mnie, aby pisać drugą. Grzybowski
mówił mi, że żona jego z czasów swych dziewczęcych, gdzie jako młoda panna występo-
wała w świecie, zna jakąś prawdziwą historię, któraby się kwalifikowała do powieści. Po-
jechałem więc do pp. Grzybowskich, na wieś, gdzie kilka dni bawiłem, [illegible]
notatki, takiej wystawnej wartości. Pani Grzybowska była bardzo miła i ładna jeszcze
kobieta, a że z nią byłem na bardzo przyjaznej stopie, więc mi miło z tej podró-
ży pozostało wspomnienie. Powieści dałem tytuł „Ella" i drukowałem ją w „Kraju"
w r. 1891. - Jeśli „Skrupuły" miały zalety śmiałości (zarzucanej mi) podobającej się, to „Ella"
wzięła nie się już żadnych zalet nie miała.

W owych czasach poznałem pana Kowalskiego z Odessy, który był ożeniony z Rosjan-
ką, ale katoliczką, panną Gartkatiff; Kowalski mnie zapraszał, aby do nich przychodzić, mówiąc
mi, że u nich bawią teraz trzy siostry jego żony, dwie panny i młoda wdowa pani Jäger, której
mąż, oficer w austriackiej marynarce, przy jakiejś eksplozji wyleciał wraz ze statkiem
w powietrze. - Te panie w Odessie nadzwyczaj mnie zainteresowały, miały one to
kosmopolityczne ułożenie i wdzięk, którego jeszcze nie znałem, i które mi się wydawało
o wiele wyższem aniżeli wychowanie naszych kobiet. Był to urok nowości. Pani Jaeger była bardzo
piękną, najpiękniejszą z sióstr, wysoka, smukła, żywa skatynka, ale do tej mało jakoś
miałem zaufania, natomiast średnia, panna Gartkatiff, Ella, poważna, wielce sympa-
tyczny umysł, nadzwyczaj mnie zainteresowała. Gdym z Odessy wyjechał byłem pod urokiem
tych pań i zdawało mi się, że tak dystyngowanych kobiet nigdzie już nie spotkam. Oj-
ciec panien Gartkatiff był jenerałem w wojsku rosyjskiem, przez jakiś czas, jeśli się
nie mylę, gubernatorem w Lublinie, gdzie miał dobre po sobie pozostawić wspomnienie.
Matka, panna Tonton, pochodziła z rodziny zasłużonej w rosyjskiej dyplomacji

a więc ich do ostatnich miesięcy był wszystkim gościem, przy którymś z mniejszych dwo-
rów. Jakaś koligacja łączyła tę panią z Gomolińskimi. W Gödöllő przyjmowano mnie ~~bardz~~
uprzejmie, panna Ella bardzo mi się podobała i zacząłem mieć małżeńskie intencje. Kil-
ka razy tam jeździłem, a gdy pani Jaegerowa z dwoma młodszemi siostrami wyjechały do Wied-
nia, gdzie stale mieszkały, postanowiłem je tam odwiedzić. Najstarsza z sióstr zamężna była
za kapitanem J., przy niej bawiły Ella i siostra najmłodsza, pani Jaeger mieszkała osob-
no. – Zmobilizowawszy wszystkie fundusze, jakie tylko zmobilizować mogłem, pojechałem do Wied-
nia i stanąłem znowu u Domaszewskiego. W roli konkurenta nie bardzo pewnie byłem
wprawny i cała ta historya trochę mi się wydała krzywa. Co drugi dzień bywałem u St. J. na
obiedzie, w operze byliśmy razem na Lohengrinie, którą to operę za raz pierwszy widziałem.
Państwo J. mieszkali na ~~D...gasse~~ Erggasse, a pomiędzy Alserwerstadt, a miastem szukała jeszcze
~~była~~ istniała Tęka, na której się bawiły parady, o dziwiących gmachach jak uniwersytet, jak
ratusz, teatr miejski jeszcze mowy naturalnie nie było. Owa patryarcha okolica pro-
stemi drewnianemi parkanami przechodziłem na przełaj, wydeptaną ścieżką, a
późnym wieczorem bardzo było mi nieco takiej przechadzki, zwłaszcza, że bowiem ~~tam~~
od czasu do czasu wypadki rabunków. – W ustnych rozmowach z panną Ellą opowiadałem
wielką u niej bigoterię, wszystkiemi się w ascetycznych książkach, a raz mi nawet
się przyznała, że duch jej w częstej się znajduje walce, ~~d~~ pomiędzy życiem świato-
wem, a zakonnem. ~~Utraciłem~~ Sądziłem że w tych zwierzeniach jest trochę przesady, ale nie chcą-
ca przeczyć, aby w chorobliwem swem usposobieniu musiała powziąć matrymonialnych decyzyj.
wróciłem do Lwowa trochę ochłodzony z miłosnych zapałów. Zamieniliśmy jeszcze kilka
listów ze sobą, aż jednego pięknego poranku dostaję długi list, w którym mi panna Ella
donosi o swem niezłomnem postanowieniu wstąpienia do klasztoru i to w – Chambery.
Później przejeżdżając raz przez Chambery spytałem się przy furcie klasztornej czy
siostra E. (nie pamiętam już dzisiaj jej zakonnego imienia) żyje, powiedziano mi że żyje.
Notabene siostry panny Elli dowiedziawszy się, żem wydał powieść pod tą nazwą, że było się
siostry ich tam przedstawiłem, musiałem dopiero przez kogoś ze znajomych przeciw te-
mu protestować, wskazując na treść powieści, z losami panny Elli nic mającej wo-
wspólnego.

Przejąwszy się modnemi wówczas [wyczerpanemi] powieściami p. Gaboriau napisałem jeszcze jedną
nowelkę „Od nitki do kłębka", ale po tym znudzeniu przyszła refleksya i przez długi czas
nie brałem się do powieści.

W zimie roku 1891–2. przyjechała młoda moja siostra do Lwowa, na dłuższy pobyt do
Kuzynki Wróblewskiej, aby się nieco zabawić i trochę w obcem obyć się towarzystwie. Dziewczyna
była ładna, smukła, pełna wrodzonej naturalności, młodzi ludzie nazywali ją Dziewanną,
~~tak~~ bowiem była wysoka i wiotka, jak kwiat tego polnego kwiatu. Urządzano wtedy wszę-
dzie w domu Katarzyny, gdzie się w zimie odbyło przedstawienie amatorskie. Nie pamiętam
już jakiej granno sztuki, w której i ja występowałem, ale podobno z nie wielkim zakresem,
bo na aktora wcale nie miałem powołania. Przedstawienie to jednak bardzo było ~~...~~ głośne:
wnet się skończyło, bo panna Jadwiga Smolkówna, córka Franciszka Smolki, młoda,
bardzo przystojna i sympatyczna blondyna

wśród przedstawienia dostała ataku gorączkowego z pomieszaniem zmysłów. – Później wyzdrowiała, poszła za mąż, ale od czasu do czasu wpadała w melancholię. Choroba umysłowa była w rodzinie Smolków dziedziczna, bo ojciec Smolki, zwykle kilka razy podnosił, a syn jego starszy, brat panny Jadwigi także skończył szaleństwem. – Smolkowie żyli w wielkiej zażyłości z Kabatami; wypadek ten więc w czasie przedstawienia teatralnego tem większą wywołał konsternację. – Do towarzystwa tego należał także Ziemiałkowski, ponieważ Ziemiałkowski mieszkał naówczas u Smolki, u którego również był dawniej adwokackim koncypientem. Z Kabatem żył jednak Ziemiałkowski w przyjaznych stosunkach, zwłaszcza, że Kabat był umysłem bardzo wytrawnym, trzeźwym, a jako poważny adwokat miał wpływ nie mały we Lwowie. Gołuchowski także bardzo ~~poważał~~ cenił Kabata, zasięgał nieraz jego rady, i kazał go wybrać do Rady Państwa, gdzie Kabat, wrobiwszy się w pracach Koła polskiego dość wybitną odgrywał rolę. Z powiedzeniem „kazał go wybrać", bo prawie powiedziawszy za rządów Gołuchowskiego z małymi wyjątkami ci posłowie byli wybierani we wschodniej Galicji. [illegible] Zachodnia Galicja więcej okazywała samowoli. Na Rusi jednak starostowie dostawali polecenia, aby starali się to a to osobistości przeprowadzić, i [illegible] rzadki rozkaz dany z namiestnictwa nie był nie wypełniony. [illegible] tylko [illegible] okręgi wyborcze, w których ani [illegible], ani wpływ [illegible] nic nie pomogły, wybierały swoich Pawlikowskich, ks. Korbasińskich itd.

Z Ziemiałkowskim schodziłem się także kilka razy na obiedzie w restauracji hotelu narodowego. – Kasyno narodowe, klub zamknięty, do którego jeszcze wówczas nie należałem, mieściło się w gmachu teatralnym Skarbkowskim, na pierwszym piętrze, na dole, zaś był jeden pokój restauracyjny, w którym i ci mogli jadać, którzy nie należeli do kasyna. Ponieważ tam była najlepsza w owych czasach restauracja we Lwowie, i dobre ~~tam~~ ~~jadało~~ a nadto zbierało się towarzystwo, więc często tam chodziłem na obiad. Tam się z Ziemiałkowskim bliżej poznałem, tam mi dużo opowiadał o stosunkach w delegacji wiedeńskiej, i [illegible] – zawsze namiętnie – stanowisko wojskowości, stanowisko [illegible] w polityce. – Zadaniem było polskie ~~[illegible]~~ rozumować Ziemiałkowskiego w jednem zdaniu wypowiedzianym w radzie państwa, podczas debaty nad ustawą o reprezentacji państwa. Oto jest słowa: „Mamy dwie alternatywy: albo brać udział w takiej politycznej organizacji, która się nie zgadza z naszem przekonaniem (centralna rada państwa, mająca daleko większy i ważniejszy zakres działania, aniżeli sejmy krajowe) albo wstrzymać się od wszelkiej pracy [illegible] jako mniejszość, aby przynajmniej przeszkodzić, że to będzie w naszej mocy, zejście Austrii tak daleko z drogi, na której jedynie może być ratowaną na przyszłość ~~[illegible]~~ zadania (jak najszersza autonomia poszczególnych krajów prawie federacja), że powrót na drogę prawdziwą byłby albo zupełnie niemożliwy, albo z wielkiemi połączony ofiarami". – Wbrew tej zasadzie wystąpiła dziennikarska [illegible] z Gazetą narodową i Smolką Dobrzańskim na czele, chciała ona zupełnej autonomii dla Galicji, prawie oddzielenia jej od Państwa, ba nawet marzyło im się o narodowej armii. – Były to mrzonki nie do urzeczywistnienia wobec przewagi żywiołu niemieckiego w Austrii, wobec armii na niemiecki sposób zorganizowanej, wobec tego wreszcie, że Galicja nie była jeszcze dojrzała i finansowo nie dość silna, aby mogła

wielki materiału użyły, reorganizować według woli swojej i w ogóle dziś odrębnemi drogami [illegible] całe państwo. – Wszystkich obawa, że wytknięcie delegacyi zwiąże stanowisko, bo Galicya powoli osiągnęła bez żadnych przewrotów wszystko czego jej było potrzeba, i dzisiaj już tylko tacy wojujący Dzieduszyccy myślą, aby na niekorzyść wspólności z państwem, rozszerzać autonomię, wystarczającą zupełnie na nasze potrzeby. – Wówczas jednak bardzo opinii powszechnej przyjęły się wszystko, a biedni reprezentanci praktycznej polityki nie mało mieli do wycierpienia. Rozmawialiśmy o tem dużo z Ziemiałkowskim, a raz powziął on nawet myśl, że dobrzeby było, aby ktoś w osobnej broszurze wyjaśnił potrzebę wytknięcia delegacyi, i aby ją trochę o zakulisowych w radzie państwa dziejach [illegible]. Taka broszura powinnaby być w zupełnej napisana tajemnicy. – Obracając się ciągle w kołach politycznych bawiąc Ziemiałkowskiego, wiedziałem to samo co oni przekonania, zaproponowałem więc Ziemiałkowskiemu, że ja napiszę tę broszurę, jeżeli mi on dostarczy potrzebnych materiałów. Ziemiałkowski zgodził się na to z przyjemnością, i obiecał mi te materyały przysłać z Krynicy, czy Szczawnicy, gdzie pp. Ziemiałkowscy na lato wyjeżdżali (1869) do Różnego, dokąd miałem pojechać do rodziców na wakacye. – Rzeczywiście w lecie, w [illegible] kilku miesięcy później otrzymałem od pana Floryana dużą przesyłkę, która właściwie już była ową gotową się mającą broszurą. Ponieważ jednak p. Floryan miał styl trochę chropowaty, a zresztą gdzieniegdzie wspominał rzeczy, któreby mi chciał być [illegible] mojej [illegible]. Swobodnie więc całą rzecz przepisałem, dodając ją trochę po literacku, napisałem do niej wstęp i zatytułowałem: „Listy o delegacyi galicyjskiej Tadeusza Czaplica z Krakowa, do Feliksa Złotnickiego w Kormańskiem". Wróciwszy do Lwowa, poszedłem do Ziemiałkowskiego, który mieszkał wówczas na placu strzeleckim, pod „wysokim zamkiem", i tam przeczytaliśmy ową broszurę. Ziemiałkowski tu i owdzie [illegible] wziąć dodatku, a ja się podjąłem w tajemnicy broszurę ogłosić. – Aby się nam nie wydało, posłałem ją do mego szwagra pani Cz., w Krakowie, ponieważ tenże ani z polityką, ani z literaturą nie miał nic do czynienia, a na jego dyskrecyę mogłem najzupełniej liczyć. – Rzecz wkrótce została wydrukowana, ale żeś księgarze nie potrzebowali [illegible] wskutek właściciela, celem zwrócenia na nią należytej uwagi, wydrukowałem na okładce [illegible], że dochód się przeznacza na fundusz Syrokomli. – Zawołałem więc mieszkającego u mnie posługacza, kazałem mu zanieść część egzemplarzy do księgarni, część do Sejmu, (bo wtedy sejm był zebrany), celem rozdania jej pomiędzy posłów, (a część rozesłałem wybitniejszym osobistościom. – Rumor się zrobił wielki, Szyblikiewicz i cała partya krakowska bardzo się oburzyła, potem zaczęto mówić, że autorem tej broszury nie może być nikt inny, tylko Ziemiałkowski. – Na jednem zgromadzeniu publicznem w ratuszu Ziemiałkowski na postawioną w tej mierze interpelacyę odpowiedział stanowczo, że on nie jest autorem broszury. Tu i owdzie zaczęto mnie podejrzewać, ale Szwajcarski miał orzec, że to nie może być, bo Chłędowski ma dużo lepszy styl, gładszy, aniżeli w broszurze, i że to nikt nie jest autorem, tylko Ziemiałkowski. – Szwajcarski zresztą miał słuszność, bo prócz wstępu i trochę frazesów faktycznie nic więcej w broszurze było mojego.

Na listy Czapki odpowiedział nieboszczyk Zyblikiewicz w osobnej broszurze, sposób ten jednak innego raczej taktyczne znaczenie w walce z niemieckim żywiołem w Radzie państwa, a mniej znaczenie zasadnicze, gdyż później stronnictwo krakowskie najzupełniej tym samym poszło torem, który zalecał Ziemiałkowski. Owszem stronnictwo krakowskie przypisywało sobie nawet wynalezienie praktycznej polityki, co się z prawdą nie zgadzało.

Dla mnie osobiście miało wydanie broszury dość nieprzyjemności, gdy bowiem później ludzie doszli, w jaki sposób to pismo powstało, mieli do mnie urazę, trochę Zyblikiewicz, a najwięcej Grocholski, który mi listów Czapki długo nie mógł darować. Broszura nadto stanowiła bardzo nieprzyjemny, na ówczesne moje finansowe stosunki wydatek, musiałem bowiem za nią zapłacić 80 zł.. –

Obok realnej polityki, większości rozsądnych ludzi w Galicji, kołatał się jeszcze w czasach, o których mówię, duch emigracyjno-powstańczy we Lwowie, który się na to przykrości sprawiał rządzącym kołom. Ruch ten prowadził Agaton Giller, znany rewolucjonista i historyk powstania z roku 1863, i drugi zawodowy Żuliński, gorący teoretyk, zapalony, charakter zresztą nieposzlakowany. Koło tych panów grupowała się rozmaita osobistość, która wyemigrowawszy do Galicji, zamiast spokojnie siedzieć i korzystać z chleba, który im dano i z wszelkich możliwych wolności, chciała koniecznie Galicję poprawić, reformować według swych marzeń, a o kraju i jego stosunkach żadnego nie miała wyobrażenia. W łamach wydawnictw krajowych, gdzie ks. Leon Sapieha dawał tym samym posady, była materia tych agitatorów. Gołuchowski powoli poposzczał się szkodliwszych z nich a tych tam z Galicji, Agaton Giller musiał wyjechać, a Żuliński, nie chcąc pójść tą samą drogą, wziął się do pracy i jeden z nich został nawet bardzo pożytecznym nauczycielem w seminaryum nauczycielskim we Lwowie.. Niektórzy z tych emigrantów zastosowali się do realnych potrzeb Galicji, pozostali osiedli tam na zawsze, jak np. Antoni Chamiec, który przyniósł w wysokim stopniu zasługi do Lwowa, a dziś jest zasłużonym marszałkiem w Wydziale krajowym, radcą zarządzającym w wielu finansowych instytucyach i we wszelkich dziedzinach życia.

Skoro już mówiłem o rozmaitych moich pisarskich grzechach, muszę także wspomnieć, że w owych czasach napisałem jakąś komedię, której tytułu zapomniałem. Bolesław Ładnowski z piękną swoją żoną Rendówną, siostrzenicą Modrzejewskiej, zaangażowani zostali na scenę lwowską, i przez nich zbliżyłem się do sfer aktorskich. Zaangażowany Ładnowski chciał trochę podnieść poziom teatralny lwowski i zawsze wyrażał się z zapałem, na które w gronie skarbkowskim, w dość wysokich artystyczno-literackich kołach chodziłem. Ładnowski był utalentowanym artystą, chociaż jako aktora nie lubiłem, bo grał z wielkim patosem, zamiast tragicznie krzyczeć już w pierwszym akcie, owszem, gdzie jeszcze krzyczeć nie było potrzeba, i żadnej w sobie nie miał naturalności. Mierny talent, ale ułożony bardzo obowiązkowy, im bardziej pracował, tem bardziej wpadał w rutynę. Wtedy jednak jeszcze patos w teatrze bardzo wielu znajdował zwolenników, gra ta która była popularna, ja tylko osobiście nie mogłem nigdy znosić nienaturalności; i ku zgorszeniu moich znajomych strasznie

się męczyłem i nudziłem, na tych wystudjowanych deklamacyach aktorów. – Na scenie we-
wnątrz u Ładnowskiej, który był reżyserem teatralnym, grywała często i pani Ładnow-
ska, piękna bo piękna, ale niemądra, to niemądra, wystrojona wyjęta z pudełka
na karmelki, ozdobiona więcej jak mierna aktorka. – W pamięci mi jednak została
z tych artystek, panna Urbanowiczówna, utalentowana, sympatyczna, skromna, zdolna, chociaż bez-
względnie średniej tylko miary artystka. Podobała mi się ona, i od czasu do czasu u niej bywałem.
Mieszkała jak student, w małym pokoju, w którym prócz łóżka, stołu, umywalni
i dwóch stołków podobno żadnych mebli nie było. A była to przecież według nas
pierwsza artystka w rolach naiwnych, niż Holzenfels widziałka. Gdy raz przy-
szedłem do niej, gdy była sama i w łóżku leżała, dwa stołki zajęte już były przez
kolegów jej artystów, mnie prosiła, żebym usiadł na łóżku. Trochę się zawstydziłem
i usiadłem zaledwie na krawędzi, Urbanowiczówna się uśmiechnęła, a mnie to zbiło
z kontenansu. – Drugą ulubienicą lwowskiej publiczności była pani Nowa-
kowska, najpierwszniejsza, najpoczciwsza była baba, jaką sobie wyobrazić można. Siedziałem
przy niej raz na jakimś artystycznym obiedzie, a tak mnie swą poczciwą nieustępliwością, że
ledwie nie ponieciłem mego kielicha. Mówiła ciągle coś podsuwając i opowiadając, stroi-
ła mniej niemniej, zadała się na jakiejś wyimaginowanej dystynkcji, a widelec
trzymała w dwóch palcach, jak Chińczyk swoje pałeczki. – Taka sama była na
scenie, można sobie więc wyobrazić, jak smak publiczności był zepsuty, skoro takie
cudo mogło być popularnem. –

Z roku 1870. jeszcze mi zostało dość przyjemne wspomnienie z podróży na otwar-
cie kolei żelaznej, z Czerniowiec do Jass. Byłem jako gość zaproszony, i jechaliśmy
w wesołem i licznem towarzystwie. Było to 20. maja. Jassy widzę jeszcze przed sobą,
jakby wieś ogromną, z kwitnącemi sadami, i lasami okalającemi te ulicy. Za-
kwaterowano mnie wraz z dwoma innymi znajomymi, do jakiejś gospody, gdzie-
śmy musieli spać na twardych, brudnych sofach. Że to kolej świetny dała obiad, u-
rządzony w wielkiej sali muzyką i Offenbachem, który zostawszy z tego powodu zasła-
wionym wybrał sobie przydomek „Cantacuzin" albo „Czarnomorski", wystąpił świetną
przemową. Powrót do domu był trudniejszy, aniżeli jazda do Jass, albowiem dez-
ne padły, że wyspane woły kolejowe rozmiękły i chcąc nie chcąc musieliś-
my czekać kilka dni w Jassach, aby pociąg, który nas przywiózł, mógł do Czer-
niowiec powrócić; nie rozbiwszy się po drodze.

W jesieni tego roku zakończyła się wojna niemiecko-francuska – Sedanem. Za-
raz około trzeciej po południu przechodziłem Szeroką ulicą, w dzień jesienny, zim-
ny i ponury. Ktoś ze znajomych podszedł do mnie z nowiną, że Francya ubita,
Napoleon wzięty do niewoli. Serce mi się ścisnęło i wróciłem także wzruszony, jakby
nas spotkała wielka, nie tylko powszechna cywilizacyjna, ale narodowa klęska. Zapa-
trzono się we Francyę jeszcze tak u nas wszystkich głęboko kiedyś, jeszcze do tego stopnia uwa-
żaliśmy ją jako najczulszy czynnik wielkiej kultury w Europie, że formalnie
Sedan zdawał nam się początkiem powrotu do barbarzyńskiej reakcyi.

Do tego uczucia przyczyniała się u nas oczywiście znienawidzona potęga Bismarcka, i tego Prusactwa, bezwzględnego, gnębiącego nasz naród, właśnie w obecnej chwili. Całych lat trzeba było, nim dalsze francuskie zachowywanie się Francuzów wobec Rosji, ale francuskie [illegible] u nas oceniano. Wzrost angielskiej potęgi i jej cywilizacyjnego wpływu nie mało się także przyczynił do spokojniejszego znoszenia poniżenia Francji, albowiem w angielskiej cywilizacji widzieliśmy znowu pewną przeciwwagę wobec pruskiego militaryzmu.

Moja generacja czytała po wielkiej części około roku 1870 Buckla historyę angielskiej cywilizacji; wspominam o tem, bo ta książka na wielu z nas, rówieśników, a w szczególności na mnie zrobiła wielkie wrażenie. Przeprowadzona tam teza, że religia katolicka wstrzymuje materyalny i moralny postęp ~~bardzo~~ narodów, i że kraje protestanckie wyżej stoją, pod względem kultury, zarazem powszechnemi faktami była stwierdzona, ale mogła przeszczepić się w umyśle, bez głębszego nad nią zastanawiania się. — W licznych moich późniejszych podróżach niejednokrotnie widziałem potwierdzenie tej tezy i szukałem powodu dla którego lud katolicki nie może wytrzymać cywilizacyjnej konkurencji z narodami protestanckiemi. — W zbytecznem opieraniu się na Opatrzności, w zasadzie, że człowiek właściwie nic nie powinien robić dla doczesnego szczęścia, ale wszystko dla wiecznego pozagrobowego, zasadzie, która została przez kler katolicki zawsze i wszędzie na własny pożytek była wyzyskiwana, widzę się ~~[illegible]~~ istnieć źródło tej szkodliwej apatyi na niwie doczesnej. Za mojej już pamięci klęska narodowa Francuzów, kolonialne bankructwo Hiszpanii w roku 1898, na korzyść narodów protestanckich, a natomiast olbrzymi wzrost Anglii i Niemiec, bijące w oczy są pod tym względem faktami. — Niedawne dzieje illustrują nam w tej mierze pouczająco wiernie przez Buckla zasady, straszną gospodarkę Burbonów w Neapolu, zakończeniami i niedołęstwem nader pospolitego w Hiszpanii.

VIII

Głównem zadaniem namiestnika hr. Gołuchowskiego i idącego z nim ręka w rękę stronnictwa politycznego było ulepszenie szkolnictwa krajowego, reforma właściwie szkół ludowych, zorganizowanie dawnych i zakładanie nowych szkół, których stosunkowo było tak mało, że zaledwie miasteczka i wielkie wsie miewały swoje szkoły, w mniejszych gminach szkół nie istniały. — Reformy tej miała się podjąć Rada szkolna krajowa, ciało administracyjne oparte o namiestnictwo, którego statut powstał pod wpływem Gołuchowskiego. Cesarz statut ten zatwierdził w roku 1867, a Rada szkolna rozpoczęła swe czynności dnia 24. stycznia 1868. — Pierwszymi jej członkami oprócz referenta rządowego, radcy namiestnictwa Śniegockiego byli, jako zastępcy kleru ~~ks.~~ ks. kol. kanonik Łukaszewski, późniejszy biskup przemyski, ks. kol. ks. dyrektor gimnazyalny Szymon Sławicki, członkowie wydziału krajowego Oktaw Pietruski i reprezentanci stanu nauczycielskiego: ks. Julian Starkel, ks. Kazimierz Janota, Zygmunt Sawczyński i tłumacz Schmitt (Nadto należało do Rady kilku dyrektorów szkolnych, z których najwybitniejszą postacią był Euzebiusz Czerkawski, literat i historyk.) — Do prowadzenia protokołu ~~Rady~~ i na tak zwanego sekretarza Rady, Gołuchowski mnie przeznaczył, co w każdym razie dla początkującego urzędnika wielkiem było zaszczytem. Byłem obecnym przy wszystkich posiedzeniach, robiłem notatki, spisywałem ~~następnie~~ protokół i odczytywałem na początku następnego posiedzenia. ~~[illegible]~~ Namiestnik — Najwięcej bywał protokół przyjęty bez uwag, starałem się bowiem jak najdokładniej streścić badane [illegible] zadania

niektórych ~~urzędników~~ urzędników oraz. Gołuchowski mnie lubił i przy każdej sposobności odzna-
czał. ~~[illegible]~~. – Idąc raz w lecie do biura, kupiłem sobie bardzo piękną dużą różę,
i wsunąłem do butonierki letniego żakietu, a ponieważ zaraz miałem wyjść na posiedzenie
rady, zatrzymałem różę, bo mi jej żal było odrzucić. Czytam więc na porządku posiedze-
nia mój protokół, stojąc obok siedzącego Gołuchowskiego i uważam, że namiestnik z uś-
miechem się mojej róży przygląda, trochę mnie to zaczyna niepokoić, ale skończywszy
jeszcze protokołów uchwał z obecnych nie miał nic do zarzucenia, a namiestnik zauwa-
żył tylko uśmiechając się, gdy skończyłem protokół – „A – jaką ładną masz różę...“. Samemu
młodemu urzędnikowi byłby był ostro wyciął perorę.

Posiedzenia trwały po 3–4 godzin, a potem często zabierał Henryk Schmitt, strasznie
nieprzyjemna ~~[illegible]~~ osobistość. Nadęty pychą, zarozumiały na swe literackie dzieła, uważał się za
[illegible], figura płaszcząca się wobec namiestnika, a pomiatająca tymi, którzy w swej
pozycji za niższych od siebie uważała. Schmitt był istną plagą [illegible], z zasady zaimpo-
nował Namiestnikowi swą niezmierną pilnością, a pochlebstwem wkradał się w jego łaskę.
W najmniejszej drobnostce opisywał Schmitt foliały papieru, a mimo to chętnie deklamował
przeciw biurokracji, z wytrwałością godną lepszej sprawy opisywał w swe sprawozdania
o stosach najbardziej drobiazgowe i nic nie znaczące uwagi [illegible]
i godzinami odczytywał takowe na naszych posiedzeniach ~~[illegible]~~, bez najmniejszego pożyt-
ku, podczas gdy prawdziwie ważne sprawy zalegały od posiedzenia do posiedzenia, od miesiąca do miesiąca. Namiestnik był z razu bardzo pobłażliwym dla tych odczytów,
ale po niejakim czasie było mu tego za wiele, a na wniosek któregoś z radców zarzą-
dzono, aby Schmitt odczytywał swe elaboraty na zespołach komitetowych, referujących, gdzie
nie było Gołuchowskiego i gdzie już przynajmniej nie cała rada traciła czas na
słuchaniu nudnych tych wypracowań. – [illegible] razy z [illegible] [illegible] [illegible]
[illegible] wyglądał jak Schmitt, podobny do starej kokoty, stroił słodkie miny do na-
miestnika. Podczas gdy inni ~~[illegible]~~ panowie wnosili sprawy przed radę, bez żadnych wstępów,
Schmitt nie mógł się powstrzymać, aby przed każdym swym wnioskiem nie zwrócić się do
Namiestnika, jak do ołtarza i nie powiedzieć: „Jeżeli wasza Ekscelencja pozwo-
li. – Jeżeli wasza Ekscelencja raczy mnie wysłuchać...“ lub wiele innego podobnego
frazesu. – Nieraz już to zauważyłem wszędzie, że nie ma większych [illegible] jak lu-
dzie skromnego wykształcenia, którzy z wysiłkiem [illegible] okoliczności weszli do urzę-
du i wszystko łatwo do rąk dostali. Największymi z nich pastwią formaliści i biurokraci,
a ci sami ~~ludzie~~ trybunowie ludu, którzy owszem szerokie artykuły umieszczali w dziennikach przeciw
biurokracji i formalizmowi, stają się takimi pedantami, że tej pedanterii bywa
za wiele urzędnikom podwładnym wśród form i paragrafów. – Schmitt był wzorem
takiego [illegible] demokraty. Zostawszy radcą [illegible] miał tak wysokie o sobie wyobrażenie,
że wchodząc do biur urzędnych nigdy się nie ukłonił, a tym co byli tacy niemądrzy
że na ulicy próbowali przed nim zdjąć kapelusz, raczył zaledwie odpowiedzieć skinieniem
głowy. Doszło też to tego, że wszyscy się w biurach zaprzestali z nim nie witali, i
wszyscy [illegible] do niego odwracali plecami.

[illegible]
[illegible]
do [illegible]
do [illegible]
[illegible]
mi [illegible]
[illegible]
[illegible]
da, [illegible]
on [illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
1894. [illegible]
[illegible]
jako [illegible]
[illegible]
ale [illegible]

[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
i [illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
ca [illegible]
[illegible]
do [illegible]
[illegible]
ale [illegible]
[illegible]
[illegible]

Równym prawie jak Schmidt gadułą i demokratą był Euzebiusz Czerkawski, ale jemu to ~~[illegible]~~ łatwiej można było przebaczyć, bo od młodości służył w urzędzie i przyzwyczaił się do chińszczyzny. Był to człowiek bardzo zdolny, ale mózg jego chociaż dużo [illegible] potrzebujący do uporządkowania jak największej liczby. Zresztą również jak Schmidt chciał się przed Gołuchowskim popisywać swoją sumiennością i dokładnością inspektorskich sprawozdań, nie przypuszczając nawet, że i sam Gołuchowski nieraz może był zniecierpliwiony jego wywodami. – Jasne, rozumne głowy, to był Starkel i Małecki, który później został powołany do Rady szkolnej. Starkel był bardzo pojętnym ~~[illegible]~~, i wielka szkoda, że ten człowiek tak zdolny, zmarnował się później wskutek domowej biedy. Ożenił on się z ubogą panną Wasilewską, miał dużo dzieci, a wieczne pieniężne kłopoty zmuszały go przyjmować rozmaite zajęcia, do których albo nie miał ochoty, albo kwalifikacji, a nawet zanadto wyzyskiwać swoje stanowisko. Przez jakiś czas był dyrektorem zakładu skarbkowskiego w Drohobyczu, a stamtąd musiał się usunąć, administrację bowiem źle i zanadto kontorowo prowadził; w czasie wystawy krajowej w r. 1894 pracował nad jej urządzeniem pod kierunkiem Marchwickiego, szedł z jednego zajęcia do drugiego i zużył się tak, że odtąd wiele nikt w Galicji o Starklu jako o wybitniejszej osobistości nie wspomina. – Głównem jednak jego zajęciem było zawsze dziennikarstwo, w którym zawodzie był współpracownikiem „Gazety narodowej", ale nie trzymając się stale tego zajęcia i w tym mimo do niczego nie doszedł.

Małecki w radzie szkolnej mówił nie dużo, ale ważnie, logicznie i interweniował tylko w rozprawach, gdy Schmidt i Czerkawski nazbyt tak zagmatwali, że z niej wyjść nie było można. – Miał on zawsze w pogotowiu zimnej wody, aby oblewać ostudzającą rozgorączkowanych niepraktycznemi ideami. Szczerą w celu popisywania się znajomością historycznego rozwoju ~~[illegible]~~ historji polskiego szkolnictwa, wyższą w celu ~~[illegible]~~ przysporzenia sobie popularności ~~[illegible] [illegible] roli [illegible]~~, mogły były równie pomiędzy przewodnikami szkół galicyjskich powoływani się na edukacyjne reformy Czackiego, Kołłątaja, na świetne czasy Komisji Edukacyjnej. Podnoszono owe reformy aby wysoko, ale też, że były narodowe, chętnie publicznie na ogólnikowe historyczne [illegible] i zaznaczano się ciągle, że Rada szkolna ma wejść w świetne tradycje czasów Komisji Edukacyjnej. – Pomiędzy Komisją Edukacyjną, a Radą szkolną krajową, była cała epoka przedziału, a ostatnia ta instytucja powstała wśród zupełnie zmienionych politycznych i cywilizacyjnych stosunków i w ogóle ~~[illegible]~~ odrębnych od Komisji Edukacyjnej prawie wcale nie mogła kontynuować. – Gdy więc Schmidt lub Czerkawski mówili o Komisji na ustach, Małecki bardzo poważnie a logicznie sprowadzał ich do rzeczywistości. – Mówiąc o członkach rady, nie mogę pominąć pana Oktawiana Pietruskiego, członka wydziału krajowego, tęgiej bardzo głowy. [illegible] umysłu, ale człowieka, który w wysokim stopniu reprezentował w wydziale krajowym nepotyzm i protekcję. – O księdzu kanoniku Kolackim nie wiele mam do powiedzenia, ciało jego wydawało się w sobie zdrowy, doprowadzające mnie czasem do rozpaczy.

zosta
i za
[illegible]
ej [illegible]
jako
zejm
Zale
pisa
mie
Ktin
nim
był
prz
jąc
orga
[illegible]
tea
dal
zejm
sad
z sil
się
gdy
zejm
na [illegible]
ste
tym
obra
mo
lu
wi
naj
te, z
pil
ki
nie
co n
[illegible]
wsp
Opr

został później biskupem przemyskim, porozdzielawszy rodzinie majątki ~~biskupie~~, i zasłynął z brudnego skąpstwa i pijaństwa.

Dwudziestego drugiego sierpnia 1868. zebrał się sejm galicyjski, po raz w historyi galicyjskiej autonomii, i ważny tem, że przy końcu tegoż obrad Gołuchowski, jako namiestnik podał się do dymisyi. Komisarzem rządowym na ten zjazd sejmowy był radca namiestnictwa Oswald Bartmański, jego zastępca starosta Filip Zaleski, a do pomocy panu Bartmańskiemu mnie dodał namiestnik. Co tydzień pisało ~~ze~~ namiestnictwo sprawozdania do ministerstwa spraw wewnętrznych z czynności sejmu, przesyłało uchwały i ustawy do Wiednia. Wszystkie więc tych sprawozdań, które bardzo ogólnie były redagowane, musiałem pisać, jakoteż tłómaczyć na język niemiecki ustawy, co było żmudną i dość trudną pracą, zważywszy, że dziwnie trzeba było szukać odpowiednich wyrazów w niemieckim języku do ustaw o szpitalach, lub propinacyi, jakto o zarazie bydła. - Miałem więc dużo pracy, dużo chwil denerwujących, ale będąc codziennie w izbie, przy komisarzu rządowym, poznałem całą organizacyę prac sejmowych i wszystkie szczytniejsze w kraju osobistości.

Sejm odbywał się jeszcze wtedy - zanim gmach osobny dlań zbudowano - w sali redutowej teatru Skarbka, co do różnych mniej lub więcej dowcipnych (dawało temat) uwag. Sala była za wielka, poboczne pokoje urządzone na biura, niewygodne, galerya sejmowa bardzo szczupła. Słychać jednak mogło być dobrze, bo architekci nie sądzili się jeszcze za czasów Skarbkowskich na akustykę, i jakoś akustyka sama z siebie się znalazła. Na estradzie siedział marszałek, ks. Leon Sapieha w czamarze, z wielką laską hebanową, którą uderzał o podium, gdy ~~sejm~~ obrady się rozpoczynały, albo gdy chciał uciszyć ~~[illegible]~~ zbyt głośno rozmawiających posłów. Obok marszałka zajmowali miejsca ~~siedzieli~~ sekretarze sejmowi, poniżej stenografi. - Ławki były dość niewygodne, drewniane, nie wyścielane, a w pierwszym ~~rzędzie~~ rząd był przeznaczony dla ~~[illegible]~~ biskupów, rektorów uniwersytetu i innych wirylistów. ~~[illegible]~~ Biskupi jednak rzadko się bywali i tylko w ważnych chwilach się pokazywali. - Najmędrszym uczestnikiem w sejmowych obradach był ks. arcybiskup Wierzchlejski, bardzo stary, otyły, małego wzrostu, zajęty mniej swoją dyecezyą i krajowemi sprawami, aniżeli tem, jakby wspierać ~~[illegible]~~ swą liczną rodzinę. Olbrzymie dobra biskupie przynoszące przy złej administracyi jeszcze 100.000 guldenów, dzierżawili sami Wierzchlejscy, Trachowie i inni krewni arcypasterza. Ks. Wierzchlejski najmniej zaniedbał swoją dyecezyę, a jedyna pochwała, jaką o nim słyszałem, była ta, że wybornie się znał na kuchni i piwnicy i za młodu pięknie śpiewał przy sumie, pięknie celebrował. - Był on dawniej biskupem przemyskim, i z dzisiejszych lat zabawnie przypominam, że raz w większej kościelnej zawitał do Wiednia. W tak zwanej sali, zastawionej mnóstwem stołów, których było tak dużo że ciasno się zrobiło i wina się lało co nie miara. -

Greckokatolicki metropolita, ks. Spirydon Litwinowicz, zastępca marszałka krajowego, więcej już bywał na posiedzeniach i dość, nawet za dużo zajmował się polityką. Był on jednym z twórców tak zwanego świętojurskiego stronnictwa, dążącego

swą nazwę od katedry św. Jerzego, św. Jura, gdzie była matnia tego stronnictwa. Które[?] Rusini [illegible] chcieli się oprzeć o Rosyę, zidentyfikować Rusinów galicyjskich z Rosyanami i w ten sposób mieć po za Austryą silną ojczyznę. Środkiem do tego celu miała przedewszystkiem służyć zmiana języka i pisowni, przekształcenie ich matczynego języka na język wielkoruski, a nawet powoli unicestwienie religii tak [illegible], w danym razie zmiana jej na szyzmatycką była naturalnym tokiem i w ludzie się napotkała na opozycyę. Rzecz w tej mierze jest oryginalna, że na czele tego ruchu stali właśnie członkowie kapituły św. Jura. Stronnictwo to mając jasno cel wytknięty, nie spodziewając się od Austryi, a razem nie chcąc się spodziewać od przyszłej konstytucyi warunków dla rozwoju swej narodowości, a nadto nienawidząc Polaków, stanowiło wprost niebezpieczny żywioł dla Galicyi i dla Państwa i nie mało Gołuchowskiemu dawało do czynienia. W Wiedniu, w rządzie centralnym, a nawet u dworu umieli świętojurcy tak się przedstawić, jakoby byli najlepszymi austryackimi patryotami, a w ucisku się odstępowali od kościoła katolickiego, a całe ich dążenie tylko przeciw uciskającym ich Polakom było zwrócone. Nadto znaleźli świętojurcy zawsze oparcie u centralistycznie usposobionych stronnictwach niemieckich, które trzymając się dawnej austryackiej zasady: Divide et impera, wspierały Rusinów, aby ubezwładniać Polaków i przytłumiać ich autonomistyczne zachcianki. — Dyplomacya rosyjska doprowadziła świętojurców do tego, że dobrze byli widziani w Wiedniu i w Petersburgu, w Wiedniu z nienawiści do Polaków zamykano oczy na ich antipaństwowe tendencye, w Petersburgu stali się oni bardzo dobrem narzędziem, aby w duchu [illegible] państwowej religii działać na umysły na Podlasiu. Powoli bowiem rekrutowano galicyjskich księży [illegible] aby ich wysyłać na Podlasie, i tam z ich pomocą działać na ludność podlaską, która tej przyjść nie chciała. Księża ci, rzecz jasna, nie byli wcale szczerymi dyplomatami, [illegible] swoją bezwzględnością i złym obchodzeniem się z wprowadzaniem prawosławnej liturgii, tak że z czasem byli dla rządu rosyjskiego tylko zawadą.

Gołuchowski starał się o ile możności otworzyć oczy centralnym władzom w Wiedniu na antiaustryackie dążenia świętojurców, ale to wielkim było oporem, Polakom wyłącznie nie wierzono. Dopiero Ziemiałkowski kazał zebrać wyjątki z pism ruskich galicyjskich, a w szczególności z Lwowskiego „Słowa", organu świętojurców, z których każdy stanowił prawie zdradę stanu. Artykuły te autografowano w dwóch zeszytach wraz z niemieckim tłumaczeniem, i przedłożono cesarzowi i rozdano pomiędzy ważniejsze w rządzie osobistości. Dowody tak były jasne, że cesarz bardzo się zastanowił nad postępowaniem stronnictwa świętojurskiego, a i wielu Niemców dobrej woli, nieuprzedzonych do Polaków, zachwiało się w swych dla Rusinów afektach.

Stronnictwo świętojurskie w sejmie miało kilku zdolnych i poważnych osobistości, jak kanonik Teofil Pawlików, Ks. Antoni Petruszewicz, Radca sądu krajowego Józef Kowalski, katecheta gimnazyalny Ks. Jan Gazalewicz, Ks. Gabryel Krzyżanowski, piszący się Krzyżanowskyj, a pewnego zamaszystego talentu nie można było także odmówić włościaninowi Mikołajowi Korbinkowi. Według regulaminu sejmowego wolno było przemawiać w sejmie po rusku, a wszyscy ci wspomnieni posłowie, oprócz mniej uczonego Korbinki

mogą we otrzasali, o ile umieli, rosyjskiemi wyrazami i rosyjskiemi zwrota-
mi, i przemawiali zwłaszcza w rzeczach urzędowych nadzwyczaj namiętnie i grzmiąco.
Były to po większej części bardzo charakterystyczne postacie. Książę Gawlikow, wysoki
silny mężczyzna, o krzyczącym, krzyczącym się słowie, donośnym organie mowy, srodze napo-
ostro, otwarcie, ale że najmniej umiał mówić ze wszystkich swoich kolegów późno w cha-
rakterze, więc polscy posłowie najłatwiej jeszcze z nim zdołali się rozmówić. — Księdza
Cietwerczyńskiego, szczupłego, pochylonego starca, zbliżała trochę do Polaków umiejętność,
był bowiem znanym archeologiem, badał różne polskie jako ruskie zabytki, ale w rze-
czach polityki był twardy i podstępny. Do najzawziętszych rusofilów należał ks. Lawrowski
Gudzalewicz, a widząc, że w Galicji nie zrobi takiej kariery, jaką sobie wymarzył, przeniósł
się do Rosji i tam nawracał unitów. Stosunki tamtejsze nie dogadzały mu widocznie. Rosja
nie wynagradzała w ten sposób jego zasług, jak się spodziewał, więc wrócił do Galicji po kil-
ku latach i miał dosyć arogancji, aby wymagać, aby go znów wprowadzono w te same
godności, które zajmował przed wyemigrowaniem. (Naturalnie, że tego nie osiągnął!) — Umarł też w Galicji zapomniany i
w złych materyalnych stosunkach. — Najjaskrawszym z tej falangi rusofilów księ-
ży był Krzyżanowski, postać brzydka, wysoki mężczyzna o zielonej bladej twarzy, z którym się
ogólnie nawet mówić nie było można. Zawzięty na wszystko co polskie, byłby nie był umiał
na Polaków, gdyby siły z wolą, w równej szły parze. — Najwytrwalszym z ruskiego stronni-
ctwa był Kowalski, który już z tego powodu musiał się trochę hamować, że był radcą sądo-
wym. Pan Kowalski był jakimś funkcjonaryuszem także w Narodnim Domu, domu wysta-
wionym na ruskie zgromadzenia, koncerta itd., i miał tam wolne mieszkanie. Raz po-
szedłem do niego w jakimś interesie od Namiestnika, zastałem pana Kowalskiego w dłu-
gim szlafroku z jedwabnej, błyszczącej rosyjskiej materyi, a ikony wisiały po rogach
pokoju rosyjskim zwyczajem. — Kowalski został później radcą w najwyższym trybunale
w Wiedniu. Dziś już starzec, mieszka w Wiedniu i mało się miesza do polityki. —
Wielce charakterystyczną postacią był włościański poseł Kowbasiuk, z Kołomyjskiego. Bar-
dzo rozumny człowiek, który polityką dość dawno, bo był już w Radzie Państwa od roku
1860, nabrał dużo praktyki w rzeczach krajowych i w ogóle wcale rozsądnie się odzywał.
Przytem on oswoił się ze swymi przewodnikami politycznymi „przewodnikami", ale nie mógł
tej zawziętości politycznej co tamci, bo jako chłop gospodarz na gruncie, nie odczuwał żyw-
o tak namacalnie tego szczęścia, którego by mu obce panowanie mogło przynieść. Kniaziom
uśmiechały się ruble, biskupie posady w Rosji i inne wyimaginowane zaszczyty,
dla chłopa stosunki, pod tym, czy pod owym rządem zostawały mniej więcej
te same. — Kowbasiuk rozumiał to dobrze, więc był więcej jak kniaź, konserwatystą.

Stronnictwo rządowe, stronnictwo idące z Gołuchowskim zwano Mamelukami. — Do tego należeli tam (jako wtórkowie wojujący: Ziemiałkowski, Gross, Kabat), Antoni hr. Gołejowski, Golanowski Stanisław, adwokat Wiktor Zbyszewski. — jako pion-
ki w tej wartej falandze funkcjonowali liczni inni posłowie, po większej części właś-
ciciele ziemscy z Galicyi wschodniej i ludzie mniej lub więcej od Gołuchowskiego
zależni. — Wielką podporą stronnictwa był Antoni Gołejowski, człowiek niezłych wykształ-
cony

ale posiadający wiele zdrowego rozsądku, i rozumiejący potrzeb krajowych, odważny, wypowiadający swe zdanie bez ogródek, bez oglądania się na kogokolwiek i mający wielki wpływ na tych posłów włościańskich z Rusi, którzy niezupełnie się zaprzedali świętojurskiej klice. Musiał już być Rusinem z bardzo „czarnem podszewkiem", aby nie ulegał jej namowom. – To powiedzenie „Rusin z czarnem podszewkiem" było bardzo używanem za moich czasów, z kąd powstało trudno wiedzieć, miało określać zawziętego, Polakom nieprzychylnego Rusina. Tak samo jak trudno dojść, skąd o Mazurach mówią, że do siódmego dnia po urodzeniu nie widzi. – Stanowisko Polanowskiego [illegible] z Ziemiałkowskim, posiadając bowiem ojców do Rady Państwa, w której się ojców bardzo do ze[illegible] zbliżył.. Polanowski miał coś w sobie z charakteru Rusina, był uparty, zawzięty, a wskutek tego mamelukiem nad mamelukami, bo z przekonania. Jako zamożny właściciel dóbr w Brzeżanach miał on dużą wpływ na chłopów i księży na Rusi, a wybory w Złoczowskiem, Brzeżańskiem, Kamioneckiem głównie od niego zależały. Świętojurscy kanonicy go też nie cierpieli, chociaż z nim musieli się liczyć.. – Piotr Gross, zastępca ucznia gimnazjum, później uczeń gimnazjum, bardzo tęgi, bardzo zdolny uczony, dobry mówca, nie mógł być podporą stronnictwa i w ogóle należał do najprzyzwoitszych ludzi w kraju, dopóki zdrowia sobie nie zrujnował – Koniakiem. – Wreszcie doktor [illegible], adwokat w Brzeżanach, później mój uczeń, w polskim stroju, z brodą, [illegible] w opuszczonym wąsie, ale także zawzięty mameluk i uczony zdolny, posłujący do Rady Państwa. – Wielce przyzwoitymi osobistościami zasłużonymi w stosunkach z Rusinami byli ksiądz Tomasz Barewicz, delegat do Rady Państwa, i Julian Ławrowski, radca sądowy i członek wydziału krajowego. Ci dwaj należeli jeszcze do tej kategorii Rusinów, których zwano gente Ruthenus, natione Polonus. Ławrowski mniej może w tej mierze zdolny, ale zawsze stojący na ściśle ruskim gruncie, nie mający nic wspólnego z Świętojurcami i w dobrych z Polakami zostający stosunkach. – Raz on się jednak o swoją popularność pomiędzy Rusinami i dla tego później zdawna, dziś był ostrożnym i biernym w polityce. – Państwo Ławrowscy nie mieli dzieci i jako [illegible] [illegible] mnie zamówili, że umarli w dość podeszłym wieku, jednego dnia i o jednej prawie godzinie. Jeden też mieli pogrzeb, a pół Lwowa szło za konduktem, nie tyle z powodu popularności państwa Ławrowskich, ile żeby być świadkiem tego osobliwego pogrzebu. – Młodzieniem Gołuchowskiego, doradcą we wszystkich kwestiach ruskiej był ks. Barewicz, później dyrektor gimnazjalny. Był on prawie takim Rusinem jak Zawadzki, który uważał obyczaj narodowy jako rzecz z sobą zbratany, szedł zgodnie z Polakami we wszystkich sprawach krajowych i nie oglądał się na Świętojurców. Takich Rusinów było coraz mniej..

Polacy krakowscy, którzy niewiele w sprawach tyczących się stosunku Galicji do całości Państwa, ale w stosunkach wewnętrznych krajowych różnili się cokolwiek od Mamelaków, grupowali się około Adama hr. Potockiego. Hasłem „Krakowskich" była dobijająca autonomia Galicyi, [illegible] ją sobie Gołuchowski zakreślił, a w kraju większe folgowanie wobec żądań Rusinów. – Ksiądz stykając się bezpośrednio ze Świętojurcami.

nie[illegible]
nem[illegible]
inny[illegible]
tym [illegible]
[illegible]
Rad[illegible]
Gdy o[illegible]
narod[illegible]
utw[illegible]
mów[illegible]
gdy, n[illegible]
być z [illegible]
dobrego [illegible]
to i [illegible]
jako [illegible]
ce ces[illegible]
Taś [illegible]
sceni[illegible]
nowo[illegible]
żne m[illegible]
mach [illegible]
z kni[illegible]
by w[illegible]
sie a[illegible]
~~[illegible]~~ tak[illegible]
nie[illegible]
Natu[illegible]
Kwork[illegible]
natych[illegible]
mona[illegible]
raz [illegible]
w rut[illegible]
stamp[illegible]
dzni[illegible]
w pos[illegible]
[illegible]
ci Z[illegible]
się o[illegible]
być d[illegible]
swojej[illegible]
Oben[illegible]
teraz [illegible]

myśli oni przekonani, że dając Rusinom rozmaite koncesje, nie będą trzeba zwracać się z swoją pretensją wszystkich. — Czasowi czy nie w tej mierze myśleli, jak w wielu innych sprawach tyczących Galicji wschodniej, a gdy przez dłuższą pracę w sejmie i komunikacji tym się bliżej przypatrzyli, zmienili w wielu razach swoje opinie.

Najpiękniejszą postacią tego stronnictwa był Mikołaj Zyblikiewicz, także poseł do Rady Państwa, jeden z najszczytniejszych, najrzetelniejszych publicznych ludzi w Galicji, jakich znałem. Gdy o nim myślę, rodzi się w moim sercu uczucie pewnego zadowolenia, że Galicja za moich czasów miała takich ludzi. Patryotyzmu, energii, zapału, dobrej woli, szlachetności było w tym człowieku w bród... Z syna ubogiego księdza ruskiego, z małego adwokata w Krakowie, wysforował się własnemi zasługami na burmistrza miasta Krakowa i na marszałka Galicyi, na najwyższą godność autonomiczną, jaką kraj miał do rozporządzenia. — Zyblikiewicz był z usposobienia trochę autokratą, ale autokratą tam, gdzie chodziło o wprowadzenie czegoś dobrego, czegoś pożytecznego; na jakiemkolwiek był stanowisku, zawsze działał energicznie, śmiało i jak umiał najlepiej. W radzie państwa ogniście kruszył kopie za autonomią Galicji; jako burmistrz krakowski zaprowadził porządek w administracji miasta, chwycił za serce cesarza swojem przyjęciem pełnem ciepła i uniesienia, jako marszałek kraju zdziałał wiele, bardzo wiele dobrego, że tylko przytoczę stworzenie szkół przemysłowych, stowarzyszeń rzemieślniczych, których kraj bardzo potrzebował. — Zyblikiewicz zrażał czasem swą rubasznością, gdy wpadł w zapał, zapominał o wszelkich formach towarzyskich, ale to wszystko można mu było darować, wobec świętego ognia, jaki w nim płonął. — Gdym wspomniał o formach towarzyskich, nie mogę nie zanotować, że gdy raz przy stole, w jakiejś kwestyi zaczął z księciem Eustachym Sanguszkiem dysputować, podniósł rękę z dużym szparagiem, który właśnie trzymał w palcach, i tym szparagiem wywijał w powietrzu, na poparcie swoich argumentów. — Oczywiście ogniste serce „Zybla", jak go popularnie nazywano, gorzało także co chwila, do jakiejś Tadzi Kolickiej. Najwięcej mówiono o jego afektach do pani Natansonowej, młodej wdowy, pięknej Warszawianki, która koniecznie chciała zostać burmistrzową krakowską. Zybel wodził się za nią po Szczawnicy, po Warszawie, i każdy mu płatał natychmiast wyjeździć karam, ale żenić się jakoś nie miał ochoty, i o ile sobie przypominam, pani Natanson wyszła za mąż, za kogo innego. — Zybel nie zrobił majątku, wspierał ubogą rodzinę, a jak miał więcej, więcej wydawał. Lubił bardzo szampana, a ponieważ w restauracyach wstydził się zbytkować, więc kazał sobie zawsze, osobliwie w Wiedniu, podawać szampana w dużej szklance, aby wszyscy myśleli, że pije piwo, albo tak zwanego [illegible] „Gespritztera", białe wino, zmieszane z sodową wodą. Wskutek tego utarła się w poselskich kołach nazwa na szampana podanego w szklance „piwo Zyblikiewicza".

Równie dzielną, równie piękną postacią był hr. Adam Potocki, gdy jednak publiczne uznanie dla Zyblikiewicza nigdy nie było zmącone, ale miał na celu tylko dobro kraju, mieszała się oczywiście w działania hr. Potockiego familijna polityka wielkiego rodu.. Zyblikiewicz był demokratą kochającym kraj, Potocki również kochał kraj i był najlepszym synem swojej ojczyzny, ale ideały publiczne widział przez pryzmat swego rodowego stanowiska. Uważał zresztą w naiwności potrzebę rodziny naturalną, że takie wszystko interesa możnowładców, że interesa arystokratyczne identyfikuje z interesami kraju. — Tak było wszędzie zawsze i tak będzie na zawsze.

Do
tylko
więc
mię
pozn
ty od
S
stan
Sto
Stany
ze a
w roku
za, o
znaj
żyć.
Choć
ale
rok.
wsz
nim
polit
znaj
bard
stro
party
Sai
się
o t
w a
ich
nowa
lub
zyk
się
Fra
Sto
z (
spra
stro
Mi.
Zby

Do tego idealnego poziomu interesów ogólnych, jaki [taki] miał Zyblikiewicz, może się wznieść tylko ten, który nie mając żadnych interesów rodowych, [illegible] – Ogółowi mówić także o warunkach rozważnej polityki, także chłodnej, a nie o warunkach uniesień patryotycznych, w których się zapomina o wszelkich interesach prywatnych, w których się poświęca całą egzystencyę swoją w ofierze dla patryotycznych celów. – Takich poświęceń dały zresztą dość przykładów i arystokratyczne nasze rody w chwilach powstań polskich. –

Stronnictwo krakowskie miało w swym gronie bardzo znakomitych ludzi, rozumem, wykształceniem, spokojną wytrwałością górował tam Ludwik Helcel, bankier krakowski, z Miej[illegible], autor bardzo poważnego memoryału o stosunkach austryackich, przedłożonego ministrowi Belcrediemu. Henryk Lisicki poświęcił Helclowi dwutomowe dzieło. – Józef Majer, późniejszy pierwszy prezes akademii umiejętności w Krakowie (statut akademii zatwierdzony został przez cesarza w roku 1872.), mała figurka o wielkiej głowie, podobna kształtem do francuskiego Thiersa, o wielkiej głowie, ale jednym rozumie. Majer był oczywiście ex offo głosem zajmującym się wszystkiemi sprawami szkolnemi, i w tej mierze nie mało zasług położył. – Do tej samej kategoryi ludzi nauki należał oczywiście Stanisław Tarnowski, chociaż tenże, który jeszcze mężczyzna, nie ograniczał się tak dalece na szkolnictwo, ale żywym swym umysłem wchodził w każdą ważniejszą polityczną kwestyę. – Józef Szujski nie należał do wybitniejszych polityków w sejmie, zanadto on był uczuciowo nerwowym, zanadto wszystko brał sobie do serca, zanadto był poetycznej duszy, aby powołanie jego szło w parze z [illegible] rozwiązywać w praktyce polityczne węzły. – Naturalnie do polityki jakby stworzeni byli Ludwik i Henryk Wodziccy, drugi może mniej galicyjskie znający stosunki, bo długi czas mieszkał w Poznańskiem, ale pierwszy bardzo zręczny, bardzo rozumny i kraj znający dokładnie. Ludwik Wodzicki zajmował w swem stronnictwie nadzwyczaj wybitne stanowisko, a chociaż jako młodszy od przewodników partyi, dość skromnie się zachowywał, przecież wpływem swym w niejednej rozstrzygał sprawie. Obydwaj Wodziccy byli nadto nadzwyczaj sympatycznymi ludźmi, starszy Henryk, prawdziwy homme du monde, zasypujący [illegible] i złośliwościami o tradycye XVIII. wieku, dowcipny, dobry mówca, literacko wykształcony, wyborny aktor w amatorskich teatrach, [illegible] najpiękniejsze swego czasu kobiety. Ludwik był Benjaminkiem stronnictwa, nie wystawiano go na stracone placówki, rezerwowano go sobie na przyszłość; spodziewano się, że z czasem będzie mógł zostać namiestnikiem lub jakie inne wybitne zająć stanowisko. Grocholski był baronem, umiał sobie ludzi zjednywać, a ożeniony z Zamoyską opierał się o najpierwsze polskie rody. – Do niższej kawaleryi stronnictwa, do dobrze zasłużonych piórków należeli Haller Cezar, Franciszek Paszkowski, Leonard Wężyk i Szumańczowski Ludwik, dwaj ostatni bardzo tędzy ludzie, rozumni i pracowici. Paradyerem zaś był Jan Tarnowski z Chorzelowa, myślący więcej o swej stadninie, o rasowych wyścigach, aniżeli o innych sprawach krajowych. Mina jednak jeszcze wówczas od stu dyabłów, pięknie reprezentował stronnictwo. W oczach „Krakowscy" później wyglądali, taki jak Adam Gołuchowski, tacy Wodziccy, Tarnowscy [illegible], [illegible] Czartoryski, jak Ozgowski, [illegible] Torosiewicz itd. Zbyszewski, Kabat i cały zastęp ormian, należący do stronnictwa Gołuchowskiego.

Wśród tych dwóch wybitnych stronnictw stało kilkunastu posłów uważających się

z pod partyjnej komendy i zajmujących więcej indywidualne, niezależne stanowisko. Julian Dunajewski przechylał się wprawdzie bardziej do Krakowskich, a Kornel Krzeczunowicz od Podolaków, ale mimo to obydwaj bardzo za [illegible] trzymać się nie dali. Dunajewski nie ~~zajmował~~ stał jednak wówczas tak ~~wybitnego stanowiska~~ wysoko jak później, podczas gdy Kornel Krzeczunowicz, nabierał do najwybitniejszych postaci w Galicji. – Specjalista w naukach rolniczych, nadzwyczaj gruntowny, spokojny, rozumny, a przytem właściciel jednej z najpiękniejszych majętności w Galicji wschodniej, Dołżowca – przedstawiał niemałą w sejmie potęgę.

Pan Kazimierz Grocholski nie wyrzekał się wprawdzie jeszcze na zewnątrz przewództwa wiedeńskiego koła polskiego, ale już chodził w singeltonie. Postać jego nadzwyczaj charakterystyczna: wysoki, chudy, pochylony, trochę łysawy, z szeroką kościstą twarzą, krótkiemi wąsami, jakby ze stali, długiemi brwiami, spojrzeniem poważnem, ostrem. Układał się po polsku, cała postać zdradzała ścisłość, człowieka twardego, upartego, nie światowego, nie rozumiejącego się na żartach. – Nie przypominam sobie, abym widział Grocholskiego śmiejącego się, natomiast, gdy mu się coś nie podobało, strzygł jak zając wąsami i spoglądał z pod oka. W objęciu ścisły, prawie nieugięty, w interesach formalista. ~~Gdy później~~ Jako ostatni członek Wydziału Krajowego najgorzej się zapisał w pamięci urzędników. Stał się gorszym biurokratą, od najzajadlejszych ~~biurokratów~~ urzędników skarbowych, który za aktami ~~w urzędzie~~ przesiadywał, a urzędników Wydziału Krajowego traktował jak ekonomów. Był on bezdzietnym wdowcem, miał Tadry, ale nie lubił swój majątek ziemski Olejów, w Tarnopolskiem. Gdy się zajął sprawami publicznemi i nie mógł sam doglądać majątku, dopuścił on do Olejowa Kazimierza Turzyńskiego, z Ołrzych, jego ~~wychowańca~~ młodego człowieka, którego on był dawniej opiekunem. Turzyński sportsman, ~~...~~ wygolony, pozujący na Anglika, umiał jakoś dogodzić panu Kazimierzowi. Grocholski był typem podolskiego szlachcica polskiego. Który miał wszystkie wyobrażenia i zalety Polaka, ale od Rusinów wziął chytrość i przebiegłość. Najlepszym przyjacielem i politycznym adjutantem Grocholskiego był Kornel Horodyski, który już posłował do Rady Państwa. Pan Kornel także gospodarz ze wschodniej Galicji, człowiek bardzo prawy i rozumny, jedyny miał wpływ na Grocholskiego. Późniejszego prezesa koła nie można sobie było wyobrazić bez Horodyskiego – niektórzy na to byli przygotowani, a powszechnie mówiono, iż Horodyski wielki ma na Grocholskiego wpływ polityczny.

Maurycy Kraiński także nie należał do żadnego stronnictwa, ale sam przez się miał stanowisko bardzo silne i poważne, bo był najstarszym członkiem Wydziału Krajowego i należał jeszcze do dawnego Wydziału stanowego, korporacji niby to autonomicznej, utworzonej przez rząd galicyjski, za czasów absolutycznych prawie nigdy nie zwoływanej. Pan Maurycy znał wybornie historię dawniejszej działalności Wydziału Krajowego, i był niejako encyklopedją interesów cały kraj obchodzących. Zresztą człowiek cichy, niedowierzający, trudny do zawiązania ściślejszych stosunków, rolę w sejmie co uważał za pożyteczne i na zewnątrz się nie wyrywał.

Książę Jerzy Czartoryski także był już w sejmie, a z wrodzonej dumy z nikim się nie łączył, spodziewając się zawsze, że nadejdzie chwila, w której wszystkich za sob

sejmie, ale chorzała jakoś nie nadchodziła i odtąd nie nadeszła. Ks. Jerzy wychowany w Wiedniu, w swej młodości „ein Schöngeist", meloman, grający w artystycznym wiedeńskim świecie, ożenił się z córką księcia Cecha, panną Czermakówną, i ona popchnęła właściwie męża na polityczną drogę. Ambicja była wielką ambitną i właśnie dążyła do tego, aby nazwisko Czartoryskich nie zniknęło się na wiedeńskim bruku. Wnosząc więc posiniejąc do polityki, dał się wybrać do sejmu i do Rady Państwa, ale był takiej przewlekłości, szukającej drogi bez systemu, na prawo i na lewo, a nadto intrygant nie wzbudzający zaufania, nie umiał sobie wyrobić wpływu. W sejmie galicyjskim kokietował z Rusinami, w radzie państwa z Czechami, prowadził politykę kapryśną, na swoją rękę, nie wiele się też na niego oglądano.

Zupełnem przeciwieństwem księcia Jerzego była nieodżałowanej pamięci postać księcia Władysława Sanguszki z Gumnisk. Temu nie chodziło nigdy o popularność, ale o rzetelną prawdę. Stary już człowiek, nie znający się na intrygach i formalizmach, ale pełen zdrowego sensu w głowie, charakter prawy, rzadki, powszechnem cieszył się poważaniem. Mówił powoli, źle, wyglądał jakby czytał ćwiczenia do elementarza, używał nieraz zdania, niekończył ich, ale mimo to wszyscy go słuchali. Książę nie miał politycznego wpływu, ale miał wpływ zdrowego rozsądku...

Franciszek Smolka dumny ze swej politycznej przeszłości, ze swojej prezydentury w pierwszym austryackim parlamencie chodził także ~~[illegible]~~ osobno. Polityczne idee zbliżały go najwięcej do Ziemiałkowskiego, Zyblikiewicza, Kabata, był bowiem liberałem, takim jakim go stworzył rok 1848, ale osobista nieprzyjaźń z Ziemiałkowskim odrywała go od tego koła. Uważał był za najzupełniejszym federalistycznem urządzeniem Austryi, za sojuszem z Czechami, i tem samem stanął w sprzeczności z Mamelukami, z ich polityką praktyczną. — Smolka nie był umysłem zupełnie normalnym, miał w polityce swoje idee fixe, pewnych też powiem nadzwyczajną wiarę w słuszność swoich zapatrywań, i uważał się za męża opatrznościowego Austryi. Smolka targnął jeszcze jako adwokat się był na swoje życie, przegrawszy na giełdzie kapitały swoich klientów, podobno nie jednak bystrym nie był znakomitym [illegible], Smolkowie wyszli się, a Włodzimierz ks. Dzieduszycki pożyczył mu, o ile sobie przypominam kwotę 100.000. na wyrównanie interesów z klientami. Czy pan Włodzimierz dziś z tej kwoty co odebrał, bardzo wątpię.... Mimo tej finansowej katastrofy Smolka był długi i długi lata bożyszczem lwowskiego mieszczaństwa, wybierany był zawsze do sejmu i do Rady Państwa ze Stolicy, a w Radzie Państwa piastował nawet godność prezydenta Izby, miał bowiem u Niemców i Czechów wiele zaufania, a Polacy ówcześni głosowali także za nim, jako za Polakiem, chociaż wielu z niechęcią swoją kartkę do urny wrzucało.

Bardzo wybitnym, samodzielnym, ale wpływ do polityki Gołuchowskiego zbliżającym się posłem był Ludwik Skrzyński, obywatel ziemski, właściciel bardzo pięknego majątku, Rozdzielec, nad Sanem. Ludwik był znakomitym mówcą, nie brak mu nigdy było dowcipnych argumentów, gryzącego dowcipu. W kwestyi ruskiej był bardzo stanowczym przeciwnikiem wszelkiego folgowania świętojurcom, i w tym miejscu z krakowskimi posłami zawsze stał w sprzeczności. Skrzyński miał dwoje dzieci: córka poszła za Karśnickiego na Bądkowo, a Seweryn dziedzic, właściciel Rozdzielca, ożenił się z panną Wietrzeńska, córką Oktawa, o którym już wspomniałem.

Ks
w, j
czem
przyj
zjist
wśród
u zej
wszyst
znajo
się
poza
Chc
pera
newk
i pe
znak
logi
odpow
C
niżs
ato
raz.
sich
publ
cia
gosp
był
Ukr
z
ni
Wez
u
tylk
pol
dod
mu
pe
Ukr
po
Na

Ks. Adam Sapieha oczywiście nie łączył się z nikim, sprzeciwiało się to jego charakterowi, jego usposobieniu, nie lubił również Mameluków, jak Krakowskich, chętnie lubił występować z czemś nieopodziewanem, działał z efektem, aby porwać za sobą sejm, chociaż chwilowo, chociaż bez pożytku. Miał on swoich adjutantów w sejmie, którzy radzi byli, aby splendory mitry sapieżyńskiej na nich spływały, a do takich należał przedewszystkiem Zygmunt Kozłowski i Włodzimierz Niezabitowski; dający elegancję sejmowi, dając parady. Zygmunt się na swoje w sejmie przydatny, okazał się później jako bardzo zręczny poseur w interesach finansowych i umiał zużyć wybornie swoje stanowisko delegata do Rady Państwa, swoje znajomości i stosunki celem robienia pieniędzy. Włodzimierz Niezabitowski zasłynął w swem życiu plotkarstwem, tak, że każda stara baba też sławy mogła mu pozazdrościć; skoligacony z Badenimi trzymał ich się później jako przyjaciel plotki. Chciał syna ożenić z córką Kazimierza Badeniego, a gdy się to nie udało, osłabła temperatura pomiędzy nim a Badenimi. — Do przyjaciół Adama Sapiehy należał Smarzewski, łączyły ich rozmaite interesa ekonomiczne, bliskie sąsiedztwo w Brzeżańskiem i pewna chętka robienia ludziom na przekór. — Smarzewski jednak należał do najznakomitszych polityków pośród w sejmie i radzie państwa, mówca wyborny, krótko, logicznie, niedościgniony parlamentarny taktyk. Wszystkiem jego działaniu wszakże nie odpowiadało [illegible], nie umiał sobie ludzi pozyskać, nie mógł wpływu...

Oczywiście nie mogę przepomnieć Władysława hr. Badeniego, ojca Kazimierza i Stanisława. Badeni z ich protekcją zięcia na górował już w sejmie, a Tyszkiewicz [illegible] z dawna. Był członkiem wydziału krajowego i referentem dróg krajowych, którymi się bardzo zajmował. Wprawdzie powszechnem było przekonaniem, że przedsiębiorcy budowy dróg krajowych mieli przynosić hr. Władysławowi rozmaite korzyści, jeżeli jednak tak było, to opinia publiczna mogła mu o tyle darować nadużycia, że zdziałał naprawdę wiele swą starannością i swą pilnością, bardzo dużo w tej mierze dla kraju. Był to praktyczny, prosty gospodarski rozum, a przedstawiał jak ateńczyk raczej wieśniak. — Badeni bardzo był dumny na swoich synów, i w trochę śmieszny sposób tę swoją dumę okazywał. Kto chciał tylko słuchać, każdemu mówił, że jeden z jego synów musi zostać z czasem marszałkiem krajowym, a drugi namiestnikiem. A przepowiednia jego się sprawdziła, bo nawet Kazimierz doszedł jeszcze wyżej, bo został ministrem prezydentem. Badeni miał ładny majątek ziemski Surochów koło Jarosławia. W r. 1873. jednak ponosił tak wielkie straty na giełdzie, że zaledwie już został tytularnym właścicielem Surochowa i musiał żyć we dworze z pensji, którą pobierał jako członek wydziału krajowego i z tych — nikomu niewiadomych bezpłatnych dodatków, jakie mu krajowe drogi przynosiły. — Pani Badeniowa, mierzona z domu, okrągła i pękata jak balon, a czerwona jak piwonia, popisywała się dworsko, pchała co mogła w księgi, i nie mało później swym synom sprawiała kłopotu, którzy jej długi płacić byli powinni, ale nie zawsze płacili. Pani Badeniowa pojechała po śmierci męża, gdzie mogła, nawet w wojnach namiestnictwa, jak Kazimierz był namiestnikiem, występowała przed obcymi ludźmi na zakupach

i zniszczyć swoich synów i w najgorszych żyła z nimi stosunkach. – Po czyjej stronie była racja, nie naszą rzeczą dochodzić, co jednak, co bliżej był domu stało bardzo jej synów świadkiem. –

Najoryginalniejszym mówcą sejmowym był Aleksander hr. Borkowski, swojego czasu autor lwowskiego paszkwilu p.t. „Parafiańszczyzna", będącego dzisiaj bibliograficzną rzadkością. Hr. Aleksander, vulgo Leszek Borkowski przemawiał zawsze tak, jakgdyby miał tłumy ludzi przed sobą, które porwać chciał swoją mową. Był też niezwykle bardzo wymownym, otwierał trochę na kolanie, był naśladowcą dawnego stylu, „krasomówców" w prawdziwem tego słowa znaczeniu, ale robił na słuchaczach niepospolite wrażenie. Opowiadał wszędzie i zawsze, stał na stanowisku historycznej Polski „od morza do morza", chociaż to w sejmie galicyjskim zupełnie nie było potrzebnem, grzejąc dowcipem musiał w prawo i w lewo, z którym się nie łączył, żadnej praktycznej nie prowadził polityki. – W praktyce zaś podobno wybornym był prywatnym gospodarzem. Mieszkał w Krzywczycach pod Lwowem, prowadził tam gospodarstwo rolne, a na starość do domu się sprowadził. [illegible] miał wiele obiecującego, bardzo przystojnego syna Witolda, który próbował pisać sztuki teatralne. Witold wszedł jednak w złe towarzystwo, przegrywał w karty, a gdy ostatnim razem ojciec raz nie chciał karcianego długu zapłacić, odebrał sobie życie z rewolweru. Cały dom bardzo żałował Witolda, bo to była szlachetna, piękna młodzieńcza postać.

Kończąc ten katalog wybitniejszych sejmowych posłów nie chciałbym jeszcze pominąć Juwenala Rozwadowskiego i Karola Rogawskiego, dwóch dość oryginalnych ludzi. Juwenal Rozwadowski, który w [illegible] nazwałem Radykałem, był urzędnikiem Prokuratorji Skarbu, ale mimo swej urzędowej kariery miał zawsze bardzo liberalne, wręcz skrajne opinie. Dlatego też w karjerze urzędowej nie daleko doprowadził, ale w sejmie i Radzie państwa nie jedno miał zdanie, bo miał dużo politycznego doświadczenia, dużo zdrowego rozsądku i wiele dowcipu, nie dla tłumu wprawdzie, ale przekonywającego. – Rogawski Karol, stary emigrant, żył długo za granicą, więc zdawało mi się zawsze, że jest mądrzejszym od tych, którzy w kraju całe swe życie przeżyli. Mieszkał w Obojnicach, w majątku swojej żony, zbierał rozmaite starożytności i stare obrazy, które później zapisał Akademii Umiejętności w Krakowie, i bardzo się starał o „Teki [illegible]". Zawsze go przeto można było widzieć, jak się ocierał to o Łapińskiego, to o Langiewicza, to sam Adamowi Potockiemu prawił komplementa.

Gdy dzisiaj myślą przechodzę skład całego sejmu, przedewszystkiem widzę wielką ilość posłów, których nie mógłbym zaliczyć do żadnego stronnictwa, a następnie to, że należących wprawdzie do stronnictwa mameluków i krakowskiego nie mógłbym dzisiaj wyraźnie powiedzieć, czem się te stronnictwa różniły. – Otóż powód tego, zdaje mi się w tem leży, że polityczne nasze stronnictwa właściwie w sejmie bardzo mało się od siebie różniły, różnica pomiędzy niemi zaznaczała się wyraźniej w Radzie Państwa.

Stronnictwem rządzącem wówczas w Radzie Państwa było stronnictwo liberalno-niemieckie, owi Giskry, Herbsty, Hasnery i.t.d., ono miało większość; z niem się trzeba było liczyć, a za ustępstwa, które delegacya galicyjska robiła im, na korzyść liberalnego szkolnictwa, ślubów cywilnych itp. – folgowali oni Polakom na korzyść autonomii w Galicyi. Targ ten nie był na rękę krakowskim panom, którzy woleli się targać z feudałami i klerykałami, woleli niż w Czechach przyjaciół – aniżeli z liberalnymi Niemcami, zmieszanymi z żydowsko-niemieckiem żywiołem. – Kwestya ta z kim się targać? – została aż do dziś dnia najważniejszą w polityce Koła Polskiego w Wiedniu, a dzisiaj (w r. 1898) delegacya polska stoi na stanowisku, którego w owym czasie (1866–70) dzierżyło stronnictwo krakowskie, bo się związała z Czechami i klerykalną niemiecką partyą. – Co lepsze? – to w polityce zasadniczo rozstrzygnąć nie można. Dzisiaj takie związki konsytuują, jutro inne, chwilowe interesa zawsze rozstrzygają. – Tak samo w małej polityce stronnictw parlamentarnych, jak w wielkiej światowej polityce grupowania się państw, stosunki się często zmieniają. – Polityka interesu zawsze rozstrzyga. – Rozdział posłów galicyjskich na dwa obozy, istniejący faktycznie w Radzie Państwa, przenosił się mimo woli do Sejmu, chociaż tutaj nawet w teorii na tem nie było podstawy, bo w lwowskim sejmie nie walczyło się z wiedeńskimi liberałami; nie było tam spraw konfesyjnych, ale co najwięcej, opinie różniły się cokolwiek w traktowaniu kwestyi ruskiej. – Z tąd też pochodziło, że wielu posłów więcej samoistnych nie widząc tak zasadniczej w sejmie różnicy, pomiędzy Mamelukami a obozem krakowskim chodziło samopas, głosując tak, jak im w danym razie ich przekonanie głosować kazało.

Rząd miał w sejmie swego komisarza, którym w roku 1868. był radca namiestnictwa p. Oswald Bartmański. – Tego pana Bartmańskiego szczerze nie lubiłem, a i jego też nie ująłem niczem. Istotny biurokrata, wyglądający jakby kij połknął, dużo o sobie rozumiejący, i trzymający zawsze swoją godność, jak szklankę w ręku, aby się przypadkiem nie stłukła, nieznośną był dla mnie figurą. – W Kasynie szlacheckiem pozował on na sportsmana, chociaż ze sportem nic nie miał do czynienia, nie wychodził z domu, bo miał starą, brzydką żonę, więc przesiadywał w Kasynie całemi dniami. – Kreślił mi ministeryalnie moje referaty, poprawiał nawet styli składnię, bardzo często na gorsze, a przedewszystkiem miał mi do zarzucenia, że jakieś ważne akta tak zarzuciłem, że ani sposobu było ich znaleźć. Chciał mi nawet z tego powodu wytoczyć śledztwo dyscyplinarne, na co jednak Gołuchowski nie pozwolił. A szkoda, że do tego nie przyszło, po dwóch latach bowiem akta się znalazły, i to w papierach – Bartmańskiego. Do reszty jednak zdyskredytowało mnie u Bartmańskiego następujące zdarzenie. W jakiś czas po sejmie, po ustąpieniu już Gołuchowskiego, byłem w Kasynie Bartmańskiego, a że potrzebowałem do Wiednia wyjechać, aby samego Pankratieff odwiedzić, więc kazałem się w Kasynie powiedzieć, że jestem słaby i w domu kilka dni przesiedzimy. Urlopu prosić nie chciałem, bo prawdopodobnie byłby mi p. Bartmański

odmówił, a panu Elli obiecałem, że na pewne wkrótce do Wiednia przyjadę. — Niemniej jednak chcę, że na Grabenie, vis-à-vis spotykam się z Bartmańskim, o którym nie wiedziałem, że tymczasem także do Wiednia pojechał. — Muszę przyznać mojemu sercu, że umówiony wszystko z tego spotkania nie wróżył, ale że mnie ~~[illegible]~~ serce nie mówiło, o tem się później, co chwilę przekonywałem.

Z końcem owego pamiętnego dla mnie roku wypadek stał się ważny fakt w galicyjskiej polityce — Gołuchowski ustąpił z posady namiestnika. Marzeniem Gołuchowskiego było doprowadzić do tego, aby obiecał cesarstwo ~~[illegible]~~ ~~cesarz~~ zwiedził Galicję, aby się naocznie przekonał o lojalności Polaków, co więcej, zgotować cesarzowi entuzjastyczne przyjęcie, chcąc go za serce i usposobić tak dobrze dla Galicji, aby wszelkie biurokratyczne intrygi przeciw Polakom, na nic się nie przydały. — Wiedeńska biurokracja obawiała się tego zbliżenia się cesarza do Polaków i dołożyła wszelkich starań, aby ten tryumfalny przejazd cesarza przez Galicję nie przyszedł do skutku. — Do unicestwienia planów Gołuchowskiego wzięto się nadzwyczaj zręcznie, gdy bowiem wszystko już było gotowe i powóz nawet cesarski wysłano do Lwowa, kilka drobnych zwróciło uwagę cesarza, że podróż tryumfalna do Galicji, może pociągnąć za sobą bardzo niemiłe komplikacje z Rosją, gdzie Polacy chcą cesarza we Lwowie obwołać królem polskim. — Oczywiście intryga taka ze strony Polaków w Galicji bardzo mogła być niebezpieczną dla ~~[illegible]~~ Franciszka Józefa i dla austryackiej dyplomacji, cesarz więc natychmiast wydał rozkaz cofnięcia wszelkich przygotowań do galicyjskiej podróży, pozostał w Wiedniu, a Gołuchowski widząc, że ~~cesarz~~ monarcha więcej wiary daje nieprzyjaznym Galicji doradcom, a nie jemu, który wszystko za godne i niekompromitujące austryackiej polityki przyjęcie ~~[illegible]~~ — podał się do dymisji. Dymisja została przyjęta, popularność namiestnika oczywiście ogromnie wzrosła, a wyraz jej (10. paźdz. 1868) ~~[illegible]~~ marszałek Ks. Sapieha ~~[illegible]~~ w pożegnalnym w sejmie przemówieniu, podnosząc „że kr. Gołuchowski jeden z pierwszych wskazał nam i pociągnął nas do tej zjednoczenia i przywiązania do tronu i dynastyi, na których równie nadzieje lepszej przyszłości opieramy". — Gołuchowski krótko podziękował za te uznanie, a w trochę dłuższej mowie prosił wszystkich współobywateli „aby swe zjednoczenie i serce zachowali wszystko dla ~~mnie~~ niej ale i dla tych, którzy nam są najbliżsi, to jest dla jego dzieci". — Ostatni ten zwrot mowy byłego namiestnika, chociaż bardzo prosty i naturalny wywołał nie mało w kraju wrażenia, a osobliwie w kołach arystokratycznych, które nie chciały widzieć, aby rodzina Gołuchowskich cieszyła się popularnością. —

Po ustąpieniu Gołuchowskiego powierzył cesarz rządy Galicji prowizorycznie panu Possingerowi, który był równocześnie delegatem namiestnika i starostą w Krakowie. Possinger, z rodziny galicyjsko niemieckiej (z urzędników) był bardzo uległym urzędnikiem ulubieńcem Gołuchowskiego, który go też szybko awansował i ~~powierzył~~ nadał mu ważne stanowisko w Krakowie. — Possinger modelował się zupełnie na Gołuchowskim, przyjmując sobie nawet

jego ruchy, sposób podawania ręki i przyjmowania w swem biurze, brakowało mu tylko rzeczy najważniejszej – miłości kraju. Był urzędnikiem, prawie bez zarzutu, ale nie obywatelem, miał on wprawdzie rozbujałą wielką polityką plotki galicyjskiej opinii, i przeszłość tę ma przyjaciół namiestników.

Jak wszędzie i zawsze Dziennikarstwo głównie się przyczyniło do niepokojenia opinii a i nie mało szkodziło nam w Wiedniu. Niejednokrotnie nam stery ~~[struck]~~ mogły ciągle powoływać się na twarde Dziennika, i czytelnicy z niech dowodzić, że Polacy niczego nie pragną w Austryi, jak tylko, aby państwo pomagało im do ich fantastycznych planów odbudowania Polski, i że chcą Austryi narzucić awanturniczej, niebezpiecznej polityki, któraby z pewnością doprowadziła do wojny z Rosyą. – Było może kilka głów zapalnych we Lwowie, wychodzących się z byłych ostatków organizacyi narodowej z r. 1863, które niezawiśle jakieś krótkotrwałe imaginowało sobie projekta, ale były to tylko głosy wszystkie, które ciemniej myślały, ambitnie więcej cały.. Dziennikarstwo jednak, a przedewszystkiem „Gazeta narodowa", ~~[struck]~~ zamieszczała od czasu do czasu artykuły, które niezawiśle nie zgadzały się z rzeczywistą opinią kraju. – Właścicielem i głównym redaktorem Gazety narodowej, popularnie „Narodówką" zwanej był Jan Dobrzański, dawniej redaktor Wiesam, w czasach o których mówię, już tylko agitator, faiseur polityczny, tylko czasu w tych interesach i patrzący z których wydobyć jaką subwencyę, dla swego Dziennika. Dobrzański puszczał od czasu do czasu, jakiś wybitny, jakiś ogniem ziejący, jakiś artykuły, mając na względzie podnieść popularność jego gazety, albo też nie mogąc za co płacić dobrych współpracowników, rekrutował zdolniejszych i gorętszych studentów, którzy mu pisali polityczne ~~[struck]~~ brednie, lub fabrykowali we Lwowie korespondencye z Paryża, Londynu, Warszawy i Petersburga. – Gdyby jeszcze w redakcyi kontrolowano, co ci studenci piszą, ale najczęściej sam Dobrzański dowiadywał się o jakiejś niedorzeczności w Gazecie umieszczonej, dopiero po jej wydrukowaniu, za całe zaś towarzystwo rozmaitych interesów nie głowie, aby czytać wszystkie te elukubracye, które codziennie wpływały na stół redakcyjny. – Wprawdzie duszą redakcyi miał być Platon Kostecki, rutynowany Dziennikarz, i jeden z najpiękniejszych poetów w galicyjskiem Dziennikarstwie, ale p. Platon, idealista, poeta, strasznie ~~[struck]~~ fantastycznie zapatrywał się na politykę, nigdy się jej w praktyce nie dotknął, nigdy ze Lwowa nie wyjeżdżał i ulegał gorącemu patryotycznemu prądowi. Dziwną rzeczą, że ci dwaj najznakomitsi przez długie lata reprezentanci polskiego Dziennikarstwa w Galicyi, byli Rusinami, a Platon nawet znakomitym ruskim poetą. Platon stał nawet na idealnem [illegible] stanowisku unii Polski z Rusią, uważał nam się, że ci co sypią kopiec unii na wysokim zamku, sypią niezawiśle fundamenta, pod przyszłe porozumienie obydwu narodowości.. Tymczasem kopiec ten był kopcem z lotnego piasku, a w nim byłej fundamentalności więcej tylko Smolki, i kilku idealistów do których i Kostecki należał. Idea ~~[struck]~~ fixe Smolki był ten kopiec, który zaczął sypać na pamiątkę unii Polski

z Rusią. Z nami robota ta szła z trudnościami takich jak Smolka ideal-
ideologów, później mało pieniędzy na ten cel nie dawał, bo Rusini śmiali się z tej pol-
skiej fantazji, i Kopiec brzydszy [illegible] do sesca nie przyznawał. Smolka się jednak
zaciął i znaczną część swoich dochodów, przez długie lata, z [illegible] dawał
na to poświęcał, aby górę z piasku usypać. Jak tylko był we Lwowie, każdy wol-
ny chwilę na to używał, aby iść na zamek, brać taczki i wozić piasek z
góry na górę. Śmiano się z niego, owszem, ale Smolka nie dał się odwieść od raz po-
wziętego zamiaru, [illegible] wreszcie przekonaniu, że ta praca fizyczna około usypania
Kopca, nie mało się przyczyniła do jego zdrowia, i do tego, że tak późnych lat do-
czekał. – Otóż takich politycznych kopców z piasku stawiała galicyjska dzien-
nikarstwo bez liku, fantazje szybko się rozsypywały, ale przecież nie mało szkodziły
poważnej pracy, naszej delegacji w Wiedniu.

„Narodówka" jak Kameleon zmieniała barwę, raz szła z Gołuchowskim, drugi raz
znowu przeciw niemu i wysługiwała mamelukom, tak, że mamelucy musieli aż zało-
żyć nowy dziennik „Dziennik Polski", aby się jako tako bronić przeciw Dobrzańskiemu.
[illegible] Dobrzańskiego nowy Lama, najznakomitszego humorystę we Lwowie, a powieści
i Kroniki Lama [illegible] – Lama znałem osobiście, ale tylko z dwa
razy z nim krótko mówiłem, obcował on bowiem z ludźmi, z którymi się nie zadawał
[illegible]. Całemi dniami i nocami pił on po [illegible], w Mańkowskiego
[illegible] u [illegible], a gdy już [illegible] trzeba było napisać feuilleton [illegible]
[illegible] i na kilka godzin się zamykał. Stracił on w [illegible] i z [illegible]
[illegible] Krajowe [illegible], a znalazłszy sobie kilku [illegible] u tej, [illegible] tova-
[illegible] brał coraz bardziej w to życie, które mu zdrowie [illegible]. Do [illegible]
[illegible] towarzyszy, ten [illegible], że [illegible]
należał ks. Chaszycki – ożeniony z panną Żelińską, z Żurawna. Był to emigrant,
który sobie [illegible] starszą od siebie kobietę, a że ta żona, była bogatą
i nie [illegible] przy niej siedzieć na wsi, więc Chaszycki przyjeżdżał co chwila
do Lwowa, zabierał Lama lub Zagórskiego a często i Roberta Zajączkowskiego na Krajowe wi-
[illegible]. Zajączkowski nam nie opowiadał, że z Chaszyckim i towarzyszami pił od godziny [illegible]
[illegible] do 4 ej z rana, i to w [illegible], zawsze tylko oświeconym pokoju, w [illegible] Mań-
kowskiego. Życie takie podkopało zupełnie zdrowie Lama, to też wcześnie umarł ze szkodą
literatury. Lam był bardzo [illegible], [illegible] w młodszych latach [illegible]
[illegible], a mając dobrą pamięć, żył dawnemi intellektualnemi zapasami. – Gdy mame-
lucy założyli „Dziennik Polski", głównem ich zadaniem było, przyciągnąć Lama do
siebie, [illegible] go [illegible]. – Z nie małą szkodą Dobrzańskiego zamiar ten się udał,
i Lam w ostatnich latach swego życia pisał feuilletony do Dziennika polskiego, [illegible]
[illegible] okres ten jego piśmienniczej działalności był już [illegible], a najlepsza jego [illegible]
[illegible] była w Gazecie Narodowej. – Im bardziej „Dziennik Polski" był mameluckim,
tem więcej stawała się Gazeta narodowa [illegible], i „[illegible]" według [illegible]

Lama. „Tromtadracya" ochrzcił on owo kwartet stronnictwo polityczne, które oponowało, aby oponować, wrzeszczało, aby wrzeszczeć, nie widząc właściwie dla czego się nieco wyraźniej, dla czego wyszło na ludzi, prowadzących politykę kraju. — bo Lama wprowadził nie mało słów w galicyjskim słowniku, pomiędzy innemi i nazwę „baciarz", określającą indywiduum żyjące z dnia na dzień, zaniedbane, brudne, zapite, o którem się mówi tylko z pogardą.

Humorystyka ważną odgrywała rolę w tych czasach, a jak tylko polityczne życie w Galicji budzić się zaczęło, chwycono się zaraz humorystyki. Ten i ów młodzieniec, który poczuł w sobie cokolwiek dowcipu, a przytem umiał dość zręcznie rymować, aby wszystkich i wszystko krytykować, pisał uciążkowe wiersze, napuszył satyry, rysował karykatury niewprawną ręką. — Wiele rozwagi i sprawiedliwości nie trzeba też wymagać od tej powszechnej humorystyki, miała ona najlepsze chęci, często bardzo wiele dowcipu, ale chodziła z rozburzonemi włosami, konfederatką na bakier i wielkim kijem w ręku, bijąc na prawo i lewo, a nie patrząc nawet dobrze, gdzie razy zadaje. Taką była Kuźnia, wiersz. regularnie wychodzące pisemko humorystyczne we Lwowie, które powstało w roku 1861, dla braku jednak funduszów, krótkiem się tylko cieszyło istnieniem. Duszą Kuźni był p. Michałowski, młody technik, który się zaciągnął na ochotnika pod sztandar humorystyki. Pod inną nieco z Kuźnią nazwą wyszedł później Bąk, ale i ten nie długo trzymał ludzi — bo drukarze kazali płacić rachunki, a prenumerata dziwnie skąpo wpływała do redaktorskiej kasy. Publiczność jeszcze nie przyzwyczaiła była do karykatury, do przedrzeźniania powszechnych nawyków, gorszyła się wielce nowością, osobliwie jeśli nie widziała w niej żadnego pożytku. — Znów więc po upadku Bąka, nie było we Lwowie humorystycznego pisma i dopiero w r. 1865 założył Włodzimierz Zagórski tygodnik humorystyczny pod tytułem Chochlik, który wkrótce wielką zyskał sobie popularność. Zagórski był prawdziwie utalentowanym humorystą, pisał nadzwyczaj zgrabne obrazkowe wierszyki i odznaczał się w nich wdzięczną formą. Niektóre z jego poezyj, zamieszczone później w zbiorze jego pism, odznaczają się wyższym, prawdziwie poetycznym polotem. Bezwzględnie który z nich chciał sądzić o ludziach i stronnictwach, temby nie zawsze na prawdziwą trafił drogę, dla tego wierszyki pana Zagórskiego z owych czasów mogą służyć po większej części za bardzo dowcipne odbicie powierzchownej tylko opinii galicyjskiej, a zarazem też i wyraz tej niechęci wszystkich stronnictw. — Dziennikarstwo galicyjskie nie mogło się w pierwszych latach życia konstytucyjnego przyzwyczaić do lojalności, do tego, aby Polak brał udział w austryackim rządzie, a nie stał się wskutek tego schwarzgelberem; po namiestniku rodaku wymagano co najmniej oblężenia Niemców w Wiedniu, a po zejściu urzędnika przez lat kilka wszystkiego złego, które się przez sto lat gromadziło. Ulubionym też tematem humorystyki było wyśmiewanie lojalności, a Zagórski napisał wówczas na ten temat wyborny wierszyk o pewnej radzie powiatowej, który się budzi, przeciera oczy i z wielkim przestrachem powiada:

Mówiłem zaś straszny i okropny!
Zbrodniczy! grzeszny, fatalny!
– Śniłem, że jestem Polakiem,
Ja – Galicyjski lojalny...

Również wszelka powolna praca organiczna, wszelkie liczenie się z stosunkami, było czemś, czego ta młodzieńcza humorystyka dobrze zrozumieć nie mogła: sejm, chociaż czasem jaką pożyteczną powziął uchwałę, był jej nie dość, delegacya w Wiedniu zawsze za mało żądająca. – Z przychodzącem doświadczeniem i w miarę, jak młodym redaktorom lat przybywało, zapatrywania się cokolwiek zmieniały, stawały się stateczniejsze, a nie można w tej mierze odmówić zasługi późniejszemu pismu humorystycznemu Szczutkowi (powstał w r. 1869) które p. upadku Chochlika zaczął wydawać Liberat Zajączkowski. „Szczutek" chociaż także w niejednej sprawie szedł do boju, ale się utrzymać na wysokości uczciwych zasad, a nie przekolorował. Włodzimierz Zajączkowski przestawszy wydawać Chochlika, pisywał do Szczutka, a z czasem pozyskało nowe pisemko i innego bardzo zdolnego współpracownika: Włodzimierza Stebelskiego, który z razu występował pod pseudonimem Bojana, w ukraińskich ruskich pismach, później zaszedł się nawet do świętojurskiego Słowa, ale przypatrzywszy się bliżej stronnictwu, którego Słowo jest organem, przeniósł się stanowczo do polskiego Dziennikarstwa. Ale i do rysunków zrobił „Szczutek" przez dłuższy czas szczęście. Wybornej pomocy zyskał sobie w p. Dłotowskim, urzędniku Kasy oszczędności, który w wolnych chwilach rysował karykatury i pisywał korespondencye do Dziennika Poznańskiego. Karykatury Dłotowskiego odbijane w Szczutku, pełne werwy, życia i dowcipu pozostaną bardzo cennemi illustracyami pierwszego rozwoju parlamentarnego i autonomicznego życia w Galicyi. Takie wyborowe talenta, jak Leopolski i Sidorowicz wspierały także przez długi czas Szczutka, a później Tadeusz Rybkowski niejedną humorystyczną na przypiął życiu. Bo wyłącznie ogółu o ludziach i nie wyprowadzał Szczutek tak wielkiej od swego poprzednika utrzymać równowagę, a przynajmniej gdzie wszystkie zarówno i lwowskie mieszczaństwo i podolska szlachta i Stańczycy – kogo się wszystko. Często w ocenianiu pewnych znakomitości zrobił nieszczęśliwy zysk, bo w ogóle nie jest rzeczą humorystycznego pisma stawiać ludzi na piedestał i tworzyć stronnictwa, często przeciwnie uprzedzenia wrodzone grubą nieraz zaciemniały, ale trzeba koniecznie przyznać Liberatowi Zajączkowskiemu, że na „rozhukanych" falach galicyjskiej polityki ostrożnie rzeczy i statecznie swą nawę prowadził.

Dla trzeciej lwowskiej stała się nawet Gazeta ~~lwowska~~ narodowa za mało ruchliwa, za mało „patryotyczna", powstał więc pismo trzeci organ „niezależnej" opinii publicznej „Dziennik lwowski", opierający się głównie o Smolkę. Dziennik lwowski był na tradycyi trzydziestoletniego dziennikarstwa, szkalował ludzi politycznych na prawo i lewo, żył po większej części obelgą. – W ogóle zawiść, obelga stanowiły życie lwowskiego Dziennikarstwa, nic dziwnego, gdy ktoś z ludzi wybitniejszych zrobił jakie interesa finansowe czy ekonomiczne, rzucano się na niego, jak na dzikiego zwierzęcia i obrabiano bez

mot
ks. a
Drec,
dem,
mien
valny
przyby
nim
prom
nar
jest

ctow
rodzi
na pa
tęd
skien
Tark
lubi
jęt,
daj o
Strac
wid
się
prad
su...
barw
nojn
valo
ks.
nadw
nadza
tow
Stup
ycht
chap
cej
vrab

materialnego. ~~Wyb~~ Wybitną osobistością dla tych transakcyjnych stosunków był ks. Leon Sapieha, bo on stał na czele wielu finansowych przedsiębiorstw. – Do dziś dnia, w tej mierze nie wiele u nas lepiej, formalnie opinia publiczna zazdrości każdemu, kto szybko zrobi fortunę, a uspołecznienie takie bardzo jest szkodliwem dla ekonomicznego życia narodowego, bo wzbogacający się, który się ~~[illegible]~~ lepiej się ~~[illegible]~~ musi na każdym kroku walczyć z zawiścią. – Przypominam sobie, że swego czasu profesor Małecki, który przybył z Poznańskiego do Galicyi, mówił, że ~~[illegible]~~ społeczeństwo naród polski jest najbardziej zazdrosnym i zawistnym, ze znanych mu społeczeństw, że jednak dwór w mniejszym stopniu tę wadę posiada, aniżeli Poznań, Warszawa lub Kraków. – Co do mnie, najmniej dziś tej opinii Małeckiego, zdaje mi się owszem, że dwór być może nie jest pod tym względem lepszym, od innych miast polskich.

Że za rządów Possingera [illegible] coraz mi się gorzej zaczęło powodzić w namiestnictwie, moja „Kariera" spadała jak barometr na niepogodę. Possinger znał moich rodziców, gdyż jako radca namiestnictwa bawił u nich w [illegible], przez kilka dni na jakiejś urzędowej komisyi, a że był dobrze i grzecznie przyjęty, więc ~~[illegible]~~ mile z tem tych wspomnień ~~[illegible]~~. Ale Possinger, pomimo że Kraj[illegible] swój zawdzięczał [illegible] [illegible], nie lubił go w duszy i przenosił swoją niechęć na wszystkich, którzy byli [illegible], nie [illegible] w [illegible] namiestnika. Nadto Possinger, jako biurokrata z[illegible] i [illegible] nie [illegible] [illegible] nie lubił i podejrzywał literatów i [illegible], a że ja właśnie w czasie, kiedy on rządził, [illegible] [illegible], więc to było dostatecznem, aby na mnie nie [illegible] [illegible] okiem. Na odlitek jeszcze, powiastka moja „[illegible]", który się zaczęła drukować w „Kraju", i nie odznaczała się złymi moralnemi scenami. – Gdy więc Possinger ~~[illegible]~~ zatrzymał [illegible] po raz pierwszy biura namiestnictwa i przyszedł do [illegible] [illegible], ~~[illegible]~~ [illegible] przedemną i zapytał, czy ja jestem autorem drukującej się w „Kraju" „[illegible]", a gdy mu odpowiedziałem twierdząco odpowiedziałem, zawarczał – „a... a... prosz, [illegible]..." takim tonem, iż widziałem, że już na jego poparcie liczyć nie mogę. – [illegible] bowiem też przydzielił mnie z [illegible] [illegible] do [illegible] w „[illegible]", najpierw najmniejszego biura, jakie sobie wystawić można. – Było to biuro, które się zajmowało regulacyą zmniejszonych służebności gruntowych, wydawało w tej mierze wyroki, które, ponieważ tutaj chodziło o własność gruntową, musiały być pisane z nadzwyczajną ścisłością i pedanteryą. Naczelnikiem tej komisyi zamianowany był radca namiestnictwa, Edward Podlewski, ~~który~~ przypominał mojego wuja Domańskiego [illegible] z Krakowskich czasów, najmniejszego [illegible], jakiego miałem w dłuższej mojej służbie rządowej. – [illegible] z natury, a pozujący na gentlemana i dobrze wychowanego człowieka, ciasny umysł, zarozumiały, pedant i drobiazgowiec, o odpychającem obejściu, miał mnie niby poprawiać, i z drogi literackiej mi zgadzającej się z [illegible] urzędowej, sprowadzić na drogę biurokratycznej cnoty. – Podlewski był właśnie tylko naczelnikiem tego oddziału, bezpośrednim zaś moim [illegible]

został Bartmański, co dla mnie nie było pociechą. Gdy Bartmański wchodził do swego biura i ~~przechadzał~~ krążył przez nasz duży pokój, w którym [illegible], nas pięciu siedziało urzędników, wszyscy się zrywali z miejsc i na wyścigi biegli otwierać mu drzwi, za co on dziękował lekkiem skinieniem głowy. Ja w tych wyścigach nie brałem udziału, co mu się także było źle widziano. — Pomimo więc, że byłem najpilniejszym w tem biurze, nie zajmowałem ~~byłem bynajmniej~~ stanowiska Benjaminka, a nadto tego sposobu pisania, jaki tam był utarty w zawiłych sprawach, nauczyć się nie mogłem. — Na wierzchu stołu do pisania leżał u mnie akt serwitutowy, pod bibułą arkusz z powieścią lub korespondencyą, który znikał w szufladzie, jak tylko Bartmański, lub Sobolewski wchodził do pokoju. — Zajęcie więc uważałem denerwujące, a to dzielenie swej uwagi pomiędzy felietonem a aktem serwitutowym — ani jednemu ani drugiemu na dobre nie wychodziło. — Równocześnie ze mną był w ~~tem biurze~~ serwitutowem Rittner, późniejszy minister dla Galicyi, nie przesiedział on jednak długo w biurze, bo przygotowywał się do profesury z prawa kościelnego; wreszcie, kaszlący, chorowity, ale bardzo zdolny młody uczony, mało się z kolegami wdawał, bo nie miał na to czasu. Także Kazimierz Badeni przeszedł przez to biuro, ale go już tam nie zastałem, bo wówczas był zastępcą starosty w Żółkwi. Została wszakże jeszcze po nim świeża tradycya, że ani jednego wyroku serwitutowego sam nie zrobił, ale ~~pisał~~ wypracowywał za niego referenty kolega Henryk Sitkiewicz, wprawny w serwitutowych sprawach. Badeni płacił mu za to, a referaty tylko ~~odpisywał, aby~~ własnem pismem odpisywał. — Odwiedziłem nawet raz Badeniego w Żółkwi, do czego sposobność był powód. — Opatem żółkiewskim był bardzo znany ksiądz Nowakowski, kolega mojego ojca, szczery i oddany przyjaciel, który wszakże tyle miał zasługi, że wyrestaurował kościół żółkiewski. Ksiądz Opat poznał mnie we Lwowie, życzliwie przyjął, jako syna swego kolegi szkolnego, a że miał młodą siostrzenicę, pannę Stangrińską, więc jakieś matrymonialne co do mnie robił projekta. — Zaprosił mnie, więc do Żółkwi pojechałem, obwoził mnie po zabytkach, zapoznał z siostrzenicą, ale jakieś nie bardzo przyjemne wyniosłem z tej znajomości wrażenie, bo drugi raz do Żółkwi nie pojechałem.

~~XXVI~~. IX.

Z początkiem roku 1872 powziąłem myśl pojechania do Wiednia, bo prócz biura i biurka więc świata nie widziałem. Z tego co ~~napisałem~~ się dało, pozgromadzałem fundusz, oszczędzając najwięcej za ~~fotografii~~ współpracownictwo w „Kraju", tak, że wreszcie z 600 fl., które mogłem wydać w sześciotygodniowej podróży. — Żyłem wówczas bliżej z domem państwa Laskowskich. — Laskowski był obywatelem ziemskim z Zaleszczyk, wybranym do dyrekcyi Towarzystwa Kredytowego, więc mieszkał wraz z żoną, z dwoma synami i dwoma córkami we Lwowie. Sam pan Laskowski był niezmiernym pedantem, pani Laskowska, z domu hr. Łosiówna, ~~co się bardzo zaznaczało~~ o czem się dziś mówi, przesadna baba, dobra jakich mało. Ale dzieci były przyjemne, a z najstarszym Kazimierzem, ukończonym świeżo prawnikiem, dość się zaprzyjaźniłem. Państwo Laskowscy, dowiedziawszy się, że mam zamiar jechać do Wiednia, prosili mnie, żeby i Kazimierz mógł razem ze mną jechać, mając bowiem wysokie wyobrażenie o mojem

wyk[illegible]
g[illegible]
kiem[illegible]
wolny[illegible]
Tem, [illegible]
Lark[illegible]
wej [illegible]
cza-[illegible]
O[illegible]
Tego [illegible]
cy, [illegible]
proto[illegible]
wyraz[illegible]
u kto[illegible]
„estety[illegible]
i op[illegible]
sy, z[illegible]
pirow[illegible]
towan[illegible]
z Tr[illegible]
wyjan[illegible]
było [illegible]
mi[illegible]
sowa[illegible]
god, [illegible]
poli[illegible]
ni, z[illegible]
racy[illegible]
tyć [illegible]
rozw[illegible]
znała[illegible]
zu[illegible]
nim[illegible]
towa[illegible]
porty[illegible]
od wło[illegible]
tu C[illegible]
Tam[illegible]
ten [illegible]
racy[illegible]

wykształcenia. Uważałem, że podróż we dwóch będzie mniej kosztowała, aniżeli gdybym się wybrał sam jeden, zgodziłem się na to towarzystwo i jakoś z początkiem kwietnia pojechaliśmy na Wiedeń i Tryest. Do Wiednia i Tryestu miałem wolny bilet dziennikarski na kolej żelazną, więc dlatego tanio się nam podróż dostała, ale w drodze już zacząłem bardzo żałować, że się obarczyłem towarzystwem Laskowskiego, bo pan Kazimierz miał w swem usposobieniu z matki dużo ckliwej przesady, a nadto niedoświadczeniem był skąpy i żal mu było każdego wydanego krajcara. Psuło więc mnie co chwila i psuło humor podniecony nowemi wrażeniami.

Ogromnie widok Adryatyku po za Nabresiną uderzył mnie najbardziej, tak wspaniałego obrazu dotąd nie widziałem. Zaraz jednak przyszło mi na myśl, jak ówcześni tacy estetycy, jak np. krakowski profesor Józef Kremer nic nie mieli w swych spostrzeżeniach prócz tego, jak w swych pismach nie dawali o niczem jasnego wyobrażenia. Prof. Kremer wyraził się np., że ten widok może sprawić na niejednym takie wrażenie, jakie się ma, gdy kapłan w kościele podnosi monstrancyę. Oklepane banalności, któremi się karmiły ówczesne „estetyczne” umysły. – Jedliśmy w Hotel-de-la-Ville siedząc w oknie, z Laskowskim i spoglądali z zajęciem na życie w porcie, zrobiło mi się naraz bardzo gorąco i podsunęła się, patrzę, lekka firanka w płomieniach. – Laskowski upuścił tlejącego się papierosa, od którego się firanka zapaliła. Wyliczyliśmy to szybko, zalano ogień, ale nam towarzyszom wstawiono sporą sumę w rachunek, co mu popsuło humor na całą drogę.

Z Tryestu pojechaliśmy nocą do Wenecyi; wschód słońca, ranek był prześliczny, a wyłaniające się miasto z wód ze spokojnych, nagle porannym ogrzanych wód morskich było dla mnie drugim takim obrazem, którego nigdy nie zapomnę. – Ogromnie z zamiłowaniem turystów zwiedzaliśmy wszystko, o ile nas starczyło, ale na mnie zamiast sprawiła ogromnie więcej całość weneckiego obrazu, weneckiej cywilizacyi, aniżeli osobne gody, aniżeli części, obrazy, nazwiska mistrzów, które się rozpływały w całości bardzo potężnego wrażenia, jakie na mnie zwrócony świat wywarł. Formalnie zdawało mi się, że się w moim umyśle rozsnuwa jakaś kotara, która mi zasłaniała wielką cywilizacyę zachodniego świata, i że dopiero po raz pierwszy zaczynam patrzeć na świat bogactwa. Żadne w późniejszem mojem życiu zdarzenie nie wywarło na mój umysł równie wielkiego wpływu, jak ta pierwsza włoska podróż. – Na sztuce pewnie się nie bardzo znałem, brak mi było szczegółowego w tej mierze wykształcenia, więc nie rozróżniałem szczegółów, ale tem więcej byłem zajęty całością. – W Wenecyi mieszkaliśmy w małym niemieckim hoteliku „Città di Monaco”, gdzie portyer szczególniej się zajął moim towarzyszem podróży. Laskowski miał bowiem jedną nogę krótszą i nosił kulę, a portyer, zapewne mający w tem interes, aby zrobić reklamę jakiejś sławnej doktorce, od włościanki w Conegliano, namawiał go, aby jechał do tej baby, która swemi maściami i ziołami z pewnością mu nogę wyprostuje. Portyer odwoływał się na właściciela hotelu, ten znowu na kogoś innego, a wszyscy przytaczali mnóstwo przykładów cudownych kuracyj baby z Conegliano. – Na Laskowskim zrobiły te namowy wielkie wrażenie

i nową ochotę zaraz jechać, oblewałem go trochę w tej mierze zimną wodą, gdy jednak widziałem, że ma mi trochę za złe moje perswazje, więc dałem spokój, i stanęło na tem, że zrobi ze mną całą podróż, jak była w projekcie, wróci ~~pojedzie~~ do domu, i dopiero z tamtąd pojedzie na dłuższy czas do Conegliano.-

Wyjechawszy z Wenecji zatrzymaliśmy się w Mediolanie i w Genui, później w Pizie, a w Rzymie zajechaliśmy do hotelu Minerva, na dłuższy pobyt.- Widok ulicznej w Rzymie, nawołującymi przekupniów z owocami, zimną wodą, jarzynami, pieczywem, ożywiło mój umysł, i więcej byłem tem wszystkiem zajęty, aniżeli świętym Piotrem, po którym więcej się spodziewałem.- Obraz świętego Piotra tak potężnie się malował w moim umyśle, że nieprzestoić mi dochodziła do tej potęgi. Również mało to w dzieła największego malarza świata, Rafael nie zrobił na mnie spodziewanego wrażenia, obrazy mistrza wydawały mi się chłodne, akademickie i nie przemawiały mi, ani do serca, ani do imaginacyi.- Natomiast dawny Colosseum utkwił ~~zapisał~~ mi w pamięci, jako najpotężniejszy ~~najpiękniejszy~~ wyraz ludzkiej siły, i wzbudził we mnie taki szacunek dla starożytności, jakiego mi żaden profesor gimnazjalny, wraz z łacińskiem Homerem, ... wzbudzić nie był w stanie.- Z Rzymu zrobiliśmy jeszcze wycieczkę do Neapolu i na Capri, a wypadek zdarzył, że właśnie wtedy był bardzo silny wybuch Wezuwiusza (wiosna 1872). W Rzymie czytałem pełno biuletynów o wybuchu, a w hotelu nie bardzo nam do Neapolu jechać doradzano.- Mimo to pojechaliśmy i dobrze się stało. Z jakie pół godziny drogi koleją przed Neapolem liście na drzewach były już zupełnie szare od popiołu, który Wezuwiusz wyrzucał, w samem mieście na ulicach pełno było czarnego pyłu i małych lekkich kamyczków, skwery, drzewa przedstawiały smutny widok, nigdzie nie było zielonego listka. Popiół lekko jeszcze padał, a mnóstwo ludzi chodziło z parasolami. Niebo zamglone, szare, smutne sprawiało wrażenie. Zajechaliśmy do Hotelu Genève, w którym mało było gości; cudzoziemcy bowiem po willach ... powyjeżdżali, obawiając się trzęsienia ziemi.- W lokalnych ~~...~~ dziennikach uspakajano ludność, która była w gorączce, osobliwie z powodu rozsiewanych wieści, że w popiele, który wulkan wyrzuca, jest arsenik, i że skutkiem tej wilgoci nastąpi pomór.- Aby lepiej widzieć słup ognia wznoszący się nad Wezuwiuszem, przyjechaliśmy późno w nocy ~~...~~ w Camaldoli, gdzie popiół nie dochodził, i zkąd wybornie mogliśmy ~~widzieliśmy~~ się przypatrzeć potężnemu zjawisku natury. Nazajutrz dnia zaczęło się wypogadzać, po ulicach zgarniano popiół na kupy, bose chłopaki rozkoszowały się tem miękkiem posłaniem.- Zrobiliśmy w kilka dni później wycieczkę ku strumieniom lawy, która zalała wszystkie niższe przedmieście Massy i przedstawiała obraz strasznego zniszczenia. Mocny zapach siarki, tu i owdzie ze szczelin stygnącej lawy wybuchające małe płomyki, dopalające się drzewa, wszystko to sprawiało wrażenie jakiegoś dantejskiego krajobrazu.- Do hotelu wróciliśmy z przepalonemi u butów podeszwami od gorącej lawy i z wrażeniem smutku i grozy.- Dla tej okrężnej popłynęliśmy na Capri, przybyło tam zyskanie morskiej choroby, ale cudowna pogoda kilka dni następnych pozwoliła nam oglądać błękit w pełni wiosennego światła, wiosenny

woni, wiosennych barw, a dzisiaj jeszcze po latach 26. wydaje mi się, że czuję tę woń kwitnących róż, mirtów i pomarańcz, która tak silnie po raz pierwszy działała na człowieka północy. Cudowny krajobraz, wspomnienia historyczne o Tyberjuszu, wreszcie śliczna Maruccia, córka gospodarza hotelu Grande Bretagne – to wszystko musiało bardzo rozmarzyć młodego biurokratę. – Z powrotem, przekonałem się w Wiedniu, że przecież dobrze podróżować w towarzystwie ludzi bogatych, albowiem moja kasa wyschła do grosza, i nie byłbym za co miał wrócić do domu, gdyby uprzejmy Lasocki nie był mi pożyczył kilkudziesięciu guldenów. – Powróciwszy pisałem do „Przeglądu polskiego" w Krakowie „Szkice z Włoch", z których dzisiaj nie bardzo byłbym zadowolony.

W ogóle wówczas dużo pisałem. Gdy Gołuchowski w roku 1871. po raz trzeci został namiestnikiem, postanowił z urzędowej Gazety Lwowskiej, zwanej dotąd pogardliwie „Lembergerką" stworzyć organ wprawdzie urzędowy, ale zajmujący i czytany. Gazeta miała dużo po temu warunków, aby konkurować z innemi niezależnemi dziennikami we Lwowie, albowiem materjalnie mogła stać wyśmienicie. Wszystkie ogłoszenia urzędowe, konkursy, obwieszczenia sądowe musiały być w niej umieszczane i dawały jej dużo dochodu, tak dalece, że sporą sumę czystego zysku odsyłała administracja Gazety do Skarbu Państwa. Zysk ten postanowił Gołuchowski użyć na podniesienie wartości dziennika, i na zamienienie „Przewodnika do Gazety Lwowskiej", lichego co miesiąc wychodzącego zeszytu w zeszyty ~~zeszytowy~~ na Dodatek literacki, mogący współubiegać się z „Przeglądem polskim" w Krakowie. Celem przeprowadzenia tej reformy Gazety Lwowskiej powierzył Gołuchowski jej redakcję Władysławowi Łozińskiemu, dawniejszemu redaktorowi „Tygodnika literackiego".

Władysław Łoziński był synem podleśniczego w Samborskiem, który miał trzech synów: Walerjana, zmarłego wcześnie powieściopisarza, Władysława i najmłodszego Bronisława. Wszyscy trzej bracia chodzili po kolei do gimnazjum samborskiego, a następnie skończyli uniwersytet we Lwowie. Walerjan zyskał sobie bardzo popularne nazwisko swemi powieściami osnutemi na tle stosunków Galicji wschodniej, Władysław miał przez jakiś czas posadę przy Bibliotece Ossolińskich, z zamiłowaniem rozczytywał się w rękopisach i źródłach wieku XVIII., tak, że doszedł do ~~...~~ nadzwyczaj gruntownej znajomości owych czasów. – Pisał dość dużo, pomiędzy innemi bardzo zajmujące szkice, z pierwszych dziesięciu lat panowania austrjackiego w Galicji, pod tytułem „Galiciana", i uchodził za bardzo wykształconego pisarza, który się nie wdawał w politykę. Zalecił go obecny szef prezydjalny Gołuchowskiego, który znał dobrze ~~...~~ Władysława ~~Walerjana~~, bo zmarły młodszy brat Filipa, trochę literat, kolegował był z Walerjanem, i przedstawił go Gołuchowskiemu, jako bardzo odpowiednią do ~~...~~ zreformowania Lembergerki osobistość.

Łozińskiego znałem jeszcze z czasów pierwszego mego pobytu we Lwowie, i wtedy nawiązałem z nim stosunki. Mieszkał on w małym pokoju, na pierwszem piętrze w oficynie hotelu europejskiego, gdzie go często odwiedzałem. W pokoju tym prócz szczątków Dziennika literackiego, łóżka i stolika nie było wiele gratów, otoczenie Władysława było bardzo ubogie, ale z natury skromny i rozumny, nosił on

głowę

wyro
stary,
nio,
ni m
wytwór
na n
prakty
tiej
dzy
trzeci
powa
jem
w lic
pami
Gtcz
mocy.
język
zam
może
towi
go i
ocowe
nosto
Świto
w an
ni r
ściły
piś
przy
bard
takie
ści
w ki
sięgy
Tilij
z od
sitr
bić
nie

wzroku i ~~pewność~~ wolał samodzielność nad oddawanie się z miserą plebs dziennikarstwa. Ni-
ski, chudy, o rozbujanych czarnych włosach, dość brzydki; ale o rozumnem bardzo wyraże-
niu, miał krok śmiały, trochę ciężki. Unikał towarzystwa, bo ~~tam~~ w kołach gdzie by mu był bywać
nie ~~miał~~ znajomości, a wolał „literatów" jego rasy.. Z domu nie miał wyższego
wykwintnego wychowania, ale wczytując się długie lata w listy i pisma z XVIII. wie-
ku nabrał pewien rodzaj wystudyowanej ogłady, pewnej, raczej teoretycznej, niż
praktycznej poloru wielkoświatowego. Przy każdej okazji w życiu umiał zacytować ja-
kieś opowiadanie, lub jakąś anegdotę, naszpikowany był cytatami, jak plum-pu-
dding rodzynkami. Gdy jednak był w dobrym humorze, umiał też swoją anegdotę bardzo
trafnie w opowiadanie wplatać; mówił dużo i zajmująco, gdy mu jednak, jak to
powiadają, mucha siadła na nosie, milczał, obrażał się i był ~~opryskliwy~~ opryskliwy. Nie będąc
jeszcze przyzwyczajonym do wielkiego, zwłaszcza wielkiego towarzystwa, ~~milczał~~ mało mówił, gdy się znale-
zł w liczniejszem gronie, gdy jednak spostrzegł, że mu ludzie okazują sympatię, że mu
panie pochlebiają, starał się błyszczeć, i cytował wówczas francuskich autorów.
Cytaty te nie zawsze wypadały przyjemnie dla ucha przyzwyczajonego do francuskiej
mowy, bo Władysław nauczył się sam po francusku, a ~~choć~~ chociaż lepiej znał ten
język od wielu guwernantek, przecież wymowę miał bardzo ważną.

Łoziński poświęcił przedewszystkiem, część literackiej Gazety Lwowskiej i w feuilletonie
zamieszczał same nader zajmujące, pełne rozmaitości i co do formy będące o ile
możności, bez zarzutu. Zgromadził on też około Gazety całe grono literackich współpra-
cowników, pomiędzy którymi prawie najpilniejszymi byli: Dr. Rolle z Kamieńca podolskie-
go i ja. — Gazeta zamieszczała mnóstwo nowych ciekawych i wzbudzała zazdrość i nienawiść inne-
go ówczesnego dziennikarstwa. Z razu starano się przemilczać wszystko, co się do jej rozwoju do-
[illegible], później napadano na Łozińskiego, pod różnemi powodami, ale to wszystko nie szko-
dziło Gazecie, która doszła około roku 1876. do 7.000 abonentów, niebywałej dotąd cyfry
w annalach galicyjskiego dziennikarstwa. — Łoziński z nadzwyczajną sumiennością oddał
się redakcyjnej pracy, reformował ~~sobie~~ przedewszystkiem całą redakcyę, pozbył się zbytnich
i zbędnych ludzi do pomocy, sam czytał i przeprowadzał rewizyę [każdej] Gazety, i nie puś-
cił żadnego błędu, żadnej usterki. — Wskutek tego nie mógł już ~~Łoziński~~ oddawać się literackiej
pracy i prawie nic nie pisał, jak długo był redaktorem Gazety. — Gołuchowski ~~Łozińskiego~~
bardzo go polubił i niebawem Władysław doszedł do ~~bardzo~~ nader wpływowego stanowiska, do czego mu
także pomogło polepszenie się jego materyalnych stosunków. — Łoziński zawarł najpierw kontr-
akt na papier dla Gazety, i spore na tej dostawie miał dochody, później założył drukarnię,
w której się drukowała Gazeta Lwowska, i na której zrobił znaczny nawet majątek, sięga-
jący z czasem paru kroć stotysięcy guldenów. — Do założenia drukarni pomógł mu bardzo
Filip Zaleski, który z funduszów przysądzonych namiestnictwu udzielił mu pożyczki,
z dochodów drukarni spłacać się mającej. — Drukarnia nadspodziewanie dobrze robiła
interesa, tak, że niebawem prawie cały dług został spłacony, i Łoziński zaczął ro-
bić majątek. — Sprowadził starych rodziców do Lwowa i dał siostrze, starej pannie
niewyposażonej, brzydkiej, i ~~zaczął~~ pozostał przy nich w pensyi. — Do spłacenia ostatniej
raty

pozy[illegible]
zwój[illegible]
ostka[illegible]
ale [illegible]
praw[illegible]
[illegible]
Ina [illegible]
Ta p[illegible]
Mój Bó[illegible]
Zmart[illegible]
i pój[illegible]
jutek [illegible]
i cha[illegible]
idąc [illegible]
Jadwi[illegible]
żyć [illegible]
dow[illegible]
Maren[illegible]
zarad[illegible]
Pozna[illegible]
go p[illegible]
robi[illegible]
ri o[illegible]
Mai[illegible]
szzen[illegible]
Gener[illegible]
jak [illegible]
Mię[illegible]
o a[illegible]
ni a[illegible]
lat, [illegible]
dow[illegible]
Klo[illegible]
nię[illegible]
bój[illegible]
ra [illegible]
mi [illegible]
Mus[illegible]
mi [illegible]
bry[illegible]
Tatk[illegible]

pożyczył ode mnie, jeżeli mnie pamięć nie myli 500. zł., które jeszcze przed terminem zwrócił.— Nie mając nigdy do czynienia z interesami, nie chciał z razu zakładać drukarni, obawiał się, że udzielonej mu z namiestnictwa pożyczki spłacić nie potrafi, ale w końcu, głównie moim nalegań namowom, założył tę drukarnię, która się okazała prawdziwą kopalnią złota.

Jakoś w kilka lat po moim do Lwowa przyjeździe, pojawiła się we Lwowie, bardzo pię-kna panna z Podola rozgłoszona (?), panna Jadwiga Starzyńska (?), która oddana zosta-ła pod opiekę pani Mazurkiej (?) i księżnej Sapieżynej.— Zdaje się, że jakieś stosunki ojca, który był wdowcem, zmusiły ją do opuszczenia rodzicielskiego domu, więc przyjechała do Lwowa, aby tutaj osiąść i pójść za mąż, co nie było trudnem, bo nadzwyczaj sympatyczną miała urodę i spory ma-jątek, wynoszący kilkadziesiąt tysięcy rubli.— Panna Jadwiga powszechnie zwracała uwagę, bo i charakter jej był bardzo niepospolity: zamknięta w sobie, niedowierzająca, pełna tej sro-giej ukraińskiej zadumy, która tyle ma uroku.— Gdy się rozniosło po Lwowie, że panna Jadwiga ma ładny posag, i że ją księżna Sapieżyna protegowała, dużo młodzieży zaczęło krę-cić około niej, a ostatecznie znalazł się tam i jeden z Pilatów (?), bez którego we Lwowie nigdzie się obejść nie mogło. Panna Jadwiga długi czas odmawiała wszystkich kon-kurentów, aż niespodziewanie oddała swą rękę Ksaweremu Liskemu, młodemu profe-sorowi historyi powszechnej uniwersytetu lwowskiego, który niedawno przeniósł się do Galicyi z Poznania, gdzie był przez długie lata (?) nauczycielem gimnazyalnym.— Liske był bardzo niskie-go pochodzenia, jedynym synem szewca i niesympatycznym człowiekiem. Ostry, kanciasty, robił wrażenie jeża, ale w zawodzie swym bardzo ścisły, bardzo pracowity. Pisywał on tak-że dużo z zakresu dziejów Polski, ale miał styl ciężki, niejasny i jako pisarz nie zy-skał sobie większej popularności, natomiast uczniowie uniwersytetu bardzo go lubili, oceniając się bowiem oddawał ich wykształceniu, i wychował, że tak powiem, całą generacyę młodych, bardzo tęgich uczonych.— Nazywano go „jeżem" Liske, bo cały wyglądał jak badyl zasuszony, miał blond włosy, żółtą bladą cerę i z upodobaniem nosił ja-kieś ubrania brązowe, tak, że bardzo anemicznie wyglądał.— Liske zaraz po przyjeździe do Lwowa zbliżył się do Łozińskich, Kasprzyców (?) Władysław może więcej z powodu pa-ni Liske, aniżeli samego Ksawerego dotrzymywał stale przyjaźni państwu Profesorom, tak, że niebawem ich dom stał się bardzo znanym ogniskiem literackiem we Lwowie, do którego należeli młodzi profesorowie uniwersytetu, jak Wojciechowski, Ćwi-kliński, Hirschberg, Kubala, jak też obaj Pilatowie i wielu innych. Z tych Wojciechowski był najsympa-tyczniejszym i najsympatyczniejszym, chociaż jednocześnie najmniej znanym człowiekiem. Wojciechowski pochodził z Krakowa, także z bardzo ubogiej rodziny, przyszedł do Lwo-wa na małego urzędnika uniwersyteckiej biblioteki, pracował zawzięcie nad początkowe-mi dziejami Polski i niebawem odznaczył się pracami, które w świecie uczonych prawdziwą sprawiły sensacyę.— Cichy, spokojny, skromny, wytrwały, Wojciechowski nie troszczył się o świat, gotował herbatę na blaszanym samowarku, jadł bułki z bryndzą i studyował swoje szpargały.— Z wybitniejszymi pisarzami do świata przyszedł także z Poznania p. Ćwikliński, na profesora filologii klasycznej na uniwersytecie

krakowskim. Ćwikliński był cudownem dzieckiem pomiędzy filologami; bo jeszcze nie mając, miał lat 22 jak został profesorem. Kwintesencya niemieckiej filologicznej uczoności, zarozumiały, ambitny, zazdrosny, chciwy dokuczania wszystkich odbierał, aby dla niego tylko otwartą była wielka kasa. – Lubił on się kłonić przed panami, wszedłszy ks. Lanckoroński zabrał go później do Grecyi ze swą naukową wyprawą, co mu naówczas wielce pochlebiało. – Mało jeszcze wówczas odznaczającą się figurą był Hirschberg, ostatni gimnazyalny, także historyk, który przez sposobność nacisk na swoją polską narodowość, z powodu swego niemieckiego nazwiska i tej okoliczności, że jego ojciec był komisarzem lwowskiej policyi i w ten najprzyjemniejszy sposób zapisał się w pamięci opinii publicznej. – Roman Pilat był już wówczas docentem literatury polskiej i wyjechał do tego, żeby Małecki najprędzej ustąpił i wolną mu pozostawił katedrę. – Ciemnemu temu gronu dość suchych uczonych nadawała pani Liske urok, że opromieniała ich swym wdziękiem i łagodziła swym taktem rozmaite sprzeczności. Nigdy o nikim złe nie mówiła, wielkie plotki były, i jej domu wykluczone, broniła nawet rozmaitych niedorzeczności i nietaktów – pani Małeckiej.

Zupełnie inną koteryę, koteryę obejmującą klin w wielki świat arystokratyczny lwowski zajęło towarzystwo Zdzisławostwa Marchwickich. – Zdzisław wyemigrował po powstaniu do Paryża, zetknął się tam z finansowemi kołami, spekulował na giełdzie, wygrał znaczne pieniądze, następnie je przegrał i przyjechał do Galicyi, aby tutaj szukać kariery. Marchwicki pochodził z obywatelskiej rodziny w Królestwie, był bardzo przystojnym mężczyzną, [illegible], sprytnym, grzecznym i wybornie mówił po francusku. W Krakowie ożenił się z jedną z młodszych córek kasztelana Łempickiego, Julią; kasztelana, który wprawdzie nigdy nie był prawdziwym kasztelanem, ale miał dwadzieścia troje dzieci. Marchwicki nie dostał wprawdzie za swą żoną posagu, ale wszedł w bardzo dobre rodzinne stosunki, bo Łempiccy byli skoligaceni z mnóstwem szlacheckich rodów polskich, co dla młodego emigranta było ważną rzeczą. Pani Marchwicka ładna, przystojna, brunetka wysoka o ujmującym znalezieniu się, z wielkim wdziękiem umiała być gospodynią domu i gromadzić około siebie wyższe i zawsze liczne towarzystwo. – ~~[illegible]~~ W lipcu r. 1869 założyli ~~[illegible]~~ po

~~Marchwicki~~ Ks. Kalikst Poniński, Lubomirscy, Sapiehowie w połączeniu jeszcze z [illegible] innemi finansowemi wielkościami Galicyi ~~założyli~~ we Lwowie ~~[illegible]~~ Bank kredytowy galicyjski ~~[illegible]~~ z kapitałem zakładowym 6.000.000 złr. – Prezesem Banku został Ks. Kalikst, wiceprezesem ks. Włodzimierz Russocki, a do Rady zawiadowczej dostał się [illegible] Zdzisław Marchwicki. Dopomogły mu do tego oczywiście potrzebne znajomości Łempickich, wujów Sapiehów, którzy wtedy finansistów emigrantów bardzo w Galicyi protegowali. Zdzisław uważał za sobą „praktyki" finansowe paryskie i wielki spryt do interesów, tak, że niebawem bardzo znaczące zajął miejsce w radzie nadzorczej, wybrany został do komitetu wykonawczego Banku, a gdy Simon, znany we Lwowie finansista został później dyrektorem zakładu, Marchwickiego zrobiono wicedyrektorem. ~~Marchwicki~~ ~~[illegible]~~ Umarł on się otwarte zwolna potrzebnym, zjednał sobie mnóstwo stosunków, tak w arystokratycznym, jak i w innych kołach, podbijał serca pięknością ~~kobiet~~ lwowskich, a przed jej uprzejmością i wygodą ~~[illegible]~~ wszystkie drzwi się otwierały na oścież.

Niem
Su
Kard
nowi
nej n
ni lo
ko,
życie
ned
nięg
blis
naś
mow
li h
Moi
jaki
cy, a
gosp
mne
czas
ny o
nieg
ni
powr
pann
Swój
Su
ja
mi p
jest
za w
rozes
zape
nSi
las
dop
Go n
o le
jed

Wiernym był w życiu człowieka, który staropolskie przysłowie „łapką, czapką i solą, będziesz ludzi niewolą", tak dosłownie i z takim entuzjazmem wprowadzał w życie. Każdego zyskać sobie sympatię, kto tylko jakiekolwiek trochę wybitniejsze zajmował stanowisko było jego codziennem zadaniem, o którem nie zapominał od rana do późnej nocy. Przedewszystkiem chciał sobie zapewnić silną podstawę w arystokratycznym świecie lwowskim, był więc wszystkim uniżonym dla wszystkich wielkich panów, dla Sapiehów, Gołuchowskich, Dzieduszyckich, i t. d., a chcąc im w wielu interesach być pożytecznym, zawiązywał stosunki w świecie urzędniczym, kupieckim, a nawet żydami nie gardził, ale starał się pomiędzy niemi stać się popularnym. Na nikogo złego słówka nie powiedział, kto tylko mu okazywał sympatię, z dziennikarzami blisko zawiązywał stosunki, wyjednując im w swym banku pożyczki. Dom zaczął prowadzić otwarty, a chociaż nie miał jeszcze na to funduszów, aby tak urządzać u siebie, jak to później czynił, przecież już państwo Marchwiccy urządzali herbaty, na które starali się zgromadzić co najwięcej najwybitniejszych osób. Mieszkali jeszcze wtedy dość daleko, za miastem, w mieszkaniu tanio wszystkiem od jakichkolwiek zakamarków, wchodziło się, zdaje mi się do pomieszczenia jadalnego pokoju wprost z ulicy, a wszystko z dosyć podróżna, ale herbata była też dobrze podana, towarzystwo dobre, a gospodarstwo starali się, aby każdy wyszedł od nich, jeżeli już nie rozbawiony, to przynajmniej zadowolony. Marchwicki, w staraniu swem o przychylność ludzką nie ograniczał się do tych, którzy mieli już stanowisko, ale troskliwie śledził wszystkich, którzy w przyszłości mogli zająć jakieś stanowisko i już naprzód otaczał ich swoją uprzejmością i grzecznością.- Zapewne temu zawdzięczałem, że pomimo, że mnie znał niewiele, zaczął mnie zapraszać na herbaty, które zawsze były bardzo przyjemne, bo poznawałem tam wiele ciekawych osób.- Tam pomiędzy innemi pierwszy raz spotkałem pannę Kaisner, córkę bankiera Kaisnera, późniejszą księżnę Lubomirską, jedną z najbardziej niepospolitych kobiet ówczesnego świata lwowskiego.- Panna Kaisner była wysoka, brunetka, o przepysznych oczach, a jednak bardzo długa szyja i nieładny nos ją szpeciły. Bardzo jednak dowcipna, żywa, zabawna, wesoła, królowała w Kasynie sali pomiędzy młodemi pannami. Na balu kostiumowym u hr. Walerji Dzieduszyckiej przebrana raz za hiszpańską cygankę zrobiła swą urodą sensację.- Wyszedłszy za mąż, za ks. Lubomirskiego, utraciwszy i zgrawszy pierwszego męża, z którym się rozeszła, zamieszkała we Florencji, nabywszy tam jakąś willę. We Florencji zaprzyjaźniła się z powieściopisarką angielską Ouidą, z wielkiemi środkami na podróżowaniu, zamierzała wstąpić do klasztoru, ale koniec końcem osiadła na Podlasiu, w wiosce uratowanej jeszcze z finansowej katastrofy, do której męża jej doprowadził.- Tam zaczęła się zajmować ludem wiejskim, jak mogła utrzymywała go w przekonaniach rzymsko-katolickiej wiary, a brat jej, z którym jestem w przyjaźni i o którym później opowiem, Leopold Kaisner pociesza jeszcze do dziś, aby jednego pięknego poranku nad wszystko nie kazano jej wywieść na Sybir.

Przez Marchwickiego poznałem także ks. Kaliksta Ponińskiego i [illegible] [illegible] zawiadowcę [illegible], ale się nigdy do niego nie zbliżyłem. Była to bardzo typowa osobistość i przypominała co do zewnętrznego pozoru zupełnie obrazek z Dziennika mód, z roku 1840. Jak wielu starszych ludzi, tak i ks. Poniński zachował z [illegible] zamiłowaniem ten sam krój ubrania, do którego był przyzwyczajony w swych najświetniejszych, młodzieńczych czasach. Chodził [illegible], kiedy go poznałem, już był podstarzałym człowiekiem i zapewne też i wtedy się włos mu przerzedzał, więc starannie włosy farbował, brwi czernił i [illegible] się jak wielkoświatowa kokietka. Miał on prześliczny majątek Czerwonogród nad Dniestrem, ale mało siedział na wsi, więcej mieszkał w swej starożytnej [illegible] w Kamieńcu i zajmował się bardzo nieszczęśliwemi finansowemi spekulacjami. Nie odznaczał się [illegible], dobrego serca, wylany dla rodziny, gościnny, dzięki był powszechnie to przedmiotem wszelkich pism humorystycznych, zapewne dla tego, że robił pieniądze, i że się nazywał Ponińskim. Za moich czasów nazwisko Ponińskich jeszcze było tak ośmieszone z powodu zachowania się tej rodziny w czasach rozbioru Polski, że Ponińskiemu nie podobna było zyskać popularności. Dzięki nie tylko polityki, nie mieszał się nigdy do spraw publicznych i unikał w ogóle zabierania się z „ludźmi", o znaczeniu politycznym. Kobietami z ludu jednak nie pogardzał, miał długo trwający romans z córką swego leśniczego, znaną Karolcią, a później się z nią ożenił, bo to była kobieta bardzo dobrego serca i prawdziwie do niego przywiązana. Rodzina z razu [illegible] się na Karolcię, ale widząc jej wpływ na bogatego a bardzo lekkiego księcia, pogodziła się z nią zupełnie, a najbliższa krewna księżna Lubomirska zupełnie się zbliżyła do Karolci. Córka leśniczego miała mnóstwo nietaktowności i śmieszności w zachowaniu się, ale jej [illegible] nie przeważało, zachowała dobroć serca, uprzejmość i cały lwowski towarzystwo ją później bardzo polubiło. Nie bywałem nigdy w domu Ponińskich, bo wówczas, gdy mieszkałem w domu, dzięki niedawno dopiero się z Karolcią ożenił i jeszcze więcej prowadził dom zamknięty, ale później dom ten zaczął zasięgnąć z gościnności, a moja siostra, która tam bywała, zabawnie nieraz mi opowiadała o nim. Stół tam jak za staropolskich czasów bez wielkiej jedzenia, o którejkolwiek się godzinie przyszedł, bez miary. Obojga księstwo przesadzają się w gościnności, a krótkiej wizyty odbyć [illegible] nie można, bo się stąd ni z owąd zjawia się zaraz czy to lokaj, który obławia gościa kijowskiemi konfiturami, owocami, najlepszemi cukierkami, deserowemi winami etc. A cóż powiedzieć o obiadach, o śniadaniu w domu księstwa. Jeśli kto z takiej wizyty wyjdzie z zdrowym żołądkiem może o szczęściu mówić, kilkanaście potraw zjawia się na stole. – W pomieszkaniu wraz z dawnym staroświeckiem cennemi meblami, obwieszonem staropolskiemi makatami, co chwila można spotkać jakiś nowy grat, najgorsze dzisiejszej tandety, robione kwiaty, nowe wiedeńskie dywany i wiedeńskie stoliki wykładane perłową macicą, bez gustu, bez żadnej artystycznej wartości. – Karolcia się wykształciła

Jakiś artystyczny ~~stał~~ mistyczny charakter, właściwa wszystkim tym główna jego cecha ~~[illegible]~~, jakiś oryginalny brak energii łączący się w niej ze zmysłowością, aby utworzyć postać niezdolną do praktycznego życia.

(dalej na osobnym arkuszu)

Nikorowicz był Ormianinem, a jego przodkowie (nazywali się Arsabetti) należeli do tych kilku szczątków ormiańskich rodzin, które w czasie jakiejś dawnej rewolucji emigrowały do Polski i dostały tutejszy indygenat. Późniejsi Ormianie, którzy licznie napłynęli na Bukowinę, byli kupcami, albo handlarzami wołów. Nikorowicz lubił wspominać swe szlacheckie pochodzenie i chętnie się przechwalał koło- [illegible] [illegible]. Ojciec jego był wysokim urzędnikiem sądowym w Galicji i w Krakowie, i zostawił mu piękny majątek – Grzybowice, pod Lwowem. Pan Józef dość jednak zanadto swym artystycznym zachciankom, skupował dzieła sztuki, urządzał wykwintnie swój dwór, zapraszał malarzy i artystów, bawił dłuższy czas w Paryżu, a kiedy się już mało co zostało z ojcowskiej fortuny, ożenił się z panną [illegible], która miała dość znaczny otrzymać posag. Po kilku latach żona jego musiała się z nim rozstać, bo histeryczka, [illegible] zaczęła dostawać pomieszania zmysłów. Starszy Nikorowicz syna jej odebrał, umieścił w zakładzie [illegible]. Teraz w [illegible] pani [illegible], a sam straciwszy wszystko co miał – musiał szukać zarobku. Dwa lata był już we Wiedniu i tam się uczył w akademii handlowej, a powróciwszy dostał posadę w banku hipotecznym we Lwowie.

To album stoi było we Lwowie. Ormianie nie mogli go darować panu Józefowi, formalnie obrzydził się, że jeden z nich potrafił mieć [illegible] [illegible]. Żaden z nich nie może zrozumieć, jak można w życiu tym razem stracić majątek.

sobie [illegible]
trzy. [illegible]
W [illegible]
ustawi[illegible]
ymen[illegible]
rzy de[illegible]
i na[illegible]
ziemi[illegible]
między [illegible]
a [illegible]
~~[illegible]~~
spod[illegible]
~~[illegible]~~
~~chodz[illegible]~~
godzi[illegible]
pomy[illegible]
cypto [illegible]
zna [illegible]
Dzięg[illegible]
ni to [illegible]
ni [illegible]
Lowa[illegible]
myśl[illegible]
w do[illegible]
a pa[illegible]
konwo[illegible]
bary[illegible]
punk[illegible]
coś [illegible]
to [illegible]
i po[illegible]
kiey [illegible]
vrat[illegible]
smu[illegible]
wan[illegible]
ści [illegible]
Gen [illegible]
Ubi[illegible]

dobrego smaku, a książki także nie wiele się trudniły sztuką, z wyjątkiem sztuki malowania twarzy.

W czasie od r. 1890–97. dość dużo przestawałem z Józefem Nikorowiczem, który się tem wsławił w społeczeństwie polskiem, że był skomponował muzykę do Ujejskiego chorału „Z dymem pożarów", który osobliwie po powstaniu z r. 1863. śpiewano przy każdej politycznej demonstracyi w kraju. Muzyka nazbyt jest bardzo piękna, poważna, napisana w chorale i natchniona. ~~Nikorowicz~~ z nim był właścicielem bardzo pięknego majątku blisko Lwowa, o[illegible] ~~[illegible]~~, pomimo jednak że Ormianin z rodu nie umiał pieniędzy utrzymać. (Nikorowicz, bardzo) ~~Bardzo~~ sympatyczny człowiek, wrażliwy na wszystko co piękne, ale natura ~~miękka~~, marzycielska, niepraktyczna. ~~W czasie kiedy go poznałem żył już tylko resztkami swej fortuny, z żoną nie mieszkał, [illegible], a przy niej wychowało się jedno ich dziecko „dziecię". Nie mając już utrzymania wystarał się [illegible] posadę w [illegible] w galicyjskim Banku hipotecznym, chodził pilnie do biura, ale już tam miano z niego dużo pociechy, a tem wstrząsnęło się~~ godzi. Wolne godziny przesiadywał pan Józef przy fortepianie, grając do późnej nocy, improwizując różne melodyjne, ale jakoś nieuchwytne, bez formy i ścisłości. — Zadaliśmy często razem obiad, był bowiem miłym towarzyszem, czytał dużo i o wszystkiem można było z nim rozmawiać. — Po roku bankowej pracy ~~w chwili kiedy już bardzo było źle z [illegible]~~ odziedziczył znowu bardzo piękny, duży majątek na Pokuciu, wystąpił z Banku i tam niżto nowy przeniósł się na mieszkanie. ~~Mieszkał~~ Dawił tam Józef też długo, dzięki się para nie na wsi nie urządził, a jak tapicerzy, stolarze roboty nie ukończyli, powrócił do Lwowa, najął małe mieszkanie przy ulicy Trzeciej i dawał „herbatki" dla znajomych. — W tym czasie jakoś występowała przez krótki czas Modrzejewska przyjechawszy do Lwowa z Warszawy, na gościnne występy. Poznałem pana Józefa z Chłapowskimi i pan Józef niebawem też się zakochał w pani Helenie, że całemi nocami komponował rodzaj ~~muzykalnych~~ sonat ~~sonatów~~ do 17 jej głównych ról, od Julii, Donny Diany Szekspira, Barbary, Telimeny, Ofelii, Dziewicy Orleańskiej, Sydery itd. — Nie umiejąc dobrze reguł contrapunktu, zawsze się uczył muzycznej teoryi, tymczasem wyprawił w sobie bardzo ładny punkt, zawsze się uczył muzycznej teoryi. Po kilku miesiącach owo dzieło dla Modrzejewskiej, posyłał jej bukiety i wiersze. Po kilku miesiącach to muzyczne było gotowe, nuty rzetelnie napisane, oprawione w przepyszne album. Każdą sonatę poprzedzała fotografia Modrzejewskiej w odpowiedniej roli i pojechał do Warszawy. — Zdaje się jednak, że w muzycznym świecie nie zrobiło wrażenia. F — Po odjeździe pani Heleny ze Lwowa serce pana Józefa zapłonęło trochę realniejszą miłością. Była we Lwowie młoda, bardzo piękna dziewczyna, Józia, smukła blondyna o smętnych ~~[illegible]~~ oczach niebieskich, i bardzo szlachetnej postawie, którą nazwano „Statthalterei-Józia". Nazwa ta ma swoje historyczne znaczenie. Po odejściu Gołuchowskiego miano w ogóle przekonanie, że cesarz nie długo zostawi Gołuchowskiego na zaszczycie Namiestnika, ale że zamianuje niebawem namiestnikiem którego z wybitniejszych parlamentarnych osobistości. Do posady tej bardzo wzdychał

Sewa
ny, e
Pnu
a po
Kolon
Statt
ni z
odchs
zawg
pam
trzyn
król
ydat
wazyc
p Jó
rozej
Józw
wdzi
ni b
wyjo
posia
tak
pnem
racy
mi
lens
ni b
żona
Scis
powie
jak
Tago
n n
nel
pra
któ
mi

Seweryn Smarzewski, który miał wzięte potrzebne w tej mierze kwalifikacye. Bo był rozumny, energiczny, mógł kraj wzbogacić i umiałby był w każdej sytuacji stanowisko utrzymać. Przez długi czas mówiono we Lwowie o nominacyi Smarzewskiego, jako o rzeczy pewnej; a ponieważ równocześnie p. Seweryn, wdowiec, miał stosunek z ową Józią, córką kolonisty niemca, gdzieś z okolic Drohobycza, więc złe języki zaczęły ją nazywać Statthalterin-Józią. – Zdarzyło się jednak, że Nikorowicz jakimś sposobem poznał się z Józią, a Dziewczyna szalenie się zakochała w poetycznym muzyku. Pan Józef odebrał więc Józię Smarzewskiemu, wziął ją na utrzymanie, a ożeniwszy znowu był zaczął urządzać mieszkanie i dużo na nią wydawać. Czarnokozince – bo tak, o ile pamiętam, nazywał się niedawno odziedziczony majątek pana Józefa, nie mógł wytrzymać takiego gospodarstwa, a Nikorowiczowi niebawem groziło najzupełniejsze bankructwo. – Pan Józef zaczął więc na gwałt robić oszczędności, ograniczać się w swoich wydatkach, nawet bowiem już zaszedł tak daleko, że oprócz 40.000 złr. zahipotekowanych na nazwisko „Syneczka" prawie nic majątku nie pozostawało. Że jednak p. Józef wystąpił z Banku hipotecznego, więc musiał na nowo jakiejś takiejś szukać posady. Postanowił więc zerwać swój stosunek z Józią, ale to nie było łatwem, bo Józia niezmiernie Nikorowicza kochała, prowadziła jak najprzykładniejsze życie, a widząc, że ją pan Józef stanowczo chce porzucić, udała się raz pewnego bardzo rad. nie brata, przyszła do niego, do pomieszkania, pożegnała się z nim i z mieszkania wypiła Styga z flaszeczki zawierającej fosfor z zapałek. – Dostała strasznych boleści; pan Józef posłał po doktora, lecz nie ratunku znalazł. Józię uratowano, a Nikorowicz tak się przeraził, że po niejakim po śmierci swej żony czasie z nią się ożenił. Nie mogąc wyżyć we Lwowie przeniósł się do Stryja, gdzie dostał ~~w Stryju, [illegible]~~ posadę agencyjną Towarzystwa asekuracyi krakowskiej i tam już jako ożeniony z Józią zamieszkał. Ale i agencya jakoś nie przynosiła ~~dochodu~~ przyzwoitego dochodu, tak, że ostatecznie został ~~[illegible]~~ nauczycielem muzyki w zakładzie wychowawczym w Chyrowie, wziąwszy do siebie syneczka, który się bardzo do swej macochy ~~[illegible]~~ przywiązał. Przed dziesięciu mniej laty umarł Nikorowicz, żona została rodzajem gospodyni-zakonnicy u Jezuitów, a syneczek dorosły został dziennikarzem we Lwowie. Z razu wydawał pismo humorystyczne „Zagłoba", więcej poczciwe, aniżeli dowcipne, a obecnie pracuje w redakcyi Gazety narodowej. Gdy jest w Wiedniu przychodzi do mnie, z upodobaniem zwracając podobny do ojca, taki łagodny, taki fantasta i taki niepraktyczny. – Ze starszych czasów Nikorowicza poznałem u niego Kornela Ujejskiego, z którym on zawsze bardzo świetne zachował stosunki. P. Kornel dzierżawił wtedy jakiś wiosek od gminy miasta Lwowa, dane mu za bardzo niską prawie tylko nominalną cenę, przyjeżdżał do Lwowa sprzedawać mleko i zboże, potrzebnie, od czasu tylko do czasu manifestując się na jakimś politycznym zebraniu, albo przemawiając na jakimś szlacheckim bankiecie. Ożeniwszy polityka jego była zawsze ~~[illegible]~~ wróć skrajną.

W to [illegible]
praw [illegible]
stri [illegible]
berna [illegible]
ri mi [illegible]
waż [illegible]
„ le [illegible]
sy te [illegible]
z pr [illegible]
Able [illegible]
że a [illegible]
N [illegible]
mi [illegible]
ne. [illegible]
bann [illegible]
nika [illegible]
b [illegible]
pri [illegible]
rodzi [illegible]
swa [illegible]
ki i [illegible]
sobi [illegible]
biór [illegible]
kropi [illegible]
Tch [illegible]

ludz [illegible]
stra [illegible]
stępu [illegible]
porsc [illegible]
robot [illegible]
nor [illegible]
mon [illegible]
do z [illegible]
wsér [illegible]
były [illegible]
ran [illegible]

W towarzystwie był Ujejski nadzwyczaj miłym, umysł jego zawsze pełen werwy świadczył prawdziwie orzeźwiająco. Rozmowa z nim była przyjemna i łatwa, bo nie był w towarzystwie nastrojonym na wysoką nutę, owszem, odznaczał się w rozmowie zawsze miłą prostotą. Pewna miękkość zdawała mi się być wybitnym rysem jego charakteru, znać było po nim że mógł stworzyć „Samsona". Po jednej z rozmów z nim w [illegible] ~~zato~~ zanotowałem sobie (26. marca 1875) następujące uwagi.

„Ujejski nie wiele mówiący, nie lubi szukać tematów do rozmowy, ale ~~gdy~~ znalazł się temat, który go w danej chwili zajmuje, mówi z życiem i można go słuchać z przyjemnością. W ściślejszym zgromadzeniu zdaje się pozować; w tym w małym kole jest zupełnie naturalnym, potoczne rozmowy go interesują, z chęcią przerzuca się w rozmowie z przedmiotu na przedmiot, bo umysł żywy nie spoczywa.

Nadzwyczajnie się zachwycał poezjami panny Bartus z Kołomyi, drukowanemi w Tygodniu literackim. Zwrócił osobliwie moją uwagę na jej sonety przedślubne. Widać w nich ~~prawdziwie~~ prawie męskiej siły i własna, nowa forma, nie naśladowana. Panna B. jest córką ubogich rodziców — chciano ją wydać za mąż za jakiegoś majętnego urzędnika, za którego iść nie chciała, i z tąd — [illegible] sonetów.

Rozmowa zeszła na Paryż. Ujejski był tam w chwili upadku Ludwika Filipa. W gromadzie kilkudziesięciu ludzi stał w pobliżu Tuilleriów, kiedy ujrzał króla wychodzącego z rodziną z pałacu, za nimi postępował oddział wojska. Grupa, w której był Ujejski weszła pierwsza do pałacu, nikt jej nie stawiał oporu. Pokoje były pootwierane, wszędzie śniadanie widać jeszcze było w jadalnym salonie. Francuzi rzucili się zaraz, aby sobie zabierać pamiątki niespodziewanej okazyi, niektórzy dobrali się do szaf i biór i zabierali rzeczy mające wartość. Sam Kornel zdjął z nad łóżka królowej kropielniczkę z perłowej masy i ma ją dotychczas u siebie. Wziął nadto kawałek materyi z tronu, który w mgnieniu oka obdarto — na upominki.

Po chwili znalazł się Ujejski na placu Château-d'Eau, gdzie tłumy ludu oblegały koszary gwardyi miejskiej. Gwardziści strzelali z okien skutecznie, strzały z ulicy odbijały się o ściany. Nie równa więc była walka — lud też wziął podstęp. Naznosił słomy pod koszary i zapalił ją, aby dymem zmusić gwardzistów do poddania się. Podstęp o tyle skutkował, że gwardziści wyszli z koszar, utworzyli czworobok i szli na bagnety. Część się przebiła, część zginęła. Jeden grenadyer upadł pod nogi Ujejskiemu. Poeta był w stadyum zbierania pamiątek, więc zdjął mosiężnego koguta z kaska grenadyera i schował go do kieszeni. Później poszedł do znajomych, opowiadał im swe przygody i zostawił tam kropielniczkę, a sam wrócił do Tuilleriów, aby się jeszcze raz przypatrzyć królewskim pokojom. — Ludzi było tam pełno, ale władze się spostrzegły, że za wiele zaczęto z pałacu zabierać pamiątek — więc obstawiono gmach wojskiem i rewidowano każdego z wychodzących.

Jakiś robotnik zabrał pieniądze – więc go na miejscu rozstrzelano. – Węgierski, uchodząc miał przy sobie owego koguta gwardyjskiego w kieszeni, bo go zapomniał zostawić u znajomych. Pytano się, zkąd to ma? –

– Zabiłem gwardzistę i schowałem sobie trofea na pamiątkę. –

– Vous êtes un étranger? – zapytał się żołnierz.

– Non, je ne suis pas un étranger, je suis un Polonais

Odpowiedź, bardzo się podobała, kilka głosów odezwało się: „Vive la Pologne!“ i Węgierskiego wyniesiono prawie na ramionach.“

Przez jakiś czas widywałem często w towarzystwie Nikorowicza Wincentego Dobrowskiego, bardzo awanturniczą postać. Dobrowski był zbankrutowanym obywatelem ziemskim, rozwiódł się z żoną, która się utrzymała przy jakimś ~~[illegible]~~ majątku w okolicy Gorlic, a sam, idąc za przykładem wielu bankrutów, szlachty, rzucił się na pole finansowe i został małym urzędnikiem lwowskiego Banku hipotecznego. – Nadzwyczaj dowcipny, niespożyty wesołek, pisał on wcale udatne komedyjki i grał w teatrach amatorskich jak skończony aktor. Zawsze wyelegantowany, zawsze w towarzystwie ładnych kobiet, zawsze dobrze żyjący, był Dobrowski przez długie lata bardzo znaną osobistością w Galicyi, aż nareszcie dopuścił się jakiejś malwersacyi w Banku hipotecznym i stracił posadę. Udał się wtedy do teatru, występował w prowincyonalnych teatrach, a nawet zebrał własną trupę i włóczył się z nią po małych miasteczkach. – Widać się, że i ten zawód mu się nie powiódł, bo około 1887. widywałem go chyłkiem chodzącego po Lwowie. Z Polakami przyzwoitemi z dawnego towarzystwa się nie witał, ale zawsze jeszcze, pomimo zmęczonej, zapijaczonej twarzy, wyglądał wyświeżony i ubrany według ostatniej mody. Prowadził widocznie jakąś nieokreśloną egzystencyę, aż mi zniknął z oczu, zapewne umarł zapomniany w szpitalu. – O wiele wyżej w towarzystwie lwowskiem, aniżeli ów Wincenty Dobrowski stał przez długie lata Stefś Oczosalski, dowcipniś znany na całą Galicyę ze swoich konceptów. Stefś ~~[illegible]~~ ożeniony z hrabianką Dulską, a gdy go znałem był już wdowcem i miał ładny majątek ziemski, po żonie, w okolicy Odnerzec. Mało jednak mieszkał na wsi, ale siedział we Lwowie, przepędzał pół życia w Kasynie narodowem, tak zwanem Kasinkiem, rodzaj jockey-klubu, i bawił wszystkich swemi dowcipami. Specyalnie był nieodstępnym dowcipnisiem księcia Adama Sapiehy, a żadne polowanie, żadne większe przyjęcie u księcia nie obeszło się bez Oczosalskiego. – Na jednej z zabaw lwowskich, na której bardziej znanym osobistościom rozdawano wierszyki; dostała się Oczosalskiemu następująca, po francusku napisana charakterystyka.

À ton fils – ton âme,
À la chasse – ta vie,
Ton coeur – aux dames
Au monde – ton esprit,
L'honneur – pour Toi,
L'amitié – pour moi.

W tem wszystkiem nie wszystko jest prawdą. ~~Wprawdzie~~ Chociaż to Stefi bardzo kochał syna swego, jedynaka Edzia, ale zniszczył mu jego majątek po matce, do szczętu, pozwalał chłopcu na wszelkie możliwe wybryki; aby go ~~sobie~~ do siebie przywiązać, i zapewnić sobie u niego utrzymanie jak chłopiec dojdzie do pełnoletności i majątek odbierze. — Ów Edzio został też grajkiem i mężem bardzo pięknej żony, patrzącym przez palce, jak bogaci ludzie, a pomiędzy innymi Kazimierz Radecki a pierwiej Albert Cetner o jej się łaski starali. — Ossoliński może pretendować humorystyczną ozdobą Lwowa, a redaktor Szczepan Zajączkowski był jego nieodstępnym towarzyszem. — Raz odwiedziłem nawet Ossolińskiego na wsi, w towarzystwie Zajączkowskiego, a z tej wizyty został mi w pamięci obraz gospodarskiego zaniedbania, ~~którego~~ jakiego nigdy nie widziałem. Gdyśmy się zbliżali do dworu przejeżdżaliśmy koło stajen. Obie ściany stajni były pleciane z chróstu i obrzucane gliną, a widocznie ten rodzaj budownictwa nie był dość trwały, bo ze zdziwieniem ujrzałem w kilku miejscach głowy koni wyglądających na świat, przez dziury w ~~[illegible]~~ ścianach i przypatrujących się, kto do dworu zajeżdża. Jedzenie i wino było oczywiście dobre, bo taki zbankrutowany szlachcic, dopóki się dało, trzymał dobrego kucharza, a kucharz wychodził z dworu dopiero wtedy, kiedy już fornalki, wozy, a nawet i krowy zostały sprzedane. — Ossoliński powinien był zostać komedyantem, aktorem, bo sama już jego fizyonomia, nos olbrzymi, i sposób mówienia do śmiechu pobudzały. Jego dowcipy powtarzano sobie z ust do ust, a niemal wszelka rozmowa we Lwowie zaczynała się od zapytania: „czy znasz najnowszy koncept Ossolińskiego?" —

Mówiąc o owych czasach we Lwowie nie podobna nie wspomnieć o cukierni Rotlandera, która przez dziesiątki lat stanowiła rendez-vous lwowskiego zamożniejszego świata. Czem ~~był~~ Lours w Warszawie, tem był Rotlander we Lwowie, różnica jednak w tem była wielka, że ~~[illegible]~~ Rotlander miał daleko lepsze ciasta, daleko lepsze cukierki, aniżeli cukiernik warszawski. Rotlander wykonywał swe cukiernictwo z pewnego rodzaju poświęceniem i namaszczeniem, był to ostatni romantyk w postaci cukiernika. Z rodziny szwajcarskiej, mówił jednak wybornie po polsku, w duszy był najzapaleńszym Polakiem i wielkim patryotą. Ten patryotyzm jego był oczywiście także bardzo romantyczny, Rotlander wspierał pieniężnie powstanie z r. 1863. i powstańców, Smolce pomagał w sypaniu kopca unii na „wysokim zamku", przeciwnym był polityce większości koła polskiego w Wiedniu. — Nieoceniony typ starego, chudego, ostrożnego, wstającego wśród gorących cukierków z uśmiechem, i łagodnym, ale wzniosłym głosem rozdzielającego moralne nauki swym cukierniczym chłopakom. Nie wiem już z jakiego powodu zaczął raz Rotlander rozmawiać ze mną o hygienie, i w dłuższej naukowej przemowie dowodził mi że ludzie byliby zdrowi, gdyby jedli tylko jego ciasta, które są najzdrowszym i najpożywniejszym pokarmem jaki istnieje, bo zawierają ekstrakt mąki, jaja i cukier. Rotlander wierzył wcale najmocniej w swoją teoryę, bo sam niczego nie jadał, pił wodę i żył ciastkami. — O dobre imię swej firmy nadzwyczaj dbały, wypraszał bez ceremonii z cukierni osoby z podświatka, jeżeli się tam czasem zabłąkały, i krzywem okiem spoglądał na przychodzących tam Żydów.

Jakoś około roku 1890 zwinął Rottlender swoją cukiernię, zdrowie mu bowiem nie dopisy-
wało, a następcy jego zakładający nowe cukiernie robiły mu wielką konkurencję. Prze-
niósł się więc do Drezna i tam umarł pozostawiwszy swój dość znaczny majątek
w znacznej części dobroczynnym zakładom we Lwowie.

W zimie roku 1873 na jednej z redut lwowskich zaczęło mnie intrygować jakieś
czarne domino, a po mowie głosie sądząc, byłem przekonany, że pod dominem kry-
je się jakaś ładna, młoda kobieta. – Po dłuższej rozmowie nieznajoma powiedziała mi,
abym nazajutrz czekał na nią w powozie, w pobliżu św. Jura, że tam wsiądzie do
mnie do powozu i że w ten sposób będziemy mogli zapoznać się poznać. Tego
rodzaju awantury nie były jeszcze chlebem powszednim we Lwowie, więc też z wielką
ciekawością i niecierpliwością oczekiwałem na moje domino, a niecierpliwość moja
nie była nagrodzona, bo do powozu siadła osoba bardzo piękna, młoda, wytwor-
nie ubrana kobieta, z dużym brylantem [illegible] w ręku. – Z razu oczywiście z obawy i
wzruszenia do słowa przyjść nie mogła, ale powoli uspokoiłem ją i dowiedziałem się,
że jest żoną jednego z bardzo szybkich ludzi we Lwowie, którego oczywiście
ani nawet z widzenia nie znałem, że mąż jest dużo od niej starszy, że poszła za niego bez miłości itd. itd. –
Pani K. powiedziała mi, że mąż jest bardzo zazdrosny, i że u nich bywać nie mogę, gdyż
prowadzą dom bardzo zamknięty, i moja wizyta zwróciłaby jego uwagę. Postanowiliśmy się
więc widywać potajemnie, a na ulicy nie mogłem jej się nawet kłaniać, gdyż jej opiekuna
nie nie znałem. – Mieszkałem wówczas w dwóch pokojach Władysława Kraińskiego, na Fre-
lowskiej, później Kościuszkowskiej ulicy, gdzie Władzio wyjechał na kilka lat do Londynu
i Paryża, celem kształcenia się w tamtejszych bankach, a mnie swoje mieszkanie odstąpił.
Mieszkanie to przedzielone było tylko korytarzem od mieszkania p. Marcjusza Kraińskiego,
który wraz, albo w domu nie był, albo i potrzeba nie wychodził. – Na ów korytarz wychodziły
dwa okna pani H., a niedaleko moich drzwi były drzwi do jej kuchni [illegible] boczne.
nie więc moje pomieszkanie nie było bardzo wygodne na romansowe schadzki, gdyż
przychodząca do mnie kobieta mogła być łatwo widziana, mimo to jednak pani
K. zdecydowała się mnie odwiedzać, oczywiście czarno ubrana, i z czarnym gęstym
welonem na twarzy. Sąsiadka moja była spokojna kobieta i nie zwracała się nie zwra-
cać uwagi na te wizyty, ale przystojna jej pokojówka niezadowolona widocznie z tych odwie-
dzin, wyśmiewała dnie i godziny, w których pani K. do mnie przychodzi i zaczęła
przyzwyczajać psa mojego, bardzo hałaśliwego psa przy oknie na korytarzu, na którym nau-
czyła, tak, że jak tylko pies zobaczył nadchodzącą czarną damę, zaczynał przeraźli-
wie szczekać i swym szczekaniem tamować przejście przez korytarz. – Raz pani K. uciekła,
bo psa się zlękła, drugi raz odważnie psa odepchnęła i drogę sobie utorowała,
musiałem jednak usunąć tego, przez Michała, służącego pana Marcjusza, który
i mnie usługiwał, prowadzić pertraktacje ze służącymi pani H., aby mi psot nie
robiły. – Psa więc później zamykano, i czarna pani mogła już bez wielkich
do mnie przychodzić przeszkód. – Po kilku miesiącach takiej tajemniczej znajomości

przyjęła pani K., abym prędzej poznał się z jej mężem, a ponieważ nie mieliśmy wspólnych znajomych domów, gdziebyśmy się spotkać mogli, więc ~~przezorna~~ rozumna kobieta wymyśliła następujący sposób zbliżenia się. Miałem przyjść raz pewnego wieczora na obiad, do hotelu Europejskiego i zasiąść przy małym okrągłym stoliku, przy którym nikt więcej nie siedział. Wkrótce jak było umówione, po chwili przyszło oboje państwo K., a nie widząc tam innych stołach odpowiedniego dla siebie miejsca, przybliżyli się do mnie i prosili, czy mogą usiąść. Odpowiedziałem więc przeciw temu nic nie miałem, a pani K. postarała się już o to, abyśmy zaczęli rozmawiać. – Rozmowa zaczęła być dość ożywioną, tak, że przy końcu obiadu mogłem się państwu K. przedstawić. – Odtąd już formalności stało się zadość i mogłem w razie potrzeby nawet przemówić do pani K. na ulicy. Zawsze jak spotkałyśmy widywali się ~~razem~~ zawsze jednak było to połączone z pewnemi trudnościami, zwłaszcza że z ostrożności chcieliśmy unikać wszelkiego pisania. – Raz nawet, w pierwszych czasach stosunku, w dość niebezpieczny sposób musieliśmy się porozumieć co do naszego rendez-vous. – Było to raz na reducie; państwo K. ze swymi znajomymi, państwem J. byli w loży; widząc ich, szybko pobiegłem wypożyczyć domino, i zwiało posłańcem do loży zawiadamiając niby to że koniecznie pani J., ale nie chciałem. Celem moim było jednak szepnąć pani K. do ucha, gdzie i o której godzinie nazajutrz się zobaczyć byśmy mogli. Udało mi się to wprawdzie, ale z wielką biedą, bo pan J. zgadując, że domino chce jego młodej ~~żony~~ żonie coś powiedzieć, zaczął się niecierpliwić i robić takie miny, jakby domino chciał z loży wyrzucić. – Domino jednak mogło wyjść spokojnie, ~~bez~~ bez przeszkody, powiedziawszy pani K. co miało powiedzieć.

W maju roku 1873. została otwarta wszechświatowa wystawa w Wiedniu, na którą ogromnie z prowincji naszej się wybierano, ktokolwiek z trochę tylko zamożniejszych klas wybierał. Oprócz tego, że i ja się tam wybrałem, a podczas mnie namówiła Gazeta Lwowska, która zamówiła ode mnie cały szereg feuilletonów o wystawie. Pani K. przyjęła również w Wiedniu się ze mną zjechać, a ponieważ miała tam krewnych, więc mogła u nich mieszkać bez wzbudzenia jakichkolwiek u męża podejrzenia. – Plan nasz przeprowadziliśmy do skutku i w maju, na dwa tygodnie przepędziliśmy w Wiedniu. – Wystawa nadzwyczaj mnie zajęła, pierwszą to bowiem była wystawa jaką widziałem, i tam właściwie zaznajomiłem się dopiero z nowożytną sztuką. Szedłem zaraz z rana na wystawę, aby mieć czas swobodnie wszystko oglądać, zanim pani K. nadeszła. – Francuskie malarstwo, orientalne i japońskie wyroby, wszystko to było dla mnie nowością i wielkiem rozmnożeniem zasobu moich wiadomości. ~~[illegible]~~ Te wrażenia po wystawie wiedeńskiej zaliczam do moich najmilszych wspomnień i może od owych czasów pozostała mi pewna słabość do wystaw, tak, że jeszcze dzisiaj kiedy z jakie kilkadziesiąt rozmaitych widziałem wystaw, zawsze się jeszcze cieszę na nowy jarmark światowy, na ową architekturę szkła i żelaza, na nowe obrazy, na nowe przedmioty sztuki zastosowanej. – Na wiedeńskiej wystawie polubiłem tłum, ciżbę, formalnie tęskniłem do niej, myśli nasuwały się, gdym się przeciskał przez te różnorodne grupy,

gdym się czuwał osamotnionym w tym wśród ludzi mi nieznanych. Dopiero w ostatnich latach amatorstwo to trumien zaczyna u mnie znikać i chętniej idę w miejsce tam, gdzie nie za wiele jest ludzi. –

Pani K. miała nadzwyczaj dużo kobiecego sprytu, ale mało wykształcenia i za długo nas mnie przywiązać się mogła, po pięciu latach stosunek ten trochę się ciężyć zaczynał, zwłaszcza, że w domu państwa K., nigdy bywać nie było można, a zło widzieć nie nasze zaczęło być bardzo wskutek tego utrudnione, że pani K. miała starą matkę i odwiedzić do mnie tak że przychodzić nie była w stanie. – Miała ona projekt, aby wynająć wielkie mieszkanie, i jeden lub dwa pokoiki z tego odnajmować, naturalnie mnie, ale taka fałszywa pozycja, osobliwie wobec pana K. – którego z opowiadań pani K. coraz więcej ceniłem, jako bardzo zacnego człowieka – bynajmniej mi się nie uśmiechała.

W sierpniu 1893 przyjechał mój ojciec do Lwowa i stanął u mnie. Kilka dni bawił we Lwowie, był trochę zmęczony, ale tak się przyzwyczaiłem do jego słabego zdrowia z końcem swego pobytu, że potem, że uważaliśmy w ostatnim stan ten za normalny. – [illegible], po tem mi wyjechał do Przemyśla, gdzie stanął u Tygra, a nazajutrz miał moją udać się do Równego. – Około godziny 10ej wieczór otrzymałem od Dominika Kieślowskiego, który wówczas mieszkał w Przemyślu telegram, że ojciec mój umarł tknięty apopleksją. Wieczorem już pociągu nie było, pojechałem więc z rana, a przyjechawszy do Przemyśla zastałem już ojca w trumnie, Dominik bowiem wszystko zarządził co do pogrzebu. – Mój ojciec nic nie cierpiał, siadł na kanapie, bo mu się trochę źle zrobiło, zawołał kelnera, aby mu przyniósł szklankę wody, a zanim kelner zdołał podać wody, ojciec mój już nie żył. – Dni były wówczas bardzo gorące, pogrzeb trzeba było jak najprędzej odprawić, więc matka i siostra moja, które były wówczas w Równem, na pogrzeb już przyjechać nie mogły. – Matka dalej gospodarowała w Równem, pracowała co sił starczyło, wydawała jak można było najmniej i powoli przyprowadzała interesa do porządku. – Witrynę w żaden sposób nie chcieliśmy sprzedać, a termin się zbliżał, w którym hrabina Weissenwolff, na mocy zawartego z ojcem kontraktu miała prawo nabyć Witryno za niską cenę 20.000 fl., w razie gdybyśmy jej pożyczonych ojcu 8.000 fl. nie zapłacili. Od groźby tej sprzedaży, pojechałem do sąsiada naszego Łukasiewicza, który jak wspomniałem miał ogromne z nafty dochody i ten mi pożyczył te 8000 fl. mówiąc, że chętnie to robi dla młodego człowieka, stojącego na początku swej kariery, o którym dużo słyszał dobrego. – Byłem mu całe życie wdzięczny za tę uprzejmość, i dług później wróciłem mu zostało zwrócony, ze sprzedaży części gruntów dworskich, wróciwszy. – Gdym napisał do pani Weissenwolff, że jesteśmy gotowi dług jej spłacić, i gdyśmy się w Przemyślu zjechali dla załatwienia tego interesu, bardzo się zadziwiła i była zadowolona że dostała gotówki nie przeczuwając, że Witryna stanie się kiedyś moim skarbem, z powodu źródeł nafty, które tam później zostały odkryte. – Po załatwieniu interesu wróciłem do Lwowa, aby się wziąć zaraz do pisania, po drodze przejeżdżałem przez Lesko, gdzie wówczas jak w całej okolicy na pograniczu zachodnim panowała wówczas mocna cholera. Konie musiały popasać w Karczmie w Lesku, a kupy nawozu i najrozmaitszych gnijących odpadków w sieni

mi bardzo miłe wrażenie. Jeść mi się chciało, w karczmie naturalnie [coś kolwiek kupiłem] jeszcze się obawiałem,
ale jakoś szczęśliwie powróciłem do domu z tej zapowietrzonej okolicy. Kazałem sobie
podać czerwone wino, jako codzienny do stołu napój, przedtem zaś zadawalałem się
wodą. – Ludzie z zagrody widzewskiej wymagają, abym jeszcze pojechał do Widzewa, za
pierwszym razem bowiem nie mogłem wszystkiego dokładnie oglądać; wolałbym wprawdzie bawić
tam już ze dwa, ale jakoś to uchodziło, chociaż pp. Godlewski i Dalmanicki bardzo
się na mnie kupili. – Koniec końcem, jakoś z powszechnym zmęczeniem pojechałem jesz-
cze do Widzewa, tym razem już bez pani M. i zastałem jeszcze Widzew pomimo
po strasznej klęsce [illegible], nazwanej wówczas krachem, a nadto pod grozą [sprowadzonej] epidemii
cholery, która ówcześnie przypominała się do zmniejszenia frekwencji wystawy. Zewsząd koło
trotuarów posypane były zmoczonym dezynfekcyjnym czerwonym proszkiem, i wodą
wszakże nie był wesoły. Skróciłem więc tamtejszy mój pobyt, a wracając [illegible]
wstąpiłem do Warszawy, nie mając bowiem polskiej stolicy, i rad byłem zobaczyć tam
tylu moich krewnych, starego Kasztelana Leona Dębowskiego, i panią Adamową Chłędow-
ską, z domu Karłowiczównę, która już wówczas tam mieszkała. ~~w Warszawie~~. – W Granicy
po raz pierwszy stanąłem w Królestwie, po raz pierwszy zobaczyłem Rosjan u siebie. Wra-
żenie było nadzwyczaj przykre, gdy pociąg wjechał na stację, i natychmiast przy każdym
wagonie stanął żandarm, nie pozwalając nikomu wysiadać. Gdy się pociąg zatrzymał żan-
darm wszedł z dużą teką do wagonu i odbierał paszporty. Wnet jakoś niepewności, ja-
kiejś grozy samowoli przejęło mnie, atmosfera nieprzyzwyczajonego do tego, aby się z nim żan-
darmi rozmawiali. Na stacji inaczej wszystko wyglądało, czuło się gdzieindziej, dużo wojsko-
wych i umundurowanych urzędników, zamiast ~~szklanek~~ kufli piwa dymiący samowar i szklanki
herbaty. – Warszawa nie źle na mnie zrobiła wrażenie: kamienne bruki, publiczne
drogi, smutna, przy Świętokrzyskiej wozach konie mało, zbiedzone i wychudzone. Poszedłem
przedewszystkiem do pani Chłędowskiej, zastałem wdowę już staruszkę, ale jeszcze gadatli-
wą i bardzo świeżego umysłu. Do niej przyszedł Kasztelan, chudy starzec, i dwaj wnuko-
wie pani Adamowej: Edward i Cezar Dembowscy. – Ci mnie wzięli w opiekę, mieli to pokazy-
wać mi Warszawę, ale prawdę powiedziawszy zaprowadzili mnie do ciemnego pokoju,
w sklepie winnym Fukiera, gdzie już kilku ich znajomych czekało, i zaczęli w wielkiej
ilości pić szampana, zmuszając mnie do wytrzymania z ich wprawnemi gardłami.
Zapadanka była wesoła, ale po minach ich widziałem, że Galileusz nie zrobił na
nich dobrego wrażenia, bo nie umiał się nastroić do ich szampańskiej wesołości.
W jakiejś wolnej chwili od tej pijatyki, zawieźli mnie na Pragę, a następnie ku
cytadeli, gdzie tak bliskoważnie mnie zaprowadzili, że pod żołnierz stojący na
warcie zmienił się już do nas, aby wystraszyć. Szybkim cofnięciem się uniknęliśmy
niemiłej sceny z żołnierzem. – Szczęśliwy byłem, gdy w nocy wróciłem do hotelu
Europejskiego i wyspałem się ~~od~~ po ~~opałki~~ opiece kuzynków. – Następnego dnia odjechałem wcześnie,
aby jeszcze przed spotkaniem się z Dembowskimi móc się przejść po Krakowskiem
Przedmieściu, wyszedłem też na ulicę, ale jakaś była nieprzyjemna niespodzianka

gdym spostrzegł, że nie mam na sobie skórzanej torebeczki, w której nosiłem kilkadzie-
siąt guldenów, koniecznych do powrotu do Lwowa. Biegnę do pokoju, ale numerowy służący
hotelowy idzie już naprzeciwko mnie ze zgubionym skarbem i z uśmiechem widzi moje
przerażenie.- Wieczorem jednym byłem u pani Adamowej, u której poznałem drugiego kolle-
gę Matuzalema, jej przyjaciółkę panią Stadnicką i młodą, bardzo ładną, bardzo przy-
stojną panią Wrotnowską, żonę Lucjana, wtedy już wówczas adwokata. Pani Wrotnow-
ska, wesoła, śmiejąca się, pełna niewinnej kokieteryi trochę mnie pogodziła z Warsza-
wą, bo jej też spotkanie było jednym miłem wrażeniem podczas mego trzechdniowe-
go tam pobytu.- Kurzynkowie Dembowscy tak mi dogodzili swą gościnnością, że ledwie
żyw z Warszawy wyjechałem.- Losy tych Dembowskich były bardzo smutne, gospodaro-
li oni na Podlasiu, w Ciesławce, starszego, uwięziono w Warszawie za jakieś polityczne podej-
rzenia, i podobno umarł w cytadeli, młodszego Edwarda, u nas zwolniono ze wsi na Sybir,
nie pozwolono mu nawet pożegnać się z żoną i z dziećmi.
Stąd po kilku latach wrócił złamany do kraju.

Wróciwszy do Lwowa pisałem dużo, a i na objazd starałem się w urzędzie trochę napra-
wić moją reputację, która gruntownie kasacją wyroku była podkopana. Jadałem
wówczas codziennie w owym osobnym Kasyna narodowego pokoju, przeznaczonym dla literatów, o którym
już wspomniałem.- Dyrektorem teatru był wówczas p. August hr. Łoś, który przegospo-
darowawszy i przesiedziawszy piękny majątek ziemski, ulokował resztę pieniędzy w bardzo
niepewne przedsiębiorstwo, w teatr.- Starał on się zainteresować publiczność, która pod
władzą dyrekcyi Miłaszewskiego bardzo się do sceny zraziła, i dbał o operę. Dawa-
no Fausta, Dinorę, Traviatę, a Łoś zaangażował na gościnne występy pannę Mary-
Mecenseffy, która niedawno skończyła studja u słynnego nauczyciela śpiewu Lam-
pertego w Medjolanie. Pannę Mecenseffy znałem jeszcze jako małą dziewczynkę
w Krakowie, była ona bowiem córką emerytowanego urzędnika i bywała w domu ro-
dziców mego kolegi Dudzińskiego.- Marylka, bo tak ją nazywaliśmy, przyjechała
do Lwowa z zamężną swą siostrą, panią Witkowską i panie te przychodziły kilka-
krotnie na obiad do Kasyna.- Tam się im przypominałem i jadaliśmy razem, zazwyczaj w towa-
rzystwie Stanisława Niedzielskiego, muzyka, który był kierownikiem artystycznym opery,
i Simona, dyrektora banku, u którego był Marchwicki.- Marylka była smukła,
wiotka, bardzo zgrabna, szatynka, o bardzo wymownem spojrzeniu i nadzwyczaj dźwięcznym
głosie. Po kilku zaledwie widzeniach się bardzo się z Marylką pokochali, i niebawem
wszystkie wolne chwile z temi paniami przepędzałem i oczywiście chodziłem
na wszystkie przedstawienia opery, w których Marylka występowała.- Nasi towarzysze
Niedzielski, Simon widząc młodą kochającą się parę, formalnie się cieszyli tem zbli-
żeniem, wszyscy bowiem mieli wiele sympatyi dla młodej śpiewaczki, a i mnie ob-
darzali dużo przyjaźni. Niebawem wyrobiło się takie stosunki, że nas brano za narzeczo-
nych, sadzano nas przy stole, ustępowano nam miejsca, i uważano niejako za elemen-
tarną konieczność, abyśmy się pobrali.- Marylka ze szczególną przyjemnością śpiewała

Traviaty, jakby przeczuwała, że nosi w sobie zarodki śmiertelnej piersiowej choroby. Na jednem z przedstawień tej opery, zebrało się nas trzech, czy czterech, znajomych w loży pierwszego piętra, a pierwszy raz wówczas rzuciłem młodej śpiewaczce bukiet przepyszny róż na scenę. Bywalcy cały dzień widzieli o tym bukiecie, a zdaje mi się, że to moje teatralne amatorstwo i do Gołuchowskiego się doniesło. — Marylka nie miała silnego głosu, ale dobrą szkołę i nadzwyczaj wiele wdzięku w całej swej postaci, tak, że publiczność wielka jej okazywała sympatyę. — Po jednem przedstawieniu Traviaty biedaczka dostała silnej gorączki, musiała pozostać w pokoju ze dwa dni, a przywołany lekarz oświadczył jej siostrze, że Marylce zagrażają suchoty. — Marylka opowiedziała także, że ciężko jest chora, ale zdawało się jej, że silną wolą wszystko, nawet chorobę przezwyciężyć można. Szwagier jej Mokrzycki pożyczył jej sporą sumę na kształcenie się w śpiewie we Włoszech, ten dług ja przyrzekałem, a zarazem dodawał jej sił, aby wystąpić na scenie i koniecznie śpiewać szwagra. Po kilku też dniach, ponownie mogła pierwszy występować mowa i oznajmia, że ponieważ, jak się zdaje bardzo jest chora więc, mogła jeszcze dobrze śpiewać. — Stanisław Niedzielski, ~~dobry~~ poczciwy (zacny człowiek), który widział o smutnym położeniu Marylki, układał jej występy, chwalił, unosił się nad nią, wszyscy okazali jej sympatyę. — Ja jeszcze wówczas nie znałem całej grozy piersiowej choroby i także się wobec niej trudem. — Z początkiem grudnia nastąpiła w mojej egzystencyi innego rodzaju katastrofa. — Od dawna obawiałem się, aby mnie namiestnik, znowu hr. Gołuchowski, nie przeniósł do starostwa, do jakiejś małej mieściny. Z powodu mego każdy młodszy urzędnik namiestnictwa powinienby odbyć przez jakiś czas praktykę przy starostwie, mnie jakoś to wygnanie długo omijało, ale nareszcie musiało przyjść do tej nieprzyjemności. — Gołuchowski był dla mnie teraz źle usposobiony, gdym raz w jakimś interesie poszedł do niego, ~~przedstawił mi~~ nazwał mnie z rodzajem Göthe Goethego wyrazu „leichtes Blut", Łoziński starał się wprawdzie o ile możności u ~~Gołuchowskiego~~ namiestnika, który był teraz zupełnie przezwyciężył zły humor (ale to nie na wiele się przydało), jednego pięknego poranku powiedziano mi, że 10go listopada ~~15go grudnia~~ (1890 ~~1889~~) mam się zgłosić do służby przy starostwie w Złoczowie. Byłem wówczas komisarzem, brałem z namiestnictwa 102. fl. na miesiąc, miałem z Towarzystwa gospodarskiego zarazem jeszcze miesięcznie 50 fl. za statystyczne prace, a z literatury ~~[illegible]~~ przeszło jakie kilkadziesiąt fl. zasiłało kasę. — Obawiałem się jednak, że wskutek przeniesienia się mojego z Lwowa, utracę dochód z Towarzystwa gospodarskiego, a i wielka praca przy starostwie, niż przy namiestnictwie pozbawi mnie możności pisania do dzienników, mianowicie do Gazety Lwowskiej. — Nie było jednak na to wszystko rady, trzeba było wyjeżdżać i ~~M~~ od Marylki się oddalić. — Przed stanowczem przeniesieniem się pojechałem do Złoczowa, aby sobie mieszkanie wynająć, gdyż o jakie takie ładne pokoje było tam bardzo trudno. — W smutny dzień jesienny wysiadłem na stacyi w partym pole dworca kolei żelaznej w Złoczowie. — Obszarpany powóz

o chudych szkapach z podbijanemi bokami i żydowskim woźnicą zawiózł mnie przez pu-
ste pole do miasta. – Śniegu oczywiście jeszcze nie było, ale błoto co nie miara, na lewo
stał pod miastem, na pagórku ruiny dawnego zamku starościńskiego, jedno urozmai-
cenie pejzażu, zresztą obszczerpane domy, mało drzew, drewniane, ponuro. Serce mi
się ścisnęło, że tutaj może lata trzeba będzie przepędzić. – Poszedłem do starosty, którym
był p. Plaschk ożeniony z Dzieduszycką. To ożenienie wydawało ~~zaw~~ splendoru
panu Plaschkowi, bo je wspominano przy każdej sposobności. Pan Plaschk mógłby był
Lamowi służyć za model do jego sławnego pana Brechelki. Chudy, wysoki, z farbo-
wanemi na czarno faworytami i tyłem przylizanemi włosami bakenbardowo
zaczesanemi jenen otwartemi, należał pan starosta do owych amfibiów galicyjskiego urzę-
dnictwa, którzy (w istocie niemieccy) pozostawali, zmieniali na wszelki polityczny wiatr, zastosowując się u
wych przekonaniach, przynajmniej na zewnątrz, do każdoczesnego namiestnika. Pan
Plaschk źle mówił po polsku, ale teraz dość dużo używał krajowego języka, bo namiestni-
kiem był Gołuchowski. Przyjął mnie bardzo uprzejmie, zaczął się wypytywać o to i owo,
a gdy w czasie rozmowy woźny wszedł i powiedział, że ktoś czeka z bardzo pilnym inte-
resem, pan Plaschk wymówił pięknym głosem „soll warten", a ten wyszedł
dawał mi miarę tonu, jaki w starostwie panował. Pan starosta (z tytułem radcy namie-
stnictwa) oznajmił mi zaraz bardzo nieprzyjemną wiadomość, że będę referentem
spraw wojskowych, to znaczy, że będę przeprowadzał rekrutację, czego się zawsze obawia-
łem, jako wymagającej niezmiernej uwagi, tej odpowiedzialności i nieustannie przy-
pominającej dla egzekwowania ustawy. – Od pana Plaschka poszedłem do pierwszego komi-
sarza Flechnera, mówiącego wprawdzie dość dobrze po polsku, ale wszystko tych
samych co pan starosta przekonań, to jest przekonań żadnych, z obawą
przed każdym wystąpieniem od polskiej szlachty. – Przyjacielem moim i podporą na ten wygnaniu
miał być dla mnie Ludwik Leszczyński, praktykant konceptowy, młodszy ode mnie,
ale bodaj jak się należy, z obywatelskiego domu, o którym słyszałem, że bardzo miły
i zacny chłopak. Gdym spotkał się z Leszczyńskim, zawiodło mnie trochę w moich
oczekiwaniach, przyjaciel mój był bowiem zarozumiałym kpem małomiej-
skim, bawiącym się w dowcipnisia, i spoglądającym po każdym mniemanym dowcipie
na obecnych, jakie na nich ~~przyprawiało~~ zrobił wrażenie. Leszczyński siedział w biu-
rze w jachtowych butach z cholewami, w krótkim futerku, paląc fajkę na długim
cybuchu, a co trzeciego przynajmniej chłopa lub żyda przychodzącego do niego z intere-
sem, za drzwi wymiatał. – Biuro było w partrze, ciemne, brudne, [illegible]. Nie myto tam
podłóg od niepamiętnych czasów, przez zapylone okno zaledwie światło dzienne przy-
chodziło, a obłok dymu z fajek i papierosów unosił się nad papierami. Pokazano
mi mój pokój, był on (mały), z papierami zawalony, biurko stało ~~posadzone~~ zabrudzone atramentem,
i przez lat dwadzieścia służyło za pole popisu rysunkowych talentów moich poprzedni-
ków, bo porysowane na niem były rozmaitemi cyfry, figury, a nawet serce przebite

stratą. – Koledzy wzięli mnie zaraz w opiekę, dowiedziałem się, że jedyne mieszkanie jakie jest
obecnie wolne w Złoczowie, są dwa pokoje u żyda Feuermana i że powinienbym tam za-
raz pójść je wynająć. – Po ulicach Złoczowa było bardzo błoto, a dom Feuermana leżał
na placu jeszcze bardziej błotnistym, bo niżej od innych ulic leżącym. Chcąc się dostać
do mego przyszłego mieszkania, trzeba było przeskakiwać kałuże najgłębszego błota i obcho-
dzić ostrożnie całe kupy najrozmaitszych odpadków. Zdechły kot leżał także na kupie
śmieci, dla urozmaicenia obrazu. – Na odrzwiach parterowego, drewnianego jeszcze dość po-
nędznego domu była przybita na ukos blaszana skrzynka, zawierająca wewnątrz przykaza-
nia Mojżesza, a każdy wchodzący żyd do mieszkania dotykał palcem tej blaszki, skła-
dając w ten sposób rewerencję biblijnym zakonom. – Z małej sieni wchodziło się na prawo
do gospodarstwa, na lewo do dwóch pustych pokoi, z których jeden większy wychodził na
ów plac, który opisałem, drugi z jednem oknem na podwórze. Pod oknem sta-
wiano właśnie budę z choiną, która miała służyć za miejsce nabożeństwa pod-
czas jesiennych świąt żydowskich, tak zwanych „Kuczek". Pokoje były wapnem wybielone, dwu-
[illegible], w jednym tylko, większym, podłoga z jednej strony była pochylona, gdzie zapewne
belki na których spoczywała pogniły. – Wyboru nie było, trzeba było wynająć to pomiesz-
kanie, za które żądano 19 guldenów miesięcznie. – Do usługi wynająłem sobie jakąś
dochodzącą babę, która już mojemu poprzednikowi w tem mieszkaniu pokój sprzą-
tała, a zaopatrzony w ten sposób najkonieczniejsze schronienie w Złoczowie, wróciłem
do Lwowa, aby rzeczy spakować i przenieść się na pobyt. – U handlarza mebli, oczywiś-
cie żyda, kupiłem łóżko, szafę i garnitur mebli, rzeźbioną kanapę z fotelami, pokrytą
ciemnoczerwonym rypsem. Kanapa i fotele kosztowały przystępną cenę 90 fl. ale też
sianem były wypchane. – Wyjeżdżając ze Lwowa obiecywałem sobie, że co tydzień
będę mógł przyjeżdżać do Marylki, a w każdym razie, że święta Bożego Narodze-
nia razem przepędzimy. W prezydium namiestnictwa zostawiłem jedynego życzliwego mi
dr., radcę namiestnictwa Loebla, po którym się spodziewałem, że mnie z czasem z tej
głuszy wybawi. – Gdym jednak przyjechał do Złoczowa, przekonałem się wkrótce,
że wszelkie wyjazdy będą niemożliwe, bo pracy było dużo, zostawił mój poprzedni-
k przeszło mi setki niezałatwionych, chociaż drobnych spraw. Jako główny depozyt
oddano mi tak zwane Stellungslisten, opasłe odnoszące się do służby wojskowej, wyno-
szące kilka tysięcy nazwisk. Zwróciło to moją uwagę, że na tych listach wszędzie jak-
by się spodziewać można poplamiony był atrament, i to w taki sposób, że nazwiska
jakiegoś poborowego doczytać się nie było można. – Owe plamy atramentu zalewa-
ły też tylko żydowskie nazwiska. – Miałem pod moją komendą jakiegoś stare-
go dziennikarza, widocznie wielkiego pluta, który od dawien dawna pomagał refe-
rentowi w sprawach wojskowych. Jego się więc zapytałem, co te plamy mają
znaczyć, ale dostałem od niego odpowiedź, dziwiąc się po trosze mojej
naiwności.

Po prostu mój dziennik, a może i poprzedni referenci wylewali widać to przyzwyczajenie atrament na narożnikach niektórych żydowskich pogrzebowych, a gdy i narożnika nie można było wszystkie akt dotyczących się do owego pogrzebu z wyjątkiem się ulokować, trudno było dojść, kto właściwie tam ~~[illegible]~~ opuszczono. W ten sposób, ten lub ów żydek uwalniał się na służbę nas, a może i na zawsze od wojska, zwłaszcza, gdy zmienił miejsce pobytu. Zacząłem naturalnie zamykać na klucz listy poborowe, aby nie na nie nie wylewano atramentu, ale też niebawem przyszedł do mnie bardzo zamożny żyd Złoczowski, niby to z powstaniem, ~~[illegible]~~, ale w ciągu rozmowy zaczął mi się wypytywać, dlaczego koni nie trzymam, przecież taki pan komisarz jak ja, mógłby sobie te przyjemności zrobić; zwłaszcza, żeby go to nic nie kosztowało, bo żydkowie owies i siano za darmo by mu dostarczali. Podziękowałem oczywiście przyjacielskiej porady, ale i żydzi nie dali za wygraną. I przez właściciela domu, w którym mieszkałem, zaczęli mi robić rozmaite propozycje; wreszcie poznali, że ich z ich stanowiska zrywam, dali mi niebawem spokój. — Prawie równocześnie ze mną przydzielony został do starostwa w Złoczowie komisarz powiatowy Bolesław Rozwadowski, dobry mój znajomy, ożeniony z panną Ziarską. — Bolek nie odznaczał się wielką inteligencją, ale zatrzymał sporo powoli i źle, palił w bramie fajkę na półtora metra długim cybuchu, i co trzeciego żyda lub chłopa, przychodzącego do niego z interesem, wyrzucał z wielkim hałasem za drzwi. W tej mierze był artystą. — Dom Rozwadowskich był dla mnie jedynym w Złoczowie przyjacielskim przytułkiem. Chodziłem tam często wieczór, a chociaż wrzaskiem tam panował nieporządek, chociaż Bolek ciągle krzyczał na służbę, a dzieci bez ne chodziły, przecież można było przy herbacie pomówić o czemś innem, a nie o robocie. Bywały i o pani Bluckiej, zwłaszcza, że pani Rozwadowska dość była oczytaną kobietą. Bywał tam także Ludwik Lewicki, rozwijał swoje niedowarzone koncepta, a często grał ktoś z okolicy, z obywatelstwa. Ludwik był dość zamożnym niski, krępy chłopakiem, wynajmował mały dworek zagubiony, w niepozbytych katarach ulicznego błota, trzymał małego służącego, siedzącego zarazem furmanem, do bardzo małych koni, i radby do tego dworku sprowadził około równie małą żonę. W tym celu ciągle wyjeżdżał w sąsiedztwo, a ponieważ przy tej sposobności chciał zawsze i pieniędzy coś zarobić i brał na siebie mnóstwo tak zwanych komisyj i wrócił z nich, wymuszonych po wsiach, za które inkasował partye płacił. — To jeżdżenie po żydowskich karczmach, nie bardzo się wrakiem przyjemnie skończyło, bo kochany Ludwik dostał gdzieś szkaradnego wypustu, świerzb, ponieważ z żydami, musiał się ciągle smarować, a przez długi czas nie mogliśmy mu ręki podawać, bojąc się od niego zarażenia. Rozwadowscy, ja i Ludwik i razem z nim Jachimowski stanowiliśmy obywatelsko-polską część złoczowskiej biurokracji, galicyjsko-czesko-niemiecki konglomerat stanowili pp. Bluckowie, Flechnerowie i Krzizowie. — Flechner był najstarszym komisarzem przy starostwie, spokojny człowiek, ale mieszający się w niczem, jeżeli się szlachcicowi stało zapłacił, pani Flechnerowa uchodziła za najpiękniejszą elegantkę w Złoczowie i kupowała się na to patrzyło, że u Rozwadowskich, bywają pp. Gnoińscy z Krasnego, Hulińscy z Bijdowa, a nawet czasami zaglądał tam Kazimierz hr. Wodzicki. — G. Krziż, a raczej Križ, był Czechem, bokonem powiatowym,

jednym z tych pionierów cerkwi ruskiej, która nie mało Galicji szkody przyniosła. Ksiądz miał trzy na wydaniu córki i z tego powodu prowadził dom bardzo otwarty. Co chwila ja i Leszczyński, jako kawalerowie, byliśmy zapraszani do pp. Kniziów, a na każdej takiej przyjęcie napotkaliśmy panny doktorówne, tyle placków i najrozmaitszych bałabuchów, tak nas niemi nieustannie częstowały, że kolacye trwały po trzy godziny i ledwo żyjąc z tamtąd wychodziliśmy. W córeczkach państwa Kniziów, najstarsza, panna Hermina, była dla mnie zaangażowana, dobrze jest po polsku mówiąca, bo w Galicji się urodziła, i przed przyjaciółmi towarzystwo jej bardzo mi było przyjemne, gdybym się był nie obawiał, że każde wielkie zainteresowanie się niej, mogłoby było być uważane za staraniem się o jej rękę. Trzymałem się więc na uboczu, i chodziłem tam tylko wówczas, kiedy i Leszczyński był w moim towarzystwie. — Te wieczory u pp. Kniziów miały to dobrego, że jedzenie było wtedy, co dla żołądka tak skazanego na restauracyjny wikt nie było nieważnym obojętnym. — Wszyscy kawalerowie umówiliśmy jadali w „hotelu", w żydowskim zajeździe, gdzie brudny żydowski kelner nam usługiwał. Wielu wszyści moich kolegów ratowała się tak zwanemi „śniadankami", wychodziła do koniecznego, dobrego sklepu, jadła tam marynowane, solone i wędzone ryby, sprowadzane szynki, sardynki i zapijała to wszystko porterem lub węgierskiem winem; mój żołądek nie znosił tego rodzaju jedzenia, więc trzymałem się wówczas bezpiecznie z kartoflami w „hotelu". Wieczór nastawiałem u siebie samowar na herbatę, a baba posługaczka, w wysokich butach była moim kamerdynerem. Najczęściej na przemian zgromadziliśmy się u Kowalskich, u Ladstka lub u mnie.

Marylka tymczasem wyjechała z Lwowa. Dyrektor teatru widząc rozwijającą się szybko w niej rozwijającą się chorobę piersiową, wskutek której nie mogła często występować nie zaangażował jej na całą zimę, i jakoś w początkach grudnia Marylka wyjechała do siostry Mokrzyckiej, do Krakowa, chcąc z tamtąd prowadzić układy z teatralnymi agentami. Pisywaliśmy często do siebie, listy były wszakże smutne, gdyż ona zaniepokojona była o swoją karyerę, a ja wiedząc znając stan jej zdrowia, nie robiłem sobie iluzyi i widziałem, że miłość nasza do małżeństwa doprowadzić nie może. Chcąc jeszcze jej zobaczyć pojechałem na święta Bożego Narodzenia do Krakowa. Zastałem ją już mocno chorą, ale utrzymującą się jeszcze siłą swej woli, w jakimś takim stanie. W dzień bywała nawet wesołą, wieczór zbierała ją gorączka i siły upadały. — Pani P. która zawsze mieszkała w Krakowie dowiedziała się naturalnie, że cały dzień prawie przesiaduję u Marylki i nie omieszkała dawać mi przyjacielskich przestróg, żebym był ostrożnym, że Dr Parczewski, który zna stan zdrowia Marylki, mówi, że tuberkuły w wysokim stopniu się już w niej rozwinęły, że ma przed sobą zaledwie kilka miesięcy życia itd. — Położenie moje stało się bardzo trudnem, przepędziłem też bardzo bolesne święta i wróciłem smutny do Lwowa. — Zaraz po nowym roku wyjechała Marylka z matką do Wiednia, tam występowała jeszcze raz jeden w jakimś dobroczynnym koncercie, i to był ostatni jej występ. — Po koncercie nieco zasłabła, wołano

Konsylium, i lekarze wiedeńscy wyprawili ją na resztę zimy do Gorycyi, bo Gorycya cie-szyła się wówczas protekcyą przemożnych wiedeńskich profesorów. - Tam jednak trafiła Ma-rylka na zimno i niepogody, a przytem jedzenie w hotelu było tak złe, że zdrowie jej bardzo się po-gorszyło, i że do Krakowa wracać musiała. Listy nasze stawały się coraz rzadsze, bo Marylka na wiośnie z największem już tylko wysiłkiem pisać potrafiła.

Mnie tymczasem w Tarnowie nie dobrze się wiodło, w mieszkaniu u Żyda długo wytrzymać nie mogłem, pokoje były niskie, powietrze niezdrowe, a sąsiadowanie z brudną rodziną ży-dowską życie nie należało do przyjemności. Szczęśliwem jednak zdarzeniem [illegible] się dwa pokoje w dworku radcy sądowego p. Jachimowskiego, wdowca z dorosłym dzieć. Pan Jachimowski wynajął mi te dwa pokoje, ale pod dość twardym warunkiem. Miał on ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ rodzaj wychowanki, sierotę, którą ~~będącą~~ jeszcze jego zmarła żona do domu przyjęła. Była to osiemnastoletnia nadzwyczajnej urody dziewczyna, smukła, brunetka, pełna wdzięku i gracyi w swych ruchach. Na imię jej było Józia, a Jachimowski wymagał przy świadkach, przy Rozwadowskim i Leszczyńskim danego słowa honoru, że się nie będę starał Józi bałamucić. Gdym dziewczynę zobaczył zastanawiałem się niezmiernie nad tem, czy można rozumnie przyjąć takie zobowiązanie, wybornie jednak mieszkać mi było, trzeba było zatem i [illegible] do opiekuna przyjąć warunki. - Zresztą bawiłem przez cały dzień w biurze, więc mało Józię widywałem, a starszy gospodarz tak umiał się urządzić, abym o ile możności jak najmniej się z nią spotykał. - Z początkiem mar-ca nastąpiła rekrutacya, pobór do wojska, ~~[illegible]~~ jedna z najnieprzyjemniejszych czynności, jakie w życiu miałem do przeprowadzenia. Listy rodzinnych do poboru były już gotowe, Komisya złożona ~~[illegible]~~ ze starosty Oleśnickiego, kilku wojskowych, dwóch lekarzy, delegata rady powiatowej i mnie, jako nadwornego referenta, została zamianowaną. Na lokal do prze-prowadzenia rekrutacyi wybrano jakiś zajazd mający kilka dużych izb, a w jednej ~~[illegible]~~ z nich ustawiono kilka stolików, krzesła i instrument w kształcie ma-łej szubienicy, będący miarą wojskową. - W marcowy ranek czynność się rozpoczęła, prze-demną leżała wielka księga zawierająca listy poborowe, obok mnie siedzieli p. major i starosta, a po izbie ~~pokoju~~ chodziło kilku niższych wojskowych, lekarz powiatowy ~~[illegible]~~ p. Kosiń-ski i jakiś podoficer już w tego rodzaju zajęciach, lekarz wojskowy. - Obok mnie stanął wojskowy feldwebel i według abecadła wywoływał nazwiska. Pierwszy, o ile sobie przypo-minam był żyd Mortko Apfelbaum, postaci Apollina nie miał, sukni swoje mu-siał pozostawić w drugiej izbie, w której delikwentów rozbierano, i szedł w stroju Ada-mowym skurczony, trzęsąc się z zimna i strachu. Pod miarą nie miał ochoty stanąć, dopiero silne pchnięcie prowadzącego go żołnierza, przekonało go o smutnej konieczności. Gdy jednak stanął przy ~~pod~~ stopniu, tak się skurczył, tak garbił szyję i kolana nagniótł, wy-glądał, aby o ile możności niższym się wydawać, aniżeli był w istocie i nie dostał głową do potrzebnej miary. Stojący koło niego feldwebel tak potężnego dał mu w bok sztur-chańca

zi b[illegible]
mi, [illegible]
Turk[illegible]
i utr[illegible]
gener[illegible]
Tem [illegible]
mi[illegible]
tym [illegible]
niew[illegible]
ucza [illegible]
prze[illegible]
zjew[illegible]
nikt [illegible]
ucho[illegible]
gotow[illegible]
by [illegible]
mu[illegible]
bron[illegible]
uważ[illegible]
moga[illegible]
ale [illegible]
trzech[illegible]
ni z [illegible]
któ[illegible]
dom[illegible]
ich [illegible]
zi [illegible]
U. – [illegible]
mu[illegible]
zaraz[illegible]
Kliz[illegible]
mi [illegible]
zuło[illegible]
z p[illegible]
bar[illegible]
wiw[illegible]
odb[illegible]

że biedna żydówka od razu się uspokoiła i o kilkanaście cali urosła. – Następował drugi kmieć, a ten drugi miał rupturę, a trzeci chorobę, o której nie wiedziałem, rodzaj szybkiej Tutki na nogach, zaledwie dwudziesty lub trzydziesty był podobny do zdrowego, dobrze wyżywionego i utrzymanego człowieka. Nie miałem dotąd wyobrażenia, że ród ludzki jest tak brzydki, tak zdegenerowany, tak rozmaitemi przymiotami chorobami. Po każdym dniu rekrutacyjnym byłem przejęty obrzydzeniem, a pobór do wojska był jeszcze idealną czynnością w porównaniu z rozpatrywaniem starych, najgorszych pomimo 60 lat mających ojców rodziny, którzy w tym celu musieli być uznanymi za niezdolnych do pracy, aby ich synowie byli uwolnieni od wojska. Takiej galerii brzydoty i obrzydliwości przechodziła jest najbardziej zacna imaginacya. – W przeciągu dwóch, czy trzech tygodni, trzy tysiące nagich postaci przemknęło mi się przed oczami, byłem moralnie i fizycznie zgnębiony, a drugi raz w życiu nie chciałbym się poddać takiemu zadaniu. Podczas całej tej czynności przeziębiłem się i zdaje się, że się nabawiłem choroby, która w kilka tygodni później wybuchła jako gwałtowny katar płuc. Z dziesięć dni leżałem w mocnej gorączce i rzecz szczególna, że z tej gorączki najprzyjemniejsze mi pozostały wspomnienia. Leżałem jakby na przedstawieniu w jakiejś operze, o przyćmionem świetle, i słyszałem ciągle muzykę z najulubieńszych oper, z Traviaty, Fausta itd. – Walc z Dinory często mi brzmiał w uszach, wogóle cała ta gorączkowa muzyka była wspomnieniem niedawnych występów Marylki. – Wychowanka Jachimowskiej pielęgnowała mnie poczciwie, moja młodość chorobie pomagała, tak, że po kilku dniach niebezpieczeństwo życia minęło, ale pozostał nadzwyczajny męczący, cały rok trwający kaszel, katar płuc. Gdy mi się trochę lepiej robić zaczęło, przychodzi raz do mnie żydowa i mówi, że jakaś obca pani chce się ze mną widzieć. Kazałem ją poprosić i ze zdziwieniem zobaczyłem panią K. która naważyła się na jazdę do Żółkowa, bez wiedzy męża, aby mnie odwiedzić. Przed dwoma niespełna miesiącami powiła ona syna, którego bardzo pragnęła, a jeden z moich pseudo-przyjaciół telegrafował mi o tem zdarzeniu, wyrażając się w telegramie, że mnie ten fakt zapewne będzie obchodził, jako zaprzyjaźnionego z domem państwa K. – Pani K. siedziała u mnie z godzinę, bardzo poczciwie się mną zajęła, ale niebawem musiała odjechać, aby się mąż nie dowiedział o jej eskapadzie. – Po kilku tygodniach zacząłem z domu wychodzić, ale do zupełnego wyleczenia się potrzeba było zmienić klimat, pojechać w góry, na dłuższy czas, wyglądałem bardzo chorobliwie, i widok mój dłuższego życia nie wróżył. – Podałem się do Prezydium Namiestnictwa o dłuższy urlop, a przysłał mi Loebl wszystko, że mi dał urlop, ale załączył jeszcze z funduszów rządowych 100 guldenów remuneracyi, spodziewając się, że kasa moja bardzo tego zasilenia będzie potrzebowała. Oczywiście te 100 guldenów wielką mi były wówczas pomocą, i w ciągu całego życia byłem Loeblowi wdzięczny za jego dobre serce. – Latem w czerwcu wyjechałem z Żółkowa, koledzy mnie odprowadzili.

ne [illegible]
pow[illegible]
stżo[illegible]
bid[illegible]
ze u[illegible]
przy [illegible]
Jeśli [illegible]
6 [illegible]
ni o[illegible]
kotl[illegible]
ty [illegible]
stan[illegible]
niep[illegible]
k[illegible]
tyś[illegible]
moje [illegible]
w dob[illegible]
T[illegible]
brat[illegible]
sam[illegible]
na [illegible]
chcia[illegible]
od U[illegible]
śnie[illegible]
nabr[illegible]
dwa[illegible]
jest [illegible]
w m[illegible]
waże [illegible]
cera[illegible]
gda[illegible]
była [illegible]
się, [illegible]
ni [illegible]
to [illegible]
powi[illegible]
przy[illegible]
ni p[illegible]
sto[illegible]

na kolej i żegnali się ze mną, jakgdyby mi przypominali; abym kiedyś zdrów zawołał powrócić. Lekarz we Lwowie poradził mi, abym pojechał na kuracyę do Gleichenbergu, zastosowałem się więc do tej ordynacyi, a zebrawszy co można było pieniędzy, pojechałem do Wiednia. – Z wielką boleścią nie mogłem nawet być na ślubie mojej siostry, która szła za mąż za Romana Jabłonowskiego, będącego wówczas młodym urzędnikiem podatkowym, przy starostwie w Krośnie. – Miała ona majątkowo bardzo dobrą partyę, ale wybrała Jabłonowskiego, z którym później jak najlepiej żyła..

Po drodze do Wiednia wstąpiłem do Krakowa, aby odwiedzić Marylkę. Nie ruszała się ona już z łóżka, wyglądała jak cień, a lekarz Gawiński nie spodziewał się nawet, aby kilka tygodni żyć mogła. Smutne to, ostatnie było się z nią moje widzenie, wstrzymywałem łzy w oczach gdy się na nią patrzyłem, ona zaś nie zdawała sobie już sprawy ze swego stanu, ale ciągle gorąco opowiadała mi o projektach wyjazdu na wieś, na lepsze i niespieszne. – We dwa tygodnie później otrzymałem w Gleichenbergu wiadomość o jej śmierci.

W Gleichenbergu wynająłem sobie mały pokoik na poddaszu jednej z will tamtejszych, poszedłem do lekarza kąpielowego, który mi dodał otuchy, utrzymując, że płuca moje są zdrowe i że katar szybko się pokończy. Rzeczywiście też po kilku dniach pobytu w dobrym powietrzu zaczęło mi się dużo lepiej robić i znów wstąpiła we mnie ochota do życia.

Zaraz jakoś pierwszego dnia mego pobytu w Gleichenbergu spotkałem pannę Marię Wołłowską z Warszawy, którą zeszłego roku poznałem u pani Adamowej Chłędowskiej. Panna Wołłowska bawiła także ze swoją matką, panią Tabęcką z Głockich i siostrą panną Stefanią, która przechodząc dość mocne cierpienie piersiowe miała dłużej w Gleichenbergu pozostać. Te panie mieszkały w domu zur Stadt Venedig, trochę oddalonym od Kurhausu, ale pani Wołłowska przychodziła tam na śniadanie, a wesoła, śmiejąca się, niepospolicie urodziwa, zgromadzała w około siebie wszystkich od bogatego towarzystwa należących Polaków. – Rozumie się, że natychmiast zapisałem się do jej orszaku. Po kilku dniach poszedłem ją odwiedzić w Stadt Venedig, nie było jej wprawdzie w domu, ale przyjęła mnie pani Tabęcka z panną Stefanią. – Panna Stefania leżała na szezlągu, bo przecie mało mogła wychodzić; pani Tabęcka siedziała haftując jakiś kobierzec i mało się odzywając. Pani Tabęcka bardzo [illegible], wyglądała jak jakiś cezar rzymski w spódnicy. Twarz wyrazista około sześćdziesięcioletniej kobiety, włosy jasne, gładko uczesane, oczy bardzo jasne, z brwiami skromnie. Panna Stefania nie była ładna, ale nadzwyczaj sympatyczna, wykształcona, i tak umiała prowadzić rozmowę, że po godzinnej wizycie byłem najzupełniej pod jej urokiem. – Podobaliśmy się sobie nawzajem, a po trzech dniach byliśmy zdecydowani pobrać się, i brakowało tylko zezwolenia ojca jej, pana Tabęckiego. – Gołuchowski mówił mi nieraz gdy powiadał o mnie „leichtes Blut", widząc bowiem pannę Stefanię, ani mi na myśl nie przyszło, zastanawiać się nad jej zdrowiem, albo się bliżej o nie dowiadywać; powiemy że jak się później przekonałem, Stefania nosiła już wówczas w sobie zarody bardzo ciężkiej choroby płuc, której później uległa.

Ou[illegible]
la op[illegible]
ja [illegible]
do m[illegible]
tna [illegible]
co by[illegible]
na K[illegible]
i lec[illegible]
Szat[illegible]
syn [illegible]
siostr[illegible]
ve s[illegible]
my [illegible]
z pa[illegible]
towan[illegible]
wszk[illegible]
wóz, [illegible]
K. z [illegible]
brotr[illegible]
jakr[illegible]
wreds[illegible]
K. [illegible]
ranw[illegible]
dać [illegible]

żyt [illegible]
wić [illegible]
uzn[illegible]
bard[illegible]
~~wa~~ [illegible]
bowi[illegible]
~~bard~~[illegible]
lowa[illegible]
jedn[illegible]
Hum[illegible]
la, [illegible]
Sciva[illegible]

Oczywiście byłem odtąd codziennym gościem zur Stadt Venedig, zakochanym po uszy. Rola opiekuna starej panny Stefanii jeszcze bardziej mnie do niej przywiązywała, a moja z nią troskliwość zawsze jej wzmagała jej dla mnie uczucia i wzbudzała zaufanie do mnie w jej rodzinie. – Z panną Wrotnowską pijałem rano herbatę w kawiarni, a sprytna kobieta Konstancja z tych tête-à-tête, aby się ode mnie wszystkiego dowiedzieć, co było potrzeba, o przyszłym jej szwagrze. – Jakoś nazajutrz po poznaniu się z panną Stefanią poznałem się także z hr. Kościelskim, Seferem Paszą, który mieszkał w Grazu, w zamku swym Bertoldstein, odległym o milę od Gleichenberga. Sefer przyjeżdżał często do Gleichenberga, a odkąd zaznajomił się z piękną panną Wrotnowską, tem częstszym był tam gościem. W Gleichenbergu bawiła także pani jenerałowa Kwiatkowska, siostra Sefera, z córką swą panną Bardzińską i wnuczką, 16-letnią, ruchliwą jak żywe srebro, czarnooką blondynką. – Otóż w towarzystwie tych pań i Wrotnowskiej mieliśmy pojechać do Sefera w odwiedziny, właśnie w trzeci dzień po moim poznaniu się z panną Stefanią. – Dzień był bardzo piękny, pogodny, pani Kwiatkowska z swem towarzystwem ruszyły naprzód, ja z Wrotnowską jechaliśmy za niemi, lekkim powozikiem. – Zaledwie wyjechaliśmy za Gleichenberg, widzimy przed sobą zbliżający się powóz, w którym siedzi młoda kobieta z mężem. – Przypatruję się bliżej, kto taki? – pani K., z którą zeszłego lata miałem romans we Lwowie. – Ukłoniłem się pani i staremu K., ale Wrotnowska na pierwszy rzut oka spostrzegła, że pomiędzy mną, a ową panią w powozie jest jakiś bliższy stosunek i zaczęła mi się dokładnie o nią wypytywać. Oczywiście nie wydałem wcale pani K., ale Wrotnowskiej nie mogłem jakoś przekonać, że pani K. za mną nie przyjechała. Wypierałem się jak umiałem, ale wszelkie wyjaśnienia się na nic nie przydały. Aż do zamku Bertoldstein musiałem się poddać bardzo niebezpiecznej zazdrości. –

Sefer Pasza miał bardzo awanturniczą przeszłość: pochodził z Wielkopolski, służył za młodu w wojsku pruskiem, ale wskutek jakiejś przygody musiał opuścić armię i przeniósł się do wojska tureckiego. – Nadzwyczaj przystojny, wysoki mężczyzna, mówiący wybornie po francusku i po niemiecku, doszedł w Konstantynopolu do bardzo dobrego stanowiska, sułtan używał go najpierw jako oficera towarzyszącego znakomitym europejskim gościom sułtana, później do rozmaitych dyplomatycznych misyj. Będąc nadto Kościelski znakomicie znał się na koniach, więc i z tego względu był bardzo potrzebnym swemu monarsze, który go bardzo polubił. – Gdy przyszło do uregulowania stosunku pomiędzy wicekrólem egipskim a sułtanem, Kościelski stał się jednym z najważniejszych czynników w tych układach, ale później padło na niego w Konstantynopolu podejrzenie, że w tych tu misjach sprzyjał stronnictwu wicekróla, i że znaczny za to przyjął od tegoż pieniężny podarunek. – Czy podejrzenie było prawdziwem, czy nie, tego mi nie wiadomo, rzecz pewna jednak, że po układach o Egipt

stanowisko Kościelskiego w Konstantynopolu stało się nie możliwem, i że musiał dla własnego bezpieczeństwa przenieść się napędnie do Kairu. – Tam w wielkich był łaskach u kedywa, który mu takie okazywał rozmaitemi podarunkami i finansowemi koncesjami, tak, że Sefer po kilku latach stał się bardzo zamożnym człowiekiem. Pomiędzy innemi otrzymał on od Rządu egipskiego pozwolenie na założenie pierwszego browaru piwnego w Kairze, na którym świetny zrobił interes. Sefer bywał często w Paryżu, stał się znaną osobistością na dworze Napoleona III., a powszechnie mówiono, że cesarzowa Eugenia bardzo nim była zajęta. Nie mogąc w ~~starszych~~ późniejszych latach dużo podróżować, nabył ~~Sefer~~ stary zamek Bertholdstein w Styrji, w pobliżu Gleichenbergu, położony na skale panującej nad doliną Raaby. W zamku tym przebywał w lecie, podczas gdy na zimę wracał zawsze do Kairu. Bertholdstein należał dawniej do rodziny Lambrechtcy Lampert, a w XVI. i XVII. wieku odbywały się tam [illegible]. – Sefer pozował trochę na bohatera, a zwłaszcza wobec kobiet otaczał się pewną tajemniczością, która mu serca zjednywała. Gdy ja raz po czarnej kawie siedziałem w jego bibliotece, zaczął opowiadać o zamku, o dawnych właścicielach tej posiadłości i nagle zbliżył się do szuflady starego sekretarzyka, i otworzył jedną skrytkę, w której na czarnym aksamicie leżała woskowa maska starej kobiety, ubrana w nieużyty czepek z koronek i fioletowych wstążek. Obecne panie się trochę przeraziły i cały dzień była mowa o dziwactwach i charakterze Sefera, co właśnie leżało w jego intencyjach. Kościelski miał kilka [illegible] obrazów Chlebowskiego, który bawiąc przez dłuższy czas w Konstantynopolu był niejako nadwornym malarzem sułtana. Były to chłodne, dekoracyjnie malowane, sceny z dziejów tureckich, wystudjowane, wykończone, nie przemawiające do wyobraźni. – Po śmierci Chlebowskiego przeniosła się wdowa po nim, z domu Medycka, do Lwowa i urządziła tam cały szereg wyprzedaży obrazów i orientalnych starożytności, po których [illegible]. Pomiędzy szkicami były niektóre świadczące o niepospolitym talencie ~~malarza~~ artysty, i gdyby też nie musiał był na łokciu malować tureckie bitwy, toby się nie był zmarnował. – Sefer był niezwykłym ~~[illegible]~~ despotą, zakazywał nawet (nie mogła przelecieć przez pokój bez jego wiedzy, toteż pobyt u niego nie należał do najprzyjemniejszych. W kilka tygodni później wybrałem się do niego na ~~[illegible]~~ cały tydzień, ale ten despotyzm pana domu, ta punktualność w spacerach, w całem zachowaniu bawiących w jego towarzystwie, tak mnie znudziły, że trzeciego dnia wyszukałem sobie jakiś powód, aby uciec z Bertholdsteinu. –

Ponieważ w Gleichenbergu dużo bywało Polaków, więc przez lato osiadł się tam Dr. Czerwiakowski, syn profesora uniwersytetu w Krakowie. Czerwiakowski, młody, wysoki, zdrów mężczyzna, będąc na uniwersytecie więcej się zajmował prowadzeniem tańców, urządzaniem publicznych balów, amatorskiemi naukami. Był ulubieńcem pań, romansował z mężatkami; to też nie umiejąc nic, został lekarzem kąpielowym, i to w Gleichenbergu, gdzie z pewnością prócz praktyki i rozgłosu nic chorym pomóc nie mógł. – Ten człowiek pełen życia, energi-

stał się w kilka lat później lekarzem, atoli zdegradowany się w nim rozwinął, musiał porzucić swój zawód lekarski i do dziś dnia można go spotkać w krakowskich kawiarniach, gdzie go du- namnie nie mówi.– Czerniakowski, już jako lekarz, często bywał w domu pani Tabeckiej; ciąg- tym gościem był jednak Bartels, przyjaciel brotmotkut który obecnie ze swoją żo- ną Kazią, spokojną, brzydką, ostrożną ... bawił w Gleichenbergu. Pani Kazia siedzia- ła przy pani Tabeckiej, Bartels zaś hulał z nami młodzieżą.. Była to postać jakiej drugi raz w życiu nie spotkałem. Nieślubny syn któregoś z litewskich Radziwiłłów, wy- chował się w towarzystwie wielkich panów, bez zajęcia, wśród polowań, swawoli, objazdów, rozmy- ślając tylko nad tem, jakby się przypodobać swemu otoczeniu. Nadzwyczaj przystojny, wyso- ki mężczyzna, bystry, dowcipny, posiadający wiele muzykalnego talentu, mógłby był się wykształcić na znakomitego artystę, ale nie było o jakiejś systematycznej pracy, o jakichkolwiek obowiązkach w życiu, nie miał wyobrażenia. Mie- szkał jego zewsząd na Litwie, w Warszawie; nie mając własnego majątku i nie przyzwyczajony do jakiegokolwiek zarobku oglądał się tylko na cudzą kieszeń. Stał się więc rodzajem pieczeniarza, ale takiego pieczeniarza, który swym dowcipem, swym humorem, swemi pio- senkami chce robić na życie zarobek. Ostatni trefniś w polskiem społeczeństwie. We wszystkiem utalentowany dyletant, bardzo zręcznie rysował karykatury, i wymyślił sobie pod tym względem dość oryginalną specjalność. Obrał on deskę zwyczajną, na której o- łówkiem jak najściślej było zachowanych sęków, i tak układał kompozycję, aby te sęki, jako wymowne zużyte zostały. Były to po większej części sceny myśli- wskie, w których z sęków robiły się twarze, z wyrazistych konturów, stroje, ... Buro- ... te po wypadku nieraz więcej jak było potrzeba, ale całość robiła miłe, a w karo- ... rani oryginalne wrażenie. Deski Bartelsa bardzo były poszukiwane, i stanowiły póź- niej główne jego utrzymanie. Znajomi, bogaci przyjaciele kupowali te wyroby jego talentu za drogie pieniądze, widząc, że w ten sposób delikatnie wspomogą go potrzebnego. Więcej jak malowane deski znane były w całej Polsce żartobliwe piosnki i rymowane opowiada- nia Bartelsa, do których on sobie dorabiał muzykę. Wiersze te, owszem, ... co do formy, często ze stylu, ale pełne humoru, wyszły raz z nutami drukiem po imieniem tego „Volkssängera" polskiej szlachty. W domu rozrywano sobie Bartelsa w Warsza- wie zamawiano go za znacznem honorarjum na wieczory. Popularny bard, siadał do fortepianu i cicho akompaniując wygłaszał swoje rapsodje o starych pannach, o pannach które nadwiślańskiej pozbywają się francuszczyzny, o kawalerach polujących na posagi. Ze mło- dzi recytował on ... głosem, który ja go już znałem, trudno było dziś dłużej mówić; aby w tych recytacjach nie dostrzec ani wszystkich ... tonów. Bartels jednak robił tak zabawne miny przy fortepianie, tak znał wszystkie słabostki polskiego szlach- ckiego społeczeństwa, że ogólnie wywoływał oklaski i śmiechy.– Mimo tego pieczeniarskiego zawodu, był to człowiek niskiej powołania, nigdy podłości nie zrobił, pomagał komu mógł swemi stosunkami, zawsze był wolny od pośrednictwa.. O wyjątkowej ... Kazia miała jakiś niewielki kapitalik, który był podstawą egzystencji, dzięki Bartlowi nie mógł

pan Artur więc wstawał i kładł się spać śpiewając, jak ptak na gałęzi. — Nie pamiętam, abym kiedykolwiek w ~~[illegible]~~ weselszem był towarzystwie, jak wówczas w Gleichenbergu. — Artur z Wrotnowską prześcigali się w koncepta i śmiali się, aby się śmiać. Warszawskie panie miewały często zwyczaj śmiania się ciągle, śmiania bez powodu; Wrotnowska, [illegible] się w gruncie smutna i wiele przeszła kobieta, śmiała się ciągle, tak że mnie czasami ta wesołość — z przyzwyczajenia — nie mało męczyła. Być może, że powszechnie [illegible] się, że jej pięknie z uśmiechem, bo miała bardzo ładne zęby i dziwnie sympatyczny wyraz twarzy, więc się ~~[illegible]~~ dla tego śmiała, później przyzwyczaiła się i nie wychodziła ze stanu towarzyskiej wesołości. —

X

Tabęccy mieszkali w Dłutowie, w powiecie [illegible], na piaskach. Fortuna była po ziemi, dawniej bardzo znaczna, ale p. Konstanty Tabęcki, ojciec pani Wrotnowskiej i panny Stefanii źle się rządził, i wieś po wsi sprzedawał. Dzieci było ~~siedmioro~~ sześcioro, trzech synów i trzy córki, z ~~których~~ tych starszych najstarsza, zamężna za Aleksandrem Czarnowskim mieszkała w Łękach, w Kutnowskiem. Syn jeden zginął w powstaniu z r. 1863., drugi umarł, trzeci Konstanty ożenił się i mieszkał w sąsiedztwie Dłutowa, w [illegible]. Strata dwóch synów tak [illegible] panią Tabęcką, że trochę zdziwaczała, do czego jak zwykle w podobnych wypadkach księża, spowiednicy się przyczynili. Ojciec, aby uniknąć [illegible] smutnych wspomnień w Dłutowie, wyjechał dla edukacyi córek, przeniosła się ze panią Tabęcką na jakiś czas do do Wrocławia, na mieszkanie, a tam otoczyli [illegible] katolickie panie, zawsze [illegible] wpływ [illegible] na [illegible] niewieściemi umysły kobiety, żyjących jeszcze smutnemi wspomnieniami powstania. [illegible] księży do doprowadził panny do tego stopnia umartwień, że zdrowie ich na tym [illegible] religijności bardzo ucierpiało. [illegible] tak długo im odmawiał picia wody, że jak ~~[illegible]~~ ten domowy tyran wyszedł, rzuciły się dziewczyna na miednicę i wypiły zamydloną wodę. — W rodzinie choroby piersiowe były dziedziczne, można sobie więc wystawić, jak straszna ta bezrozumna bigoterya podkopywała ich zdrowie panienek. — Wrotnowska, gdym ją poznał, dwie ~~lata~~ zimy już przepędzała w Mentonie, przeszedłszy jako mężatka bardzo ciężkie zapalenie płuc, Stefanii życie wisiało na włosku. Nie bywając w Warszawie nigdzie w towarzystwie, przynajmniej [illegible], się te panie i [illegible] bardzo dużo, mówiły ~~[illegible]~~ dobrze po niemiecku, francusku i angielsku, a panna Stefania opowiadała mnie nieraz w podróży, mnóstwem swych wiadomości, o których się tylko przypadkiem dowiadywałem. Obawiając się bowiem, aby ja nie posądzano o pozy ~~[illegible]~~ Das-bleu, ~~[illegible]~~ kryła się ze swoją erudycyą, a zaledwie w kilka tygodni po zapoznaniu się z nią powiedziała mi i to przypadkiem, że jakaś jej nowelka była drukowaną w którymś z pism warszawskich.

Gdy listy z Gleichenbergu przyszły do Dłutowa i do Warszawy z wiadomością, że jadę z p. Chełmońskim(?), kuzyn pani Ch. w Warszawie starał się o rękę panny Stefanii, zaczęto ożywiać tam dowiadywać się kto? co? jaki? — i zasięgać języka u moich znajomych. Zdarzyło się, że siostra pani Tabęckiej z [illegible] była zamężną za p. [illegible] w Krakowie, [illegible] więc miał o ~~[illegible]~~ mnie wydawać wyrok, czy jestem odpowiednim dla panny S. konkurentem. —

Informacyja wypadła niekorzystnie; p. Blochenek napisał ojcu panny Stefanii, że ów p. Ch. jest lekkomyślnym młodym człowiekiem, który sobie zepsuł urzędową karyerę swoją „Fotografianką", że stracił łaski u namiestnika Gołuchowskiego. Panna Stefania jednak stanowczo oświadczyła, że za pana Ch. za mąż pójdzie, a pani Wrotnowska także była ten zamiar popierała. – Wezwano więc jej męża, Lucyana Wrotnowskiego, adwokata w Warszawie, na zjazd, do Gleichenbergu, aby też pana Ch. oglądał. Przyjechał Lucyan; nie wiem jakim [illegible], ale on na mnie bardzo niedobre zrobił wrażenie. Młody jeszcze człowiek, prawdziwy warszawski blagier, opowiadający tylko o swoich stosunkach z rozmaitymi warszawskiemi paniami, rozrzucający pieniądze, dający kelnerom przechodzące wszelką miarę pourboire. Co mnie zaś najwięcej raziło, to że Lucyan w oczy nie patrzył temu, z kim rozmawiał, a od młodości nie mogłem się przekonać do takich ludzi. Każda rozmowa z nim mnie męczyła, musiałem bowiem tylko wysłuchiwać ~~jego~~ opowiadania o jego miłosnych awanturach, te też jak mogłem unikałem samotnych z nim przechadzek. Ponieważ jednak pani Marya wywarła wielki wpływ na swego męża, a ~~ona~~ jej się podobałem, więc wszystko było dobrze, i Lucyan odjechał z powrotem do Warszawy z miłą o mnie opinią. – Z końcem sierpnia skończył się nasz pobyt w Gleichenbergu; pani Tabicka z córkami miały jeszcze na dalszą kuracyę jechać do Meranu. – Postanowiłem z niemi pojechać; pomimo że pieniądze moje się kończyły; matka jednak obiecała mi z Wiednia przysłać do Meranu jakiś zasiłek, a nadto sądziłem, że z drogi napiszę jakie feuilletony do „Gazety Lwowskiej" i pieniądze się znajdą. Wyjechaliśmy więc z końcem sierpnia, do Gracu, gdzie na moje nieszczęście trzechletni synek pani Maryi, Staś, zachorował, tak, żeśmy tam więcej dni zostać musieli. Niektóre guldeny w kieszeni coraz to się zmniejszały, a nie widząc jak sobie poradzić sprzedałem cichaczem jeden pierścionek, którego nigdy nie nosiłem, i miałem w kuferku, jako rezerwę, na wszelki wypadek. – Staś wreszcie wyzdrowiał, pojechaliśmy dalej do Botzen, a z tamtąd powozem, bo kolei do Meranu jeszcze nie było. Kasa moja wyczerpała się już zupełnie i z upragnieniem oczekiwałem Meranu, gdzie się spodziewałem zastać list z pieniędzmi od matki. Na moje nieszczęście powóz zatrzymał się na popas w jakimś zajeździe, gdzie było dobre białe wino. Zjedliśmy śniadanie, a na wyjezdnem Wrotnowska, która mnie wielkiemu tak(?) narażała, ~~po~~ zaglądnąwszy do swojej portmonetki obróciła się do mnie mówiąc: „Zapłać też za ~~mnie~~ nas, bo nie mam drobnych". Zapłaciłem, i – pozostało mi cztery centy majątku, z którem wjeżdżałem do Meranu, jako konkurent panny z Błockich. – Umieściliśmy się w hotelu „Zur Post", ~~pobiegłem~~ pobiegłem więc zaraz do biura pocztowego, zapytać się, czy nadszedł wybawczy list od matki. „Jest wprawdzie taki list – odpowiedział urzędnik pocztowy – ale zaadresowany do p. Chłodowskiego, a nie Chłędowskiego, jak napisano w pańskim paszporcie!!" Urzędnik się formalizował, dla mnie uprzejmy na stwierdzenie, że jestem właścicielem tych pieniędzy, ale ostatecznie wybrnąłem z kłopotu. – Najęliśmy w Meranie

przyjętemi mieszkaniami, z balkonami obrośniętemi kwitnącemi jeszcze różami, robiliśmy wycieczki, chodzili na obiad do Hassfurtera i układali plany na przyszłość. Pani Tabęcka, otyła kobieta, niezmiernego miała apetytu, jak w ogóle rodzona Tabęckich; nie miała się też nawet z czem taić, gdy przy table-d'hote garnęła na swój talerz ćwierć półmiska każdej potrawy, a siedząc przy niej, brałem o tyle mniej, o ile ona za dużo nabierała, aby jaką taką w polityce towarzyskiej utrzymać, co do apetytów, równowagę. Zresztą u Hassfurtera dawano przy stole dużo i dobrze. — Po kilku tygodniach przyjechał na parę dni i papa Tabęcki, aby poznać przyszłego swego zięcia, którem mu się ani śniło jechać do papy, do [illegible]. — Matka i córki trochę lekceważyły papę Tabęckiego, który zresztą nie był, stracił sporo majątku i usposobieniem i przekonaniami podobny był do generacji ludzi z czasów księcia Konstantego. Trochę romantyk, trochę liberał, ale naturalnie tylko w teorji, a nie w czynie. Cały zresztą jego liberalizm skupiał się w platonicznem podziwianiu wielkiej rewolucji francuskiej i w marzeniu się „Jeszcze Polska nie zginęła". — Pan Tabęcki siedział dużo na wsi, bawił się we wszystkich [illegible], co panią Tabęcką pogardą ku niemu napełniało; od czasu do czasu tylko jeździł do Warszawy, aby jakiś „dostarczyć" a w gruncie rzeczy [illegible] interes. Całą swą gotówkę, a widać nie widział ile jej jeszcze było, nosił papa Tabęcki w pierścieniach, a córki miały o tych skarbach bardzo wyobrażenie, [illegible] nie był wart. — Pogodziliśmy się (nie dowierzając się) z panem T. przez dni kilka, mówiliśmy o rzeczach obojętnych, tyle tylko mi w rozmowie zakomunikował, że panna Stefania będzie miała posagu 20.000 rubli i nic więcej, co zresztą już i z ust matki, jeszcze w Ciechocinku, słyszałem. Ciekawem zaprawdę powiadała mi pani Wrotnowska, że po śmierci rodziców będzie dość dużo, i że w każdym razie ojciec nam będzie pomagał, dzięki mi dojść do konstytucyjnego matrymonialnego stanowiska. — Po kilku dniach dłużej papa wyjechał, albowiem mu duszno było w Meranie, a właściwie towarzystwo czuł się [illegible] przytłaczającym wyższością swej żony i córek. Pozwolenie swoje na małżeństwo dał milcząco, bo pomimo wszystko Wanda Rockenka, musiał ulec panią.

Jakoś w początkach października, wybraliśmy się z Meranu do Wenecji, gdzie pani Tabęcka z panną Stefanią miały zimę przepędzić. Wrotnowska wróciła do Warszawy. Mieszkali wówczas w Wenecji państwo Edmundowie Łosińscy, on powstaniec z r. 1863., emigrant, ona Italianka Zatorska z domu, córka p. Jana Zatorskiego, z Galicji, którego rodzona (Zatorskich) jakoś za swoją cytowała uznawać nie chciała. Łosińskiego zwano konsulem polskim w Wenecji, zamieszkał on tam z powodu wątłego zdrowia swej żony, a nie mając co robić, zajmował się paniami polskiemi potrzebującemi opieki, a nadto ... zbieraniem galerji obrazów włoskich, którą wysłał z czasem sprzedać za ogromne pieniądze, do Ermitażu w Petersburgu. Ten Łosiński miał śniadą, szeroką, kościstą, jakby tatarską twarz i krótko ostrzyżone włosy; oczy tylko duże, europejskie, nie zdradzały tatarskiego pochodzenia. Jako mocny brunet nosił zawsze jaskrawe pąsowe krawatki.

Pani Łozińska, cicha, spokojna, melancholijna kobieta, siedziała w domu i zajmowała się wychowaniem drugiej Dzieci.. Państwo Łozińscy mieszkali na Zattere, mieli bardzo duży apartament na piętrze i poradzili moim paniom, aby wynajęły pod niemi [illegible], na pierwszem piętrze tego samego domu, wolne właśnie mieszkanie. Dla mnie był tam tylko pokój, którego okno wychodziło na jakiś kącik, nazwany ogródkiem. Stare figowe drzewo, kwitnące pomarańcze i kilka krzaków [illegible], składało się na ten widok.. Pani Tabicka przyjęła kucharkę, Niemkę, która jeszcze za austryackich czasów przyszła do Wenecyi i tam już została i pokojową, Włoszkę, sentymentalną, długą, smutną, świadą, pełną Dziwoszem, która mnie wobec Włoszek poetycko usposabiała. Kucharka wychowana austryackiemi czasy i gotowała obiad w przeciągu pół godziny, na dwóch kłęcych się drewienkach. Pani Tabicka, oczywiście, nie lubiąca się z domu wyruszać, pisała bajki dla swych wnuków, a ja z panną Stefanią i Łozińskim przyjeżdżaliśmy gondolą do najpiękniejszych zakątków, które stykały się na wodzie zostały rzeczy. Czasami prowadził mnie Łoziński na antykwarze obrazów, pełne niezimowych Tintorettów, Veronesów, a nawet Rafaeli, a mimo mojej więcej jak skromnej kiesy kupiłem raz obraz Guercina „SC Padre eterno”, za osiem franków, który do dziś dnia wisi nad moim biurkiem. Zacząłem dosię pisać do Gazety Lwowskiej, aby pomnożyć fundusze, otrzymałem [illegible] urlop z urzędu, i miałem przepędzić ten czas w Wenecyi. Ale niebawem odezwała się we mnie niespokojna żyłka, żal mi było tego długiego urlopu spędzonego tylko w Wenecyi, a że nie byłem nigdy na Zachodzie, więc postanowiłem wyjechać na kilka tygodni do Paryża.. Postanowienie to było oczywiście złe przyjęte przez moją narzeczoną, ale umiałem jej jakoś nie wyperswadować, potrzebą uzbogacenia się, dobrą sposobnością itd., koniec końcem, się wyjechałem na Turyn i Mont-Cenis do stolicy Francyi, gdzie stanąłem w jakimś bardzo skromnym, ale bardzo taniem hoteliku. Zwiedziłem oczywiście naprzód wszystko co było do widzenia, a że i „Gazeta Lwowska” nadesłała mi wekslu na 300. franków, więc pobyt nadsekwański udał się rzeczywiście i jakoś z końcem listopada wróciłem się znowu w Wenecyi. Narzeczona jednak bardzo za złe mi wzięła tę wycieczkę, a gdyby nie jej słodki charakter, toby mi była posłała list zwracający pierścionek, list który już był napisany..

W Wenecyi mogłem tylko bawić do połowy grudnia, bo urlop się kończył, któraś chorowici zaczęła się zachodzić, a i moim paniom Wenecya nie służyła, więc się wybierały, na dalszy pobyt zimowy - do Montony. W jakiś burzliwy noc grudniowej, w którą mrowie zalało wszystko Zattere, ale i Ciarette, wiózł mnie gondolier do austryackiego statku, mającego mnie zawieźć do Tryestu.. Z biedą wsiadłem na ten statek, z którym i dalej obrazu Bartolka na desce, który mnie i pannie Stefanii zrobił na nasze gospodarstwo. Włoski człowiek, gdy robiący owe „Święte stołki” zawsze natychmiast „permesso”, wystawione przez składanie, że ten obraz wywieść wolno. Na próżno dowodziłem, że to nie żaden starożytny święty stołki, ale wprost [illegible] na desce, włoch się wypierał, aby mu dać permesso. Zrobiłem więc rzecz, jakbym dla wstąpienia kręcąc

chciał wrócić drogą do morza, a to ubezwłasnowolnienie mojej własności przekonało go, że nie wiele warta. Na statku byłem jedynym pasażerem, bo ~~ów~~ [każdy] wszędzie w taką noc burzliwą wolał jechać koleją do Centyny; u mnie przemawiały względy finansowe, za morską podróżą, bo statek był tańszy. Zamiast szczęścia przypłynęliśmy do Tryestu ~~[illegible]~~ 18. grudnia i wylądowaliśmy z łodzią w czasie mocnej bory. Wynająłem dorożkę, aby przyjechać z portu na dworzec kolei, dorożkarz po drodze obalił babę, a na komorze ~~celnej~~ celnik wydobył z głębi kuferka butelkę przykrycia na stół, który kupiłem na „nasze gospodarstwo" i kazał mi płacić wysokie cło. Szczęściem miałem wolny bilet na kolei, a wiedział więc opłaciwszy się komorze, zajechałem do Wiednia...

Terminu mego ślubu nie był jeszcze postanowiony, więc mieszkania nie szukałem, oczekując dalszych wiadomości od mojej narzeczonej i będąc trochę niespokojnym, o jej zdrowie. Jedynym ustawicznikiem we Lwowie który znał moją narzeczoną i jej stosunki był Marchwicki, który podczas pobytu stał w lesie Dziatowskim i zapoznał się z całą rodziną Tabęckich. Marchwicki więc opowiadał we Lwowie, że się bardzo dobrze żenię, a ludzi nawet pod względem majątkowym więcej o tem małżeństwie myśleli, aniżeli było w istocie. – Dzięki Löbbeckiemu, który miał dla mnie dużo sympatyi, przeniesiony znowu zostałem do namiestnictwa i przydzielony do biura pana Orłeckiego, niemówiącego, chudego, suchego urzędowo kompetentny, który mnie przez lat sześć męczył swoją pedanteryą, swoim żółciem i swoim brakiem życzliwości. Ów radca namiestnictwa Orłecki ~~był~~ miał w referacie sprawy pensyjne, sprawy leśne i kas oszczędności. Praktykę miałem tam nie złą, kolejno przy wielu czynnościach przyjemnych, ale ~~pisałem~~ pracowałem bez ochoty, zapisując w jarzmie, które mnie ~~[illegible]~~ gniotło. – Z powodu przebytej choroby i zbliżającego się małżeństwa musiałem brać urlop, co mi szkodziło w oczach pana Orłeckiego. – W końcu kwietnia 1875 znalazłem się znowu w Meranie, znowu w hotelu „zur Post", gdzie moje panie przyjechały z powrotem z Mentony. – W ówczesnym moim dzienniczku zapisałem sobie nader miłe wrażenia z Meranu. „Stefcia dobrze wygląda – pisałem – zdrowa, Gabrisia (pani Tabęcka) w białej ... siedzi na werandzie i swoim trybem zajęta jakąś robótką, na około ogród pachnący, miłość..." – Te robótki wypełniały wszystkie wolne chwile pani Tabęckiej, haftowała one na kanwie, albo na płótnie, kolorowemi jedwabiami, wiernie oddane kwiaty z natury, albo ptaki, papugi [?], bażanty, kopiowane z bardzo pięknej illustrowanej edycyi dzieł Buffona, stanowiących ozdobę dość bogatej biblioteki w Dziatowie. – Przykrycia na stół, zasłony, chustki wychodziły z pod jej ręki ~~pani Tabęckiej~~, wielka tylko była szkoda, że babcia nie umiała zachować miary w ornamentacyi, i gdzie tylko było wolne miejsce, tam wsadziła jakiegoś motyla, jakiś kwiatek, lub haftowaną chrabąszcza [?], tak, że w tych haftach przeciwnie było za wiele, ale całość wyglądała nieharmonijnie, przeładowana. Gabcia malowała także na porcelanie, z upodobaniem herby rozmaitych dawnej szlachty a zwłaszcza [?] wsi, a takiemi herbami jest dotąd w moim posiadaniu. –

W pierwszych dniach maja wybrały się panie z powrotem na wieś, na Monachium i Drezno. – Do Drezna je odprowadziłem, a stąd pojechałem do Lwowa, aby w lipcu

wybra[illegible]
T[illegible]
jasne[illegible]
nątrz [illegible]
wstęp[illegible]
znikn[illegible]
ni ta[illegible]
nm [illegible]
Dzier[illegible]
~~[illegible]~~
nasb[illegible]
granic[illegible]
ci z [illegible]
nych [illegible]
Tem [illegible]
Dzien[illegible]
k tu[illegible]
mina[illegible]
po D[illegible]
Szlun[illegible]
stolic[illegible]
z wi[illegible]
być [illegible]
probo[illegible]
nadle[illegible]
mając[illegible]
bo [illegible]
nm [illegible]
kuwn[illegible]
jem[illegible]
ni b[illegible]
„ a [illegible]
nawet[illegible]
nych [illegible]
by za[illegible]
Tem [illegible]
wszy[illegible]
rodzin[illegible]
poroł[illegible]
zaczyt[illegible]

wybrać się na ślub, do Działowa.

Tymczasem wynająłem mieszkanie na Halickiem, u Lewakowskiego. Cztery, dwi-jasne pokoje na drugiem piętrze, ale wejście nie miłe, bo z ganku, okalającego we-wnątrz całą kamienicę. Te drewniane ganki, niebezpieczne w razie pożaru, były charakte-rystycznemi we Lwowie i w Krakowie, w nowszych czasach coraz ich mniej i prawdopodobnie znikną z naszej miejskiej architektury. Matka moja, zmęczona gospodarstwem, miała się także przenieść do Lwowa na mieszkanie, a na pierwszem piętrze w tym samym do-mu znalazło się dla niej także dwa pokoje. Grunta w Uściecznem miały się oddać w dzierżawę i matka w ten sposób miała się także zbliżyć do córki, bo Jabłonowscy, ~~[illegible]~~, mieszkali w Dunajowie. Z końcem czerwca, wybrałem się na ślub, na Prusy. Najbliższa to była droga do Działowa, na Toruń, na Jabłonowo, a stamtąd końmi przez granicę wszystko w Nowym Zieleniu. Gdym się jednak na moje bogactwo, wybrałem się z Jabłonowa do ~~[illegible]~~ Gdańska (blisko, a namiętność do podróżowania, do poznawania no-wych rzeczy, tak była u mnie wielka, że nie zważając na to, że ślub za dni kilka, zboczy-łem jeszcze do Gdańska, aby widzieć Bałtyk i ciekawości pięknego, starego miasta. Zwie-dziłem wprawdzie Artushof i ratusz i Kościół Maryacki, ale nareszcie za złe mi wzięła ta turystyka namiętności i wiraz mi jeszcze później, tem bardziej pośpiechu, na ślub wyprzy-minała. — Krótką porą, wśród tem zapraszonym pysznemi drogami wspomnieniami, które się po drodze gorzej, zajechałem do Działowa, który bardzo miłe na mnie zrobiło wrażenie. Piękny ogród, o starych drzewach, dwór z piętrokiem i małą wieżą, która nam zawsze do strojnych uciechów dawała powód. Nazywaliśmy z Wołowskim nasze różny „pannami z wieży", gdy miewały jakieś pretensjonalno-arystokratyczne zachcianki. W Kościele Działow-skim był kościół niedaleko dworu i stary ksiądz proboszcz, poczciwy człowiek, typ dawnych jeszcze proboszczów, pełnych prostoty i tej niezachwiającej się, niezłomnej wiary, która dzierżyła tak nadługo pod w polskiem duchowieństwie. Sam Tabecka trochę z góry patrzyła na proboszcza, nie mając go za dość wykształconego człowieka, pan Konstanty ~~[illegible]~~ był zaś wobec niego uniżonym, bo ksiądz proboszcz musiał na niejedno u kollatora patrzeć przez palce, córki jednak do-mu były pełne przywiązania do staruszka, którego mówi za świętego uważały. Ślub był skromny, niewielu osób, z jakie 80 zjechało się, krewnych i sąsiadów, co mi oczywiście przy-jemnem nie było. Gdyśmy wychodzili do kościoła, jeden z okolicznej młodzieży, który się był zadowolony, że pożarina panna wychodzi z powrotu, zapytał mnie się ostentacyjnie: „A gdzie Pański powóz?" — „Przyjechałem koleją" krótko odpowiedziałem, nie uważając nawet, że to może być godne uwagi. Ten pan Kisielewski, mimo swej karty i wielu rzeczy, nie bardzo pięknych (zbankrutował w kilka lat i musiał później o swo-im sam być ekonomem. Ksiądz proboszcz miał naturalnie przemowę, której nie słucha-łem, wiem tylko, że wschodki przed ołtarzem, były wysłane czerwonem suknem i że mnie wszyscy oglądali jak zwierzęcą, bo przecież nie była dla nich nic do zrozumienia, że panna z rodziny w pruskiem otrzymany, wychodzi gdzieś tam daleko, do Galicji za mąż, za człowieka, który podobno jest tylko urzędnikiem. Po południu był duży obiad, który się tem zaczął, że furmani zagrali pod oknami w takt strzelania z batogów. Był to wówczas ~~[illegible]~~ w Królestwie koncert

dla nowożeńców, który naturalnie trzeba było opłacić kilkoma rublami. Ku Kosicowi obyła się nawiasem jakaś śmieszna para sztuka skierowana w stronę gdzie Stefcia siedziała, a w tej samej chwili jakieś jej pantofelki i owy pod stół skierowane. Znowu zwyczaj. sprawdzi nieprzyjemny, ale „staropolski". Miano pić zdrowie z trzewika panny młodej, więc który z młodych ludzi, zdaje mi się że p. Kiziełewski, zniknął pod stołem, na owo czas przymierzył się ku Stefci i zdjął jej trzewik. Bogu dzięki, że się nie bardzo przestraszyła, zwyczaj to wszakże, już nie na nasze, nerwowe czasy. Tradycję o tyle zmodyfikowano, że nie piło z samego trzewika, co dawniej bywało, ale wstawiono kieliszek do trzewika i w ten sposób sobie zaradzono. Nawet księża musieli składać w ten sposób hołd młodej mężatce, która tymczasem usychała, aby dostać swój trzewik napowrót. – Tańczono prawie całą noc a trzeciego, czy czwartego dnia odwiózł nas papa Tabecki do stacji kolei w Jabłonowie, z kąd pojechaliśmy do Torunia. Dom w Działowie był bardzo zasobny, a że dziad pani Tabeckiej Zaleski, był na swe czasy wielkim znawcą i amatorem sztuki, więc mnóstwo tam było cennych obrazów, porcelan i rozmaitych pięknych gratów. Karita z siostrą idąc za mąż zabierała co mogła, ale i Ku Stefci spora się jeszcze rzecz dostała, które w kufrach i pakach osobnym do kolei jechały furgonem. Pomiędzy owemi były w tych pakach owalne, ścienne lustro z konsolą i cztery miedzioryty kolorowane, przedstawiające sceny z uwięzienia Marji Antoinetty – które te rzeczy były kupione na licytacji, po śmierci Ks. Biskupa Krasickiego w Skierniewicach. – Wszystkie paki wraz z wyprawą oddaliśmy w Jabłonowie tamtejszemu spedytorowi żydkowi do wysłania, do Lwowa, z kąd jednak nie widział widocznie kiedy droga z Brus do Lwowa prowadzi, i przesłał je przez Królestwo, przez granicę na stacji Aleksandrowo. Ta przesyłka była fatalną, bo paki nasze przez pięć miesięcy leżały w Aleksandrowie, czekając na oclenie, i dopiero po długich reklamacyach i porozumiewaniach byliśmy się w możności dowiedzieć o ich uwięzieniu. – Z matką moją poznała się Stefcia dopiero we Lwowie, ale wzajemne wrażenie było dobre, bo matka już poprzednio bardzo piękny i serdeczny list napisała. – Urządziliśmy się (jak było można najlepiej, a Stef w Towarzystwie Polskim Lwowskim zamówiła meble do salonu przykryte czarnym atłasem z kolorowemi kwiatami, które się bardzo udały i podobały tym, którzy pierwszy raz do nas przychodzili. – Od Aleksandra Czarnockiego, najstarszego swata Stefy dostaliśmy dwie ~~[illegible]~~ szafy bardzo ładne i tak trwałe, że dopiero przed trzema laty, a więc po dwudziestu kilku latach skasowałem je, a resztki jego stoją jeszcze porzucone w kamienicy w której mieszkam, do ozdoby jej apartamentu. – Rzeczą dość było szczególną, że mój literat, a w naszym rzadkim dziennikarz nie miałem dotąd własnych książek, pomimo że w Wiedniu żadna była biblioteka. Potrzebowałem jednak tak dziwnych książek, że pożyczałem je z rozmaitych bibliotek, a na kupowanie ich nie było pieniędzy. Dziwiła się więc moja żona bardzo, że został literatem bez biblioteki i dopiero pozwoliła uczyniliśmy to z Wiednia, t. j. z Działowa ściągając po trochu starych książek i nowe kupując. Moja żona wywiozła z Działowa i z Drzena, gdzie także z matką mieszkała zamiłowanie

do takich rzeczy, do antyków i tak mnie ta pasja zaraziła, że zabawiam starałem się gromadzić w domu rozmaite starzyzny, o ile na to zasoby nasze skromne środki pozwalały.

Przyjęliśmy służącego, który nam [illegible] tytoniem cały przedpokój zapowietrzał, kucharkę i pokojową, a moi dawni znajomi, jak Władysław Przybysławski, jak Kazimierz Skrzyński, zaczęli do nas zaglądać. Skrzyński jeszcze wtedy miał trochę majątku i nie wyrobił się na pieniacza, jakim był później. Czytał dużo, wiedział wszelkie nowości, znał dużo dowcipów, dużo znajomości ludzi, rozwijał niekiedy wcale oryginalne poglądy i w każdem towarzystwie bardzo był pożądany. Co do mnie, mój się bardzo do niego nie mogłem przekonać, raziła mnie jego, wobec niższych w socjalnym porządku, arogancja i jakaś nieszczerość w jego charakterze. Nie patrzył on także w oczy, czego znosić nie mogłem, a nadto miał jakiś szatański grymas w twarzy, połączony z równoczesnym zacieraniem rąk, który go robił nieprzyjemnym [illegible]. Mojej żonie się podobał, bo miał wielkie towarzyskie zalety. Przybysławski, który już wówczas zaczynał prowadzić cichy handelek antykami, również bardzo był przyjemnym człowiekiem, umiał mnóstwo ciekawych anegdotek, znał wszelkie możliwe koligacje i rodowe stosunki w Polsce, na Litwie i na Rusi i rad się niemi popisywał. Łozińskiego trudno było zaciągnąć; dziwaczny bowiem, ludzi unikał, gdyż sam był w domu, przychodził do nas, ale gości, towarzystwa nie lubił. Lato przepędziliśmy we Lwowie; bo dzieci już bawiłem [illegible] i namiestnik byłby mi był wyjechać nie pozwolił. – Namiestnik jakoś w lecie zaczął chorować, a przez jakie dwa miesiące dnia niemal, jak tylko jego zdrowie nie było zagrożone. – Nie wiedziano zresztą wcale, w tym względzie nic, jak się ma, bo rodzina i znajomi, o ile możności rozpowiadali, że stan jego nie jest niebezpieczny. Z prawdziwem zdziwieniem dowiedziałem się Lwów 2go czerwca (1875) że namiestnik umarł. Pod świeżem tego wrażenia, do Feliksa Chodźki, naszego zaadresowałem wówczas następujące słowa: „Dzisiaj przed 8ą z rana umarł Gołuchowski, czarną flagę wywieszono na ratuszu, ale w sercach publiczności nie czuć tej żałoby, jakiejby po stracie takiego człowieka, spodziewać się można. Szczerze mówiąc, to prawie nikogo, trochę tylko ludzi bardzo go żałuje: Władysław Łoziński, przewodniczący radca namiestnictwa Löbel, i Teofil Zaleski. Szczerego żal może najwięcej bezinteresownego, bo namiestnik umiał Władysława ująć swą uprzejmością i właściwem ocenianiem zasług, które położył około Gazety Lwowskiej, Löbel i Zaleski żałują protekcji, którą tracą w Gołuchowskim, zresztą żałują go ludzie – rozumni. Mówią, że kraj ponosi wielką w nim stratę, że odkąd takiej administracyjnej głowy, powtarzają: kto go zastąpić potrafi? – ale chłód wieje z tych mów. Podczas choroby namiestnika można było dokładnie spostrzegać ten brak ciepła, jaki był pomiędzy nim a krajem, pomimo, że tak długo losy jego rządził. Gdy namiestnik zachorował, nikt z urzędniczego świata nie śmiał nawet przypuszczać, że Gołuchowski, ów energiczny, niezmordowany Gołuchowski może na serio chorować, a gdy się było spytać którego z jego przybocznych urzędników, o zdrowie Ekscelencji, to widocznie dziwił się tej śmiałości, że ktoś uważa go za równego innym człowieka.

Tyle lat, ile był zawodowo był Gołuchowski u władzy, przez tak długie czasy trzymał wszyst-
ko, co go otaczało, że ci co bezpośrednio władzy jego podlegali, nie śmieli nawet przy-
puszczać czegoś, coby ją usunąć mogło. – Dobrze ktoś powiedział, wracając z pałacu Go-
łuchowskich: – „zobaczycie, że p. Agenor jeszcze raz będzie namiestnikiem!" –

„Taki sam urok tej władzy dawał się czuć na jego rodzinie. Z początku w ca-
łym domu nikt nie chciał wierzyć, że namiestnik może być niebezpiecznie chory;
matka bała się syna zawołać z Bazylei, aby nie przestraszyć tego słowa „że jest chory";
doktorów nie sprowadzano innych, prócz domowego lekarza Dra Weigla, aby tylko nie nie-
pokoić pana Agenora. Nie dość na tem, jeżeli ktoś z bliższych domu starał się rodzinie
wytłómaczyć, aby zawezwała lekarzy, jeżeli ktoś próbował w najoględniejszych wyrazach
ostrzedz ją przed niebezpieczeństwem, to obrażał się i syn i pani Gołuchowska i cały dwór.
Mówił mi Dzieduszycki, że wskutek tego, w ostatnich tygodniach stracili serce do tej rodziny lu-
dzie, którzy dawniej zupełnie byli oddani Gołuchowskiemu. Dość powiedzieć, że na kilka dni
przed śmiercią nie wpuszczano do pokoju namiestnika drugiego lekarza, którego Weigel
z własnej woli sprowadził, ale lekarz ten czekał za drzwiami i Weigel w ten spo-
sób odbywał z nim narady, że wychodził co chwila, zdając mu sprawę ze stanu chorego.
Jest to zresztą zupełnie zwyczajnem zjawiskiem, że despoci, ludzie żelaznej woli, wywierają
na otoczenie taki urok przerażający, że tenże zdaje się trwać jeszcze wtedy, kiedy już na-
wet despoty zabraknie. – Im bardziej jednak postępowała choroba namiestnika, tem
bardziej, w szerszych przynajmniej kołach znikała namiętna nienawiść stojąca dotąd
na ustach mnóstwa ludzi. Ten i ów zaczynał wierzyć, że się od niego niczego więcej spodzie-
wać nie może, więc i gorące słowa w obojętne zaczęły się zmieniać frazesy."

Po pogrzebie namiestnika, dnia 8go sierpnia, dodałem jeszcze następujące notatki:
„Nabożeństwo żałobne w katedrze, tudzież odprowadzenie zwłok z pałacu do dworca Półno-
cnej Kolei żelaznej odbyło się uroczyście, spokojnie. Nigdzie nie widać było łzy, nigdzie praw-
dziwie zasmuconej twarzy. Błękitny dzień sprowadził ogromne tłumy ludzi na ulice, two-
rzące prawie nieprzerwany szpaler, od ogrodu jezuickiego, po dworzec, ale były to tłumy
ciekawych, rade zobaczyć mundur ministra Lassera i adjutanta cesarskiego, postę-
pujących za trumną, a nie tłumy biorące udział w żałobnym obchodzie. – Deputacye,
mundury, wszystko to było w porządku i na swojem miejscu, ale z całego tego pogrzebowe-
go obrzędu ~~trudno~~ można było tylko wyczytać, ~~aby~~ że i ~~przyby~~ zgromadzono się także, aby uczcić urzę-
du zasługi zmarłego, aby zademonstrować przed Niemcami, że kraj umie cenić pa-
mięć swych znakomitych ludzi – serca jednak, uczucia żalu, trudno tam było znaleźć."

Gołuchowski był twardym człowiekiem. Drugi jego syn Stanisław, najsympatyczniej-
szy z rodziny, miły, sympatyczny, lubiany w towarzystwie, narobił trochę długów we Lwo-
wie, mówiono o 10.000 zł. – Miał on wtedy z jakie 22. lat. – Bezwzględny ojciec

dłuższy zapłacił, ale kazał swoim lokajom rozłożyć Stanisława na dywanie i obić go. Sto-
sował nie mógł znieść tej obelgi i zastrzelił się. — Przypominam sobie, że na jednej
sesji Rady szkolnej krajowej, na której byłem obecny, ktoś z radców wniósł prośbę
biednego nauczyciela gimnazjalnego, ojca licznych drobnych dzieci o zapomogę, albowiem
on i żona byli chorzy od dawna, a niska płaca zaledwie wystarczała, aby od dnia nastarczyć
[illegible], oddalić niezwłocznie. Większość rady zdawała się skłaniać do jego prośby, namiestnik
jednak, rozdrażniony tą — jak mu się zdawało — słabością członków rady, z gniewem po-
wiedział: „ja temu nie winienem, że tyle ma dzieci i długów po uszy", a zaszokowani
członkowie wszyscy głosowali, że pan namiestnik ma słuszność, i nic mu nie dali.

Gołuchowski był mistrzem w powiększaniu majątku i od niego się datuje znaczna
fortuna rodu. Dobra Janów, z ogromnemi lasami, za bardzo niską, śmiesznie niską
cenę kupił od skarbu państwa, starego hr. Wita Zielińskiego, który źle żył z żoną, umiał
tak wmówić, że pan Wit, stawszy skąpcem zaciągnął 200.000 złr. pożyczki na swe do-
bra, oddał większą część pieniędzy Gołuchowskiemu, a rodzinie zostawił suchy szkielet
własności ziemskiej. Katedra ~~[illegible]~~ lwowska była w posiadaniu bardzo pięknych gobe-
linów, namiestnik ~~[illegible]~~ tak urządził, że kapituła sprzedała mu gobeliny za tanie
pieniądze, gobeliny które teraz stanowią największą ozdobę pałacu Gołuchowskich we Dw[illegible]
[illegible]. — Namiestnik miał dwóch braci: Artura i Stanisława, pierwszy zwany jenerałem,
zdaje mi się, że jenerałem z czasu powstania, zajmował w rodzinie stanowisko bardzo skrom-
ne, miewał mowy na lwowskim ratuszu przeciw rządowi, wybrany był raz nawet na posła przez
„ulicę", opiekował się powstańcami, a z pałacem namiestnikowskim był w ciągłej opozycji.
Drugi brat Stanisław, stary kawaler, żył w bardzo dobrych stosunkach z namiestnikiem
i jego rodziną, siedział na wsi spokojnie, gospodarował, i powiększał majątek, który się
miał kiedyś dostać bratankom. — Pani Gołuchowska, z domu Baworowska, pochodziła z rodziny dzi-
waków. Jeden z Baworowskich chciał koniecznie zaaklimatyzować u nas wielbłądy i jeździł
przez jakiś czas powozem zaprzężonym wielbłądami, dopóki mu policja tego sportu nie zaka-
zała, bo konie się ~~[illegible]~~ płoszyły. Nie uznawał on w ogóle rządów centralnych, a nawet w swej
[illegible] wszedł w wojnę z lwowskim dyrektorem skarbu, nie chcąc bowiem ze swej kamienicy we
Lwowie płacić podatków, kazał zamurować okna od ulicy, jakoby kamienica była niezą-
mieszkała. — Drugi, Wiktor z Baworowa (tak się podpisywał) pilnie tłómaczył Byrona, zbierał
znaną bibliotekę, a po śmierci zapisał swe dobra na cele oświaty, na czytelnie i biblioteki,
aby jednak nadać ~~[illegible]~~ cechy swego dziwactwa tej fundacji, rozporządził, że gdyby projektowane przez
niego zakłady nie doszły w Galicji do skutku, dobra jego na Podolu leżące miały przypaść Brytyjskie-
mu muzeum, na podobne cele. Na taki koncept, aby nasze ~~polskie~~ pieniądze zapisywać bogatym Anglikom
żaden chyba przed nim nie wpadł z polskich dziwaków. — Dziwnej [illegible] Władysław Baworow-
ski z rodziną obiegowej majątku, z pijaństwa, niewierności i tak głośne jego ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ [illegible]-
twami, że już nawet żydzi nie chcieli z nim wchodzić w interesa. — Pani Gołuchowska nie miała
wprawdzie wybitnych dziwactw swojej rodziny, ale była dumna, zimna dla obcych kobieta, dysponująca

przeradzę swoją oszczędnością w zebraniu majątku mój ów.. Duma Gołuchowskich nie mało musiała cierpieć z powodu lekceważenia, jakie im okazywała z uwagi na dawne, rodowa, polska Arystokracya. Potoccy, Lubomirscy, Sapiehowie urządzali formalny Boycott, aby Gołuchowskich nie zapraszać, towarzystwo pomijać, we wszelki możliwy sposób. Pan Agenor oddawał im też piękne za nadobne i ze względu, że Potoccy nie mieli formalnie przyznanego w Austryi hrabiowskiego tytułu, nakazał urzędom, aby wszystkie ~~urzędowe~~ pisma adresowane do Potockich wysyłane były bez dodawania hrabiowskiego tytułu. Oczywiście, że ta podjazdowa wojna trwała długie lata, ku wielkiemu zainteresowaniu się galicyjskich kumoszek.

Po śmierci Gołuchowskiego wielkie było rozczarowanie, kto zostanie namiestnikiem; Cesarz, który lubił pana Alfreda Potockiego, ufał jego lojalności i niezmiennemu przywiązaniu do Tronu, na niego się zdecydował. Pan Alfred, od czasu, kiedy przestał być ministrem Prezydentem, zamieszkał w Łańcucie, nie mieszał się do polityki, i z pewną arystokratyczną grandezzą przypatrywał się z boku wszystkiemu, co się działo. Był on mimo niektórych ujemnych słabości, jedną z najbardziej wziętych osobistości, jakie pamiętam w polskiem społeczeństwie. Niezmierny takt, prawość charakteru, wrodzona dobroć i znajomość życia zastępowały u niego jakieś wyższe zdolności, a można było być pewnym, że z każdego, najtrudniejszego nawet położenia, wyjdzie jako wzór człowieka honoru. Postać jego była jednak nadzwyczaj sympatyczna i zjednywająca zaufanie. Wysoki, szczupły, bardzo ~~ładny~~ przystojny mężczyzna, o pięknie zarysowanym nosie, znamionującym jego wielkiej rasy ród Potockich, o spokojnym, bardzo arystokratycznym zachowaniu się. Gentleman na pierwszy rzut oka, i to gentleman pierwszej wody. Loebl, który znał go bardzo dobrze, stawiał go niezmiernie wysoko, jako człowieka zacnego, sprawiedliwego, dobrego, a nawet rozumnego. Pan Alfred dużo widział, dużo czytał i doszedł do tego wykształcenia, które daje życie, a nie czasem szkoła. — W kraju miano go (powszechnie ~~[illegible]~~) za bardzo letniego patryotę, posądzano go, że Polskość zajmuje nader małe miejsce w jego sercu. Tak jednak nie było, sam pan Alfred powiedział raz do Loebla: „Ojciec mój, chciał ze mnie zrobić Niemca i nie powiodło mu się, zostałem Polakiem; ja chcę z Romana zrobić Polaka — czy mu się to powiedzie?"..

Przytoczę tutaj kilka anegdotek, charakteryzujących Potockiego, które mi Loebl opowiadał. Raz zastał go Loebl bardzo zirytowanego i ~~roz~~zsierdzonego w biurze.

— Ja tego nie chcę, to się nie godzi, ja nie mogę na to pozwolić — zawołał mówiąc zniecierpliwiony do wchodzącego Loebla.

— Co się stało? — o co Ekscellencyi chodzi? —

— Był u mnie starosta K., prosił mnie o to, a o to i pocałował mnie w rękę. To niegodne, ja na takie zachowanie się nie mogę pozwolić, to mi wielką sprawiło nieprzyjemność.

— To był Rusin, a oni przyzwyczajeni do takiego sposobu, do płaszczenia się...

— Mówisz Pan, że Rusin..

— Tak Rusin, zwykle w każdym człowieku budzi się czasem chęć zamanifestowania swoich uczuć wdzięczności, w sposób może nie zbyt odpowiedni, ale pochodzący z serca.

Ja sam złożyłem pocałunek na ręce Gołuchowskiego, gdy leżał na katafalku.

- To co innego, umarłego można wszędzie pochować; ale żywego nigdy..

Nareszcie namiestnik się uspokoił. Co pół roku, po jakiejś audiencji, której Potocki udzielał, wchodzi Loebl do niego i zastaje namiestnika jakby rozbawionego, z uśmiechem na ustach.

- Wie Pan co? - odezwał się namiestnik - znowu mnie jeden urzędnik w oczy pocałował, ale znowu Rusin..

Tak go to ucieszyło, że owym urzędnikiem nie był Polak...

Inna anegdotka. - W Łańcucie jeden raz Potocki w towarzystwie Loebla oglądał jakiś wzorowy folwark. Potocki woła ekonoma. Ukłonił się, powiada:

- Ty masz oziminy, widać zamieciami, jakaś szkaradna krowa stoi w stajni - zaraz ją wyrzucić.

- To krowa pisarza, odpowiada pokornie ekonom.

- To ją zostawić.

Co chwila zwróciło się panu Alfredowi wszystko, że wybuchał ekonoma, zawsze więc z nim na nowo pogadanka.

- A co twoje dzieci robią?

- Najstarszy jest w Krakowie na medycynie, drugi w gimnazjum w Rzeszowie, córki przygotowują się na nauczycielki, dwóch najmłodszych chłopców także w szkołach.

- Cieszę mnie, że tak dbasz o wykształcenie swoich dzieci, spodziewam się że i o moje dobro także dbać będziesz..

Z powrotem, pyta Loebl Potockiego, z czego ten ekonom może tyle dzieci w szkołach utrzymywać?

- Ma procent pensyi..

- Pensya zapewne nie wielka, ile może wynosić?

- 400 guldenów..

- To za mało na takie wydatki.

- Ma jeszcze ordynarię, zboże..

- Dajmy na to 20. korcy twardego, 20. miękkiego zboża. to jeszcze nie wystarczyłoby na tak znacznych wydatków..

- Musi mieć jeszcze inne dochody - odrzekł Potocki, trochę już temi pytaniami zniecierpliwiony, zasadą jego bowiem było, że oficjaliści mają z wielkiego pana korzystać być cośkolwiek i sami prosperować.. Wielki Pan na to ma (majątek, aby i inni przy nim żyć mogli.

Gdy pierwsza żona syna p. Alfreda, kniazia Romana, z domu ~~takiej~~ (Stanisławowa Potocka) umarła, było w ~~domu~~ rodzinie dużo mowy o ogromnej sukcesyi, którą Roman po niej dostawał. Największym majątkiem w tej sukcesyi były dobra Bonowany, a chciwa pani Alfredowa wysłała tam nawet znanego jakiegoś ekonoma ~~[illegible]~~, aby te dobra oszacował. Pan Alfred w to wtrącać się nie chciał i bez wątpienia niecierpliwił się, że syn i kniahina tyle okazują chciwości.. Nareszcie te rachunki zostały ukończone i Loebl od niechcenia powiada panu Alfredowi:

- Bogu dzięki, że sprawa Bonowan została pomyślnie załatwiona..

- Proszę Cię, nie wspominaj mi o Bonowanach, wobec mnie o tem mówić nie wolno, nie można - ja tego nie chcę, nie.. nie mogę słuchać! -

Kobietą z gruntu złą, kłamliwą, nieszczerą i dumną była pani Alfredowa. – Córka księcia
Romana Sanguszki, który przez długie lata był na Sybirze, wychowana na Ukrainie, jak koń ste-
powy, sprytna, wielkiej nie przyzwyczajona do posłuszeństwa, kłopotliwa, bardzo piękna, najpierwsza partja
w Polsce nie była odpowiednią żoną dla spokojnego, nawykłego cywilizacji zachodniej przedstawi-
ciela ks. Alfreda. W czasach których ją we Lwowie poznałem, już jako czterdziestoletnia kobieta, u-
traciła jednak swą piękność, trochę była za niska, trochę za gruba, ale czarne oczy ongi
błyszczały życiem, regularne, szlachetne rysy twarzy, obfite włosy, płeć biała – wszystko to
składało się na powabną jeszcze kobietę. – Państwo Alfredowie mieli czworo żyjących
dzieci: Roman właściciel co odziedziczył, pani Marja ~~Branicka~~ zamężna za hr. Branickim z Bia-
łocerkwi, przyjeżdżała czasami w odwiedziny do rodziców do Lwowa, Józef, bardzo przy-
stojny, wysoki młodzieniec, najbardziej do ojca podobny, ale mniej zdolniejszy od ks. Alfreda.
Kształcił jeszcze studja, a ~~panna~~ pani Klementyna, późniejsza Tyszkiewiczowa, ulubienica ojca, wielkiej urody, matczynego
temperamentu, dużo o sobie mówić kazała. – Z ust do ust sobie szeptano, że panna Kle-
mentyna miała romans z arcyksięciem Rudolfem, w czasie których rodzice w Wiedniu miesz-
kali, a książę Adam Sapieha ~~[illegible]~~ nienawidzący pani Alfredowej, najwięcej się przy-
czynił do rozszerzania tych pogłosek. Książę Adam opowiadał, że pani Alfredowej się zda-
wało, że gdy się stosunek Klementyny z arcyksięciem rozwinie, Rudolf się z nią ożeni i że
wskutek tego ułatwiała im schadzki, naturalnie bez wiedzy księcia Alfreda. Gdy skutki
tego stosunku były widoczne, a o jakichkolwiek intencjach arcyksięcia do ożenienia się z Kle-
mentyną mowy nie było, pani Alfredowa ~~[illegible]~~ przyspieszyła [illegible] sposobem
rozwiązanie, i jak książę Adam chytrze dodawał, dopomagając do zbrodni się przyczyniła.
Loebl, który znał wybornie najtajniejsze stosunki rodziny Potockich, opowiadał mi to i
uważał za prawdę, że owe plotki były niesprawiedliwe. Znając wreszcie sposób życia Potockich
w Wiedniu, trudności jakie wystrzegały bywania Rudolfa w ich domu, albo schodzenia się
z Klementyną gdziekolwiekbądź, było to wyłączone – najprzypuszczalniej w to wierzę, że cała ta historja
o stosunku Rudolfa do Klementyny była zmyślona, i przez złośliwą rodzinę rozszerzana.
Natomiast prawdą jest, że Klementyna, w czasie których pani Potocka mieszkała z nią
w hotelu Erzherzog Karl w Wiedniu, miała stosunek z księciem Henrykiem Liechten-
steinem swym ciotecznym bratem, matka bowiem Liechtensteina była rodzoną siostrą pana
Alfreda. – Liechtenstein jako kuzyn bywał ciągle w domu Potockich, Klementyna się
[illegible], bo był bardzo przystojnym młodym człowiekiem zaszła, pani Alfredowa wiedząca
[illegible] o własnych romansach córki [illegible] – i nieużyteczni pewnego pięknego po-
ranku spostrzegła się, że pannie katastrofa zagrażała. – Na gwałt zaczęto szukać mę-
ża i znaleziono go w osobie Tyszkiewicza, który gwałtem potrzebował ratować swą bardzo nadszar-
paną fortunę. Otóż opowiadania księcia Sapiehy co do usunięcia śladów stosunku, ale nie
z Rudolfem, tylko z Liechtensteinem są prawdziwe, bo naturalnie wszystko widzieć nie było [illegible]
dość, że te ślady usunięte zostały, a Tyszkiewicz miał to przekonanie, że on był autorem pier-
wszej niewdanej edycji [illegible] pani Klementyny. Gdy bowiem później nieużyteczni [illegible] donieść
do [illegible], a żona we Lwowie bawiła, ~~[illegible]~~ z wielką troskliwością pisywał do żony: do
teściowej, aby bardzo na Klementynę uważano, aby się nie stało to/co z pierwszym dzieckiem.

Klementyna, która później w Bawarii i w Rzymie do powszechnie znanych i dla bogatych ko-
ści przystępnych kobiet należała, po pierwszej z Lichtensteinem eskapadzie, tak w rozwiązłem życiu zasmakowała, że stały się wiadomą. Który się w domu Potockich wychował, ~~pospiesz~~ wpadł raz w kilku dni do niej pana Alfreda i z płaczem zwrócił jego uwagę na to, co się w domu dzieje, mówiąc, że „szkoda panienki". – Ze wskazówką tą wszedł pewnego razu pan Alfred w nocy do córki, gdzie miał być ukryty Zamoyski, brat ~~późniejszej~~ namiestnikowej, księżnej Eustachowej Sanguszkowej, ożeniony w lat kilka później z księżniczką Trapani. Stroskany ojciec wszedł sprawdzić, rozglądał się z wrodzoną mu delikatnością ale nic nie spostrzegł, gdy tymczasem Zamoyski siedział w szafie i wstrzymywał się jak mógł, aby nie kichnąć, tak wyperfumowane były tam spodnice.

U Sapiehów gniewano się, że p. Alfred został namiestnikiem, nie tyle może z powodu pana Alfreda, ~~ale~~ ile ze względu na to, że się będzie puszył w pałacu pod Kawkami, do którego ~~pan~~ Książę Adam także z wstrętem wchodził. – Nienawiść Księcia Adama do pani Alfredowej dawniejszych sięgała czasów. Książę opowiadał mojej siostrze, jakto raz zapełnił pewną [illegible], że gdy w roku 1864 zamordowano we Lwowie radcę rządowego Kuczyńskiego, pani Marya Potocka poszła do ówczesnego namiestnika ~~[illegible]~~, oświadczając mu, że moralnym sprawcą tego politycznego morderstwa ~~był~~ jest Książę Adam, który był wtedy w więzieniu. Książę mógł naturalnie tę denuncyację przypłacić, ale Namiestnik nie zrobił z niej użytku, nie chcąc zapewne Rządowi niepotrzebnych robić trudności. ~~Sprawcami~~ Wykonawcami morderstwa byli trzej [illegible] warszawscy, którzy po dokonanym czynie pojechali do Bawa-
rii i tam przepadli. Do ostatnich czasów żyło trzech ludzi we Lwowie, którzy mieli wiadomości o tej nigdy nie wyjaśnionej sprawie – do tych trzech należał Książę Adam.

Po Kuczyńskim zostało dwóch synów, których Rząd wziął na wychowanie do Theresianum w Wiedniu. Jeden z nich jest obecnie posłem austryackim w Cetynii, w Czarnogórze, drugi zajmuje wysoką posadę bankową w Länderbanku. Spotykałem ich w Wiedniu nie raz w towarzystwie, ale Polaków o ile możności unikali i po polsku nie mówili.

XI

Pierwszy wieczór na jakim ~~byłem~~ potem z żoną byli u pp. Mańkowskich, tam Stasia zaczęła się zapoznawać z lwowskim światem, w którym sobie od razu wiele zyskała sympatyi. Na owym wieczorze znajdowała się także młoda hr. Lubieńska, Hausznerówna z domu, córka Ottona Hausznera, kobieta niezwykłej piękności i talentów, o której już wspomniałem, ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~. Gdy raz na kostiumowym wieczorze u pani [illegible] ubrała się za cygankę, przez lat kilka mówiono o jej piękności. [illegible] tej ja tylko długo szalona i dziwna. – Najgorzej w życiu powiodło się jej za mąż za hr. Lubieńskiego z Podlasia, szulera i ladaco, który jej nie mało strwonił majątku, i z którym się po kilku latach rozejść musiała. Przez niejaki czas nosiła się z myślą wstąpienia do Klasztoru, wyjechała do Florencyi, aby się tam przygotowywać do przyszłego zawodu, ale zamiast pomiędzy zakonnicami ~~[illegible]~~ znalazła się w tamtejszym ówczesnym świecie artystyczno-literackim, zaprzyjaźniła się z angielską powieściopisarką Ouidą, zaczęła pisać wiersze i nowelle, uczyć się rzeźbiarstwa. Została jednak we wszystkiem dyletantką.

~~Po rozmaitych peregrynacjach osiadła wreszcie księżna na Podolu, aby ratować resztki majątku i na małej wsi gospodarować. Niespokojny jej umysł nie mógł się jednak zaspokoić pługiem i broną, wdała się więc w religijne agitacje i tajemnemi radami podtrzymywała lud chłopski w wytrwaniu przy wierze unickiej i nie poddaniu się prawosławiu. Przewoziła ona przez granicę rosyjską książki do nabożeństwa, drukowane modlitwy i rozdzielała pomiędzy włościan, i pomimo pewnego braku mieszkającego w Wiedniu, który się starał, aby ją trzymać wyrzuconą na Sybir nie dała się odwieść od tej czynności.~~ – U pani Marchwickiej poznaliśmy także panią Walerję Borkowską, której salon, par excellence lwowski istniał dwadzieścia kilka lat. Pani Walerja, wdowa po Włodzimierzu hr. Borkowskim, wraz z swą piękności, matka córek, które dobrze za mąż poszły, mająca bardzo burzliwą, ale na zewnątrz nie ośmieszoną przeszłość za sobą, przyjmowała u siebie prawie codzień wieczór. Był to wyjątek we Lwowie, bo tam zgromadzano się tylko wśród ścisłych zaproszeń, co bardzo utrudniało życie towarzyskie. Pani Walerja ~~[illegible]~~ odstąpiła od tej reguły i ~~[illegible]~~ stała się przez to ~~[illegible]~~ bardzo popularną. Był to salon galicyjskiej arystokracji, Dzieduszyccy, Sobańscy, Lubomirscy albo zupełnie tam nie przychodzili, albo bardzo rzadko, natomiast spotkać tam było można: Gołuchowskich, Zaworskich, Korytowskich i całą listę owych ~~rodzin~~ półpanków, którymi Galicya bardzo obfitowała. Salon pani B. był wieczór bardzo mało oświetlony, a w dzień były okna zasłonięte czerwonemi firankami, aby pani Walerja nie zdradziła się swemi zmarszczkami na twarzy. Kolacyi naturalnie nie ~~[illegible]~~ było, podawano tylko herbatę, torty i owe „kanapki", które stanowiły plagę moich czasów. Wszędzie bowiem, gdzie gościom nie ~~[illegible]~~ chciano dać do jedzenia, grasowały te „kanapki", małe, cienkie kawałki bułki przykryte ~~[illegible]~~ kawiorem, ~~[illegible]~~ sardelkami, siekanemi jajami, ~~[illegible]~~ pasztetem i t. p. – Pewną odrazę ~~[illegible]~~ do tych przysmaków, gdy powziąłem, jaka to właściwie była poplamiona, ile tam brudnych palców było rozpiętych, zanim zrobiono u pięknych „~~[illegible]~~ kanapek". – Nic nudniejszego nad taki lwowski salon, jakaś poważniejsza, ~~[illegible]~~ rozmowa była ~~tam~~ tam wykluczona, i zdawało się, że dla rozumnego człowieka miejsca tam nie było. Nowinki, plotki, stroje, polowania – ~~były~~ stanowiły treść ~~[illegible]~~ zabawy, a nawet było rzeczą tam, prawie niepoprawną, aby rozpocząć mówić na jakiś poważny temat. Rzadko tam chodziłem, a jeśli poszedłem, wracałem zawsze z niesmakiem. Przyjemną dla mnie była później niespodzianka, gdy się przekonywałem, mieszkając w Wiedniu, że nie jeden z tych ludzi, którzy tam na mnie zrobili wrażenie [illegible], spotkani na innym terenie, wcale nie są rozumnymi ludźmi. We Lwowie, w owych salonach galicyjskiej arystokracji, nie wolno było zdradzać się, że się jest wykształconym człowiekiem. – Typowemi pod tym względem salonami były wówczas salony pani Walerji i pani Marchwickiej. Przed nominacyą pana Alfreda namiestnikiem stanowiła Austrja i kultura polska niewyczerpany temat konwersacyi, zaraz na pierwszem zebraniu po nominacyi u pani Marchwickiej usłyszałem o niej owe, później po sto razy powtarzane anegdotki. – Będąc ministrową rolnictwa zaprosiła pani Potocka kilka osób na obiad, a pomiędzy innemi Kazimierza ~~[illegible]~~ Badeniego, który był wówczas koncepistą przy ministerstwie rolnictwa. Badeni się spóźnił, a usprawiedliwiając się powiedział: „Excusez Comtesse, ma montre a manqué..." „Et vous de politesse..." odcięła ~~[illegible]~~ Potocka.

W salonie pani Dorkowskiej częstym gościem był Albert hr. Cetner, jedna z najsympatyczniejszych zawiesistszych postaci, jakie w ogóle można było spotkać we Lwowie. Piękny mężczyzna, o długim polskim wąsie, natura szczera, otwarta, gospodarz ciężki, nie wdający się w polityczne intrygi, mający coś w sobie z bohaterów poezji Wincentego Pola, kresowy szlachcic, przeniesiony w nasze stosunki. Pan Albert nudził się u pani Walerii, podobnie jak inni co tam bywali, ale bywał najmniej miał dobre powody do tego przywileju, bo przedawniony romans z panią domu.

W takim lwowskim salonie spotkać można było Kanoniczkę br. Hagen, niezmordowaną plotkarkę, chodzącą z nogi na nogę, jak kaczka, paplającą po francusku piskliwym głosem i wyromansowaną po kolei z większością stanowiących się mężczyzn lwowskiego świata, z Ottonem Kaminerem, z jednym albo z drugim Gołuchowskim z Dunajca, z Cetnerem i t.d. — W gmachu skarbkowskiego teatru mieściło się Kasyno szlacheckie i miejskie, tam mieszkało wielu kawalerów, aktorek, młodych wdów, a oczywiście i Kanoniczka. Wielka część lokatorów, czynne kostiumu stałości ochodziło mistrzowie, tak, że brudny i śmierdzący gmach ten stanowił przez lat dziesiątki centrum wszelkich skandali i intryg. Byli ludzie, którzy tam jedynie żyli, chodząc z rana od drzwi do drzwi, odwiedzając znajomych, zgrywaliżć i szpiegi, jadając w Kasynie, i spędzając wieczór w teatrze. Życie ich płynęło pod jednym i tym samym dachem. Taką stereotypową figurą był pan Dziokowski, którego przed 20. laty pamiętam już jako starego urzędnika, mała fortunka wystarczała mu na przeżycie, na doskonałe mieszkanie w skarbkowskim gmachu. Katastrofą dla niego było wyprowadzenie się Kasyna z Teatru, do osobnej kamienicy, ale odtrącony trwała z niej natura, bo i to mieszkanie ~~katastrofa~~ przetrzymał i żyje dotąd. Przeniesienie się jednak sceny lwowskiej ze skarbkowskiego gmachu prawdopodobnie już starowina znieść nie potrafi. Kocha natura, trzymająca się tych samych murów.

Do tego samego towarzystwa co pani Dorkowska należeli państwo Józefowie Jabłonowscy, z Baczkowa, ona Dorkowska z domu. Państwo Jabłonowscy mieli piękny majątek, który się jednak zmniejszał co roku, bo pan Józef chodził więcej do Kasyna, siedział na sesji, zajmował się najnowszą powieścią, która w Revue des deux Mondes wychodziła, albo zdrowiem swojem, niż jej żony i dzieci, ~~[illegible]~~... Był on wzorem Klaski, a przynajmniej jakiś czas wychowywał się pod jego mentorstwem, ale z tego mentorstwa tylko mu tyle zostało, że z wielką ~~[illegible]~~ ceną zamiłowaniem skupywał wszystkie świeżo wychodzące książki, dawał je oprawiać, układał w ładne szafy, i przypatrywał się jak wyglądają, na czytaniu ich bowiem nie miał dość spokoju. — Tymczasem pani Jabłonowska, ładna i światłego umysłu kobieta, ~~[illegible]~~ dużo przyjmowała i miała otwarty salon. ~~[illegible]~~

~~[illegible]~~

~~[illegible]~~

~~[illegible]~~

W całe to towarzystwo weszliśmy przez pp. Marchwickich. Ja mało tych ludzi i bardzo mnie nudzili. Dla mojej żony było ono nowością, bawiło ją, właściwie i Stefa miała dość talentu obserwacyjnego i chętnie zbierała wzorki do swoich noweli, które układała w myśli... Na moje szczęście zbliżyliśmy się jednak do innego towarzystwa, profesorów uniwersytetu, których ogniskiem był dom pp. Lisków, — o których już wspomniałem. Pani Liskowa bardzo się mojej żonie podobała. Pierwsza wizyta u nich ~~[illegible]~~ przeszła od dworca jako ~~[illegible]~~ uniwersytetu

W podobnie profesorskiem towarzystwie nigdy poprzednio nie jadłem obiadu. Pan Hirszberg, docent, autor rozprawy o Joście Decjuszu, pan Kętrzyński, który przed niewielu laty był jeszcze Niemcem, z niemieckiem nazwiskiem w Prusach i dopiero gdy się ze starych aktów przekonał, że dziad jego był Polakiem, przezwał się Kętrzyńskim, nauczył się po polsku, wyjechał z Prus, bo go Niemcy prześladowali i został — zdaje się kustoszem biblioteki Ossolińskich. — Następnie zaproszonym jeszcze był p. Milowicz exredaktor przeróżnych dzienników, a niedawno jeszcze „Ojczyzny”, który także wkrótce poszedł do grobu. Z całej rozmowy toczącej się po największej części o dokumentach, i to z czasów przedzygmuntowskich, tyle mi zostało w pamięci, że Liske opowiadał, jak Asnyk trudno produkuje swe wiersze, pomimo, że taką lekką mają formę. Nad małym wierszykiem pracuje tydzień, chodząc od rana do wieczora po pokoju, poprawiając i przepisując lekki płód wyobraźni. Razu jednego byli obydwa w krakowskim teatrze; na scenie grała Romana Popielówna naiwną rolę w sukni w paski. — Napisz wierszyk: „miała sukni w paseczki” — odezwał się Liske. — „Napiszę”, odpowiedział poeta, ale dwa tygodnie strugał i heblował ów bardzo ładny wiersz, rozpoczynający się powyższemi słowami.

W tej samej co my kamienicy miał skromny pokoik Seweryn Goszczyński, autor „Zamku kaniowskiego”, i młody ~~Stanisław~~ Władysław Bełza, poeta-literat, który niedawno przybył do Lwowa z Warszawy. ~~Stefcia~~ Moja żona bardzo pragnęła, aby Goszczyński u nas bywał, obiecując sobie, że będzie ozdobą jej salonu. Poszedłem więc do niego, ale wróciłem bardzo rozczarowany. Jeśliby wszyscy wielcy na starość tak wyglądają, to nie warto być sławnym. Nędzy i nieładu starość, ale poczciwość wypisana na twarzy; gdym wszedł do niego, wstał właśnie jakąś powieść Walter-Skotta, studiował jeszcze odgłos swego mistrza, wiernym mu pozostając do grobu. Starzec miał skromny pokoik, najpotrzebniejsze tylko w nim graty, nad kanapą wisiała jego fotografia, którą mu wręczono na uczcie danej na jego cześć, a nad łóżkiem wieniec laurowy, pamiątka z tej samej doby... Bełza, był typem młodego warszawskiego literata, który nie wiele się uczył, dość wcześnie wstał, lekko brał życie, a udany, gładki wierszyk na urodziny jakiegoś „wielkiego” człowieka, albo wesoły toast okolicznościowy były ideałem literackich aspiracyj. Bazgrał ~~[illegible]~~ też kilka felietony do różnych dzienników, a przedewszystkiem trudził się urządzaniem fet patryotycznych, obiadów na przyjęcie Kraszewskiego, lub innej jakiej illustracyi narodowej, pogrzebów itd. — Pogrzeb Goszczyńskiego był szczytem jego patryotyczno-administracyjnych zdolności, i o ile wiem, był wówczas po raz pierwszy we Lwowie, gazowe latarnie kirem przysłonięte — co oczywiście Bełzy było zasługą. Bełzę ~~[illegible]~~ wszędzie można było widzieć, gdzie tylko „naród” potrzebował wesołego uczestnika, biegał on wtedy po całem mieście, zbierał podpisy na składki, namawiał, perswadował, w ratuszu, w teatrze, na ulicy, istne żywe srebro, naturalnie „narodowe”. Później zatrzymał ~~Bełza~~ we Lwowie księgarnię, a gdy się ten interes nie powodził, wydawał pismo dla dzieci, a gdy i to nie świetnie widocznie się układało — wychodził sobie jakąś posadę przy Instytucie Ossolińskich, przy którym do dziś dnia wegetuje. — Dwudziesty ósmy grudnia 1875 był tak sposobnym do okazania talentów Bełzy; Księciu Leonowi Sapiesze miał obchodzić złote wesele, więc cała literacko-dziennikarska koterya, gromadząca się około ich domu, zabrała się oczywiście na koncepta, naturalnie — nie kosztowne, w jakiś sposób

mości jubilata. Komendy owacyi objęła tym razem sama pani Horoszkiewiczowa, daw-
na guwernantka w domu Sapiehów, obecnie właścicielka pensyonatu panien, także należą-
ca do koła literackiego, ponieważ poprawiała zadania polskie wszystkich pensyonarek. Pomagał
jej oprócz mnie jeszcze Bernard Kalicki, literat niegdyś zdolniejszy, który dzięki protek-
cyi Sapiehów otrzymał jakąś małą posadę w Wydziale Krajowym, pomagali oczywiście
dwaj bracia Pilaci (dwaj młodsi panowie do szkół chodzili) zawsze na placu boju, ilekroć
chodziło o przypodobanie się Sapiehom, Dzieduszyckim, Badenim itd. — Postanowiono wrę-
czyć Kmitom Album, do którego każdy z tego towarzystwa adoracyi miał napisać jakiś
wiersz, lub panegiryk prozą. — Muzykalną część albumu objęli do opracowania Mi-
kuli i Schwarz, dwaj najznakomitsi lwowscy muzycy. — Mikuli z rodu Bukowińczyk
stał na czele towarzystwa muzycznego we Lwowie, które zaś starsze, a panie lwowskie
uwielbiały go, jakby jakiego Orfeusza, właściwie, że umiał się im przypodobać. Od wiem
uczeń Chopina, oddawał on jego rzeczy z prawdziwą maestrią i sam dużo kompono-
wał. Schwarz także bardzo pięknie grał na fortepianie, a Tadzia go już z tego powodu
przyjaźni z Mikulim, że sprzedawał fortepiany i potrzebował jego protekcyi. U Księż-
nej Sapieżyny bywały w zimie częste wieczory muzykalne, na których oczywiście Mikuli
królował.

Ze względu, że ja byłem literatem, i a o mojej żonie powoli rozchodziły się wieści, że pisze, za-
częto się u nas mimowoli zbierać literackie towarzystwo, właściwie przyjezdnych. Broniliśmy
się jednak z zasady, aby salon nasz nie miał wyłącznie tego charakteru, już też z tego po-
wodu, że literatów naszych panów po większej części trudno było brać [illegible] towarzyskie, tacy byli
zaniedbani, tacy w formach towarzyskich nieprzyjemni. — Jakoś w pierwszych dniach lutego
r. 1896. przyjechał do Lwowa z Warszawy pan Benni, lektor angielskiego języka na tamtejszym
uniwersytecie, redaktor „Muzeum polskiego” i komiwojażer nowego pisma „Ateneum”, któ-
re miało konkurować z „Biblioteką warszawską”, a pochodzące ze szkoły Spasowicza i jego
[illegible] drugiego. Zaczęto posądzać to pismo w zawiązku o tendencye panslawistyczne, a nawet
przyjmowano z niechęcią; mimo to wizyta pana Benniego narobiła rumoru w obozie literatów:
gdy komiwojażer literacki ogłosił, że Ateneum płaci po 40. rubli za arkusz druku. Hr.
Maurycy Dzieduszycki zaraz był gotów z artykułem „O Szpitalu”, ale zawiódł się na wiel-
kiej radości nielubiących go lwowskich literatów, bo artykuł był zanadto [illegible] i Ateneum go
nie przyjęło. — Pan Benni porobił wizyty prawie lwowskim literatom, porozmawiał artykuły,
obrazy na siebie [illegible], [illegible] towarzyskich zwyczajów, a po jego wyjeździe czekano
z wielką ciekawością na pierwszy zeszyt Ateneum, ... na drugą wizytę komiwojażera.

— · —

Jak tylko Golicki został namiestnikiem, Galicya była bardzo ciekawa, kogo zobaczy [illegible]-
[illegible] na wiceprezydenta namiestnictwa, który to posadę stawiała się tem ważniejszą, im mniej
się sam namiestnik na interesach rozumiał. — Bo tak to zajmował dotąd Bartmański, ow Bart-
mański, z którego Lwów tak nieprzyjemne miał tam wspomnienia. Wówczas dla Galicyi
[illegible] w Wiedniu, Ziemiałkowski, protegował bardzo [illegible] Filipa Zaleskiego,
który był obecnie delegatem namiestnictwa w Krakowie. Pani Ziemiałkowska wprawdzie

głosiła, że Zaleski dobry tylko na to, aby wielkim panom zciągać kalosze, ale minister w towarzy-
stwie nie był tego zdania, i chciał mieć przy ~~sobie~~ Gołuchowskim człowieka, który mu w części
był winien swoją karyerę. Do Bartmańskiego miał zresztą Ziemiałkowski bardzo słuszną urazę.
W czasie, kiedy Ziemiałkowski był burmistrzem miasta Lwowa i jego polityka tryumf odnosiła,
postawiono w Kasynie narodowem wniosek, aby go zrobić honorowym członkiem Kasyna. Uchwała
przeszła, ale Oktaw Pietruski chciał z tego powodu wnieść votum nieufności dla wydziału
Kasyna, który całą rzecz powziął. W tym celu obnosił p. Oktaw wniosek na piśmie pomiędzy
członkami Kasyna. Nikt się jednak nie chciał podpisać, Bartmański tylko potwierdził
się, a nie dość, że swój położył podpis, ale podpisał jeszcze nieobecnego swego szwagra Tustanow-
skiego. Będąc wysokim urzędnikiem i do tego komisarzem rządowym w sejmie, nie powinien
był ~~Bartmański~~ mieszać się już do tego rodzaju stronniczo-politycznych demonstracyi. – Gołuchowski
życzył sobie, aby Bartmański nadal był wiceprezydentem namiestnictwa pozostał, więc tak się stało. Loebl
zaś został szefem prezydyalnego biura, z czego osobliwie bardzo się cieszył.

Nim Gołuchowskiego zamianowano namiestnikiem, mówiono w ogóle o nim, że to słaba głowa,
że człowiek bez energii, niezdolny, Kosiński nawet wymyślał: „będziemy mieli rząd ekonomów, ple-
nipotent Gołuchowskiego Henzel przyjechał oglądać mieszkanie gubernatorskie dla namiestnika – le-
piej gdyby Gorzyńskiego byli zamianowali itd." – W kilka dni po nominacyi zaczęto się już
zastanawiać nad znajomością stosunków krajowych, jaką namiestnik okazuje, a osobliwie profe-
sorowie uniwersytetu byli zachwyceni, bo z rozmów, które miał przyjmując uniwersyteckie wła-
dze, okazało się, iż Gołuchowski wie, że Hirschberg i który jeszcze inny docent niedawno się habilito-
wali. Gdy się jest u władzy i np. ludziom język pokaże, to publiczność powie, jaki to rozumny
człowiek, bo właśnie wtedy język pokazał, kiedy tego była potrzeba, gdy się nie ma władzy i uprzej-
mie uśmiechnie, powie całe otoczenie, dziwny człowiek, zawsze się niepotrzebnie śmieje! –

Pani Gołuchowska zaraz się sprowadziła do Lwowa i zaczęła codziennie przyjmować, ciekawem
jednak było powiedziane, że świat urzędowy może tylko w środy i w niedziele przychodzić. Sposób
zapraszania urzędników nie był zbyt uprzejmy. Radzca prezydyalny Loebl wołał tych
których miano zaprosić do siebie i oświadczał im, że namiestnik życzy sobie, abyś pan
był na recepcyi, ale nie mów pan tym kolegom... Oczywiście Gołuchowski nie wiedział o tem, że Loebl
tak niezręcznie będzie urzędników zapraszał. – Na pierwszą recepcyę zgromadziło się bardzo
dużo osób, których namiestnik nie znał prawie nikogo, albo nie mógł sobie przypomnieć tego
mnóstwa ludzi, którzy mu się w ostatnich dniach przedstawili.

– Kto jest ten pan z małym orderkiem? – pytał namiestnik Loebla. –
– To pan Tustanowski, dyrektor policyi...
[illegible] w którem namiestnik nie znał swego [illegible]
albo mu przedstawia namiestnik swej żonie kogoś wchodzącego:
– Pan ..... starosta z ....
– Daleko pan masz ze swego starostwa do Lwowa? – pyta pani namiestnikowa –
– Ile pan masz pod sobą urzędników, dodaje namiestnik.
– Jestem najbliższym sąsiadem pani hrabiny, bo mieszkam zaraz za ścianą, a urzę-
dników nie mam żadnych, tylko kilku współpracowników, jestem redaktorem urzędowej Gazety Lwowskiej.

Wskutek tej rozmowy nazywał Łoziński Namiestnika „bałwanem", bo widział się po-
przednio ze sobą w cztery oczy i rozmawiali o — Dziennikarstwie.

Już to trzeba było przyznać Potockiemu, że nie umiał wynajdywać tematów do rozmowy. Sta-
rostowie przyjeżdżali umyślnie z daleka, aby się przedstawić nowemu namiestnikowi, odebrać od
niego polecenia, a on ich po większej części banalnemi zbywał frazesami, przyjmował ich tak,
jakby jakichś przechodzących gości. Oto próbki tych przyjęć: — Wchodzi np. Kazimierz Ba-
deni, starosta z Rzeszowa.

— A-a. Pan umyślnie przyjechał mnie zobaczyć? — pyta namiestnik po francusku.

— Rozumie się Ekscelencjo, moim obowiązkiem było przedstawić się Waszej Ekscelencji i zasięgnąć
o polecenia.

— Bardzo mi miło, zapewne wieczór zobaczę Pana u siebie (na recepcji).

Na tem koniec, ~~starosta~~ namiestnik się kłania, starosta wychodzi.

Albo: przedstawia się Bronisław hr. Łoś, starosta z Stanisławowa.

— A-a. Pan jesteś starostą...

— Tak, w Stanisławowie Ekscelencjo...

— To jedno z większych miast...

Namiestnik się kłania, że rozmowa skończona, starosta wychodzi.

Ze mną była rozmowa trochę dłuższa.

— Czy pan jesteś szwagrem pana Grocholskiego z Warszawy? zapytał namiestnik.

— Tak jest Ekscelencjo.

— A-a-a, mój wuj Branicki mówił mi o Panu, polecał żebym dla Pana miał względy.

Dość to niezgrabne powiedzenie, o skutkach tych „względów" więcej się nie przekonałem.

Pani Potocka z miejsca była nielubiana, na karnawał przyjechała z córką do Lwowa, co towarzy-
ski świat bardzo obraziło, a nosa zadzierała, była niegrzeczną w obcowaniu, a z wszystkiem kil-
ku przyjaciółek, pani Walerii Borkowskiej i Kanoniczki Dr. Hofgen nikt o niej dobrego
słowa nie powiedział. Zajmowano się dużo [17] Stanisławskim ~~pani Potockiej~~ ze swym plenipo-
tentem panem D—— człowiekiem młodym, energicznym, bardzo przystojnym, o szcze-
gólnych bardach i przyjemnej powierzchowności. Dla pana plenipotenta było oczywiście wszyst-
ko pieczone i warzone i uważano go we Lwowie jako osobistość nie małej wagi.

Galicyi nie dość było na jednym sapandule, kuli Alfredzie, więc na marszałka kra-
jowego zaproponowano pana Włodzimierza Dzieduszyckiego i cesarz go [w lutym r. 1876] ~~zamianował~~.
Pan Włodzimierz o wszystkiem mógł mówić wybornie, o wypychaniu ptaków, o zbiera-
niu pisanek i robieniu garnków kołomyjskich, ale do rządów krajowemi fun-
duszami i drogami, do przewodniczenia w sejmie, najmniejszego nie miał talentu.
Człowiek ciężki, dość ograniczony, jak koń uparty, nie umiejący nawet własnym
rządzić majątkiem — był marszałkiem od parady, do niczego. Ponieważ zaś przed
nim to stanowisko zajmował p. Alfred Potocki, więc wydział krajowy dostał się z pod dyrek-
cji pod rządy i wpływy o polityce jakiejś w krajowej administracji mowy być [zmiany, raz]
nie mogło. — Państwo Włodzimierzowie wywiązywali się ze swego zadania, dając ~~raz~~
na rok bal, i zapraszając pp. Polaków i tym podobnych prałatów na herbatę, na

na których rozmawiano niegdyś o literaturze i sztukach pięknych. Na jednej z takich herbat czytał Kościelski z Poznańskiego, znany również dopiero jako autor „Lecha Białego" i „Attyli" swoje wiersze, arcymądre i arcynudne, które jeden Jaś Szujski słuchał z entuzjazmem, ponieważ się kochał w pannie domu. — W Jasiu, ~~[illegible]~~ zrobił się również wielki przewrót. Od kilku lat wracał się on do świata. Przyszło mu na myśl, że powinien coś, że co zrobić dla podniesienia swego nazwiska i swojego rodu. Używał więc swoje znajomości stosownie do tego celu, zapisał się do „Kościelnego" Kongresu, chciał się bogato ożenić, i pretendował o pannę Włodzimierzównę Dzieduszycką najstarszą, która poszła później za hr. Szembeka. Gdy widział, że panna za niego nie pójdzie, zaczął się ciekawie starać o bogatą pannę Cywińską, ale i tam nadzieje zawiodły. Przytem w urzędzie nie mógł się spodziewać wielkiej promocyi, z powodu braku zdolności, a na „Krachu" finansowym w roku 1873 także coś stracił ze swojej fortunki. Zrobił więc krok desperacki, wstąpił do seminaryum duchownego i zaczął marzyć o biskupstwie — a ~~[illegible]~~ te marzenia go nie zawiodły.

Drugiego października 1876 otrzymałem pierwszy jego list ze Starej Wsi, od Jezuitów, z literami J. M. (Jesus, Maria) na czele. — W dwadzieścia kilka lat później nie mało się do tego przyczyniłem, że Rząd widząc jego zdolności — Rzymu, że któś celem mianowania biskupem kardynałem.

— · —

Od uniwersyteckich czasów w bardzo mojej mnie chroniczny katar kiszek, który teraz wskutek dość niehygienicznego trybu życia, denerwującego pisania do Dzienników bardzo mi dokuczał. Ponieważ i mojej żonie potrzeba było wzmocnienia się na świeżym powietrzu, więc wybraliśmy się do hydropatycznego zakładu Dr. Wartenberga w Czechach na kuracyę. Było to w lipcu 1876 roku. Wartenberg uznał wtedy jako jeden z najlepszych zakładów wodnych w Austryi, i stał pod kierunkiem Dra Schlechty, wielkiego patryoty czeskiego, ale równie mi małego ~~partacza~~ jak się później przekonałem — partacza w lekarskiej sztuce. — Sama miejscowość zawiodła nas z razu nie mało: spodziewaliśmy się bardzo pięknej górskiej okolicy, a znaleźliśmy trochę pagórków, lasu, sześć starych domów mieszkalnych i niewiele porozrzucanych przedmieść. Przykro było po całorocznem marzeniu o wesołych wakacyach, na ten skromny; ale później nie żałowaliśmy naszego tam pobytu, przyjechała bowiem starsza siostra mojej żony, Czarnowska z mężem, na dni kilka, a potem Maryanna Wrotnowska z chłopakami, na dłużej. Miałem z nimi prawdziwą przyjemność, a z pagórkami pogodziłem się, bo okazały w lesie były przecudne. Wartenberg owszem był bardzo w modzie, a zwłaszcza w Wiedniu, gdzie bawiło tam dużo ciekawych oficyalnych osobistości: ministrowie Lasser, De Pretis, był minister Hasner z córką, a przedewszystkiem bardzo zajmujący starzec, osiemdziesięciolatek, Kaplan, czyli jak się zwał „profesor wyższej magii" Herman, Kaplan na emeryturze, ożeniony ze śpiewaczką, Bargianka, bardzo miłą kobietą. Ów Herman wysoki, silny, około 60 lat mężczyzna, o śniadej cerze, czarnych włosach, przenikliwym wzroku, typ Mefistofelesa, jak go za naszych czasów na scenach przedstawiano;

był stosunkowo w swoim zawodzie artystą. Objechał cały świat, produkując się ze swo-
imi sztuczkami, zebrał znaczny majątek, a obecnie mieszkał na stałe w Wiedniu, trud-
niąc się po trochu sprzedażą antyków. Mówił on o sobie, że był cyganem z rodu, ale wła-
ściwie był rosyjskim żydem, a swoje cygańskie pochodzenie wymyślił tylko dla otoczenia
się pewną aureolą tajemniczości. Raz w słotny dzień zebrało się liczniejsze towarzystwo
pod zakładową werandą, a Bretis, ówczesny minister finansów prosił Hermana, żeby
przecież pokazał towarzystwu jakąś „sztukę". Herman nie dając się namyślić, mówiąc,
że tak znakomitemu ministrowi finansów nie mógłby odmówić spróbowania
jeszcze swej zręczności, ~~zwłaszcza~~ i położył na to nacisk, że takich ministrów finansów,
którzy w cudowny ~~[illegible]~~ sposób pomnażają nam zasoby, jak Bretis, bardzo
nam było potrzeba. Bretis, trochę się tą przymówką czuł dotknięty, wiadomo bowiem wsze-
dzie było ~~[illegible]~~ powszechnie, że Austrya w bardzo smutnych ~~była~~ znajdowała się stosunkach
finansowych. Herman spostrzegł [illegible] niezręczność i powiedział, że nie
mówi nie bez namysłu, a na dowód, iż ma ~~dowód na swoje~~ podstawę do takiego twierdzenia dobroci
ministra, aby zaglądnął do swego pugilaresu. Trochę zmieszany Bretis wyciąga
pularesu ~~[illegible]~~ z bocznej kieszeni i z niesłychanem wem zdziwieniem i śmie-
chem całego otoczenia, znajduje w nim dwadzieścia banknotów po 1.000 złr.
– Widocznie finanse państwa dobrze stoją, kiedy minister na wakacyach nosi tak
dużą sumę przy sobie, zauważył ktoś z obecnych. – Ależ ja miałem tam tylko
60 guldenów – odpowiedział Bretis. Zaczęto oglądać banknoty, czy prawdziwe, okaza-
ły się zupełnie dobre, a gdy już dość ~~je się~~ nasnuto ~~hypotez~~ hypotez, w jaki sposób, w
oczach całego towarzystwa mogły się te pieniądze dostać do pugilaresu ministra,
rozśmiał się Herman, prosił o zwrot banknotów, które mu właśnie z Wiednia
przysłano i odszedł pozostawiając towarzystwo w największem zdziwieniu.

Bardzo zabawną postacią był właściciel i lekarz zakładu Dr Schlechta. O pa-
cyentów, z wyjątkiem może kilku ministrów mało się troszczył, zajęty bowiem był
tylko wróblami. W kieszeniach nosił zawsze całe spiżarnie okruchów z bułki i gdy
się tylko pokazał, całe chmury tego ptactwa nad nim tańczyły, siadając na nim, jak
na suchem drzewie. Schlechta był dumny z tej przyjaźni z wróblami, zwłaszcza że pa-
cyenci nie spotykali się z nim z równą ~~po~~ sympatyą, mało którym bowiem być dogodzić
Schlechty przynosiła ulgę, a jedzenie zakładowe było kiepskie. Powszechnem lekar-
stwem na wszelkie dolegliwości miało być chodzenie po lasach po lesie, bez obu-
wia, albo tylko w trzewikach, zawieszonem na plecach. Niejeden miał swój od-
dział w lesie, których odgrywały codziennie, rajskie przechadzki. Las, zwłaszcza w
potoku wyglądał jak pola Elizejskie, po których się przemykały białe postacie. –
~~[illegible]~~ Kuracyi Dr Schlechty tak się gruntownie zasiliłem, że powróciwszy jakoś w
zeszycie do Lwowa, dostałem zapalenia ślepej kiszki, przez kilka dni leżąc w cięż-
kich bólach, walczyłem pomiędzy życiem i śmiercią, a gdy przyszedłem jako tako do
siebie

musiałem blisko rok żyć tylko zimnem mięsem i kompotem z owoców. Nic straszniejszego i zarazem szkodliwszego dla organizmu jak owe systemy kuracyjne wielu lekarzy. Jeden przysięga, że tylko mleko odżywia ~~[illegible]~~ zachorowanego człowieka, drugi (Anglik) ogłasza, że kto chce żyć dłużej, nie powinien się mleka dotykać, wedle lekarzy sprzed 20-u laty, karmiono wszystkich pacjentów, a nawet biedne małe dzieciaki tylko surowem mięsem i jajami, dzisiaj panuje przekonanie, że takie dieta jest absolutnie szkodliwą dla organizmu, i że trzeba przeważnie żyć absolutnie jarzynami, owocami; niedawno jeszcze zakazywano dorosłym ludziom jeść dużo cukru, tak dzisiaj, dzisiaj znajomy mój lekarz wszędzie gdzie przyjdzie w zamożnych domach mówi, aby dać dobry przykład, a cukier ma być najzdrowszym środkiem pożywienia. W ogóle o szkołach i zapatrywaniach lekarskich w czasie mego życia mógłbym pisać bardzo dużo, więcej złego niż dobrego, ale to nasz sąd wydawać nie mam wielkiej ochoty, i tyle tylko mogę wspomnieć, że lekarzy z sumieniem i sercem bardzo tylko niewielu w życiu spotkałem.

Wracając z Wartenbergu zatrzymaliśmy się w Krakowie i tam spotkaliśmy Edwarda Odyńca, przyjaciela jeszcze Mickiewicza, autora bardzo pięknych listów z Włoch. Moja żona i Kostusiówka znały dobrze Odyńca z Warszawy, bywali w tem samem towarzystwie, gdzie Odyńca powszechnie lubiono, jako miłego staruszka. [illegible] go się tylko bały, bo staruszek trochę zamiłowany, pięknymi się posiłkujący, lubił bardzo nadużywać przywileju swej starości i po ojcowsku obcałowywać panny, które owszem znał dzieciakami. Gdy się więc w salonie zbliżał, ~~[illegible]~~ robił się powszechny popłoch pomiędzy pannami, niby jastrząb wpadający pomiędzy gołębi, tylko że staruszek nie podobny był bynajmniej do jastrzębia. Mały, okrągły, uśmiechnięty człowieczek, chodził czarno ubrany w staroświeckim krótkim hiszpańskim płaszczyku, w tak zwanej rotundzie, którą jeszcze zapewne ze swych studiów, do Polski przywiózł sobie [illegible]. Od Odyńca wiało powietrzem innych czasów, pewien romantyzm, pewna niezwykła galanterya wobec kobiet, pewna grzeczność, która odznaczała ludzi przesiąkniętych jeszcze towarzyskiemi tradycjami XVIII. wieku. Odyniec dużo mówił, unosił się ciągle nad czemś, często wspominał o swych znajomych z pamiętników z Warszawy, a nawet nosił kilka fotografii, do przejrzenia swoich ulubienic. Pomiędzy niemi była także fotografia wprawdzie nie ładnej, ale poetycznej panny Bartus, Lwowianki, która właśnie co wydała zbiorek swoich poezyi. Której Odyniec i Ujejski przyznali z chęcią najznakomitsze miejsce na firmamencie polskiej poezyi. Gwiazda gwiazdą nie mogła jednak wyjść w niebiosach, musiała też niebawem zstąpić na ziemię, założyła szkółkę dla dzieci, tak zwaną Fröblowską i niebawem znikła z horyzontu, nie dopełniwszy tych nadziei, które ~~[illegible]~~ zapowiadać się zdawała.

Dwie obecnie takie „gwiazdy" zabłysły we Lwowie, jedna panna Bartus, a druga Iza Moszczeńska. Z tymi Moszczeńskimi byłem nawet przez matkę, dalekim skoligacony. Moszczeńskim ich było pokrewieństwo z hetmańskiemi rodami i wysoki urząd ziemi o naszej szlachetczyźnie.

Mieli oni spory szlachecki majątek, ale im się zdawało, że to niemi, zawsze w
bezrządzie, gdy z „Bożej łaski" się jakoś utrzyma. Spuszczanie się na Opatrzność jednak
nie pomogło; Mrozowiccy sprzedali wieś i sprowadzili się z resztkami fortunki do
Lwowa, aby tam dokończyć ruiny. Rodzina składała się z ojca, matki, niegdyś podobno
pięknej, dzisiaj bardzo brzydkiej, z syna i trzech córek, z których jedna tylko, naj-
starsza, [Gabrunia] ~~Zosia~~ co najmniej do tego swoją pięknością miała być podobna. Ta też wysz-
ła za mąż za jakiegoś zamożnego Niemca, czy też starego wdowca, z pod Odessy, i po-
święciła się dla rodziny; dwie drugie, bardzo nieładne pozostały w domu. W tej [familii] ~~rodzinie~~
mówiło się tylko o związkach rodzinnych, o pochodzeniu szlachty, wierzono się, że mimo
braku fortuny „klejnot herbowy" jest największym szczęściem, umawiano w synu, że „na-
zwisko" będzie mu wyjściem kluczem do przyszłości. Synalek też tak się zapuszczał na war-
tość swego klejnotu, że się mało uczył, egzaminów nie zdawał, [wykorzystywał się] ~~[illegible]~~ tu zupełnego
niedołęgi. A gdy wyrósł na zatandetnego młodzieńca, szukającego się [illegible]
stwem z domem Habsburskim (przez Krasińskich) umieszczono go jako małego urzędnika w Towa-
rzystwie Kredytowem Ziemskiem. Tam jednak zaraz kolegów swoimi rozmowami o
koligacjach i herbach, a ponieważ nie umiał się przykładać do pracy (więc do niczego nie doprowadził) [illegible]
cała rodzina pokładała w tem nadzieję, że „Mrozowski" musi się bogato ożenić.
Ostateczna nagroda jednak nie przybywała, chłopak wyjechał i zostawał się, a dzi-
siaj po latach dwudziestu, prowadzi nędzny żywot w Krakowie, [odpisując] ~~pisząc~~ w [jakimś biu-] ~~jakimś biu~~
rze za 20 guldenów miesięcznie i żyjąc literalnie przy dziadkach chlebem i herba-
tą. Panny były kształcone, jedna z nich, miała trochę talentu literackiego, pisała wie-
rszyki i [poezje] ~~prozę~~ do dzienników, założyła później garkuchnię dla dzieci, a druga [pozda-] ~~[illegible]~~
wała szkolne egzaminy i została nauczycielką ludową..

Nasze pierwsze mieszkanie we dworze bardzo było niewygodne, a w razie poża-
ru niebezpieczne, wchodziło się bowiem do niego przez drewniany ganek, wiszący w powie-
trzu. Stefa więc pragnęła przeprowadzić się gdzieindziej i wyszukała w nowym domu, obok
ogrodu jezuickiego bardzo składne mieszkanko, na drugiem piętrze, gdzieśmy się
jakoś w marcu 1897 przeprowadzili. Stefa marzyła o estetycznem urządzeniu domu,
a stosunkowo nie wielkiemi środkami umiała zrealizować to marzenie i [illegible]
małżeńskie mieszkanie, które uchodziło we Lwowie za odznaczające się dobrym smakiem
i elegancją. Osobliwie furorę robiły [owe] meble w salonie, składające się z dwóch foteli i dwóch
taboretów obitych ciemnym atłasem, ozdobionym złoto-czerwonemi sznurami i kutasa-
mi, tudzież z wielkiej garnitury pokrytego jasną wzorzystą materyą, kolorem kawy ze
śmietanką, z czerwonym na tym tle deseniem. Materya ta, po wielkich debatach i
rozmyślaniach [wybrana] ~~wybrana~~ była w składzie Haasego z Wiednia. Ktoś co do materyi na
meble i dywanu był pierwszym wówczas magazynem w Lwowie. Portyery w salonie
z [tej] ~~tej~~ samej były materyi, a całość składała się nadzwyczaj bardzo sympatycznie.
Ozdobnikiem swoim karmiła Stefa obicie [glansowanym] perkalem zielonkawego koloru, co ładnie wyglądało,
a schludnie zasłaniało zardzewiałe u zagonionych pani, gdzie obijamy ścian ([materyą]) takich perkalem,
wzorzaste

wiw
Któj
prak
ni w
brary
jony
Stefa
i wsta
by p
bowi
byli
mi
li cy
vana
tylko
storm
w iław
juś;
by h
rozy
Ovic
nic p
ju, n
ve Ł
valui
mi p
Rapi
bek
miśli
bocz
o ga
zim
Weka
ski
krow
tylko
a w
dai
z Ha
do g

równie we Lwowie jeszcze za coś nadzwyczajnego. Z drugiej strony salonu był mój po-
kój z książkami i sztychami nie źle przystrojony, a za buduarem drugi, wszędzie pokój sy-
pialny, dalej pokój dla kucharki i jasna dobra kuchnia. Służący sypiał w zamykającej
się na dzień sofie, w przedpokoju. Gdy wszystko było urządzone, ładnie urządzone i służący przystro-
jony w porządku, kiedy stanął nie w liberii, ale w porządnem granatowem ubraniu, zaczęła
Stefa trochę więcej wolność więcej, więcej przyjmować; miała bowiem wielką ochotę do
światowego życia, do zgromadzania około siebie towarzystwa. Zawiązek takiego towarzystwa
był już w samym domu, w którym mieszkaliśmy. Pierwszego bocznego piętra zajmowali
bowiem pp. Oświecimscy z Litwy, a drugie pp. Jakubowie Wiktorowie. Ci pp. Oświecimscy
byli dość oryginalną parą. On smutny, zamknięty w sobie Litwin, wyrzucony po powsta-
niu z r. 1863 ze swych stron rodzinnych, przeniósł się do Galicji i kupił sporą wieś w oko-
licy Lwowa, którą naturalnie przepijał. Ona hr. Czapska z domu, także z Litwy, wycho-
wana w atmosferze Radziwiłłów, płytka, gadatliwa, uważająca się trochę wyżej [illegible], że poszła
tylko za Oświecimskiego, biegająca z wizytami od rana do wieczora, szukająca ciągle
stosunków. PP. Oświecimscy mieli dwóch synków i córeczkę, które matka [illegible] idąc
w ślad dobrych hygienicznych tradycji niemiłosiernie głodziła. Dzieci nie powinny dużo
jeść, to była zasada, wskutek czego biedne dzieciaki dostawały na śniadanie szklankę, słabą
herbaty, z jedną bułką bez masła. Dzieci też wyglądały nędznie, miały pełne [illegible]
[illegible] i jak tylko mogły przylatywały do Stefy, [illegible] się odżywiać. Zdaje się, że p.
Oświecimski nie aprobował tej diety i w ogóle trybu życia swej małżonki, ale nie śmiał
nic powiedzieć; bo żona była z domu Czapska, więc się martwił i zamykał w swym poko-
ju, nie widując się prawie z nikim, prócz dwóch swoich braci, także emigrantów, którzy
we Lwowie szukali zajęcia. Ta pani Oświecimska znała naturalnie cały Lwów, natu-
ralnie Lwów herbowy i jeśli przypadkowo była w domu, wieczorami miewała gości. Moja żona
nie potrzebowała zatem jak zejść na pierwsze piętro, aby w licznem się znaleźć towarzystwie.
Zupełnie innego rodzaju był dom pp. Wiktorów, dom spokojny, zamożny staroszlachecki.
Wiktorowie mieszkali w Sanockiem, gdzie liczną mieli rodzinę, przed kilkoma laty prze-
nieśli się jednak do Lwowa, gdy pan Jakub został jednym z dyrektorów Towarzystwa Kredy-
towego ziemskiego i zaczął chodzić do biura. Pan Jakub nie miał wprawdzie wyobrażenia
o jakichkolwiek finansowościach, ale ponieważ zadaniem dyrektora było oceniać wartość dóbr
ziemskich i uważać, aby Towarzystwo nie za wiele na ~~[illegible]~~ hypotekę pożyczało, więc pan
Wiktor zupełnie więcej odpowiadał swemu zadaniu, znał bowiem dobrze majętności ziem-
skie, położone w swojej okolicy. Pan Jakub był ciężki, powolny, ~~[illegible]~~ zacny człowiek,
sprawdzający dokładnie domowe rachunki, nie wydający grosza nad dochody i mający
tylko jedną słabą stronę: zbieranie starych monet i medali. To był jedyny jego zbytek,
a w niedzielę, gdy nie potrzebował chodzić do biura, zamykał się w swoim pokoju i ogla-
dał lub czyścił swoje medale. Stefa zyskała szybko jego przyjaźń, przywiózłszy mu
z Krakowa kilka medali, których jeszcze nie miał w swym zbiorze. — Pani Wiktorowa była
do[bra], gruba, płaczliwa, nie zawsze dokładnie umyta, z fałszywemi zębami, które jej ciągle
wypadały.

Syn
pak,
tam
sy n
troche
bron
byli
Któr
Dzięg
była
Nata
porne
lokt
sotosi
pogod
mi
obma
tona
ferme
naro
znag
ma n
r. 18
Kasi
na
Rozp
mien
on, j
mova
ni n
ni
prac
pełn
Dzc
ciągl
Pobk
Mor
tron

Syn i córka byli w domu, a dochodził bratanek, Józio Wiktor, Tadzy, zgrabny chłopak, który pomiędzy dziećmi pp. Jakubów wyglądał jak kogucik pomiędzy kurczętami. Pan Jakób był opiekunem Józia, którego rodzice wcześnie odumarli, zostawiwszy mu wcale pokaźny majątek. Józio zaczął wcześnie mieć paniczykowskie instynkta, trochę się wstydził zaniedbanej wujenki, a przedewszystkiem swego nazwiska, które mu brzmiało za mało arystokratycznie, chociaż Wiktorowie jako szlachta zaściankowa, bardzo byli szanowani. Chłopak dowcipny i żywy ciągle się z wujenką przekomarzał, która się bronić nie umiała, kapitulując z pewnym uśmiechem. Do rodziny niejako należała jeszcze kucharka Katarzyna, która osobliwie u pana Jakóba była w wielkich łaskach i despotycznie rządziła resztą służby, a wszyscy i pani Wiktorowa. Katarzyna właściwie ład utrzymywała w domu, a Józio zawsze dowcipkował, że pomiędzy nią a wujaszkiem musiał być dawniej jakiś czuły stosunek, co pani Wiktorowa jakoś wziąć nie chciała i co ją zawsze do wielkiej przyprowadzało wesołości. – Mało rodzin znałem, w których tak panował wewnętrzny spokój, taka zgoda, byt materyalny był dobry a wojowniczych charakterów brakowało. – Z Wiktorowami widywaliśmy się codziennie i mówiło się naturalnie o wszystkiem, znosiło się i omawiało wszystkie wiadomości. Opowiadano sobie wtedy dużo o agitacyach Agatona Gillera i braci Zielińskich, którzy prowadzili jeszcze ciągle politykę narodowego fermentu, ciągłości powstania i sądzili, że młodzież trzeba przysposabiać komitetowi do narodowego zbrojnego wybuchu, jak tylko augurowie narodowi stosowną po temu uznają chwilę. Jednego dnia dowiedziałem się, że się zawiązał jakiś rząd narodowy, do którego ma należeć Giller, obydwaj Zielińscy, nauczyciel języka francuskiego, także emigrant z r. 1863, Ambroski i urzędnik wydziału krajowego Stella-Sawicki. Mówiłem o tem u Wiktorów. Przytomna temu, jakaś przyjaciółka profesora Zielińskiego, powtórzyła mu to, a z tąd jego u mnie niespodziewana wizyta. Przyszedł mnie wyprowadzić z błędu i prosić, abym zaprzeczył tej wiadomości. Rozgniewany na Zyblikiewicza, który zdaje się był ojcem tej plotki, pisał do niego w tej mierze, ale Zyblikiewicz wcale na list nie odpowiedział. Zieliński oświadczył mi, że tak on, jak jego przyjaciel Giller najsilniej są przeciwni wszelkiemu ruchowi. – Rozmowa z nim jako następnie na łamach zrobiła wrażenie, powiedziałem mu też, że nie mógł większej zrobić przyjemności, jak przekonując mnie, że wszelki ruch obecnie (r. 1877) uważa za szaleństwo i że owszem tak on, jak Giller działała przeciw istniejącej skrajniejszej partyi. – W szczerość i zacność Zielińskiego najzupełniej wierzyłem, ale Gillera musiałem chyba uważać za [illegible], będąc bowiem jednym z głównych współredaktorów „Gazety narodowej” nawoływał w niej ciągle do formowania polskiego legionu w Turcyi, któryby miał kiedyś wkroczyć do Polski i być zawiązkiem powstania przeciw Rosyi (w razie gdyby Turcya Rosyę zwyciężyła). Wielka [illegible] Jana Dobrzańskiego, jako właściciela Gazety, jak mógł popierać w swoim dzienniku tak awanturnicze, Polsce w dzisiejszym jej stanie szkodzące projekta.

– To ten Giller wszystko robi – odpowiedział Dobrzański.–

Dobrzański wprowadził Gillera do swojego obozu, okazawszy się Gillerowi jako przestrzegającego ostrożnie, a więc w szerokiej publiczności zawsze popularne hasła. Dał się to prosto stracić wielu abonentów, jeżeli nie pozwoli Gillerowi [illegible] w swej gazecie. Ale to Gillerowskie stronnictwo mocno nie sprzyjało za złe „Czasowi" i krzyczało „zdrada", z powodu, że krakowski Dziennik w artykułach swych prawie wymagał od Rządu aby wydalił szkodliwego dla kraju agitatora. „Czas" zresztą miał najzupełniejszą słuszność, bo Polska, nietylko w Galicyi, ale i pod Rządem rosyjskim potrzebowała spokoju, a nie gorączkowych wstrząśnień, które nas jeszcze głębiej mogły pogrążyć w otchłań niewoli.

Wkrótce zresztą przekonali się pp. Gillerowie, że Rosya w Turcyi zwyciężyła, że mimo wielkich trudności przeszła przez Bałkany, a polskie legiony na niewiele się naszemu narodowi były przydały.

Pierwszego lipca 1877. otrzymawszy dwumiesięczny urlop, pojechaliśmy z żoną najpierw do Warszawy i właśnie trafiliśmy jeszcze na święto zwycięskie przejścia Rosyan przez Dunaj, obchodzone tam nakazaną urzędowie iluminacyą. Byłem wówczas [illegible], zdenerwowany moim długotrwałym katarem kiszek, a przytem dziennikarską pracą, która była konieczną do powiększenia naszych dochodów i utrzymania domu na stopie tego towarzystwa, w którem żyliśmy. W Warszawie był Dr Chałubiński najsławniejszym wówczas lekarzem, a często jego miał coś nadprzyrodzonego, publiczność polska, skłonna zawsze do przesadnego entuzyazmu, uważała go nie mal za cudotwórcę. Kobiety wierzyły w niego jak w proroka. Chałubiński wyprawił mnie do Szwajcaryi, do St Moritz i kazał pić tamtejszą wodę mineralną, która rozsądnie mówiąc, tak mi szkodziła, że jej pić nie mogłem, a potem do Wenecyi, na morskie kąpiele, że nie mogły pozwolić u rodziców, w Diatowie, przez lato pozostać. Stefa zatem przeniosła się do [illegible] w Diatowie, [illegible] w Łękach, w [illegible] u siostry Czarnowskiej, a ja odwiedziwszy rodziców Stefy, także pojechałem na kilka dni do Łęk, z kąd dość oryginalnych wspomnień wyniosłem. – Dojeżdżało się tam z Skierniewic do starego [illegible] w Gniewie, a z tamtąd drogą niepoprawioną jeszcze od czasów Księstwa warszawskiego, w błotnistej okolicy Bzury, okolicy kaszy, szlochy, febry i komarów. Błota, stawy, moczary, a na podgórkowych pszenica, powietrze miękkie, jakby gotowane, a od czasu do czasu powiew wiatru przynosi odór brzydkiej zgnilizny, tak, że aż w nosie zatyka. Dworek w Łękach, stary, modrzewiowy stoi na wysepce otoczony stawami, pamięta moich krewnych rodów Czarnowskich, którzy tam całą okolicę obsiedli. Pokoje niskie, obrazami, stawami, sztychami o chłodnej ubranie. Na suficie w salonie wielka plama, jakby od jakiejś na sztychu wylanej farby. Ale nie, to dzikie przyrody malarzy robi miejsce pomiędzy sufitem a belkami ~~[illegible]~~ sztychu i mróz do salonu przeciekła. Nie ma rady [illegible] z tamtąd [illegible], a mówi [illegible] Tały rada, ale przyrody w domu – to sumienie, to dobytek, więc się ich nie rusza, jak się nie rusza jaskółczych gniazd. Zakwaterowano mnie w gościnnym pokoju na strychu, czyli na poddaszu; ~~[illegible]~~ dzień muchy, wieczór ćmy rozbijały się po strychu.

W tym domu gospodarz, który po nocach czyta Wiktora Hugo, albo dzieła francuskich ekonomistów, a nawet w zimie, gdy nie ma co robić, pisze rozprawy o kwestyach socjologicznych stylem ciężkim, zabałamuconym, mistrzowskim. Przez dzieci, że mu za dużo czasu na tę zabawę nie pozostaje, bo bracia Czarnowscy zjeżdżają się co chwila i zapamiętale grają w karty „winta". Zasiadają czasami do stolika o trzeciej po południu i z przestankiem kolacyi rozchodzą się od gry o drugiej albo czwartej po północy. Na jesieni, na zimie zjeżdżają się codziennie, to w Łękach, to w ~~zgd~~ sąsiedztwie nie mającem dostatecznego ruchu, jedząc ciężki pokarm i popijając go węgierskiem winem. Zarabiają sobie w ten sposób na dobrej woli żołądek i wątrobę, i muszą potem wyjeżdżać w lecie do Karlsbadu. Ci Czarnowscy, ~~[illegible]~~ chociaż herbu Grabie, a więc ~~rolnicy~~ od dawien dawna rolnicy pochodzą z Oświęcimskiej rodziny, a typ ~~[illegible]~~ wschodni ponownie zmieniają się przez Krótka wieków z Polkami, dotąd się dochował. Pierwszy raz jadłem tam Kołduny, pierogi, napełnione baranim tłuszczem, spróbowawszy kawałek tatarskiego przysmaku, zdawało mi się, że w baranie zostałem przemieniony, a nieprzyjemny zapach prześladował mnie przez dwa tygodnie. Podczas mojej tam posłuchy, musiałem objechać wszystkich sąsiadów Czarnowskich z wizytami, co nie małem było zadaniem dla żołądka, wszędzie bowiem ucztowali i ugościli obficie. A na mojej niemszczącej wyprawy przecie w tym czasie odpust w Kalisza pobożna, po której znano mnie za zdegenerowanego Galicyanina, który już nawet jeść i pić nie potrafi. Przez cały prawie objazd obowiązałem się o mego szwagra Wrotnowskiego, który chcąc dorównać wytrawnym gardłom, bo- Tyłkoś szklankami niezłomnego zielonego. – Wreszcie wydobyłem się z nad Bzury i pojechałem na Wiedeń i Chur do St. Moritz, gdzie zastałem innego szwagra, brata mojej żony, Konstantego Tabęckiego, który czekał już na mnie, na proście. Zaciągnął mnie do hoteliku w którym sam mieszkał, do ~~Gartnera~~ Gartnera, gdzie nie było wielkiego komfortu, ale czysto i dobre jedzenie. Pomieścić nie mogłem za wspólną zgodą z moją żoną małżeńskiej obrączki, więc uchodziłem tam za kawalera, co mego szwagra bardzo bawiło. Ani ja, ani moja żona nie myśleliśmy się przyzwyczaić do noszenia pierścionków – zrobiliśmy więc sobie nawzajem tą koncesję, aby obrączki ślubne pochować do biurka. – Naturalnie, że i później trzymaliśmy się tej zasady – wolnych rąk... – W hotelu usługiwały przy stole dwie córki gospodarza, dość przystojne dziewczęta, praktycznym więc skutkiem mojego mniemanego kawalerstwa było to, że panny Gartner ~~[illegible]~~ bardzo o mnie pamiętały, aby mi niczego nie brakło, a zauważywszy ~~[illegible]~~, że lubię kompoty ze świeżych owoców, obdarzały mnie kompotami, co aż w zazdrość wprowadzało innych towarzyszy stołu. Wieczorami Tabęcki w „salonie" grał na fortepianie a towarzystwo hotelowe wraz z pannami Gartner wesoło tańczyło. – Sam p. Gartner był syndykiem w St. Moritz Dorf, i podobno największą tam zgodną osobistością. Nie wiedząc jakie u jego znajomości prawa, sprowadziłem raz rozmowę na jurysprudencyę, ale on otwarcie mi się przyznał, że wiele się na paragrafach nie rozumie, bo rzadko mu który zadanie przychodzi. W ostatnich np. siedmiu latach zdarzył się w St. Moritz tylko jeden wypadek kradzieży, jakiś włoski robotnik ~~[illegible]~~ przybłąkawszy ~~[illegible]~~ sobie cudze – spodnie..

Nie mając do dalszych spacerów towarzystwa, bo Tadeczko chodzić nie lubił, robiłem dalekie wycieczki, a chcąc sobie znaleźć jakiś cel w tych spacerach, zbierałem mchy, których tam jest niesłychana rozmaitość i prosiłem jakiegoś leśnika, aby mi je naukowo oznaczył. W ten sposób powstał dziś Tadzi zbiór mchów, który mi Włosi na granicy skonfiskować chcieli, powiadając, że to wobec grasowania philoxery, pasorzyt[illegible] wszędzie, i świeżych roślin nie wolno było do Włoch przywozić. Z wielką biedą wytłómaczyłem celnikom, że na mchach w St Moritz nie ma niebezpiecznych owadów, a pudełko z mchami szczęśliwie później do kraju przywiozłem i darowałem go szkole leśnictwa we Lwowie. – [illegible] września o siódmej z rana wyjeżdżałem z St Moritz do Włoch, na Chiavennę. Śnieg z lekka padał, a towarzyszący mi w dyliżansie Włosi marli [illegible], o 12ej w Chiavennie był upał, a wieczór w Mediolanie musiałem się zlewać zimną wodą, aby jako tako się do snu ochłodzić.

W Wenecyi zastałem jeszcze mieszkających tam oddawna Łozińskich, on ciągle zbierał obrazy włoskiej szkoły i ciągle mu się zdawało, że zrobi wielką fortunę na swej galeryi. Tym razem opowiadał mi nawet, że pertraktuje z zarządem Eremitażu w Petersburgu co do sprzedaży jakiegoś – Rafaela, ale zapewne rzeczoznawcy Eremitażu przekonali się, że p. Łoziński nie miał Rafaela, bo układy się na niczem skończyły. Po latach kilku, gdy dzieci dorastały i żona umarła przeniósł się Łoziński do Galicyi; kupił tam wieś [illegible] i dwór w jasielskiem przybrał swemi obrazami, które dużo zbierał. Obrazy nie przyniosły mu fortuny, ale w [illegible] znalazły się źródła nafty, które go szybko wzbogaciły.

Gdym stanął znowu we Lwowie, z powrotem z wakacyj, znalazłem ją źle wyglądającą i zachrypniętą. Widok na oczy jej nie posłużył, a zmora piersiowej choroby znowu stanęła nam przed oczyma. – Do jesieni tak się pogorszyło, że musiałem ją wyprawić na zimę na Riwierę. Około 20o listopada wyjechaliśmy do Tryestu, z tamtąd do Wenecyi. Jesień była piękna, więc się [illegible] jak tylko przyjechała na południe; w Wenecyi rozweseliła się w towarzystwie Łozińskich, ale z [illegible] zdrowiem przyszła także ochota skorzystania trochę z podróży i przejechania się po Włoszech. Pomimo spóźnionej pory pojechaliśmy zatem do Florencyi, gdzie deszcz lał cały tydzień, jak z cebra. Nadto polecił nam ktoś niezgodny hotel, Hotel de Paris, gdzie było zimno w pokojach i głodno, bo jedzenie mieliśmy [illegible]. Ten hotel, a nadto wilgotne, zimne galerye – to wszystko nie przyczyniło się do zdrowia, tak, że musieliśmy czem prędzej na Genuę jechać na Riwierę. W Genui noc straszną pokój w hotelu (Quatre saisons) przerobionym z dawnego pałacu, po którym wicher hulał jak na dworze, ogromny kominek, w którym [illegible] wszystkie winogradowych, albo oliwnych gałęzi zniknęły, jak w piekielnej paszczy. Z wszystkiemi zniknęły i [illegible], bo każda wiązanka kosztowała drogo... Nareszcie zdawało nam się, że osiądziemy w St Remo, ale hotel znów nie sympatyczny, same w nim Niemcy, owej natężonej hałaśliwej, nieokrzesanej – Jadę więc na zwiad do Mentony.

Po
pogra
nawet
urdzi
mi p
mię
lach
z u
inny
pod
Ta
z j
chen
mego
kol
lżin
zdrow
kij
zdrow
mi
padk
niac
bali
mi z
tujący
ra z
paty
wsze
stu
żal
Oki
wyn
Mm
z n
Ta
woli
grac

Po wojnie francusko-niemieckiej zaostrzyły się antagonizmy tak dalece stosunki nawet prywatne, pomiędzy tymi narodami, że Niemcy bardzo mało, już nie mówiąc do Paryża, ale nawet na francuską Riwierę jeździli. Schorzali niemieccy pojechali więc chorzy do włoskiej Riwiery do San Remo, na włoską stronę i ta miejscowość przemieniła się w zimie w kolonię prawie wyłącznie niemiecką. Większość tej ~~niemieckiej~~ publiczności tak dalece była nieprzyjemną w obejściu, źle ubraną, nieapetycznie jedzącą, krzykliwą, że w wielkich hotelach na Riwierze i w Szwajcarii urządzano zazwyczaj dwa wielkie stoły, a przy jednym z nich sadzano Niemców, przy drugim Anglików i w ogóle ludzi lepiej wyglądających z innych narodowości. – Stacje klimatyczne więc po stronie włoskiej pozostawiały wówczas pod względem towarzyskim wiele do życzenia, a Mentona zupełnie inne w tej mierze robiła wrażenie. – Na dworcu w Mentonie spotkałem zaraz Doktora Czerwiakowskiego, który jeszcze wówczas był zdrów i na zimę przenosił się wraz ze swymi pacjentami z Gleichenbergu na Riwierę, tudzież hr. Bronisława Łosia, ożenionego z Gołuchowską, mego kolegę z namiestnictwa. Łosiowie mieszkali w hotelu Victoria i bardzo mi ten hotel polecili. Pojechałem więc po żonę i na drugi dzień mieszkaliśmy w Mentonie, mieliśmy pokój na morze, słońca bez liku, powietrze, tak, że w nas dech wstąpił, że się i zdrowie trochę poprawi. – Łoś, wysoki, szczupły, z wypiekami suchotnika na twarzy, wobec jej zacności ustąpił, namiętnym był graczem, a bliskość Monte-Carla bardzo mu na zdrowiu szkodziła. Jeździł ~~często~~ często do Monte Carlo, dwa razy dziennie, po drugiem śniadaniu i po obiedzie. Nudził się zresztą w hotelu, bo obawa galicyjsko-arystokratyczna, aby przy pochodzeniu nie zaznajomić się z ludźmi, którzy nie stali na wysokości Gołuchowskich, odsuwała ich najzupełniej. Dopiero myśmy ich skłonili, że się trochę ruszać zaczęli i nie bali się przemówić do współtowarzyszy naszej hotelowej niedoli. Towarzystwo wprawdzie było mało zabawne, stary hr. Pahlen, dawny dygnitarz rosyjski, zalecający się wówczas nogi za sobą i tupiący ciągle z garsonami, Herr Thumb, jakiś pruski Rath z Kolonii, obrzydliwa figura z nosem jakby z worka, Frau Architektin, państwo Arnoldowie, dwoje, wzór patryarchalności i wstrzemięźliwości, przed pokusami światowemi. Byli już dwa miesiące w Mentonie, a nie widzieli jeszcze Monte-Carlo. Najlepiej się bawiła panna towarzysząca Łosiowej, Antosia, przystojna dziewczyna, w której monsignore kupiec delikatnie pan Wiloughby tak się zakochał, że nawet po naszym wyjeździe z Mentony przez dłuższy czas z nią korespondował i nie wiele brakowało, aby Antosia ze Skałata nie wyszła za mąż do Mentony. – Łosiowa martwiła się, że Bronisław za często jeździ do Monte Carlo i jak się wydaje, spory pieniądze przegrywa. Prosiła mnie zatem, żebym z nim jeździł i o ile możności od gry go wstrzymywał. Jeździliśmy więc razem, ~~ale~~ ~~[illegible]~~ mi sądzi wszakże obym, abym w tej mierze wielki wpływ na niego wywierał, bo Bronisław wyjechał później z Mentony zostawiwszy podobno 5000 fr. w Monte Carlo. Ja mimo woli zostałem do gry pociągnięty, a nie mając pieniędzy do stracenia, postanowiłem każdym razem grać tylko + najwyżej do ludowej wiary. Otóż tak mi się szczęściło wtedy, że

30. rano z niej wróciłem z zagranicznym kurierem. Nie odjeżdżając jednak z Mentony zacząłem te kurdony przegrywać, i za resztę wygranych pieniędzy kupiłem sobie piękne wydanie dzieł Machiavella, które za gabloteką księgarni widziałem i laskę ze srebrną gałką, którą wkrótce potem gdzieś w wagonie zostawiłem. Machiavell jednak dotychczas istnieje w mojej bibliotece. – Zosiowa bardzo się z moją żoną zaprzyjaźniła i starała się później osłabić u matki, pani Gołuchowskiej, złe wrażenie, jakie moja fotografia u hr. [illegible] na nią zrobiła, zdaje mi się wszakże, że się to na nic nie przydało i [illegible] Gołuchowska do końca życia nie mogła mi tego darować, że jej pałac we Lwowie nazwałem „ordynacką komodą". –

Z końcem stycznia 1878. wróciłem do Lwowa, gdzie mnie [illegible]. Stefa została w Mentonie do połowy marca, potem pojechała w towarzystwie przyjaciółki pani Chrzanowskiej z córką, do Meranu, gdzie bawiła do drugiej połowy maja. Po tym zjechał. [illegible] spędziliśmy w lecie we Lwowie i dopiero w sierpniu pojechaliśmy na kilka tygodni do Witkowa, gdzie Stefa była po raz pierwszy. Owego lata bywałem często u ks. Leona Sapiehy, nosząc się z myślą napisania jego biografii, którą by się łączyła z historią pierwszych większych przedsiębiorstw ekonomicznych w Galicji, jak zbudowaniem kolei żelaznych z Krakowa do [illegible] na Wołoczyska, założeniem Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Ks. Leon dał mi wówczas swoje pamiętniki, z jakie sto arkuszy drobnego pisma do przeczytania, w których nie znalazłem wszakże nic zbyt ciekawego. Książę pisał tam o rządach księcia Konstantego w Warszawie i o powstaniu listopadowem, rzeczy mniej więcej wiadome, a nie mając wiele talentu spostrzegawczego nie dał dobrego barwnego obrazu i ludzi z którymi się stykał. Także dwa listów dał mi książę do użytku, które później po śmierci ks. Leona, księciu Adamowi do Krasiczyna zwróciłem, ponieważ wkrótce przeniosłem się do Wiednia, na miejscu nie mogłem doprowadzić do skutku pierwotnej mej myśli pisania biografii księcia Leona. Prawdę powiedziawszy, chociażbym był został we Lwowie nie byłbym napisał tej biografii, bowiem był trochę za [illegible], a ks. Leon razem finansowym [illegible] jednym z niepospolitym charakterem. W każdym razie zachowałem z tych posiadań z księciem Leonem miłe wspomnienie i o niejednej rzeczy się dowiedziałem.

W Witkowie, oprócz mojej matki bawiła Julina Mirowa, o której jakto o naszej sąsiadce już wspominałem. Była ona już w owym czasie w złych stosunkach majątkowych, straciła dawny swój humor, ale zawsze jeszcze przyjemną była towarzyszką. Córka jej Henrysia Komorowska mieszkała w Wiedniu i prawie się z matką nie znała.

Zimę z roku 1878. na dziewięć przepędziliśmy spokojnie we Lwowie. Stefa mało mogła się za dom wychodzić; więc miło sąsiedztwo Wiktorii tem bardziej było pożądane. Drugi nasz sąsiad Kamieniecki, Hipolit Ośnicowski umarł, a Ośniczowska [illegible] ze Stefą, że ja mam być opiekunem dzieci, co mi nie było przyjemnem, bo w głowie Ośniczowskiej nie było dobrego ładu i składu, a starszy chłopak Karol, źle wychowany, [illegible], okazywał niezbyt dobre skłonności. Majątek ich, po sprzedaniu Juliszowa stanowiły dwie kamienice we Lwowie, z których jedna „pod Orłem"

w żydowskiej części miasta, pod „Zamkiem", słynna była z lokalu, w którym się wie-
czór zbierała wielka lwowska hołota, i gdzie żołnierze z dziewkami tańcowali. – Z zarzą-
dem tej „Szkoły" nie mało było kłopotu, zwłaszcza, że administrator lubił dopuszczać się
wydatków w swych rachunkach, dopóki nie powierzył tych interesów pan Des Loges,
namiestnikowi urzędnik pomocniczy w Prezydium Namiestnictwa, o którym wspomnie-
wałem. Układny ten człowieczek pochodził, jak to już samo nazwisko wskazuje, z biu-
rokratycznej, dawniej do Lwowa przybyłej rodziny. Lwowiakiem był urodzonym, przed
każdym przełożonym składał się jak scyzoryk, ale też i obowiązki swe wykonywał z
wielką dokładnością. Pismo miał kaligraficznie przepiękne, tajemnic urzędowych
a nawet prywatnych namiestników, żadnymi torturami z niego nie wyciągnąć, przy-
tem chodząca encyklopedya wszystkich wiadomości osobistych i urzędowych, potrzebnych
każdemu namiestnikowi Galicyi. Układny człowieczek umiał się wślizgnąć w łaski
każdego namiestnika, każdego szefa prezydialnego, a cichy, spokojny, daleki od
intryg, nikomu nie zawadzał. Szczególnie jednak polubił go później Badeni jako
namiestnik i bezwzględne do niego miał zaufanie. Za Badeniego odegrał też Des-
Loges bardzo zabawną towarzyską rolę. We Lwowie mieszkał za owych czasów, stacyo-
nujący tam jako wojskowy arcyksiążę Salvator, ożeniony z Bianką burbońską. Badeni, który w
wielu rzeczach ulegał wpływom Marchwickiego, zaprosił raz tegoż przyjaciółkę, panią
Jaworską na obiad, na którym była także arcyksiężna Bianka. Oczywiście nie-
takt wielki, ale Marchwicki chciał zmusić towarzystwo lwowskie, aby przyjmowało
panią Jaworską. – Arcyksiążę dowiedziawszy się jakie stanowisko pani Jaworska zaj-
muje, zapraszając odtąd do siebie namiestnika, zapraszał stale z Badenim Des-
Loges. Z razu nie widziano we Lwowie, co znaczy te honorowanie urzędnika zajmu-
jącego w hierarchii władz bardzo podrzędne stanowisko, gdy publiczność dowiedziała przy-
czyny tych zaproszeń, bardzo się tem cieszyła, nienawidząc Badeniów i całej ich
kliki. – Arcyksiążę kilka lat mieszkał we Lwowie i już do samego końca
jego tam pobytu Des Loges należał do stałych gości z – Badenim.

Do pani Oświęcimskiej przyjeżdżała na dłuższy pobyt po śmierci jej męża,
matka jej, hr. Czapska, oryginalna, poczciwa baba, wiążąca się z dziełami Krasiń-
skiego i Mickiewicza, deklamująca Heinego, Lamartina, z górą bez ładu, pełna
egzaltacyi. – Syn też jeden, Kazimierz dostał pomieszania zmysłów, drugi stracił
majątek, trzeci pan Stanisław, zupełny cierpiętnik, założył później fabrykę we
Lwowie, która naturalnie zbankrutowała, ożenił się stosunkowo bardzo dobrze, z panną
z Bonawiskiego i niezmiernie się cieszył, gdy to młoda żona, coś we dwa lata po
ślubie uciekła z – Kossakiem, bratem malarza. Nawet podobieństwo dziecka
do Kossaka nie tylko miłości Oświęcimskiego do swego mniemanego syna zachwiać
nie potrafiło. – Pani Oświęcimska, ale nie ta, tylko Czapska z domu, nie mało się

jasnem dotknęła, korzystając zawsze z kilkomiesięcznej nieobecności Stefy, przymówiła się, aby się do mnie z dziećmi sprowadzić, gdyż wówczas nie miała we Lwowie własnego mieszkania, a podczas pobytu jej u mnie poznałem dopiero, co znaczy kobieta z głową nie w porządku. Zamknąłem się w dwóch pokojach, przestawszy jej resztę mieszkania, ale i w tych dwóch pokojach wytrzymać nie mogłem, tak ciągle ktoś dzwonił do drzwi do pani Owczarnickiej, tak dzieci wrzeszczały, tak stos jej piesków świstał mi w uszach, aż do późnej nocy. Trzy miesiące tak uszczęśliwiała mnie swoją bytnością, po których dom mój wyglądał, jak po najeździe Tatarów.

W lecie r. 1879. pojechała moja żona jeszcze wcześniej, w maju, do Dublowa, na 4. miesiące. Ja na wiosnę dwa razy byłem w Przyłbicach u Państwa Szeptyckich, aby poznać starą panią Fredrową, matkę pani Szeptyckiej i skorzystać z jej opowiadań do biograficznego szkicu o Aleksandrze Fredrze ojcu, który napisać zamierzałem. Pani Fredrowa zrobiła wtedy miłe na mnie bardzo wrażenie: jest to najprzyjemniejsza staruszka, z doskonałą pamięcią, którą umiała opowiadać. Córka jej, wówczas około czterdziestu lat mająca, także bardzo rozumna kobieta, poświęciła się zupełnie wychowaniu synów, których miała pięciu, czy sześciu, przystojnych dzielnych chłopaków. Jeden z nich później został gr. kat. biskupem w Stanisławowie. Najmniej przyjemnym z całego domu był sam Szeptycki, piękny, przystojny mężczyzna, dobry podobno gospodarz, przysparzający majątku, co rzadko się u nas zdarzało, ale głupi jak próżna beczka. Mówił tak donośnie, że chyba wszystkich muchy z domu wystraszył, a tak zawsze decydująco i z taką pewnością siebie, jakgdyby pojadł wszystkie rozumy ~~najwyraźniej~~. Bardzo przytem dumny na swoich biskupów w rodzie, na koligacje z Ukraińskimi a przez nich naturalnie (!) z dworem wiedeńskim, obwiesił swój pokój zamkami drzewami genealogicznemi, tak, iż mnie się tam zdawało, że jestem w stajni wyścigowych koni. Pan Szeptycki miał właśnie tyle rozumu ile potrzeba do osiągnięcia wszystkich powiatowych ~~godności~~ i poselskich godności. Rozum jego nie wzbudzał zazdrości, a wystarczał do codziennego użytku. Tacy ludzie najprędzej i najpewniej idą naprzód, bo nikt się nie obawia ich konkurencji, a nie obawiając się przyznaje się przy każdej sposobności do ich poważania.–

Z początkiem lipca wyjechałem na sześciotygodniowy urlop, najpierw do Warszawy, gdzie trafiłem na dzień pogrzebu Kazimierza Władysława Wójcickiego, redaktora Biblioteki Warszawskiej. W narodzie nie mającej politycznej wolności pogrzeby zwykle ważną odgrywają rolę, bo to jedyna dozwolona sposobność do wyrażenia uczuć dla mężów zasłużonych krajowi. Demonstracyjne zresztą pogrzeby dziś smutno się zapisały w naszej historji ostatnich czasów. Nie byłem na pogrzebie Wójcickiego, ale tym razem nie z powodu mojego wrodzonego wstrętu do brania udziału w jakichkolwiek demonstracjach, ale ponieważ tego dnia był wielki upał, a ja nadto czułem się bardzo drogą zmęczony. Zresztą mieszkając w Warszawie u Wortmanów w hotelu nie mogłem się wyspać nie mogąc. Tam, okna wychodziły na ulicę, a Warszawa słynęła wówczas z ulicznego turkotu. Każda przejeżdżająca dorożka robiła przynajmniej więcej tyle hałasu, co gorzej w innym mieście, bo ulice były brukowane okrąglakami, po których powóz skakał jak piłka odbijany.

Z Warszawy pojechaliśmy do Dubna, tam dwa tygodnie. Spacery po polach, pogadanki z panem Tabęckim, z którym nigdy nie wiedziałem co mówić, oczywiście stawała się w skutek tego rozmowa banalna i męcząca. Zadowolony więc jużem był, gdy po dwutygodniowym tam pobycie wyjechaliśmy na Warszawę do Czarnowskich, do Łęk, gdzie wprawdzie nie była mniej u towarzystwie ciężkiej i co chwila wyjeżdżającej matki Tabęckiej, szczęśliwie Anulki Czarnowskiej z rozkwitłą mamką — ale na szczęście nie trwało długo. — Z tych Łęk na Ostrowę do drugich Łęk, w Galicji, które stary pp. Wrotnowscy, pp. Antoniowie, rodzice mego szwagra Lucjana kupili od hr. Stanisława Ostrowskiego, pod Oświęcimem. — Pan Antoni był całe swoje życie adwokatem w Warszawie, miał bardzo dobrą klientelę, a pomiędzy innymi hr. Krasińskich. Ożenił się z panną Ostrową, z poznańskiego, przystojną panną bez posagu, ale z koligacjami, która się wyrobiła na jedną z najpopularniejszych kobiet, jakie znałem w społeczeństwie polskiem. Brunetka, okrągła, z wałeczkami, miała długoletni romans z hr. Ludwikiem Krasińskim i tak zręcznie wszystko urządzała, że mąż zajęty interesami, nigdy się o tem nie dowiedział. Aby pokryć swoje domowe grzechy zajmowała się dobroczynnemi zakładami, szpitalami, była w tej mierze adjutantką pani Augustowej Potockiej, i oczywiście nie można było z nią pięć minut mówić, aby nie ~~wplątała~~ wplątała pani „Augustowej". Ludzi trzymających się pańskiej klamki, z upodobaniem nazywali ten lub ów magnata po imieniu, „pan Adam" (hr. Adam Potocki), „pan Włodzimierz" (Włodzimierz hr. Dzieduszycki), „pani Alfredowa" (hr. Alf. Potocka) ciągle można było słyszeć nawet w ustach tych, którzy nietylko w tych domach tych pani i panów nie bywali, ale nawet nie znali ich osobiście. — W czasach, kiedy dom hr. Potockich z Krzeszowic był niejako „panującym" w Krakowie, nawet pani Kapcowa z starej kamienicy mówiła o niedzielnicach ~~do~~ domu pod Baranami „pp. Adamowie."

Jeśli tylko Galicja otrzymała swoją autonomię i posłowie galicyjscy w Wiedniu zaczęli wielką odgrywać rolę, zachciało się i panu Antoniemu Wrotnowskiemu wystąpić na szerszej arenie i zostać politykiem. Warszawiacy w ogóle mieli wówczas jeszcze bardzo złe wyobrażenie o „Galileuszach", zdawało im się, że Galicja to kraj zacofany, że społeczeństwo prawie idiotów, który dopiero trzeba uczyć rozumu. Wybrał się więc warszawski adwokat na owo kulturalne posłannictwo, a zebrawszy swój majątek, zaczął od tego, że kupił pod Oświęcimem ~~majątek~~ wieś i postarał się o austrjackie obywatelstwo, robiąc także swych ~~synów~~ synów Lucjana, poddanymi austrjackimi. Mądry adwokat oszukał się zaraz na wstępie najokropniej na kupnie Łęk, trafił bowiem na włościan, którzy siedząc w długach po uszy, nauczyli się od żydów przebiegłości w interesach i gdyby był własnego brata wyprowadził w pole. — Pani Wrotnowskiej wyjazd z Warszawy także był już przyjemnym, bo romans z hr. Krasińskim uległ z biegiem lat losowi wszystkich romansów i trzeba było jakiejś młodszej miejsca ustąpić, a potem jako żona adwokata, rada była pani Gabryela być właścicielką dóbr, opiekunką okolicznych włościan, aniołem stróżem dzieci z ochronki itd. — Po krótkim pobycie w Galicji umiał p. Wrotnowski zdobyć sobie mandat sejmowy, na podstawie książki, wcale nawet dobrej „Aspiracje narodu polskiego" i sławy „wielkiego ekonomisty", jednej z najtęższych głów w Warszawie". Musiano na

sklepach narodowej fantazji został nawet dyrektorem świeżo założonego Banku Kraj-owego Galicyjskiego, instytucji finansowej, którą się bardzo cieszono i po której się spodziewano, że wyratuje wszystkich zbankrutowanych szlachciców. Gdy się jednak okazało przekonano, że pan Wortkowski nie ma najmniejszego [illegible] galicyjskich – o czem pierwej można było wiedzieć – że nawet ekonomista warszawski nie rozdawał za darmo pieniędzy, więc bardzo szybko zwróciła się przeciw niemu opinia, krzyczano, że „niedźwiedź", że „bałwan" i nie szczędzono mu tego rodzaju przyjemnych słówek. – Sama Wortkowska musiała zwinąć salon, który miał wszelkie dane za-kwitać i oboje małżonkowie znaleźli się znowu w [illegible], wymagających dnia pracy i dnia natchnienia, aby z niej wycisnąć choć część ~~po~~ tych dochodów, które hr. Rostkowski obiecywał.

Tuż w sąsiedztwie Łęk mieszkał ów hr. Rostkowski, bezpotomny [illegible] już bardzo ~~niefortunnie~~, o którego [illegible] tak, że [illegible] gadano. Nazywano go w okolicy „Sanem [illegible]", tak bowiem był zarozumiały na swój rozum, tak nieomylnym się być mniemał. Wszak w [illegible], żyje, wybudował pałac w jakimś mauretańskim stylu, ale nie obliczył się z [illegible], jak to zwykle u nas bywa i zabrakło mu już pieniędzy do wykończenia [illegible] i porządek. Był więc mauretański pałac o dwóch zamieszkałych pokojach, reszta czekała na – pełnienie się interesów [illegible], które wcale nie nastąpiło. O ile pamiętam w ręce morawskiego Niemca [illegible], nadzwyczajnie dobrego gospodarza, którego pani ~~się~~ [illegible] zbyt szybko wyswatała z siostrzenicą męża, z panną Wortkowską, córką lekarza, od dawna zamieszkałego w [illegible], nadzwyczaj ładną istotką. – Wyjechawszy z Warszawy i dowiedziawszy się pośrodku [illegible] towarzystwa oddała się pani Wortkowska swataniu i nabożeństwom ~~[illegible]~~. Ale ona miała niedobranych małżeństw na sumieniu, bowiem poleciwszy bogatą dwie zgodziła warszawską, pannę Goldstandt wydała za Adama Dzierż. Korzeńka, z którym miała [illegible] romans, [illegible], a przedewszystkiem niespokojnego ducha; [illegible] z [illegible] pomogła aż do ożenienia się z córką bogatego bankiera warszawskiego [illegible], a dziś jeszcze ~~[illegible]~~ ożeniła malarza Tałata z panną Comello. Naturalnie [illegible] także o wielu innych mniej [illegible] związkach małżeńskich, które ~~[illegible]~~ ~~miała na sumieniu. [illegible]~~ namotała.

Sama Wortkowska sprowadziła się w okolice Oświęcima na [illegible] wszystkich [illegible], nie mogąc bowiem [illegible] „z towarzystwa" zabrała się do [illegible] całą głową [illegible] i [illegible] na [illegible], [illegible] wypierała. Wreszcie, po śmierci pana Antoniego, pojechała do Rzymu na „pokutę" i wstąpiła do klasztoru w [illegible], w [illegible], na jakąś pokutę. Odpoczywała się tam na [illegible] „[illegible]". O swatach jednak i tam nie zapominała.

Na zakończenie urlopu pojechałem jeszcze do Wiktorna, gdzie moja matka mieszkała. Było to wtedy, kiedy się rozpoczęło parcelowanie wielkich majątków w Galicji, kiedy szlachta ratowała się, czyniąc na własnem ciele amputacje. Długów było sporo, a dochody szły, więc też i ów zwraca zdecydowała się część gruntów pomiędzy włościan roz-sprzedać, a resztę pozbyć się własnego majątku. Matka moja objąwszy po śmierci ojca Wiktorno w niezwykle trudnych warunkach, miała dziś spłaty i nie było innej rady jak część gruntów rozparcelować. Amatorzy się na grunta znaleźli, bo Wiktornianie wcześniej zaczęli jeździć do Ameryki na zarobek ~~[illegible]~~ i stamtąd przysyłali rodzinom pieniądze.

Wielu wracało do domu roznosząc w ten sposób swoje miazmy.. Z Krośnieńskiego, z Jasielskiego, mnóstwo ludzi zaczynało iść za morze. Wielu tam zostało, reszta tylko wróciła. Wielkie zmartwienie sprawiło mnie z powodu mojej siostry Jabłonowskiej, która stale mieszkała z mężem w Jarosławiu, gdzie on był w urzędzie. „Lewcia" jakeśmy ją w rodzinie nazywali, od młodości nie nie zważała na siebie, śnieg, wiatr, słota wszystko to było dla niej jedno, rano już w tej ~~[illegible]~~ mierze do okiężna podobna, lubiła konie. ~~[illegible]~~ przy tem dom jej wyglądał zawsze jak arka Noego, tyle tam się zjawiło rozmaitych zwierząt. Musiała się bardzo mocno zaziębić, bo już w listopadzie dostała lekkiego zapalenia płuc, później zaś w jesieni, pewnego razu [illegible]. Była w niebezpieczeństwie życia, i po długich wielkich cierpieniach, tylko silna natura ją wyratowała, wbrew przedtem miejscowym lekarzom, którzy w swej nieudolności wszystko możliwe robili, aby jej przeszkadzać w wyzdrowieniu. Formalnie robili z nią doświadczenia i w najsilniejszem zapaleniu płuc, w zimową jesienią owijali ją w wodzie zmaczane prześcieradła, niby chcąc zmniejszyć gorączkę. Jużto i ja i moja siostra tylekroć doświadczyli, że wszystkie chroniczne choroby sprowadzili na ~~[illegible]~~ nas lekarze.

~~[illegible]~~ XII.

Zimę z roku 1879. na 1880. przepędziliśmy dość wesoło, we Lwowie. Zaczęto się występami Modrzejewskiej na tamtejszej scenie. Wróciła ona właśnie z mężem z Ameryki na jakiś czas do Europy, grała najpierw w Krakowie, a następnie we Lwowie, bawiąc przez miesiąc. Chodziliśmy często na jej reprezentacye, stała jeszcze u szczytu rozwoju swego talentu i porywała publiczność. Brałaśmy lożę na spółkę z Marchwickimi, z panią Golejowską, siostrą Bronisława Łozińskiego, lub z panią Bronisławową Łozińską. Na benefis jej nasza loża pełna była kwiatów, nosiliśmy jej wraz z Marchwickimi bukiety. Stefa była ciekawą bliżej ją poznać, więc daliśmy dla niej ~~[illegible]~~ wieczór, w małem pomieszkaniu, na ulicy Majerowskiej 25. osób, to mnóstwo!. Po herbacie, gdy się stało bardzo wesoło, pani Helena deklamowała coś z Kleopatry, po angielsku, którą miała grać niebawem. Aby miała wzory pięknych egipskich kostiumów ofiarowałem jej pyszne wydanie Egiptu Ebersa, z bardzo artystycznemi illustracyami... ~~[illegible]~~ Chcąc nam dać poznać, jak mało w tragicznej deklamacyi mają znaczenia wyrazy, ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ wygłosiła nam ~~[illegible]~~ jakąś ~~[illegible]~~ rozpaczliwą scenę, wymawiając, zamiast rozumnego tekstu, wyrazy: raz, dwa, trzy itd. - Domiewam zachowała ~~[illegible]~~ po angielsku, więc dopiero za chwilę zorientowaliśmy się, że to nie scena z Kleopatry - ale sztubackie wybryki. - Następnie posłałem jej następujący wiersz:

Pani H. M. do albumu (na ręce Karola) uprzejmie wiersz z powodu składania ~~Kalo[illegible]~~ oszy dnia 16. listopada 1879.

Klęknąć przed Panią – nie miała ochotę! –
Raz mi w tem jednak ognie przeszkodził,
A gdy już minął – to Karol niecnota,
Pani za serce – i w ręce wodził.

Później uklęknąć nie brakło zręczenia,
Lecz tyś przed sceną klaskała obecnem
[illegible]

Gdyś Ci walką namiętną zgnębiona,
A wielbiciele odchodzili z niczem.
Dziś osiągnęliśmy wspólne zjednania!
Cóż mi znaczą dobre słowa rozkoszne,
Ja uklęknąłem wreszcie przed Tobą
Składając Ci wieńcową koronę.

Po pożegnaniu odjeżdżającej Modrzejewskiej był jeszcze wieczór u Mrozowickich, na którym cały wielki świat lwowski był się zgromadził. Pani Helena była ślicznie wyglądała, w czarnej atłasowej, złotem haftowanej sukni. Pani Alfredowa Potocka, piękna zawsze [illegible], która zawsze się gniewała, jeśli jaką inną honorowano kobietę, a osobliwie piękną kobietę, ani sło- wa do pani Heleny nie zagadała. Modrzejewska była mistrzynią w ubieraniu się, dopomagał jej do tego Karol, który nadzwyczaj wiele miał smaku. Rysowali oboje każdą suknię, któ- rą zamawiano, zastanawiano się nad nią, jak nad artystycznem dziełem. Wielki też szmat wydatków na owe stroje, potrzebne wprawdzie do dodania blasku piękności Modrzejewskiej i do reklamy, koniecznej w naszych czasach, ale z drugiej strony będące jedną z przyczyn dla których Modrzejewska majątku nie zebrała. – Na wieczorze u Mrozowickich zwracała uwagę Włodzimierzówna hr. Borkowska, brunetka z pełnemi żaru oczyma, późniejsza hra- bina Chołoniewska. Grała ona wybornie na ręcznej harmonijce, a przewiesiwszy sobie na szerokiej wstążce ten [illegible] demokratyczny instrument przez plecy, wyglądała jakby ja- kiś potrzebny model dla malarza. – Był tam także Tadeuszowi hr. Wiśniewskiej, co pedagogiem, uchodziła bardzo przystojną, owa piękność na szybko, wtedy nawet się zalecać go- tującemu przepędzonego życia, a nie mogąc wobec dorosłych synów bardzo już używać swo- bod, starała się przyswajać walcem i galopadą najprędzej sobie balach owe modne chwile, które przepędziła na wsi, w Krzyżanowicach. Stadnicka z domu, trochę kuszą- ca, jak wiele kobiet z austryackiej arystokracyi; Stefa znajdowała w niej wiele cech klejn- ckiej, być może, sama się to nie zdawała...

Owej zimy spotykało się we wszystkich towarzystwach marszałka krajowego hr. Ludwika Wodzickiego ze swym adjutantem Józefem hr. Drohojowskim. Hr. Ludwik był jeszcze nad- zwyczaj przystojnym człowiekiem, z pewną radością w twarzy i prawie wschodnim spokojem w ru- chach i w całem obejściu. Marszałkiem był nie świetnym, zajęty swemi interesami, swym przy bardzo znajdującym i zadłużonym majątkiem, mało się troszczył o krajowe sprawy. Z natury dość bier- ny charakter nie miał potrzeby w sobie woli, aby wziąć inicyatywę w urządzaniu tej Galicyjskiej autonomii, która nie wiele robiąc dla kraju dobrego, stała się tylko poży- tkiem złośliwych uwag. – Do osłabienia jego stanowiska w Lwowie przyczyniało się zaś niemało przyjaźń z Józefem hr. Drohojowskim, starym kawalerem, [illegible] zawiadującym swym cywilnem całą młodzieżą lwowską. Drohojowski tracąc długie lata na gospodarstwo, sprzedał swój majątek, a z pozostałości, jakiemi 30.000 guldenów, zawarł w teatrze skarbkowskim na partere, zawsze pożyczał te pieniądze na wysokie pro- centa i zatrudniał się trochę sztukami pięknemi, a najwięcej ustrojeniem we Lwowie- nałożnika, na wzór wielkich stolic.

Zdawało mu się komicznem, aby ktoś dorastał do jakiegoś-takiego demimonde'u i przy-
znać mu trzeba, że umiał wyszukiwać niezadowolonych i nierozpoznane piękności, któ-
re z czasem główną we Lwowie odegrały rolę. Przedewszystkiem pani Filo; była to młoda,
drobna, bardzo ładna brunetka, żona jakiegoś małego podrzędnego urzędnika w dyrekcji skarbu. Ks.
Józef ją wykształcił, nauczył ubierać, a gdy już później zanadto była znaną we Lwowie, wypra-
~~myśl~~ wili ją przyjaciele, aby mogła pojechać do Paryża i tam zająć odpowiednie swej urodzie
„stanowisko". Filo nie zawiodła oczekiwań swych protektorów, a po śmierci swego męża wyszła
podobno w Paryżu za mąż, za jakiegoś finansistę. Równie świetną karyerę zrobiła Sutkow-
ska, którą Dzieduszycki wyciągnął gdzieś z podrzędnego społeczeństwa, wyrobił jej „posadę"
statystki w teatrze i „lansował" dalej. Sutkowska, bardzo ładna blondynka, żyła się przez
długie lata za stałą metodą we Lwowie, później występowała nawet w rolach podrzędnych w
krakowskim teatrze, aż wreszcie uszczęśliwiła swą ręką pana Mostowskiego, bardzo bogatego
właściciela z dóbr i zamieszkała z mężem w Krakowie, używając potem na uboczu
stwa i czynu nie zgorszając. — Dzieduszycki urządził „stylowo" swoje ~~[illegible]~~ salony, a
Lwów, który wówczas mało znał ładnie urządzonych mieszkań opowiadał sobie cuda o
smaku i stylach ks. Dzieduszyckiego. Właściwie nic nie było tam nadzwyczajnego: dwa
pokoje jadalny ładnie ubrany starymi srebrami i starą bronią, i dwa salony, jeden
o ile pamiętam urządzony przez wiedeńskiego tapicera w stylu Ludwika XIII, a drugi
~~Louis~~ Ludwika XVI. — W tych salonach dawał Dzieduszycki dwa razy w tydzień wieczorki; na jednych
bywały panie Filo, ~~[illegible]~~ Sutkowska i rozmaite ~~[illegible]~~ spopularyzowane piękności, z mężczyzn natural-
nie przedewszystkiem marszałek Wodzicki. Było to zebranie przyzwoite w rozmowie, ani-
żeli w uczynkach, podczas gdy wieczory drugiej kategorji przyzwoitsze były co do uczyn-
ków, ale natomiast co do towarzyskiej rozmowy ~~[illegible]~~ stały się na wysokości kordegardy.
Rej tam wodziła pani Tomaszowa hr. Stadnicka, z domu Jordanówna, z gęby wy-
prawiona jak cholewa. Była to zręczna kobieta, wybornie grywająca w amatorskich te-
atrach i mająca męża po trochu idjotę. To jej nie przeszkadzało, że zawiązywały zna-
jomości z wiedeńskimi Rothschildami i innymi żydowskimi finansistami wyrobiła
mu dożywotnią synekurę w zarządach prywatnych kolei żelaznych. — Do przyjaciółek
Dzieduszyckiego należała ładna, zgrabna baronowa hr. Łączyńska z Kutkowa,
żona męża który miał potrzebę zostać malarzem, poetą, nawet ambasadorem au-
stryackim w Rzymie, a był tylko niedołężnym utracjuszem. Później napisał on jakąś
komedję, która nawet była przedstawiona w lwowskim teatrze, uciekł od żony, od dramatur-
go pióra, z guwernantką, długie lata umierał prawie z głodu w Wiedniu, aż wreszcie
został kancelistą w towarzystwie kredytowem ziemskiem we Lwowie, gdzie pobierał półtora gulde-
na dziennie i molestował o wsparcie wszystkich swych dawnych znajomych. — Pani
Łączyńska na szczęście przetrwoniła przyzwoitą majętność; rozpiła się i oszpeciła
najgorzej wychowała córki. Jedna z nich bardzo piękna, poszła za hr. Oletra, ale
mąż uciekł od niej po roku i został jakimś rentierem. Za ministerstwa Taaffego bla-
tenna, rozwódka, bywała często w Wiedniu, romansowała z ministrami, a przedewszyst-
kiem z ministrem sprawiedliwości hr. Fryderykiem Schönbornem, a dzięki temu

w Paryżu
i zajmuje tam stanowisko demimondki, której się zachciało za mąż wydać.

W pobliżu Kutkora mieszkali w Zadwórzu, pp. Bogdanowie. Ona Zaleska z domu, siostra Konopczyny z Mogielan należała do kobiet najbardziej w córki błogosławionych. Bywałem tam za kawalerskich czasów, a raz nawet ze Stefą, bo pani Bogdanowa daleką moją była kuzynką. Bogdanowie mieli duży majątek i pracowali ciągle nad tem, aby mieć syna, pan Bóg dawał jednak rok w rok córkę, oni wszelkiej nie tracili nadziei, że się szczęście odmieni, i mieli słuszność; bo po ośmiu, czy więcej tam córkach urodził się nareszcie syn, jedynak, który się pomimo tego, że był jedynakiem później dobrze pokierował. O ile Bogdan był bardzo rozumnym człowiekiem, o tyle pani domu, pomimo, że wybornie domowe prowadziła gospodarstwo, nie szczyciła się zbyt szerokim swych myśli horyzontem. Miała ona szczególny sposób liczenia czasu, zapamiętywania ważniejszych wypadków. Gdy jej który ze znajomych mówił o śmierci jednej z dawnych przyjaciółek, natychmiast się i odpowiadała: „a-a-pamiętam, ona wtedy umarła, kiedy się pierwsza moja angielska maciora oprosiła". Bogdan zajmował w ekonomicznych sprawach krajowych dość ważne stanowisko, został później Prezesem rady zawiadowczej Banku krajowego i wydaje mi się, że on był jednym z tych, którzy panu [illegible] importowanemu dyrektorowi, stołka przysposobili.

W lecie roku 1880. był Lwów bardzo ożywiony: wyścigi i zjazd, a na jesieni spodziewana podróż cesarska do Galicyi. Wyścigi w czerwcu się odbywające zgromadziły dość świata, ukazała się czasem nawet rozkoszna (?) pięknych powozów, pomiędzy któremi się odznaczały czwórki Wilhelma kr. Dzieduszyckiego, Heleny kr. Mierowej (?). Starsza arystokracja: Sapiehowie, Czartoryscy, lub Sanguszkowie, trochę stroniła, uważając wyścigi za mało wojewódzką (?) zabawkę; jeden tylko Tarnowski z Chorzelowa, zapalony chodowca wyścigowych koni, nigdy nie brakował. Duszą towarzystwa (?) wyścigów był Kazimierz Tuczyński (?) ze Skorzyc (?), koło Bodzanowa (?), siostrzeniec Kazimierza Grocholskiego. Tuczyński romansował z sąsiadką, hrabiną P. z Grzymałowa (?), matką późniejszego namiestnika i trenował konie. We wszystkich biegach „pani" brał udział, jeździł do Anglii studjować chów koni, z całem zamiłowaniem poświęcał się swemu zawodowi. Obok niego Juliusz Dzieduszycki ważną był wyścigowego świata figurą. Nadzwyczaj piękny mężczyzna, dobry gospodarz, bogaty, energiczny w obec świata, uległy, wobec żony, która go niedźwiedzimi (?) krótko trzymała. Nazywano ją „Matyldą" naturalnie gotycką, bo się tak sztywnie trzymała, chuda, nie chciała nikomu nigdy dać szklanki herbaty, ale szczodra na suknie toalety i na brylanty, których miała już tyle, co [illegible] jak wielkomiejski jubiler. Ostry swój język i gadatliwość wyrabiająca z ulicy [illegible] wszelkie możliwe skandale. — Także księcia Kaliksta Ponińskiego widać było na wyścigach, [illegible] wystrzyżonego z Dziennika mód, z roku 1840. Należał on do tych ludzi, którzy w pewnej epoce swego życia uchodzili za lwów towarzyskich, i tak się wówczas rozsmakowali w swej postaci, że ani na włos odtąd nie odstąpili, ani co do uczesania, ani co do ubrania, od swego własnego prototypu. Uważał (?) był najzupełniej [illegible] sobie.

~~właściciel przepysznego kawału ziemi nad Dniestrem, [illegible] kamienica we Lwowie, książę i jak mało kto, który bogato swoje [illegible] obracał swemi kapitałami i należał do najbogatszych ludzi w kraju. Bardzo gościnny, ale najmniej nie dobroczynny, nie mieszający się do polityki krajowej, nie należał właściwie do dzisiejszych tych społeczeństwa, nikomu nie zawadzających, nie wzbudzających zawiści. —~~

Wysokiem chowem koni w Galicyi i gorączką wyścigów był ks. „Benedykt" Tarnowskiego, który wygrywał mnóstwo biegów i zapracował się ku wiecznej chwale, w sportowych dziennikach Austryi. Arystokracya galicyjska była dumna z tego konia, ale ks. Tarnowski stracił majątek na wyprodukowaniu tego bezprzerwnego meteoru, a po Benedykcie na galicyjskich wyścigach wygrywały po większej części konie cudzoziemskie. Gdy się później i Krakowowi zachciało mieć własne wyścigi, okazało się, że dla tej na coraz bardziej zmniejszającej się ilości szlachetnych koni w Galicyi, jest za wiele — a wyścigi tak we Lwowie, jak w Krakowie zeszły właściwie do popisów oficerów stojących w kraju załogą i do areny dla żydowskich sportsmanów z Wiednia.

Na sejm roku 1880. przyjechali po raz pierwszy dwaj „ministrowie rodacy" z Wiednia, Ziemiałkowski, minister dla Galicyi i świeżo zamianowany minister finansów Dunajewski. Lwowianie sejmowi dali dla nich wielki obiad, na którym prawie ignorowano Ziemiałkowskiego, nie pito jego zdrowia, a kadzono tylko nowemu ministrowi. Ziemiałkowski miał wiele potężnych nieprzyjaciół, naturalnie wszystkich tych, którzy aspirowali na posadę ministra dla Galicyi i przeciw niemu na wszystkie boki intrygowali. Polacy także dawali wieczór dla ministrów, na którym Dunajewski chodził rozpromieniony, rozpierający się w swych nowych zaszczytach, jak w wygodnym fotelu, a skromny Ziemiałkowski znikał w tłumie gości. — Mówiono wówczas dużo o kandydaturze Smarzewskiego, na miejsce Ziemiałkowskiego, o jego w tej mierze staraniach i o czem jakiś kłopot wytłomaczył, aby się posłać swego [illegible]. Posądzano Ziemiałkowskiego, że on wygrał proces o spowodowanie upadłości fabryki papieru w Czerlanach, której książę Adam Sapieha i Smarzewski głównymi byli właścicielami. Proces w każdym razie zaszkodził opinii Smarzewskiego, a jeżeli Ziemiałkowski w tej intrydze swe palce umaczał, to w każdym razie cel swój osiągnął i na razie Smarzewskiego od kandydatury na ministra usunął.

W ostatnich dniach czerwca umarł Bronisław Łoś, a na jego pogrzebie powiedział mi Tadeusz Dzieduszycki, że moje akcye w namiestnictwie idą w górę, że mnie namiestnik przeniesie do Brzeżan, do robót sejmowych i że się skończy moja robota u Orłeckiego, gdzie byłbym przepadł w mojej urzędowej karyerze. Zdaje mi się, że ten zwrot korzystny [illegible] do ~~polepszenie się w moich stosunkach~~ zawdzięczam Loblowi, który jeszcze z Rady szkolnej zachował dla mnie życzliwość. — Cesarz miał w jesieni przyjechać do Galicyi. Podróż ta miała mieć wielkie polityczne znaczenie, chciano więc w Brzeżanach mieć kogoś, ktoby w razie danym zgrabniej coś napisać potrafił. — Porzucając nudnego Orłeckiego odetchnąłem po kilkoletniej zabijającej nudnej pracy i cieszyłem się, że się zejdę z ludźmi, po których się jakiejś szerszej przyszłości spodziewać można.

W prezydium namiestnictwa mi oświadczono, że przed kilkoma miesiącami obiecał mi Ziemiałkowski powołać mnie do Wiednia, do swego biura. Napisał on mi jakoś na wiosnę list, w którym ~~mnie zapytał~~ pytał, czybym w razie, gdyby się u niego miejsce sekretarskie otworzyło, co wkrótce się stać może, przyjął tę ~~miejsce~~ posadę. Odpowiedziałem z radością, że życzeniem mojem od dawna było dostać się do ministerstwa. Starałem się już o to z jakie lat dwanaście; miałem nawet już w tej mierze obietnicę, ale zawsze się na niczem kończyło. Było to do mojej urzędowej kariery koniecznie potrzebne, już to dla wyćwiczenia się w języku niemieckim, w którym zupełnie wprawę traciłem, już to z tego powodu, że tylko przez ministerstwo możliwy był jakiś szybszy awans. Listem Ziemiałkowskiego rozumie się ucieszyłem, a że mi kazał zachować, to co mi pisał, w tajemnicy, więc prócz żony nikomu o tem nie mówiłem. Mijały jednak miesiące bez żadnej od ministra wiadomości, więc sądziłem, że mój awans upadł w wodę. Gdy Ziemiałkowski na sejm do Lwowa przyjechał, poszedłem mu złożyć wizytę w hotelu Żorża, i wyszedłem z niej ze spuszczonym nosem, bo Ziemiałkowski wprawdzie bardzo uprzejmie mnie przyjął, ale nic o swojej obietnicy nie wspominał, i pojąłem, jakby nigdy do mnie nie pisał. – Powołanie więc do prezydium podwójnie mnie ucieszyło, bo przyjmowałem je w części wynagrodzenie za zawód, który mi Ziemiałkowski zadawał się sprawić. – Szefem prezydialnego biura był Loebl, ale byliśmy w częstej styczności także z Zaleskim, wiceprezydentem namiestnictwa, który w sejmie był komisarzem rządowym. Starszymi moimi kolegami byli starosta Terlecki i sekretarz namiestnictwa [illegible] [illegible], obydwaj bardzo zacni ludzie, ale z dość ciasnym horyzontem myśli, zapracowani w urzędzie. Młodszym kolegą był Władysław Sapieha, syn księcia Adama, bardzo miłej inteligencji, który nam więcej przeszkadzał, aniżeli pomagał, bo dwadzieścia razy ~~najmniejszy~~ o radę, zanim dzienną swoją robotę potrafił. W dwóch małych niedużych pokoikach, przychodzili z uderzeniem dziewiątej z rana, a z przerwą dwóch godzin na obiad siedzieliśmy do siódmej wieczór, a nawet i dłużej. Moralna atmosfera była tam ohydna, zwłaszcza reprezentowana osobliwie przez Terleckiego, bez miary. „Lackie idzie“ „Pan Prezydent woła“ – w denerwujący sposób się powtarzało, a krzyki jednego z naszych sług na korytarzu, już na nas nieprzyjemnie działały. Ja miałem wielką trudność z niemieckim językiem, musiałem projekty, z kolegami tłumaczyć na niemieckie, uchwalone w sejmie ustawy, streszczać mowy posłów, pisać sprawozdania do ministerstwa, wszystko prędko, wszystko nagle, bo Prezydent nie cierpiał zwłoki, a nie umiał ocenić, ile warta sejmowa jaka robota. Nadto Zaleski wychowany prawie w Wiedniu, a dawniej koncypient w ministerstwie Ziemiałkowskiego, pisał bardzo pięknie i łatwo po niemiecku, byłem więc w ciągłej obawie, aby go nie raziła moja nieumiejętność. Gdy mnie raz pochwalił, że wcale dobrze napisałem jakieś sprawozdanie do ministerstwa, niesłychanie mnie to ucieszyło.

Najmilej cicho było w naszych dwóch pokojach, i tylko pióra skrzypiały, ale koledzy nie mogliśmy się czasem powstrzymać, aby sobie nie opowiadać najświeższych anegdotek o naszych szefach, a osobliwie o Zaleskim, który najwięcej do tego dawał powodu. Pani ~~[illegible]~~ odwiedzała ojca Prezydenta w biurze, w godzinach których prawie nikogo nie było w prezydium, a wierny woźny Chrobak stał na straży, aby nikt nie wszedł do jego pokoju. Nazywało się to, że pan prezydent pisze bardzo pilne relacje do ministerstwa.

Te przeważnie dość często się powtarzały. Dziwiliśmy się, że się to dzieje, wobec znanych stosunków Zaleskiego do pani Alfredowej Potockiej, o wszystkich jednak pani ~~[illegible]~~ w [illegible] nie potrzebowała wiedzieć pani Namiestnikowa, bo dr Zaleski wchodził inną bramą, a wiedzieli do pani Potockiej, portyera tam nie było, a Chorbak umiał dochować tajemnicy.

Podróż cesarska już dwa miesiące naprzód dawała ministrom dużo do myślenia, mnie oddano główny w tej mierze referat; cesarz miał mieszkać w Namiestnictwie, więc już zawczasu przygotowano pokoje, rozlokowano adjutantów i urzędników dworskich, urządzenie przygotowania przyjęcia cesarskiego w Krakowie, we Lwowie i po stacyach kolei, porozumiewanie się ze starostami i wydziałami rad powiatowych wymagało obmówienia mnóstwa szczegółów. Staraniem naszem naturalnie było, aby przy przyjęciach cesarza uniknąć jakichkolwiek dysonansów, aby wszystko szło jak z płatka. — Mowy, którymi prezesowie rad powiatowych, naczelnicy gmin lub innych korporacyi mieli przyjmować cesarza, musiały być poddawane naszej cenzurze, aby nie powiedziano coś niezgrabnego, lub niepolitycznego. Poddawano się jej chętnie, a nawet niektórzy obywatele prosili nas, aby im napisać te przemówienia, które wygłosić mieli. Komponowałem więc mowy dla Stefana hr. Zamoyskiego, dla Stanisława [illegible] i Władysława [illegible], jako prezesa wystawy rolniczo-przemysłowej w Kołomyi, a dość było trudnem ciągle to samo w zmienionych tylko słowach powtarzać. Cesarskie odpowiedzi takżeśmy układali i oddawali Kancelaryi gabinetowej. W tej pracy pomagał nam redaktor Gazety Lwowskiej Władysław Łoziński bardzo dobrze piszący tak u Zaleskiego jak u Loebla. — O zdolnościach Loebla wyrobiłem w tych czasach jak najlepsze wyobrażenie, podczas gdy co do Zaleskiego bardzo się rozczarowałem. Pierwszy był bystry, wolny, stanowczy, a przytem wszystkiem dobry urzędnik, drugi lekki, dyplomata, który pracy unikał. — Przez czas podróży cesarza biegaliśmy w Brzeżanach jak wariaty, to do biurka, aby dorywczo napisać jakieś rozporządzenie, to do burmistrza, do marszałka itd. — Nie miało być owacyi, aby Świętojurcy Rusini nie urządzili jakiejś demonstracyi, przeciw Polakom, któraby i nam i Cesarzowi była niepożądaną. Pogłoski z usposobienia Komitetu zarządzającego ruskim Narodnim Domem we Lwowie rozwinęli na prowincyi wielką agitacyę, aby podczas podróży cesarza w Narodnim Domu wręczyć mu monstre-petycyę, opatrzoną kilkunastu tysiącami podpisów, skarżącą się na ~~[illegible]~~ Polaków, na despotyzm rządu Lachów. Kilku starostów donosiło o tych agitacyach. Wysłał mnie więc Loebl z polecenia namiestnika do „Prewodyra", redaktora Kowalskiego, który mieszkał w Narodnim Domu i był prezesem wielu ruskich stowarzyszeń, abym mu przedstawił odnośne urzędowe sprawozdania starostów, nie dając mu ich naturalnie do ręki i zapytał, czy wie o tych agitacyach. —

— A jeśli mi powie, że wie ... ? —

— To się Pan ukłonisz i odejdziesz — instruował mnie Loebl.

Pan Radca, który stał na czele tych agitacyi, wyparł się jednak przedewszystkiem, zaklinał się „jak Boga kocham" że pierwszy raz o tem słyszy, i zapewniał mnie, że gdyby się o

czemś

podobnie dowiedział, byli pierwsi, którzy i o 12ej w nocy przyszedł do namiestnika, aby go ostrzec i prosić, aby cesarz nie przyjeżdżał do Narodnego domu. – To delikatne zapytanie z naszej strony bardzo się przydało, bo zastrzeżony Kowalski, że Rząd nie o wszystkiem, nie dopuści się dopuścić do żadnej antipolskiej demonstracji, umie wyprowadził na wschód, w satynowym jedwabnym szlafroku z kijowskiej termoliany, Dzienniki zaraz nie się pośmiewani [illegible].

O tym umiemanym ucisku Rusinów przez Polaków w owych czasach, mnóstwo dziś gorszących. Przedewszystkiem wobec liberalnych ustaw konstytucyi austryackiej jakikolwiek ucisk drugiej narodowości był niemożliwy, a że Polacy się wszelkiemi sposobami przeciw temu bronili, aby nie moskwiczono ludu ruskiego w Galicyi, aby nie zmieniano języka matczynego na rosyjski, aby nie wprowadzano nabożeństwa prawosławnego, w miejsce liturgii greckiej unickiej – to rzecz naturalna. Świętojurcy, moskalofile, jak ich nazywano, starali się zrównać zupełnie Rusinów z Rosyanami, zatrzeć wszelkie różnice jakie zachodzą, tak co do języka, jak co do rozumów i religii, pomiędzy ludem matczynym a wielkorosyanami. – Kierunek ten zaś i ta praca była antipolska i antiaustryacka, dawała bowiem Rosyi najzupełniejszą we wschodniej Galicyi przewagę. Rząd rosyjski i Towarzystwo słowiańskie w Rosyi hojnie rublami wspierało galicyjskich apostatów, po najwiękssze usiłowania przez, aby wzmocnić ten kierunek, nie dziwi się, że rząd austryacki się bronił przeciw takiej robocie. – Przez długie lata, lata w których się dziś dzieje stało, od roku 1849 – 1870 nie rozumiano i nie chciano w Wiedniu rozumieć niebezpieczeństwa, jakie w tym ruchu groziło Austryi ze wschodu, a Niemcy, biurokracya wiedeńska widziała w rozdrażnieniu Rusinów i Polaków w Galicyi korzyść tylko dla siebie, Tatarszczyzną – bowiem było panować nad dwoma powaśnionemi narodami, aniżeli nad połączonymi zwartą ludnością. Schlebiano więc w Wiedniu świętojurcom, udatowano im robotę, nie uważano tym sposobem interesu państwa. – Dopiero później, dłuższej pracy Gołuchowskiego i Ziemiałkowskiego zawdzięczać należy, że otworzono oczy najwyższej Cesarzowi, a od wyjazdu monarchy zmuszono i wysoką biurokracyę volens nolens inne jak dotąd wobec sporu Polaków z Rusinami, zająć stanowisko.

Przyjęcie cesarza było najświetniejsze, na jakie stać była Galicyę, osobliwie Zyblikiewicz jako burmistrz krakowski umiał wlać w publiczność owę energię entuzyazmu, na której jemu samemu nigdy nie zbywało. We dworze tylko, przedstawieni gałowi, na którym był cesarz, skandalicznie się nie udało. Powierzono Janowi Dobrzańskiemu całe rzecz, Dziennikarzowi, który prawie nie wychodząc z domu, nie miał najmniejszego wyobrażenia o wymogach, jakie stawiano również, jak nawet do pomniejszych bałów, i żadnego artystycznego smaku. Zaś cóż więc, pomiędzy innemi rzeczami, których cesarz nie mógł rozumieć, urządził balet „Koło kucalskie", tańczone tylko przez mężczyzn. Dzięki to, górskie tańce przypominające czasy kiedy „zbójnictwo" było rzemiosłem pomiędzy ludem górskiem zajęciem. Poprzebierano zaś rozmaitych statystów za huculów i kazano im skakać na scenie. Wyglądało to jak taniec małpy, nota bene kilku z tych małpy było w okularach. Widzieliśmy się stąd tak,

podczas przedstawienia, że byłbym się schował jak to powiadają, w mysią dziurę. Janicio był wielki zadowolony ze swego dzieła. Cesarz widząc to nieudane przedstawienie zrobił co mógł najlepszego, wyszedł z teatru.-

Cesarz dawał kilka objadów, a szlachta ubiegała się, aby być zaproszoną. Zaleski z Loeblem układali listę gości i przedkładali ją Kancelaryi cesarskiej. Piękna pani Lewoszowa Dzie-nicka z Zaleszczyk robiła Zaleskiemu wymówki, że mąż jej nie był proszony.

- To nie ode mnie zależało, odpowiedział prezydent.

- To jednak od pana zależało, aby zaprosić wszystkich żyjących Romaszkanów.

Zaleski krasiał się wściekłością, trzeba bowiem wiedzieć, że bracia Romaszkani byli z ormiań-skiego rodu i krewni Zaleskich.-

Dwaj przedewszystkiem Romaszkani byli bardzo znanemi we Lwowie postaciami; dwa czarne wielkie grubasy, starzy kawalerowie, jeden Zygmunt, Zyzio zwany, finansista, prezes banku włościańskiego, o którym mówiono, że za gotówkę ma ściągnięty włos z łysego chłopa, drugi August, przestępujący jak kaczka z nogi na nogę, próżniak, plotkarz, sybaryta. Wieczorem Zyzio zasiadał w Kasynie szlacheckiem i był zbiornikiem wszystkich nowin, August, który miał jeszcze inne namiętności, siedział u pani S., żony swojej (?) nędznej kasjerki banku włościańskiego, bardzo przystojnej brunetki, gdzie sobie stworzył ognisko domowe, kulturalne.- Trzeci ich z Horodenki był najbogatszym i kwalifikowanym robiony. Gdy arcy-książę Jan zakochał się w otyłej poruczniczce i porwał ją do oltarza, Romasz-kan z Horodenki, czem prędzej pojechał do Meranu, ożenił się z drugą porucznikówną, aby zostać szwagrem arcyksięcia, i być skoligaconym z domem Habsburgów. Syn arcyksię-cia Jana został hrabią Merania, a Romaszkanowie uciułali sobie baronostwo.

Cesarz bawił we Lwowie od 11-15. września, a szlachta galicyjska wydała wielki bal w salach Kasyna mieszczańskiego, który cesarz swą obecnością zaszczycił. Każdy z uczest-ników płacił 100. guldenów, panie były oczywiście wolne od tej taksy. Na czele Komitetu stanął stary Kazimierz hr. Krasicki i Krakowski p. Dawid Popiel, jako wiceprezes. Wymienię członków Komitetu, bo oni byli mniej więcej fine fleure galicyjskiej arys-tokracyi. A więc Władysław hr. Zaworowski, jeden z ludzi, których ogromny zabór[?] maja-tek, o którym mówił jego arendarz: gdyby Żaroszy[?] Pan nie był Zaworskim banem[?], toby po-winien być żydem. Powiedzenie to zastosowano później do Stanisława Badeniego. Dalej Komitetowym był Adam hr. Bętkowski, stary prawicowiec[?], który przez niejaki czas służył w austryackiej dyplomacyi i stąd zyskał w naszem społeczeństwie za wielkiego znawcę dworskich zwyczajów i „hiszpańskiej etykiety”. Jeśli była jaka wątpliwość co do porządku siedzenia, przy jakim bankiecie, albo tytułowania ko-goś, udawano się wprost do pana Adama. Pani Alfredowa bardzo go lubiła, a że stano-wiska[?] nie dawał zbierać guldenów brykało w kieszeni, więc miał już stały objad w namiestnikowskim stole.- O Włodzimierzu hr. Borkowskim pani wspominałem, iż Borkowscy krzywo się na niego patrzyli i uważali go za parszywą owcę, która chciała się wedrzeć do ich rodzinnego stada. Powiadali też przy każdym sposobności; że pan Włodzimierz nie jest Dunin Borkowskim i nie hrabią, ale po prostu Borkowskim, a jego przybrany tytuł hrabiowski tolerują tylko ze względu na jego zacną żonę i jej przyjaźń z panią Alfredową. Włodzimierz był finansowym adjutantem Księcia

Leona, w rozmaitych przedsiębiorstwach i stracił majątek. – O wiele sympatyczniejszym Alber-
ci hr. Potocce już wspominałem, toż samo i o Józefie hr. Drohojowskim, także Alfred Cień-
ski, Stanisław Homolacs, Karol hr. Mier mąż pięknej pani Heleny z domu Turkułłówny;
Alfred Milieski z Bibic pod Krakowem, Roman hr. Potocki znany dłużej dopiero z bardzo
oryginalnych ubrań sprowadzanych z Londynu i Joachim Rostworowski. Byli na ten zapomn-
mi podpisani, z innych ~~wspomnianym~~ miłym już o hr. Adamie Łapickim o gnuśnym wielkim
hr. Zamoyskim, który jako grecko dziedzicznego był by Koniec uchybić; o Henryku hr.
Wodzickim, rozumnym wielce i wybornym aktorze w amatorskich teatrach. Pozostaje-
mi tylko z tej listy wymienić Jana Aleksandra hr. Fredrę i Adama hr. Gołuchowskiego.
Fredro nie mógł przez długi czas wyjść na powierzchni społeczeństwa, bo ojciec żył długo
i ograniczał swą władzę po patrjarchalnemu, Ale więc miał już tytuł i syna, a jeszcze uważa-
no go za młodzika. Dopiero gdy ojciec kilka teatralnych fraszek napisał, dopiero zaczął być
indywidualnością. Dowcipny, sympatyczny, trochę uroczy, lekki, skory do hulanki, ale
porządny i honorowy we wszystkiem, co nie o wszystkich arystokratach można było powiedzieć.
Adam hr. Gołuchowski jeszcze wówczas prawie młodzieńcem, był tuczonym z natury namiestni-
kiem. Wielkie wrażenie zrobiło nad jego ~~ślubem~~ dziedzictwem, mianowicie matka która w tym już ciężko prze-
ważała chorobą. Wskutek tego musiano ~~już~~ go już wcześniej leczyć, utrzymując mechanicznie podczas
biegu. Hr. Adam może już wskutek tego ~~bardzo~~ bardzo sprowadzać, był jak to mówią zwyczajem
wyborowi za siebie i za braci gospodarować, i pod każdym względem uważano wielce zamo-
żnym i sympatycznym. Trochę dzikim, już wskutek swego wiejskiego wychowania, krótkiego wzroku
miał być bardzo uczynny w mniejszym, przyjacielskim gronie. Przez długie lata bywał
prawie codziennym gościem u pani Marchwickiej i tam przy kominku razem z panią
mi, ale humorystyczno-dobrotliwie omawiał najświeższe lwowskie ploteczki. Wysoki, szczu-
pły, blondyn, brzydki, ale tym przyjemniej nie odrażający.

Podczas pobytu cesarza we dworze dał także burmistrz miasta duży bal, a nadto mia-
sto urządziło fakelzug, którego komendantem był Rewakowicz, redaktor Kurjera Lwowskie-
go. Henryk Rewakowicz wyglądał jak bandyta, chodził albo w żupanie na wzór roku
1863, albo w zimie, w wielkim płaszczu i nosił w ręku ogromną pałkę. Zresztą pozory te
nie tworzą tymczasem, bo w piśmie swem nieraz na różne osobistości sprawiedliwie i zaci-
ekle, sprawiedliwie uderzał, nie przebierając w wyrazach i stał się postrachem ludzi, którzy ja-
kie kolwiek, osobliwie finansowe zajmowali stanowisko. Pomiędzy swymi bliższymi znajomymi
Rewakowicz uchodził za dobrego i uczynnego człowieka, majątku nie miał, bo we Lwowskim Dzien-
nikarstwie, choćby i ze sztyletem rewolwerowym, jeszcze fortuny zrobić nie było można. Rewako-
wicz bardzo był popularnym pomiędzy mieszczanami, niższymi urzędnikami, którzy w nim
widzieli swego przedstawiciela, jeszcze mniejszego. Odbijał on bardzo korzystnie od prawdziwego
już rewolwerowca dzisiejszej lwowskiej prasy, od Gniewosza, który nie mimo swej demokra-
cji podpisywał z Aleksandrem Gniewosz. Publika uważała za odpowiedniejsze zapoznać się z Obet-
sowa Gniewoszem, bo wszystkich obrzydzał. Był to typ jakim mogą tylko wydać upadające
szlacheckie społeczeństwo, trochę mały Zagłoba Sienkiewicza, ale w duszy gorszym zatruty.

Przyszedł on do domu z ze Lwowa, a galicyjscy Gniewosze się do niego przyznali, że pochodzi z jakiejś odłamu ich rodziny, w Królestwie osiadłego. Radca Namiestnictwa Edward Gniewosz, na razie bardzo się cieszył z tego kwiatka, powiedzmy raczej z tego buraka w rodzinnym ogrodzie, bo redaktor z Obezyca wyglądał jak udany burak pastewny, jeżeli go już z nieroztropności nie chcę porównać [illegible]. Nosił się w polskiem powstańczem ubraniu, ale z oszarzałym i poplamionym, od rozmaitych trunków sosów świecącym się ubraniu, nic nie było widać tylko spoconą, obrzękłą twarz, na krótkim karku, połyskującą [illegible], świdrującemi oczami. Ten bohater pióra zaczął razem wydawać [illegible] pismo „Strażnicę" i „Sztandar", rozpijał się po szynkach, a przy każdej sposobności odwoływał się na swoją szlachetczyznę, i na swoje szlacheckie słowo honoru. Musiał też honor dostać kilka razy lanie i parę takich policzków nim nie trunków (policzkach) zostawiło śladu. Później wdał się w naftowe spekulacje w Lanckim, gdzie [illegible] siedziba Gniewoszów, a gdy raz pojechał do Karlsbadu, zapisał się, niby to dla konceptu, do listy kuracyjnej, jako Aleksander de Obezowo, de Nafta Gniewosz.

Aniby raz jeszcze wrócić do pobytu cesarza w Galicyi muszę wspomnieć, że Gazeta Lwowska, jako najpoważniejszy, a z pewnością najrozumniejszy organ lwowskiego dziennikarstwa dała w sobotę [illegible] objad dla wiedeńskich dziennikarzy, których sporo przyjechało z powodu cesarskiej podróży. Łozińskiemu [illegible] zrobić menu, w kuchni mojej Gazety Lwowskiej, wcale udane; było mów nie na to, serdeczności gulgotały się w toastach, serdeczności szampana, trzęsące tak długo, jak szum [illegible] odkorkowanej butelki... Redaktor stary Presse [illegible] wiener szczególnie piękny powiedział toast, reprezentant Neue Presse, szczególniej nieprzyjazny wobec Polaków, wolał [illegible] milczeć.

Serdeczne przyjęcie cesarza w Galicyi było bardzo nie na rękę „nieprzejednanym" emigrantom polskim w Paryżu i w Szwajcaryi, którzy radzi byli zatrzeć to wrażenie wywołaniem jakiegoś skandalu, niby to patryotycznego, obchodzonego 50. letniej rocznicy powstania r. 1831, 29. listopada. Mieliśmy w Prezydium Namiestnictwa doniesienie, że Agaton Giller, wystąpił na jakiemś zgromadzeniu emigrantów w Paryżu, z projektem urządzenia na wielką skalę narodowej agitacyi w Galicyi, celem wyrwania tego straconego kraju z serwilizmu w jaki popadł; i przypomnieć mu że widzimy, że powstaniem Polaków jest — wieczna walka rewolucyjna, a naturalnie i wieczne nienawidzenie [illegible]. Filipika p. Agatona zle wcale była przyjęta na zgromadzeniu, a jakiś emigrant — także obywatel polski — nazwał go agentem prowokacyjnym Rosyi, chcącym dostarczyć nowej ludności Syberyi. Na takie dictum wyszedł p. Agaton obrażony ze zgromadzenia. — Nie dawno przed tem zgromadzeniem wydał Agaton broszurę pod tytułem „Serwilizm i serwiliści" wymierzoną przeciw Galicyi, a przedewszystkiem przeciw Stańczykom, [illegible] naiwności politycznej, która chyba już tylko u polskich emigrantów spotkać było można. — Pan Giller znalazł sobie towarzysza w Zar. Bletonie z Rapperswylu, i razem politykowali na nutę owych wojny zaczepiających [illegible] Słowackich, Zaleskich, Krasińskich i innych [illegible] poetów, którzy wiele narodowi przysmili nieszczęść. — Te pojęcia objawiają się w rozmaitych kierunkach, nawet u rozsądnych ludzi... Miałem zaraz dowody tego przykład.

W pierwszych dniach listopada (1880) doszła mię wiadomość, że Hr. Ludwik Wodzicki ma zostać gubernatorem nowo założonego Banku dla Krajów Koronnych w Wiedniu, Łańcucko... — Gdy pan Spotkałem prezesa Dietlego, który na ten fakt nie mógł dość wyrazić oburzenia.

– Nie spodziewałem się po nim, żeby tak skończył, mówi p. Hofmann.
– W czemże ta słabość? – Jako marszałek w Wydziale krajowym nie odznaczał się ani ener-gią, ani inicjatywą, ani zdolnością, gdyż musiał ze wszech myśleć o prywatnych interesach, bardzo zawikłanych. Od lat 60-ch jak mówią, byłby finansowym bankrutem, lepiej [illegible], że zajmująca wielką w Wiedniu finansową pozycję, ratująca jedna polska fortuna. Zresztą nie wierzę w to, aby na takiem stanowisku nie mógł łatwo i dla kraju zrobić wiele dobrego. Najlep-szym dowodem przyjaźni jego osobistej jest rozpoczynająca się już teraz zajadła agitacja Żydów przeciw Länderbankowi. Dr Bernard Goldmann, „wielki patryota polski" mojżeszowego wyznania, który podobno był w którymś oddziale uczestnikiem z roku 1863, a podczas polityki le-gana ukrywał się w kontorze i kasetach, zarazem wychodzące banknoty ze złotem Banku Kra-jowego galicyjskiego – zapowiedział na przyszłe zgromadzenie „Koła literackiego" wybór pre-zesa Wodzickiemu. Wiadomo między żydami chciałby powinszować Dzieduszyckiemu, ale wystąpił przeciw panu Ludwikowi w Gazecie narodowej i Dzienniku polskim. – Nie trudno o to będzie, bo kandydatów na [illegible] jeszcze u nas dosyć.

Wyjazdem Wodzickiego wysunęli się tylko kandydaci na marszałka, którzy tym razem byli dwaj. Wymieniano księcia Jerzego Czartoryskiego, posła Badeniego, Jana Sta-dnickiego i nawet Stanisława Tarnowskiego. Sam się zaś kandydował – Władysław [illegible] Badeni. Każdemu z tych kandydatów coś nie dostawało, z Czartoryskim żona zrobiła zbyt wydatnego federalistę, Badeni chory na serce, nie mógłby przewodniczyć w sejmie, Stadnicki za młody, za mało poważny. Stanisław Tarnowski, mógłby być najodpo-wiedniejszy, niestety, wszelki krótki urlop w galicyjskim sejmie, zalety bowiem zgromadzeniu takiemi stronnictwami niedorastających sił, że nawet Żyblikie-wicz i Kowalski uderzyli się w tej [illegible]. Ten reprezentant krakowskiego [illegible] naj-więcej admiracyi napisał w „Przeglądzie polskim" artykuł o podróży cesarskiej, w którym sam siebie prześcignął. U pani Alfredowej Potockiej powiedział, że nosi dziadem z takim uczuciem jak wiejska dziewczyna wianuszek, inne kobiety, ale tylko z ary-stokracji, porównywał wszystkie w Olimpie, a dobrze, że ich za dużo nie było, gdyż lepiej do porównania byłoby mu zabrakło. – Pani Tarnowska powtarza zawsze, że jej mąż „écrit comme un Dieu", widać, że mu to pochlebstwo zaszkodziło.

Szóstego grudnia nadszedł telegram z Wiednia, że Ziemiałkowski został baronem. „Niech żyje demokratyczny zasad" wołano. Znajomi widzieli wszelki „dobre", że Florek jak w wielu innych tak i w tej sprawie i że to baronostwo – to pożycie pani Ziemiałkowskiej. – O obiecanem powołaniu mnie do Wiednia, ani słowa nie wspomniał; myśleliśmy z żoną, że cała rzecz w wodę wpadła. Nie widzieliśmy jak się na zimę urządzić; czy wszyscy w Wiedniu mieszkamy, czy we dworze naszym [illegible] powiedzieć. Stefa nie czuła sympatyi do Ziemiałkowskiego, więc się nie mało w niej sprzeciwiała, nieprawowicie przeszkadzała nam w naszych literackich pracach. Ja wtedy miałem pisać biografię księcia Leona Sapiehy, ~~[illegible]~~ Stefa, od roku zdrowa, dużo pisała. Talent jej bardzo się roz-winął, nie dała nic do druku, o czem sobie nie powiedziała „lepiej nie potrafię:

Ni[illegible]
artu[illegible]
pist[illegible]
terat[illegible]
Dla z[illegible]
czyta[illegible]
gi [illegible]
ja [illegible]
pow[illegible]
Nu [illegible]
mie[illegible]
ni [illegible]
ni [illegible]
[illegible]
Sci[illegible]
jęca[illegible]
cy [illegible]
mo[illegible]
va[illegible]
ca[illegible]
no S[illegible]
va[illegible]
mia[illegible]
Ktora[illegible]
czyto[illegible]
[illegible]
mia [illegible]
rozu[illegible]
[illegible]
życi[illegible]
Kło[illegible]
i za[illegible]
nra[illegible]
dwol[illegible]

Nim jakąś nowelkę ~~[illegible]~~ posłała do Gazet, przepisywała i darła ją po kilka razy, całe ustępy zmieniała, jeśliby jej tylko lepsza myśl przyszła. Miała ona, ~~[illegible]~~ bardzo piękne, choć nie [illegible] pojęcie o talencie pisarskim, mówiła zawsze, że literat nie powinien nic lekkomyślnie drukować, ale sumiennie to tylko ~~do~~ przeznaczać dla publiczności, co uważa za nader zupełnie skończone. Umiała się też nadzwyczaj. Sama czytała ciągle z wielką dla siebie korzyścią, miała bowiem cierpliwość, aby całe książki robić notatki. – Mojej literackiej czynności miała ona dużo do zarzucenia, bo ja pisałem najczęściej prędko, na kolanie, tembardziej, że wydatki, jak takie i z powodu jej zdrowia były duże, a pracą musiałem nie pomagać, aby z którem rokiem nie było deficytu. – Ona brała życie bardzo pięknie, idealnie, ja musiałem niestety rachować, aby w domu nigdy nie zabrakło grosza, nigdy bowiem długów nie robiłem i robić nie chciałem, gdybym był raz poszedł tą drogą, byłbym był się zagrzązł. –

Jakoś w połowie grudnia rumor się zrobił w prezydium namiestnictwa, niespodziewanie nadszedł podpisany przez ministra prezydenta hr. Taaffego dekret mianujący mnie wicesekretarzem w prezydium Rady ministrów w Wiedniu i przydzielający mnie do biura Ziemiałkowskiego. – Bezwątpienia pomiędzy kolegami zdumienie, nie [illegible] Zaleski i Loebl z razu trochę krzywo tę wiadomość przyjęli, ponieważ stało się to bez ich wiedzy, a Zaleski może i z tego powodu nie był z tej zmiany zadowolony, ponieważ Ziemiałkowski ~~usunął Rożę~~ sekretarza Rożę, wystarał się, aby go przeniesiono do ministerstwa spraw wewnętrznych, a Zaleski Rożę protegował i przez niego miał [illegible] Ziemiałkowskiego [illegible] z Wiednia wiadomości. – Roży jednak nie lubił Ziemiałkowski, nie bardzo mu ufał, ~~[illegible]~~ starał się go więc pozbyć, a że ulo-kowanie go w innym ministerstwie dłuższego wymagało czasu, więc z tąd się trójmi-nęło, że ~~[illegible]~~ tyle miesięcy na wykonanie obietnicy Ziemiałkowskiego czekać musiałem.

Meble, z wyjątkiem fortepianu, które sprzedaliśmy w domu, zabraliśmy do Wiednia, ja pojechałem naprzód ~~[illegible]~~, a Stefa została u mojej siostry, u [illegible], także długo, mieszkania nie szukałem.

Dzień wyjazdu ze Lwowa był dla mnie jednym z najprzyjemniejszych dni w życiu, Lwowa nie lubiłem, w namiestnictwie nie widziałem żadnych dla siebie widoków, służyłem tam długo w niedoli, aby po 18tu latach ~~[illegible]~~ być tylko koncypistą, i zależeć od kaprysów takich pp. Orlickich. – Przeniesienie moje do ministerstwa uważałem za formalne wybawienie mnie z niewoli, i powtarzałem sobie z zadowoleniem, przecież – udało się...

B J C

W Metarce, tuż koło ~~Dukli~~ Żmigroda mieszkał p. Seweryn Chłędowski, starej daty szlachcic, gospodarz zamożny, ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~, rządny, zawsze czynny, najczęściej na wózku pomiędzy Duklą a [illegible]em, majątkiem w Węgrzech, który trzymał w dzierżawie.

Pan Seweryn co świt ~~[illegible]~~ wstawał do gospodarstwa, śpiewał chodząc pomiędzy wozy i konie potężnym głosem: „Kto się w opiekę..." a ~~[illegible]~~ ~~między~~ zwrotki nabożnej pieśni wyplatał wykrzyknikami:

— Zaprzęgaj gniadego! — spiesz się hultaju! —

lub nie tracąc czasu bystro machał po twarzy, pewny swej ręki, jak i słowy, że się z najstarszym mierzyć potrafi wszystkiem.

Krzątać się jednak było potrzeba, aby trzech synów i dwie córki wychować, dać im wykształcenie — pan Seweryn bowiem cenił w rozum i naukę, co jeszcze wówczas nie wszędzie na podgórzu karpackiem było artykułem wiary.]

Wyjątkiem jakimś to widzieli była Dukla, to też pałac tamtejszy nie mało wpłynął na szlachecki dwór w Metarce. We dworze nie było ~~[illegible]~~ klawikordu, więc ~~to też~~ panny prawie codzień chodziły przez kładkę ~~by~~ ~~ta~~ na Jasiołce, aby się ćwiczyć na klawikordzie państwa Stadnickich, a chłopcy jeśli tylko byli w domu a nie w szkołach pożyczali książki z biblioteki Kuropatnickiego, która wtedy już była przeniesiona do Dukli.

Wzorem też uczonego na owe czasy człowieka jakim był p. Antoni Stadnicki był bardzo zbawiennym dla młodych sąsiadów i ~~[illegible]~~ stał się stanowczym w rozwinięciu ich ~~we wszy~~ literackiej ~~ich~~ skłonności. ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~.

Z Duklańskiej biblioteki wyniósł najstarszy z nich Adam pierwsze swoje literackie pismo: Spis dzieł

, wieje z niego ten sam duch, który ożywiał prace wszystkich bibliofilów, o którychśmy poprzednio mówili. Dla młodych jednak umysłów zbieranie książek, ratowanie szczątek przeszłości nie było dostatecznem, mogło tylko chwilowem być naśladownictwem. Adam też, a za nim Walenty zaczęli też próbować swych sił w samoistnych artykułach. Były te były w Du-

Przez jakiś ~~czas mieszkali pp~~ w ~~Metarce~~ w ~~[illegible]~~ Stosunki sąsiedzkie ożywiły [illegible] ze pp. Stadnickimi w Dukli a potem tamtejszy [illegible] na całe [illegible]

Kto czytane ~~z do~~ poprawiane, stanowiły nie małą przedmiot literackich nadziei. X

Stary pan Lewesyn cieszył się w duszy z sukcesów swoich synów, ale się z pewnikiem o literatach wyrażał, gdyż praktyczny jego umysł nie wielkie dla nich w literaturze odkrywał nadzieje. - Pan Antoni Stadnicki jednak brał młodych literatów w obronę...

Było już zatem zapas artykułów, ale nie było pisma, w którychby drukowane być mogły.

Dzierzkowski wprawdzie krzątał się we Lwowie za założeniem literackiego ~~pi~~ dziennika, wystarał się już nawet w roku 1815. o rządowe pozwolenie, ale redaktora znaleźć nie było można. Pisał do Warszawy, sądził nawet, że się jakiś Pijar znajdzie, który zadaniu odpowiedzieć potrafi - ale tam także wielki był brak ludzi. Stanisław Potocki T mówił mu na przykład, że w Warszawie nie mają człowieka, któryby był zdolnym uczyć dobrze języka łacińskiego, „a tylko można się było tego spodziewać - mówi Dzierzkowski - na ziemi, na której się urodzili: Tomicki, Trzecieski, Janicki, Kromer i Modrzewski!"

T namówił ~~ks~~ księgarz Wild na wydawnictwo

T najcelniejszych oświecenia

Z pierwszym stycznia roku 1816. Dziennik Lwowski z pewnością miał zacząć wychodzić, ale z końcem listopada jeszcze nie miano redaktora...

- Niech twój młody literat /: Adam Chłędowski :/ - pisze Dzierzkowski do P. Antoniego Stadnickiego wreszcie składa materyały i przysyła do Lwowa.

Młody literat sam jednak przyjechał do stolicy, dał się z dobrej strony poznać wszechwiednemu adwokatowi, zadziwił go swoją znajomością bibliografii, które wtedy najbardziej p- pracały i zainstalował się jako współpracownik przyszłego pisma.

~~Obi~~ Naznaczony jednak termin na wyjście „Pamiętnika Lwowskiego", gdyż ~~ta~~ taki w końcu ustanowiono tytuł - zbliżał się, subskrybentów było już 300. biedny Dzierzkowski nie widział co począć!

„Podobnego na redaktora człowieka - pisał wtedy do Stadnickiego - w całym Lwowie wynaleźć nie można, są wprawdzie ludzie

zdatny, ale w takiej klasie, która się temu powołaniu oddać nie może" — a co współpracowników trudno, „bo „język uczony nie jest u nas językiem narodowym, a zatem od profesorów i ludzi wyłącznie naukom poświęconych żadnej pomocy spodziewać się nie można."

Dziekoński dotrzymał wszakże słowa, w pierwszych dniach roku 1816. wydał pierwszy numer Pamiętnika z pomocą „młodego literata". Numer był nie świetny, pełno w nim przedruków z pism wileńskich, tłómaczeń niemieckich artykułów — medycznych, rolniczych... ~~pod tym samym~~

Snać jednak literacki świat lwowski albo był dość zadowolony z tej publikacyi, albo zwątpił o możności wydania czegoś lepszego, gdyż „młody literat" został redaktorem, głównym współpracownikiem Bruno Kiciński.

Czwartek wszakże był zwołany: Adam Chłędowski pisał najwięcej artykułów bibliograficznej, historycznej i literackiej treści, Kiciński dokonał wiele tłómaczeń Owidyusza, Jan. Nep. Kamiński ~~na~~ wyborne tłómaczenia z Szyllera, Stanisław Jaszowski pierwsze swe poetyczne próby. Młoda literatura zaczęła się grupować około Pamiętnika, młodszy Chłędowski, Walenty przyłączył się także do brata. F

~~Bracia tam jednak powiewu nowego ducha, widzieli, że z nich nowe wytworzy się społeczeństwo. Punktem wyjścia jest świetna niemiecka literatura, Szyller, Göthe, Jan Paweł Richter w poezyi, Kant, Fichte w filozofii, po francusku nie wiele czytają, że szkół wynieśli wskroś niemieckie wykształcenie. Chęci dla ojczystej literatury mają jak najlepsze ale brak im łączności z polską przeszłością, nie opierają się ani na pisarzach Stanisławowskich, ani dalej nie idą w przeszłość, olśnieni ogromną wyższością występujących niemieckich geniuszów tak się wikłają w tych wspaniałych sztukach, że nie wiedzą jak z nich wyjść jak bez nich chodzić na narodowem polu.~~

F Za inicyatywą braci Chłędowskich powstaje „Towarzystwo w celu ćwiczenia się w polskiej literaturze". Statuty nie zatwierdzone naturalnie przez rząd, obowiązujące tylko ~~wiążące statuty~~ najpocześniej zdradzają zamiary, ale z samego już tytułu widać jak skromne były wiadomości założycieli o literaturze polskiej ~~wiadomości~~ i jak skromne na razie wymagania. — Młodzież ta czuła, że ma za mało ~~wiadomości~~, nie ma u niej Mickiewicza pomiędzy sobą! Chęci dla ojczystej literatury jak najlepsze ale wszelki brak łączności z polską przeszłością, nie opiera się ona ani na pisarzach Stanisławowskich ani dalej nie idzie w przeszłość. ¿ Cóż zatem bierze za punkt wyjścia? —

Punktem wyjścia ~~zatem~~ jest zatem świetna ówczesna niemiecka literatura: Szyller, Göthe Jan Paweł Richter w poezyi — Kant, Fichte w filozofii. Po francusku nie wiele czytają, ze szkół wynieśli wskroś niemieckie wykształcenie.

— Wiedeń nasyła ~~tam~~ literackie nowości, z Warszawą coraz to trudniejsze stosunki, polskich bibliotek w kraju nie wiele, zbiory Ossolińskiego jeszcze w Wiedniu — to wszystko pociąga za sobą, że tym ludziom łatwiej w kraju zapoznać się z Niemcami aniżeli z polską przeszłością.

F Rozwój swego umysłu, który jest zarazem obrazem w umysłowych dziejach innej ówczesnej młodzieży skreślił pięknie w swym wierszu „Wspomnienia młodości." ~~Łaziła~~ Wspomina on tam zrazu o

Duch nasz, naówczas wyższym umiejętny lotem,
Snadniej ześlizgującego zgłębiał Mendelsohna.
Kiedy też, wszystkim razem przedmiotem
Przemawiał do rozumu przez usta Fedona.

I przyjacielowi jako młodzieńcze marzenia, spacery z Kasztelka po Wietrzańskiej górze, rozmyślania „nad ludźmi i ich przeznaczeniem"

Albo też, chodząc po kwiecistej łące
Stworne, do miejsca i z zmianami zgodne
Stodząc, tonąc, czytaliśmy świata.
Tej naówczas w Saturna przenosząc się czasy
W niewinnej Arkadyi doliny swobodne,
Oddychając tkliwością słodkiego Gesnera
W głuche ponosi lasy
Gdzie potoczysz pod cieniste drzewa
Słuchasz, jak Fillida z ~~miłości~~ tęsknoty umiera,
Jak czuły Dafnis swojej Chloi śpiewa.
Za raz więcej lubiłem bujnego Szyllera
Mniej mnie twórczy czule Tedrystyj,
On surowy w swoim locie, w pięknościach obfity
Mocą własnego natchnienia,
Jaki chciał w duszy mojej obudzał ~~natchnienia~~ uniesienia
Po nim znów różnoptodny zajmował mnie Goethe
Smakowny Wieland, Lessing prawidłowy
Stodzoną wiersza, pięknością mowy,
Ale mimo szczególna każdego zalety,
Który lub umysł dowcipnie zabawiał,
Lub tkliwym głosem do serca przemawiał,
W pierwszym ceniłem zawsze pierwszego Poetę.

Młodzieńcy nie znali dotąd ~~po~~ polskiej literatury, myśleli po niemiecku, wyniosłszy ze szkół obce uczuciu wykształcenie – żali się też na to Walenty:

Lecz dotąd, szkolnym prowadzeni torem,
Przypaliśmy po obcej Teutonów krainie;
Ich licznie świata jedynie
Było nam całą nauka i wzorem.

I ale nie bez pewnego melancholicznego zakroju

Bez zachęty, bez przykładów,
Nie znaliśmy ni dziejów, ni mowy naddziadów.
W tem losy, nam obudwom zarówno życzliwe,
Na wstręt, bo ojczysta, zawiodły nas niwy
Jakaż natenczas radość przejęła umysły,
Gdyśmy z nad brzegów Renu i Dunaju,
Przeniósłszy zapał do własnego kraju,
Znaleźli na brzegach Wisły
Równie, lub więcej zajmujące kwiaty.
I świata smakowite i pięknie bogaty.

Adam Chłędowski, który jako redaktor pierwszego polskiego, ~~w~~ literackiego we Lwowie pisma był ~~zajęty~~ wskazanym przewodnikiem tego ruchu, nie wytrwał na stanowisku, po trzech latach wyjechał do Warszawy zdawszy redakcyę bratu, aby tam bardzo czynny wziąść udział w dziennikarskich czynnościach.

Od roku więc 1819. obejmuje Walenty Chłędowski redakcyę Pamiętnika zawsze bardzo starannie redagowanym acz też dawniej, ale po roku upada – naturalnie dla braku współpracowników i prenumeratorów. Redaktor sądzi, że nowym tytułem pobudzi publiczność do współdziałania, zakłada „Pszczółkę polską", ale i ta kona w ciągu roku 1820.

Inicyatywa jednak dana wydawnictwem Pamiętnika i Towarzystwem literackiem nie pozostaje bezowocną, w roku 1817 w rok po wspaniałym się ~~Pam~~ Pamiętnika zaczynają wychodzić Rozmaitości, ~~p~~ w pół roku po skonie Pszczółki – Pamiętnik galicyjski.

Mimo upadku Pamiętnika lwowskiego i Pszczółki ~~główni~~ ~~redaktorowie~~ ~~p~~ redaktor ich Walenty Ch. i ~~główny~~ współpracownik Jan. Nep. Kamiński są odtąd przez dłuższy przeciąg czasu – aż po rok 1831 – głównymi przedstawicielami tego ruchu, który wziął swój początek w skromnem Towarzystwie literackiem i stanowczy wywarł wpływ na kierunek umysłów w Galicyi.

Dwom tym ludziom, ścisła połączonych przyjaźnią, jedną i tą samą ożywionych myślą bliżej się przypatrzyć musimy.

Obejmując redakcyę Pamiętnika miał Walenty Ch. (ur. 1797) zaledwie lat 22. – studya odbył jak na owe czasy dość gruntowne, dobrze pisał po polsku, co było ~~wtedy~~ nie małą nadkością, miał wielką łatwość pisania, umysł głębszy, dostępny dla trudnych zadań niemieckiej spekulatywnej filozofii. – Bardzo przystojny, żywy, dowcipny umiał się podobać i zyskiwać przyjaciół. Po takich zatem marzeniach tak ciężki literackie ~~W dodatku dwa lata dość się marny~~ niepowodzenia, jak upadek dwóch pism, po którym się ~~dość się spodziewa, osobliwie jeśli się jest z zatem~~ łożył jakieś nie obiecywało owoców – ciężko Walentego ~~dosięga i powołania swego jako redaktora – zaprzestania~~ dotknęły ~~materyi społeczeństwa. Walenty spodziewał się~~ ~~że za dużo nie obliczył się ze zdobyciem~~ [illegible] ~~go społeczeństwa w którym miał działać, jeżeli~~ ~~wszystko więc na tem polu zawodzi, upadek Pamiętnika a następnie Pszczółki bardzo go dotknęły~~, na chwilę zwątpił żeby się co zdziałać dało, a zawód ten był przykrzejszy, że ojciec prz

Gdzieśmy na polach bojowych, rozległych i ważnych
Zamiast zaciekłych, nadętych formalistów,
Zamiast czysto rozumnych, Kantów i Kancistów,
Znajdowali Śniadeckich głębokich a jasnych.
Gdzieśmy zamiast trzech Gesnerów
Stu Polskich Simonidesów i [illegible] mieli
A tysiąc Hagedornów, Gellertów (?) i Rabnerów
Uzów i Kleistów, Gleimów i Bürgerów
W jednym Krasickim ujrzeli!..

Rozrzewniająca jest ~~[illegible]~~ radość tych młodzieży, gdy ojczyste odkryli skarby, które w szkołach starannie przed nimi zakrywano, nie mogę ~~sobie~~ przeto pozwolić na sobie, aby jeszcze dalszego nie przytoczyć ustępu:

Jak górnik chciwy zdobyczy
W podziemnych norach szukając klejnotów
Kiedy obfite kopalnie odkryje
Już naprzód zyski swe liczy,
Na wszystkie znoje i trudy jest gotów,
I całą w bujnych swych nadziejach żyje;
Tak nam ta piękna niwa, gdzie nasi ojcowie
Nieuwiędłym laurem zwieńczeni jaśnieją,
Ożywieniem naszych pociech i nadzieją,
Była nową zachętą do trudów i pracy.
Lecz te trudy, te prace niczem dla nas były,
Z świeżym dla nich przedmiotem świeże rosły siły.
Kiedy Niemcewicz na strojnym bardonie,
Rycerskie czyny Zawiszów opiewał,
Lub po żałosnym Żółkiewskiego zgonie
Łzami tkliwości lutnię swoją zlewał,
Kiedy nasz Naruszewicz dzieje przodków głosił,
I swem piórem w odległe wieki nas przenosił;
Kiedy ów, co wraz umiał nauczać i bawić,
Gnuśniejących mnichów dowcipnie wyszydzał,
Lub wady i przywary rodaków zawstydzał,
Lub, ażeby pamiątkę potomkom zostawić,
W Podstolim kreślił staropolskie cnoty —
Rósł w sercu zapał, nie brakło ochoty.
Chwila za chwilą uciekła,
I nie żal przyszło czoło nikiedy wznosić,
Kiedyśmy tylko mogli, czytając ich dzieła,
~~Jak~~ Ich duchem się zachwycać, ich nauką żywić;
I tą pochlebną cieszyć się nadzieją:
Iż będziem mogli, choć raz w późnej dobie,
Gdy ich zasiewu ziarna w nas dojrzeją,
Kwiatek wdzięczności złożyć na ich grobie.

ciony był literackiemi ~~zawodami~~ marzenie i wolał był, aby syn pomagał mu gospodarować we Wietrznem lub Klewaju, aniżeli ~~oddawał~~ oddał się niewdzięcznym utarczkom z [illegible].

Z upragnieniem też posłuchał wezwania brata, aby przybył do Warszawy i tam szukał zajęcia. Komisja wyznań i oświaty była odpowiednim dlań polem, tu tam ~~też~~ wstąpił jako adjunkt honorowy i pracował blisko dwa lata, w ~~roku~~ zimie bowiem roku 1822 wyjechał do domu za dwumiesięcznym urlopem i ~~[illegible]~~ — zakochał się. Ideałem była panna Tchórznicka z Żelechowa w Łukowskiem.

Miłość ta zaprowadziła młodych państwo już w maju roku 1823 do ołtarza, przy którym miłościwy żelechowski proboszcz „dręczył ich przeszło pół godziny rozprawą o obowiązkach małżeńskich; Siostra jednak pani młodej, pani Zalewska (?), nadobnych cnót osoba stateczna, się przypomnieć wzruszeniami zatrzeć trudną elokwencję księdza proboszcza, a więc po wyjściu z kościoła, ośmnastym wyrazem: Dziewczęta z kwiatami, wystrojone z muzyką, a przed gankiem cała gromada stojąca nowożeńcom powinszowawszy, ofiarowała korowaj, młode byczki, gołębie, barany, a wszystko w kwiaty przybrane, potem jeden z wieśniaków imieniem gromady przemówił."

Państwo młodzi zamieszkali w Żelechowie, literat ~~[illegible]~~ musiał się wziąć do gospodarstwa, które nie pozwalało ~~mu~~ wracać do ~~swego~~ urzędu w Warszawie, w miodowych miesiącach zapomniał nawet o Klasykach, o „[illegible]", którym wraz z bratem zaciętą walkę ślubował — zapomniał o naszych literackich potyczkach — słowem był na chwilę szczęśliwym.

Chwila ta nie trwała nawet roku, bo młoda małżonka w kilka miesięcy po ślubie umarła.

Słusznie mógł się wtedy Walenty zapytać:
Czem jest szczęście ludzkie?
„~~Ozdoba~~ bożkowie, ~~czyż jest [illegible]~~ troje?"
i samemu sobie odpowiedzieć:

Nietrwała, niepojęta,
Niewiadomo jak powsta,
Zagadkowo urodzona,
Pozyskana, utracona,
Rzewna, płochliwa, przelotna
Jakby na skrzydłach motyla.

I już nigdy niepowrotna —
Jedna chwila!

Po śmierci żony zamieszkał Chłędowski we Wietrznem, wiosce pod Duklą, którą po ojcu odziedziczył, często bawił także we Lwowie i dużo podróżował po Niemczech i Szwajcaryi. — Q. Nastąpiły czasy jego poważnych literackich studjów i skutecznej literackiej czynności; przedewszystkiem oddawał się niemieckiej filozofii: sprowadzał wszystkie świeżo wychodzące tego przedmiotu tyczące się książki, robił mnóstwo wypisów, notatek, spisywał myśli, zamierzał widocznie wydać większe filozoficzne dzieło. Bywał stale w ciągłych stosunkach z ludźmi zajmującymi się naówczas piśmiennictwem, z Bielowskim, ~~Józefem~~ ~~Borkowskim~~ Józefem Beigertem, Zaleskim, posyłał wiersze i artykuły do Rozmaitości Lwowskich.

Z Wietrzna jednak do Lwowa było wtedy do pięciu dni drogi, sąsiedztwa nie bardzo się jeszcze zajmowały literaturą, nie zawsze przeto zaspakajała ducha ta podkarpacka sielanka.

To też siedząc w zimowy wieczór przy kominie utrzymujący ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ zasypany śniegiem literat, że [illegible] wprawdzie swoich ojców trzymać się niemożna.

A stokroć jeszcze wszystko to bywało,
Kiedy Bogowie wespół żyli z nami,
Pszeniczka, żytko, samo się zasiało
Pokorny Satyr chodził z baranami.

Świat ci w zachwytnym jawił się uroku,
Tytyr był druchem a Dafne kochanka,
Róg obfitości wisiał ci u boku
I całe życie było ci sielanka..

Teraz jednak, gdy znikłe arkadyjskie czasy, śpiewa już na „spokojnej i wesołej wsi”

Gniewacz się ziemi, po stokroć ją oraj
Ni w dzień ni w nocy nie cieszysz się spokojem,
Rób znowu dzisiaj, coś już robił wczoraj
Rozrządzaj twoich niewolników znojem.

A gdyś już nareszcie wszystkie zwyciężył przeszkody i wszelkie minął obawy:

Radbyś wypocząć po trudach i znoju,
Lub w wyższym ducha pobujać zakresie,
Darmo — rozmawiaj z ekonomem o gnoju
Z wójtem o sprawach, a z leśnym o lesie.

Chciałbyś w spokoju schronić się w ustroniu
I zrzucić z siebie powołania pęta?...
Darmo, masz znowu gości w Landdragonii:
Niesie Strafboty i Stempelpatenta.

Zresztą chorobę i niemiły turkot jednokon-
nego wózka Landsdragone nie dał się ściągnąć
na podwórzu:

Czemuż zabijesz olbrzymie wieczory?
Gdzie dworskiej poślizgniesz się o godzinie -
Zróbże przechadzkę z gumna do obory
A zresztą drzymaj z fajką przy kominie.

Zjadą się wreszcie do ciebie sąsiady,
Pożal się Boże, jakie tam narady!
Ten pyta, jakie będziesz karmić woły,
Ów, czy masz pełne w tym roku stodoły?

Tamten dowcipem sadogórskim błyska,
Ów razy bydła swego tylko chwali,
Ten tyle wózki z kartofli wyciska,
Ów się na ceny [illegible] żali.

Chcesz z nich którego, rozmową obrotem,
Wyciągnąć, zająć, wziąwszy ster przedmiotem,
Mówić ze sobą - on ci się zapyta:
Po czemu zboże, wełna, okowita?

Miejsce tu do nich jaką chcesz przemowy,
Gdy żaden w sobie skry bożej nie czuje!
Każdy w swej wiosce widzi tylko krowę,
Która go hojnie mlekiem opatruje.

Wszystkie te perswazyj wylewa poeta-filo-
zof do swego przyjaciela p. Pawła Rodako-
wskiego we Dworze, a narzekawszy się na wieś
i sąsiadów, złości się i pyta:

Albożto człowiek dla tego się rodził,
Aby pasł trzodę i za pługiem chodził?
Czy z pełnej skrzyni dukatami świecił,
Zwierzęcość swoją opatrzył, nasycił?

A um? - Ten ducha nieśmiertelny czątek,
ludzkiej istoty podstawa jedyna?
A myśl? żywota osnowa i wątek,
Heglowskiej nauki treść i podwalina?...

Do onej gwiazdy, co nam z dala świeci,
Chociażby człowiek wiedział, że nie zleci,
Wzbijać się wzrokiem i skrzydły orlemi,
Grzeczniej to piękniej, jak chodzić po ziemi.

Teraz że Pawle, po badaniu ścisłem,
- Gdy widzisz jaka chętka we mnie wzrasta -
Feruj mi wyrok życzliwym umysłem:
„Czy zostać na wsi? - czy wrócić do miasta?"

Szanowny mecenas rozstrzygnął - za miastem,
za wsią - zdecydowała kobieta.

W połowie Wietrzna mieszkała piękna 19.
siadka

pani M., rozumna, tkliwa, rozumiejąca jak wielkie skołatane serce poety-filozofa, ona też potrafiła wywołać w nim prawdziwą miłość, miłość wielką, potężną, o niej to pisze pan Walenty:

Tu w głębi, tu w sercu, ukrycie, tajemnie,
Rozżarzył się ogień ócz twoich promieniem:
Jak w chatkę spokojną uderzył grom we mnie,
I cały dobytek ogarnął płomieniem —
Tu w głębi, tu w sercu, ukrycie, tajemnie,
I burza i spokój i rozkosz z cierpieniem,
Tu tęskna dla ulgi, jak perła się mieści,
Tu błyszczy diament najsłodszej boleści. —
Lecz moja to miłość i grób mój i życie,
Tu w głębi, tu w sercu, tajemnie, ukrycie.

Niestety! pani M. była mężatką i do tego mąż był — nie złym wprawdzie, ale najzwyczajniejszym człowiekiem. Sąsiedzkie stosunki były bardzo przyjazne — ale to zakochanym nie wystarczało, radzi byli ciągle być ze sobą, a trudno było skrócić dzielące mile drogi. — Stosunek kochających pięknie i rzewnie odmalowany jest w wierszyku Walentego: „Nasze przeznaczenie!

Jak dwie płaczące brzozy stoimy nad brzegiem —
Pod nami szumi rzeka niecofnionym biegiem,
Nieprzebyta, niezgłębiona;
Choć brzóz gałązki skłonność nachyli wzajemna,
Choć w tęsknocie ku sobie wyciągną ramiona —
Daremny pociąg i tęsknota daremna.

Pociesz się o droga! wszakże i nad nami —
— Te nam przynajmniej zostaną nadzieje —
Przeciągnie kiedyś burza z piorunami,
Wyrwie z korzeniem, na bystry nurt zwieje,
A gdy zatopi, pochłonie —
Choć wtenczas jedne połączą nas tonie! —

Miłość ta panuje nad drugą połową krótkiego życia Walentego, każdy wiersz, który się wtedy wyrywa z jego piersi do niej się odnosi, posłańce pomiędzy Wiktorowem a wsią gdzie pani X. mieszkała, biegają codziennie, wożą krótkie wierszyki, kosze pięknych jabłek z wiktorowskiego ogrodu lub wcześnie wyhodowane szparagi; wożą lotne zwitki pisane na karteczkach o dziwacznych kształtach, najrozmaitsze wyrazy tęskniących serc. — W ciągu tym stosunku przynajmniej tyle dobrego, że mąż zdaje się opłakał już serce swej żony i cicho sobie powtarza: — cóż robić?

Czas uciera ten stosunek, pani M. zowie się „moją Kumeczką". Do Kumeczki pisze się

wiersze z wiedzą męża, Kumeczka jeździ do Wietrzna w odwiedziny, w dzień jej imienin improwizuje się taki wiersz:

Kumeczka też jest pełna poświęcenia kobieta: pielęgnuje chorego Walentego, nocami przy nim czuwa, na jej rękach on umiera. Bóg jej winy przebaczy – bo szczerze kochała.

Historya duszy i serca Walentego wybornie się maluje w jego poezyach: w latach młodzieńczych tłómaczy Szyllera, później dużo filozofuje, poezye z owych czasów pełne są głębokich myśli a przytem zdrowego, jędrnego humoru – później już tylko razem z Kumeczką wychodzi na Parnas i nie powiem, aby nastrój duszy na tem tracił, owszem do wielu go ona pięknych rzeczy natchnęła.

Za owych czasów kwitła poezya „albumowa", podawała ona sposobność do wygłoszenia nie jednej pięknej myśli – a nie chcąc pozostawać za innymi w tych frazesów trzeba było być dowcipnym a zarazem oryginalnym. Wiersze więc albumowe, listy – jakiemi to już przy innej podnieśli sposobności – wiersze okolicznościowe nie małą i niepośledniejszą stanowią część ówczesnej poezyi. – Czasem się zrobiło przyjemność uwielbionemu sąsiadowi dowcipnym listem, czasem się kogoś ukarało. Dostało się w ten sposób, jednemu z sąsiadów panu Wincentemu:

Wincenty! Tobie dała dobrotliwość Bogów
Bogatą żonę! – świat ci jej zazdrości!
Z nią ci się dostał *róg obfitości*
Lecz zarazem – *obfitość rogów.*

Gdy około roku 1830. ruch literacki zdawał się trochę ożywiać w Galicyi, gdy piszących coraz więcej przybywało i można się było spodziewać, że pismo literackie nie będzie potrzebowało tłómaczyć z niemieckiego, aby zapełnić swe karty, wtedy Chłędowski raz jeszcze postanowił spróbować, czy jego usiłowania około założenia takiego pisma się nie udadzą. Zapewnił sobie współpracownictwo Aleksandra hr. Fredry, Jana hr. Kamieńskiego, Bielowskiego, i wielu innych, ułożył się z księgarzem Wildem – i zapowiedział w roku 1829. wydawnictwo „Haliczanina". Niezrażony doświadczeniem, nie zapowiadał już periodycznego pisma, ale obiecał na razie publiczności cztery tomy pisma zbiorowego, spodziewając się, że takowe będzie się mogło w stałe zamienić pismo. – Haliczanin wyszedł, nadzwyczaj był

sympatycznie przyjęty, ale rok 1831. przerwał wydawnictwo — skończyło się na dwóch wprawdzie tomach, ale nie pospolitej wartości jak na owe czasy.

Sam redaktor skreślił tam obraz nowożytnej filozofii niemieckiej w sposób jasny, tą jędrną i gładką mową, która cechowała wszystkie jego pisma.F

Po wypadkach roku 1831. nie podjął już Chlebowski redaktorskiej czynności, ponieważ wczas się stało — ~~za~~ chorował bowiem bardzo ciężko, jeździł po różnorodnych wodach, i przebył w Wiedniu nadzwyczaj ciężką operacyę: wyjęto mu bowiem całą wierzchnią część czaszki i wstawiono natomiast czaszkę metalową. Chodził też później zawsze w aksamitnej czapeczce zakrywając w ten sposób swoje kalectwo. Jedną z ostatnich jego prac był szkic psychologiczno-humorystyczny pod tytułem „Osioł" zamieszczony w znanym Albumie dla pogorzelców miasta Rzeszowa.

Znać tam już człowieka znękanego i odo złobity humor, który czasem ma tyle smutnego uroku.

Walenty umarł w r. 1846, w wigilię Bożego narodzenia w 49. roku życia.

F W rozprawie tej, ~~[illegible]~~ „O filozofii, jej potrzebie i kierunkach", tudzież w drugiej rozprawie „O samotności i jej wpływie na umysł i serce" stara się o rozszerzenie w przystępny sposób ~~z~~ głównych zasad niemieckiej filozofii zwłaszcza systemu Kanta i jego szkoły. W dwóch innych rozprawach, a mianowicie: „Arystoteles, sędzia romantyczności" i „O poezyi i poetach" walczy jeszcze autor z resztkami klasycyzmu, stara mu się usunąć historyczne i filozoficzne podstawy, dowodząc pomiędzy innemi jak klasycy źle wykładają estetyczne pojęcia Arystotelesa, Arystoteles bowiem sam — był romantykiem.

[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]

Innego rodzaju człowiekiem był Jan Nepomucen Kamiński. Żywy, wartki, entuzjasta, poeta, ale nie ów sławiański typ poety o jasnych włosach i rękach opadających przed każdym wysiłkiem - owszem, skory do działania, wytrwały, przywykły do pracy. W siedmdziesiątym roku życia pracował jeszcze nad wykształceniem młodych artystów, a jeśli sobie kogo upodobał, jeśli widział w nim iskrę talentu, to tyle sobie zadawał pracy, tyle razy kazał sobie powtarzać, tak gestykulować, tak głos podnosić i zniżać, tak tłumaczył myśl autora, tyle kwestyj ważnych sobie objaśnić - że chórzystkę ~~[illegible]~~ w kilka dni ~~[illegible]~~ przemienił w królowę a ~~[illegible]~~ aktora, który prócz gwałtowności charakteru żadnych innych nie miał zasobów - ~~[illegible]~~ we Franciszka Moora.

Gdy na świeży grób znakomitego męża rzucono kilka ~~słów~~ wierszy uznania, wystąpiły tam w tych ~~[illegible]~~ ~~w~~ wierszach następujące słowa:

Żył pośród świata [illegible] jak ze stali,
Gdzie tylko ostrzem uderzył ducha,
Wszędzie rozjaśnił, wszędzie zapalił,
I iskrę drobną w płomień rozdmuchał.

To było prawdziwe powiedzenie: cokolwiek Kamiński w swem życiu przedsięwziął, czegokolwiek się dotknął wszystkiego dokonał, mówiąc po [illegible]: „praca mu się w rękach paliła". - Wszystkie też jego czyny noszą cechę tej namiętności, tej gorączki, to też pisał dobrze i źle, rzeczy piękne i mierne, bawił się z życiem jak mógł: raz je oburącz obejmował, cieszył się niem, używał go pełną piersią, to znowu zniechęcał się, ~~[illegible]~~ pryskał żółcią naokoło siebie - jednej tylko nigdy nie spuszczał z oka w złej i w dobrej doli - kształcenia języka.

- Tam leży ów [illegible] skarb zakopany - mówił - póki mamy język możemy spokojnie patrzyć w przyszłość.

Kamiński urodził się roku 1777 w Kutkorzu w pobliżu Lwowa w tej średniej zamożności, która najwięcej znakomitych wydaje ludzi - potrzebował bowiem pracować a miał przecież środki, aby módz pracować. Z galicyjską stolicą łączy się jego [illegible]: tam się uczył, chodził na filozofię, tam po raz pierwszy na scenie wystąpił, i tam scenę założył i utrzymał, tam kształcił język i żywił uczucia narodowe, tam umarł - starzec sterany ale spokojny, bo działał jak mógł i jak umiał.

Jedyna praca daje spokojną śmierć.

Na innem miejscu mówiliśmy już o początkach teatru dworskiego z Bogusławskim i jego

poprzednikach. Przed Bogusławskim jednak, przed Morawskim i Księżyckim był już teatr niemiecki. Dawano tam pomiędzy innemi balet: Inkle i Jaryko. Kamiński chodził jeszcze do szkół, treść baletu tak mu się podobała, że pod tym samym tytułem napisał jednoaktową tragedyę i przedstawił ją w sali szkolnej wraz ze swymi kolegami.

Nie długo zatem uczuł swego powołania.

Bogusławski rozwinął to powołanie, dawał mu utwory teatralne do tłumaczenia, do zastosowania do sceny polskiej. Kamiński umiał się z tego wywiązywać z zadowoleniem dyrektora i tak się wprawił, że scena stała mu się koniecznością życia. — Po wyjeździe Bogusławskiego zawiązało się amatorskie towarzystwo, które dawało bezpłatne przedstawienia w domu konsyliarza Wronowskiego. Tutaj był po raz pierwszy aktorem i reżyserem — a bardzo często autorem.

Pierwszem już dziełem publicznie przedstawionem była opera z włoskiego tłumaczona: Drzewo Dianny.

Niemiecka scena przeszkadzała jednak powodzeniu amatorskiemu teatrzykowi — wystarała się o zakaz dawania polskich przedstawień, a początkujący aktor nie widząc możności rozwinięcia w rodzinnem mieście sceny narodowej postanowił szukać szczęścia za kordon, wziąwszy ze sobą kilku aktorów teatru Wronowskiego.

W roku 1804. występuje i daje przedstawienia w Kamieńcu Podolskim, z tamtąd jedzie na wezwanie księcia Lubomirskiego do Dubna, następnie do Kijowa i Odessy.

Pamiętny książę Richelieu, znakomity administrator, człowiek bardzo wykształcony, założyciel można wielkości Odessy otoczył przybywającą trupę swoją opieką, tak, że wędrująca scena przez trzy lata swego pobytu w nadmorskiem mieście bardzo się rozwinęła.

Nadszedł jednak rok 1809, walka napoleońskiej armii z Austryą, chwilowy upadek niemieckich rządów w Galicyi. Kamiński chciał skorzystać z chwili, aby się oddać na usługi swej rodzinnej prowincyi — wrócił więc z dobrze już wyćwiczonem gronem artystów do Lwowa i pomimo wielkich trudności założył scenę polską, która już odtąd utrzymała się wśród różnorodnych, odmiennych losów.

Następują czasy jego najświetniejszej pisarskiej, artystycznej i reżyserskiej czynności. Gdziekolwiek chodziło o rozniecenie walki z niemieckim żywiołem, gdziekolwiek trzeba było podnieść

sztandar narodowy wszędzie był Kamiński. Wśród ministra nieprzyjaciół, wśród nieskończonych intryg, wśród niechętnych ~~nie tylko~~ Niemców i zawistnych Polaków szedł Kamiński naprzód, mając tylko jednego sprzymierzeńca — publiczność.

Publiczność, owa większość ludności ~~zawsze~~ w mieście która mniejszości nakazuje, niezmiennie zawsze była za nim, umiał on też jej schlebiać, umiał zawiązać pomiędzy nią a sceną pewien serdeczny stosunek, który do ostatnich prawie czasów pozostał w tradycyach Lwowa, umiał odzywać się do parteru.

Nie było nowego przedstawienia, nie przeszedł Nowy-rok, ani żadna uroczystość, aby Kamiński nie wystąpił z jakimś pro- lub epilogiem, albo nie przekradł w treść sztuki choćby kilka wierszy, które miały utrzymywać ~~to~~ ciepły, serdeczny stosunek z publicznością, wiedział, że ~~on~~ publiczność jego potrzebuje, ale i on publiczności:

Gdzie jest światło gust i sztuki,
Tam i scena ma swój blask,
Lecz by kwitły wzrost nauki
Trzeba wsparcia, łask i łask

Wam należy złożyć dzięki
Za tutejszej sceny wzrost,
Gdyby nie dar waszej ręki
Byłby u nas post i post

Ach ty luby mój parterze,
Odzywajże mi Wam zdrowi,
Na wiwaty klaskanie szczere
Niechaj żyje i dowi i dowi

Cóżby to był za parter, któryby tych słów nie przyjął grzmotami oklasków, cóż też dyrektor, że ma w nim serdecznego przyjaciela, sprzymierzeńca, nie raz się do niego udawał, nie raz się przed nim tłómaczył:

~~Dziś jakoś~~ Zdarzyło się, że zrobiono dyrektorowi zarzuty, że sprowadza nie skromne sztuki na scenę, że się zepsucie zakradło do teatru, Kamiński nie milczy, nie pozwala on się oczerniać żywym wierszem bez odpowiedzi, ale odpowiada swemu obrońcy — parterowi:

Człowiek każdy jest ułomny
Bardziej lubi złe niestety,
Póki wielki świat był skromny
Skromne były i poety,
Lecz jak zaczął zmieniać cnoci,

Zamiast nerwy brać się wiatru,
Nie ma dziwu, że zewsząd
Zakradło się do teatru.
Wszystkie pierwsze ma uznanie,
Kto tytułem ozdobiony,
Wszak mu liczne zgromadzenie
Brawo daje i aktorowi...

Czyż dziwić, że po ~~takiem...~~ straceniu takich wierszy w operetce „widowisko, któremu trudno dać nazwisko" publiczność porzuciła — wielki świat zawiódł, a uniwersytet kochanego dyrektora i ulubioną scenę.

Na mniej znaczące zarzuty lekkimi się dyrektor odcinał wierszykami, gdy jednak przyszły cięższe czasy, gdy albo publiczność obojętniała, albo inne groziło jej, zwłaszcza od rządu niebezpieczeństwo, wtedy umiał i ~~partnerami~~ ~~za~~ w poważną uderzyć nutę, publiczność skrzyczeć za serce i rządowi podchlebstwem ugodzić; A tak w chwili niebezpieczeństwa ~~...~~ mówi on ~~ze~~ do sceny: kreśląc jej niedawne dzieje:

Tą mądrą dźwignią była scena wasza.
Już się w upadek po trzykroć chyliła,
Już jej zagubę krakał ptak złowrogi;
Ale domowe żyją jeszcze bogi,
Ołtarzyk Westy nie skonał w popiele:
Na wasze tchnienie błysło życie w dziele,
Błysło światełko w ojczystej świątyni.
Nad mdłym płomykiem, mdłą wonią kadzidła,
Orzeł monarszy rozpostarłszy skrzydła,
Błogi dobrej poświęcił sprawie!...

Są tutaj słowa dla publiczności za i dla policji...

Umie on w namaszczonych słowach przedstawić publiczności powołanie sceny, ~~p~~ ukazać ją w aureoli blasku. Czyż to nie ładne i piękne te słowa jednego z jego prologów?:

Scena zabawą czczą nie jest dla gminu,
Ani jest wiechą podłego rzemiosła;
Ona ze sztuką szczyt bije do czynu,
Maskę gmin wali, aby go podniosła.
Wiek swój pokrzepia zdaniem zardzewiałem,
Kto czczej zabawy szuka w niej powodu;
Silniej niż dusza rozmawia się z ciałem,
Rozmawia scena ze sercem narodu;
Jeden tam węzeł dwie strony kojarzy,
Co jedna czuje, druga ma na twarzy;
Jedna się w drugą przenosi pochodnie.
Kształtu i nauki wspinając stopnie —

Słowa Kamińskiego nie były czcze. Więcej on w początkach sceny, widział jej zbawienie sku-tki, osobliwie w rozwoju języka narodowego i usilnie pracował nad jej podniesieniem. Zostawił po sobie blisko sto ~~sztuk~~ dzieł scenicznych przerabianych lub oryginalnych – naturalnie wiele tam sceny bez wartości, ale niektórym nie można zaprzeczyć poetyckiej werwy i ~~wielkiej~~ ~~znajomości~~ ~~sceny~~ przydatności dla sceny.

Z równą energią jak nad przygotowaniem dzieł scenicznych pracował nad wykształceniem artystów i usilna praca doszła do znakomitych, dość wspomnieć jego wychowańca Antoniego Benza, młodszego od niego Jana Nepomucena Nowakowskiego, podporę sztuk Fredy. Żonę swą Apolonię, mającą ~~dość~~ ~~mierny~~ talent sceniczny wykształcił na bardzo pożyteczną artystkę, ustąpiwszy już ze sceny przysłużył się jej jeszcze bardziej przygotowaniem panny Teofili Ceneckiej. Nie zliczyłbyś ich grona tych większych i mniejszych talentów, które rozwinęły i rozwój swój zawdzięczają ojcu lwowskiego teatru.

– Gracz ale nie licz na uznanie twej pracy – powiedział Kamiński krótko przed śmiercią jednemu z młodych ludzi, który szukał rady u starca.

Za życia też niejeden zbierał Kamiński bardzo dużo nieprzyjaciół – jak każdy człowiek który ~~do~~ wiele działa i działa energicznie.

Walki jego te epoce nie były wprawdzie głośnymi czynami, ale pełno ciągłych utarczek i ~~...~~ licznych zwycięstw odnoszonych pod sztandarem narodowości.

Zaczął wojować z dyrekcją niemieckiego teatru, był to przeciwnik silny i wytrwały, oparty na przychylności rządu

Pani Apolonia dała nam kilkanaście sztuk. przyswoiła scenie wiersz np. „Do rzeczy po stracie kochanka”

I.

W Metarce, tuż koło Żmigroda, mieszkał p. Seweryn Chłędowski, starej daty człowiek, gospodarz zawołany, najczęściej na wózku pomiędzy Duklą a Hawajem, majątkiem w Węgrzech, który trzymał w dzierżawie.-

Pan Seweryn co świt wstawał do gospodarstwa, śpiewał chodząc pomiędzy wozy i konie pełnym głosem: „Kto się w opiekę..." a zwrotki nabożnej pieśni przeplatał wykrzyknikami:

- Zaprzęgaj gniadego! - spiesz się hultaju!.

lub nie tracąc czasu brzytwą machał po twarzy, pewny swej ręki, jak i głowy, że się z najstarszym mierzyć potrafi węgrzynem.

Krzątać się jednak było potrzeba, aby trzech synów i dwie córki wychować, dać im wykształcenie - pan Seweryn bowiem wierzył w rozum i naukę, co jeszcze wówczas nie wszędzie na Podgórzu karpackiem było artykułem wiary.-

Seweryn bardzo energiczna, sympatyczna postać; portret, który mam do dziś dnia, przedstawia go jako pięknego, o regularnej twarzy, 50-ciu kilkuletniego mężczyznę. Twarz zdrowa, czerstwa, oko jasne, pogodne, człowiek czynu.- Kupił on zdaje mi się od funduszu religijnego wioskę Wietrzno, która

dobrze sobie na to nazwisko zasłużyła. — Leży bowiem nad rzeką Jasiołką, na górskim przesmyku, pod Duklą, a wiatry, grady, burze i pioruny, w zimie zaś zawieje i zaspy należą do ich cech charakterystycznych. Trzymał zaś w dzierżawie wioskę Mszankę koło Dukli, tudzież duży majątek Hławaj na Węgrzech, przepędzał więc część życia na [illegible]

W r. 1811, po nieszczęśliwej kampanii Austryi z Napoleonem, właśnie kiedy państwo austryackie ogłosiło „redukcyę swej waluty" zamierzał p. Seweryn nabyć na własność Hatwę. Miał już gotowe pieniądze, nadeszło jednak bankructwo państwa, wartość banknotów o wiele się zmniejszyła, o kupnie węgierskiego majątku mowy już nie było. Pozostał jeszcze jakiś fundusz na wyposażenie dwóch córek i Wietrzno, w czasach pańszczyźnianych wcale dobra wioska. —

Ani dziada ani babki nie znałem. O ostatniej także tylko z portretu Maszkowskiego wyrobiłem sobie wyobrażenie. Łagodna staruszka, w białym czepeczku z fioletowemi wstążkami, odziana czarną tybetową chustką, oparta na sękatej lasce. Ręce widocznie miała bardzo piękne, bo je Maszkowski zrobił z wielkiem upodobaniem i tak artystycznie, żeby mu tego malowidła każdy głośny mistrz mógł pozazdrościć. —